

**ANDREW
BRITTON**



AMERYKANIN

Znakomity thriller jednego z najmłodszych, a jednocześnie najzdolniejszych autorów, jacy pojawili się na przestrzeni ostatnich lat...

AMERYKANIN

Poruszająca niezwykle aktualne kwestie po zamachach z 11 września powieść Brittona koncentruje się wokół postaci nieszablonowego agenta CIA, Ryana Kealeya. Kealey, który zetknąwszy się z najgorszym złem świata, zrezygnował z kariery w siłach specjalnych i CIA. Kiedy jednak do świata żywych nagle powraca jego były podwładny i przeciwnik z okresu służby w armii Stanów Zjednoczonych, Jason March, to na Kealeyu spoczywa zadanie wytropienia i powstrzymania tego niebezpiecznego człowieka. Sprzymierzeńcami Marcha są ludzie z al-Kaidy, której przyświeca tylko jeden cel - całkowita zagłada Stanów Zjednoczonych.

„Andrew Britton osiągnął poziom mistrzostwa, do którego większość pisarzy dąży bezskutecznie przez całe życie. *Amerikanin* to świetnie napisana powieść”.

Brat Thor, autor bestsellerów

„Blowback” i „State of the Union”

patronat medialny

RadioPiN102FM 

ISBN 83-60283-30-3



9 788360 283301

cena: 31,00 zł

Andrew Britton

AMERYKANIN

Przełożyła
Anna Kłosiewicz



Warszawa 2006

Tytuł oryginału
Tfje Amrcicdfi

Copyright © 2006 by Andrew Britton
AU rights reserved

Copyright © for the Polish edition by VIZJA PRESS&IT Ltd.,
Warszawa 2006

Redaktor prowadzący
Wojciech Żyłko

Redakcja i korekta
Aneta Zdunek

Opracowanie graficzne okładki
Mariusz Stelągowski

Zdjęcie na okładce
© Corbis

Wydanie I

ISBN 83-60283-30-3

VIZJA PRESS&IT
ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa
tel./fax 536 54 68
e-mail: vizja@vizja.pl
www.vizja.net.pl

Skład i łamanie
Mariusz Markowski

Dla mojej matki, Anne

Podziękowania

Chciałbym przede wszystkim wyrazić swoją ogromną wdzięczność Lindzie Cashdan z The Word Process. Jej rady stanowiły wyraz wielkiej przenikliwości i często nawet te sugestie, które początkowo odrzuciłem, znalazły w końcu, za radą mojego wydawcy, odbicie w tekście. Bez jej pomocy z pewnością nie poradziłbym sobie z trudami pisania.

Serdeczne podziękowania kieruję także do Marka A. Jonesa z biura szeryfa w hrabstwie Wake, który poświęcił mi wiele czasu, zawsze chętnie służąc swoją wiedzą, funkcjonariusza Rodneya Parksa z D.C. Metro Police Department za wszystkie mądre rady, oraz Eriki Lease, doktora medycyny, za jej mądrość i, co ważniejsze, przyjaźń.

Na szczególne wyrazy uznania zasługuje zespół znakomitych profesjonalistów z Kensington: prezes i dyrektor generalny wydawnictwa Steven Zacharius, Laurie Parkin, Michaela Hamilton i Wendy Bernhardt oraz moja redaktorka, Audrey LaFehr, której jestem dożgonnie wdzięczny za bezgraniczne wsparcie i entuzjazm.

Książka ta nie mogłaby również powstać bez pomocy mojej agentki literackiej, Nancy Coffey, jej wiary w powodzenie tego przedsięwzięcia.

Jeszcze specjalne podziękowania dla Jeralyn Valdillez za to, że wspierała mnie nawet wtedy, gdy jedyną rzeczą, jaka wychodziła spod mojego pióra, były prace zaliczeniowe na studiach.

PROLOG

WASZYNGTON

Szeptali coś pomiędzy sobą. Miejsce to było znacznie bardziej odpowiednie do przekazania informacji mniejszej wagi, powtarzali.

To zupełnie naturalne, że narzekali. Zresztą organizatorzy nie spodziewali się innych reakcji. Stażyści odpowiedzialni za rozsadzenie gości i rozdzielanie przepustek prasowych byłiby wręcz zaskoczeni, słysząc miłsze słowo, a kiedy z powodu ciągłych przerw nastąpiło poważne opóźnienie w przebiegu spotkania, rzadko kto się temu dziwił. Dołożono jednak wszelkich starań, żeby pomieścić wszystkich przybyłych. Przyniesiono dodatkowe krzesła dla spóźnialskich, a termosy z kawą i dzbankami schłodzonej wody napełniano praktycznie bez przerwy. Bogato zdobione żyrandole ponad ich głowami zapewniały wystarczającą ilość światła, chociaż kamerzyści i tak narzekali, co prawda nadaremnie. Skorzystanie w tej sali z naturalnego oświetlenia nigdy nie było nawet brane pod uwagę. Sześć ogromnych okien było zakratowanych ze względów bezpieczeństwa i zasłoniętych ciężkimi bordowymi kotarami, idealnie dopasowanymi do koloru dywanu. Ponad skrzącymi się jasnym blaskiem kryształowymi żyrandolami, tuż pod połączonym sufitem, szybowały niespiesznie dwa zapomniane balony w kształcie gwiazd. Pomimo iż na ścianach brakowało zwyczajowej galerii obrazów, godnie zastępowały je, a może nawet wręcz przewyższały, wyniosłe marmurowe kolumny porządku

W przeważającej części zgadzali się co do tego, że wokół widoczne są zwyczajowe oznaki władzy, za to zdecydowanie

brakowało tu miejsca. Wszyscy siedzieli stłoczeni, mocno odczuwając niewygodę, jednak im dłużej trwało posiedzenie, tym słabsze były głosy protestu. Większość gryzmoła coś pośpiesznie w swoich notesach, co rusz rzucając gniewne spojrzenia tym, którzy nie przerwali rozmów. W końcu jednak stłumione szeptem umilkły i wszyscy zaczęli słuchać w skupieniu mężczyzny przemawiającego właśnie na tle grupy pozostałych przedstawicieli władzy.

- Wierzę, że udało się nam osiągnąć konsensus pomiędzy najbardziej szanowanymi i wpływowymi osobami w Waszyngtonie, zwłaszcza tymi, których wkład jest tak istotny w procesie podejmowania decyzji przez głowę naszego państwa. Jestem całkowicie przekonany, że prezydent zaakceptuje większość podjętych dzisiaj przez komisję rezolucji. Odpowiem teraz na jeszcze jedno państwa pytanie... Widzę, Susan, że nie możesz usiedzieć na miejscu. Słucham.

Między tłumem zgromadzonych w sali reporterów prasowych i telewizyjnych przeleciał lekki śmiech, podczas gdy korespondentka CNN zarumieniła się odrobinę i w końcu zadała pytanie mężczyźnie na podium.

- Panie senatorze, co zamierzają państwo osiągnąć, stawiając takie ultimatum tymczasowym władzom irańskim, a poza tym czy nie uważa pan, że obecny rząd zmierza tą samą drogą, która doprowadziła już do kontrowersyjnej sytuacji w Iraku?

Senator Levy zmarszczył brwi przy ostatniej wzmiance, co nie umknęło uwadze zebranych.

- Po pierwsze, pragniemy uświadomić ludziom sprawującym władzę w Teheranie, że rząd Stanów Zjednoczonych nie zamierza siedzieć bezczynnie, podczas gdy trwają przygotowania, których celem jest szkoderstwo obywatelom naszego kraju. Nie rozważaliśmy jeszcze - i chciałbym to wyraźnie podkreślić - możliwości zbrojnego konfliktu, a nawet rozmieszczenia wojsk w tamtym regionie, jeśli o to chodzi. - Levy zrobił krótką przerwę, starając się sprawić wrażenie, że musi pozbierać myśli, choć tak naprawdę chodziło jedynie o wywołanie odpowiedniego efektu. - W tym momencie dysponujemy niepodważalnymi dowodami na to, że Iran wznowił prace nad oczyszczaniem uranu na potrzeby produkcji broni jądrowej, dowód, którego

brakowało nam, kiedy została podjęta decyzja o obaleniu Saddama

Husajna. W takiej sytuacji prezydent odmawia uznania nowych władz w Teheranie, a ja, to znaczy my popieramy go w tej decyzji całkowicie. Co więcej, uzyskaliśmy również wstępne deklaracje współpracy ze strony prezydenta Francji, Jacquesa Chiraca, oraz premiera Włoch, Silvio Berlusconi. Obaj przywódcy zapewнили nas, że jeśli uda się osiągnąć porozumienie w sprawie częściowej rekompensaty, francuskie i włoskie firmy powiązane z przemysłem naftowym w Iranie są gotowe zerwać kontrakty i wycofać się z tamtego rejonu przy najbliższej nadarzającej się okazji. Chociaż ustalenia te mają być jeszcze tematem rozmów zaplanowanych na koniec listopada, stanowią one jednak ogromny krok w kierunku zaostrenia już nałożonych sankcji. Zaręczam również, że nikt nie zdoła powstrzymać naszych wysiłków zmierzających do stworzenia jednolitego frontu mającego przeciwdziałać nuklearnym ambicjom Iranu.

Levy znowu urwał, a tę chwilę ciszy natychmiast przerwały wzburzone głosy dziennikarzy. Ignorując głośnie okrzyki, senator popatrzył na atrakcyjną młodą korespondentkę w trzecim rządzie.

- Co do drugiej części twojego pytania, Susan, to chciałbym podkreślić, że oczekujemy silnego poparcia ze strony ONZ w tej sprawie. Dowód na produkcję broni jądrowej przez Iran, o którym mówiłem, znajduje się obecnie w rękach Rady Bezpieczeństwa. Sprawdzanie tych informacji powinno się zakończyć na początku przyszłego miesiąca, po czym spodziewamy się stanowczego wystąpienia Rady i potępienia działań podejmowanych przez nowy reżim. Przykro mi, ale musimy już kończyć - powiedział, kiedy dziennikarze zaczęli znowu głośno wykrzykiwać w jego kierunku. - Dziękuję państwu za przybycie.

Senator Daniel Levy zszedł z podium, zasypywany gradem pytań, na które nie zamierzał odpowiadać. Czteropółgodzinne posiedzenie było wystarczająco męczące, jednak podniesione głosy pozostałych dwudziestu sześciu senatorów i oślepiające światła kamer przyprawiły go dodatkowo o pulsujący ból głowy i tępy ucisk w żołądku. Levy nie miał żadnych wątpliwości, że niedawno zdiagnozowany u niego wrzód jest rezultatem narastających znowu na Bliskim Wschodzie problemów. Po niedawnej

śmierci ajatollaha Chameneiego, najwyższego przywódcy Iranu, władzę w kraju przejął ultrakonserwatywny duchowny, zdecydo-

wanie nieprzyjaźnie nastawiony do Stanów Zjednoczonych. Pomimo wypowiedzianych kilka chwil wcześniej zapewnień senator Levy nie miał żadnych wątpliwości, że wojna w tamtym regionie staje się jak najbardziej realnym zagrożeniem.

Wyszedł z sali posiedzeń i skręciwszy ostro w prawo, ruszył rażnym krokiem w dół po marmurowych schodach. Po chwili dołączył do niego Kevin Aidan, jego główny doradca.

- I znowu czekają nas te nonsensowne przepychanki - mruknął Levy, przeczesując palcami swoje gęste siwe włosy. Zniżył głos, bo nie do końca ufał swojej niewielkiej, ale niezwykle kompetentnej obstawie z Secret Service¹. Członkowie Kongresu nie byli zazwyczaj uprawnieni do tego rodzaju ochrony, ale jako przewodniczący senackiej większości oraz komisji do spraw wojskowych senator Levy znajdował się pod specjalną opieką, zwłaszcza w obliczu ostatnich wydarzeń. - Wydaliliśmy miliardy dolarów w Iraku, żeby obywatele naszego kraju mieli okazję zobaczyć w telewizji śmierć swoich synów i córek. I co, do cholery, dostaliśmy w zamian, Kevin?

Aidan zerknął na senatora kątem oka. Musiał patrzeć lekko w dół, bo senator Levy był od niego o ponad głowę niższy. Zastanawiał się przy tym leniwie, czy jego szef cierpi na kompleksy związane z niskim wzrostem. Z drugiej strony jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Waszyngtonie nie musiał się przejmować takimi błahostkami. *W końcu*, upomniał się w myślach Aidan, *od tego jestem tutaj ja*.

- Panie senatorze, teraz najlepszym rozwiązaniem będzie chyba trzymanie się linii naszej partii. Być może później zechce się pan wobec tego zdystansować, ale w obecnej chwili jest pan postrzegany jako największy zwolennik Brennemana. Prowadzimy już badania opinii publicznej - jeżeli poparcie obywateli zacznie się zwracać w drugą stronę, rozważymy możliwość zmiany naszego stanowiska.

Levy uniósł brew, nieco rozbawiony tymi słowami. Mimo iż wysoce cenił sobie zdanie Aidana, to rozważając opinię swojego doradcy, zawsze brał pod uwagę jego młodość i brak doświad-

¹ Amerykańskie służby odpowiedzialne za ochronę prezydenta (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

czenia. Dopiero co wystąpił w krajowej telewizji, całą powagą swojego urzędu popierając stanowisko prezydenta, w najbliższej przyszłości nie mógłby się więc z tego wycofać, o ile nie chciał wyjść na zdrajcę własnej partii. Poza tym naprawdę wierzył w słuszność swojego postępowania i nawet jeśli w prywatnych rozmowach chętnie narzekał, to wiedział także, że zniesie wszelkie polityczne konsekwencje, byle tylko powstrzymać Iran przed dołączeniem do nuklearnych potęg świata.

Wszystkie te sprawy szybko przestały jednak zaprzętać jego myśli, kiedy szli przez misternie rzeźbioną w marmurze rotundę Russell Senate Office Building. Levy nie mógł się nadziwić pięknemu architekturze i kunsztowi wykonania. Ten widok zawsze uświadamiał mu, jak ważna jest jego praca i jak wiele ma szczęścia, że zajmuje to właśnie stanowisko. Nagle z zamyślenia wyrwał go głos agenta Secret Service, który powiedział coś do mikrofonu ukrytego w rękawie, a potem podniósł wzrok.

- Panie senatorze, wszyscy są już gotowi. Pojedziemy drugim samochodem. - Levy skinął lekko głową i wyszedł z budynku. Pogoda była typowa dla połowy października - porywisty wiatr zacinął deszczem, omal nie wyrrywając Aidanowi z rąk parasola utrzymanego nad głową senatora. Agenci szybko zaprowadzili ich do drugiego z dwóch białych chevroletów.

Levy wiedział, że w pierwszym samochodzie siedzi czterech uzbrojonych w broń automatyczną mężczyzn, a dowódca obstawy pojedzie razem z nimi w drugim aucie na miejscu pasażera. O ile dobrze pamiętał, powinien być jeszcze jeden pojazd zabezpieczający tyły, jadący za nimi w bezpiecznej odległości, zerknąwszy jednak w głąb ulicy, nie zauważył żadnego takiego auta.

Kiedy po raz pierwszy przydzielono mu ochronę, tak rzucająca się w oczy obecność jego opiekunów wydała mu się nie tylko zbędna, ale i krępująca. Zwierzył się nawet ze swoich wątpliwości prezydentowi, dowiedziawszy się jednak o przyczynach takich zmian, musiał przyznać, że zagrożenie uzasadniało zwiększone środki ostrożności.

Co wcale nie znaczyło, że cała sytuacja mu odpowiada. Na obstawę zostały nałożone restrykcyjne ograniczenia - agenci nie mieli wstępu do rezydencji senatora poza przypadkami rzeczywis-

tego zagrożenia, a droga do pracy nie mogła zostać zakłócona w jakikolwiek sposób. Dwudziestopięciominutowa jazda z biura do domu znajdującego się po drugiej stronie rzeki stanowiła jeden z nielicznych spokojnych momentów w jego codziennym rozkładzie zajęć, więc nie zamierzał tego psuć wyciem syren i klaksonów naciskanych przez wściekłych kierowców, którym zajęchali drogę. Szef obstawy próbował co prawda przeforsować pewne zmiany, ale senator Levy był jednym z najbardziej wpływowych polityków w Waszyngtonie i jego warunki stanowiły tak naprawdę żądania. W końcu pięciominutowa rozmowa przez telefon położyła ostatecznie kres sporowi.

Czujni agenci składający się na jego obstawę nie otrzymywali równie wysokiej pensji jak senator, zresztą jak najbardziej słusznie, byli jednak odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo, toteż poczuli ulgę, kiedy siedmiosekundowa droga senatora od drzwi wejściowych do samochodu odbyła się bez żadnych zakłóceń. W ich branży wszyscy znali tę podstawową zasadę, że podopieczny jest zawsze narażony na największe niebezpieczeństwo podczas wsiadania do samochodu oraz w momencie jego opuszczania. W całym tym pośpiechu doświadczeni agenci nie zauważyli młodego, dobrze ubranego mężczyzny, który wyszedł za nimi na zewnątrz. Nieznajomy odczekał aż ich niewielki konwój odjedzie, a kiedy po jakichś piętnastu sekundach pomknął za nimi także samochód ubezpieczający, zszedł po marmurowych schodach i ruszył Constitution Avenue. Nie zwalniając kroku, otworzył parasol, żeby osłonić głowę przed deszczem, po czym wyciągnął z kieszeni płaszczka telefon komórkowy.

Mężczyzna, który odebrał telefon, postanowił zignorować nutkę arogancji towarzyszącą oczekiwanej wiadomości, czuł jednak lekką pogardę dla tego urzędnika z Kongresu, którego nazwisko podano mu dwa miesiące temu, a na którego informacjach musiał teraz całkowicie polegać.

Czekał cierpliwie za kierownicą wynajętego czarnego chevroleta chevy tahoe na Independence Avenue, naprzeciwko James Forrestal Federal Building. Zaparkował samochód najzupełniej prawidłowo, z opłaconą w parkomacie całą następną godziną, a przyciemnienie szyb nie było na tyle duże, żeby

wzbudzić podejrzenia nawet jakiegoś wyjątkowo uważnego policjanta z drogówki. Mężczyzna miał duże doświadczenie w takich sprawach i chociaż w pełni zdawał sobie sprawę z zagrożeń nieodłącznie powiązanych z jego zajęciem, nie zamierzał pozostawiać elementów, nad którymi mógł zapanować, losowi.

Trzymając się tej zasady, starannie wybrał punkt obserwacyjny na Independence Avenue, biegnącej od L'Enfant Promenade na zachód przez prawie pięć kilometrów. Ze swojego miejsca mężczyzna widział wyraźnie światła dwóch skrzyżowań. Najbliższe znajdowało się jakieś 65 metrów od niego, następne co najmniej 200 metrów dalej, poza zasięgiem jego broni i możliwości.

Wszystkie przygotowania były zależne głównie od ruchu ulicznego w godzinach szczytu i paskudnej pogody, toteż sygnalizatory przyciągnęły jego uwagę zaledwie na chwilę. Nie mógł ich wykorzystać do swoich celów, bo brak wystarczającej biegłości w obsłudze komputera nie pozwalał mu włamać się niepostrzeżenie do systemu nastawni wydziału ruchu drogowego. Poza tym tamte pozostałe dwa czynniki, stanowiące codzienność stolicy, nigdy nie zawodziły, jeśli chodzi o prawie całkowite zakorkowanie ulic.

Kiedy jego komórka zapiszczała cicho, zerknął na liczbę. Cel znajdował się niecałe dwie minuty drogi od niego.

- Co robisz w ten weekend?

Megan Lawrence uniosła brew i obróciła się lekko, żeby spojrzeć na swojego partnera, Franka Benecellię. Pracowali razem od trzech miesięcy i Megan była coraz bardziej przekonana, że Frank zbiera się na odwagę, żeby w końcu zaprosić ją na randkę.

- Czemu pytasz? Masz jakieś plany dla nas dwojga? - zapytała z uśmiechem. Benecelli zaczął się lekko i mruknął coś pod nosem, a Megan pomyślała natychmiast, że to dosyć zabawne, żeby facet włoskiego pochodzenia był tak zamknięty w sobie i małomówny. Chociaż nie dało się zaprzeczyć, że wydawał się jej całkiem przystojny. Ale to i tak bez znaczenia, bo rzeczywiście miała plany na weekend. Jej córeczka, Sarah, obchodziła w tę

sobotę swoje szóste urodziny i obie nie mogły się już doczekać tego wspólnego dnia.

Megan odgarnęła swoje długie rude włosy z twarzy i związała je w niedbały kucyk, skupiła spojrzenie swoich błyszczących zielonych oczu na samochodach, które widziała bezpośrednio przed sobą, jak i tych dostrzeganych w polu widzenia obwodowego. Nie powinna pozwolić swoim myślom tak błądzić. W tej pracy nie było na to miejsca. Za to następne dwa dni miała wolne, więc będzie mogła wreszcie naprawdę odpocząć.

- Boże, proszę tylko spojrzeć na tę pogodę. W takie dni jak ten od razu przypomina mi się, że Waszyngton leży na terenach dawnego malarycznego bagna - jęknął Aidan. Senator Levy zapatrzył się nieobecny wzrokiem na wzburzoną wiatrem powierzchnię sadzawki przed Kapitołem. Ponieważ bóle brzucha nie ustępowały od momentu zakończenia posiedzenia, zaczął się zastanawiać, czy nie przesunąć wizyty u lekarza już na przyszły tydzień. *Albo jeszcze lepiej*, pomyślał, *może w ogóle powinienem rzucić tę pracę*. Chociaż zdawał sobie sprawę, że jego odejście na emeryturę byłoby ogromnym ciosem dla jego ambitnego głównego doradcy, to z pewnością nie mógłby sprawić większej przyjemności swojej żonie. Ostatnio Elizabeth coraz częściej wspominała o przeprowadzce do posiadłości kupionej niedawno pośród łagodnych wzgórz Wirginii, stanu, który wyniósł go na tak wysoką pozycję. Z każdym mijającym dniem te prośby zdawały się przybierać formę coraz bardziej kategorycznych żądań.

Mimo wszystko Levy nie mógł jej mieć za złe tych marzeń, bo przez całą jego niespokojną, trwającą już prawie trzydzieści lat karierę polityczną wiernie stała u jego boku. Budynek znajdujący się tuż na obrzeżach Charlottesville wymagał poważnych przeróbek, ale senatora zalewała fala ciepła na samą myśl o stworzeniu tam domu wraz z żoną, którą tak bardzo by to wszystko cieszyło.

- Senatorze? - Głos Aidana wyrwał go z zamyślenia, popatrzył więc na swojego doradcę. - Musimy porozmawiać o naszym spotkaniu z gubernatorem w przyszłym tygodniu. Na pewno zapyta pana o sprawy finansowania edukacji, dlatego uważam, że powinniśmy...

- Później, Kevinie. Pozwól starszemu panu trochę odpocząć - zażartował Levy, odchylając się na oparcie siedzenia i przy-
mknąwszy oczy znowu pogrążył się w marzeniach o emeryturze. Lekki stukot deszczu o dach samochodu przytępił jego zmysły, nie zwrócił więc nawet uwagi na to, że samochód skręcił ostro w Independence Avenue, rozpryskując przy tym kałuże.

Od momentu otrzymania drugiego telefonu, mężczyzna w czarnym chevrolecie działał szybko, ale skutecznie. Pewną ręką zerwał wytarty koc z przedmiotu leżącego na siedzeniu obok niego, a potem przełożywszy nieporęczną prostokątną broń na kolana, pstryknął zatrzaskiem, żeby przesunąć celownik optyczny na właściwe miejsce i opuścił mechanizm iglicy.

Broń spoczywająca teraz w jego rękach była znana jako granatnik M202A1, kaliber 66 mm, używany również jako miotacz ognia przez amerykańskie wojska, dla których zresztą została wyprodukowana. Ten konkretny egzemplarz wyjątkowo szczęśliwym trafem zaginął podczas ćwiczeń ze strzelania amunicją bojową w Fort Bragg ostatniej wiosny, razem z kompletem trzech pocisków M74. Półautomatyczny granatnik mógł co prawda wystrzelić cztery pociski w przeciągu czterech sekund, był jednak wyposażony w zaledwie trzy, a wojskowe śledztwo z pewnością prowadzono by bardziej drobiazgowo, gdyby zaginęła również amunicja nieprzypisana do tej broni.

Kiedy granatnik został już załadowany, mężczyzna miał dokładnie dwadzieścia sekund. Wykorzystał ten czas, aby prze-
siaść się razem z bronią na miejsce pasażera. Przesunąwszy język spustowy do właściwej pozycji, zerknął jeszcze w boczne lusterka i sprawdził widoczność obwodową. Poprzez strugi deszczu zalewające tylną szybę jego auta, widział zbliżający się pierwszy z dwóch chevroletów.

Wciągnął głęboko powietrze, powoli wypuszczając je ustami, a potem przełożył pasek broni przez prawe ramię i uchylił lekko drzwi od strony pasażera, żeby przekonać się ostatecznie, czy los postanowił oszczędzić życie senatora Daniela Levy'ego.

Tak się akurat złożyło, że pierwsze światło było zielone. Mężczyzna zaklął pod nosem, kiedy konwój wjechał powoli na

skrzyżowanie, ale zaraz odetchnął z ulgą na widok motocykla skręcającego gwałtownie przed maską pierwszego z samochodów. Kierowca chevroleta zahamował ostro, obawiając się, że zahaczy o motor, a potem dał się słyszeć gwałtowny pisk opon stojącego gwałtownie drugiego auta. Mężczyzna trzymający w dłoniach granatnik, podziękował żarliwym szeptem Bogu i wyskoczył na chodnik.

- Broń! Jedź, ruszaj, ruszaj! - Wszyscy poderwali głowy, słysząc wykrzykiwane przez radio słowa. Agenci w pierwszym samochodzie rozglądali się gorączkowo wokół, szukając wzrokiem zagrożenia. Wyrwany z drzemki senator Levy popatrzył z zaskoczeniem na swojego doradcę. Wyraz paniki na twarzy Aidana sprawił, że natychmiast odwrócił się, żeby wyjrzeć przez tylne okno. Świat zniknął za zasłoną deszczu. Dopiero w tym momencie senator poczuł pierwsze uderzenie paraliżującego strachu.

Pod wpływem nagłego przyływu adrenaliny młody kierowca drugiego z samochodów złamał protokół i podjął próbę wyminięcia pierwszego pojazdu, ale po nagłym hamowaniu oba auta znalazły się zbyt blisko siebie, zaczepił więc o tylny zderzak stojącego przed nim samochodu i ciężki SUV² zatrzymał się znowu z ostrym zgrzytem metalu. Mężczyzna nie potrzebował więcej czasu. Ułożywszy granatnik na ramieniu w stabilnej dzięki ciężarowi broni pozycji, odszukał wzrokiem cel, a potem nacisnął spust. Pierwszy pocisk pomknął w stronę drugiego z aut, znacząc swój śmiercionośny szlak cienką smugą białego dymu.

Senator dostrzegł poprzez strugi deszczu krótki błysk i zacisnął powieki, podczas gdy agenci wykrzykiwali coś do swoich krótkofalówek.

Mężczyzna natychmiast przesunął lekko lufę granatnika, gdy tylko ujrzał, że pocisk trafił w tył drugiego z chevroletów. Pocisk

²Sport Utility Vehicle - samochód sportowo-użytkowy, łączący w sobie cechy auta terenowego i osobowego, zapewniający wysoki komfort jazdy.

M74 był wypełniony 0,61 kilograma środka zapalającego znanego jako TPA (Thickened Pyrophoric Agent), o właściwościach chemicznych podobnych do białego fosforu. Skutki jego działania były naprawdę przerażające. Następnym pocisk rozerwał karoserię pierwszego z samochodów zaledwie w kilka sekund po tym, jak pojazd wiozący senatora zamienił się w stos tłącego się metalu. Fragmenty łuski głowicy uderzyły w pobliskie pojazdy i przechodniów. Jeden z agentów zdążył otworzyć tylne drzwi na ułamek sekundy przed uderzeniem pocisku, a siła wybuchu wyrzuciła go dwadzieścia metrów od auta. Jego spalone ciało wiło się na mokrym chodniku, dopóki nie skończył w kilka chwil później.

Na Independence Avenue zapanował nieopisany chaos, bo ulica pełna była o tej porze ludzi wracających do pracy z przerwy na lunch. Mężczyzna nie zwracał uwagi na krzyki przerażonych świadków, skupiając się całkowicie na samochodzie ubezpieczającym, z którego podniesiono alarm przez radio. Dwie pierwsze rakiety wystrzelił w przeciagu zaledwie pięciu sekund, co nie pozostawiało agentom z trzeciego auta zbyt wiele czasu na reakcję, zresztą widział, że jest ich tylko dwóch, w tym jeden za kierownicą. Uniósł granatnik, ale natychmiast opuścił go z powrotem na widok agenta wyskakującego od strony pasażera z pistoletem maszynowym MP5 w dłoniach. Benecelli posłał w kierunku zamachowca trzy strzały, chybiając celu zaledwie o centymetry. Pociski kaliber 9 mm uderzyły w czerwone cegły fasady Arts and Industries Building. Później Benecelli stracił swój cel z oczu, bo mężczyzna schował się za potężnym cielskiem swojego chevroleta tahoe.

Tymczasem zamachowiec miał świadomość, że szanse na ucieczkę wymykają się mu nieubłaganie z rąk. Kąt pod jakim zaparkował wynajętą furgonetkę otwierał przed nim bezpośrednią drogę do National Mail przez Haupt Garden przy Smithsonian Institute. Nadal ukryty za samochodem zrobił dwa kroki w stronę bramy z kutego żelaza, a potem rzucił się biegiem wysadzaną drzewami aleją. Zanim jeszcze dotarł do ostrego zakrętu w prawo, prowadzącego w uliczkę wychodzącą na park, przystanął i od-

wrócił się. Oddychał z trudem, ale ręce miał pewne, kiedy sprawdzał, czy ostatni pocisk znajduje się w komorze wyrzutni. A potem podniósł broń do ramienia po raz trzeci i ostatni.

Rozpadało się na dobre, ciężka kurtyna deszczu okrywała budynki i pobliski chodnik, przesłaniając widok i tłumiąc jęki rannych. Po drugiej stronie chevroleta tahoe agentka Megan Lawrence przesunęła się ostrożnie w lewo z dłońmi zaciśniętymi mocno na stanowiącym standardowe wyposażenie Sig Sauerze P229 w zmodyfikowanej postawie Weavera, osłaniając swojego partnera, który powoli ruszył do przodu. Benecelli zabrał jedyny pistolet maszynowy, jaki mieli w aucie, toteż Megan nie dawała spokoju myśl o przewadze ogniowej przeciwnika. Starła się jednak zachować trzeźwość umysłu, nie odrywając oczu od powiększającej się luki pomiędzy przednią szybą furgonetki a wąską ścieżką biegnącą tuż obok Arts and Industries Building. Nie myślała teraz o swojej sześciolatniej córeczce, ani o bliskich przyjaciółach, których właśnie straciła, choć obie te myśli krążyły gdzieś tuż pod powierzchnią świadomości. Ale cała jej uwaga i znaczne umiejętności były skupione na partnerze, który zaczął właśnie okrążyć maskę pojazdu.

Po trwającym ułamek sekundy wahaniu Benecelli złożył się do strzału i w tym właśnie momencie Megan usłyszała paskudny świst pocisku pędzącego wzdłuż ścieżki, a potem uderzającego w drzwi chevroleta od strony pasażera. Stała bez ruchu, z przerażeniem obserwując, jak trójetyloglin wypełniający głowicę przepala karoserię samochodu, jakby to był plastik. Poszarpane odłamki metalu powleczone żarzącymi się cząsteczkami TPA wbiły się w twarz i klatkę piersiową Benecelliego, a jego niehumaniczny krzyk agonii był ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, zanim jej świat ogarnęły ciemności.

ROZDZIAŁ 1

CAPE ELIZABETH, MAINE

Nie było łatwo wdrapać się na szczyt wysokiego na jakieś pięćdziesiąt metrów zbocza, zwłaszcza po godzinie pływania w lodowatych wodach Atlantyku. Mimo wszystko Ryan Kealey był zadowolony, że czuje jedynie lekkie zmęczenie, kiedy wreszcie dotarł do niewielkiej polany ponad urwiskiem. Dłuższą chwilę stał bez ruchu, podziwiając widok, po czym zaczął schodzić powoli w dół żwirową ścieżką. Wkrótce dotarł do samotnego słupka, na którym zostawił stary ręcznik kąpielowy. Wycierając swoje niesforne czarne włosy, ruszył dalej, dopóki pomiędzy drzewami nie ukazał się kupiony przez niego jedenaście miesięcy temu dom. Gruntownie przebudowany dwupiętrowy budynek pysznił się ozdobnymi drzwiami balkonowymi i oknami, wyraźnie widocznymi w obłożonej cedrowym drzewem fasadzie. Kryty gontem dach był niedawnym i dosyć kosztownym dodatkiem, podobnie jak zewnętrzny kominek, znajdujący się pośrodku wyłożonego mozaiką patio. Ryan wykonał większość prac kamieniarskich własnoręcznie, jednak do położenia dachu zamówił fachowców. Był dumny ze swoich umiejętności złotej rączki, doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że jego możliwości mają swoje granice.

Kiedy podszedł bliżej, prowadzące do kuchni drzwi stały otworem i ze środka wybiegła młoda kobieta, natychmiast zamykając go w mocnym uścisku.

- Cholera, Ryan, wszędzie cię szukam! Mam wiadomości, których pewnie wolałbyś nie usłyszeć - powiedziała, wybuchając zaraźliwym śmiechem. Kealey odpowiedział szerokim uśmiechem, jak zawsze oczarowany jej młodzieńczą żywiołowością.

- W takim razie wiem, że oszczędzisz nam obojgu problemów i zachowasz to dla siebie - zakpił i ruszył do ciepłego wnętrza.

Dziewczyna podskakiwała lekko u jego boku.

- Nigdy w to nie uwierzysz - wyrzuciła w końcu jednym tchem. - Słyszałam przypadkiem, jak dziekan mówił, że twoja frekwencja na zajęciach jest jeszcze gorsza niż twojego „najczęściej popadającego w stan upojenia alkoholowego studenta”, tak to chyba ujął, a potem powiedział...

- Katie - łagodnie przerwał jej gorączkową paplaninę. - Potrzebuję tej pracy nawet mniej, niż on potrzebuje mnie. Nie przejmowałbym się tym aż tak bardzo.

Kealey od czasu do czasu prowadził wykłady na wydziale stosunków międzynarodowych Uniwersytetu Maine jako profesor nadzwyczajny, tylko ostatnio nie miał po prostu ochoty jeździć na uczelnię. Ale chociaż był coraz bardziej znudzony uczeniem, musiał przyznać, że ta praca miała też swoje dobre strony, kiedy zerkał kątem oka na Katie Donovan, która właśnie wydeła wargi, obrażona brakiem zainteresowania dla jej opowieści.

- Kochanie, biegam tak od szóstej rano - powiedziała, szybko się rozchmurzając - i muszę wziąć prysznic.

- Masz ochotę na towarzystwo? - zapytał Ryan z szelmowskim błyskiem w oku.

- Aha, teraz już wszystko rozumiem - odcięła się Katie, uśmiechając się znacząco. - Z wielką ochotą wskoczysz ze mną pod prysznic, ale niewiele cię obchodzi, jak spędziłam dzień.

- Zdaje się, że będziemy musieli pójść na kompromis. - Kealey wzruszył ramionami. - Wyszoruję cię od góry do dołu, a ty w tym czasie opowiesz mi całą historię.

- „Wyszorujesz mnie od góry do dołu”? Tak to się teraz nazywa?

Ryan otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Katie zdążyła już ściągnąć koszulkę i rzucić mu ją w twarz. Potem pobiegła na górę po schodach, krzycząc z udawanym przerażeniem, podczas gdy Ryan następował jej na pięty.

Znacznie później Kealey stał z filiżanką kawy w ręku na balkonie pierwszego piętra i wpatrywał się w chłodny bezkres szarego oceanu. Obserwował, jak wysokie błyskawice, przecina-

jące niebo kilka kilometrów od brzegu, rosną w zastraszającym tempie, a wkrótce poczuł też silne podmuchy wiatru, które przyniosły ze sobą w głąb łądu drobne krople deszczu. Kiedy wysilił słuch, ponad dobiegającymi z głównej sypialni dźwiękami telewizora nastawionego na kanał MSNBC słyszał daleki pomruk grzmotu. We wszystkich wiadomościach mówiono teraz tylko o zamachu, do którego doszło w ubiegłym tygodniu w Waszyngtonie, tak jak miało to miejsce w przypadku każdej katastrofy - naturalnej czy jakiegokolwiek innej. Sącząc kolejny łyk ciepłej kawy, usłyszał, jak rozsuwają się drzwi balkonowe, nie odwrócił jednak głowy. Katie podeszła bliżej i objęła go w pasie swoimi opalonymi od wiatru ramionami, opierając mu przy tym podbródek na ramieniu.

- Czekasz na telefon, prawda?

Ryan uniósł lekko brew. Byli ze sobą zaledwie sześć miesięcy i chociaż odbyli kiedyś krótką, niezręczną rozmowę dotyczącą jego dawnego zajęcia, nie poruszali tego tematu zbyt często. Po raz kolejny Katie zaskoczyła go swoją spostrzegawczością.

Odwrócił się do niej twarzą, instynktownie wyciągając dłoń, żeby dotknąć jej gładkiego policzka ukrytego pośród burzy połyskujących złościście brązowych loków. Jej zmartwione niebieskie oczy wpatrywały się w niego badawczo i wiedział już, że nie będzie umiał jej okłamać.

- Na to wygląda. Zresztą nie mam wątpliwości, że zadzwonią. Chodzi tylko, czy zgodzę się tam jechać... - Znowu popatrzył w stronę nadciągającej burzy. - Po prostu nie wiem.

Katie pochyliła się, żeby złożyć lekki pocałunek na jego wargach.

- Nieprawda, dobrze wiesz.

Wieczorem Katie wyjechała do Orono, żeby wziąć udział w wieczornych zajęciach z fizyki. Stojący w drzwiach wejściowych Ryan przyglądał się jej, jak niefrasobliwie wrzuca książki na tylne siedzenie swojej zdezelowanej toyoty corolli, a potem rusza z piskiem opon, machając mu przy tym radośnie na pożegnanie. Chociaż nie mogła tego wiedzieć, jej przepowiednia sprawdziła się, kiedy tuż przed ósmą zadzwonił telefon. Ryan wahał się tylko przez chwilę, z palcami zaciśniętymi mocno na słuchawce telefonu, zanim wreszcie podniósł ją do ucha.

Następnego ranka było jeszcze ciemno, kiedy wyruszył swoim granatowym bmw 645 Ci na północ autostradą międzystanową 1-95. Na stole w kuchni zostawił kartkę z krótkimi, nabazgranymi pospiesznie przeprosinami, ale podejrzewał, że Katie i tak będzie wściekła po powrocie z Orono. Myśl ta zaprzętała jego głowę przez jakiś czas, wkrótce jednak wyparła ją czysta przyjemność płynąca z jazdy świetnie sprawującym się autem przez malowniczy krajobraz.

Pierwsze promienie słońca zaczynały się przebijać przez gęstwinę mijanego lasu, a rozłożyste korony drzew osypywały dach samochodu i znikającą pod kołami samochodu drogę obumierającymi liśćmi w jaskrawych barwach czerwieni i złocistych brązów. Podróż minęła mu znacznie szybciej, niż się tego spodziewał, i wkrótce dotarł do dziennego parkingu przy Bangor International Airport. Potężny sedan z łatwością pokonał liczne progi zwalniające po drodze do garażu. Było dopiero wpół do ósmej, kiedy odbierał swój elektroniczny bilet od ładnej blondynki za ladą stanowiska United Airlines, która pomimo wczesnej pory zdołała mu nawet posłać uwodzicielski uśmiech, a o 8:45 siedział już w samolocie lecącym do Waszyngtonu.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Ryan lądował na Dulles International, Katie Donovan pędziła brawurowo wąskim, wysadzonym sosnami podjazdem w kierunku domu w Cape Elizabeth. Była w paskudnym nastroju po trwających cały ranek sporach z promotorem na temat kierunku, w jakim zmierzała jej praca. Jako studentka drugiego roku studiów doktoranckich w zakresie matematyki stosowanej miała już za sobą tyle lat spędzonych na nauce, że coraz częściej myślała o rzuceniu tego wszystkiego i zajęciu się wreszcie robieniem kariery. Spór szybko przerodził się w pyskówkę i z całą pewnością spaliła za sobą w ten sposób wiele mostów, ale pocieszała się myślą o spędzeniu reszty popołudnia z Ryanem.

Otwierając drzwi wejściowe, obwieściła swój powrót w iście filmowym stylu, ale w domu panowała kompletna cisza. Stukot jej obcasów o deski parkietu odbijał się echem w pustych pokojach. Kiedy weszła do kuchni, rozejrzała się wokół ze zdziwieniem, zanim w końcu dostrzegła leżącą na stole kartkę.

Były to przeprosiny, ale Katie czuła coraz większą złość za każdym razem, kiedy ją czytała. Jak mógł tak po prostu wyjechać bez pożegnania? W ciągu tych wspólnych sześciu miesięcy opowiedziała mu o sobie tak wiele, a w zamian nie dowiedziała się o jego przeszłości prawie nic, poza tym że pracował przez krótki okres dla CIA. Już i tak wyciągnięcie tej informacji wymagało od niej nie lada przebiegłości i odwołania się do uroku osobistego.

Wzięła do ręki ramkę ze zdjęciem ich obojga na molo w Kittery Point, na którym Ryan obejmował ją delikatnie ramieniem. Przez chwilę podziwiała jego ciemną, irlandzką urodę, zgrabną sylwetkę i beztroski uśmiech, zaraz jednak zgromiła się za to i rzuciła ramkę zdjęciem do dołu na zabytkową drewnianą komodę, pozostawiając na jej lakierowanej powierzchni niewielką rysę. Do oczu nabiegły jej łzy, ale otarła je gniewnym ruchem dłoni i wybiegła szybko z domu. Nagle uświadomiła sobie, jak dziecinnie się zachowuje. Ryan byłby pewnie zawiedziony, gdyby mógł ją teraz zobaczyć. Na myśl o tym załała ją fala wstydu, który niemal natychmiast ustąpił znowu miejsca gniewowi, kiedy docisnęła pedał gazu i pomknęła podjazdem z jeszcze większą prędkością, niż zajechała przed dom.

ROZDZIAŁ 2

WASZYNGTON

Żeby uniknąć kłopotliwej procedury wpisywania się na listę gości w Langley³, Ryan umówił się ze swoim rozmówcą w pewnym sensie „poza campusem”. Czekał w jasno oświetlonej kawiarni w pobliżu George Washington Parkway, usadowiony w odległym kącie sali twarzą do drzwi. W lokalu panowała naprawdę sympatyczna atmosfera, pełno tu było młodych przedstawicieli wolnych zawodów i studentów college'u zajętych w to piątkowe popołudnie robieniem planów na weekend, wymianą żarcików i plotek albo rzucaniem przez zatłoczoną salę zalotnych spojrzeń. Wiele dziewczyn zerkało tak w stronę Ryana, ale on nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Siedząc samotnie w tętniącej życiem kawiarni, nie potrafił nic poradzić na to, że czuje się staro i kompletnie nie na miejscu.

Po upływie prawie dwudziestu minut drzwi stanęły wreszcie otworem, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza. Mężczyzna, który wszedł do lokalu, nie wyróżniał się strojem, wzrostem czy posturą, dlatego bez trudu wtopił się natychmiast w tłum. Można się jednak było spodziewać takiej wyćwiczonej anonimowości u Jonathana Harpera, człowieka z prawie dwudziestoletnim doświadczeniem w terenie. Swoją karierę rozpoczął jako młody analityk w sekcji radzieckiej, ale nie trwało to długo, zanim ten niezwykle inteligentny młody człowiek o nijakich rysach twarzy trafił do Dyrektoriatu Operacji. W połowie lat osiemdziesiątych nadzorował działania agentów za

³ Siedziba Centralnej Agencji Wywiadowczej, używana także metonimicznie na oznaczenie CIA.

żelazną kurtyną i prowadził negocjacje z tymi nielicznymi zbiegami, których pozycja w Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego czyniła z nich cenny nabytek dla CIA. Teraz, u szczytu kariery, zajmował trzecie miejsce w strukturach agencji jako zastępca dyrektora do spraw operacyjnych. Ledwie zauważalnym ruchem ręki skinął na Ryana, który natychmiast podniósł się od stolika i z kubkiem kawy w dłoni wyszedł za starszym mężczyzną na zewnątrz.

- Nieźle wyglądasz, mój drogi. Uczelniane życie chyba ci służy - zauważył Harper, kiedy ruszyli wolnym krokiem w stronę National Mail. Niebo było szarawe, a ostre powietrze zdawało się zapowiadać nietypowe jak na tę porę roku opady śniegu. Ryan zerknął na idącego po jego lewej stronie mężczyznę i doszedł do wniosku, że zostało to powiedziane szczerze. Czasami trudno było to odgadnąć, bo Harper zawsze zachowywał kamienną twarz. Ze swoimi starannie zaczesanymi na bok włosami, konserwatywnym, ale kosztownym stylem ubierania się i poważną miną, która zdawała się być na stałe wryta w jego rysach wyglądał, przynajmniej zdaniem Kealeya, bardziej jak starzejący się minister czy bankier niż oficer wywiadu.

- Nie mogę powiedzieć, że bym był nieszczęśliwy.

Harper milczał, starając się przetrwać te słowa. Rozmowa z Ryanem za każdym razem wyglądała tak samo.

- Ale założę się, że masz mnóstwo wolnego czasu.

- Zawsze znajdzie się coś do zrobienia - odparł Kealey z wahaniem. - Pracuję jako wykładowca na uczelni, a poza tym poznałem fajną dziewczynę. To całkiem niezłe życie, John - dodał, zwracając badawcze spojrzenie swoich szarych oczu na Harpera. - I warto zachodu... Dobrze, bezpieczne.

Przez chwilę szli dalej w milczeniu. Jonathan wcale nie czuł się przekonany tymi słowami. Wiedział o dwudziestoczteroletniej studentce, z którą spotykał się Ryan, podobnie jak o stanowisku wykładowcy na uniwersytecie. O tym, że pogrążył się powoli w szarości codziennego dnia, udając zainteresowanie przyziemnymi sprawami. Czekał, aż czas zatrze wspomnienia tego, co widział, może także tego, co zrobił... Zdaniem Harpera, Ryan zasługiwał na coś więcej, a poza tym musiał przecież zdawać sobie sprawę, że będą go sprawdzać. Po prostu *chciał*, żeby go

przekonać, inaczej nie zadawałby sobie trudu pokonania takiej odległości.

- Na pewno słyszałeś już o tym w wiadomościach. To jest, kurwa, nie do wiary. Atak na trzy samochody w biały dzień, a my nic nie mamy. Oczywiście, poza sześcioma martwymi cywilami, w tym jedną ciężarną kobietą, i siedemnaściorciem rannych. Media cały czas trąbią o tej sprawie, więc prezydent dobrał się nam do skóry. Najwyraźniej senator był jego bliskim przyjacielem. - Harper zadrżał lekko, kiedy w jasnopomarańczowych liściach drzew zaszeleścił rześki wiaterek. - Facet sprzątnął całą obstawę Levy'ego, Ryan. I nie mówimy tu o ludziach, którym ledwie udało się zdać egzamin do służby cywilnej. Nie wysiadali też za biurkiem, żeby tylko jakoś dotrzeć do emerytury. To byli zawodowi oficerowie, którzy przeszli do senatora z ochrony prezydenta, na miłość boską.

- Słyszałem w wiadomościach, że jedna osoba przeżyła zamach. Jakaś kobieta.

- Zgadza się, Megan Lawrence. Siedem lat w służbie. To naprawdę smutna historia - dziewczyna ma sześciolatnie dziecko, a nie dają jej właściwie żadnych szans na przeżycie. Kurewski świat. - Harper rzucił pusty kubek po kawie w stronę przepelnionego kosza na śmieci. Plastikowy pojemnik odbił się od brzegu i upadł na ziemię, a wiatr natychmiast popchnął go z powrotem na chodnik. Ubrana w kolorowy strój do joggingu kobieta przebiegła obok nich, rzucając przy tym Harperowi paskudne spojrzenie. Blond kucyk podskakiwał w rytm jej kroków. - Levy był właśnie w drodze powrotnej do Alexandrii, mieli z żoną posiadłość na Gentry Row. Droga została sprawdzona przez ochronę i zatwierdzona, ale stanowiła jedną z pięciu możliwych tras i została wybrana przypadkowo zaledwie pół godziny przed ich odjazdem spod Russell Building. Dysponujemy listą osób, które miały dostęp do tej informacji i nie jest to długi spis. FBI sprawdza każdą z nich naprawdę dokładnie. Z tego, co wiem, byli już u McLaughlina z D.C. Circuit⁴ w sprawie podsłuchu. Będziemy wiedzieli coś więcej za dzień, może dwa, jeżeli zechcą z nami współpracować przy tej sprawie.

⁴Nieformalne określenie federalnego sądu apelacyjnego dla Dystryktu Columbi.

- A tak w ogóle, to czemu zwykły senator dostał ochronę z Secret Service? Myślałem, że takimi sprawami zajmuje się raczej Capitol Hill Police?

Harper zawahał się znacząco, zanim wreszcie odpowiedział:

- Mogę ci pokazać dlaczego. Mamy pewną taśmę, nawet niejedną. I wydaje mi się, że możesz znać osobę, która przeprowadziła ten zamach.

Ta rewelacja sprawiła, że czas jakby się zatrzymał dla Ryana. Lodowate palce przesunęły się powoli od nasady kręgosłupa w górę, niebezpiecznie zbliżając się do jego gardła, aby zacisnąć się na nim w przerażającym uścisku. Na chwilę stracił poczucie rzeczywistości, ale równie szybko wrażenie to minęło.

- Obejrzyj te taśmy, Ryan. - Harper poklepał go po ramieniu uspokajająco. - Obejrzyj je i powiedz mi, co o tym myślisz. Nic więcej.

Obaj mężczyźni ruszyli z powrotem w stronę kawiarni. Harper winszował sobie w myślach zręcznego załatwienia całej sprawy, podczas gdy Kealey zanurzył się w innym, znacznie bardziej przerażającym świecie.

ROZDZIAŁ 3

WASZYNGTON

Pomimo iż stolica kraju była siedzibą wielu renomowanych zakładów opieki zdrowotnej, wliczając w to Georgetown University Hospital, jedyny oddział poparzeń dla dorosłych na terenie metropolii mieści się w Washington Hospital Center przy Irving Street. W ciągu czterdziestu pięciu minut od ataku raketowego wszystkie ofiary, poza trzema osobami, zostały skierowane, bezpośrednio lub poprzez inne placówki, do tego centrum. Znalazła się tam także Megan Lawrence, jedyna agentka Secret Service, która przeżyła zamach.

Naomi Kharmai ze znużeniem wspięła się po zniszczonych kamiennych stopniach, stanowiącymi kompletne przeciwieństwo nowoczesnego budynku, do którego prowadziły. Naomi spędziła cały ranek w sądzie, rozmawiając z przypadkowymi świadkami, którzy nie widzieli ani nie słyszeli nic, co mogłoby być naprawdę przydatne dla niej samej albo, co ważniejsze, dla jej bezpośredniego przełożonego. Chmury pojawiły się na niebie, które było teraz jedną białą taflą, już wcześniej tego dnia. Naomi czuła na plecach ciepłe promienie słabego słońca, co nieco poprawiło jej nastrój, kiedy wkraczała do budynku głównym wejściem, odprowadzana uważnym spojrzeniem strażnika.

Interesowały ją tylko dodatkowe informacje na temat zamachu, nic więcej. Nie dręczyły jej obrazy strasznych obrażeń, jakich doznało wielu świadków ani myśl o ich cierpieniach, po prostu brak postępów w śledztwie był dla niej wielkim rozczarowaniem.

Wjechawszy windą na czwarte piętro, poprosiła o zgodę na odwiedzinę u Megan Lawrence. Nieco naginając prawdę, a cza-

sami uciekając się wręcz do kłamstwa, zdołała się uporać z całą serią pytań i wypełnianiem odpowiednich dokumentów, po czym została wreszcie zaprowadzona do pokoju agentki.

- Jej obrażenia są naprawdę poważne - wyjaśnił zmęczony młody lekarz przyciszonym tonem, chociaż w zasięgu wzroku nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. - W następstwie uderzenia o chodnik doszło do wieloodłamowego złamania kości czaszki, ale jakimś cudem pacjentka doznała jedynie lekkiego wstrząśnienia mózgu. To akurat najmniej groźne obrażenia. Ponad trzydzieści procent jej ciała uległo poparzeniom trzeciego stopnia, sięgających aż do tkanki podskórnej. Obejmują głównie klatkę piersiową i ramiona, a także uda. Zakończenia nerwowe zostały spalone, więc początkowo ofiara nie czuła wielkiego bólu... Jednak w poniedziałek zaczęła odczuwać skutki tych uszkodzeń. Od dwóch dni dostaje kroplówkę z morfiną.

- Przeżyje?

Lekarz pokręcił powoli głową i odwrócił wzrok.

- Chemikalia zawarte w głowicy pocisku mają podobne działanie jak biały fosfor - powiedział wreszcie. Kharmai znała statystyki dotyczące tej konkretnej substancji, ale nie zamierzała się z tym zdradzać. - Wystąpiły u niej pierwsze objawy zapalenia szpiku kości szczęki, niezwykle rzadkiego schorzenia wywołanego głównie wystawieniem organizmu na wysoce toksyczne chemikalia. Trójetyloglin, który został wtedy uwolniony, utlenia się w powietrzu, a jego cząsteczki żarzą się nawet po wniknięciu w tkankę nabłonkową, może więc pani sobie wyobrazić, jak bolesne są te obrażenia. Substancje chemiczne spowodowały również nieodwracalne uszkodzenie wątroby i nerek, ale szczerze mówiąc, zostało jej tak niewiele życia, że nie ma to żadnego znaczenia.

Naomi pomyślała, że gdyby naprawdę była krewną Megan Lawrence, tak jak wpisała w formularzach, ta szczerza analiza stanu pacjentki przyprawiłaby ją z pewnością o atak hysterii. Jej podejrzenia potwierdziły się, kiedy pokazała swoją legitymację agentowi Secret Service siedzącemu przed drzwiami sali, a lekarz wcale nie wyglądał na zaskoczonego. *Skąd wiedział, kim jestem?*, zastanawiała się gniewnie. Miała nadzieję, że informacje o jej wizycie nie przedostaną się do prasy, ale przed samą sobą

musiała jednak przyznać, że zapewne trafi to do publicznej wiadomości w przeciągu najbliższej godziny. Przesłuchanie Lawrence było najważniejszym punktem dnia i nie mogła tego potraktować pobieżnie tylko dlatego, że wolałaby uniknąć spotkania z reporterami.

- Proszę zaczekać - powiedział młody lekarz, odciągając ją na bok, zanim zdążyła otworzyć drzwi do sali. - Nie wiem, czy ma pani doświadczenie z tego typu przypadkami, ale to, co pani zrobi zaraz po wejściu, ma tu ogromne znaczenie. Ona będzie się starała zorientować po pani reakcji, jaki jest jej stan. Zna, co prawda, rokowania, ale nie trzeba jej o tym przypominać za każdym razem, kiedy ktoś tam wchodzi.

Naomi skinęła krótko głową i skierowała się szybkim krokiem do drzwi, zostawiając lekarza za sobą.

Siedzący przed salą agent wszedł razem z nią, żeby przysłuchiwać się całej rozmowie. Pomimo ostrzeżeń Naomi nie potrafiła zapanować nad przerażoną miną. Leżąca na łóżku postać prawie nie przypominała istoty ludzkiej, bo jej ciemnoczerwone ciało i twarz były tak spalone, że wydawały się niemal suche. W powietrzu unosił się uporczywy odór czosnku, a Naomi dobrze wiedziała, że jest to rezultat nekrozy toczącej głębokie warstwy skóry. Chociaż najgorzej poparzone części ciała kobiety okrywały białe sterylne opatrunki nasączone solą fizjologiczną, Kharmai bez trudu zorientowała się, że nigdy w życiu nie miała do czynienia z gorszymi obrażeniami.

- Agentka Lawrence? Nazywam się Naomi Kharmai. Pracuję dla CIA i chciałabym z panią porozmawiać na temat zabójstwa senatora Levy'ego.

- Złożyłam już kompletny raport swoim przełożonym, podobnie jak FBI. Policjanci z Capitol Hill też byli przy tym obecni. Chyba powinniście się wymieniać z nimi informacjami? - zapytała z rezygnacją Megan.

Z powodu obrażeń szczęki wymawiała słowa niewyraźnie, ale Naomi nadal słyszała w jej głosie liryczny, melodyjny ton. Pomyślała nawet, że kilka dni wcześniej słuchanie tej kobiety byłoby zapewne wielką przyjemnością.

- Przykro mi, agentko Lawrence, ale wie pani, jak to jest. Będziemy potrzebowali relacji z pierwszej ręki, poza tym mam

ze sobą kilka zdjęć i chciaabym, żeby rzuciła pani na nie okiem.
- Naomi liczyła na to, że zwracając się do rannej „agentko”, odwoła się do jej profesjonalizmu, ale zabrzmiało to po prostu protekcyjnie.

- Przepraszam - Megan próbowała się jeszcze bronić - może porozmawiamy później, nie czuję się...

- Niestety, później nie będę miała czasu, więc gdyby zechciała pani jednak...

- Czasu? - przerwała Megan, a w zniekształconych rysach jej twarzy odbiło się niedowierzanie. Wsparty o ścianę tuż przy drzwiach mężczyzna wyprostował odrobinę plecy, słysząc ton jej głosu. - Chcesz rozmawiać ze mną o *czasie*? - krzyknęła Lawrence. Niewyraźna wymowa zniknęła, a wypowiedziane dobitnie słowa odbijały się echem od czystych białych ścian. - *Ty* masz przed sobą tyle czasu, ile zechcesz! Ja nigdy nie opuszczę tego pokoju żywa, a moja córka wkrótce straci matkę. Nie ma *nikogo innego* poza mną! - Megan opadła z powrotem na poduszki. Jej gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił. Własne słowa przypomniały jej na nowo tragizm całej sytuacji, a świadomość nieuchronności losu paliła o wiele dotkliwiej niż jakikolwiek fizyczny ból, który mogłyby sprawić łyzy spływające po jej okaleczonej twarzy.

Stojący do tej pory w kącie potężny agent, przemierzył pokój trzema szybkimi krokami i bezceremonialnie chwycił Naomi za ramię, wyprowadził ją z pokoju. Pomimo jej wściekłych protestów, z którymi zlewał się dobiegający z sali szloch Megan, pociągnął ją korytarzem w stronę wyjścia z budynku i dopiero tam zwolnił uścisk.

Na zewnątrz padał śnieg, pierwszy znak wczesnej zimy, która nadeszła w październiku. Naomi stała przez dłuższą chwilę bez ruchu, w końcu jednak zeszła z chodnika i gniewnym krokiem ruszyła w stronę swojego samochodu. W tym momencie za jej plecami otworzyły się drzwi i ktoś zawołał za nią głośno. Obejrzała się.

- Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć - powiedział młody lekarz z czwartego piętra. Naomi czekała niecierpliwie na dalszy ciąg. - Został jej niecały tydzień życia. Jej mąż zmarł trzy lata temu, a ona już nigdy więcej nie zobaczy swojej córeczki, bo nie

chce, żeby ten obraz był ostatnim wspomnieniem dziewczynki o matce.

Lekarz wpatrywał się w twarz Kharmai na tyle długo, by w końcu uświadomić sobie, że ta informacja jest jej najzupełniej obojętna. Wtedy bez słowa odwrócił się i uciekając przed chłodem, wrócił do budynku, żeby dotrzeć do końca dyżuru.

ROZDZIAŁ 4

LANGLEY, WIRGINIA

Kealey stał przed całym rzędem monitorów i sprzętu audio w zaciemnionym pokoju należącym do Dyrektoriatu Nauki i Techniki. Na szyi miał zawieszoną przepustkę gościa, podającą jedynie jego numer, chociaż na jej laminowanej powierzchni znajdowało się także jego zdjęcie, zrobione trzy lata temu. Zatłoczoną przestrzeń zajmowali młodzi analitycy opracowujący różne dane, sprawdzający rzędy cyfr albo od czasu do czasu wymieniający półgłosem nad styropianowymi kubkami z zimną kawą kilka zdań. Tkwiący u boku głównego analityka, Rogera Davidsona, Ryan Kealey zanurzył się w tej atmosferze anonimowości, która zdawała się spowijać salę.

- Dobra, ta kopia dotarła do nas w czerwcu 2003 roku za pośrednictwem Saudyjczyków - Bóg jeden wie, jak ją zdobyli. Po raz pierwszy wyemitowana przez Al-Dżazirę, zawiera typowy przekaz, więc początkowo nikt nie zwrócił na nią większej uwagi. To religijne przesłanie - ogłoszenie fatwy - nagrane na standardowym sprzęcie, przyzwoita rozdzielczość. Pamiętaj, że interesuje nas dalszy plan... To nie jest taśma z obserwacji, więc nie musimy przeprowadzać kompresji. No i dostaliśmy to, czego szukaliśmy, wystarczyło tylko wyostrzyć ten fragment, o tutaj - widzisz?

Analityk wprowadził szybko jakieś dane na klawiaturze laptopa i róg ekranu drugiego monitora pociemniał, ukazując niewielką grupkę ludzi. Niektórzy z nich czytali coś, co zdaniem Kealeya wyglądało jak odręcznie napisany wojskowy podręcznik polowy, podczas gdy inni rozkładali i czyścili broń.

- Zauważyłeś? - zapytał Davidson. - Dobra, taśma została nagrana w południe, przynajmniej według kodu czasowego. Moi technicy przysięgają na wszystkie świętości, że nie został zmieniony, więc na razie przyjmujemy to za fakt. Początkowo nie było widać tych ludzi z powodu oślepiającego światła, więc musieliśmy...

Ryan nie słuchał już jego tłumaczeń, pochyliwszy się lekko, żeby przyjrzeć się uważnie nagraniu. Grupka mężczyzn siedziała na piasku pod prowizoryczną osłoną z kawałka zniszczonego płótna przytwierdzonego do drewnianych pali. W większości przypadków byli to ludzie pochodzenia arabskiego, ubrani w ciemne luźne stroje i udrapowane szaty, pokryte brudem i kurzem. Wszyscy mieli też na głowach tradycyjne kufie, nie wyłączając odwróconego częściowo plecami do kamery mężczyzny o jasnych, rozświetlonych słońcem włosach, wystających spod materiału. Stał pod takim kątem, że nie było widać jego twarzy, tylko czystą, prostą linię szczęki, której nie zdołała zamaskować nawet gęsta broda.

Ryan Kealey wpatrywał się w kadr przez dłuższą chwilę.

Kiedy się wreszcie odwrócił, zauważył, że Davidson obserwuje go z zadowolonym uśmiechem na twarzy.

- Harper mówił, że od razu to wyłapiesz - powiedział analityk, stukając palcem w obraz na ekranie. - Nie wydaje mi się, żeby facet przypadkiem stanął plecami do kamery. Jest o wiele bardziej zdyscyplinowany niż reszta, pewnie dlatego, że ktoś ma gdzieś na niego jakieś akta. Twardy zawodnik, ale nie zawsze pamiętał o zachowaniu ostrożności. Pokażę ci coś.

Davidson zatrzymał obraz na ekranie i puścił inny fragment taśmy na kolejnym z wielu płaskoekranowych monitorów.

- To kopia taśmy znalezionej na przelęczy Chajber cztery miesiące temu. Oryginał został mocno uszkodzony przez ogień, prawdopodobnie próbowano go w ten sposób zniszczyć. Prawie im się udało, ale zdołaliśmy odzyskać około czterech minut przerywanego materiału.

Wygląda to na spotkanie wysokiego szczebla pomniejszych przywódców Al-Kaidy i członków *maj lis al shury*, rady zarządzającej. Choć nie ma tu czasu ani daty nagrania, sądzimy, że taśma powstała na długo *po* jedenastym września, bo zdaniem

naszego wywiadu ten człowiek, Abu Musab al-Zarkawi, zajmował się rekrutowaniem ludzi w północnym Iraku do organizacji Ansar al-Islam jeszcze na początku 2002 roku. Ostatni raz widziano go w maju tegoż roku, kiedy to kapitan armii pakistańskiej zauważył w Peszawarze najprawdopodobniej właśnie jego...

Całkowicie skupiony na ekranie monitora Kealey równie dobrze mógłby być w sali sam. W tym momencie człowiek rozmawiający z al-Zarkawim spojrzął przelotnie w kierunku kamery. Twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu, ale spojrzenie płonących zielonych oczu zdawało się przenikać szkło, jakby mężczyzna dostrzegł starego znajomego poprzez zatłoczony pokój.

- Skurwysyn - mruknął Kealey pod nosem, a potem odwrócił się w stronę Davidsona, gwałtownie przerywając jego beznamietny komentarz. - Zobaczyłem już dosyć. Zaprowadź mnie do Harpera.

Siedząc w gabinecie zastępcy dyrektora na szóstym piętrze, Ryan widział ponad lekko ośnieżonymi czubkami drzew rozciągający się w oddali Potomac. Widok wody przywołał wspomnienie starego domu w Cape Elizabeth. Nagle ogarnęła go ochota, żeby zadzwonić do Katie. Ale czy w ogóle podniosłaby słuchawkę? Potrafiła naprawdę długo chować urazę, jak ku swojemu rozczarowaniu zdążył się już przekonać w kilku innych sytuacjach...

- Ryan, rozumiem, że czujesz się na siłach, żeby w to wejść? - zapytał Harper. Wyrwany z zamyślenia Kealey skupił całą swoją uwagę na rozmówcy.

- Na tej taśmie był March, John. Jestem tego pewien. Ale czy uda się nam powiązać go z tym zamachem to już zupełnie inna sprawa. Przydałoby się znaleźć paru świadków, z którymi moglibyśmy porozmawiać. Jeśli ich historie będą się pokrywały, mielibyśmy od czego zacząć.

Harper przytaknął ruchem głowy, po czym odwrócił się w stronę jedynej poza nimi osoby, przebywającej teraz w gabinecie, drobnej, młodej kobiety, która siedziała po przeciwnej stronie stolika.

- Czego udało ci się dowiedzieć, Naomi?
- Cywile nie mieli nic nowego do dodania, ale ludzie z Secret Service rozmawiali już ze swoją agentką, która ochraniała

senatora. Przekazali mi kopię jej zeznań. Widziała zamachowca tylko przez krótką chwilę, ale wystarczająco długo, żeby potwierdzić podany przez innych świadków opis. Mężczyzna rasy białej, dwadzieścia kilka, trzydzieści lat, średniego wzrostu, szczupłej budowy ciała. Co jednak ważniejsze, jako jedyna była na tyle pewna tego, co widziała, żeby wybrać podejrzanego spośród przedstawionych jej fotografii. Iran nie ma oczywiście własnej placówki dyplomatycznej w Waszyngtonie, ale w obrębie ambasady Pakistanu działa ich grupa nacisku. Już w pięć minut po ataku nasi ludzie podjęli obserwację budynku. Nie zauważono zwiększonego ruchu.

I to jest właśnie niedobra wiadomość. Trudno będzie powiązać tę sprawę z reżimem w Teheranie. Jednak to możliwe, wręcz bardzo prawdopodobne, że nowy rząd ma bezpośrednie powiązania z Al-Kaidą. Jeśli uda się nam do czegoś dokopać, będziemy mogli wręczyć ONZ irańskie władze na tacy.

Kiedy Kharmai skończyła, Harper, do tej pory wyglądający w zamyśleniu przez okno, obrócił się na krześle.

- Dziękuję, Naomi. - Skinął lekko głową, obdarzając podwładną uprzejmym uśmiechem. - Mogłabyś zostawić nas teraz na chwilę samych?

Kobieta siedziała przez chwilę bez ruchu, po czym wstała, nawet nie spojrzawszy w kierunku Kealeya.

- Tak jest.

- Rozumiem, że dziewczyna ma upoważnienie, żeby pracować nad tą sprawą - odezwał się Ryan, gdy tylko zniknęła za drzwiami, zamykając je może nawet odrobinę mocniej niż było to konieczne. Z drugiej ich strony zapaliła się czerwona lampka, sygnalizująca, że nie należy przeszkadzać w rozmowie.

Harper skinął ze znużeniem głową.

- To Naomi Kharmai. Z tego, co słyszałem, jest wschodzącą gwiazdą w CTC. - Mówił o Counter-Terrorist Center, centrum antyterrorystyczne CIA. - Kończy doktorat z psychologii na George Washington University. Pochodzi z Londynu, ale włada biegle czterema językami, wliczając w to arabski i farsi. Dlatego właśnie została przydzielona do tej sprawy. W innym przypadku wybrałbym raczej kogoś z większym doświadczeniem.

Ryan nie był zaskoczony informacją, że Kharmai pochodzi z Wielkiej Brytanii. Zdradzał ją akcent, ale były też inne

czynnikami, które należało wziąć pod uwagę. Chociaż CIA często polegało na zagranicznych współpracownikach, jeśli chodzi o zdobywanie informacji, to zatrudniało także, zwłaszcza ostatnimi czasy, wielu cudzoziemców jako etatowych pracowników w samym Langley. Przechodzili oni oczywiście niezwykle ostrą kontrolę pod względem spełniania wymogów bezpieczeństwa, zanim w ogóle zaproponowano im stanowisko. Poza tym nawet wtedy byli okresowo sprawdzani przez wewnętrzne Biuro Bezpieczeństwa, choć większość z nich nie miała pojęcia, że są inwigilowani przez swojego pracodawcę, bez względu na ich pozycję czy staż pracy.

- Czy muszę pytać, kogo zidentyfikowała Lawrence?

Harper potrząsnął głową, po czym popchnął w jego stronę fotografię dużego formatu. Ryan wziął ją do ręki i popatrzył na tę samą twarz, co na taśmach wideo. Twarz mężczyzny, którego znał jako Jasona Marcha.

- Oczywiście, wiedzieliśmy o tym już od jakiegoś czasu - dodał Harper. - Jest tego więcej. Jeden z naszych ludzi był w jednostce sił specjalnych, która sprawdzała te jaskinie. Oprócz taśmy znalazł też częściowo spalone papiery, które natychmiast zostały przesłane do naszej ambasady w Londynie. Technikom nie udało się odzyskać z tego wiele, ale senator był tam wymieniany jako potencjalny cel zamachu. To wystarczyło, żeby przydzielić mu ochronę, chociaż jak widać, na niewiele się to zdało.

Jeżeli za wszystkim rzeczywiście stoi March, to mamy poważne problemy, Ryan. Wyobrażasz sobie reakcję opinii publicznej, kiedy rozejdzie się wiadomość, że obywatel Stanów Zjednoczonych zaszedł tak wysoko w strukturach Al-Kaidy? Zapanuje po prostu chaos. A media będą miały używanie... Przy tym facecie John Lindh⁵ wygląda jak skaut. - Jonathan zamyślił się na chwilę, postukując przy tym miarowo długopisem w gładką powierzchnię swojego biurka. - Kharmai jest całkiem bystra - odezwał się w końcu. - To spory przeskok, od Iranu do Al-Kaidy, a ona nie wie przecież nic na temat Marcha i jego udziału w tej sprawie, jeśli rzeczywiście był w to zamieszany.

⁵ Amerykański obywatel schwytyany w 2001 roku podczas inwazji w Afganistanie, gdzie walczył po stronie talibów.

- Powiedziałbym, że to więcej niż pewne, John - mruknął Ryan. - I bez wątpienia jest to powód do niepokoju. Jak już zauważyłeś, ludzie z Al-Kaidy znali nazwisko senatora, a tak się złożyło, że Levy był też najbardziej zdeklarowanym przeciwnikiem irańskich fundamentalistów. Jeżeli nowy reżim wspiera bezpośrednio Al-Kaidę, to będą mieli dostęp do pieniędzy i najnowszych technologii niezbędnych do podjęcia przerwanych działań.

- A to oznacza, że czekają nas naprawdę poważne kłopoty - dokończył Harper. - Coś mi się zdaje, że March mógłby nam teraz opowiedzieć sporo ciekawych rzeczy - mruknął, odwracając się w stronę swojego rozmówcy. - Gdzie on teraz jest?

- Za granicą, bez dwóch zdań. - Odpowiedź Ryana była szybka i stanowcza. - Na pewno miał już wcześniej wszystko przygotowane. Musiał wiedzieć, że kiedy go zidentyfikujemy, nie uda mu się wydostać z kraju legalną drogą. Z drugiej strony i tak pewnie nie wybrałby takiego rozwiązania.

Przecież to w ogóle brzmi nieprawdopodobnie - zamach na dobrze strzeżonego polityka w Waszyngtonie, do tego w biały dzień. Na pewno wiązało się z tym spore ryzyko, ale wokół jest mnóstwo różnych stacji metra, wliczając w to jedną zaraz za Smithsonian. Do diabła, z samego tylko Union Station miał co najmniej osiem możliwości opuszczenia miasta. Liczył pewnie na to, że w centrum będzie sporo turystów, nawet pomimo paskudnej pogody, a poza tym wybrał sobie punkt już poza linią ochrony Białego Domu. Pewnie dokładnie sprawdził rozmieszczenie zespołów snajperskich, przynajmniej tych, które mają stałe pozycje. Może ktoś dostarczył mu te informacje... Trudno powiedzieć. W każdym razie nie zaniedbał niczego. Nie masz co liczyć na to, że zaczniesz popełniać błędy.

ROZDZIAŁ 5

IRAN

Wsparta o najnowszy model rangę rovera młoda kobieta, wpatrująca się w nocne niebo, zadrżała lekko muskana chłodnym powietrzem. Pośród rozproszonych chmur widać już było zbliżający się niewielki samolot. Kobieta miała na sobie długi czador, stanowiący tutaj tradycyjny strój, natomiast bujnych czarnych włosów otaczających owal jej twarzy nie skrywało żadne nakrycie głowy. To niewielkie naruszenie rygorystycznych obyczajów dotyczących ubioru, jakie obowiązywały w tym kraju, nie miało jednak większego znaczenia na tym pustkowiu. Prowizoryczne lądowisko znajdowało się prawie pięć kilometrów od rzeki Atrek, przecinającej wymarłe przybrzeżne równiny Morza Kaspijskiego. Ten region Iranu był właściwie pozbawiony siedzib ludzkich, więc stanowił idealne miejsce dla starzejącej się Cessny, która właśnie podchodziła do lądowania, wystartowawszy na podstawie fałszywego programu lotu trzy godziny wcześniej z Azerbejdżanu.

Gdy tylko samolot zatrzymał się na ubitej ziemi pasa startowego, otwarto drzwi i pojawił się w nich mężczyzna z workiem marynarskim w ręku. Kobieta obserwowała z zainteresowaniem, jak jedyny pasażer ostrożnie wysiada ze znajdującej się dosyć wysoko nad ziemią kabiny, a potem idzie w jej kierunku, przemierzając bez jakiegokolwiek wysiłku zdradzieczą powierzchnię piasków pustyni rażnym, pewnym krokiem. Sądząc po jego młodym wyglądzie, mógł mieć najwyżej trzydzieści, trzydzieści kilka lat.

- Witaj - przywitała go po angielsku, a potem szybko rzuciła w farsi: - Nazywam się Negin. Zabiorę cię w dalszą drogę.

Otrzymałam polecenie, aby zapytać cię, czy masz ze sobą broń - po przybyciu na miejsce i tak zostaniesz przeszukany.

- Jestem nieuzbrojony. Jak daleko? - zapytał mężczyzna.

Chociaż uprzedzono ją, że przybysz zna farsi, było odrobinę niepokojące usłyszeć, jak cudzoziemiec mówi płynnie w jej ojczystym języku.

- Niecałe dwie godziny stąd. Czekają już na ciebie - wyjaśniła.

Piętnaście minut później range rover opuścił ciemny bezkres pustyni i skręcił na popękany asfalt głównej drogi prowadzącej do Meszhedu. Auto pędziło na wschód w stronę świętego miasta, podczas gdy wysoko na niebie płonęły jasne gwiazdy.

Meszhed to stolica a jednocześnie największe miasto stanu Chorasán, liczącego sobie około dwóch milionów mieszkańców. Jego gospodarze nie mogli wybrać na to spotkanie lepszej lokalizacji, uznał March, bo nazwa miasta znaczyła dosłownie „miejsce męczeństwa”. Trudno by też znaleźć społeczność bardziej wrogo nastawioną do kultury Zachodu. Chociaż nigdy nie wątpił w swoje umiejętności czy zdolność przetrwania w najbardziej nawet niesprzyjających warunkach, mógłby się poważnie obawiać o własne bezpieczeństwo, gdyby nie obecność tych siedzących wokół prostego drewnianego stołu mężczyzn, przed których obliczem stanął.

Nagle przyszła mu do głowy zabawna myśl: pomimo wszystkich tych potworności, jakich dopuścił się ostatnio, dyrektor CIA pewnie powitałby go na lotnisku z otwartymi ramionami i walizką pełną pieniędzy, gdyby tylko zechciał zdradzić ludzi znajdujących się w tym pokoju. Rzucane w jego stronę podejrzliwe spojrzenia upewniły go, że nie tylko on wyobraził sobie taki scenariusz.

W większości przypadków zgromadzeni czuli się jednak niezręcznie, napotkawszy jego wzrok, i szybko odwracali oczy, wbijając spojrzenie w leżące na stole notatniki albo w odległy kąt izby.

Tak naprawdę nie nazywał się Jason March i nie znano go tutaj pod tym nazwiskiem, ale od lat wiązano go najczęściej z tym właśnie pseudonimem. Siedem lat temu, na górującym ponad syryjskim wybrzeżem wzgórzu, udowodnił swoją lojalność wobec tych ludzi i ich sprawy. Żaden z mężczyzn nie miał

jednak o tym pojęcia, a on nie zamierzał dzielić się z nimi tą informacją. Wiedzieli o nim naprawdę niewiele ponad to, że potrafi doprowadzić do końca każdą misję. Było to jedyne stwierdzenie dotyczące Amerykanina, które nigdy nie budziło żadnych wątpliwości.

- Wiele osiągnąłeś w Waszyngtonie, mój przyjacielu. Ufam, że człowiek, z którym cię skontaktowaliśmy, spełnił twoje oczekiwania. - Mężczyzna wypowiadający te słowa był z pochodzenia Egipcjaninem i nazywał się Mustafa Hassan Hamza. Pomimo iż w 1981 roku egipski rząd skazał go zaocznie na karę śmierci, Hamza nadal działał aktywnie w szeregach organizacji. Po inwazji wojsk amerykańskich na Afganistan pod koniec 2001 roku ledwie uszedł z życiem, pośpiesznie opuszczając kraj. W wyniku zdziśiatkowania szeregów Al-Kaidy, do którego doszło potem, szybko awansował i pełnił teraz funkcję zastępcy głównego dowódcy w siatce islamskiego terroru.

- Byłem pod wrażeniem skuteczności i poświęcenia waszego źródła - odparł szczerze March. Rzadko można było usłyszeć z jego ust taki komplement. - Szkoda, że najprawdopodobniej zostanie wykryty przez FBI, zresztą zapewne już to nastąpiło. Oni też potrafią być całkiem skuteczni.

- Masz jakieś rekomendacje? - zapytał Egipcjanin.

- Poprzez naszego wspólnego przyjaciela z RPA zapewniłem waszemu informatorowi możliwość uniknięcia aresztowania. Jak już mówiłem wcześniej, wydaje mi się, że nie będziecie rozczarowani jego oddaniem dla waszej organizacji.

Hamza popatrzył na siedzącego przed nim mężczyznę z rosnącym uznaniem. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak wielkie to szczęście mieć do swojej dyspozycji tak potężną broń, nie mówiąc już o nieodłącznym aspekcie propagandowym faktu, że Amerykanin walczy przeciwko własnemu krajowi. Mimo wszystko brak wiedzy na temat przeszłości tego mężczyzny ciągle go martwił. Jak długo można popełniać zdradę na tak wielką skalę, zanim dopadną człowieka wyrzuty sumienia?

Od czasu do czasu dręczyła go jeszcze inna myśl, chociaż prawie udało mu się jej pozbyć: jak daleko byłiby się w stanie posunąć Amerykanie, byle tylko umieścić swojego człowieka w jego organizacji? Nie sądził co prawda, żeby zdecydowali się

zabić jednego ze swoich zachłannych polityków, ale gdzieś w głębi ducha wiedział, że może być inaczej. Te wątpliwości ciągle nie dawały mu spokoju. W obrębie zachodnich służb wywiadowczych byli przecież ludzie tak bardzo mu podobni, nie uznający żadnych praw czy nakazów moralności. Hamza często powtarzał swoim podwładnym, że tych kilka wyjątkowych jednostek stanowi większe zagrożenie dla ich organizacji niż zjednoczone siły wszystkich amerykańskich wojsk.

Nie zamierzał jednak zdradzać się z tymi myślami przed przybyciem, zamiast tego zachowując kamienną twarz. W końcu zwrócił się do siedzącego po drugiej stronie mężczyzny, który nie odezwał się nawet słowem podczas całego spotkania.

- Panie ministrze, dziękuję za zaszczytowanie nas dzisiaj pańską obecnością. Zdaje się, że ma pan jakieś informacje do przekazania?

Mazaheri, świeżo mianowany minister do spraw wywiadu i bezpieczeństwa, skinął głową, po czym zwrócił się do całej grupy, popatrując bacznie na każdego ze zgromadzonych w izbie mężczyzn zza swoich okularów w prostych, stalowych oprawkach.

- Jego Ekscelencja jest niezwykle zadowolony z tego, co udało się wam do tej pory osiągnąć. Oskarżenia Amerykanów wielce go zagniewały, toteż pragnie wam podziękować za podjęte przeciwko nim działania. Jutro wyda także oświadczenie, ogłaszając swój zamiar ponownego otwarcia zakładów nuklearnych w Natanz. - Ta informacja wywołała głosy aprobaty niewielkiej grupki zgromadzonych wokół stołu mężczyzn, tych nielicznych, którzy cieszyli się na tyle dużym zaufaniem, by usłyszeć o takim rozwoju sytuacji. - Oczywiście, produkcja jest już w toku. Niedawno zainstalowane gazowe wirówki znacznie przyspieszyły tempo procesu wzbogacania uranu, a w naszym reaktorze ciężkowodnym w Araku powstaje pluton nadający się do wykorzystania przy budowie broni.

Natknęliśmy się jednak na trudności. IAEA⁶ ma pewne podejrzenia, zresztą już nie po raz pierwszy, i domaga się wstępu do naszych zakładów na południu. Ta idea zyskuje coraz większe

⁶ International Atomic Energy Agency - Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej działająca w obrębie ONZ.

poparcie w ONZ. El-Baradei potrafi być bardzo uparty. Co więcej, musimy sprowadzać z zagranicy niektóre z komponentów potrzebnych do budowy bloku grafitowego i prętów paliwowych. Trudno będzie wwieźć te materiały do kraju, nie wzbudzając przy tym podejrzeń Amerykanów. - Irańczyk pochylił się do przodu i oparł dłonie na chropowatym blacie stołu. Kiedy odezwał się znowu, jego twarz wykrzywiła nienawiść. - Ta nowa rezolucja, którą wydał Zachód, opóźni nasz program o co najmniej dziesięć lat, jeżeli w ogóle będziemy w stanie go kontynuować. Przez tyle lat zdołaliśmy przetrwać tylko dzięki chciwości europejskich firm paliwowych, które regularnie łamały amerykańskie sankcje. Teraz wygląda na to, że Francuzi zamierzają się im jednak podporządkować, podobnie jak Włosi...

Zdaniem mojego rządu jest tylko jedna droga, żeby odwieść ich od zamysłu poparcia ostatnich uchwał.

Hamza przyjął te słowa w milczeniu. Pogładził tylko palcami swoje gęste czarne wąsy, zastanawiając się jednocześnie nad stwierdzeniem ministra.

- Atak na ogromną skalę na amerykańskiej ziemi. Śmierć wielu Amerykanów. Obszerne relacje w mediach i ostry sprzeciw opinii publicznej. To są rzeczy potrzebne, aby spowodować rozłam, nagiąć ich wolę - powiedział w końcu.

Ali Vahid Mazaheri przytaknął ruchem głowy.

- Co proponujesz?

- Jest wiele możliwości - zaczął Hamza. - Po pierwsze trzeba znaleźć odpowiedni cel. Wszystko od tego zależy. Decydujące uderzenie rozbije koalicję, jednak możemy potrzebować wsparcia Jego Ekscelencji w przeprowadzeniu takiej operacji. Wasz rząd zdążył się już przekonać, jak skuteczna potrafi być Al-Kaida, nawet w obecnym, osłabionym stanie - powiedział, a potem skinął z szacunkiem w stronę Amerykanina. - Nasz zachodni przyjaciel naraził się na wiele niebezpieczeństw, aby znowu mówić o nas cały świat. Szybkość działania jest w tym przypadku niezbędna, jeżeli chcemy spowodować zamęt pośród amerykańskich przywódców.

- Interesująca propozycja. - Minister pochylił lekko głowę, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. - Czego potrzebujecie?

- Na razie nic. Jedynie waszego wsparcia.

- Możecie na nie liczyć. Mój naród jest waszym dłużnikiem, a dług ten zostanie wam spłacony po wielokroć. Przekażę twoje słowa Jego Ekscelencji.

- Jestem ci za to wdzięczny. Nie wątpię, że obie strony odniosą korzyść z naszego porozumienia. - Hamza uśmiechnął się i wstał. Irański minister natychmiast poszedł w jego ślady. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym objęli się jeszcze mocno, wywołując tym spontaniczny wybuch wiwatów pośród zgromadzonej wokół stołu grupy.

Jason March stał z boku. Twarz miał zupełnie wypraną z emocji, w środku czuł jednak wzbierającą falę przyjemnego podniecenia, kiedy wyobraził sobie płonący Waszyngton. Wizja ognia buchającego z okien Białego Domu była tak realistyczna, że Hamza musiał powtórzyć jego imię kilka razy, zanim March wrócił do rzeczywistości.

- Tak, o co chodzi?

Hamza zmarszczył lekko brwi, słysząc ton jego głosu. W końcu nadal był to zdrajca swojej ojczyzny. Człowiek, który raz przeszedł na drugą stronę, może to uczynić ponownie. Hamza chciał sprawdzić lojalność Marcha i żeby to zrobić, zamierzał podjąć ogromne ryzyko.

- Chodź ze mną. Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

Stary ford cortina przemierzał spokojnie spowite mrokiem ulice Meszhedu, zatrzymując się w różnych miejscach, czasami nawet na kilka minut, aby znowu ruszyć niespodziewanie ostrym zrywem. Pomimo iż setki ochotników z radością przyjęłoby możliwość wożenia go po mieście, Hassan Hamza ufał wyłącznie swojemu instynktowi, zresztą nie bez racji. Widział już wielu doświadczonych bojowników ginących z rąk żołnierzy amerykańskich sił specjalnych tylko dlatego, że nie zachowali wystarczającej ostrożności, tak jak tego wymagała ich profesja. Siedzący obok niego Amerykanin nie odezwał się nawet słowem od momentu opuszczenia przez nich ściśle strzeżonej piętrowej rezydencji na północny zachód od centrum miasta. Hamza zastanawiał się cały czas, jakie też myśli kłębią się w głowie jego towarzysza.

Po upływie czterdziestu pięciu minut uznał w końcu, że nikt ich nie śledzi. Nie odważyłby się zorganizować takiego spotkania

w żadnym mieście Afganistanu, ale w tej części północno-wschodniego Iranu czuł się całkiem bezpieczny. Skręciwszy gwałtownie w zakurzoną alejkę, zatrzymał samochód pomiędzy budynkami z jasnego kamienia.

- Chodź ze mną. Nie musisz się o nic martwić - zapewnił Amerykanina, a potem wręczył mu wełnianą kominiarkę.

- Załóż to.

March posłusznie zakrył swoje blond włosy, które z pewnością zwróciłyby natychmiast uwagę kogoś spośród licznych mieszkańców ciasnych uliczek, mogących w przyszłości wykorzystać tę informację. W tym regionie chętnie krytykowano dekadentki Zachód przy każdej nadarzającej się okazji, jednak łatwo zmienić zdanie, jeśli za ujawnienie podobnych rewelacji czeka hojna nagroda. Taka już jest ułomna natura człowieka, o czym March doskonale wiedział. Większość ludzi jest gotowa poświęcić swoje ideały dla pieniędzy.

Obaj mężczyźni ruszyli szybko przed siebie, mijając szereg rozpadających się niskich budynków z cegły. March zauważył, że żarówki latarni zostały powykręcane albo po prostu rozbite, a ulica jest pogrążona w wyjątkowym nawet jak na to miasto mroku. Pomimo późnej pory z naprzeciwka szła jakaś stara kobieta, niepewnie stawiając kroki na nierównej nawierzchni. Zrównawszy się z nimi, odwróciła wzrok, co również nie umknęło uwadze Amerykanina. Najwyraźniej organizacja przedsięwzięła naprawdę poważne kroki, żeby zapewnić im bezpieczeństwo w tej okolicy, być może posuwając się nawet do przekupywania ludzi w każdym ze znajdujących się tu domów. Z pewnością miejscowi urzędnicy również zostali sownie wynagrodzeni za swoją pomoc.

Zatrzymali się przy piątym domu po lewej stronie ulicy. Po krótkiej chwili wahania March przecisnął się przez bramę z kutego żelaza, wyczuwając, że coś jest jednak nie w porządku. Malujący się na twarzy Hamzy szeroki uśmiech wcale nie zmniejszył jego obaw. Kiedy jego napięte zmysły jeszcze się wyostrzyły, kątem oka zauważył na dachu niskiego budynku jakąś sylwetkę. Leżący na brzuchu snajper trzymał go na muszce radzieckiego karabinu Dragunowa.

March był pod wrażeniem opanowania mężczyzny, ale uważał broń za zbyt dużą i nieporęczną jak na miejskie warunki. Jego

zdaniem galil ze składaną kolbą byłby w tej sytuacji znacznie lepszy, ale nigdy nie zaproponowałby tego snajperowi na dachu. Na samą myśl, że arabski bojownik miałby używać karabinu wyprodukowanego w Izraelu, omal nie roześmiał się w głos.

Kiedy podeszli do drzwi, w polu widzenia pojawiło się nagle dwóch kolejnych strażników z kałasznikowami przy boku. Mężczyźni popatrzyli na nich w napięciu, szybko jednak się rozluźnili. Hamza powiedział coś przyciszonym tonem do jednego ze strażników, który natychmiast podniósł do spierzchniętych od palącego słońca ust krótkofalówkę. Krótka wymiana zdań, jeden rozkaz i już po chwili drzwi stanęły otworem, a obaj przybysze zostali pospiesznie wprowadzeni do środka.

Jason March czekał cierpliwie, choć plecy bolały go już od twardego oparcia drewnianego krzesła. Ostatnich kilka dni było naprawdę wyczerpujących: nieustanne przemieszczanie się z miejsca na miejsce pod fałszywymi nazwiskami, ustawiczny strach przed zdemaskowaniem, ciągły lęk. Tyle że teraz nastąpi wreszcie punkt kulminacyjny. March czuł się tak, jakby miał zostać poddany sprawdzianowi, a od odpowiedzi, jakich udzieli, zależało nie tylko jego miejsce w organizacji, ale także to, czy w ogóle opuści ten budynek żywy. Pomimo całej swojej pewności siebie March pozostawał ostrożnym człowiekiem. Zaszedł zbyt daleko, żeby teraz zaprzepaścić to wszystko.

Przytłumione głosy za drzwiami zapowiedziały jego rozmówców, zanim jeszcze weszli oni do pokoju. Pierwszy zjawił się Hamza, poprzedzając zaskakująco wysokiego, chudego mężczyznę, którego March natychmiast rozpoznał. Pomimo rozrzucanych przez wojskowe helikoptery ulotek, oferujących ponad dwadzieścia pięć milionów dolarów nagrody za jego głowę, człowiek ten dokonał niewielu zmian w swoim wyglądzie.

Saif al-Adel przyjrzał się pobieżnie mężczyźnie, który na ich widok poderwał się gwałtownie z krzesła. Wygląd nieznanego, zdający się ucieleśniać całą dekadencję Zachodu, natychmiast wzbudził jego podejrzenia. Oczy o intensywnie zielonych tęczówkach były jednak zupełnie inne - w ich głębi płonęła nienawiść. To właśnie o niej al-Adel zamierzał dowiedzieć się czegoś więcej. Wkrótce będzie już znał wszystkie odpowiedzi potrzebne do podjęcia dalszych działań.

ROZDZIAŁ 6

WASZYNGTON • CAPE ELIZABETH

Naomi Kharmai potrzebowała całej siły perswazji, żeby wydostać spod opiekuńczych skrzydeł Jonathana Harpera akta osobowe. Dokumenty leżały teraz przed nią zamknięte, chociaż zdążyła je już przejrzeć bardzo dokładnie. Sącząc herbatę w opustoszałej kawiarni, wciąż powtarzała sobie w myślach wyczytane tam informacje na temat Ryana Thomasa Kealeya. Trzydzieści trzy lata, z czego ostatnie trzy spędzone w SAD⁷, jednostce do zadań specjalnych CIA. W tym okresie, jak można było wyczytać z jego akt, został odznaczony Intelligence Star w uznaniu odwagi na polu walki.

Naomi zastanawiała się nad tym przez chwilę. Chociaż okoliczności, które doprowadziły do przyznania tego odznaczenia były objęte tajemnicą, wiedziała od razu, że dzięki swoim osiągnięciom Kealey musi mieć spore wpływy wewnątrz agencji. Już wcześniej zauważyła z pewnym zdumieniem, że mówią sobie z Harperem, w końcu zastępcą dyrektora, na „ty”. Może to tłumaczyło też, dlaczego nie był związany z CTC, choć pewnie by go tam zatrudnili, gdyby tylko mieli ku temu okazję.

W teczce znalazła także opis kariery Kealeya przed wstąpieniem do CIA. W 2001 roku odszedł z wojska w randze majora pod naciskiem ze strony dowództwa sił specjalnych. Naomi uznała, że chodziło tu o Połączony Komitet Szefów Sztabów, którego zgoda była potrzebna, aby postawić żołnierza z taką

⁷ Special Activities Division - oddział działający w obrębie Dyrektoriatu Operacji, odpowiedzialny za przeprowadzanie tajnych akcji paramilitarnych, zwłaszcza w sytuacjach, gdy rząd USA chce uniknąć powiązania go z daną operacją.

przeszłością jak Ryan Kealey w stan oskarżenia. Jego akta osobowe z czasów służby w armii wymieniały liczne nagrody: Distinguished Service Cross, Legion of Merit z liściem dębu, Bronze Star Medal z dwoma liśćmi dębu⁸ - lista ciągnęła się bez końca. Kharmai niewiele wiedziała o wojskowych odznaczeniach, ale miała świadomość, że ten mężczyzna musiał cieszyć się ogromnym szacunkiem każdego, kto nosi mundur.

Poza tym Kealey był człowiekiem wykształconym, legitymującym się licencjatem Uniwersytetu Chicago w zakresie zarządzania i dyplomem magisterskim zdobytym na Duke University w 1994 roku. Był już wtedy porucznikiem, świeżo po wstępnym szkoleniu do sił specjalnych Special Forces Assessment and Selection, przygotowującym do Special Forces Qualification Course w Fort Bragg, który zresztą wkrótce potem ukończył.

Niewiarygodne, pomyślała Naomi. Facet doszedł do rangi majora w przeciągu ośmiu lat, z czego dwa spędził w innej jednostce, pierwszej SFOD-D⁹, choć akurat ten skrót niewiele jej mówił. Naprawdę fenomenalne tempo awansu. Najwyraźniej przygotowywano go do objęcia wysokiego stanowiska w naczelnym dowództwie. Co takiego mógł zrobić Ryan Kealey, że zaprzepaścił tak świetnie rozwijającą się karierę?

Nagle przysła jej do głowy pewna myśl, otworzyła więc ponownie akta na ostatniej stronie i sprawdziła nazwisko sygnatariusza: generał dywizji Peter Hale, USASFC¹⁰. Za zgodą Harpera czy bez Naomi Kharmai zamierzała znaleźć jakiś sposób na dotarcie do ostatniego dowódcy Kealeya.

Zapadał już zmrok, kiedy dwa dni później Ryan wrócił w końcu do Cape Elizabeth. Nie było sensu siedzieć beczynnie w Waszyngtonie, podczas gdy analitycy wykonywali swoją robotę, dlatego Harper udzielił mu krótkiej przepustki. Katie nie odbierała telefonów przez cały okres jego nieobecności, więc na

⁸ Splot liści dębowych jest umieszczany na odznaczeniu wojskowym dla zaznaczenia kolejnego nadania określonego medalu (liczba liści wskazuje ile razy został on przyznany danej osobie).

⁹ Jednostka specjalna Special Forces Operational Detachment-Delta.

¹⁰ United States Army Special Forces Command - Dowództwo Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych.

widok jej małego samochodu, zaparkowanego na podjeździe, poczuł lekkie ukłucie niepokoju.

Wewnątrz domu było niemal równie zimno jak na dworze. Ryan ruszył prosto do salonu i zabrał się za staranne układanie polan w ogromnym kamiennym kominku, tak że już wkrótce ogień zaczął rozsiewać wokół przyjemne ciepło. Kiedy wreszcie się odwrócił, w drzwiach stała ubrana w obcisłe dżinsy i luźny wełniany sweter Katie, przyglądając mu się w milczeniu z wyrazem konsternacji na twarzy. Miał wrażenie, że temperatura w pokoju znowu spadła. Sądząc po gniewnej minie Katie, nie mógł się spodziewać gorącego powitania.

- Cześć - przerwał wreszcie niezręczną ciszę. - Tęskniłem za tobą.

- Właśnie widzę. Najlepszy dowód to jak się tu spieszyłeś, żeby ze mną porozmawiać.

Ryan podniósł ręce poirytowanym gestem.

- Dzwoniłem do ciebie. Ta sprawa wypadła w ostatniej chwili. Dlaczego nie odbierałaś?

Zaskoczył ją. *Dobre pytanie*, pomyślała.

- Już ty wiesz dlaczego! Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu wyjechałeś. Zupełnie... Boże, jakbyś całkiem zapomniał o moim istnieniu.

- Katie, przecież wiesz, że to nieprawda. - Na twarzy Ryana odbił się wyraz bólu. - Poza tym to nie fair.

- Okłamałeś mnie?

- W czym?

Gniewny grymas ustąpił miejsca sceptycznemu spojrzeniu. Najwyraźniej nie udało mu się jej przekonać.

- Na temat swojego odejścia z agencji, Ryan. Naprawdę zrezygnowałeś w zeszłym roku?

- Oczywiście. Nigdy w życiu nie posunąłbym się wobec ciebie do takiego kłamstwa.

Katie nadal stała nieruchomo ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i powątpiewającą miną, starając się ocenić szczerść jego słów.

- Skoro już dla nich nie pracujesz - powiedziała w końcu z namysłem - to dlaczego w takim pośpiechu wyjechałeś do Waszyngtonu?

Było to uczciwie postawione pytanie, na które nie miał gotowej odpowiedzi. Katie odniosła niewielkie zwycięstwo, ale wcale nie było tego widać na jej nieszczęśliwej twarzy. Kiedy odezwała się znowu, ton jej głosu dobitnie świadczył o tym, że ma już dosyć tego sporu.

- Wiesz, boję się nawet zapytać, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie. Za CIA? I za bandą szalonych terrorystów z jakiegoś gównianego kraju trzeciego świata?

- To nie jest kwestia kolejności.

- Zła odpowiedź, Ryan. - Katie uśmiechnęła się smutno i odwróciła wzrok.

Ryan opuścił głowę, w duchu przeklinając samego siebie za tę głupią uwagę. Boże, zawsze był beznadziejny w takich sytuacjach. Przez te wszystkie lata kosztowało go to niejedną fajny związek, ale do tej pory nie przeszkadzało mu to zbyt. Tylko że Katie znaczyła dla niego znacznie więcej niż wszystkie tamte dziewczyny razem wzięte. Coś ścisnęło go w gardle na samą myśl o tym, że mógłby ją stracić. Kiedy w końcu przerwała milczenie, sam był zaskoczony tym, jak ogromną ulgę poczuł.

- Wiem, że to, co robisz, jest ważne - powiedziała cicho.

- Zresztą nigdy nie twierdziłam inaczej. Nie próbuję cię nakłonić, żebyś mi o tym wszystkim opowiadał - ta sprawa może pozostać poza nami. Nie jestem pewna, czy sobie z tym poradzę, ale chcę spróbować - dodała, spoglądając na niego z nadzieją. - To przecież najważniejsze, prawda? Że jesteśmy razem i oboje się staramy. Po prostu muszę wiedzieć, na czym stoję w tym, co się dzieje pomiędzy nami. Na czym *oboje* stoimy.

- Przepraszam - powiedział Ryan. - Masz rację, nie pomyślałem o tym. - Zawahał się lekko, ale słowa, które padły później, wcale nie były przez to mniej ważne. - Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczysz, Katie... nie masz pojęcia.

- Naprawdę tak myślisz? - Katie rozchyliła wargi w uśmiechu. Pomimo rozpaczliwych wysiłków, żeby nie poddawać się tak łatwo, jej gniew powoli dogasał.

Kiedy Ryan wyciągnął rękę, podeszła do niego szybko. Początkowo objął ją delikatnie, odnalazłszy ustami jej wargi, ale potem przygarnął ją bliżej i nagle stali przytuleni do siebie mocniej, niż to było konieczne, choć żadne z nich nie potrafiłoby powiedzieć, dlaczego tak jest.

- Jesteś wszystkim, czego potrzebuję, Katie - szepnął jej cicho do ucha. - Ty i ja, w tym domu, to wszystko, o co mógłbym kiedykolwiek prosić.

Z mocno zaciśniętymi powiekami i ramionami oplatającymi go w pasie, Katie zastanawiała się, jak w ogóle mogła być tak wściekła. Wiedziała, co Ryan próbuje jej powiedzieć i z jakiegoś powodu nie miało żadnego znaczenia, że nie potrafił odnaleźć właściwych słów.

- Ja też cię kocham - szepnęła.

Okolo 28 kilometrów na południe od leżącego na syryjskim wybrzeżu miasta Dżabla przypadkowy obserwator dostrzegłby zapewne wiele malowniczych elementów zatopionego w gasnącym świetle dnia krajobrazu. Zapewne opisałby pomarańczową kulę słońca stojącą jeszcze wysoko na ognistoczerwonym niebie, ostro kontrastującym z lśniącymi wodami Morza Śródziemnego. Na pewno wspomniałby też o łagodnych zboczach wzgórz biegnących ku brzegowi wody i niebrukowanej drodze przecinającej gęsto porosły lasem teren. Nie zapomniałby też pewnie o jedynym widocznym na przestrzeni wielu kilometrów budynku, niskiej willi o białych ścianach i dachu z czerwonej dachówki, który zdawał się płonąć w blasku zachodzącego słońca. Zwykły obserwator nie dostrzegłby jednak w tym malowniczym krajobrazie śladu obecności ludzi-

W cieniu strzelistych sosen o rozłożystych koronach i pojawiających się gdzieś dębów leżała nieruchomo w pyłe jakaś postać. Kapitan Ryan Kealey nastuchiwał uważnie odgłosów lasu, czekając cierpliwie, aż skontaktują się z nim przez kodowane radio pozostali członkowie jego oddziału. Zerknąwszy za siebie, ku swojemu zadowoleniu nie zauważył śladu pozostałych pięciu żołnierzy.

- Sapper Six, tu Gold One, odbiór.

Kealey podniósł do ust swój radiotelefon Motoroli.

- Tu Sapper Six, melduj, Gold One.

- Jestem na pozycji, brak celów w zasięgu wzroku.

Widzę Blue Two po mojej lewej, odbiór.

- *Informuj mnie na bieżąco, Gold One. Sapper Six, bez odbioru.*

Nie oglądając się za siebie, Ryan podniósł do góry prawą rękę i zakręcił palcem wskazującym w powietrzu, dając podwładnym sygnał, żeby zebrali się wokół niego. W przeciągu trzydziestu sekund otoczyli go pozostali członkowie oddziału.

- *W porządku, panowie, jak to wygląda? - zapytał cicho.*

- *Możemy startować, panie kapitanie - odezwał się najnowszy nabytek ich ekipy, starszy sierżant Donald Bryant.*

Kealey popatrzył na jego młodą, przejętą twarz i ujrzał samego siebie sprzed zaledwie czterech lat. Był wdzięczny losowi, że pierwsze doświadczenie bojowe chłopaka przypadnie na taką dosyć prostą akcję. Pozostali mężczyźni bez słowa pokiwali twierdząco głowami. Jeśli o nich chodziło, był to po prostu dodatkowy element szkolenia.

- *Podejździemy w górę do linii lasu. Pamiętajcie, kiedy snajperzy dadzą znak, ruszamy szybko w dół wzgórza. Nie mamy praktycznie żadnej osłony, więc zachowajcie dystans. Thomas, Mitchell, sprawdźcie samochód. Po uzyskaniu wzrokowego potwierdzenia, przechodźcie do wejścia. W budynku zanim miniecie jakieś pomieszczenie, upewnijcie się najpierw, że nikogo tam nie ma. Mówię serio - popatrzył poważnie na swoich podwładnych, a potem uśmiechnął się szeroko. - Łatwizna, panowie. Wiecie, po co tu jesteśmy, więc załatwmy to od razu i zabieramy się do domu.*

Mężczyźni uśmiechnęli się na te słowa pod nosem. Radio buchnęło nagle szumem, a potem odezwał się czysty, spokojny głos.

- *Sapper Six, tu Blue Two. Widzę obiekt. Jeden pojazd, chyba czarny mercedes. Szyby nie są przyciemnione, mam... jednego kierowcę, dwóch pasażerów. Czekam na sygnał, odbiór.*

- *Gold One, cel w zasięgu strzału? - Kealey zareagował natychmiast.*

- *Potwierdzam, Sapper Six.*

- *Snajperzy, macie zielone światło. Czekamy na wasz sygnał. Sapper Six, bez odbioru.*

Kealey dał znak ręką i otaczający go żołnierze natychmiast ruszyli luźnym szykiem w stronę skraju lasu. Szli cicho, omijając najgęstsze zarośla. Każdy z nich użył wcześniej taśmy izolacyjnej do zabezpieczenia wszelkich nieprzymocowanych fragmentów metalu, które mogłyby zdradzić ich pozycję. Co prawda, nikt nie spodziewał się, żeby wróg rozestał patrole, ale żołnierze wchodzący w skład elitarnej jednostki sił specjalnych Operational Detachment Alpha 304 nie zamierzali ryzykować.

Kiedy znaleźli się niecałe pięćdziesiąt metrów od odstąpiętej części zbocza, pomiędzy drzewami rozległ się ogłuszający huk wystrzału dalekonośnego karabinu, po którym nastąpiły szybko dwa kolejne strzały.

— Sapper Six, tu Gold One! Pojazd unieszkodliwiony, powtarzam, pojazd unieszkodliwiony!

— Ruszamy! - krzyknął Kealey. Żołnierze biegli i nagle wynurzyli się na otwarty teren. Jakaś uporczywa myśl nie dawała kapitanowi spokoju, ale nie potrafił określić, o co chodzi. Coś związanego z kierunkiem tych strzałów...

W połowie zbocza Ryan zdał sobie sprawę, że w samochodzie, który zatrzymał się, nawet niedraśnięty, pośrodku drogi, nie ma nikogo. Przednia szyba była nietknięta.

— Kryć się! - zawołał odruchowo. Jego podwładni natychmiast przypadli do ziemi, poza Bryantem, który zareagował z lekkim opóźnieniem. Kealey patrzył z niedowierzaniem, jak w plecach młodego żołnierza pojawia się poszarpana rana wylotowa, podczas gdy cała dolina rozbrzmiała echem wystrzału. Chłopak nie wydał żadnego dźwięku, zrobił tylko jeszcze dwa niepewne kroki, a potem upadł na ziemię.

Czterej pozostali członkowie jego oddziału ostrzeliwali ogniem ciągłym stojący u stóp wzgórza pojazd. Ryan widział dwóch uzbrojonych mężczyzn kucających za samochodem, i trzeciego, który leżał obok nich nieruchomo. Strużki jego krwi mieszały się z pyłem drogi. Przyłożywszy oko do celownika optycznego swojego karabinu M4A1, Ryan strzelił trzy razy w głowę głównego celu i natychmiast

przesunął lekko broń, ale okazało się, że któryś z jego ludzi już zajął się drugim z terrorystów. Dopiero teraz Ryan uświadomił sobie, że starszy sierżant Mitchell nie porusza się. Wokół jego głowy wykwitła kałuża krwi, a ciężki karabin maszynowy M249 leżał tuż obok jego martwych palców.

*- Blue Two, co się tam, do diabła, u was wyprawia?
- wrzasnął Kealey do radiotelefonu, ale nie doczekał się
Żadnej odpowiedzi. - Blue Two, melduj!*

Cisza.

- Co się, kurwa, dzieje! - krzyknął sierżant Aharez.

- Gold One, jaka sytuacja! - Nadal żadnej reakcji. Ryan z trudem powstrzymywał drżenie głosu, choć przerażenie przyprawiało go o szybsze bicie serca. Nienawidził siebie za ten strach, ale jego ludzie znajdowali się teraz na zupełnie odsoniętym zboczcu wzgórza i nie miał czasu na zastanawianie się, co poszło nie tak. Decyzja zapadła błyskawicznie.

- Thomas, Watson! Kiedy otworzymy ogień, biegnijcie z powrotem w stronę lasu! Aharez, strzelaj w kierunku pozycji Marcha! - zawołał. Na twarzy sierżanta pojawił się wyraz niedowierzania.

- Panie kapitanie, nie możemy...

- Wykonać! - rzucił wściekłym głosem Kealey. - Natychmiast!

Przerywany strumień ognia bluznął z lufy karabinka szturmowego M16A2 Ahareza. Kealey zaczął strzelać w tym samym kierunku, nie zważając na to, że nie widzi snajpera, wtapiającego się w otaczającą go roślinność dzięki specjalnemu strojowi maskującemu. Przeklinał tylko niewielki zasięg swojej broni o krótkiej lufie, która idealnie nadawała się do planowanej wcześniej walki wręcz.

- Ładuj broń! - krzyknął do Ahareza, a potem błyskawicznie wymienił magazynek, nie odrywając wzroku od grzbietu wzgórza, gdzie znajdowały się stanowiska snajperskie. Oceniał odległość na jakieś czterysta metrów. Trudny strzał, nawet w najbardziej sprzyjających warunkach, prawie całkowicie niemożliwy przy użyciu standardowych

mechanicznych przyrządów celowniczych. Nagle zauważył błysk ognia, po którym rozległ się huk wystrzału. Kątem oka dostrzegł, jak kula rozrywa głowę Alvareza. Po tym śmiertelnym strzale nastąpiły jeszcze cztery i Kealey potrzebował całej siły woli, żeby zachować zimną krew w momencie, gdy przycisnął policzek do ciepłego metalu swojego karabinka szturmowego. Idealnie wyważona osłona lufy spoczywała w jego lewej dłoni, kiedy nacisnął na spust i strzelał tak, dopóki zamek nie uderzył w pusty magazynek.

Odczekał dłuższą chwilę, ale na górskim grzbiecie panował całkowity bezruch.

- Thomas! Watson! - zawołał w końcu.

Żadnej odpowiedzi- Nagle serce podskoczyło mu do gardła, kiedy uświadomił sobie, że najprawdopodobniej jest jedynym żywym człowiekiem na tym wzgórzu. Rozejrzał się powoli wokół. Niedaleko niego leżały nieruchome ciała dwóch pozostałych sierżantów z jego oddziału. Jego oddziału. Jako dowódca był odpowiedzialny za los tych ludzi. Czy to sprawiedliwe, że właśnie on pozostał przy życiu? Nagle przestało to mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie, podniósł się więc z ziemi. Jego samotna sylwetka rysowała się teraz wyraźnie na tle zbocza, rzucając długie cienie w blasku gasnącego słońca. Kiedy poczuł uderzenie, spojrzał w dół, na niewielką ranę w swojej piersi, a widok ten niemal całkowicie wyparł z jego świadomości ogłuszający huk wystrzału.

Upadł na ziemię. Po chwili usłyszał szum dobiegający z radiotelefonu, który leżał tuż koło jego wyciągniętej ręki. A potem dostrzegł jakąś postać stojącą na szczycie górskiego grzbietu, chociaż ból zaczynał już zacierać obraz. Poprzez krwawą mgłę powoli zasnuwającą mu oczy, widział karabinek snajperski Parker-Hale M85, trzymany przez mężczyzną luźno w prawej dłoni. Tę samą broń, która przez ostatnich osiem miesięcy znajdowała się pod troskliwą opieką jednego, i tylko jednego żołnierza. Nieruchoma postać starszego sierżanta sztabowego Jasona Marcha stawiała się coraz bardziej zamazana, wraz z nasilającym się bólem. A potem Kealey poczuł, że nie może złapać tchu.

Nie mógł złapać tchu...

Ryan Kealey obudził się bez żadnego dźwięku, a fragmenty informacji zaczynały się powoli układać w jego głowie, każdy z nich przynoszący ze sobą jeszcze straszniejszą świadomość niż poprzedni.

Cienkie prześcieradła przylgnęły do jego spoconego torsu. Kiedy wstrząsające jego ciałem dreszcze wreszcie ustąpiły, uświadomił sobie, że Katie szepce mu coś cicho do ucha, obejmując go przy tym opiekuńczo ramionami. Jedwabiste palce gładziły delikatnie wypukłą bliznę na jego piersi.

- Kochanie, wszystko w porządku? Boże, krzyczałeś tak głośno... - powiedziała drżącym głosem. - Te twoje koszmary senne... Stają się coraz gorsze.

Ryan milczał, starając się nie myśleć o niczym tak długo, jak to tylko możliwe. Chciał po prostu cieszyć się bliskością jej ciała. Może to rozumiała, bo nie odzywała się więcej, podczas gdy jego urywany oddech zaczynał się powoli uspokajać.

Myśli wirowały wokół niego w ciemnościach, wdzierając się do jego umysłu, gdy nie był ich już w stanie powstrzymać. Jason March zamordował żołnierzy, którzy byli dla niego jak bracia. Jeżeli w zawodowej armii zawiązywano przyjaźnie na całe życie, to kontakty budowane w społeczności sił specjalnych przypominały więzy rodzinne, równie ważne jak prawdziwe pokrewieństwo krwi. A teraz ten człowiek, o którym myślał, że już nie żyje, powrócił z drugiego krańca świata, żeby popełnić jeszcze straszniejsze zbrodnie.

Kealey uważał, że jest wyjątkowo dobrze przygotowany do tego, by zabić Marcha. Czuł, że jest to winien żołnierzom, którzy stracili życie na tamtym wzgórzu, tak daleko od domu. Nie był pewien, jak to się skończy, ale wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby tego dopiąć.

ROZDZIAŁ 7

WASZYNGTON

- Za dwie godziny mam być w Białym Domu, John. Nie mogę tam iść z pustymi rękami. Z czym mamy tutaj twoim zdaniem do czynienia?

Jonathan Harper popatrzył na Roberta Andrewsa, od niedawna dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. Trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Połączone wysiłki CIA i FBI przyniosły w ostatnim tygodniu niewiele nowych informacji, chociaż wykonano mnóstwo telefonów i wykorzystano stare kontakty. Współpraca pomiędzy agencjami, która miała zostać wprowadzona w życie po 11 września, nigdy tak naprawdę nie doszła do skutku, pomimo utworzenia ośrodka antyterrorystycznego Terrorist Threat Integration Center zaledwie kilka kilometrów dalej. Harper jako jedna z nielicznych osób od początku wiedział, że tak się właśnie stanie.

- No cóż, do ataku na senatora Levy'ego nie przyznała się jeszcze żadna grupa, co już samo w sobie jest nietypowe. Iran zaprzecza jakimkolwiek związkom z tym atakiem, ale nie sądzę, żebyśmy mogli brać to na serio, zwłaszcza że ostatnio ogłosili oficjalnie ponowne rozpoczęcie programu zbrojeń. Zbyt idealnie zbiegło się to w czasie. Poza tym mieli lepszy niż ktokolwiek inny powód, żeby zlikwidować senatora. Był ich najbardziej zażartym przeciwnikiem we wszystkich sprawach, poczynając od zakupu materiałów rozszczepialnych po łamanie praw człowieka. Jedyne, co mamy, to wstępne ustalenia dotyczące tożsamości człowieka, który przeprowadził zamach. Dysponujemy dowodami, że to człowiek Al-Kaidy. Przesłałem ci już te informacje wcześniej.

Dyrektor Andrews, przysłuchujący się mu z zaciśniętymi wargami, skinął powoli głową.

- Trochę trudno mi w to uwierzyć. Dlaczego mieliby zaufać Amerykaninowi na tyle, żeby przyznać mu tak wysoką pozycję w organizacji?

- Może wiedzą, co wydarzyło się w Syrii.

Andrews podniósł gwałtownie wzrok.

- Mówiłeś, że jego tożsamość potwierdził ten Kealey. Gdzie on teraz jest?

- Wrócił dziś rano. Przegląda właśnie z Davidsonem i Kharmai informacje przechwycone z telefonów komórkowych.

- Myślałem, że wycofał się ze służby.

- Próbował - odparł Harper, wzruszając ramionami. - Ale chyba od początku nie miał żadnych złudzeń, że to się uda.

- Miej na niego oko - przestrzegł go Andrews. - Czytałem akta i wiem, co zrobił w Bośni. Nie chcemy przecież nadawać tej sprawie rozgłosu, John.

- Nigdy mu tego nie udowodniono - odparł Harper i natychmiast pożałował swoich słów, bo dyrektor rzucił mu powątpiewające spojrzenie.

- Po prostu trzymaj go w ryzach, John. Doceniam jego osiągnięcia w pracy dla agencji, zresztą jak każdy, ale mamy dosyć własnych kłopotów. Nie potrzebuję jeszcze ludzi z senackiej komisji nadzoru awanturujących mi się nad głową, jasne?

Harper skinął głową i wstał z krzesła, zbierając się do wyjścia, ale Andrews zatrzymał go gestem ręki.

- Jeszcze jedna rzecz. Słyszałem, że jakaś wasza analityczka zadaje mnóstwo pytań na temat Kealeya. Zdaje się, że to ta sama kobieta, o której przed chwilą wspominałeś. - Harper próbował ukryć zaskoczenie, ale dyrektor zauważył jego pełne niedowierzania spojrzenie i uśmiechnąwszy się lekko, prawie niezauważalnie, dodał: - Nie znalazłem się na tym stanowisku przez przypadek, John.

Jego podwładny pokiwał głową.

- Naomi Kharmai pracuje dla nas od czterech lat. Ma dostęp do akt personalnych, więc przekazałem jej teczkę Ryana, o którą się dopominała. Mówiłem jej, żeby dała temu spokój, ale nie wiem, czy mnie posłucha. Jest dosyć uparta.

Andrews zastanawia! się przez dłuższą chwilę nad tą odpowiedzią, zanim w końcu przerwał milczenie.

- Jeżeli uważasz, że warto ją zatrzymać przy tej sprawie, to przynajmniej dopilnuj, żeby zajmowała się tym, co istotne. A wydarzenia w Syrii nie mają tu *żadnego* znaczenia. Tamci żołnierze oficjalnie zginęli w wypadku podczas ćwiczeń... Musimy mieć możliwość współpracy z wojskiem, a jeśli okaże się, że przeciek na temat tej dezinformacji wyszedł od nas, nic więcej nam nie przekażą. I szczerze mówiąc, wcale bym się im nie dziwił - dodał.

Harper już otwierał usta, żeby coś odpowiedzieć, kiedy nagle uchyliły się ciężkie mahoniowe drzwi.

- Przepraszam - powiedziała sekretarka - ale może zechcą panowie włączyć kanał trzeci. Chodzi o senatora Levy'ego.

Na twarzach obu mężczyzn odbiło się zaskoczenie. Dyrektor Andrews chwycił za pilota i po chwili na ekranie pojawił się wysokościanowiec, który Harper natychmiast rozpoznał.

- Jeżeli dopiero teraz państwo do nas dołączyli, przypominam, że znajdujemy się przed budynkiem Kennedy-Warren, ekskluzywną rezydencją przy Connecticut Avenue. Właśnie tutaj mieszka człowiek podejrzewany przez urzędników ministerstwa sprawiedliwości o przekazanie terrorystom informacji, które doprowadziły do zamordowania w ubiegłym tygodniu senatora Daniela Levy'ego. Mężczyzną tym jest Michael Shakib, pracownik administracyjny Kongresu, powiązany z irańską społecznością w naszym kraju, który...

Chryste Panie! - krzyknął Andrews, zagłuszając głos pod-ekscytowanej dziennikarki. - Dlaczego, *do diabła*, jeszcze o tym nie wiemy, John?

- FBI powinno nas informować na bieżąco w przypadku takiego rozwoju sytuacji, ale...

- Bzdura! - Andrews odetchnął głęboko kilka razy, opierając dłoń na niewielkim skrawku wolnej przestrzeni pośród szpar-gałów zaśmiecających blat biurka. - Przepraszam, John, nie mam pretensji do ciebie. Przecież wiem, że nas wydymali - dodał, po czym zamyślił się na dłuższą chwilę. - Wiesz co, może to nawet lepiej, że nasz udział w tej sprawie nie jest tak oczywisty. Coś czuję, że to źle się skończy, zwłaszcza z tymi wszystkimi

reporterami kręcącymi się na miejscu. Mimo wszystko pošlij tam kogoś, tylko bez rozgłosu. Może być ten Kealey, jeśli chcesz.

- O ile go znam, to już jest w drodze - odparł Harper, pełen podziwu dla opanowania swojego zwierchnika.

- Dopilnuj, żebyśmy mieli w tym swój udział, John. Wprowadź nas do gry. Jeżeli nie będziemy wiedzieli, co się dzieje, łatwo możemy stać się kozłem ofiarnym.

Oznaczało to koniec rozmowy. Harper wyszedł z gabinetu cicho, zadowolony, że zostawia wściekłego dyrektora Centrali Wywiadu za sobą.

* * *

Ryan przyjechał z Maine swoim bmw, żeby nie być zdany na cały okres pobytu w Waszyngtonie na jakiś niewygodny samochód z wypożyczalni. Teraz, kiedy jego napędzane 4,4-litrowym silnikiem auto mknęło na północ Connecticut Avenue, pogratulował sobie w duchu tej decyzji. Szybko dotarł do tunelu pod Dupont Circle i zręcznie prowadząc samochód poprzez zatłoczone ulice przy użyciu tylko jednej ręki, przycisnął telefon komórkowy do ucha.

- Jasne, John. Mam porozmawiać z facetem przy zachowaniu całkowitej dyskrecji... Dobra, rozumiem. Pogadaj jeszcze ze swoją dziewczyną - dorzucił i wręczył aparat bladej jak płótno Naomi Kharmai, która z trudem rozprostowała mocno zaciśnięte dłonie, żeby wziąć od niego komórkę.

- Nie daj się im zbyć, Naomi - powiedział Harper. - Musimy wiedzieć, czy to prawda. Jeżeli Shakib był źródłem przecieku, to sprawa wreszcie ruszy z miejsca. Nie przejmuj się, że to nie my dotarliśmy do tej informacji pierwsi - najważniejsze jest, co z tym teraz zrobimy, w porządku? - Tu przerwał na chwilę, żeby zamienić parę słów z kimś innym. - Zadzwoń do mnie, kiedy dowiesz się czegoś więcej - dodał i rozłączył się, zanim Naomi zdążyła mu odpowiedzieć.

Kiedy Ryan wrzucił czwarty bieg i wcisnął pedał gazu, skuliła się tylko na swoim siedzeniu, przekonana, że zginą na długo przed dotarciem do miejsca przeznaczenia.

Ulica przed budynkiem Kennedy-Warren pełna była karettek, wozów strażackich i nie oznakowanych samochodów rządowych należących do obecnych na miejscu agentów FBI. Przy krawężnikach leżały sterty brudnego lodu, chodnik pod ich stopami był zdradliwie śliski, a hulający pomiędzy pojazdami wiatr potęgował jeszcze uczucie zimna. Zdaniem Ryana temperatura spadła poniżej zera, a jemu pozostawało tylko załować, że nie zabrał ze sobą ubrań bardziej odpowiednich na taką paskudną pogodę niż znoszona skórzana kurtka. Na domiar złego oboje z Kharmai musieli czekać aż pięć minut, zanim wyjątkowo powolni funkcjonariusze policji, otaczający kordonem teren, sprawdzą ich tożsamość.

Przez cały ten czas Naomi przyglądała się uważnie nieoznakowanej furgonetce marki chevrolet, długości ponad siedmiu metrów. Tylne drzwi były otwarte, więc Kealey z łatwością dostrzegł znajdującą się w środku tablicę rozdzielczą i przytwierdzony do podłogi benzynowy generator. Samochód otaczali mężczyźni ubrani w niebieskie kombinezony i kamizelki kuloodporne. Większość z nich trzymała przy boku pistolety maszynowe HK MP10, kilku było uzbrojonych w strzelby z nabojami dużego kalibru. Rozmawiali cicho pomiędzy sobą, niektórzy żuli szybko gumę, postukując niecierpliwie palcami o bezpiecznik zamka, nie byli jednak w stanie ukryć napięcia malującego się na ich twarzach.

Ryan rozpoznał wszystkie te rytuały, służące zmniejszeniu stresu, i wiedział już, że ci agenci wykonają swoje zadanie. Miał tylko nadzieję, że nie będzie takiej konieczności.

- Myślisz, że zaraz ruszą do akcji? - zapytała Naomi.

- Jezu, oby nie - jęknął Ryan, wskazując dłonią na samochody stacji telewizyjnych z antenami satelitarnymi na dachach,zymane poza kordonem przez funkcjonariuszy policji. - Jeżeli on tam rzeczywiście jest, to na pewno obserwuje wszystkie nasze posunięcia w telewizji. Gorzej już być nie może.

Naomi wypatrzyła wreszcie w tłumie potężnego czarnoskórego mężczyznę w niebieskiej parce FBI, spod której widać było białą koszulę i spodnie od garnituru. Twarz agenta wykrzywiła wściekłość, kiedy wykrzykiwał coś do grupy podwładnych, wymachując im przy tym groźnie palcem. Podchwyciwszy jego

wzrok, Naomi ruszyła w jego kierunku, z Kealeyem podążającym niespiesznie za nią. Gdy tylko podeszli bliżej, grupka agentów natychmiast się rozproszyła.

- Naomi. Tak myślałem, że możesz się tu zjawić - powiedział ze znużeniem mężczyzna. Kharmai uśmiechnęła się miło, ignorując ton jego głosu.

- Luke Hendricks, Ryan Kealey. Agent specjalny Hendricks jest zastępcą dowódcy biura terenowego FBI na Waszyngton. Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy? - zapytała wprost, a szeroki uśmiech zniknął z jej twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Hej, sama to powiedziałaś, ja jestem tylko zastępcą, a to oznacza, że mam nad sobą z milion ludzi, którzy mówią mi, co mam robić. Nie ja decyduję o tym, jakie informacje przekazujemy innym agencjom - mruknął Hendricks.

- A gdzie jest zastępca dyrektora? - Naomi rozejrzała się dookoła. Chodziło jej o szefa biura terenowego, które FBI prowadzi w większych miastach, takich jak Los Angeles czy właśnie Waszyngton.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale leży teraz w szpitalu. Wszczepienie podwójnych bypassów. Wybrał doskonały moment, co? Tak sobie myślę, że musiał chyba przeczuwać, że zanoszą się na takie gówna.

Kealey obrzucił go szybko uważnym spojrzeniem, a to co ujrział, przypadło mu do gustu. Hendricks z pewnością miał prawo być wściekły. Postawiono go w naprawdę trudnej sytuacji, z niewielkim polem manewru, a nieoczekiwane pojawienie się reporterów tylko skomplikowało jego położenie. Mimo wszystko wyglądał na człowieka zdolnego do podejmowania szybkich decyzji pod presją.

- Co wiecie do tej pory? - zapytał w końcu agenta.

- Niewiele. Mamy oczywiście potwierdzenie, że facet jest w środku. Recepcjonista widział go wjeżdżającego na górę dwadzieścia minut przed naszym pojawieniem się. Nie próbowaliśmy jeszcze rozmów i zaczynam powoli wątpić, że w ogóle do nich dojdzie. Naciskają na mnie, żebym od razu posłał chłopaków do środka - wyjaśnił Hendricks, niedbałym gestem wskazując stojących nieopodal członków ekipy SWAT. - Osobiście wolał-

bym najpierw spróbować innych rozwiązań, zanim dam im zielone światło. Moi ludzie są nieźle wkurzeni, chociaż nie dają po sobie nic poznać. W tym momencie nie widzę szans na to, żeby ten człowiek wyszedł z tego żywy, chyba że sam się podda. Jeśli dostanie kulę, to nigdy już nie dowiemy się, co kombinował. Ryan przeniósł wzrok na strzelisty budynek, a potem popatrzył z powrotem na Hendricksa, nie odzywając się jednak nawet słowem. Uważał, że to błąd zakładać cokolwiek na temat mężczyzny znajdującego się teraz na siódmym piętrze wieżowca i jego praca w Kongresie nie miała tu żadnego znaczenia.

- Jak trafiliście na tego Shakiba? - zapytał Kealey, a Hendricks natychmiast skupił całą uwagę na stojącym lekko z tyłu za Naomi Kharmai mężczyźnie. Średniego wzrostu, o ciemnych, nieco dłuższych włosach, szczupłej muskularnej sylwetce i ciemnoszarych oczach, nieco niepokojących w swojej intensywności. Ponad dziesięć lat temu Luke Hendricks służył jako dowódca drużyny piechoty w 82 jednostce powietrzno-desantowej z Fort Bragg. Brał udział w wojnie w zatoce i został odznaczony Soldier's Medal za wyciągnięcie dwóch młodych szeregowych z pola minowego tuż przed zmianą jego kontyngentu. Rzadko mówił o tamtym okresie swojego życia, ale znał różnicę pomiędzy prawdziwym żołnierzem a kimś, kto po prostu służył w wojsku i potrafił rozpoznać kogoś takiego, kiedy się na niego natknął.

- Oczywiście, najpierw przyjrzelśmy się narodowości pracowników Kongresu. Szukaliśmy przede wszystkim osób powiązanych w jakikolwiek sposób z Iranem. Niewiele to dało, dopóki ktoś nie wpadł na pomysł, żeby sprawdzić plany podróży. Shakib jeździł co roku na wakacje do Walencji. Dzień czy dwa po przybyciu na miejsce leciał pod fałszywym nazwiskiem do Bukaresztu, a stamtąd dalej do Teheranu. Taka strategia wiązała się z niewielkim ryzykiem, kontakty były ograniczone do minimum, co może sugerować, że Shakib był uśpionym szpiegiem. Kto wie, co jeszcze im przekazał przez te wszystkie lata? Kiedy ta sprawa wyjdzie na jaw, polecą sporo głów. - Stwierdziwszy tak oczywistą prawdę, Hendricks zamilkł na chwilę. - On wie, że tutaj jesteśmy. Gdybyśmy się kompletnie mylili, facet już dawno by się poddał. To jego szukamy.

- I nie potrafiliście załatwić tego dyskretnie? - zapytała Naomi.

- Przeciek nie wyszedł ode mnie, jeśli to właśnie sugerujesz
- odparł ze złością Hendricks. - Mnóstwo ludzi miało dostęp do tej informacji.
- Ale nie my - mruknęła Kharmai.

Wysoko ponad całym tym zamieszaniem Michael Shakib klęczał nieruchomo na modlitewnym dywaniku z pochyloną w pokorze głową, zwrócony twarzą na wschód ku Mekce, miastu, którego nigdy nie odwiedził i dokąd już się nie uda, mimo iż hadż był jednym z pięciu filarów wymaganych przez jego wiarę.

Twarz Shakiba miała typowo arabskie rysy, w czym nie było nic dziwnego, bo jego rodzice wyemigrowali z Kom, w którym Michael przyszedł na świat, do Kalifornii dopiero w 1979 roku, pomimo ogromnych trudności, jakie wiązały się z wyjazdem z kraju po Rewolucji. Przez całe swoje życie cierpiał z powodu uprzedzeń i niechęci żywionych wobec islamu w jego przybranej ojczyźnie, ale nigdy nawet nie pomyślał o wyrzeczeniu się swej wiary. Był świadomy aż do bólu, że sam jego wygląd wystarczy, aby wzbudzić nieufność ludzi, których mijał na ulicy każdego dnia, choć to akurat przekonanie stanowiło w znacznej mierze wytwór jego wyobraźni, bo Michael Shakib był przede wszystkim niezwykle przystojnym mężczyzną.

Byste zielone oczy z brązowymi plamkami, osadzone w twarzy o idealnie gładkiej oliwkowej cerze, stanowiły najbardziej przykuwający uwagę element jego wyglądu. Bardziej jednak niż gęste, czarne włosy liczyły się proste, białe zęby, tak niecodzienny widok w dotkniętych biedą rejonach Iranu, z których udało mu się wyrwać.

W chwilach zadumy Shakib potrafił przyznać, że otrzymał od losu znacznie więcej niż wielu jego pobratymców. Był wdzięczny za te korzyści, a jednocześnie nimi pogardzał. Co dało mu prawo do tak wielkiego sukcesu, do korzystania z bogactwa i przywilejów, które zwykle przypadały w udziale tylko tworzącej najwęższą elitę amerykańskiej młodzieży? Pewnej ciepłej spokojnej nocy na Barbadosie, cztery lata temu, poznał człowieka, który miał odmienić całe jego życie, nadać mu cel. To spotkanie wcale nie było przypadkowe, chociaż tego faktu nigdy mu nie ujawniono.

Do tamtej chwili żył, kierując się tylko instynktami i wrodzoną inteligencją, ale była to zupełnie bezużyteczna egzystencja. Dlatego pomimo osiągnięcia niezaprzecznego sukcesu, Michael Shakib powitał z radością możliwość przysłużenia się tak wielkiej sprawie, a teraz był gotów złożyć swój największy dar. Nie zawiódł się w swych oczekiwaniach.

- Nie mają pojęcia, w co się pakują - powiedział cicho Ryan. Nie było w jego zwyczaju forsowanie własnych sądów, choć instynkt ostrzegał go teraz przed niebezpieczeństwem. Kharmai dosłyszała jednak jego słowa.

- O czym ty mówisz? - zapytała, odwracając się w jego stronę.

- A jak ci się zdaje, kto do nich zadzwonił? - Ryan machnął ręką w stronę reporterów i pozwalając, aby Naomi wyciągnęła własne wnioski, odciągnął Hendricksa na bok. - Proszę posłuchać, nie jestem upoważniony, żeby podejmować jakiegokolwiek decyzje w tej sprawie... To tylko sugestia, ale uważam, że powinniście zwiększyć jak najbardziej obszar objęty kordonem policji. Wiem, że nie uda się całkiem pozbyć dziennikarzy, ale dzięki temu zyska się trochę swobody. A poza tym może warto sprawdzić te wszystkie samochody i potwierdzić tożsamość ich właścicieli. Nie zawsze pracowałem w Waszyngtonie - dodał, widząc pytające spojrzenie swojego rozmówcy.

Luke skinął ze zrozumieniem głową, po czym ruszył w stronę komendanta D.C. Metropolitan Police Department, żeby z nim porozmawiać. Kealey był zadowolony, że Hendricks okazał się człowiekiem otwartym na rozsądne propozycje. Najwyraźniej jego pierwsze wrażenie co do tego mężczyzny było słuszne. Po upływie kilku minut agenci rzeczywiście zaczęli kontrolować zaparkowane wzdłuż ulicy samochody i sprawdzać w policyjnej bazie danych numery tablic rejestracyjnych.

- Co powiedziałaś Luke'owi? - Naomi pociągnęła go za ramię, odgarniając przy tym z twarzy niesforny kosmyk włosów. Ryan odwrócił się w jej stronę i po raz pierwszy przyjrzał się jej naprawdę uważnie. Nie była piękna w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale bezsprzecznie miała w sobie coś pociągającego. Świetliste zielone oczy i nieskazitelna śniada cera z pewnością wyróżniały ją w tłumie. Obrzuciwszy jeszcze wzrokiem idealne

łuki brwi, starannie ułożone włosy i drogie ubrania, uznał od razu, że agentka Kharmai wkłada sporo wysiłku w dbanie o swój wygląd.

Poza tym nie bała się stawić czoła Hendricksowi, a jemu zawsze podobały się kobiety, które potrafią walczyć o swoje zdanie. Rozgniewany, odsunął od siebie te nieproszone myśli. Musi pozostać skoncentrowany. Naomi zadała mu pytanie, chociaż z trudem odnalazł je teraz w zakamarkach pamięci.

- Tylko tyle, że jego ludzie powinni sprawdzić samochody. Facet potrafi posłuchać rady... To cenna umiejętność u dowódcy. Skąd go znasz?

- Pracowaliśmy już kiedyś razem - odparła sucho Kharmai, najwyraźniej nie zamierzając wyjaśniać nic więcej.

Ryan zauważył, jak kącik jej ust wygina się w zakłopotanym uśmiechu i miał tylko nadzieję, że nie zinterpretowała mylnie tego spojrzenia. Jego życie było już i tak wystarczająco skomplikowane.

Żaluzje w oknach jego apartamentu były opuszczone, chroniąc go przed wścibskimi spojrzeniami snajperów rozlokowanych na dachach budynków po drugiej stronie ulicy. Shakib przechodził powoli, niemal tanecznym krokiem, obok luksusowych mebli i rozmaitych bibelotów gromadzonych przez całe życie. Żadna z tych rzeczy nie miała teraz znaczenia.

Na ścianie po przeciwnej stronie ogromnego salonu znajdował się płaskoekranowy telewizor marki Sony. CNN pokazywało właśnie nieme obrazy apartamentowca Kennedy-Warren. Ku swojemu zadowoleniu Shakib zauważył wóz przenośnego centrum dowodzenia ustawiony na dziedzińcu przed budynkiem. Agenci kręcili się obok niego niczym pszczoły wokół ula.

Kiedy plany zamachu na senatora Levy'ego zostały gruntownie sprawdzone i zatwierdzone, Amerykanin przyniósł do tego mieszkania z trzema sypialniami i widokiem na Cleveland Park wiele materiałów. Usłyszawszy, że budynek został niedawno odrestaurowany ogromnym nakładem kosztów, i nawet wpisany na listę kamienic stanowiących dziedzictwo kultury, gość uśmiechnął się tylko i skinął głową, najwyraźniej zadowolony z tej informacji. Potem zażyczył sobie, aby gospodarz

pozwoił mu w samotności przeanalizować kopie projektu i plany poszczególnych pięter, więc Michael wyszedł po kanapki i kawę. Amerykanin obszedł wszystkie pomieszczenia, uważnie oglądając ściany, sufit i framugi drzwi. Sporo czasu spędził też na balkonie, gdzie starannie zbadał ozdobne żeliwne elementy połączone z betonowymi przyporami, które mocowały ciężką konstrukcję do budynku.

Po upływie wielu godzin gość wybrał wreszcie pojedynczy filar o średnicy ponad jednego metra, wpuszczony do połowy w ścianę. Shakib, który początkowo z trudem znosił tak głęboką ingerencję w swoją przestrzeń życiową, teraz słuchał uważnie wyjaśnień, jak ważna jest ta pojedyncza konstrukcja nośna, wspierająca trzy piętra ponad ich głowami. Nie przerywał, kiedy Amerykanin opisywał mu właściwości marmuru i kamienia wykorzystanych przy budowie wieżowca i wymieniał ilość semtexu H, która będzie niezbędna do rozkruszenia takich materiałów.

Shakib doceniał te cierpliwe wyjaśnienia i z uwagą chłonał wszystkie informacje, z rzadka tylko przerywając rozmówcy pytaniami. Chociaż Amerykanin nie wiedział nic na temat islamu, jego techniczna wiedza budziła szacunek, a poza tym Shakib zawsze cenił u ludzi żarliwość w wykonywaniu obranej profesji. W końcu miesiące przygotowań doprowadziły do tej jednej chwili. Nadszedł czas.

Siedem pięter niżej reporterzy wyklócali się zawzięcie z funkcjonariuszami policji odsuwającymi ich coraz dalej od budynku. Nieprzyjemny ton ich podniesionych głosów niósł się daleko ponad tłumem, zwiększając jeszcze powszechne napięcie. Wzniesiono nowe barierki, przy których stanęła jeszcze większa liczba policjantów. Luke Hendricks wyrzaskiwał rozkazy do telefonów komórkowych trzymany w obu rękach, podczas gdy podwładni krążyli wokół, starając się przyciągnąć jego uwagę.

Ryan i Naomi zostali zepchnięci przez otaczających wóz dowodzenia agentów aż pod barierki, tak że znaleźli się niemal równie daleko od miejsca akcji jak rozwścieczeni dziennikarze. Wszystko toczyło się za szybko. Ryan wiedział, że odetchnie spokojnie dopiero wtedy, kiedy skuty kajdankami Shakib będzie

leżał na ziemi, a z okolicy zostaną ewakuowani wszyscy ludzie. Instynktownie rozglądał się jednak wokół w poszukiwaniu jakiejś osłony. Jego wzrok spoczął wreszcie na znajdującej się tuż obok nich potężnej furgonetce dostawczej. Wysoko ponad ich głowami snajper z Hostage Rescue Team¹¹ odezwał się właśnie do mikrofonu:

- Wszystkie zespoły naziemne, tu Sierra Three. Drzwi na balkon są otwarte, odbiór.

Oczy wszystkich agentów pobiegły jednocześnie w górę. Hendricks podniósł radiotelefon do ust, oddalając się kilka kroków od otaczającego go tłumu.

- Sierra Three, mówi dowódca. Czy obiekt znajduje się w zasięgu strzału?

- Tak, odbiór.

- W porządku... Dobra, czekaj na sygnał. Musimy...

- Chwileczkę - przerwał mu nagle snajper. - Obiekt trzyma w rękę jakiś przedmiot. Nie jestem w stanie go zidentyfikować...

Luke Hendricks zastanawiał się chwilę o jaką rzecz może chodzić, a przez głowę przebiegały mu dziesiątki rozmaitych scenariuszy. Kiedy uświadomił sobie najgorszą z możliwości, krzyknął do radia.

- Sierra Three, *strzelaj*, powtarzam, strzelaj *natychmiast!*

Agent specjalny Mark Silverstein spojrział przez celownik optyczny Leupold Vari-X umocowany do wykonanego na zamówienie karabinu Remington 700P LTR. Lodowaty wiatr omiatający dach budynku działał mu na nerwy, ale już wcześniej zdołał wyregulować odpowiednio przyrządy celownicze. Teraz nie pozostawało mu już nic innego, niż zaufać swoim umiejętnościom. Zdecydował, że z tak bliskiej odległości może się pokusić o strzał w głowę. W momencie, gdy naciskał spust, ze zdumieniem zobaczył, jak mężczyzna stanowiący cel uśmiecha się do niego.

Kiedy kula kaliber 308 wyrwała ranę wylotową z tyłu czaszki Michaela Shakiba, rozpryskując różową chmurę kropel krwi,

¹¹Hostage Rescue Team (HRT, „zespół ratowania zakładników”) - specjalna jednostka antyterrorystyczna FBI do walki z terroryzmem na terenie Stanów Zjednoczonych.

skurcz mięśni wywołany nagłą śmiercią sprawił, że palce mężczyzny zacisnęły się wokół trzymanego w prawej dłoni detonatora elektrycznego. Mogło być zupełnie inaczej, ale pięść była zwarta naprawdę mocno... Obwód, który jego gość skonstruował tak starannie niecałe dwa tygodnie temu, w końcu został zamknięty.

Zanim jeszcze Hendricks wydał rozkaz strzału, Ryan zaczął się przepychać poprzez tłum wpatrujących się w górne piętra budynku agentów i policyjnych funkcjonariuszy. Ciągnął za sobą Naomi, wykrzykując przy tym do Hendricksa, że powinien natychmiast ewakuować teren, aż w końcu zaczął wrzeszczeć do tłumy gapiów: NA ZIEMIĘ, NA ZIEMIĘ, choć i tak wiedział, że nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nie zwalniając uścisku wokół ramienia Kharmai, ruszył jeszcze szybciej w stronę otwartych drzwi furgonetki.

Wysoko ponad nimi z boku wieżowca trysnęło niesamowite białe światło, a zaraz potem rozległ się ogłuszający huk, kiedy olbrzymi ładunek wybuchowy rozerwał filar na pół. Zanim jeszcze najsilniejsza fala dźwiękowa dotarła do zgromadzonych na dole ludzi, oślepił ich początkowy błysk eksplozji. Dzięki temu wielu został oszczędzony widok spadającej na nich wschodniej fasady budynku.

* * *

Uwagę agenta specjalnego Luke'a Hendricksa przyciągnęła jakaś postać przeciskająca się przez tłum. Dlatego właśnie w chwili wybuchu nie stracił wzroku i mógł obserwować z niedowierzaniem, jak z nieba pada śmierć. Upadł niezgrabnie na ziemię, przyciskając twarz do lodowatego asfaltu i osłoniwszy głowę rękami, otworzył usta do krzyku.

Ryk eksplozji ciągle jeszcze przetaczał się nad ich głowami, kiedy Ryan rzucił Naomi w kąt opancerzonego samochodu i osłonił ją własnym ciałem. Każdym nerwem czuł wibracje jej zduszonego krzyku, podczas gdy tysiące kilogramów betonu,

marmuru i żelaza spadały z hukiem na Connecticut Avenue. Nie słyszał żadnych innych ludzkich głosów, tylko ten ogłuszający dźwięk świata rozpadającego się na kawałki. Nagły podmuch eksplozji, który uderzył w przód furgonetki, przewrócił samochód na bok niczym dziecinną zabawkę, wrywając koła z osi. Ściany furgonetki wygięły się do środka, szyby z poliwęglanu rozpadły się na kawałki. Ryan poczuł ból, kiedy coś ostrego rozerwało mu skórę twarzy, a potem cały ten hałas nagle ucichł i zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 8

WASZYNGTON

Connecticut Avenue stało się dzisiaj rano sceną prawdziwej katastrofy, kiedy potężna eksplozja zniszczyła wschodnią fasadę rezydencji Kennedy-Warren. Budynek został ewakuowany, zanim doszło do wybuchu. Władze obawiają się jednak, że liczba ofiar może jeszcze wzrosnąć, ponieważ nie udało się odnaleźć wielu osób, które przebywały na miejscu zdarzenia. Eksplozja była najprawdopodobniej wynikiem działań terrorystycznych. Wedle pierwszych ustaleń ładunek został podłożony w znajdującym się na siódmym piętrze mieszkaniu Michaela Shakiba, mężczyzny podejrzanego o przekazanie informacji, które doprowadziły do udanego zamachu na senatora Daniela Levy'ego, przewodniczącego senackiej komisji do spraw wojskowych. Wkrótce będziemy dysponowali dokładniejszymi informacjami. Dla CNN mówiła Susan Watkins.

Katie Donovan przemknęła pośpiesznie obok niedowierzającego tłumu pasażerów zgromadzonych wokół telewizora w terminalu A na lotnisku Dulles International, ledwie rzuciwszy okiem na widoczny na ekranie zniszczony budynek. Lot 213 linii United Airlines dopiero co wylądował, wystartowawszy zaledwie pół godziny wcześniej z Bangoru. Przez całą podróż Katie zaciskała kurczowo dłonie na oparciu fotela, starając się zachować zimną krew, choć przychodziło jej to z coraz większym trudem. Od chwili, gdy usłyszała o porannym zamachu bombowym, w jej sercu zagościł paraliżujący strach, narastający wraz z upływem czasu.

Ryan zostawił jej numer telefonu komórkowego na wszelki wypadek, ale za każdym razem, kiedy go wystukiwała, słyszała tylko komunikat poczty głosowej. W końcu spróbowała skontaktować się z nim, dzwoniąc bezpośrednio do Langley, ale tu nie chciano jej podać żadnych informacji i odesłano do specjalnej linii uruchomionej dla krewnych i przyjaciół ofiar. *Ofiar*. To słowo nie dawało jej spokoju. Trudno było sobie wyobrazić Ryana jako ofiarę czegośkolwiek, a jednak nie potrafiła pozbyć się strachu, który z każdą chwilą był coraz bliższy panice - gdyby Ryanowi nic się nie stało, na pewno by do niej zadzwonił. *Na pewno* by to zrobił. Kiedy dotarła wreszcie do stanowiska wypożyczalni samochodów Avis, ledwie była w stanie powstrzymać się od głośnego krzyku.

Czterdzieści pięć minut później wynajęty ford taurus zatrzymał się z piskiem hamulców przed wejściem do Georgetown University Hospital. Umundurowany policjant krzyknął coś w ślad za Katie, która przepchnęła się przez gromadę tkwiących przed wejściem do budynku reporterów i wpadła do środka, pozostawiając niezamknięty samochód z kluczami ciągle tkwiącymi w stacyjce. Zaaferowana pielęgniarka roztargnionym ruchem wskazała jej oddział chirurgiczny i już po chwili Katie znalazła się w sporej poczekalni przyozdobionej kolorowo w daremnym wysiłku nadania temu pomieszczeniu weselszego wyglądu. Katie nie potrafiłaby sobie wyobrazić rozpaczliwszego widoku. Sala pełna przerażonych ludzi, a wokół słychać tylko szeptane cicho słowa pocieszenia i niewyraźne, stłumione szlochy.

Na miękkich nogach Katie przecisnęła się przez ten tłum w stronę recepcji i próbowała coś powiedzieć do siedzącej za biurkiem pielęgniarki, ale nie była w stanie wydusić nawet słowa.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała recepcjonistka, wpatrując się z nieskrywaną troską w stojącą przed nią młodą kobietę, która wyglądała naprawdę fatalnie - włosy przyklejone do twarzy, skóra wokół oczu zaczerwieniona i opuchnięta. - Spokojnie, złotko. Wszystko będzie w porządku.

Katie odetchnęła głęboko, opierając drżące dłonie o kontuar.

- Szukam mojego narzeczonego, Ryana Kealeya. Ryana Thomasa Kealeya.

Pielęgniarka przejrzała szybko listę, a potem potrząsnęła głową.

- Nie widzę tu nikogo o tym nazwisku. - Katie poczuła, jak serce zamiera jej w piersi, ale zaraz błysnęła jej iskierka nadziei. Może Ryana wcale nie było w tym wieżowcu. Ale jeśli nic mu się nie stało, to dlaczego do niej nie dzwonił? To kompletnie bez sensu... - Chwileczkę, kochanie, sprawdzę jeszcze raz. - Pielęgniarka odwróciła się, żeby zamienić kilka słów ze zmęczonym lekarzem, a Katie zacisnęła mocno powieki, starając się złapać oddech.

- Katie?

Spojrzała za siebie. W drzwiach stał Ryan. Lewą połowę jego twarzy przesłaniał duży opatrunek, skórzana kurtka była porozdzierana, na wybrudzonych dżinsach i rękach zauważyła smugi zaschniętej krwi. Nie zadzwonił... Ale to bez znaczenia, najważniejsze, że jest... żyje. Katie przesłoniła usta dłonią, nie mogąc już powstrzymać spływających po policzkach łez i wyciągnęła rękę do Ryana.

- Nic się wam nie stało? - upewnił się Harper. Ryan stał w niewygodnej pozycji w budce telefonicznej przed szpitalem, przyciskając słuchawkę do ucha. Musiał wyjść z budynku choć na chwilę. Cienka ściana ocierała teraz długą ranę na jego lewym ramieniu, i tylko ten ból razem z szczypiącym w twarz mroźnym powietrzem przypominał mu o tym, że jeszcze oddycha.

- Przeżyjemy. W przeciwieństwie do wielu innych ludzi - mruknął. - Naomi ma niezłe potłuczone prawe ramię. Jak dla mnie wyglądało to dosyć paskudnie, ale prześwietlenie wykazało, że kość jest cała. Dali jej coś na uspokojenie i teraz chyba śpi. John, zuchwałość tych sukinsynów... zamachowcy samobójcy w Waszyngtonie. Nie mam pojęcia, jak z tym walczyć.

- Właśnie otrzymaliśmy pierwsze statystyki - Harper urwał na chwilę, a pulsowanie ciszy wypełniło pustą przestrzeń. - Na chwilę obecną mamy 64 osoby zmarłe i 121 rannych. Oczywiście, jutro, kiedy skończą przeszukiwać gruzowisko, liczby te z pewnością jeszcze wzrosną.

Ryan milczał. Nie pozostawało już nic więcej do dodania.

- Posłuchaj, to był naprawdę trudny dzień dla ciebie. Jeżeli do tej pory nie dopadło cię zmęczenie, to na pewno niedługo tak będzie. Porozmawiamy rano.

Tym razem zapadła znacznie dłuższa cisza. Ryan usłyszał w głosie Harpera znużenie. Znużenie i słabość. To połączenie sprawiło, że na jego barkach niemal niezauważalnie spoczęło kolejne brzemie, tym razem niepewności. Zaczął się zastanawiać, ile jeszcze będzie w stanie wytrzymać, zanim w końcu złamie się pod tym ciężarem.

- Dobrze cię słyszeć, Kealey. Trochę się o was martwiłem. I pozdrów ode mnie Naomi - posłaliśmy jej już kwiaty od całego naszego wydziału.

- To naprawdę miło z twojej strony, John. Do zobaczenia jutro. - Ryan odłożył słuchawkę, a potem stojąc twarzą do szpitala, oparł się o chłodną ceglana ścianę i podniósł wzrok w stronę czarnej pustki. Zauważył, że jego ręce drżą, ale nie był w stanie nic na to poradzić. W swoim życiu widział już wiele przerażających rzeczy, znacznie więcej niż zwykli ludzie, ale nie miał złudzeń, że uda mu się kiedykolwiek zapomnieć spowitą duszącym pyłem scenę, która ukazała się jego oczom, kiedy już wyciągnął Naomi ze zmiążdżonej furgonetki.

Teraz te przerażające obrazy przywołały inne wspomnienia, choć starał się zepchnąć je z powrotem w podświadomość. Szukając gorączkowo jakiegoś zastępczego tematu, żeby zająć czymś myśli, zaczął się zastanawiać nad słowami, które padły wcześniej z ust Katie. *Mój narzeczony... Szukam mojego narzeczonego, Ryana Kealeya.*

Nigdy nie rozmawiali o małżeństwie i na pierwszy rzut oka pomysł ten wydał się mu zupełnie niedorzeczny. Spotykali się dopiero od pół roku i dotąd nie poznał nawet jej bliskich. Teraz, gdy o tym myślał, uświadomił sobie, że Katie nigdy o nich nie wspominała. Ale był gotowy pozostawić dawne życie za sobą i założyć własną rodzinę. W przeszłości miewał oczywiście różne partnerki, jednak na żadnej nie zależało mu równie mocno. Gdyby ktoś zapytał go, dlaczego tak jest, nie potrafiłby odpowiedzieć.

Pomimo wybitnej inteligencji, Katie kierowała się w swoim postępowaniu przede wszystkim emocjami, co wydawało się mu jednocześnie niezwykle pociągające i odrobinę przytłaczające. Nie miała w sobie nic małostkowego - w jej przypadku to emocje decydowały o każdym następnym kroku, bo tylko one

były prawdziwe, godne zaufania. Czasami ich gwałtowność wręcz przerażała swoją intensywnością. Kiedy Katie na czymś zależało, wkładała w to całe swoje serce. Teraz widział, że zaangażowała się całkowicie w ten związek. Dla kobiety, która potrafiła bez namysłu wskoczyć do samolotu i przelecieć setki kilometrów, byle tylko należeć się u jego boku, mógłby poświęcić wszystko.

W końcu przeciął ulicę ze ścielącymi się na niej długimi cieniami, by wrócić do kobiety, którą uratował i tej, która mogła ocalić jego.

ROZDZIAŁ 9

IRAN

Splecione razem gałęzie oszronionych dębów i drzew iglastych wznosiły się wysoko ponad wąską boczną uliczką biegnącą na północ od parku Niyavaran. Czubki koron zwisały ciężko, a przesączające się pomiędzy nimi żółte światło lamp sodowych padało na mokry chodnik, który połyskiwał od chłodnych kropel mżawki. Blask nie sięgał jednak zbyt daleko, jakby wiedział, że mroczne zaułki miasta lepiej zostawić w spokoju.

Poza monotonnym rytmem drobnego deszczu ulice Teheranu były już pogrążone w ciszy zapadającej nocy.

Ali Ahmedi, dwudziestoosmioletni mężczyzna od sześciu lat służący w *Komitehu*, irańskiej tajnej policji, stał lekko przygarbiony w drzwiach słabo oświetlonej restauracji, wydychając w chłodnym powietrzu kłęby pary. Na głowę miał naciągnięty kaptur anoraka, a przy boku trzymał kałasznikowa, którego można było dostać na bazarach w centrum miasta za niecałe 30 dolarów amerykańskich. Jego broń była utrzymana lepiej niż większość karabinów, z zamkiem wolnym od rdzy i cienką warstewką smaru. Gdy tylko otrzyma pozwolenie na powrót do ciepłego wnętrza restauracji, znajdzie sobie jakiś wygodny kącik na podłodze i znowu wyczyści broń. Ahmedi był dumny ze swojej pracy, tak dumny, że w jego życiu pozostawało już niewiele miejsca dla żony i małego dziecka. Obecne zadanie napawało go wyjątkowym zadowoleniem, nawet pomimo paskudnej pogody. Drugi strażnik krył się w mrokach zaułka po przeciwnej stronie ulicy.

Za plecami Ahmediego, w głębi sali o brudnych oknach osadzonych w masywnych drewnianych ramach, zajmowanej

przez stoły i krzesła z nieheblowanego dębowego drewna, dwóch mężczyzn spożywało prosty posiłek, na który składał się kebab jagnięcy i gotowany ryż.

Trzeci strażnik przeszedł pomiędzy stołami z karabinem maszynowym Uzi przewieszonym beztrąsko przez pierś, choć jego oczy nieustannie przeczesywały jednak pogrążoną w półmroku salę. Szczególną uwagę poświęcał drzwiom wahadłowym, prowadzącym do znajdującej się z tyłu budynku kuchni. Dwóch mężczyzn i strażnik - poza tym restauracja była zupełnie pusta.

Saif al-Adel odsunął talerz, po czym rozsiadł się wygodniej na krześle, z zadowoleniem malującym się na jego szczupłej, bladej twarzy. Ze swoimi pełnymi wargami, długim, prostym nosem i nieskazitelną cerą opinającą mocno wystające kości policzkowe wyglądał niemal kobieco. Przez chwilę milczał, jak to zresztą miał w zwyczaju. Przy jego niebezpiecznym zajęciu łatwo było stracić życie, jeśli nie trzymało się języka za zębami albo podejmowało zbyt pochopne decyzje.

Hamza obserwował swojego towarzysza uważnie. Zawsze był ostrożny, jeśli chodzi o gwałtowne zmiany nastroju swojego pobratymca. Trudno było za nimi nadążyć, czasami jedyną ich oznaką było coś tak subtelnego jak lekkie pochycenie głowy czy zmrużenie oczu. Dla Saifa al-Adela słowo „gwałtowne” oznaczało coś zupełnie innego niż dla większości ludzi. Hamza widział na własne oczy, do czego może doprowadzić milcząca wściekłość tego człowieka. Kiedy o tym myślał, pamięć podsunęła mu natychmiast obraz wydarzenia sprzed prawie dwóch lat...

Ognista kula słońca paliła piaski bezkresnej pustyni, leżącej na południe od Kabulu. Pod koniec czerwca 2002 roku morale członków organizacji zaczynało podupadać, a atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca, nie tylko z powodu ekstremalnych temperatur towarzyszących wschodom i zachodom słońca. Afgańczycy bali się, próbowali jednak zamaskować swój strach agresją i przechwałkami. Źródłem lęku byli Amerykanie, helikoptery MH-60 latające nisko ponad powierzchnią pustyni i żołnierze sił specjalnych błyskawicznie opuszczający się z nich na ziemię przy pomocy lin. Z powodu tego strachu na tym rozciągającym

się aż po horyzont bezkresnym pustkowiu dyscyplina praktycznie nie istniała. Młodzi bojownicy zaczęli się zbierać w sporych grupach przed jaskiniami i strzelać z karabinów na osłep w powietrze, całkowicie lekceważąc zachodnie satelity krążące ponad ich głowami. Hassan Hamza, zajęty przygotowywaniem spisu amerykańskich pocisków stinger w chłodnych czeluściach skalnego zbocza, wyszedł na zewnątrz prosto w słońce, zaniepokojony podniesionymi głosami.

Saif al-Adel, niedawno mianowany dowódca zbrojnego skrzydła Al-Kaidy, minął właśnie niewielką grupkę hałaśliwych młodych ochotników. Do jego uszu dotarło imię Muhammada Alefa, który sprawował przed nim tę funkcję, dopóki nie pojawili się Amerykanie ze swoimi zdobytymi podstępem współzrędnymi i naprowadzanymi laserowo bombami. Słyszał sarkazm w młodym głosie, rzucane głośno obelgi i drwinę, z którą można mówić o zmarłym, nie lękając się przy tym odwetu.

A oto scena, jaka ukazała się oczom Hamzy: młody talib, liczący sobie jakieś dwadzieścia lat, popisywał się przed niewielką grupką towarzyszy, a jego karabin leżał zapomniany, na pół przysypany piaskiem, zbyt daleko, by w razie konieczności mógł sięgnąć po niego ręką. Otaczający chłopaka mężczyźni zaśmiewali się z jego złośliwych uwag, głośno wyrażając uznanie dla jego ciętego języka. Al-Adel stał niezauważony w pobliżu. Wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet na jotę, kiedy przesunąwszy się lekko do przodu, wyciągnął zza paska pistolet makarow. Potem błyskawicznie odchylił głowę młodego żołnierza do tyłu i lekko w prawo. Thum rozproszył się natychmiast pośród przerażonych okrzyków. Lufa pistoletu wbiła się w miękkie ciało tuż poniżej kości szczęki, a brązowe oczy młodego bojownika rozszerzyły się ze zdumienia na ułamek sekundy przed tym, jak dowódca nacisnął spust, rozpryskując mózg chłopaka w drżącym od upału powietrzu.

Saif al-Adel stał teraz na wprost grupy zaszokowanych talibskich żołnierzy, opuściwszy luźno pistolet. Za jego plecami znajdowali się uzbrojeni mężczyźni, ale nie odwrócił

się nawet, żeby obserwować ich poczynania. Nie bał się, a przestanie było jasne... Z oczu młodych mężczyzn zniknęła agresja, teraz czaił się w nich już tylko strach. A Hamza widział to wszystko dokładnie.

I nadal to dostrzegał. W tej chwili nienawiść zniknęła, ustępując miejsca zachwytowi, który pojawiał się zawsze po udanej akcji. Hamza czuł jednak, że to uczucie przemyka się gdzieś tuż pod powierzchnią, bo w przypadku Saifa al-Adela przyjemność i morderstwo rodziły się w tej samej mrocznej otchłani.

- Hassan, mój drogi przyjacielu, muszę ci pogratulować.
- Wypowiedziane łagodnym tonem słowa zabrzmiały szczerze. Komplement ten sprawił, że serce Hamzy wezbrało dumą. - Amerykanin jest niezwykle skuteczny. - Saif zamilkł na chwilę. - Jest także uparty, posępny i unika rozmów o sobie. Nie ufam mu.

Jego towarzysz nie mógł się nie zgodzić z tym opisem, bo sam doszedł już dawno temu do podobnych wniosków. Teraz jednak szarpnął swoją wystrzępioną czarną brodę, starając się znaleźć właściwą odpowiedź.

- Jest dla nas użyteczny przez to, czego może jeszcze dokonać i co może przekazać naszym żołnierzom. Ma wspaniały dar nauczania, widziałem to na własne oczy. Wygląda i zachowuje się jak człowiek Zachodu, ale zna również liczne języki i lokalne dialekty. Może pokazać naszym bojownikom, jak konstruować bomby i strzelać do celu z odległości nawet 500 metrów bez użycia celownika optycznego. Jednak, co najważniejsze, nie pyszni się i nie okazuje nam swojej wyższości, gdy ma po temu okazję... Jak nazwałbyś kogoś takiego?

Jego rozmówca upił łyk gorącej herbaty, odwracając przy tym wzrok. Odpowiedź była jasna, ale nie chciał tego przyznać, bo jeśli to prawda... W takim wypadku on sam nie sprawował już nad wszystkim kontroli.

- To Amerykanin - rzucił w końcu. - Ktoś taki może być tylko naszym wrogiem.
- Ten nie jest, Saifie.
- Nie możemy mu ufać.
- Więc co powinien jeszcze zrobić? - zapytał Hamza. - Jak wielu swoich pobratymców musi zabić, żebyś w końcu mu zaufał?

Na chwilę zapadła cisza, wyjąwszy odgłos kroków strażnika, który krążył niespiesznie pośród pustych stołów.

Hassan nie chciał otwarcie kwestionować decyzji młodego dowódcy. Nie zamierzał ryzykować strzału prosto w głowę o pierwszym brzasku, kiedy leży jeszcze skulony w kłębek dla ochrony przed chłodem. Lojalność przestawała być wystarczającą obroną tam, gdzie budził się gniew, a człowiek w końcu zawsze przegrywał z klejącymi się powiekami i trudami dowodzenia niezdyscyplinowanymi chłopcami, którzy dopiero mieli się stać mężczyznami. Może byłby to nóż przyłożony do gardła. Śmierć mogła nadejść na tyle różnych sposobów, a Hamza nie zamierzał ryzykować.

- Mój przyjacielu, rozumiem twój sceptycyzm, bo sam również go podzielał. - Hamza celowo unikał słowa „strach”. - Jednak zawsze przychodzi taki moment, kiedy trzeba zaakceptować fakt, że fortuna uśmiecha się do nas i wykorzystać nadarzającą się okazję. Używamy niebezpiecznej broni, ale jeśli zachowamy ostrożność, możemy dzięki niej zejść naprawdę daleko. Ten człowiek był żołnierzem i został skompromitowany, to oczywiście... Wiem, czego byś pragnął. Chcesz poznać jego całą historię, dowiedzieć się o nim wszystkiego. Ale mogę ci powiedzieć już teraz, że to niemożliwe. Amerykanin jest z definicji zagadką. Musimy przyjąć to, co Allah zechce nam ofiarować i być za to wdzięczni.

Lekkie wygięcie warg i kolejny łyk herbaty. To niebezpieczny moment, bo ten uśmiech może oznaczać właściwie wszystko. Hassan wiedział, dlaczego Saif jest tak podejrzliwy. Przesłuchiwał kiedyś Amerykanina przez trzy godziny i nie dowiedział się niczego. W pewnym momencie przyłożył nawet do głowy mężczyzny broń i oskarżył go wprost o szpiegowanie na rzecz Zachodu, ale i to nie wywołało żadnej reakcji. Wraz z nadejściem świtu zrezygnował w końcu z bezskutecznych wysiłków. Teraz też zamyślił się głęboko, rozważając w milczeniu słowa swojego przyjaciela. Hamza dostrzegł drgające lekko mięśnie policzków młodego dowódcy, doszedł jednak do wniosku, że jego starannie przemyślana opinia została dobrze przyjęta.

- Hassanie - al-Adel rozłożył szeroko ręce dłońmi do góry w geście niechętej kapitulacji - masz rację, jak zwykle. Myliłem

się, wątpiąc w człowieka, którego ty uznałeś za godnego przystąpienia do naszej organizacji. Bardzo cenię sobie twoją opinię. - Ostatnie zdanie wypowiedział wyjątkowo dobitnie, wpatrując się płonąym wzrokiem w twarz Hamzy. Szczere, uspokajające słowa, które uświadomiły jego podwładnemu, jak wielkie zaufanie w nim pokłada.

- Za twoją zgodą chciałbym mu powierzyć całkowitą kontrolę nad operacją w Afryce.

- Nie, nie. - Saif natychmiast odrzucił ten pomysł, zamachawszy długimi ramionami. - Wyczerpaliśmy nasze możliwości działania w tamtym regionie. Po zamachach bombowych w Nairobi i Dar es Salaam Amerykanie bardzo wzmocnili ochronę w swoich afrykańskich ambasadach. Większość ich budynków znajduje się co najmniej sto metrów od ulicy, a zewnętrzne okna są pokryte mylarem. Poza tym wprowadzono dodatkowe kontrole personelu i pojazdów - krótko mówiąc, kolejny atak spowodowałby naprawdę niewielkie straty w ludziach. Nie zamierzam poświęcić niewiernego w tak bezowocnym przedsięwzięciu.

- Zgadzasz się z tobą całkowicie - przytaknął Hamza. Saif miał rację - w atakach z 1998 roku w Nairobi zginęło 213 osób. Trudno byłoby odnieść podobny sukces, a poza tym wszyscy bojownicy z ich organizacji, biorący udział w takim zamachu, zostaliby z pewnością zastrzeleni przez żołnierzy piechoty morskiej, którzy strzegą budynku.

- Dzięki temu uderzeniu możemy osiągnąć znacznie więcej, mój przyjacielu. W przyszłości wsparcie ze strony Irańczyków będzie nieocenione. To bezpieczne schronienie, dostęp do nowych obozów szkoleniowych z przyzwoitym sprzętem. Dostaniemy pieniądze, broń, ochotników. To dla nas nowy początek. Do zdobycia jest naprawdę wiele, więc wszystko musi się udać...

Może zainteresuje cię, Hassanie, informacja, że Amerykanin znacznie chętniej opowiadał o sprawach nie dotyczących jego samego bezpośrednio.

Hamza zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tymi słowami. Nie był obecny przy całym przesłuchaniu.

- Co masz na myśli? Jakże to sprawy?

- Najwyraźniej nasz przyjaciel Shakib natknął się tuż po śmierci senatora na pewne poufne materiały. Wszystkie te dokumenty znajdują się teraz w rękach Amerykanina.

- I te dokumenty są dla nas interesujące? - zapytał Hamza z lekkim uśmiechem, unosząc do ust filiżankę.

- Nasz zachodni przyjaciel twierdzi, że to niezwykle cenna informacja... Uważa, że powinniśmy wykorzystać nadarzącą się okazję i jestem skłonny się z nim zgodzić.

Weź na przykład ogród. Aby utrzymać go w czystości, trzeba wyplenić chwasty. Możesz spalić to, co widoczne, zerwać naziemną łodygę i wszystko nadaremnie. Bo zawsze najważniejsze to zniszczyć korzeń. Jest on osłonięty ze wszystkich stron, ale kiedy ziemia zostanie już odgarnięta, staje się bezbronny. Całkiem możliwe, mój przyjacielu, że teraz ziemia została właśnie usunięta i droga jest wolna... - Hamza ujrzał, jak obojętne brązowe oczy siedzącego naprzeciwko niego mężczyzny rozjaśnia błysk szaleństwa. Wiedział, że pomimo całego swojego oddania organizacji nigdy nie zdoła dorównać fanatyzmowi Saifa al-Adela. I był za to wdzięczny. -...Amerykanin uważa, że w przeciągu zaledwie miesiąca nadarzy się nam okazja, by zabić samego prezydenta.

ROZDZIAŁ 10

HRABSTWO BROOKS, GEORGIA

Pomimo ciągłych skarg Naomi Kharmai, lekarze z Georgetown University Hospital uparli się, żeby zatrzymać ją na obserwacji jeszcze dwa dni. Zdaniem samej zainteresowanej było to o dwa dni za dużo, wykorzystwała jednak ten czas na zebranie informacji dotyczących Petera Hale'a, dowódcy, który podpisał dymisję Kealeya. Dzięki dyskretnemu śledztwu dowiedziała się, że generał Hale odszedł z wojska w 2001 roku, pomimo iż zaproponowano mu dowództwo sił amerykańskich stacjonujących w Korei Południowej, co oznaczałoby dla niego, wówczas generała dywizji, trzy gwiazdki i awans do stanowiska generała broni. Naomi zastanawiała się, czyjego decyzja o przejściu na emeryturę mogła mieć jakiś związek z nagłym odejściem Ryana Kealeya ze służby.

Bez trudu przekonała swojego przełożonego, że potrzebuje jeszcze kilka dni urlopu zdrowotnego. Chociaż nie podobała się jej myśl, że wyda się Harperowi słaba, potrzebowała trochę czasu, jeśli chciała porozmawiać z generałem osobiście. Zdobycie adresu Hale'a było nieco trudniejsze, ale zdołała go w końcu znaleźć dzięki znajomemu ze skarbówki.

Naomi podejrzewała, zresztą słusznie, że Jonathan Harper nie zechce jej udzielić żadnych dodatkowych informacji na temat Kealeya czy Marcha. Chciała jednak wiedzieć więcej o obu mężczyznach, żeby móc wyciągnąć własne wnioski. Już od dzieciństwa dostrzegała w sobie tę ogromną potrzebę umieszczania ludzi i rzeczy w schludnych szufladkach z jasno sprecyzowanymi etykietkami. Często oceniała innych na podstawie

tylko i wyłącznie ich postępowania, a kiedy już podjęła decyzję, jak zakwalifikować delikwenta, nic nie było tego w stanie zmienić. Opinia Naomi Kharmai była równie niezmienna, jak miejsce słońca we wszechświecie.

Jeżeli generałowi Hale'owi zależało na tym, żeby zostawiono go w spokoju, to z pewnością wybrał właściwe miejsce, pomyślała. Już raz przegapiła właściwy zjazd i musiała cofnąć samochód na porytej koleinami gruntowej drodze, wzdłuż której rosły drzewa o powykęcanych konarach i krzewy. Po upływie jakichś dziesięciu minut wypatrzyła wreszcie pogiętą czarną skrzynkę na listy, oznaczoną jedynie numerem domu. Podjazd prowadzący do posesji Hale'a został niedawno utwardzony, ale był niemal równie mocno zarośnięty chaszczami jak główna droga. Gałęzie szorowały o bok jej samochodu, kiedy jechała dalej, zanurzając się w gęstą roślinność.

Nagle drzewa rozstały się i wynajęty ford explorer Naomi wyjechał na rozległe pole porośnięte dzikimi trawami, pośrodku którego znajdowała się wielka rezydencja wybudowana jeszcze przed wojną secesyjną. Dominujący element frontowej fasady stanowił biały, wsparty na czterech strzelistych kolumnach doryckich portyk, połyskujący różowawo w blasku zachodzącego słońca. Ściany szczytowe krytego dwuspadowym dachem budynku kończyły się kominami, wysokie okna ocieniał treliarz zarośnięty przywiedłymi już pnączami wisterii chińskiej, jaśminu i róż odmiany Lady Bankshire. Pomimo nadciągającej zimy powietrze nadal było tu przesycone zapachem kwiatów. Naomi z przyjemnością wciągała w nozdrza ten aromat, kierując się w stronę drzwi wejściowych po zaparkowaniu swojego forda tuż koło domu.

Na jej pukanie nikt nie odpowiedział, a kiedy poruszyła klamką, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. W końcu okrążyła dom, niemal natychmiast natykając się na pokrytego warstwą zaskorupiałego błota czerwonego pikapa chevy stojącego na nagim skrawku ziemi. Podeszła do auta i położyła zdrową rękę na jeszcze ciepłej masce. Stygnący silnik postukiwał lekko.

- Co pani robi?

Naomi odwróciła się gwałtownie na dźwięk głosu. Przed sobą miała potężnego mężczyznę o siwych włosach, ubranego w wy-

blakłą czerwoną koszulę z flaneli, brązowe sztruksowe spodnie i ubłocone pionierki. Jego ramiona pochylały się z wiekiem, ale żywe niebieskie oczy zdawały się rekompensować ślady, jakie czas odcisnął na jego ciele.

- Pytałem, co pani tu robi? - powtórzył.

- Dzień dobry, Naomi Kharmai. - Naomi z uśmiechem wyciągnęła rękę na powitanie. - Szukam generała Hale'a.

Mężczyzna zmierzył ją szybko wzrokiem od stóp do głów, a potem uściśnął jej dłoń. Naomi poczuła na swoich gładkich palcach szorstki dotyk stwardniałej skóry.

- W takim razie już go pani znalazła. Czym mogę służyć?

Naomi podała mu swoje dokumenty, ale Hale ledwie rzucił na nie okiem.

- Jestem z Agencji. Mam do pana kilka pytań na temat żołnierzy, którzy służyli pod pańskim dowództwem w Fort Bragg - wyjaśniła. Na twarzy mężczyzny odbiła się natychmiast nieufność. - Rozumiem, że może pan będzie chciał zadzwonić, żeby mnie sprawdzić. Numer do centrali to...

- Znajdę numer. Proszę za mną.

Hale ruszył na tyły domu, gdzie znajdował się biały, osłonięty od słońca ganek. Naomi wlokła się za nim niezgrabnie, bo ostre obcasy jej sięgających kolan skórzanych kozaków zapadały się głęboko w miękkiej ziemi. Hale zauważył jej kłopoty i roześmiał się serdecznie.

- Wybrała pani złe buty na pobyt w Georgii - zakpił, po czym otworzył drzwi z siatką przeciw owadom i ku rozbawieniu Naomi, przytrzymał je dla niej. - Może zaczeka pani na ganku, a ja za chwilę wrócę. Napije się pani czegoś?

- Nie, nic mi nie trzeba, dziękuję - odmówiła Naomi. Nadal trzymając jej legitymację w ręku, Hale wszedł do domu i zniknął jej z oczu. Naomi popatrzyła na rozciągający się przed nią widok, tak różny od ciężkich chmur przetaczających się nad Waszyngtonem. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a pomarańczowe niebo przecinały smugi fioletu, czerwieni i złota. Rozciągające się za domem pola były puste, ale w oddali dało się dostrzec zarysy kilku niskich oszalowanych budynków, rysujących się wyraźnie na tle starych, sękatych drzew.

Nagle drgnęła, przestraszona skrzypnięciem drzwi, otwierających się z piskiem zardzewiałych zawiasów. Hale zjawił się z powrotem, trzymając w dłoni butelkę piwa. Oddał Naomi jej dokumenty, po czym usadowił się ostrożnie naprzeciwko niej na krzeselku z kutego żelaza.

- No cóż, sprawdziłem panią, młoda damo. Czegoś tu jednak nie rozumiem. Zdaje się, że mogła pani otrzymać wszystkie potrzebne informacje od Johna.

- Zna pan dyrektora Harpera?

- Jasne - odparł Hale, a na jego pobrużdżonej twarzy pojawił się lekki uśmiech. - Podesłał nam sporo świetnych ludzi do niektórych operacji, które prowadziliśmy w Kosowie, a jeszcze wcześniej w Iraku. Cholernie dobry w tym, co robi.

Naomi skinęła głową z szacunkiem.

- To też pana własność? - zapytała, wskazując ręką budynku w oddali.

Generał przytaknął.

- Kiedyś mieszkali tam niewolnicy. Patrzy pani teraz na zaledwie niewielki kawałek ziemi przylegający do domu. Tam za tymi drzewami rozciąga się jeszcze ponad czterdzieści hektarów, głównie nieużytków. Dawniej uprawiano tu zboża, bawełnę, tytoń, wszystko, co przynosiło zysk. Plantację założył w 1857 roku pułkownik konfederatów, który zginął później pod Shiloh. Posiadłość znajdowała się od ponad stu lat w rękach rodziny mojej żony, aż do jej śmierci trzy lata temu.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała Naomi, starając się wykrzesać z siebie choć odrobinę współczucia. Hale skinął głową ze smutkiem.

- Bardzo mi jej brakuje. To za dużo miejsca jak na jedną osobę. - Naomi odczekała stosowną chwilę, ale zanim zdążyła się odezwać, generał ją ubiegł. - Więc jakich to informacji pani szuka? Chodzi o Kealeya?

- Skąd pan wie? - zapytała. Po raz kolejny ją zaskoczył.

- Po prostu zgadłem. Domyślam się, że widziała pani jego akta. Wszystko, czego pani potrzeba, powinno tam być.

- Nie do końca - odparła Naomi. - Dlaczego odszedł z wojska? W ciągu ośmiu lat awansował do rangi majora. To chyba niezłe osiągnięcie, nawet jak na faceta z zielonych беретów?

Peter Hale roześmiał się, po czym upił duży haust piwa.

- Po pierwsze, oni nie lubią, jak się ich tak nazywa. Zielone berety to tylko ich nakrycie głowy. A w odpowiedzi na pani pytanie, tak, to naprawdę świetne osiągnięcie. Ryan Kealey odniósł wielki sukces. - Generał popatrzył na rozciągające się przed nimi pola, a życzliwa mina zniknęła z jego twarzy.

- Szkoda, że przytrafiło mu się coś takiego - dodał, zniżając głos, jakby mówił jej to w tajemnicy. - W aktach było coś na temat Bośni?

- Nie. Proszę mi o tym opowiedzieć - powiedziała Naomi. Ją samą rozczarowała trochę ta rozpaczliwa nuta brzmiąca w jej głosie, ale wiedziała, że Hale jest prawdopodobnie jej jedyną szansą na uzyskanie odpowiedzi.

- Żeby zrozumieć wszystko - zaczął generał - musi mieć pani pewne pojęcie o rozgrywających się tam wówczas wydarzeniach. Serbowie mordowali masowo muzułmanów, nie zwracając uwagi na wiek czy płeć. I nie chodzi wyłącznie o zabijanie tych ludzi - mówimy tu o torturach, okaleczaniu i zbiorowych gwałtach. To było ludobójstwo na ogromną skalę. W samym tylko 1995 roku liczba zamordowanych muzułmanów sięgnęła siedmiu tysięcy, a i tak są to zaniżone liczby. Pełen obraz tego, co się tam działo, nigdy tak naprawdę nie trafił do międzynarodowej prasy, ale Europa nie doświadczyła niczego gorszego od czasów holocaustu. Może pani sobie wyobrazić, jak niebezpieczne były to czasy dla amerykańskich żołnierzy stacjonujących w tamtym regionie w ramach misji stabilizacyjnej NATO.

Naomi skinęła powoli głową, wbijając wzrok w ciemniejące w oddali budynki.

- Proszę mówić dalej.

- Kealey pojechał tam wyłącznie jako doradca, trafił pod dowództwo generała Wilkesa. Miał wtedy rangę porucznika, stacjonował, jeśli się nie mylę, razem z kontyngentem NATO w Camp Butmir w Sarajewie.

Od czasu do czasu wychodził w teren razem z patrolami SFOR. Była taka muzułmańska dziewczynka, która bardzo go polubiła. Miała wtedy jakieś dwanaście czy trzynaście lat, nie pamiętam teraz jej imienia, ktoś mówił mi, jak się nazywała, ale wyleciało mi to z pamięci. Oczywiście nie przebywałem wtedy

w Bośni, te informacje pochodzą od żołnierzy, którzy byli z nim na tym patrolu. W każdym razie ta dziewczynka, z tego co słyszałem całkiem ładna, przynosiła Kealeyowi czekoladę, kwiaty, tego typu rzeczy. Podejrzewam, że po prostu się w nim podkochiwała. Ryan zawsze zatrzymywał się, żeby z nią porozmawiać. Inni żołnierze żartowali sobie nawet z niego na ten temat, śmiali się, że ją podrywa. Pewnego dnia matka dziewczynki wybiegła z domu zapłakana, przeklinając ich głośno. Serbska milicja dowiedziała się, że jej córka rozmawia z Amerykanami. Domyśla się chyba pani, co nastąpiło później.

- Zabili ją?

- Gdyby tylko to, nie byłoby wcale tak źle. Zgwałcili ją wielokrotnie, pobili tak, że nie dało się rozpoznać jej twarzy, a potem wypruli jej wnętrzności, kiedy ciągle jeszcze żyła. Jej matka zidentyfikowała ją tylko dzięki znamieniu na nodze, a i tak musiała się przyjrzeć ciału dwa razy, żeby mieć całkowitą pewność.

Naomi zadrżała, ale była to wina jedynie chłodnego wiatru, wdzierającego się przez ażurowe ściany ganku, a nie opowieści generała.

- Kealey zaczął rozpytywać ludzi. Dowódcą miejscowej milicji był niejaki Stojanovic. Tak naprawdę nie liczył się zbytnio, nie miał dużej władzy. Kealeya niewiele to obchodziło, bo wszyscy wskazywali wyłącznie w jednym kierunku. W końcu poszedł sam do tego człowieka, wbrew wyraźnym rozkazom ze strony dowódcy jednostki.

Dwa dni później znaleziono Stojanovica. Siedział na krześle z poderżniętym gardłem. W domu były jeszcze ciała trzech martwych ochroniarzy - każdy dostał dwie kulki w głowę.

Naomi poczuła dreszcz przebiegający po napiętych mięśniach grzbietu, choć wcale nie z powodu tej historii. Tamte wydarzenia nie były w stanie jej poruszyć, przebić się przez pancerz ochronny, który wokół siebie zbudowała.

- To było w 1995 roku, tak? Myślałam, że Kealey odszedł z wojska dopiero w 2001.

- Zgadza się. Nie mieli wystarczających dowodów, żeby postawić go przed sądem wojskowym, a poza tym wcale się do tego nie palili, zapewniam panią. Odbyło się co prawda wstępne

dochodzenie, ale nie zebrano zbyt wiele materiału. Wszyscy przesłuchiwani żołnierze zapewnili mu alibi. Kealey był cholernie dobrym oficerem, aż do tamtych wydarzeń miał zawsze doskonałe oceny. Mówiło się już nawet o przyznaniu mu dowództwa kompanii, ale ta sprawa spieprzyła wszystko. - Hale zaśmiał się, potrząsając przy tym głową. - Przepraszam za moje słownictwo. Tak to jest, kiedy się spędza tyle czasu w wojsku.

Naomi uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

- Może jednak poproszę o piwo - powiedziała, wskazując na butelkę - jeżeli nie będzie to zbyt wielki kłopot.

Generał natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Jasne, przy okazji wezmę jeszcze jedno dla siebie.

Kiedy Hale zniknął we wnętrzu domu, Naomi została sama ze swoimi myślami. *Mój Boże, co z niego za człowiek?* Kealey zaryzykował swoje życie, zaprzepścił szanse na karierę, a wszystko dla jakiejś małej dziewczynki, której nawet nie znał... *Kto posunąłby się do czegoś takiego?* Chociaż nie potrafiła zrozumieć uczuć, które kierowały postępowaniem Kealeya, poczuła jeszcze większy szacunek do tego człowieka.

Po chwili Hale zjawił się z powrotem i wręczył jej butelkę. Potem opadł z powrotem na swoje krzesło i pociągnąwszy duży łyk piwa, zapatrzył się w dal, poprzez porośnięte trawami pole. Ponad horyzontem widać było już tylko skrawek czerwonego słońca. Wyglądało to zupełnie tak, jakby niebo na zachodzie płonęło. Naomi zwróciła wzrok w stronę generała, na twarzy którego malowało się teraz zamyślenie.

- Wie pani, Bośnia była ostatnią misją Ryana przed jego przejściem pod moje dowództwo w Fort Bragg. Oczywiście, docierały do mnie pogłoski na jego temat, zanim jeszcze pojawił się w moim gabinecie po raz pierwszy, żeby zgłosić swoją gotowość do służby. W wojsku każdy ma jakąś historię i chętnie upiększa fakty. Łatwo jest wymyślić jakąś bajeczkę, bo nikt nie jest tego w stanie sprawdzić i nigdy nie wiadomo, co jest kłamstwem, a co nie. Ale ja chciałem znać prawdę, więc zapytałem go wprost: „Zabiłeś tych czterech ludzi w Bośni?”.

- I? - Naomi czekała niecierpliwie na ciąg dalszy. Generał spojrzął na nią, ale z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Nic nie odpowiedział. Po prostu wstał, zaszalutował i wyszedł. Właśnie wtedy zrozumiałem, że to prawda.

Naomi znowu zadrżała, choć powietrze było zupełnie nieruchome... Mimo wszystko uznała, że dobrze zrobiła, przyjeżdżając tutaj. Harper nigdy nie ujawniłby jej tych informacji. Z jakiegoś powodu naprawdę zapragnęła poznać imię tamtej dziewczynki. To wydawało się jej ważne.

- Panie generale, było coś jeszcze, prawda? Coś wydarzyło się pomiędzy Kealeyem a Marchem...

- *Gdzie pani usłyszała to nazwisko?* - zapytał Hale, gwałtownie odwracając głowę w jej stronę.

- Padło w rozmowie pomiędzy dyrektorem a Kealeyem - wyjaśniła cicho Naomi. - W związku ze śmiercią senatora Levy'ego i zamachem bombowym w Kennedy-Warren.

Generał miał przymknięte oczy, jego twarz pobladła nagle. Naomi zauważyła, jak jego dłonie zaciskają się mocno na oparciu krzesła i przez jedną przerażającą chwilę pomyślała, że dostał zawału. Potem jednak jego oddech uspokoił się, a żelazny uścisk palców zelżał.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Po prostu dawno już nikt nie wspominał o tej sprawie...

- Kim jest March, panie generale? - zapytała łagodnie Naomi.

- Proszę mi mówić po imieniu. - Hale potarł dłonią twarz, ścierając z niej wyraz zaskoczenia. Naomi miała wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie się odezwał. - Ryan Kealey dołączył do mojej trzeciej grupy sił specjalnych zaraz po powrocie z Bośni, w listopadzie 1995 roku, ale upłynęły prawie dwa lata, zanim został ponownie wysłany do akcji. W tym czasie był dowódcą jednostki ODA 304.

- ODA? Co to znaczy? - dopytywała Naomi.

- Operational Detachment Alpha. To nomenklatura sił specjalnych - prawie wszystko w armii jest oznaczone jakimś akronimem. W każdym razie Kealey doskonalił swoje umiejętności przywódcze i przygotowywał oddział. Wszystko układało się świetnie, nie miałem żadnych problemów z ludźmi z jego kompanii. To byli moi najlepsi żołnierze, chociaż Kealey psioczył cały czas, bo nie chciałem dyslokować jego jednostki. Ale wolałem, żeby najpierw doszedł do siebie, dlatego trzymałem go

w Bragg. Po pewnym czasie zjawił się u mnie ze skargą na jednego ze swoich sierżantów.

- Chodziło o Marcha?

Hale skinął głową.

- March był dowódcą plutonu. Początkowo podszedłem do tego sceptycznie, bo Kealey nie potrafił wskazać konkretnie, w czym tkwi problem. A March był cholernie dobrym podoficerem. Nie miał skończonych studiów, bo inaczej wypchnąłbym go, pomimo jego protestów, do szkoły oficerskiej. Jedyne, co mogłem mu zarzucić to pewna arogancja, ale w końcu wszyscy przywódcy są pewni siebie... W każdym razie nie bardzo przekonywały mnie słowa Kealeya. Nawet on sam był odrobinę zażenowany, podnosząc w ogóle ten temat, bo wyglądało to na zupełnie błahą sprawę.

- A co powiedział? - zapytała Naomi łagodnie. Jej głos miał teraz niemal uwodzicielski ton i intonację.

Hale zawahał się lekko.

- Twierdził, że March nigdy nie okazuje żadnych emocji.

- Generał natychmiast zauważył reakcję Naomi, tak bardzo przypominającą jego własną sprzed ośmiu lat. - Tak, wiem. Nie wygląda to na nic poważnego. Tak właśnie wtedy myślałem. Ale jeżeli się pani nad tym zastanowi, może zrozumie pani, co to oznacza. Dla młodego żołnierza służba w wojsku w czasie pokoju to nie jest trudne życie. Wykonuje się rozkazy, odnosi się do przełożonych z szacunkiem i wykazuje choć odrobinę zainteresowania swoją pracą. Każdy może to robić. Jednak kiedy zaczyna się awansować, odpowiedzialność rośnie coraz bardziej, podczas gdy pobory pozostają na prawie niezmiennym poziomie. Człowiek staje się odpowiedzialny za życie i dobre samopoczucie żołnierzy pod swoim dowództwem... Wraz z odpowiedzialnością wzrasta więc także stres, a to może czasem prowadzić do wybuchu. Każde inne zachowanie jest nienaturalne.

- Oczywiście, nigdy nie byłem w wojsku, ale moim zdaniem to niewiele - zauważyła Naomi.

- Ma pani rację. To niewiele. Ryan opowiedział mi też o dziwnym wyrazie, jaki pojawia się czasami na twarzy Marcha i o tym, że mieszka on poza bazą i nikt z kolegów nie widział jego kwatery. Szczerze mówiąc, Kealey wiele stracił w moich

oczach po tej małej przemowie. To znaczy, wszystkie te oskarżenia brzmiały jak urojenia i wydawały się co najmniej bezpodstawne.

Naomi zauważyła wyraz bólu, który przemknął po jego twarzy.

- A jednak miał rację. Powinienem być go posłuchać. W końcu jesienią 1997 roku wysłałem jednostkę Kealeya z misją. To była odpowiedź na zamach bombowy na Khobar Towers w Dhahranie z 1996 roku. Jeśli pani pamięta, dziewiętnastu naszych żołnierzy z lotnictwa zginęło w wyniku tego ataku, a do jego zorganizowania przyznał się Hezbollah. Zajęło nam to trochę czasu, ale po całych miesiącach gromadzenia informacji zdołaliśmy ustalić, że organizatorem zamachu był Mohammed Khalil. Otrzymał azyl polityczny w Syrii i zamieszkał w rezydencji na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Potrzebowałem do tej akcji naszych najlepszych ludzi, bo mieliśmy tylko jedną szansę, więc posłałem tam oddział Ryana. Nazywa się to akcją bezpośrednią. Chodzi o misję, której celem jest pojmanie lub zlikwidowanie żołnierzy wrogich wojsk. Zazwyczaj nie posyła się do tego sił specjalnych, ale to było akurat bardzo ważne zadanie. March miał zająć pozycję obserwacyjną. Jako jedyny z całej drużyny ukończył szkolenie snajperskie w Benning, więc znajdował się na szczycie wzgórza razem z drugim najlepszym strzelcem w jednostce. To miało być przesłanie dla naszych wrogów, naprawdę ważna akcja... Zadaniem Marcha było zlikwidowanie ludzi w samochodzie wiozącym Khalila, a potem powiadomienie grupy na dole. Zamiast tego zabił drugiego snajpera i zaczął strzelać do swoich towarzyszy z jednostki, schodzących akurat w dół zbocza.

Naomi nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

- Zginęli wszyscy?

- Wszyscy poza kapitanem. Ekipa ewakuacyjna, stanowiąca drugą połowę dwunastoosobowego oddziału, przybyła na miejsce dwadzieścia minut po przerwaniu kontaktu radiowego. Dopiero później dowiedzieli się, co zaszło, ale w każdym razie wyciągnęli stamtąd Kealeya z paskudną raną postrzałową w klatce piersiowej i przebitym płucem. To cud, że w ogóle przeżył tak długo. Na stanowisku Marcha natknęli się na mnóstwo krwi, więc uznali, że facet po prostu się wykrwawił i to wszystko.

- Czyli przyjęliście, że March nie żyje?
- Znajdowaliśmy się pod ogromną presją, żeby tak właśnie postąpić. Nie było żadnych świadków, nikogo, kto mógłby zakwestionować oficjalną wersję wydarzeń, dzięki czemu uniknęliśmy ogromnego problemu. To znaczy, aż do teraz.

- Aż do teraz.

Naomi ledwie widziała Petera Hale'a. Sączący się przez drobne otwory w ażurowych ścianach mrok niepostrzeżenie okrył ganek ciemnym całunem. Pozbawiony ciała głos generała napływał do niej poprzez chłodne nocne powietrze razem z delikatną muzyką świerszczy ukrytych pośród długich źdźbeł traw.

- Jeżeli Harper wysłał cię w pogoń za Marchem, to mam nadzieję, że jesteś gotowa. Chybisz raz, a nie będziesz miała drugiej szansy. Powinnaś się cieszyć, że masz Ryana po swojej stronie, ale nie zapominaj, z czym masz się zmierzyć... Cokolwiek się wydarzy, nie pozwól, aby March cię dopadł. Możesz mi wierzyć, to ostatnia rzecz, której byś sobie życzyła.

Naomi poczuła, jak po ostatnich słowach generała jej ciało przenika dreszcz strachu. Ten lęk zdołał się przedrzeć nawet przez mur stoicyzmu, którym się otoczyła i dotknął jej serca lodowatymi palcami, pozostawiając po sobie uczucie chłodu. Dla Naomi Kharmai strach był nowym, niemile widzianym uczuciem.

Podziękowawszy cicho za informacje i piwo, Naomi wstała z krzesła. Zardzewiałe zawiasy skrzypnęły gniewnie, kiedy otworzyła drzwi, a potem zniknęła pośród rozciągającego się za werandą pustego terenu.

ROZDZIAŁ 11

WASZYNGTON

Należący do Jonathana Harpera elegancki budynek z piaskowca znajdował się przy Dupont Circle, w historycznej okolicy General' s Row. Szereg miejskich rezydencji został wybudowany pod koniec siedemnastego wieku i ofiarowany byłym generałom wojsk Unii zamiast emerytury, bowiem rząd federalny nie dysponował wówczas odpowiednimi funduszami. Domy zachowały się w doskonałym stanie, pomimo upływu czasu nadal górując majestatycznie nad wąską ulicą, zupełnie jak ponad sto lat wcześniej.

Ku swojemu zaskoczeniu Ryan nie miał żadnych problemów ze znalezieniem miejsca do zaparkowania swojego samochodu na ulicy. Kiedy razem z Katie wspinali się po schodach prowadzących do drzwi wejściowych, zastanawiał się, czy Harper wykorzystał swoje wpływy w policji, żeby chodnik przed jego domem był zawsze wolny od aut. On zrobiłby to samo, gdyby znalazł się na miejscu zastępcy dyrektora CIA. W wejściu powitała ich ciepło Julie Harper, niska, odrobinę zbyt pulchna kobieta, którą Ryan znał i darzył przyjaźnią równie długo jak jej męża. Dokonawszy prezentacji obu pań, z wdzięcznością przyjął zaproszenie do ciepłego wnętrza domu. Jonathan czekał już na nich w jadalni.

- Ryan, twoja twarz wygląda okropnie - powiedział na ich widok, a potem zwrócił się do Katie: - To musi być dla pani kłopotliwe pokazywać się w jego towarzystwie.

Katie uśmiechnęła się i ujęła Ryana pod ramię, żartobliwie przytulając się do niego.

- Ma pan całkowitą rację - powiedziała. - Zaczęłam chodzić kilka kroków za nim, żeby ludzie nie wiedzieli, że jesteśmy razem.

Kealey posłał Harperowi smutny uśmiech, co tylko rozbawiło dyrektora jeszcze bardziej.

- John, poznaj Katie Donovan. Katie, to John Harper, zastępca dyrektora w Langley... krótko mówiąc, mój szef.

- Dziękuję, że zechciała nas pani odwiedzić. - Jonathan serdecznie uściśnął dłoń dziewczyny. - Ryan ciągle o pani mówi. To zaczyna mieć wpływ na jego pracę, chociaż i tak niewiele robił.

Katie roześmiała się, a w tym samym momencie z kuchni wyłoniła się Julie z pierwszym z kilku parujących dań.

Posiłek składający się z grillowanego kurczaka w sosie cytrynowym, pieczonych ziemniaków, świeżej sałaty i francuskiego pieczywa, podanych razem ze schłodzonym białym winem, okazał się niezwykle smaczny. Wraz z upływem czasu rozmowa przy stole stawała się coraz bardziej swobodna i ożywiona, do czego przyczyniła się też kolejna butelka wina. Długo po zakończeniu kolacji obie panie przeszły w końcu do salonu, chichocząc z jakiegoś żartu i popijając wino z trzeciej butelki, którą przyniosła Julie. Gdy tylko odeszły od stołu, Jonathan roześmiał się i potrząsnął lekko głową.

- Zdaje się, że nasze damy przypadły sobie do gustu - zauważył. Kealey przytaknął z uśmiechem. Jego gospodarz ujął swój kieliszek i wstał. - Musimy jeszcze omówić parę spraw. Chodźmy na górę.

Ryan ruszył za Harperem po schodach. Po chwili znaleźli się w gabinecie o wyłożonych ciemną mahoniową boazerią ścianach. Znaczną część pokoju zajmowało ustawione centralnie na spłowiałym perskim dywanie ogromne biurko z wypolerowanego drewna. Siadając w jednym z dwóch wygodnych skórzanych foteli, Jonathan zauważył wyraz twarzy swojego przyjaciela i uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- Wiem, ten pokój wygląda zupełnie inaczej niż reszta domu - powiedział. - Ale potrzebowałem przynajmniej jednego pomieszczenia bez kwiecistego wystroju i tapet w róże. Możesz mieć ten sam problem, jeśli nie będziesz wystarczająco ostrożny.

- I tu akurat masz chyba rację - roześmiał się Ryan.

- Wygląda na wspaniałą dziewczynę. Cieszę się, że ją do nas przyprowadziłeś.

- Chociaż tyle mogłem zrobić. Przyleciała z Maine zaraz po zamachu tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć. Ale minęły już cztery dni i zdaje się, że zaczyna mieć dosyć siedzenia w hotelu przez cały czas.

- To dla niej najbezpieczniejsze miejsce, Ryan. Wiesz, że znowu podnieśli poziom zagrożenia. Teraz obowiązuje czerwony - „poważne” ryzyko ataku terrorystycznego, cokolwiek to, do diabła, znaczy. Najlepiej zrobiłbyś, odsyłając ją po prostu do Cape Elizabeth.

Kealey wzruszył ramionami.

- Lubię mieć Katie blisko, a poza tym martwię się o nią, kiedy siedzi w domu zupełnie sama. Zresztą dzwoniła już na uniwersytet i zrezygnowała ze wszystkich zajęć w tym semestrze. Próbowałem jej to wyperswadować, ale stwierdziła, że i tak potrzebowała przerwy. Nie mogę kazać jej teraz wracać do Maine.

- Tak, no cóż... - Nagle na twarzy Harpera odbiło się zakłopotanie, ale kiedy Ryan zaczął się zastanawiać nad przyczyną, jego rozmówca już zmienił temat. - Posłuchaj, chciałbym poznać twoje zdanie w pewnej sprawie. Co sądzisz o pomysłe dodania nazwiska Marcha do przygotowanej przez FBI listy najbardziej poszukiwanych terrorystów? Zaczynamy się skłaniać ku takiemu rozwiązaniu.

Kealey natychmiast potrząsnął głową.

- Sam to powiedziałeś, John. Coś takiego wywoła ogromną wrzawę w mediach, a i tak nie przybliży nas to pewnie nawet na krok do jego schwytania. Nie uda się załatwić tego po cichu.

- Prezydent jest tego samego zdania - powiedział w zamyśleniu Harper, upijając łyk wina. Ryan zerknął na niego szybko, ale Jonathan mówił dalej: - Dwa dni temu dyrektor został poproszony - czyli mówiąc wprost otrzymał taki rozkaz - o stawienie się przed Radą Bezpieczeństwa Narodowego. Domyślasz się pewnie, że nie po to, żeby otrzymać pochwałę.

- Jasne.

Harper wzruszył ramionami.

- Zresztą trzeba oddać sprawiedliwość, nie tylko on usłyszał parę przykrych słów. Kierownictwo Urzędu Cel, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i FBI też spotkało się z chłodnym

przyjęciem. Jednak w tej akurat sprawie to my jesteśmy w centrum uwagi ze względu na zakres naszych obowiązków.

Ryan zastanawiał się nad jego słowami zaledwie przez chwilę.

- Nie rozumiem dlaczego - powiedział. - Nie można przecież obwiniać Agencji o to, że March zdołał się wśliznąć do kraju z dwudziestoma kilogramami semtexu.

- Zapominasz o jednym, Ryan. Odkrycie powiązań Marcha z Iranem i Al-Kaidą należało *do nas*, a na Kapitolu panuje zgodne przekonanie, że powinniśmy zrobić to znacznie wcześniej. W każdym razie zdaniem członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego jesteśmy teraz główną agencją odpowiedzialną za wytropienie Jasona Marcha. Co więcej, chcą, żebyśmy zrobili to dyskretnie.

- A, to nie ma sprawy - zadrwił Ryan. - Bo już myślałem, że zażądają od nas czegoś naprawdę trudnego.

- Obgadałem z dyrektorem Andrewsem parę spraw - powiedział Harper, ignorując sarkazm w jego głosie. - I tak naprawdę zgadzamy się jedynie co do tego, że jeśli już Al-Kaida ma jakieś słabe ogniwo, to może nim być właśnie March. W końcu jako jedyny krąży tam i z powrotem, z każdym krokiem pozostawiając za sobą coraz wyraźniejszy ślad...

- Którego jak dotąd nie zdołaliśmy podjąć - przypomniał mu Ryan. Harper pochylił lekko głowę, na pozór przyznając mu rację.

- To nie do końca prawda. Jeżeli chodzi o senatora Levy'ego, to nadal nic nie mamy, więc tu się z tobą zgadzam. Samochód został oczywiście wynajęty pod fałszywym nazwiskiem, a FBI nie udało się dokopać do żadnych informacji na temat tego granatnika, który March porzucił w Haupt Garden. Deszcz zmył wszelkie odciski palców, jakie mogły się znajdować na broni i właśnie dlatego nie byliśmy w stanie zidentyfikować go od razu. Ale w sprawie tego wybuchu może coś być. Dzisiaj rano miałem telefon z Wirginii. Agent DEA¹² z biura w Norfolk próbował rozbić siatkę handlarzy sprzedających broń w zamian za narkotyki, działająca, wyobraź sobie, w jakimś barze na nabrzeżu. Wiesz, że CNN ciągle pokazuje teraz twarz Michaela Shakiba. No więc informator tego agenta twierdzi, że widział

¹² Drug Enforcement Agency - rządowa agencja zajmująca się zwalczaniem przestępstw związanych z handlem narkotykami.

Shakiba z drugim facetem w tym barze dwa tygodnie wcześniej, a zapamiętał go tylko dlatego, że obaj mężczyźni wszczęli kłótnię i właściciel lokalu kazał się im wynosić.

- Z kim rozmawiał Shakib?

- Facet nazywa się Elgin, Thomas Elgin. To prawdziwy kawał gnoja - jego kartoteka jest wyjątkowo obszerna, chociaż może niezbyt interesująca. Co gorsza, facet ma na swoim koncie przestępstwa seksualne. W 1990 roku zgwałcił trzynastoletnią dziewczynkę, za co zresztą odsiedział dziesięć lat w Marion. Oczywiście, od razu rodzi się pytanie, dlaczego March zadawał się, choćby przez pośrednika, z taką szumowiną.

- Jeżeli potrzebujesz kogoś, kto wwiezie do kraju materiały wybuchowe, nie możesz być zbyt wybredny - mruknął Ryan.

Harper zauważył wyraz jego twarzy na wzmiankę o gwałcie. Dobrze wiedział, co Kealey robi z takimi ludźmi.

- March musiał być całkiem pewny siebie. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie spróbował zdobyć tych materiałów na miejscu.

- Jeśli wybiera się taką drogą, trzeba się liczyć ze sporym ryzykiem - odparł Kealey. - Po pierwsze, musisz znaleźć odpowiednią ilość potrzebnego ci materiału. Jeżeli zdecydujesz się na C4, najlepiej spróbować w jakiejś jednostce wojskowej albo na placu budowy. W obu przypadkach środki bezpieczeństwa będą bardzo rygorystyczne, a kradzież zostanie natychmiast zgłoszona władzom. Jeśli będziesz chciał je kupić przez osoby trzecie, możesz się nadziać na pułapkę zastawioną przez ATF¹³. Z drugiej strony ochrona portów w takich miejscach jak zachodnia Afryka praktycznie nie istnieje. Jedynym twoim problemem pozostaje wtedy amerykański urząd celny i straż wybrzeża po naszej stronie bajorka. Ryzyko jest więc ograniczone właściwie tylko do jednej części operacji. Nie, moim zdaniem nie miał innego wyjścia, niż wwieźć te materiały zza granicy.

- No cóż, może ten Elgin powie ci coś więcej. Facet pracuje na rampie w Norfolk International Terminals, bezpośrednio przy rozładunku kontenerowców. To jedyny trop, jaki mamy.

¹³ ATF (Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms, and Explosives) - działająca w obrębie ministerstwa sprawiedliwości amerykańska agencja zajmująca się ściganiem przestępstw związanych z obrotem alkoholem, wyrobami tytoniowymi, bronią i materiałami wybuchowymi.

- Słabiutko. O co ci chodziło z tym, że Elgin „może powie mi coś więcej”?

- To znaczy, że masz jechać do Wirginii - wyjaśnił Harper. Ryan chciał coś powiedzieć, ale zwierzchnik uciszył go gestem dłoni. - Wiem, wiem. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Prezydent nie ma już innych możliwości. ONZ nie poprze nalotów, a opinia publiczna domaga się zdecydowanej reakcji na ostatnie wydarzenia. Brenneman znalazł się w naprawdę trudnej sytuacji, więc był otwarty na wszelkie nowe pomysły, kiedy dyrektor pokazał mu twoje akta. Ryan, prezydent obawia się Jasona Marcha. Boi się umiejętności tego człowieka, jego powiązań i gotowości do zabijania Amerykanów. Dlatego potrzebuje kogoś, kto potrafi pracować szybko, osiągając przy tym świetne rezultaty. Jego rozumowanie ma jednak poważne wady. Prezydent uważa, że jeśli uda nam się znaleźć Marcha, zdolności operacyjne Al-Kaidy zostaną poważnie osłabione, a może uda się nawet dotrzeć jego śladem do gniazda węży. To zupełnie nierealne, wiem, ale dyrektor Andrews jest gotów się z nim zgodzić. Chcą, żebyś to ty zajął się ściganiem Marcha. - Kealey milczał przez dłuższą chwilę, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Harper miał w końcu dosyć czekania na jego reakcję. - Ryan...

- Pamiętam, jak poprosiłeś mnie, żebym obejrzał parę taśm wideo, John.

Tym razem to Harper zwlekał z odpowiedzią, wpatrując się w swój pusty kieliszek po winie. Z dołu dobiegały śmiechy obu kobiet, ale wydawały się one o wiele bardziej oddalone, niż wskazywałyby na to fizyczna odległość.

- Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj. Dobrze wiesz, że to zrobię - przecież dlatego tu jestem. Znamy się od dawna, jeszcze z czasów, kiedy służyłem w wojsku i wykonywałem rozmaite zadania dla twojego wydziału. To zbyt długo, żebyśmy mieli sobie wstawiać takie głodne kawałki. Trzeba mi było od razu powiedzieć, jak to wygląda. A poza tym... Daj spokój, John. Powinieneś wiedzieć przynajmniej, że sam domyśle się wszystkiego. Nie podoba mi się tylko to, że próbowałeś wprowadzić mnie w błąd. Nie proszę o wiele, ale moim zdaniem nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie.

- Masz rację. - Krótka przerwa. - Mówię to szczerze. Muszę sobie radzić z wieloma ludźmi, Ryan. Większość z nich nie ma wystarczającej woli zwycięstwa. Wszystko trzeba podać im na tacy... Czasami zdarza mi się w tym wszystkim kompletnie zaplątać. Przepraszam.

Ryan zbył te słowa machnięciem ręki. Nie zamierzał wygłaszać przemówień, ale musiał zaznaczyć, co o tym myśli.

- Nie przejmuj się tak. Chciałbym tylko, żebyś był ze mną szczerzy. To wszystko, o co cię proszę.

Ostatnie stwierdzenie wywołało słaby uśmiech na twarzy jego rozmówcy.

- Skoro tak ci zależy na szczerości... Zamierzam przydzielić ci do pomocy Naomi Kharmai - powiedział Harper. Ku jego zaskoczeniu Kealey nie odmówił od razu.

- W jakim charakterze?

- Nie chodzi o to, żeby dziewczyna wymachiwała wszędzie bronią, jeśli tym się martwisz. Kharmai jest świetną agentką, Ryan. Po arabsku mówi lepiej niż ty, w przeciwieństwie do ciebie zna też farsi. Poza tym jest... - tu Harper zawahał się w poszukiwaniu właściwego słowa, jednak na próżno - łatwiejszym do zaakceptowania przedstawicielem Agencji. Może będzie w stanie otworzyć drzwi, które dla ciebie pozostaną zamknięte.

- Ciekawie to ująłeś - roześmiał się Ryan, a Harper zwtórował mu po chwili. - Ja też mogę być do zaakceptowania. Daj mi tylko garnitur i odznakę, a zobaczysz, co się będzie działo.

- To coś nowego - zakpił Harper, ale przy następnych słowach jego szeroki uśmiech zgasł. - Jest jeszcze jedna sprawa, Ryan... Formalnie biorąc, odszedłeś z Agencji. Jeżeli chodzi o tę sprawę, pracujesz jako niezależny konsultant. To decyzja samego dyrektora.

- Na wszelki wypadek postanowił się zabezpieczyć, co?

- Ryan zmarszczył brwi. - Czy to z powodu...?

- Nie - przerwał mu Harper, potem jednak zawahał się. - Nie wiem. Sprawa z Bośni może mieć z tym coś wspólnego. Pamiętasz, jaką złą prasę mieliśmy w związku z torturowaniem więźniów w Iraku. Andrews stara się za wszelką cenę uniknąć powtórki. - Ryan próbował coś powiedzieć, ale Jonathan powstrzymał go gestem ręki. - Ale i tak nie chodzi tu o niego. To

ja proszę, żebyś się tym zajął i wiem, że nie muszę cię do tego przekonywać, więc nie udawajmy, że jest inaczej.

Kealey milczał przez dłuższą chwilę, zanim w końcu skinął niemal niezauważalnie głową.

- Świetnie. - Harper odetchnął głęboko. - Dzięki, Ryan. Nie podoba mi się to, że stawiam cię w takiej sytuacji, ale naprawdę jestem ci wdzięczny. I możesz mi wierzyć, dyrektor też to docenia.

- A ja dziękuję za obiad. Julie jest świetną kucharką. - Obaj mężczyźni wstali i ruszyli w stronę drzwi. - Jeszcze jedno.

- Jonathan odwrócił się, żeby spojrzeć na swojego gościa.

- Kiedy to się skończy, wycofuję się całkowicie. Sprawy z Katie przybierają poważny obrót, ale jeśli zostanę w firmie, ona nie poradzi sobie z tym wszystkim. Katie zasługuje na więcej, a poza tym będzie już i tak wkurzona, że jadę do Wirginii. Nie chcę przeciągać struny.

Harper popatrzył na niego ze zrozumieniem. Sam brał kiedyś udział w takich akcjach i wiedział, o czym mówi jego przyjaciel.

- I tak zrobiłeś dosyć, Ryan. A nawet więcej niż dość.

Chociaż nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek się ustatkujesz.

- To jest nas już dwóch - odparł z rozbawieniem Kealey, kiedy schodzili już na parter, a potem zaczekał jeszcze na Katie, która wynurzyła się wreszcie z salonu

- Jeszcze raz dziękuję za kolację. Cieszę się, że mogłam was poznać - pożegnała się z gospodarzami, ruszając w stronę drzwi. Jej złocistobrązowe włosy połyskiwały w ciepłym świetle padającym z holu, a Ryan nie mógł wprost oderwać od niej oczu.

- Nam też było miło. - Julie uścisnęła ją ciepło. - Ryan, koniecznie musisz przyprowadzić ją znowu.

- Oczywiście. - Kealey uśmiechnął się i pocałował gospodynię lekko w policzek, po czym zwrócił się do Jonathana: - Naomi wraca jutro, tak?

- Miejmy nadzieję.

- Porozmawiamy jeszcze rano. Po południu ruszymy pewnie do Norfolk.

- W porządku. Dziękujemy za miły wieczór, Katie. - Pochyliwszy się lekko, Harper cmoknął dziewczynę w policzek.

- Ostrożnie, John - upomniał go Kealey, uśmiechając się przy tym szeroko. Pośród ogólnego rozbawienia zeszli w końcu

z Katie po kamiennych schodach, prosto w mroźne wieczorne powietrze, ale kiedy Ryan przekręcił kluczyk w stacyjce, budząc silnik do życia, panującego we wnętrzu auta chłodu nie można było przypisać jedynie temperaturze na zewnątrz. Dopiero w połowie powrotnej drogi do hotelu odważył się wreszcie nawiązać rozmowę.

- Wygląda na to, że polubiłyście się z Julie.
- To wspaniała kobieta. - Ryan wiedział, że mówiła szczerze, choć jej słowa zabrzmiały tak ostro.
- Co się stało?
- Ryan, jeśli muszę ci tłumaczyć...
- Katie, naprawdę nie mam ochoty słuchać...
- A wiesz, na co ja nie mam ochoty? Bać się śmiertelnie za każdym razem, kiedy wychodzisz z domu. Nie chcę *tego*, rozumiesz? Cztery dni temu omal nie zginąłeś. Byłam *przekonana*, że nie żyjesz. Znaleźć się w takiej sytuacji, nie mieć pojęcia... Potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, co się wtedy czuje? Jasne, że nie. A teraz znowu chcesz wyjechać, po tym, jak zrezygnowałam ze wszystkich zajęć, żebyśmy mogli... - urwała gwałtownie, ale Ryan i tak domyślił się, co miała zamiar powiedzieć. *Żebyśmy mogli spędzić więcej czasu razem.*

Poirytowany, odetchnął głęboko. Co prawda westchnienie to wyrwało się mu niechcący i było ledwie słyszalne, ale Katie bez trudu zrozumiała jego znaczenie.

- I kto to jest Naomi?
- Katie...
- Ładna? Na pewno tak... Nie musisz odpowiadać na to pytanie.

Ryan spojrzął w jej stronę. Światła mijanych latarni wdzierały się do pograżonego w ciemnościach wnętrza samochodu, wyławiając co jakiś czas ich twarze z mroku. Właśnie przejeżdżali pod jedną z lamp, więc przez ułamek sekundy Ryan widział łzy wzbierające w oczach Katie, za to w jej delikatnych rysach nie dostrzegł nawet śladu gniewu i podejrzliwości, które spodziewał się ujrzeć. Zamiast tego jej twarz była ściągnięta ze strachu.

Następny zjazd prowadził do Rock Creek Park. Ryan skręcił gwałtownie na prawy pas ruchu. Asfalt jezdni szumiał cicho pod kołami samochodu, kiedy zdjął nogę z gazu. To nie była droga prowadząca do hotelu.

- Dokąd jedziemy? - zaniepokoiła się Katie.
- Zobaczysz.

Po kolejnych paru minutach jazdy zatrzymał auto w uliczce przylegającej do parku i pomógł Katie założyć jej czarną wełnianą kurtkę. Zauważył, że choć posłusznie ruszyła razem z nim parkową alejką, to stara się trzymać z dala od niego. Dzieląca ich odległość zaledwie kilku kroków była jak przepaść. Drzewa rosnące wzdłuż ścieżki wzbijały się wysoko w górę, niczym dobre duchy pełniące straż nad zatroskaną parą.

Katie pośliznęła się dwukrotnie, ale w obu przypadkach Ryan zdążył ją złapać, zanim upadła. Przy drugim potknięciu nie mógł się już powstrzymać od komentarza.

- Jesteś pijana.
- Chyba masz rację. - Katie uśmiechnęła się niechętnie.

W końcu dotarli do mostu przerzuconego ponad częściowo zamrożoną wodą. Latarnie były tutaj rozstawione w większych odstępach, ale blask księżycy oświetlał pogrążony w bezruchu park, odbijając się w kryształkach lodu pokrywających niski kamienny murek. Na bezchmurnym niebie skrzyły się gwiazdy. Ryan przystanął w połowie mostu. Dopiero teraz zauważył, że Katie drży, przyciągnął ją więc do siebie, rozcierając jej szczupłe ramiona poprzez gruby materiał.

- Zmarłaś... Przepraszam, że cię tu wyciągnąłem, ale chciałem z tobą porozmawiać. Nie w samochodzie ani tym bardziej nie w hotelu. - Katie spojrzała mu w oczy, więc mówił dalej:

- *Wiem*, jak się czujesz. Straciłem wielu bliskich mi ludzi.

Kiedyś ci to wszystko wyjaśnię, tylko jeszcze nie teraz. Nie dzisiaj.

Pytałaś o Naomi. Ledwie ją znam, Katie, ale mogę ci opowiedzieć, co o niej wiem. Jest szczerą aż do bólu, złośliwą i niewdzięczną. Ta kobieta nic dla mnie nie znaczy. Powtórzę to jeszcze raz, ona *nic* dla mnie nie znaczy i to się nie zmieni. Tam w Kennedy-Warren uratowałem jej życie, a ona nawet mi za to nie podziękowała. Teraz będę na nią skazany przez następnych parę tygodni, chociaż niczego nie pragnę bardziej, niż zostać tu z tobą. Chciałbym, żebyś mi zaufała, bo sam nikomu nie ufam tak jak tobie. - Katie już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Ryan poprosił ją ruchem dłoni o chwilę cierpliwości. - Pozwól

mi skończyć. Wiem, że się boisz. Dzisiaj oznajmiłem Johnowi, że to ostatnia sprawa, jaką zajmuje się dla Agencji i mówiłem to poważnie. Jeszcze tylko kilka tygodni i będzie po wszystkim. Ale przez ten czas powinnaś być silna. Dla mnie to po prostu praca i musisz to zrozumieć. Kiedy ta sprawa wreszcie się skończy, zamierzam robić wiele wspaniałych rzeczy i chciałbym - nie, po prostu *potrzebuję* cię przy sobie.

Katie, kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie i muszę to wiedzieć: czy wyjdiesz za mnie? - z tymi słowami Ryan wyciągnął z kieszeni niewielkie bordowe pudełko i pełen obaw otworzył je. Katie otworzyła usta ze zdumienia, a jej świetliste niebieskie oczy zalśniły ze szczęścia. Pudełko wypadło Ryanowi z ręki, kiedy zarzuciła mu ramiona na szyję, ale roześmiał się tylko i pocałował ją mocno. Bał się zadać jej to pytanie, niemal pewien odmowy. Teraz, wdychając świeży, czysty zapach Katie, wiedział już, że nigdy nie będzie żałował tej decyzji. Czuł tylko wściekłość na myśl o czekającym go następnego dnia wyjeździe.

- To chyba oznacza zgodę?

Zamiast odpowiedzieć Katie pocałowała go jeszcze raz. Przez dłuższą chwilę, która zdawała się wiecznością, stali wtuleni w siebie, aż w końcu Ryan wysunął się z jej objęć.

- A teraz - powiedział, śmiejąc się z ulgą - lepiej poszukajmy tego pierścionka.

ROZDZIAŁ 12

LANGLEY • NORFOLK, VIRGINIA

Kiedy następnego dnia obudził się o siódmej, miał wrażenie, że musi być znacznie wcześniej. Przez chwilę nie podnosił jeszcze powiek zaciśniętych mocno dla ochrony przed promieniami słońca wpadającymi przez niedokładnie zaciągnięte kotary. Pomimo wczesnej pory Katie była już na nogach, krzątając się po pokoju z beztróskim uśmiechem na twarzy. Oboje byli przyjemnie wyczerpani po nocy pełnej namiętności i wczesnym poranku.

W końcu Ryan zabrał się do wykonywania wszystkich tych rutynowych czynności mających go przygotować do kolejnego dnia, ale od czasu do czasu zerkał na Katie, która co rusz spoglądała na pierścionek z diamentem na palcu lewej dłoni, a potem natychmiast podnosiła wzrok z zażenowaną miną. Doskonale wiedział, jak musiała się teraz czuć, bo sam po raz pierwszy w życiu był zaręczony. Dotąd nie znał tej nietypowej mieszaniny emocji: dumy, że taka kobieta w ogóle go zechciała, niepokoju, bo ciągle jeszcze mógł to wszystko zepsuć, i oczekiwania na myśl o rodzinie, którą mieli razem stworzyć. Przede wszystkim czuł jednak radość, uświadamiając sobie, jak wielkie miał szczęście, że Katie znalazła się w jego życiu.

O ósmej oboje byli już gotowi do wyjścia. Ryan wymeldował ich z hotelu, podczas gdy Katie czekała, aż parkingowy przeprowadzi samochód przed wejście. To ona siedziała za kierownicą bmw mknącego teraz na południe do Langley. Ryan chciał, żeby zabrała samochód z powrotem do Maine, ale ponieważ nie miała wystarczającego doświadczenia w prowadzeniu auta z ręczną

skrzynią biegów, musiała trochę poćwiczyć. Oboje wybuchali śmiechem za każdym razem, kiedy silnik gasł jej nagle na niezliczonych skrzyżowaniach, a pojazdy za nimi wybuchwały kakofonią klaksonów i głośnych przekleństw. Z jakiegoś powodu nie miało to teraz dla nich żadnego znaczenia.

W końcu po upływie prawie godziny dotarli do centrali przycupniętej pośród porośniętych lasami wzgórz Wirginii. Harper najwyraźniej poczynił już stosowne starania, bo strażnicy przy bramie wpuścili ich na teren po przeprowadzeniu zaledwie pobieżnej kontroli.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Katie, zatrzymując się przed wejściem.

- Wiem. - Ryan dotknął delikatnie jej policzka. - Będę za tobą tęsknił.

- Ja za tobą też - odparła Katie, długimi palcami gładząc jego dłoń. Ryan pochylił się, żeby złożyć na jej wargach przelotny pocałunek, ale upłynęło kilka minut, zanim zdołał się wreszcie oderwać.

- John jest już pewnie strasznie wkurzony. Miałem przyjechać znacznie wcześniej - rzucił. - Zobaczymy się za tydzień czy dwa, w każdym razie dam ci znać. Zadzwoń do ciebie, w porządku?

- Spróbuj tylko tego nie zrobić - powiedziała cicho. - Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Ryan wspiął się schodami w stronę głównego wejścia, cały czas patrząc w oczy Katie, dopóki nagle zderzenie z jakimś przechodniem nie zmusiło go do odwrócenia się. Przy drzwiach spojrzął jeszcze za siebie i roześmiał się na widok bmw ruszającego od krawężnika nierównym zrywem. Najwyraźniej Katie ciągle nie mogła się przyzwyczaić do trzeciego pedału.

W ogromnym holu głównej siedziby CIA w Langley zawsze czuł się onieśmielony. Przestrzeń była zdominowana przez ścianę pamięci poświęconą tym agentom, którzy ponieśli śmierć w trakcie pełnienia obowiązków służbowych. Z powodu tajności działań samej Agencji ich nazwiska nie zostały tu wymienione, a każdego zmarłego agenta reprezentowała gwiazda.

Ryan zastanawiał się czasami, czy taka gwiazda czeka też na niego. Nie chodziło o to, że pragnął uznania, bo przecież wiedział o tej tablicy pamięci. Znał swoją pracę i realistycznie oceniał własne szanse, nawet przed samym sobą.

Podczas polowania na Jasona Marcha nie zamierzał się jednak nad tym nawet zastanawiać.

Po wyjściu z windy skierował się do gabinetu Harpera, dokąd wpuszczono go bez zbędnych ceregieli. Ku jego zaskoczeniu Naomi już tam była i oboje z zastępcą dyrektora czekali tylko na niego. Kharmai miała na sobie nieskazitelny biały żakiet i sięgając do połowy uda spódniczkę od kompletu. Bez wątpienia niezwykle atrakcyjna kobieta, co nie umknęło uwadze Ryana, który natychmiast poczuł lekkie wyrzuty sumienia na myśl o Katie.

- Dzień dobry - powitał go Harper, podnosząc wzrok. Na jego twarzy malował się lekki uśmiech. - Trudno może w to uwierzyć, ale zdążyłeś akurat na czas. Właśnie miałem zrelacjonować Naomi ostatnie ustalenia. Lecicie oboje do Norfolk o 13:30, bilety czekają na lotnisku. Poza tym zorganizowałem dla was transport już na miejscu.

- W porządku. Z kim mamy się spotkać?

- Waszym łącznikiem będzie Adam North z DEA. To ten sam facet, który zdobył dla nas te dane. Jego zwierzchnicy zażyczyli sobie, żeby informować ich na bieżąco o postępach w tej sprawie. Pewnie zamierzają przypisać sobie część zasług, kiedy uda ci się wytropić Marcha.

- Jeżeli, John, jeżeli mi się uda.

Jego zwierzchnik uśmiechnął się lekko.

- Wierzę w ciebie, Ryan. Wierzę w was oboje - dodał, odwracając się w stronę Naomi. - W każdym razie lepiej się już zbierajcie, zwłaszcza jeśli zamierzacie przenieść broń przez odprawę. Samolot nie będzie na was czekał. Powodzenia, nie zapomnijcie przekazywać mi najświeższych wiadomości o postępach w dochodzeniu - z tymi słowami Harper uściśnął im obojgu dłonie. Kiedy szli w stronę drzwi, delikatnie odciągnął Kealeya na bok i szepnął mu cicho do ucha: - Wolałbym, żebyś nie stracił zimnej krwi przy tym Elginie, Ryan. Zauważyłem wczoraj wyraz twojej twarzy na wzmiankę o gwałcie. Prezydent

jest gotów złamać pewne zasady, ale to, na co może przymknąć oko, też ma swoje granice. Nie przydasz mi się, kiedy cię zawieszą albo co gorsza wylądujesz w więzieniu. Po prostu bądź ostrożny, dobrze?

Ryan skinął głową i w końcu wyszedł z gabinetu, nawet nie zauważywszy spojrzeń, które rzuciła mu Naomi, speszonego, a jednocześnie pełnego zrozumienia. Z drugiej strony Kharmai nie potrafiła wyzbyć się uczucia zadowolenia, że udało się jej zdobyć informacje, których nie powinna posiadać. Zatopiona w myślach, nie dosłyszała pytania Ryana.

- Przepraszam, co mówiłeś?
- Pytałem jak tam twoje ramię. Nie boli?
- Ach, wszystko w porządku, dzięki. A tak przy okazji, wybrałeś ładny odcień - dodała z uśmiechem.

Dopiero po chwili Ryan zrozumiał, o co jej chodzi. Kiedy przeciągnął grzbietem dłoni po wargach, zauważył na skórze ślad różowej szminki Katie. *To dlatego Harper tak się uśmiechał, pomyślał, potrzęsając przy tym głową.*

W drodze na lotnisko nie odzywali się do siebie, ale Ryan zauważył jednak, że niewielki uśmieszek nawet na chwilę nie zniknął z twarzy Naomi.

Niecałe trzy godziny później wylądowali na lotnisku Norfolk International. Ryan już nieraz przewoził ze sobą pistolet, zarówno na liniach krajowych, jak i międzynarodowych, i doskonale wiedział, jak wypełnić stosowne dokumenty, więc teraz bez większych problemów odebrał swoją broń. Potem wyszli przez automatyczne drzwi pasażerskiego terminalu, prosto w chłodne jesienne powietrze. Ryan wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer.

- Tak, tu Kealey. Jesteśmy przed wejściem dla United Airlines. W porządku, będziemy czekać. - Wyłączywszy komórkę, odwrócił się w stronę Naomi. - Kiedy ostatni raz strzelałeś z któregoś z tych cacek? - zapytał, poklepując lewą dłonią metalową walizeczkę.
- Nie pamiętam, dosyć dawno.
- Poproszę Northa, żeby ci coś skombinował.

Naomi już miała podziękować za propozycję, ale potem przypomniały jej się ostatnie słowa generała Hale'a. *Cokolwiek*

się wydarzy, nie pozwól, aby March cię dopadł. Możesz mi wierzyć, to ostatnia rzecz, której byś sobie życzyła. To wspomnienie znowu przyprawiło ją o zimny dreszcz.

Wkrótce potem przy krawężniku zatrzymał się wielki czarny suburban z rządowymi tablicami. Kierowca wyskoczył szybko ze środka.

- Cześć, Adam North z DE A.

- Ryan Kealey, a to Naomi Kharmai. Miło pana poznać.

North nie przypominał żadnego z funkcjonariuszy którejkolwiek z rządowych agencji, których zdarzyło się spotkać Naomi.

Mężczyzna był naprawdę potężny - musiał mierzyć dobrze ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyć jakieś sto dwadzieścia kilogramów. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę narzuconą na gładki szary podkoszulek i wytarte dżinsy. Naomi spuściła wzrok na jego stopy. Stare, zniszczone buty treningowe Nike, od dawna chyba nieczyszczone, natychmiast rzuciły się w oczy. North zauważył jej potępiające spojrzenie i uśmiechnął się szeroko poprzez gęstą, zwichrzoną brodę.

- Skąd ta rozczarowana mina? - zakpił. - Od trzech miesięcy staram się przymknąć tych dupków, a trochę trudno wmieszać się pomiędzy nich facetowi wystrojonemu w garnitur i krawat.

Ryan roześmiał się, wrzucając przy tym swoją niewielką torbę sportową i wielką walizkę Naomi do auta, a potem wskoczył na siedzenie obok Northa. Kharmai wsiadła do tyłu.

- Od czego zaczynamy? - zapytał North, ruszając od krawężnika i włączając się w ruch uliczny.

- Po pierwsze, chciałbym poznać pańską opinię. Co łączyło Shakiba z tym Elginem? Facet zajmuje się przemytem materiałów wybuchowych?

- Nie sądzę - padła nieoczekiwana odpowiedź. - Elgin jest odpowiedzialny wyłącznie za sprawy po tej stronie oceanu i szczerze wątpię, żeby miał jakieś powiązania, o których warto by w ogóle mówić. Jego praca polega między innymi na sprawdzaniu faktycznej zawartości kontenerów na statku z listami przewozowymi. Moim zdaniem facet po prostu natknął się przypadkiem na coś, czego nie powinien widzieć, i chciał to wykorzystać. Trzeba powiedzieć, że chyba mu się to udało, skoro jeszcze żyje.

- Rozmawiał pan z władzami portu? - zapytała Naomi.
- Tak, ale tylko po to, żeby dowiedzieć się, jak wyglądają procedury stosowane przy załadunku i rozładunku. Jeżeli Elgin próbował wymusić pieniądze od Shakiba, to ludzie zarządzający terminalem i tak na ten temat nic nie wiedzą. Poza tym wolałem zachować tę informację dla siebie. Jeżeli Elgin zorientuje się, że ludzie zaczynają o niego wypytywać, znajdzie jakiś sposób, żeby zniknąć. Nie jest może zbyt mądry, ale na pewno wie, kiedy trzeba wiać.
- Mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej o pracy Elgina?
- zapytał Ryan. - Czym on się właściwie zajmuje? A jeśli rzeczywiście coś znalazł, to jak mogło do tego dojść?
- Dobra, kiedy statek zawija do portu, przydziela się mu numer zadania, numer rezerwacji i port rozładunkowy. Elgin jest odpowiedzialny za przydział numeru zadania i kieruje statek na przedporcie, gdzie, ogólnie rzecz ujmując, ma on oczekiwać w kolejce na rozładunek. Następnie wystawiany jest kwit dokowy, który przenosi odpowiedzialność za ładunek z kapitana statku na władze terminalu morskiego.
- Podczas gdy kontenerowiec czeka na rozładunek, sprawdza się zgodność listu przewozowego ze stanem faktycznym. To główne zadanie naszego gościa, nadzorowanie drogi ładunku. W obecnej chwili nie ma skutecznych środków umożliwiających sprawdzenie każdego kontenera. To ogromny problem dla naszego urzędu celnego, bo nie istnieje praktycznie żadna możliwość skontrolowania zawartości. Zamknięte kontenery, czyli praktycznie wszystkie jakie znajdują się na pokładzie, mają oznaczenie S.T.C., „Said to Contain”, czyli po prostu deklarowana zawartość. Właściwie cały przemysł przewozowy opiera się na kodeksie honorowym. To znaczy, niektóre z tych statków mogą przewozić nawet do siedmiu tysięcy sześciometrowych kontenerów. Liczba osób potrzebnych do sprawdzenia każdego z nich jest niewyobrażalna. To po prostu niewykonalne.
- Więc w jaki sposób Elgin mógł się natknąć na nielegalny ładunek? - zapytał Ryan.
- Jeżeli kontener został uszkodzony, to mają prawo go otworzyć i sprawdzić zawartość, zgadza się? - rzuciła Naomi z tylnego siedzenia.

- Zgadza się. - North obejrzał się na nią ze zdumioną miną. Był naprawdę pod wrażeniem. - Całe wieki trwało, zanim w końcu na to wpadłem, ale ma pani rację, to jedyne logiczne wytłumaczenie. Pośrednio był to dla nas ogromny przełom.

- Czyli stąd wystarczyło już tylko sprawdzić, kto był odbiorcą ładunku, którym w tym wypadku był Michael Shakib. Po prostu świetnie - mruknął Ryan z wyrazem obrzydzenia na twarzy. - Facet nie ma nam nic do powiedzenia poza tym, że szantażował Shakibą.

- To nie do końca prawda - zauważył North. - Elgin może nam podać port macierzysty ładunku, no i nazwę firmy albo nazwisko osoby, która wysłała ten kontener, więc upierałbym się jednak, że gość ma nam sporo do powiedzenia.

- W porządku, sprawdzimy. Jak się nazywa ten lokal?

- „Na nabrzeżu”. Zdaje się, że właściciel nie ma zbyt bujnej wyobraźni. - North rzucił Ryanowi pełne niedowierzania spojrzenie. - Nie zamierza pan chyba wchodzić tam teraz?

- A czemu by nie?

- No cóż, czeka na was szef biura z Norfolk, na dodatek z Waszyngtonu przyjechał zastępca dyrektora, żeby nadzorować naszą małą naradę. Jeżeli się nie pojawicie, będzie problem. Poza tym moim zdaniem powinniśmy zastanowić się, jak przycisnąć tego Elgina. To znaczy, przecież facet nie przekaze nam tych informacji tak po prostu. Pewnie zarobił sporo forsy na konszachtach z Shakibem, więc nie będzie zbyt rozmowny.

- Słyszałem co nieco o tym Elginie - odezwał się Kealey, marszcząc brwi - i nie mogę powiedzieć, że bym był pod wielkim wrażeniem. Otrzymałem rozkaz jak najszybszego działania w tej sprawie i jest to życzenie samego prezydenta, a to na pewno przekracza kompetencje zastępcy dyrektora DEA. Jedyne problem, jaki tu widzę, to fakt, że chyba nie może się pan mieszać w tę sprawę, jeśli bierze pan już udział w toczącym się śledztwie.

- To akurat żaden kłopot. - Na twarzy Northa pojawił się szeroki uśmiech. - Mój szef odebrał ostatnio telefon od doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Wszystkie krajowe akcje schodzą na drugi plan przed waszą operacją. Wymienił nawet pana nazwisko. To chyba znaczy, że ma pan spore chody na górze.

Ryan nic nie odpowiedział. Bez słowa otworzył metalową walizeczkę, w której spoczywały poszczególne elementy jego

osobistej broni, beretty 92FS: szyna spustowa, szkielet pistoletu, zamek i sprężyna powrotna. Jego dłonie poruszały się błyskawicznie, kiedy składał broń - magazynek sprawdzony i na miejscu, pierwszy nabój w komorze. Potem wsunął zabezpieczony pistolet do kabury, a pudło wcisnął pod siedzenie.

- To wygląda mi na wojskową broń - zauważył North.
- I chyba ma już swoje lata.
- Dobrze mi służy - mruknął Ryan. Nie zamierzał niczego tłumaczyć.

Adam North uśmiechnął się lekko, skręcając jednocześnie w następny zjazd prowadzący do portu, a potem zerknął znowu na Naomi. - Pani też wchodzi?

- No cóż, na niewiele się chyba przydam, siedząc tutaj, prawda?

- Chodziło mi tylko o to... - Mężczyzna zaczerwienił się lekko i obrzucił ją po raz kolejny spojrzeniem. - To nie jest zbyt przyjemne miejsce, a pani strój z pewnością nie ułatwi nam zadania.

Naomi podążyła za jego wzrokiem w stronę swojej białej spódniczki, która podjechała jej wysoko na uda. Zakłopotana, obciągnęła ją szybko, podczas gdy Ryan z trudem zdusił śmiech.

- Więc może lepiej stańmy gdzieś, żebym się mogła przebrać
- powiedziała, z trudem hamując gniew.

Kiedy North podjechał na stację benzynową, natychmiast wyskoczyła z samochodu i otworzywszy leżącą z tyłu walizkę, wyciągnęła kilka sztuk odzieży, a potem pobiegła w stronę damskiej toalety. Pozostali w aucie mężczyźni zaczęli się śmiać.

- Nie przejmuj się - mruknął Ryan. - Za mną też nie przepada.
- Całkiem fajna - zauważył North, co wywołało ogromne zdumienie Ryana. Nawet nie podejrzewał, że Kharmai może być w typie tego potężnego agenta. - Brytyjka?

- To aż tak rzuca się w oczy? - Ryan rzucił mu uważne spojrzenie.

- Hm, no cóż. - North miał zakłopotaną minę. - Nie mam z tym wiele do czynienia. A tak w ogóle to czemu nie pracuje w... no jak im tam? No wiesz, ci po jej stronie oceanu...?

- Chodzi ci o MI-6? Nie mam pojęcia. Ich strata. - Dobre pytanie, chociaż sam nie wpadł na to, żeby je zadać Kharmai.

Teraz jednak wolał wrócić do najważniejszego tematu. - Opowiedz mi coś o tym lokalu. Jaki jest rozkład pomieszczeń?

North natychmiast zmienił temat i wygrzebawszy gdzieś kawałek kartki i ołówek, zaczął rysować na tablicy rozdzielczej plan.

- Dobra, to całkiem proste - tłumaczył. - Jest tylko jedno wejście od frontu, ale wewnątrz jest zaskakująco duże. Zaraz za drzwiami, po prawej stronie, masz część restauracyjną, po lewej cztery stoły bilardowe. Dalej, na wprost drzwi, jest bar. Wiem na sto procent, że właściciel trzyma pod ladą obrzyna z dwiema lufami. - Ta informacja nie spodobała się Ryanowi. North natychmiast zauważył jego niepokój. - Wiem, wiem. Będę miał na to oko. Nie musisz się ujawniać, ja wejdę z hałasem pierwszy i od razu powiem im, kim jestem. Widzieli mnie już wcześniej, więc nie zaczną się tak od razu rwać do strzelania.

- Co masz przy sobie?

North wyciągnął zza swojego siedzenia długi futerał i rozchylił go lekko.

- Jezu, co to do diabła jest?

- M4 Super 90. Benelli produkuje je tylko dla służb ochrony porządku publicznego. Robi wrażenie, co? Teleskopowa kolba rekompensuje małe rozmiary, a poza tym to półautomat. Wadą jest to, że mieści się w nim tylko pięć nabożów, ale ładuję ołowiane pociski kulowe. Jeżeli będę zmuszony nacisnąć spust, nikt nie ma prawa po czymś takim ruszyć nawet palcem. Próbowałem namówić szefa na kupno robionej na zamówienie wersji siedmiostrzałowej, ale liczykrupom z ministerstwa sprawiedliwości nie podobała się cena.

- To, co masz, i tak powinno załatwić sprawę. Naomi też by się coś przydało. Masz zapasową klamkę?

- Ta, ale tylko jedną. Bez tego możesz liczyć z mojej strony tylko na pięć strzałów.

- Wierz mi - mruknął Ryan - jeżeli będziesz potrzebował więcej, to już mamy przechłapane.

Naomi wynurzyła się wreszcie z toalety, już ze spokojną twarzą. Kealey poczuł ulgę, bo przecież za kilka minut dziewczyna będzie potrzebowała całej jasności umysłu. Przebrała się w dopasowany podkoszulek i sięgające bioder dzinsy. Nowy strój

był może praktyczniejszy, ale wcale nie ukrywał bardziej jej zgrabnej figury. Kiedy wsiadła do samochodu, North podjął na nowo swoje wyjaśnienia.

- No więc to jedyne wejście od frontu. Widzi pani, o czym mówię? Dobra, w porządku. Łazienka jest tutaj obok baru i można mieć oba pomieszczenia na oku za jednym zamachem. Drzwi do magazynku są zasłonięte, ale powinno być wystarczająco dużo czasu na reakcję, jeśli ktoś stamtąd wyjdzie. W łazience nie ma okna, więc nie musicie się martwić, że nasz klient ucieknie tamtędy.

Dobra, ja bym to rozegrał tak: wejdę do środka nieuzbrojony, żeby sprawdzić, czy Elgin w ogóle tam jest. Jeśli nasze przypuszczenia się potwierdzą i facet rzeczywiście siedzi w knajpie, wracam po swoją broń. Naomi, już mówiłem Ryanowi, że pakuję do środka z hałasem. Pani nie musi nic mówić, po prostu przechodzi pani do przodu i ma oko na ten niewralgiczny punkt - wskazał miejsce na swoim planie. Naomi pokiwała głową ze zrozumieniem, więc zwrócił się teraz do Ryana. - Trzeba go wyciągnąć stamtąd jak najszybciej. Jak już mówiłem, to nie jest zbyt przyjemne miejsce. Spędziłem tam ostatnio sporo czasu, a i tak nie zawsze jestem w stanie ocenić, kto ma ze sobą broń. Trzeba od razu wyraźnie zaznaczyć, że przyszliśmy po Elgina. Inaczej jakiś dupek poszukiwany listem gończym gdzieś w Idaho może strzelić ci w plecy. - Po tych słowach przyjrzał się uważnie ich twarzom. - Na pewno chcecie się w to pakować?

- Oczywiście. Im dłużej czekamy, tym większe niebezpieczeństwo, że facet zwącha pismo nosem i zwieje. Teraz albo nigdy - odparł zdecydowanie Kealey. Naomi wyglądała na mniej entuzjastycznie nastawioną.

- To mi się podoba. - North uśmiechnął się szeroko.
- Jedziemy.

Wrzucił bieg i potężna furgonetka potoczyła się w stronę portu. North wygrzebał swoją zapasową broń i podał ją Ryanowi, który sprawdził magazynek, po czym wręczył pistolet Naomi, kolbą do przodu.

- To glock 29. Masz dziewięć naboju, plus jeden w komorze. Pamiętaj, żeby go odbezpieczyć, zanim wejdziemy do środka, bo później może nie być na to czasu - powiedział, a potem zwrócił

się do Northa. - To twoja zapasowa broń? - Ostentacyjnie rozejrzał się po wnętrzu furgonetki. - Samochód wygląda zupełnie jak arsenał na kółkach. Gdzie trzymasz granatniki?

Ten żart wywołał krótką salwę śmiechu. Ryan często uciekał się do tej metody od czasów, kiedy służył jeszcze jako dowódca plutonu, aby zmniejszyć napięcie przed poważną akcją. Pewna dawka lęku i stresu jest przydatna, bo mobilizuje do walki, jednak ich nadmiar może sparaliżować nawet najbardziej doświadczonych ludzi w najgorszym z możliwych momentów. Kiedy Ryan spojrzął do tyłu, zauważył napięcie malujące się na twarzy Naomi. Miał tylko nadzieję, że dziewczyna wytrzyma wystarczająco długo, żeby wykonać swoje zadanie.

- To tutaj - odezwał się North. Przejeżdżali właśnie wolno obok niskiego budynku z pustaków. Elewacja nie była odmalowywana od lat, a biała warstwa tynku popękała, w niektórych miejscach odpadając całymi płatami. Ogromne litery, wypisane czarną farbą w górnej części fasady, układały się w napis NA NABRZEŻU. W pokrytych smugami brudu oknach znajdowała się rdzewiejąca stalowa siatka.

Na zaśmieconym parkingu, na który North wjechał dopiero za drugim nawrotem, stały tylko trzy inne samochody.

- Mógłbyś coś dla mnie zrobić, Kealey? Wyciągnij moją strzelbę, a ja idę zerknąć do środka. Za sekundkę będę z powrotem. - North wyskoczył z kabiny i wolnym krokiem ruszył w stronę wejścia. Ryan natychmiast sięgnął za oparcie siedzenia i wyjął stamtąd miękki futerał, po czym trzymając go poniżej okna pasażera, wydobyl ze środka broń, długą na metr, z czego sama lufa miała prawie pół metra. Kiedy spojrzął do tyłu, zauważył rozszerzone ze zdumienia oczy Naomi.

- Nie martw się - mruknął do niej, sprawdzając zamek, żeby upewnić się, czy strzelba jest naładowana. Potem odwrócił się niezgrabnie na siedzeniu twarzą do dziewczyny, która unikała jednak jego wzroku. - Naomi, popatrz na mnie.

W końcu ich oczy się spotkały. Kiedy Kharmai podniosła rękę, chcąc odgarnąć włosy z twarzy, Ryan zauważył, że jej dłoń drży.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział. - Tam w środku musisz być naprawdę skupiona. Pilnuj drzwi do łazienki i tego

co dzieje się za moimi plecami, a Elginem się nie przejmuj.
Wiem, co robię, jasne? Musisz mi zaufać.

- Hej - rzuciła Naomi, a w jej oczach nagle błysnął gniew.
- Nie boję się i wcale nie potrzebuję twojej pomocy, Ryan.
Potrafię, do cholery, zadbać o siebie.

Kealey uniósł brew, ale nie odpowiedział.

Po chwili z baru wyłonił się North. Początkowo szedł powoli, przyspieszając kroku tym bardziej, im krótszy dystans dzielił go od samochodu. Ryan otworzył drzwi.

- Możemy wchodzić. Facet siedzi przy barze, ma na sobie niebieskie dżinsy i czarną koszulę z długimi rękawami. Widzieliście jego zdjęcie? - Oboje przytaknęli ruchem głowy. - Dobra, w takim razie ruszamy.

Kealey podał mu strzelbę, a North odruchowo sprawdził jeszcze magazynek. Ten drobny gest zwiększył zaufanie Ryana co do umiejętności młodego agenta DEA, kiedy szedł odrobine z tyłu za tym postawnym mężczyzną, z beretką trzymaną nisko przy boku.

Weszli do środka.

North natychmiast przesunął się w lewo, robiąc miejsce dla podążającej za nim dwójki agentów CIA. Potem podniósł do góry strzelbę i krzyknął:

- DEA! Wszyscy na ziemię! Mówiłem coś chyba, NA ZIEMIĘ!

Większość obecnych w sali osób zamarła na widok potężnego mężczyzny i półautomatycznej strzelby w jego rękach. Potem zaczęli się kłaść na podłogę, podczas gdy Ryan ruszył powoli pomiędzy stołami w stronę baru.

- *Nie rób tego!* - krzyknął, kiedy barman, obserwujący do tej pory bez ruchu zbliżających się agentów, sięgnął pod ladę. - Nie chodzi o ciebie! Wyciągnij ręce tak, żebym je widział!

Na pomarszczonej twarzy starego mężczyzny odbiło się wahanie. Idąca z tyłu Naomi nie zwracała uwagi na Elgina, całkowicie skupiona na drzwiach prowadzących do łazienki... Ryan cały czas trzymał na muszce barmana, nie mógł więc zareagować, kiedy Elgin zerwał się błyskawicznie z barowego stołka i wyciągnął nóż, a potem okręciwszy Naomi, zasłonił się jej ciałem jak tarczą, przykładając jej ostrze do gardła.

Szepnął jej przy tym coś do ucha, ale jego oczy pozostały zimne i puste.

Naomi wpatrywała się w Ryana rozszerzonymi oczami, z glockiem zwisającym luźno w dłoni.

Nie było czasu na wahanie, bo barman właśnie wyciągał spod lady dwunastkę. Ryan przypadł do ziemi i kierując swoją berettę lekko w lewo, strzelił. Kula drasnęła udo Naomi, zanim uderzyła w lewe kolano Elgina. Ponad jego głową zagrzmiały zgodnie strzelby, szkło za barem rozsypało się na tysiące odłamków. Elgin wrzasnął z bólu, a kiedy oderwał ostrze noża od szyi Naomi, ta natychmiast odwróciła się i pociągnęła go za włosy w dół, przyciskając mu przy tym glocka do głowy.

Kiedy mężczyzna znalazł się już na podłodze, obróciła go tak, że leżał teraz twarzą do ziemi i usiadła na nim okrakiem, wbijając mu lufę pistoletu w kark. Tymczasem w barze wybuchło okropne zamieszanie, bo niewielka grupa klientów rzuciła się w stronę wyjścia. Ryan zerwał się na równe nogi i zajrzał za ladę. Barman leżał na podłodze pośród tysięcy odłamków zakrwawionego szkła, z centymetrowej średnicy dziurą w piersi. Ryan odwrócił się i z ulgą zauważył, że North, który właśnie do niego podszedł ze strzelbą zwisającą luźno w prawej ręce, nie jest ranny.

- Strzelił?

- Zdaje się, że wszystko poszło w kontuar. Nie zdążył wyciągnąć tego obrzyna do końca - wyjaśnił North. Ryan zajął się teraz Naomi, która nawet na chwilę nie oderwała pistoletu od głowy Elgina. Oczy dziewczyny były szkliste, jej twarz pobiadła.

- Naomi, już po wszystkim - powiedział Ryan łagodnym tonem, delikatnie wyjmując broń z jej wyciągniętej dłoni. Naomi zdawała się w ogóle nie odczuwać bólu, choć noga krwawiła jej mocno. - Załóż jej jakąś opaskę uciskową, North. Dziewczyna jest chyba w szoku. Ja muszę porozmawiać z tym sukinsynem. - Chwycił rannego Elgina za kołnierz koszuli i pociągnął go po zasypanej odłamkami szkła podłodze w stronę magazynku, ignorując całkowicie jego pełne bólu okrzyki.

Znajdujące się z tyłu budynku obszerne pomieszczenie, pogrążone teraz w półmroku, było zapchane po sufit skrzyniami. Ryan oparł Elgina o chłodną kamienną ścianę tuż obok drzwi

i przeszukał go szybko, ale dokładnie. Uspokojony, że mężczyzna nie ma przy sobie żadnej innej broni, wrócił do baru i podniósł nóż.

- Co ty do diabła wyprawiasz? - zapytał North, który znalazł gdzieś apteczkę i właśnie opatrywał Naomi ranę. Rzucił wzrokiem na ręce Ryana, a potem przeniósł wzrok na jego twarz. To wtedy ten wyższy o kilkanaście centymetrów i cięższy o jakieś czterdzieści kilogramów agent DEA szybko zacisnął usta i odwrócił oczy. Ryan ruszył z powrotem w stronę magazynu, a knykcie zaciśniętych wokół gumowej rękojeści noża zbieleły.

Thomas Elgin siedział oparty o ścianę w tej samej pozycji co poprzednio. Jego oddech był szybki, urywany, ale w spojrzeniu, które rzucił Ryanowi, kiedy ten wszedł z powrotem do pomieszczenia, czaiła się zuchwałość.

- Czego *kurwa* chcesz, ty dupku? - warknął, ściskając dłońmi okaleczoną nogę.

Ryan bez słowa przykucnął przy nim i wbił mu w klatkę piersiową czubek ostrza, a potem przekreślił jeszcze nóż tak, żeby zwiększyć krwawienie i utrudnić późniejsze zasklepienie się rany. Elgin wrzasnął z bólu. Ryan zdawał sobie sprawę, że ma niewiele czasu, a facet na pewno będzie bardziej skłonny do mówienia, jeżeli krew będzie płynąć bez przerwy.

- Chcę usłyszeć od ciebie parę odpowiedzi - powiedział niskim, groźnym tonem.

- *Odwal się, ty chory skurwysynu!* - wrzasnął Elgin, wijąc się rozpaczliwie, by uciec przed wbitym w jego pierś nożem. W końcu Ryan cofnął rękę, choć wcale nie dlatego, że słowa rannego zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Tym razem ząbkowane ostrze przesunęło się po wystającej kości zmiażdżonego kolana mężczyzny.

Znajdujący się w sąsiednim pomieszczeniu agent specjalny DEA Adam North zadrżał lekko, kiedy kolejny nieludzki jęk odbił się echem w murach budynku. Pełen bólu okrzyk niemal zagłuszył wycie zbliżających się syren, podczas gdy North kończył właśnie zakładać zaimprovizowany opatrunek uciskowy na udzie Kharmai. Dziewczyna zaczynała z wolna dochodzić do siebie, a w jej ogromnych zielonych oczach pojawił się znowu błysk, kiedy bezskutecznie próbowała coś powiedzieć.

- Spokojnie - powstrzymał ją North. - Już nic ci nie grozi. Świetnie się spisałaś. - Mówił szczerze. Dla analityczki z wywiadu znalezienie się w podobnej sytuacji i zareagowanie w taki sposób, jak zrobiła to Naomi, było czymś naprawdę wyjątkowym. Dźwięk syren jeszcze się wzmógł, a potem drzwi otworzyły się gwałtownie i do baru wpadli paramedycy. Po chwili pomieszczenie zaroilo się też od funkcjonariuszy z wydziałów w Norfolk i Portsmouth oraz policji stanowej. Zaraz po ich pojawieniu się Ryan wyszedł z magazynku, z twarzą przypominającą nieruchomą maskę.

Policjanci natychmiast przystąpili do zabezpieczania budynku. Tych kilku, którzy sprawdzili znajdujący się z tyłu składzik, wróciło stamtąd z bladymi twarzami, popatrując przy tym bez słowa w stronę Kealeya. Zapanował kompletny chaos, szybko jednak udało się dojść do porozumienia i nerwowy funkcjonariusz założył Ryanowi kajdanki na rozkaz osoby sprawującej teraz dowództwo na miejscu zdarzenia, kapitan Giny Nolan z Norfolk Police Department.

ROZDZIAŁ 13

NORFOLK

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażałeś, Ryan?

Kealey i Harper siedzieli w sterylnym wnętrzu pokoju przesłuchań w siedzibie głównej policji Norfolk. Ryan doskonale wyczuwał ironię całej tej sytuacji, kiedy zastępca dyrektora wypytywał go, siedząc po drugiej stronie chłodnego metalowego stołu. - Musiałem użyć wszystkich swoich wpływów, żeby cię z tego wyciągnąć. Przecież ci mówiłem, że masz to załatwić w białych rękawiczkach. Czy ty w ogóle rozumiesz znaczenie tego sformułowania?

Kealey przesunął wzrokiem po nagich ścianach pomieszczenia, unikając gniewnego spojrzenia rozmówcy.

- Wiem, że wyszło inaczej, niż sobie...

- Ryan - przerwał mu Harper, zniżając głos, chociaż znajdowali się w pomieszczeniu sami, a drzwi były zamknięte.

- Elgin miał sporo do powiedzenia na twój temat. Jeżeli facet pójdzie z tym do prasy, nawet dyrektor nie zatrzyma tego główna. Zgodnie z prawem cała akcja leżała w gestii DEA. Posunąłeś się za daleko.

Kealey spojrział w górny róg sali, choć nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego to sprawdza. Kamera służąca do rejestrowania przebiegu przesłuchań była odłączona, kable zwisały luźno przy ścianie.

- Mówiłeś, że prezydent zatwierdził całą akcję. Zrobiłem tylko to, co było konieczne.

- Bzdura! - Harper rzucił na stół kilka fotografii. - Zdjęcia nie kłamia. FBI nie może naciskać na Elgina, bo to wisi nad

naszymi głowami. Innymi słowy, nie uda nam się zmusić go do współpracy, bo wytrąciłeś nam z ręki jedyną kartę przetargową.

- John...

Harper uciszył go ruchem ręki. Przez chwilę wpatrywał się uważnie w młodszego mężczyznę, szybko odwrócił jednak wzrok.

- Ryan, posunąłeś się za daleko - powtórzył. W jego głosie nie było już słycać gniewu, tylko znużenie i rezygnację.

- Dyrektor uważa, że powinniśmy wycofać cię ze sprawy i będziemy musieli zastosować się do jego sugestii, jeśli Elgin nie zacznie mówić. Departament Stanu wysłał ludzi, żeby pogadali sobie z tym sukinsynem, ale jak dotąd nie udało im się nic wskórać. Lepiej żebyś miał coś naprawdę ciekawego, bo musiałem się przypomnieć wielu osobom, które były mi winne przysługę.

- Statek, na którym przemycono materiały wybuchowe nazywa się *Natalia*. To kontenerowiec o ładowności 25 000 ton, zarejestrowany w RPA. Pływa po stałych trasach, zawijając przy tym do Marsylii i Rosslare na południu Irlandii, zanim skieruje się wreszcie w stronę naszego wschodniego wybrzeża. - Ryan podniósł wzrok. Na twarzy Harpera malował się wyraz niedowierzania. - Jezu Chryste, John, przecież nie poszedłem tam, żeby trochę facetowi pogrozić. Potrzebowaliśmy tej informacji, a teraz ją mamy. Nie możemy tracić czasu na łagodną perswazję, sam tak twierdziłeś.

- To czemu, do diabła, nie mówisz od razu? To może ci ocalić skórę. Facet zidentyfikował Marcha?

Kealey westchnął i ze znużeniem potrząsnął głową.

- Wiedziałem, że i tak nie będzie tego w stanie zrobić. Gdyby Shakib powiedział Marchowi o wszystkim, Elgin gryzłby już pewnie ziemię, a my nie zaszlibyśmy tak daleko. Mówiłem ci już, March zazwyczaj nie popełnia błędów. I nigdy nie zostawia za sobą niedokończonych spraw.

Ironia tego stwierdzenia była dla Jonathana Harpera jasna. Ewidentnie największym błędem Jasona Marcha jak do tej pory okazało się pozostawienie przy życiu Ryana Kealeya na tamtym syryjskim wzgórzu przed siedmiu laty. Myśl ta przyszła mu do głowy zupełnie niespodziewanie, a na dokładkę była wyjątkowo nielojalna. Harper poczuł wstyd, że zidentyfikował się z mordercą, choćby tylko przez moment. To kłóciło się ze wszystkim, w co wierzył.

Ryan obserwował uważnie całą gamę emocji odbijających się na twarzy jego zwierzchnika, zastanawiając się jednocześnie, o czym Harper może myśleć.

Dzięki Kealeyowi obaj przestali w końcu odczuwać ogromne napięcie, ale w końcu nadal był to pokój przesłuchań. Chłodne szare ściany zdawały się coraz bardziej przybliżać, odrapane metalowe biurko krzyczało tysiącami wyznań, a nad wszystkim czuwało uważne oko odłączonej kamery. Ryan był już tym wszystkim zmęczony. Pomyślał o Katie i przez krótką chwilę zrobiło mu się lepiej, lżej na sercu.

- Myślę, że to sporo jak na jeden dzień, John. Możesz mnie stąd jakoś wyciągnąć, czy wpadłeś tylko na pogawędkę?

- A tobie się wydaje, że z kim rozmawiasz, młodziaku? - Na twarzy starszego mężczyzny pojawił się przebiegły uśmiech.

Niecałe pół godziny później opuścili budynek wydziału policji w Norfolk na tylnym siedzeniu chevroleta chevy suburban, wyglądającego niemal identycznie jak samochód Adama Northa. Przyciemniane szyby osłaniały pasażerów przed wzrokiem tych kilku dziennikarzy, którzy byli na tyle sprytni, by obserwować parking wydziału.

- Przepraszam, że pytam o to dopiero teraz, ale jak się czuje Naomi?

- Nic jej nie będzie - odparł Harper. - North odwiózł ją do De Paul Medical Center. Pozszywali ją do kupy i nafaszerowali środkami przeciwbólowymi, a potem odesłali do hotelu. Wynajęliśmy jej pokój w Marriott Waterside. Ciebie też tam zabieram.

- John... - próbował protestować Kealey, ale jego zwierzchnik natychmiast mu przerwał.

- Ryan, zdobyłeś informacje, których potrzebowaliśmy. Teraz musisz odpocząć, bo jutro pewnie będziesz musiał zabrać się ostro do pracy, w zależności od tego, co zdołamy jeszcze znaleźć. Reszta, która pozostała do załatwienia jeszcze dzisiaj, jest na mojej głowie. Poza tym, jeśli pojedziesz ze mną do biura wydziału DEA, spowoduje to znacznie więcej problemów, niż ich rozwiąże. W tej chwili nie przepadają tam zbyt wiele za tobą.

- Kealey skinął niechętnie głową. Samochód skręcił właśnie w Waterside Avenue, a potem zatrzymał się przed hotelem.

- Wpadnę po was jutro rano - dodał Harper i zatrzymał jeszcze

Ryana, który otworzył już drzwi, żeby wysiąść, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Zdobyłeś potrzebne nam dane, a cała wasza trójka wyszła stamtąd żywa. To najważniejsze. Porozmawiaj z Kharmai. North twierdzi, że wyglądała na dosyć przybitą, kiedy ją tu podrzucił.

- Ona nie ponosi odpowiedzialności za to, co się wydarzyło w tym barze, John. To moja wina. Powiedziałem jej, że może mi zaufać, a potem ten sukinsyn z nożem ją dopadł... Ma prawo być zdenerwowana.

- Hej, w końcu żyje wyłącznie dzięki temu, co zrobiłeś dla niej w Waszyngtonie, prawda? Nie zapominaj o tym. Powinna się cieszyć, że ma cię przy sobie. Odpocznij trochę.

Ryan zasalutował żartobliwie, co wywołało bezwiedny uśmiech na twarzy Harpera, usadowionego wygodnie w ruszającym już aucie. Dopiero załatwiając wszystkie formalności związane z zameldowaniem się w hotelu, Ryan uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Aż trudno uwierzyć, że niecałe dwanaście godzin temu zbudził się u boku Katie.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Wsiadając, Ryan zerknął jeszcze na skrawek papieru, który Jonathan wcisnął mu do ręki. *Pokój 305*. Jest. Ryan zerknął jeszcze na swoje dzinsy, wybrudzone po upadku na podłogę baru i uświadomił sobie, że musi wyglądać naprawdę tragicznie. *A co tam, pomyślał, przynajmniej mam dobre wytłumaczenie.*

Naomi Kharmai leżała na swoim łóżku zwinięta w kłębek, a biały bawełniany szlafrok otulał miękko jej nagie ciało. Pomimo nieprzeniknionego mroku, który spowijał pokój, miała otwarte oczy, wpatrując się pustym wzrokiem w przestrzeń. Po tym, jak North przywiózł ją do hotelu, od razu wzięła prysznic, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż strumień gorącej wody zaczął parzyć w ledwie zasklepioną ranę na lewym udzie. Teraz, kiedy nic jej już nie rozpraszało, ciągle przeżywała na nowo tamtą scenę. Idzie w stronę baru pewnym krokiem, ściskając w spokojnej dłoni glocka. Widziała z oddali swoją własną minę, ten wyraz zacieklej determinacji, zaciśnięte szczęki. I nagle stała twarzą do Ryana, czując, jak ostry nóż rozcina jej skórę szyi, a Elgin szeptał jej do ucha sprośności: *Potę cię, a potem zerżnę, ty suko.*

Potnę cię, a potem zerżnę... Naomi załkała bez łez, a głośny jęk rozplynął się natychmiast w pustym pokoju. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Naomi, to ja, Ryan. - Nie odpowiedziała. - Naomi, porozmawiaj ze mną.

Klamka poruszyła się lekko, ale Naomi nie zamierzała wstawać. Po chwili usłyszała jednak dziwne kliknięcie, a potem Kealey wśliznął się do pokoju i zapalił światło.

Naomi zerwała się z łóżka, pośpiesznie ocierając z policzków palące łzy.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - krzyknęła z wściekłością. - Gdybym chciała, żebyś tu wchodził, to sama otworzyłabym te pieprzone drzwi!

Ryan podniósł ręce w obronnym geście. Naomi obrzuciła spojrzeniem jego brudne dżinsy, czarny podkoszulek opinający mu ciasno klatkę piersiową i ramiona, a na koniec najnowszy dodatek: wąską, zakrzywioną bliznę przecinającą jego lewy policzek. Musiał przyjechać tu prosto z komisariatu. Uczucie, które ją ogarnęło, spotęgowało tylko jej gniew i zakłopotanie.

- Słuchaj, chciałem się po prostu upewnić, czy nic ci nie jest. Cieszę się, że wszystko w porządku.

- Nie dzięki tobie - zadrwiła Naomi. - A tak przy okazji, postrzelenie mnie to świetna robota. Nic złego się nie stało... Może przyznają ci za to następny medal. - Zazwyczaj chętnie uciekała się do sarkazmu, ale tym razem nie wydało się jej to w porządku. Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów poczuła lekkie ukłucie żalu.

Kealey wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Jej kocie zielone oczy płonęły gniewem, ale widział też, że są zaczerwienione od płaczu, a policzki znaczą jeszcze ślady łez. Mimo wszystko nie potrafił się jednak powstrzymać.

- Co masz na myśli? - zapytał spokojnie, a Naomi zorientowała się po jego minie, że ją przyłapał. Powoli ruszył w jej stronę, aż znalazł się zaledwie kilka kroków od niej. Jego twarz była zupełnie obojętna, jak wtedy, gdy wyszedł z tamtego magazynku w barze. - Posłuchaj - zaczął cicho. Naomi cofnęła się bezwiednie. - Przykro mi z powodu tego, co się dzisiaj stało, ale, do cholery, trzymaj się z daleka od mojego prywatnego

życia. Nie masz prawa grzebać w mojej przeszłości. Rób tak dalej, a przestanę pilnować twojego tyłka.

Po tych słowach wyszedł z pokoju, znikając gdzieś w mrokach korytarza. Naomi stała przez dłuższą chwilę bez ruchu, podczas gdy po jej twarzy przemykały rozmaite emocje. W końcu podeszła do drzwi i zatrasnęła je za nim.

ROZDZIAŁ 14

IRAN • NORFOLK

Południowo-wschodni Iran, Wybrzeże Makrańskie nad Morzem Arabskim.

Daleko na północ widać szczyty Zagrosu, wznoszące się wysoko ponad jałową ziemią. Jeśli pominąć ich rozmiary, góry nie różniły się właściwie niczym od leżących u ich stóp terenów.

Stał na pasie czarnego asfaltu, który lepiał się lekko pod jego stopami. Zbliżał się już listopad i w temperaturach rzędu trzydziestu pięciu stopni Celsjusza coraz trudniej było oddychać. Jego frustrację powiększali jeszcze stojący w pobliżu ludzie: wysłany przez Mazahariego pułkownik wojsk lotniczych, otoczony przez grupkę swoich adiutantów o wysuniętych do przodu podbródkach, którzy uśmiechali się z wyższością i tocząc wokół aroganckim spojrzeniem, pławili się w blasku władzy swojego przełożonego. Byli tam również dwaj młodzi członkowie Komitetu z przewieszonymi przez pierś nieodłącznymi kałasznikowami. Hassan Hamza stał razem z nimi, pogrążony w cichej rozmowie z pułkownikiem, rzucając jednocześnie kręcącym się wokół oficera młodym mężczyznom pełne nieskrywanej pogardy spojrzenia. Rozmawiali już od dwudziestu minut, ale jak dotąd nie udało się im niczego ustalić.

W twarzy Marcha czy postawie jego szczupłego ciała nie było jednak widać zniecierpliwienia. Stał w milczeniu, wpatrując się w morze, podczas gdy za jego plecami toczyła się dyskusja.

Znajdowali się w portowym mieście Bandar Beheshti, niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów od pakistańskiej granicy. Mężczyźni schronili się w cieniu jednego z magazynów w niewielkiej

przystani, dysponującej zaledwie czterema miejscami dla statków i czterema pomostami, z dwoma ruchomymi żurawiami przy każdym z nich. Poza tym była tam jeszcze specjalna elektryczna dmuchawa służąca do rozładunku zboża z kontenerowców i dwa łańcuchowe dźwigi, odtoczone teraz daleko od skraju makadamu. Na rozległej przestrzeni czarnego asfaltu znajdowała się jeszcze para starych wózków widłowych.

Jedynie zabudowania stanowiły cztery wiaty służące jako składy, dwie solidniejsze konstrukcje i kapitanat portu, który był właściwie zbudowanym z blachy falistej barakiem. Dookoła portu biegły zasieki z ostrego jak brzytwa drutu kolczastego, a dalej rozciągała się już tylko pustynia.

March usłyszał podniesione głosy, odwrócił się więc w stronę grupki mężczyzn. Rozgniewany Hamza szedł teraz w jego kierunku, podczas gdy pułkownik wykrzykiwał coś za jego plecami. Egipcjanin otarł z czoła krople potu, a jego ukryte pośród gęstego zarostu usta ułożyły się w grymas niezadowolenia.

- Sukinsyny! - syknął, podchodząc bliżej. - Nic nie rozumieją. W Teheranie wszystko jest na jeden telefon, ale tutaj to nie takie proste...

- W czym problem? - zainteresował się March.

- Nie mają ciężarówki. Nie da się przewieźć ładunku, a nie możemy go przecież tutaj zostawić, nawet w zamkniętych magazynach. Od Araku dzieli nas wiele kilometrów, droga wiedzie przez górską przełęcz... Potrzebujemy ciężarówki.

- Rozmawiałeś z kapitanem portu?

Sfrustrowany Hamza zamachał rękami.

- Pytałem, czy w zamkniętych budynkach jest jakiś samochód, ale nie chciał mi nic powiedzieć... - Hamza zamilkł. Śmiech adiutantów pułkownika świdrował mu w uszach. Błyszczące oczy Marcha oderwały się w końcu od jego twarzy i powędrowały w stronę biura leżącego po drugiej stronie cuchnącego upałem asfaltu.

Niecałe pięć minut później Jason March wynurzył się z blaszanego baraku z lekkim uśmiechem na twarzy. Niewielki przedmiot zwisający spomiędzy palców jego prawej dłoni połyskiwał srebrzyście w blasku słońca.

- Klucz. A więc jednak *mają* tu ciężarówkę - powiedział Hamza, dołączając do niego przy zamkniętych drzwiach drugiego z magazynów.

- Gdyby nie było tu żadnego samochodu, powiedziałby ci to od razu - padła beznamiętna odpowiedź.

Hamza spojrział w stronę biura kapitanatu, mimochodem zauważywszy, że pułkownik i jego podwładni robią to samo. Śmiech umilkł, a adiutanci kręcili się w milczeniu wokół irańskiego oficera, nadąsani niczym skarcone dzieci. Po rozsunięciu ciężkich drzwi ich oczom ukazała się wreszcie ciężarówka, International 4900 4x2. March wskoczył do kabiny i natychmiast zabrał się za rozmontowywanie plastikowej obudowy kolumny kierownicy. Kilka minut później silnik zbudził się z rykiem do życia.

- Niestety, facet miał tylko klucz do magazynu - wyjaśnił March. - Będzie to pewna niedogodność, ale naprawdę niewielka.

Hamza nic nie odpowiedział, odwrócił się tylko raz jeszcze w stronę budynku biura, wyglądającego w upalnym popołudniowym słońcu jak miraż.

Grupie towarzyszył technik, były doker ze sporym doświadczeniem w obsłudze ruchomego żurawia. Sześciometrowy kontener czekał spokojnie na drugim z pomostów, pozostawiony tu przez statek, który odpłynął wiele godzin temu. Ciężarówka podjechała tyłem do rampy i kontener został załadowany. Podróż będzie naprawdę długa, ale nie spodziewano się ich wcześniej niż za kilka dni. Nie musieli się nigdzie spieszyć.

Ryan Kealey obudził się na dzwonek telefonu stojącego na szafce nocnej. Przecierając oczy dłonią, żeby odpędzić resztki snu, sięgnął po słuchawkę. Za oknem widać było czarne chmury, kłębiące się nisko nad wodami zatoki, w oddali zabrzmiał niski pomruk grzmotu.

- Ryan, tu Harper. O dziesiątej czekam na ciebie i Kharmai przed hotelem. Jedziemy od razu na lotnisko - trafiliśmy na coś. Myślę, że powinno ci się to spodobać.

- W porządku, będę na dole o dziesiątej. - Kealey odłożył słuchawkę i ruszył do łazienki. Poprzedniego wieczora zasnął niemal natychmiast po dotarciu do swojego pokoju, ale teraz

wziął prysznic i ogolił się, dzięki czemu znowu poczuł się prawie jak człowiek. Kiedy kończył się ubierać, usłyszał pukanie do drzwi.

Na korytarzu czekała już Naomi z lekko, choć nie do końca, skruszoną miną. Wyglądała równie olśniewająco jak wczoraj, ubrana w cienki kaszmirowy sweter i luźniejsze spodnie, zakrywające bandaż na jej udzie. Jej twarz była jednak wymizowana, a oczy podkrążone, jakby nie spała zbyt dobrze tej nocy. Na jego widok otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, potem jednak zawałała się.

- Jesteś głodny? - zapytała w końcu. - Chodź, postawię ci śniadanie.

Ryan nie był pewien, czy miała to być jakaś forma przeprosin, ale wzruszył tylko ramionami i podążył za Kharmai. Mieszcząca się na parterze restauracja wydawała się całkiem porządna, jednak ku jego zaskoczeniu okazała się niemal zupełnie pusta. Zajęli stolik jak najdalej od pozostałych gości i wkrótce Kealey pałaszował z apetytem śniadanie, składające się z jajek na bekonie, grzanek i kawy, uśmiechając się lekko na widok tylko jednej babeczki z jagodami, którą zamówiła Naomi.

- Czemu tak patrzysz? - mruknęła, podchwyciwszy jego spojrzenie. - Jestem na diecie.

- Dobrze wiesz, że dieta to ostatnia rzecz, której potrzebujesz - zauważył Ryan, potrząsając głową. - A tak przy okazji, nie podoba mi się, że zmuszasz mnie do powiedzenia tego głośno. Rozmawiasz z zaręczonym facetem.

Naomi uśmiechnęła się i odsunęła swój talerz, a potem pochyliła się do przodu. Jej palce znalazły się niebezpiecznie blisko jego dłoni.

- Posłuchaj, przepraszam cię za ostatni wieczór, ale to była moja wina tylko do pewnego stopnia. Mam wrażenie, że nie traktujesz mnie fair. Sporo wysiłku kosztowało mnie znalezienie informacji, które obaj z dyrektorem Harperem powinniście mi przekazać na samym początku. - Ryan milczał, więc ciągnęła dalej. - Przecież chodzi nam o wytropienie Jasona Marcha, a nie raczyliście mi nic powiedzieć na jego temat. Wiem, że byłeś żołnierzem, Ryan. Wiem, co March zrobił tobie i twoim ludziom.

Kealey przymknął oczy, starając się opanować emocje. *Skąd ona się tego dowiedziała?* Natychmiast stało się dla niego jasne,

że nie doceniał Naomi Kharmai. Jedyną interesującą go kwestią było jednak teraz, co powinien z tym zrobić. W końcu zdecydował się na próbę załagodzenia sprawy.

- Wygląda na to, że wiesz już wszystko - powiedział, pomimo starań z trudem nadając swojemu głosowi niefrasobliwe brzmienie. - Co jeszcze mogę ci powiedzieć?

Naomi uważała się za osobę dosyć biegłą w odczytywaniu ludzkich nastrojów, dlatego uznała, że nie jest to najlepszy moment na wzmiankę o Bośni. Wzruszywszy lekko ramionami, sięgnęła po jego szklankę z sokiem pomarańczowym.

- No cóż, chciałabym wiedzieć, co próbujemy osiągnąć. To oczywiste, że March ma powiązania z Irańczykami i Al-Kaidą, więc z całą pewnością z nimi współpracuje. Wiemy, o co chodzi Irańczykom. Ale co z Al-Kaidą - myślisz, że chodzi im o to samo?

Ryan potrząsnął głową i upił łyk kawy.

- Jeśli użyją broni jądrowej lub tylko zdołają ją zdobyć, będą skończeni. Stracą wsparcie ze strony państwa, obawiającego się sankcji nałożonych przez ONZ albo, co gorsza, zbrojnego odwetu Amerykanów. Jestem pewien, że przywódcy Al-Kaidy raczej o tym nie pomyślą, ale taka jest właśnie realna sytuacja. Ciągłe sobie przeczą w oświadczeniach na temat swoich prób zmierzających do nabycia materiałów rozszczepialnych.

- A co z Iranem?

- No cóż, jeśli dowiemy się o posiadaniu przez Iran takiej broni, mogą się upierać, że zamierzają ją wykorzystać wyłącznie do celów obronnych. Potem pójdą pewnie na jakieś drobne ustępstwa, żeby było to łatwiej przełknąć. OBWE ani ONZ z pewnością się to nie spodoba, nam zresztą też, ale Koreańczycy z północy już zdążyli się przekonać, że przymkniemy oko na wiele spraw, o ile trzymają je na własnym podwórku. Dlatego właśnie Brennemanowi tak zależy na powstrzymaniu ich, zanim to wszystko zajdzie za daleko. Kiedy będą już mieli broń jądrową, nasze możliwości wyboru staną się, co oczywiste, znacznie bardziej ograniczone.

Naomi uśmiechnęła się, po czym włożyła kawałek babeczki do ust.

- Widać, że nie jesteś ekspertem w sprawach polityki zagranicznej.

- Zgadza się. - Ryan odpowiedział jej szerokim uśmiechem.
- Ale to nie zmienia faktu, że Al-Kaida może liczyć na oddolne wsparcie i napływ broni ręcznej i pieniędzy do organizacji, jeśli będzie się trzymać z dala od biologicznych i nuklearnych zabawek. W innym przypadku narażą się na kłopoty zbyt poważne, żeby mogli sobie z nimi poradzić. Moim skromnym zdaniem raczej pomagają Irańczykom w realizacji *ich* nuklearnych ambicji.

- W zamian za co?

- Trudno powiedzieć. Niekoniecznie musieli to już ustalać - mruknął Ryan. - Może chodzi o pieniądze, azyl polityczny, broń - albo nawet coś równie prostego, jak bezpieczny przejazd przez ich kraj. Ale powiedziałbym, że za taką pomoc będę się spodziewać naprawdę sporo.

- To ma sens. - Naomi dopiła sok, po czym zerknęła na zegarek. Była już prawie dziesiąta. - A jaka jest twoim zdaniem rola Marcha w tym wszystkim?

Ryan nie odpowiedział, bo w tym właśnie momencie podszedł do nich kelner z rachunkiem. Dopiero po uregulowaniu należności, kiedy zabrali już swoje płaszcze, podjął znowu temat.

- Czytałaś akta, więc wiesz, co to za człowiek. - Naomi nie widziała żadnych akt, ale nie zamierzała go wyprowadzać z błędu.
- Jego wygląd i wykształcenie pozwalają mu wtopić się tu idealnie w tłum. Mógł im też zaoferować jakieś międzynarodowe kontakty. W każdej operacji na gruncie amerykańskim March będzie ich najlepszym gwarantem sukcesu. Poza tym jest w stanie nauczyć młodych rekrutów naprawdę wiele. Nie pošłą go do akcji, o ile nie istnieje spore prawdopodobieństwo, że wróci z niej żywy. Możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że Al-Kaida z każdym dniem rośnie w siłę, on z pewnością ma z tym związek.

- Aż strach pomyśleć - mruknęła Naomi. Ryan pokiwał głową.

- Wiem.

Czarny chevrolet suburban stał już zaparkowany przy krawężniku. Poprzez lekką mżawkę, która otoczyła ich zaraz po wyjściu z hotelu, pośpieszyli w stronę auta. W jego ciepłym wnętrzu, na siedzeniu pasażera z przodu, czekał na nich Harper. Gdy tylko zatrzasnęli za sobą drzwi, samochód natychmiast włączył się do

ruchu. Ryan podał zastępcy dyrektora kupioną na wynos w hotelowej restauracji kawę, a starszy mężczyzna podziękował mu skinieniem głowy.

- Ryan, ta *Natalia* okazała się strzałem w dziesiątkę - powiedział po chwili. - Statek należy do Stephena Graya. Mówi ci coś to nazwisko?

Kealey poszukał szybko w pamięci.

- Coś mi się kojarzy. Facet jest właścicielem przedsiębiorstwa żeglugowego, zgadza się? Miał spore kłopoty, kiedy jeden z jego statków został zatrzymany w drodze do Irlandii Północnej z ładownią pełną broni.

- Ten sam. - Harper rzucił mu na kolana trzymaną w ręku teczkę. - Mieli z tym sporo problemów, bo broń była najwyższej jakości, tysiąc czterdziestomilimetrowych, automatycznych granatników, prosto z fabryki, osiem tysięcy sztuk amunicji, skrzynie pełne karabinów maszynowych Vektor SS-77, kaliber 7,62 mm na trójnogach. Wszystko wyprodukowane przez filię zakładów Denel Arms, w których rząd ma większość udziałów. Jak się pewnie domyślasz, Anglicy byli wściekli. Dużo się wtedy mówiło o tym, że Gray gromadzi broń, żeby sprzedać ją najlepszemu oferentowi, ale facet uniknął odpowiedzialności dzięki jakimś uchybieniom formalnym.

Oczy Naomi otworzyły się szeroko ze zdumienia, a Ryan podniósł gwałtownie wzrok.

- Czyli mamy problem - zauważył. - Jeżeli cokolwiek z tych oskarżeń jest prawdą, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Al-Kaida ma dostęp do dużych ilości uzbrojenia.

- Chyba nawet coś więcej niż tylko prawdopodobieństwo - wtrąciła Naomi. - To znaczy, przyjrzyjmy się faktom. Gray jest właścicielem przedsiębiorstwa żeglugowego wykorzystywanego do przemytu broni. Na pokładzie jednego z jego statków wwieziono do Stanów materiały wybuchowe, które zostały później wykorzystane w zamachu terrorystycznym przeprowadzonym przez Al-Kaidę. Musi być jakieś bezpośrednie powiązanie.

- A ja jestem gotów się założyć, że tym ogniwem łączącym, jest Jason March. - Harper pokiwał z wolną głową, a potem podniósł z podłogi leżącą koło jego stóp drugą teczkę - ciemno-brązowy skoroszyt bez żadnych oznaczeń, które Naomi mogłaby

odczytać. - Chyba najwyższa pora, żeby pani to przeczytała
- powiedział, podając jej akta. Kealey popatrzył na nią pytająco, ale zignorowała jego spojrzenie, zagłębiając się w lekturze dokumentów, podczas gdy zastępca dyrektora tłumaczył dalej.
- To pełne dane Marcha... czy raczej wszystko, co wiemy na jego temat. Nie ma tego zbyt dużo ponad to, co zawierała jego teczką z okresu służby wojskowej. Jego papiery były na tyle dobre, że został przyjęty do armii, a kiedy człowiek już tam trafi, nikt nie zagłębia się dalej.

- Co ma pan na myśli? - zapytała Naomi, podnosząc zaciekawiony wzrok. Ryan wpatrywał się w padający za oknem deszcz.

- Chodzi o to, że przed wstąpieniem do wojska Jason March zwyczajnie nie istniał - wyjaśnił Harper. Kharmai otworzyła ze zdumienia usta, przyglądając się uważnie jego twarzy.

- To niemożliwe - wydukała w końcu. - Przecież wojsko sprawdza akt urodzenia, prawo jazdy, nawet świadectwa ze szkoły średniej, zgadza się? Jak March mógł tak po prostu...

- Wszystkie złożone przez niego dokumenty zostały spreparowane - wtrącił Ryan, więc Naomi odwróciła się lekko, żeby spojrzeć na niego. - Wypełnianie wstępnych formularzy było ryzykowne, ale nawet wtedy nie sprawdzają wszystkiego dokładnie - wojsko zawsze na gwałt potrzebuje świeżego mięsa armatniego. A kiedy już został wcielony w szeregi armii, wszystko stało się faktem. Oddziały powietrzno-desantowe, szkoła Rangersów, desant powietrzny, szkolenie snajperskie, kurs SERE - to skrót od Survival, Evasion, Resistance and Escape, czyli przetrwanie, unikanie, opór i ucieczka - Special Forces Assessment and Selection... Wszędzie przyjmowano go dzięki nieskazitelnej kartotece wojskowej. Był świetny we wszystkim, co robił. Wzorowy żołnierz. Generałowie podpisujący jego papiery nie mieli żadnych powodów, żeby wątpić w to, co twierdził na temat swojego życia przed wstąpieniem do armii.

Naomi wyczuła gorzyc w głosie Ryana i nagle powróciły do niej fale słowa generała Hale'a: *nie bardzo przekonywały mnie słowa Kealey a... oskarżenia brzmiały jak urojenia... powinienem był go posłuchać... powinienem był słuchać...* Szybko wróciła do przeglądania akt. Osiągnięcia Marcha były jeszcze bardziej imponujące niż te, którymi mógł się poszczycić dowódca jego

batalionu. Na pierwszej stronie wymieniono rzeczy, którymi zajmował się jako 18 Charlie, czyli saper w randze sierżanta sił specjalnych. Poza wspomnianymi już przez Ryana szkoleniami, sierżant March odbył również trening w zakresie unieszkodliwiania amunicji, a dodatkowo miał uprawnienia pletwonurka i skoczka spadochronowego do skoków z opóźnionym otwarciem. Jeśli jednak chodzi o listę nagród i sukcesów, była ona zaskakująco skromna. Najwyższe odznaczenie, jakie zdobył March, stanowił Meritorious Service Medal. Poza tym nie było już nic wartego wzmianki.

- Skoro March był takim świetnym żołnierzem, dlaczego nie otrzymał więcej wyróżnień?

Ryan musiał się nad tym chwilę zastanowić, bo uwaga była rzeczywiście celna.

- Radził sobie nieźle, zbierał wszystkie standardowe odznaczenia związane z awansem przez poszczególne stopnie, poza tym każdy przyzwoity starszy sierżant sztabowy dostaje MSM. Chodzi o to, że March podpadł niejednemu oficerowi, a to oni opiniują decyzje o nadaniu odznaczenia. March zawsze izolował się od swoich kolegów, był raczej samotnikiem. Wielu ludziom nie podobało się jego postępowanie... Niepokoiło ich.

Nie wyłączając ciebie, pomyślała Naomi. Ale Ryan Kealey zjrzał znacznie głębiej w umysł Jasona Marcha, odkrył to, co się tam czało, dużo wcześniej niż wszyscy inni. Nie można go było winić za postępowanie Marcha siedem lat temu, ani za zbrodnie, które popełnił od tamtej pory.

- Teraz ma już pani pojęcie z czym mamy do czynienia - zauważył Harper, kiedy Naomi zwróciła mu akta. Kharmai zdołała zachować powagę, ale nie mogła się pozbyć wrażenia, że usta Ryana drgnęły w rozbawieniu. Najwyraźniej zastępca dyrektora nie miał pojęcia jakiego detektywa dokooptował do swojej ekipy.

- Chcę, żebyście oboje pojechali do Kapsztadu wywiedzieć się, co ma do powiedzenia Gray. Jego biuro i jednocześnie główna siedziba firmy mieszczą się w takim przerobionym magazynie. Facet ma co prawda jeszcze swoje filie przewozowe w Durbanie i Richard's Bay, ale Kapsztad stanowi bazę - wyjaśnił Harper, a potem wskazał ręką leżące na kolanach Kealeya akta.

- Tam powinniście znaleźć wszystkie niezbędne informacje. Jak się pewnie domyślacie, Stephen Gray nie jest zbyt lubianym obywatelem od czasu tych oskarżeń. Mamy nieoficjalne poparcie ze strony rządu RPA na przeprowadzenie tej operacji. Innymi słowami oznacza to, że przymkną oko na pewne sprawy, ale nie na wszystko. Ryan, tym razem wyraziłem się chyba wystarczająco jasno? - Harper popatrzył uważnie na swojego podwładnego, a jego głos zabrzmiał zimno jak stal. Kealey skinął głową z szacunkiem, co rozbawiło Kharmai odrobinę, dopóki dyrektor nie utkwił w niej równie chłodnego spojrzenia. - Poza tym musicie wiedzieć, że miejscowa policja nie została wtajemniczona i to się raczej nie zmieni w najbliższym czasie. Gliniarze nie mają pojęcia, kim jesteście... Dobrze by było, żebyście o tym pamiętali. Nie zawahają się strzelać, jeśli uznają was za zagrożenie. I nie mówię tego dla własnego dobra, rozumiemy się? Najbliższa ambasada amerykańska znajduje się w Pretorii, ponad dziewięćset kilometrów od Kapsztadu. To nie zostawia wam zbyt wielkiego marginesu błędu. Nie możecie tego spieprzyć, bo nie będzie tam nikogo, kto mógłby wam pomóc.

Jonathan Harper odwrócił się w stronę kierowcy, żeby wskazać mu coś ręką, kiedy zbliżali się już do bram lotniska Norfolk International. Mokry asfalt szumił cicho pod kołami ich samochodu, bo niebo otwarło w końcu swoje podwoje i deszcz bębnił teraz o dach pojazdu i rozciągającą się przed nimi drogę.

- Byłbym zapomniiał. - Harper odwrócił się znowu w ich stronę, żeby wręczyć obojgu tekturową teczkę. - To są wasze paszporty i prawa jazdy. Gratuluję, pracujecie teraz w Dolinie Krzemowej. Dla was oznacza to chyba sporą podwyżkę pensji, nawet jeśli tylko na papierze - zażartował z uśmiechem. - Możecie wrzucić wszystkie niezbędne wydatki w koszty, ale nie zapominajcie, kto w ostatecznym rozrachunku za to wszystko płaci, dobrze? - Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy wrócił do konkretów. - Nie bez powodu rozmawiam tutaj z wami, zamiast siedzieć sobie wygodnie w moim gabinecie w Langley. Ta sytuacja żywo interesuje dyrektora Andrews'a i prezydenta, a więc także i nas. Liczę na waszą dwójkę.

Niewielki konwój podróżował na północny zachód prawie od ośmiu godzin. Jechali przez Daszt-e Lut, wielką słoną pustynię,

która zdawała się ciągnąć bez końca we wszystkich kierunkach. Kiedy w oddali pojawiło się wreszcie pogórze Zagrosu, młody policjant zajmujący siedzenie pasażera w drugim land roverze wyszeptał cicho krótką modlitwę dziękczynną. Jadący przed nimi samochód wioził człowieka Al-Kaidy, pułkownika lotnictwa i dwóch z jego adiutantów. Konwój zamykała prowadzona przez Amerykanina ciężarówka z blaszanym kontenerem, który miał zostać dostarczony do zakładów w Araku.

Przejechali przez Nikshahr i Bampur, ostrożnie lawirując wąskimi uliczkami i mijając niewielkie grupki machających im radośnie dzieci. Cztery godziny później na północy ukazało się wreszcie Bam, na widok którego siedzący z tyłu mężczyzna, pochodzący z tego właśnie rozciągającego się szeroko miasta, wydał głośny okrzyk radości. Przebyli zaledwie osiemdziesiąt dodatkowych kilometrów od momentu, kiedy peryferia zniknęły im z pola widzenia.

Wcześniej tego dnia zadziwiające kontrasty pustyni okazały się miłym zaskoczeniem dla Alego Ahmediego, który całe swoje dwudziestoosmioletnie życie spędził na ulicach Teheranu. Jego znajomość irańskiego krajobrazu ograniczała się właściwie tylko do poszarpanych skał Damawendu, najwyższego szczytu Iranu na północ od stolicy. Ali nigdy nie był na pustyni aż do momentu wyprawy do Bandar Beheshti. Ogromne chmury kłębiaste lśniły bielą na tle jaskrawego tła lazurowego nieba, opadając aż do wąskiej linii horyzontu, gdzie zaczynały się piasek, kamienie i wyschnięte błoto kewirów.

Powietrze rozświetlanej gwiazdami nocy zrobiło się już chłodne, więc Ahmedi opuścił okno, żeby nacieszyć się lekkim wiatrem. Wkrótce będą się musieli zatrzymać na postój, bo podróż przez wciągające błota słonych bagien kewiru była wystarczająco niebezpieczna za dnia, kiedy widzieli ciągnącą się przed nimi ścieżkę i łatwiej mogli podjąć decyzję.

Samochód prowadził jego przyjaciel i towarzysz z Komitehu, z tyłu siedzieli trzej adiutanci pułkownika. Ahmedi początkowo słuchał ich z rozbawieniem, ale wraz z upływem czasu powoli zaczynała w nim narastać irytacja, aby w końcu zamienić się w nieskrywaną złość.

Mówili wyłącznie o Amerykaninie.

Ich rozmowa pełna była najbardziej nieprawdopodobnych przypuszczeń i teorii: Amerykanin nie pochodzi wcale z Ameryki, tylko jest europejskim najemnikiem; Amerykanin jest szpiegiem Wielkiego Szatana albo znakomitym zabójcą, niemającym sobie równych.

Ta ostatnia opinia nie była akurat zupełnie bezpodstawna, pomyślał Ahmedi.

Wcześniej miał okazję zaobserwować, jak przypominający wyglądem gwiazdora filmowego Amerykanin obdarzył człowieka z Al-Kaidy spojrzeniem swoich zimnych oczu, a potem ruszył jakby nigdy nic do kapitanatu portu. Ali doskonale pamiętał, jak kapitan wykrzykiwał, że magazynu nie wolno otwierać, a oni muszą zdobyć ciężarówkę gdzie indziej. Amerykanin wszedł do baraku z blachy falistej i nikt więcej nie widział już kapitana...

Nikt też nie odważył się po tym wszystkim wejść do biura. Zdaniem Ahmediego człowiek z Al-Kaidy bał się Amerykanina, a pułkownik i jego adiutanci podzielali ten strach.

Jadąca za nimi ciężarówka dała sygnał światłami, więc policjant kierujący samochodem, w którym podróżował Ahmedi, również błysnął reflektorami i cały konwój stanął. Po wyłączeniu silników mężczyźni wyciągnęli zza siedzeń śpiwory, podczas gdy chłodny wiatr wzbijał w mroki nocy piasek. Do Araku pozostało im jeszcze dwanaście godzin jazdy. Wraz z pierwszym brzaskiem ruszą w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ 15

KAPSZTAD, REPUBLIKA POŁUDNIOWEJ AFRYKI

Założony w połowie siedemnastego wieku przez gubernatora Jana van Riebeecka Kapsztad był początkowo faktorią leżącą na prowadzącym na wschód szlaku morskim holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Z biegiem lat miasto rozkwitało, zajmowane początkowo przez Brytyjczyków, aby w 1803 roku powrócić znowu do Holendrów. W 1806 roku port znalazł się ponownie w rękach Anglików i wkrótce stał się stolicą kolonii Kraj Przylądkowy. Kiedy w 1910 roku utworzono Związek Południowej Afryki, wszelkie sprawy administracyjne zostały przeniesione na północ do Pretorii, jednak to położone na wybrzeżu miasto nadal świetnie prosperowało, głównie dzięki kopalniom złota i diamentów w Transwalu, które dostarczały ogromnych ilości niezwykle dochodowych surowców eksportowych. Teraz Kapsztad stanowił zarówno stolicę konstytucyjną kraju, jak i jeden z największych portów morskich na świecie, więc Ryan Kealey doskonale rozumiał, dlaczego Stephen Gray wybrał na siedzibę swojej firmy ten tętniący życiem handlowy i przemysłowy ośrodek, znajdujący się u wrót czarnego kontynentu.

Do miasta dotarli o trzeciej po południu, przebywszy prawie dwanaście tysięcy kilometrów. Słońce prażyło niemiłosiernie, kiedy prowadzony przez Ryana biały nissan x-trail zagłębił się w miasto. Naomi siedziała na miejscu pasażera z rozpostartą na kolanach ogromną mapą, pilotując ich na zachód przez Strand Street w stronę nabrzeża. Patrząc na jej twarz, Ryan bez trudu zorientował się, że Kharmai zajmuje coś więcej niż tylko wskazówki dotyczące trasy.

- Wyduś to z siebie - przerwał wreszcie milczenie. - Do-
prowadzasz mnie do szału tą swoją miną. Nad czym tak
rozmyślasz?

Naomi odwróciła się lekko w jego stronę, ewidentnie zatros-
kana.

- Martwię się, jak poradzimy sobie z Grayem. Nie sądzisz, że
powinniśmy mieć jeszcze kogoś do pomocy?

- Facet jest właścicielem jednej z największych firm przewo-
zowych w tym kraju, więc musi mieć trochę oleju w głowie.

- Ryan wzruszył ramionami, całą uwagę skupiając na ciągnącej
się przed nimi drodze. - Spróbujemy go przekonać. Szczerze
wątpię, żeby miał ochotę narażać się na ekstradycję. Trudna
sprawa, ale jestem przekonany, że Departament Stanu wystąpi
z taką prośbą, jeśli Brenneman będzie na to naciskał. Nie sądzę,
żeby władze RPA jakoś szczególnie się temu sprzeciwiały, a ty?

- Chyba nie - mruknęła Naomi. - A co jeśli Gray nie będzie
chciał słuchać naszych argumentów? Skręć tutaj.

Ryan pokonał zakręt i zaklął pod nosem, kiedy omal nie
uderzył bokiem ich jeepa w mniejsze auto. Trudno mu było
przyzwyczaić się do lewostronnego ruchu ulicznego.

- Nie wybiegam myślą tak daleko naprzód - powiedział
w końcu, zwracając się do Kharmai z lekkim uśmiechem.

Jechali teraz wolno uliczkami nabrzeża Wiktorii i Alberta,
zwanego przez miejscowych po prostu V&A. Jako że stanowiło ono
jedną z głównych atrakcji Kapsztadu, wzdłuż ulic ciągnęły się drogie
sklepy, a chodniki pełne były klientów - opalonych turystów,
uginających się pod ciężarem nieodłącznych aparatów fotograficz-
nych, plecaków i toreb z zakupami. Dzielnica została odrestaurowana
w połowie lat osiemdziesiątych, ale chociaż wiele budynków zostało
zmodernizowanych, gdzieś tam pozostały jeszcze ślady wiktoriań-
skiej architektury przemysłowej, stanowiącej pamiątkę po czasach
brytyjskich rządów. Zdaniem Naomi ogólny efekt był całkiem miły
dla oka, zwłaszcza kiedy jeep wspiął się na niskie wzgórze i ujrzeli
w oddali połyskujące wody Zatoki Stołowej.

- Zwolnij - powiedziała Naomi i jeszcze raz zerknęła na
mapę. - Tutaj w prawo.

Ryan skręcił w następną uliczkę. Zaczęli się teraz oddalać od
tętniącego życiem centrum handlowego, zagłębiając się w prze-

mysłową część miasta. Zmiana była początkowo nieznaczna i sprowadzała się właściwie do mniejszej liczby ludzi na ulicach. Wkrótce jednak ekskluzywne restauracje i butiki handlowych dzielnic ustąpiły miejsca wysokim magazynom z czerwonej cegły i spękanego szarego betonu.

- Czego szukamy? - zapytał Ryan.

Naomi spojrzała znowu na mapę.

- Tego - powiedziała, wskazując lekkim ruchem głowy jeden z wielu identycznie wyglądających budynków. Przed magazynem stał najnowszy model mercedesa klasy E w srebrnym kolorze.

- Raczej rzuca się w oczy, co? Pewnie nie ma tu zbyt wiele takich aut - zauważył Ryan, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu strażników rozstawionych ewentualnie w alejkach po obu stronach budynku, nie dostrzegł jednak nikogo. - Widzisz coś ciekawego?

- zapytał Naomi, a kiedy ta potrząsnęła tylko przecząco głową, pomknął dalej ulicą.

- Co chcesz...

- Chwileczkę, muszę pomyśleć - przerwał jej Ryan. Chociaż dawno już zostawili za sobą ulicę, przy której mieściła się siedziba firmy Graya, nadal miał przed oczami kształty i położenie poszczególnych budynków i zastanawiał się teraz tylko, co będzie mu potrzebne do rozpoczęcia obserwacji... Dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie jest sam. - Przepraszam, o co pytałaś?

- To nic ważnego - mruknęła Naomi. - Bardziej interesuje mnie, o czym tak intensywnie myślałaś.

Ryan westchnął ciężko, kiedy wracali już uliczkami ciągnącymi się wzdłuż zatoki.

- Właśnie do mnie dotarło, że to może nie być wcale takie proste. Jak na znanego handlarza bronią nie wydaje się zachowywać zbyt wielu środków ostrożności. To mało prawdopodobne, bo facet musi mieć przecież jakąś ochronę, a to z kolei oznacza nieokreśloną liczbę uzbrojonych strażników wewnątrz budynku i z całą pewnością jakiś system alarmowy. Najlepszym rozwiązaniem byłoby dopaść faceta w drodze, ale to nigdy nie przejdzie z Harperem - w końcu kazał nam to załatwić po cichu.

Naomi milczała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w ciemniejące wody zatoki. Wjeżdżali z powrotem do handlowej części

miasta, z rzęsiście oświetlonymi witrynami sklepów po prawej i imponującym widokiem na wodę otwierającym się na lewo od nich. Naomi patrzyła nieobecny wzrokiem na światła pozycyjne statków kołyszących się na łagodnych falach Atlantyku.

- A może to jednak *jest* takie proste - powiedziała wreszcie.
- Co masz na myśli?

- Gray przechytrzył władze w ich własnej grze - został przyłapany na gorącym uczynku, a mimo to zdołał się wywinąć od więzienia. Teraz ma nawet więcej pieniędzy niż poprzednio. Może jest na tyle bezczelny, żeby uważać się za nietykalnego.

- To niegłupia koncepcja - przytaknął Ryan. - Ale musimy mieć pewność. - Zerknął bezwiednie na szyję Naomi i z trudem powstrzymał dreszcz na myśl o tym, co mogło się stać. - Nie będziemy więcej kusić losu.

Kharmai nie odpowiedziała. Wjechali wreszcie swoim wynajętym nissanem na parking Victoria and Albert Hotel. Po dopełnieniu formalności związanych z meldunkiem, postanowili zjeść jeszcze lekki posiłek na patio, z którego rozciągał się widok na zatokę. Chociaż oboje byli wyczerpani, nie odmówili, kiedy kelner przyniósł im razem z menu kartę win.

Kolacja okazała się naprawdę wyśmienita i jeszcze przyjemniejsza dzięki rozległej panoramie roztaczającej się u ich stóp. Wody zatoki zdawały się ciągnąć w nieskończoność, ograniczane jedynie płonąca linią horyzontu i rysującą się w oddali na tle zachodzącego słońca sylwetką płaskiego szczytu Góry Stołowej.

Rozmowa początkowo się nie kleiła, choć po pewnym czasie Ryan zaczął przełamywać swoją niechęć do Naomi Kharmai. Wiedział, że to zasługa jej urody i wypitego wina, ale wraz z zapadaniem zmierzchu przekonywał się do dziewczyny coraz bardziej. Kiedy pomyślał o lekceważącym uśmiechu, malującym się na jej twarzy tam pod Kennedy-Warren, od razu przypomniał sobie także, jak szybko zareagowała w barze w Norfolk. Na myśl o jej braku wdzięczności, pamięć natychmiast podsunęła mu obraz jej słonych od łez policzków, ocieranych szybko dłonią w jasno oświetlonym hotelowym pokoju. Pomimo tylu sprzecznych obrazów przemykających przez jego umysł nie potrafił oderwać wzroku od jej jasnozielonych oczu, wpatrujących się w niego ponad stołem.

Długo po zakończeniu przez nich posiłku kelner przyniósł im drugą butelkę Bordeaux. Naomi wypła duszkiem jeden kieliszek, kolejnym już się delektując. Rozmawiali o podróży samolotem i wrażeniu, jakie wywarł na nich widziany po raz pierwszy czarny ład. Kiedy jednak rozgrzane kamienie patio zaczęły się pogrążyć w mroku, rozmowa zбочyła na temat początków ich pracy w Agencji, chociaż Ryana interesował bardziej wiek Naomi.

- Wiem, że to niegrzecznie pytać - powiedział z chłopcącym uśmiechem - ale ile ty masz lat?

- Nie masz żadnej karty przetargowej - Naomi uśmiechnęła się w odpowiedzi. - Bo ja już wiem, ile masz ty.

- Zgadza się - przytaknął Ryan. - Zdaje się, że sporo wiesz.

- Dlatego właśnie jestem tutaj, zamiast siedzieć w moim ciasnym boksie w Tyson's Corner - odparła Naomi, unosząc szelmowsko brwi. - Dyrektor uznał, że jedno z nas dwojga musi wiedzieć *cokolwiek*. - Ryan roześmiał się i ujął butelkę, żeby dolać wina do kieliszków. - A ile lat ma twoja narzeczona?

- Powiem ci, jeżeli zdradzisz mi w końcu swój wiek.

- W porządku - powiedziała Naomi z namysłem, odstawiając kieliszek. Na jej twarzy malowało się teraz rozbawienie. - Muszę ci chyba zaufać w tej sprawie. Mam dwadzieścia dziewięć lat. Twoja kolej.

- Dwadzieścia dziewięć?

- Trzydzieści. - Jej uśmiech nieco przygasł. - Ale dwadzieścia dziewięć brzmi o całe niebo lepiej, prawda?

Kealey roześmiał się znowu, nie zamierzał jednak łamać obietnicy.

- Katie ma dwadzieścia cztery lata. Wiem, że to stawia mnie w dosyć niekorzystnym świetle, ale - no cóż, tak naprawdę nie mam nic na swoją obronę. Była moją studentką, co chyba pogarsza tylko sprawę.

- Wykładałeś na uniwersytecie? - zdziwiła się lekko Naomi.

- Nie jesteś odrobinę za młody na profesora?

- Jestem tylko podrzędnym profesorem nadzwyczajnym. Pewnie mimo wszystko nie zwolnią mnie z pracy, jeśli powiem, co trzeba i trochę się pokajam. Czemu tak cię to dziwi? Nie wyglądam na intelektualistę, tak?

- Nie o to chodzi - odparła Naomi. - Mój ojciec wykładał w Cambridge. Był naprawdę uznanym naukowcem, ekspertem

w swojej dziedzinie, a większość ludzi też nie wzięłaby go za profesora.

- Dlatego przeprowadziliście się do Stanów, z powodu jego pracy?

Naomi kiwnęła głową i spuściła wzrok, a Ryan bez trudu zauważył wyraz smutku wypływający na jej twarz.

- Kiedy miałam osiemnaście lat, zaproponowano mi stanowisko w Harvardzie. Naprawdę świetnie sobie radziłam... napisał kilka książek, zdobył stały etat. Był tak wściekły, bo odmówiłam przyjęcia stypendium, że nie odzywał się do mnie przez miesiąc. - Naomi zawahała się, po czym podjęła dalszą opowieść. - Chyba po prostu liczył na to, że pójdę w jego ślady. Był jeszcze bardziej zawiedziony, kiedy wstąpiłam do Agencji.

- Dlaczego odrzuciłaś to stypendium? - zapytał łagodnie Ryan. Naomi w końcu podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy.

- Musiałam sama na wszystko zapracować, rozumiesz? Nie chciałam, żeby ktoś podał mi moją przyszłość na tacy. Teraz wydaje się to głupie, ale wtedy było to dla mnie naprawdę ważne. Ojciec też potrafi się uprzeć, więc stosunki między nami nie układały się zbyt dobrze. A przecież nie chciałam wiele. To znaczy, gdyby chociaż *raz* powiedział o mnie tak, jak mówi o moich braciach... - urwała w pół zdania i pośpiesznie zerwała się od stołu, aż odsunięte gwałtownie krzesło przewróciło się do tyłu.

- O co chodzi? - Ryan wstał niemal równie szybko. - Co się stało?

Naomi potrząsnęła głową, najwyraźniej zaskoczona własną szczerością i wściekła na samą siebie.

- Nic - powiedziała w końcu. - Naprawdę nic się nie stało. Boże, czasami po prostu tak coś plotę bez sensu. Przepraszam, nie ma o czym mówić... - Szybko zabrała swój płaszcz i odwróciła się, żeby odejść.

- Naomi - odezwał się Ryan. - Naomi - powtórzył raz jeszcze, chwytając ją za ramię, zanim zdążyła uciec. - Jeżeli twój ojciec nie był z ciebie dumny, to bardzo się mylił.

Kharmai spojrzała mu w oczy i wiedziała już, że mówił szczerze. Po krótkiej chwili wahania podeszła bliżej i wspiąwszy się na palce, pocałowała go lekko. Potem odsunęła się, zaledwie

odrobinę, ale jej miękkie wargi pozostały blisko jego ust, niczym obietnica czegoś więcej. Kiedy czar przysł, ruszyła szybko pomiędzy pustymi stolikami w stronę hotelu, postukując cicho obcasami o kamienną posadzkę.

Oszołomiony Ryan został sam na tarasie w ciemnościach ogarniających zatokę. Na ustach ciągle czuł jeszcze ten słodki smak. Boże, dlaczego do tego doszło? Nie mógł już cofnąć czasu, a będzie przecież musiał pracować z tą kobietą jeszcze dosyć długo. Dopiero w tym momencie pomyślał o Katie, ale to i tak nie wystarczyło. Przywołał na myśl jej obraz, żeby ukarać samego siebie. Widział ją na skalistym urwisku górującym nad Cape Elizabeth, wpatrującą się gdzie w daleki bezkres oceanu, podczas gdy silny wiatr od morza rozwiewał jej włosy. Nawet teraz, kiedy nie był w stanie pozbierać poplątanych myśli, czystość jej rysów zapierała mu dech w piersiach. A potem wspomnienie rozpadło się na tysiąc drobnych kawałków, a on dobrze wiedział, że to jego wina.

Potrząsając głową, ruszył w końcu z powrotem do wnętrza hotelu. Gdyby tylko mógł cofnąć czas...

Następnego ranka Ryan rozpoczął swój dzień bardzo wcześnie. Zdążył się wykapać i ubrać, zanim jeszcze weszło słońce, a potem szybko wyszedł ze swojego pokoju, przystając tylko na chwilę, żeby wsunąć pod drzwi Naomi kartkę z nagryzmołą pośpiesznie wiadomością. Nie było tam nawet wzmianki o tym, co się wydarzyło poprzedniego wieczora, po prostu kilka linijek z informacją, że zabiera jeepa i jedzie po niezbędne materiały. Dziewczyna wypła wczoraj sporo wina i nie widział nic złego w tym, żeby dać jej trochę więcej czasu na powrót do formy. Wstąpił jeszcze do hotelowej restauracji po kawę na wynos, a potem zatrzymał się na chwilę w recepcji z pytaniem o drogę do interesujących go sklepów.

Wyszedł na zewnątrz prosto w rześkie powietrze nowego dnia, rozpościerającego się nad Kapsztadem łagodnym purpurowo-pomarańczowym brzaskiem. Wiedział, że pora jest zbyt wczesna, żeby otwarto już sklepy na Strandzie, ale nie był jeszcze gotów stanąć twarzą w twarz z Naomi. *Dziwna kobieta*, pomyślał z roztargnieniem. *Jest bystra, uparta i tak bardzo boi się okazać*

slabość. Musi dać jej do zrozumienia, że nie mogą wyjść poza kontakty służbowe, a jednocześnie nadal móc z nią po tym wszystkim pracować. Wyjątkowo niezręczna sytuacja. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie byłoby lepiej w ogóle o tym nie wspominać, zczekać, co powie Naomi. Może żałuje tego równie mocno jak on?

Z drugiej jednak strony upłynęła dłuższa chwila, zanim dziewczyna w końcu się od niego odsunęła... Ciekawe czy po opuszczeniu tarasu czekała w swoim pokoju z szlafrokiem zsuwającym się z jej nagich ramion, nasłuchując odgłosu jego kroków. Ten obraz nie opuszczał go nawet na moment, kiedy jechał wynajętym nissanem w stronę przemysłowej części miasta.

Srebrny mercedes znowu stał przed budynkiem, choć w nieco innym miejscu. Ryan pamiętał z akt, które dostarczył im Harper, że Gray jest właścicielem nie tylko licznych posiadłości położonych dalej na północ, ale także znajdującego się przy Buitengracht miejskiego domu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spędził noc w jednym z tych właśnie miejsc, a rano przyjechał znowu do siedziby firmy. Ryan zerknął na zegarek. Dopiero osiem po siódmej, a facet już jest w pracy. Zanotował to sobie w pamięci, wysiadając jednocześnie z jeepa, po czym wykorzystał nadarżającą się okazję, że ulica jest akurat pusta, żeby przyjrzeć się rozkładowi budynków otaczających odnowiony magazyn Graya. Chodnik po drugiej stronie jezdni był bardzo wąski, właściwie szczątkowy, i rozszerzał się dopiero dalej, wybiegając naprzeciw kolejnemu przemysłowemu kompleksowi.

Ryan powędrował wzrokiem wzdłuż fasady budynku aż do płaskiego dachu, a potem znowu ukośnie na dół w stronę metalowych drzwi po drugiej stronie mercedesa. Wreszcie ruszył zaśmieconą uliczką, pomiędzy gładkimi betonowymi ścianami budynków, aż ku swojemu zadowoleniu dotarł do aluminiowych schodów przeciwpożarowych, kończących się tuż nad kontenerem na śmieci, z którego płatami odchodziła brązowa farba.

Kiedy stanął na śmietniku, z łatwością mógł dosięgnąć drabinki i chwyciwszy za najniższy szczebel, ściągnąć ją w dół. Na razie więcej nie było mu trzeba. Usatysfakcjonowany, popchnął schody na dawne miejsce i zeskoczył z kontenera, po czym ruszył wąskim przejściem pomiędzy budynkami z powrotem w stronę

jeepa. Przed zapadnięciem zmroku miał jeszcze wiele do zrobienia.

Naomi zbudziła się tuż przed dziesiątą, z pościelą splątaną wokół stóp. Podniosła się ociężale z łóżka, zaskoczona widokiem słońca znajdującego się już w połowie drogi przez nieboskłon. Nasłuchując radosnych okrzyków dzieci za oknem, zaczęła się zastanawiać, dlaczego Ryan pozwolił jej spać tak długo. Jego imię natychmiast przywołało wspomnienie ostatniej nocy. Naomi usiadła na brzegu łóżka, gorączkowo próbując sobie przypomnieć, co zaszło.

O mój Boże.

Jak mogłam zrobić coś takiego, pomyślała. Aż nie chce się wierzyć. Zdawała sobie sprawę z uczuć, jakie żywi do Ryana, ale wiedziała też instynktownie, że ten związek nie miał żadnych szans. Kealey jest zaręczony, a poza tym... No cóż, właściwie to jedyna przeszkoda, ale i tak wystarczająca. Jednak nie odsunął się wtedy od niej. Pamiętała to wyraźnie. Dała mu taką możliwość, a jednak się nie cofnął. Z drugiej strony teraz pewnie nią pogardzał, po tym, co wczoraj powiedziała. Bredziła bez końca o swoim ojcu, użalając się nad sobą. Ale nie pozwoli, żeby to się powtórzyło. Za żadne skarby świata.

ROZDZIAŁ 16

IRAN

Dotarli na miejsce znacznie wcześniej, niż się spodziewali, gdy tylko słońce zaczęło się zniżać ponad najwyższymi szczytami górzystego regionu Khondaub na zachód od Araku. Po dotarciu do szosy biegnącej na północny zachód od Kermanu poprzez Yazd i Isfahan konwój pomknął znacznie szybciej. Kiedy pozostawili już za sobą ostatnie miasto, tereny, przez które jechali, zaczęły się stawać coraz bardziej wyludnione, a nisko położone pogórze ustąpiło miejsca skalistym zboczom wznoszącym się wysoko ponad pustynią.

W promieniu trzydziestu kilometrów od kompleksu nie było żadnych prywatnych domostw, przynajmniej takich, w których ktoś jeszcze mieszkał. Ministerstwo spraw wewnętrznych wypędziło stąd wszystkich ludzi, gdy tylko rozpoczęły się pierwsze prace nad budową reaktora jądrowego. Mieszkańcy nie otrzymali żadnej rekompensaty, mieli jednak dość szczęścia, że w ogóle udało się im ująć z życiem. Obecny reżim byłby znacznie mniej wspaniałomyślny.

Zakłady leżały w płytkiej dolinie, a ich jasnobrązowe budynki o płaskich dachach wtapiały się idealnie w otaczające je granitowe skały, stanowiące naturalną osłonę przed ewentualnym atakiem raketowym. Cały kompleks był otoczony podwójnym ogrodzeniem z siatki zwieńczonej drutem kolczastym. Dla niewprawnego oka ochrona mogła się wydawać słaba, praktycznie żadna, działała jednak sprawnie. Widać to było w punktach zdawania broni przed wejściem do wszystkich budynków i okrytych siatką maskującą ciężarówkach z pociskami raketowymi ziemia-powiet-

rze zestawów Osa AK. Świadczył też o tym przytwierdzony do wozu dowodzenia radar wielofunkcyjny i otaczające teren bunkry ze składami amunicji i specjalnymi osłonami przed granatami. Znacznie trudniej byłoby już odkryć nie oznakowane pola minowe rozrzucone na otwartym terenie na południe od zakładów, podobnie jak czujniki wczesnego ostrzegania rozlokowane na górskich przełęczach w promieniu dwudziestu kilometrów.

Spodziewano się ich, nie musieli więc radzić sobie z tymi wszystkimi środkami ostrożności. Kiedy cały konwój został już sprawdzony przy głównej bramie, pojazdy ruszyły zygzakiem przez teren zakładów. Najpierw przejechali obok trzypiętrowego budynku służącego jako koszary dla żołnierzy, potem minęli największą budowlę całego kompleksu - konstrukcję ze sprężonego betonu, w której mieściły się dwa reaktory i mniejsze generatory pary. Za tym budynkiem znajdowała się jeszcze ogromna chłodnia kominowa służąca, o czym dowódca bazy oczywiście nie miał pojęcia, jako punkt orientacyjny dla zespołów NSA¹⁴ z Fort Meade, w stanie Maryland, kontrolujących satelity.

Samochody zatrzymały się wreszcie przed zespołem administracyjnym - skupiskiem identycznych, połączonych wąskimi korytarzami budynków, które stanowiły wysuniętą najdalej na północ część kompleksu. Zmęczeni mężczyźni zaczęli wysiadać z kabin, przeciągając się w chłodnym górskim powietrzu, podczas gdy żołnierze natychmiast przystąpili do wyładunku kontenera za pomocą dźwigu. March nie został z nimi, żeby nadzorować całą operację, tylko ruszył za Hamzą i irańskim oficerem do chłodnego wnętrza budynku administracyjnego.

Wszystkie korytarze wyglądały dla niego tak samo: białe, nieskazitelnie czyste ściany i świeżo wywoskowane jasne posadzki, żadnych obrazów ani okien. Od razu zauważył brak typowej dla takich miejsc krzątający zaferowanych pracowników biurowych i przepracowanego personelu. W trakcie swojej dosyć długiej wędrówki do samego serca budynku nie spotkali nikogo.

Cisza byłaby wręcz przytłaczająca, gdyby nie ciche, nierówne

¹⁴ National Security Agency - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, amerykańska agencja wywiadowcza specjalizująca się w przechwytywaniu za pomocą środków technicznych informacji przekazywanych przede wszystkim drogami telekomunikacji i ocenianiu ich przy pomocy systemów komputerowych.

stukanie ich butów o lśniące płytki podłogi. W końcu pułkownik zatrzymał się przy jednym z wielu nieoznakowanych drzwi i zapukał cicho.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział, uzyskawszy pozwolenie na wejście, po czym zniknął wewnątrz.

Nie było go jakieś pięć minut. Hamza unikał wzroku swojego towarzysza, ale instynktownie wyczuwał, że ten uważnie go obserwuje. Trudno mu było zachować spokój pod tym przenikliwym spojrzeniem. Myślami ciągle wracał do Beheshti, do kpiącego tonu pułkownika, pogardy odbijającej się w oczach Amerykanina i do samotnego budynku z zamkniętymi okiennicami, stanowiącego kapitanat portu.

Wyobrażał sobie, jak lejący się z nieba żar rozpala blaszany dach i to, co znajdowało się w środku. Wciąż dręczyło go uporczywe pytanie, czy muchy obsiadły już ciało.

Drzwi otworzyły się wreszcie i zaproszono ich do środka. Wnętrze pokoju różniło się krańcowo od sterylnych korytarzy. Ściany ozdabiała niewielkie, gustownie oprawione obrazki, na podłodze leżał puszysty, miękki dywan o rdzawoczerwonej barwie, a poza tym wszędzie stały porzostawiane fotele, sprawiające wrażenie dosyć drogich. March zauważył, że jego towarzysz rozgląda się wokół z niedowierzaniem, jakby nigdy nie widział takich luksusów.

Saif al-Adel siedział na jednej z kanap, wstał jednak od razu, gdy tylko weszli do pokoju. Na jego szczupłej twarzy o ostrych rysach malował się błądy uśmiech. Widząc go w tak dobrym nastroju, Hamza odetchnął z ulgą.

- Witaj, bracie. Lękaliśmy się już, że pustynia mogła pochłonąć was wszystkich, nie wyłączając naszego amerykańskiego przyjaciela - odezwał się Saif.

Hamza zachichotał nerwowo i popatrzył na drugiego z mężczyzn znajdujących się w pomieszczeniu. Irański minister Maza-heri miał na sobie pełen strój duchownego, nie wyłączając misternie zawiązanego turbanu. Powitał ich, lekko mrużąc oczy, a potem powiedział:

- Macie kontener. - Nie było to pytanie. Kiedy Hamza skinął głową, minister uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Wyświadczyliście mojej ojczyźnie nieocenioną przysługę. Zgodnie ze złożoną

wcześniej obietnicą, poczyniłem stosowne starania. Nasz przyjaciel z RPA dostarczył już waszą przesyłkę. Winszuję sukcesu. - Mazaheri rzucił al-Adelowi ukradkowe spojrzenie, po czym całą swoją uwagę skupił ponownie na Hamzie. - Chodź, mój przyjacielu - powiedział, serdecznym gestem kładąc dłoń na ramieniu Egipcjanina. - Zasiądź ze mną do wieczery. Odbyleś daleką podróż, powinieneś więc odpocząć, zanim przybędzie transport.

Hamza spojrział na swojego dowódcę, który z uśmiechem skinął głową.

- Minister ma rację, Hassanie. Zaslugujesz jednak na coś więcej niż tylko dobry posiłek. Powiedziałbym nawet, że najwyższa pora rozważyć zmianę twojego miejsca w organizacji. Nagroda należy ci się od dawna.

Pomimo najszczęśliwszych wysiłków Hamza nie był w stanie ukryć lekkiego uśmiechu, który pojawił się na jego wargach. Zostanie wyznaczony dowódcą, stanie się równy Saifowi... Po tych wszystkich latach było to wreszcie pewne. Ruszył zdecydowanie za ministrem, który opuścił już pokój. Szedł z wysoko podniesioną głową, rozmyślając o urokach władzy, mającej się wkrótce stać jego udziałem. Uśmiech na jego twarzy jeszcze się rozszerzył, kiedy przed oczami stanął mu wspaniały obraz - jego imię, wydrukowane wielkimi literami w zachodnich gazetach, tuż obok nazwisk al-Zarkawiego i bin Ladena. Ta myśl zaczęła przybierać coraz wyraźniejsze kształty, wypierając wszystkie inne. Będzie równie znany jak al-Adel. Nie słyszał już beztrudnej paplaniny ministra, nie zauważył, że Amerykanin pozostał wraz z Saifem z tyłu, na tyle daleko, by mogli porozmawiać w cztery oczy.

- Wiesz, kim jestem - powiedział dowódca, kiedy szli powoli czystymi, białymi korytarzami. To stwierdzenie mówiło już wszystko, March uznał więc, że nie musi na nie odpowiadać. Wreszcie al-Adel przerwał milczenie: - Niepokoi mnie wszystko, co ma z tobą jakiś związek. Nie robię z tego tajemnicy. Hassan wyraża się o tobie w samych superlatywach, ale mnie nie tak łatwo przekonać. Zadam ci tylko jedno pytanie: cóż takiego uczynił ci, jednemu ze swoich, Zachód, że pragniesz ujrzeć go w płomieniach?

March zastanawiał się nad tym za ledwie chwilę.

- Pytałeś mnie o to już wcześniej i odpowiedź była taka sama. Tak, wiem, kim jesteś. Ty z kolei widziałeś, co potrafię zdziałać. Nie proszę cię o nic w zamian za moje usługi, tylko o dostarczenie mi podstawowych materiałów niezbędnych do osiągnięcia sukcesu. To, co robiłem w przeszłości, kim jestem, nie powinno cię interesować. Będziemy nadal trzymać się tej zasady albo zakończymy współpracę. Decyzja należy do ciebie.

Saif al-Adel popatrzył na drzwi ze stali i szkła, do których właśnie się zbliżali. Hamza i minister wyszli już na zewnątrz, skąpani teraz w krwawym blasku słońca, zapadającego już za szczyty gór.

- Trzeba mieć wiele odwagi, by tak się do mnie zwracać - zauważył z namysłem Saif. - Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że jesteś głupcem. Musisz wiedzieć, że pułkownik wyrażał się bardzo dobrze na twój temat. Wyznaczenie go do tego zadania nie było dziełem przypadku. A skoro wywarłeś tak wielkie wrażenie na nim, to zdobyłeś również uznanie Mazaheriego. Chciałbym ci coś pokazać.

Wyszli na zewnątrz, w szybko chłodniejące powietrze. Minister i Hamza podążali w stronę budynku stołówki, pozostawiając podwójne ślady stóp w brunatnym pyłe cienkiej warstwy urodzajnej gleby, pokrywającej skaliste dno doliny. Przed otwartymi drzwiami kantyny zebrała się już niewielka grupka śmiejących się, rozgadanych żołnierzy, czekających aż kolejka przesunie się dalej.

- Znam Hassana od czternastu lat. Podobnie jak ja pochodzi z Egiptu i wspaniale służy naszej organizacji. Dwa lata temu, kiedy wpadliśmy w amerykańską zasadzkę, ocalił mi życie i opłakiwał wraz ze mną tych towarzyszy, którym odmówiono godziwego pochówku. Za jego czyny i wierną służbę kocham go jak brata.

March obserwował ministra, który rozmawiał właśnie z Hamzą, poklepując go przy tym po ramieniu i wskazując na przyległy budynek, jakby coś wyjaśniał. Potem Egipcjanin skinął głową i ruszył dalej w stronę stołówki, podczas gdy Mazaheri zaczął się oddalać w przeciwnym kierunku.

- Pułkownik był pod wrażeniem twoich poczynań, jednak Hassan nie zdobył jego uznania. Opisał go jako „źle przygotowanego” i „okazującego słabość w obliczu człowieka o niższej pozycji, osobę bez żadnego autorytetu”. Pułkownik jest zięciem

Mazaheriego, dzięki czemu cieszy się szacunkiem ministra, który chętnie słucha jego rad. Z radością podciąłbym mu gardło i patrzył, jak się dusi, ale Mazaheri jest kluczem do przyszłości Al-Kaidy, musimy więc spełniać jego życzenia...

March zauważył arogancję w chodzie Hamzy. Fałszywa obietnica, puste słowa nadały temu człowiekowi bez charakteru nieugiętość stali. Nagle żołnierze unieśli zgodnym ruchem broń. I wtedy nastąpił ten przerażający moment zrozumienia, kiedy Hamza wyciągnął przed siebie ręce, z dłońmi skierowanymi naprzeciw wycelowanym w niego karabinom, krzycząc, że to pomyłka. Rozległ się charakterystyczny trzask pojedynczego kałasznikowa, a po nim równy rytm serii z broni automatycznej. Kule przebiły machające rozpaczliwie ręce, chwilę potem rozrywając twarz i klatkę piersiową.

W końcu ogień ustał. Hassan Hamza leżał martwy na ziemi. Krew wypływała spod jego ciała cienkimi strużkami, wsiąkając w szczeliny skały, podczas gdy żołnierze rozładowali broń i jakby nigdy nic wrócili do przerwanej rozmowy. Mazaheri nadal szedł przed siebie. Nie obejrzał się na odgłos strzałów, a w jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, kiedy ich huk odbił się echem wśród gór.

Al-Adel zwrócił się do Marcha z twarzą całkowicie pozbawioną jakichkolwiek oznak żalu.

- Aby zabezpieczyć przyszłość naszej organizacji, pozwoliłbym tym bestiom zabić własnego brata. Przyłączyłeś się do nas jako ochotnik. Nie ufałem ci, nie darzyłem cię też szacunkiem. Sam na to zapracowałeś. Nie zapominaj jednak, że można mnie zawieść tylko raz... Pamiętaj o tym, co się tu dzisiaj wydarzyło. To dobra lekcja.

Zajrząwszy Amerykaninowi w oczy, Saif al-Adel nie dostrzegł tam śladu strachu czy wahania, tylko siłę, która równała się jego własnej. Wiedział, że ten mężczyzna nie weźmie jego słów do siebie, z czego był bardzo zadowolony. Odpowiedź Amerykanina wstrząsnęła nim jednak do głębi.

- Potrzebujesz mojej pomocy. W zamian za to chcę, żebyś zabrał mnie na północ.

- Dlaczego? - zapytał Saif po długiej chwili ciszy.

- Dobrze wiesz dlaczego.

ROZDZIAŁ 17

KAPSTAD

Trzeciego dnia tuż przed świtem rozpoczęli obserwację magazynu.

Ponieważ było ich tylko dwoje, nie mieli możliwości śledzenia Graya, kiedy opuszczał budynek. Kealey wiedział, że ich twarze zbyt szybko stałyby się rozpoznawalne, a gdyby zostali zauważeni, ochrona z całą pewnością zostałaby wzmocniona. Ryan wołał dopaść biznesmena na osobności, o ile to w ogóle możliwe. Te stracone godziny z rozkładu dnia Graya nie dawały mu spokoju, musieli jednak zadowolić się pilnowaniem siedziby firmy. Magazyn stał w ustronnym, spokojnym miejscu, a nadjeżdżające samochody słychać było na długo, zanim skręciły w wąską uliczkę biegnącą poprzez labirynt przemysłowych budynków, typowych dla tej zapomnianej dzielnicy Kapsztadu.

Poprzedni dzień spędzili bardzo owocnie. Sklepy przy Strandzie zaopatrzyły ich w lepszy sprzęt, niż Ryan mógł się tego spodziewać. W niewielkim magazynie ze sprzętem sportowym znalazł porządną lornetkę Rigel 2350 z noktowizorem, oprócz której kupił jeszcze dwa miękkie śpiwory, karimaty i plecak. Potem wstąpił do sklepu spożywczego po zgrzewkę wody mineralnej. W sprawie pozostałych rzeczy, które były im potrzebne, zadzwonił do Pretorii. Stamtąd jego prośba została przekazana do Langley, skąd szybko nadeszła zgoda. Tuż po piętnastej, kiedy Ryan i Naomi kończyli właśnie na tarasie spożywany w niezręcznej ciszy lunch, zjawił się dyplomatyczny kurier. Paczka, którą Ryan otworzył dopiero w bezpiecznym zaciszu swojego pokoju, zawierała kodowane radiotelefony Tait

Orca, razem z zakładanymi do ucha słuchawkami, o które specjalnie prosił.

Poza tym otrzymali jeszcze pistolet Walther P22 o zmodyfikowanej lufie długości 127 mm z wylotem specjalnie przystosowanym do zamocowania ciężkiego tłumika firmy Dalphon, który zresztą również znajdował się w przesyłce.

Na razie nie potrzebowali jeszcze radiotelefonów ani broni. Zapakowali swojego nissana kilkaset metrów dalej na północ, po czym wrócili, klucząc w labiryncie budynków, do schodów przeciwpożarowych magazynu vis-a-vis siedziby firmy Graya. Naomi drżała na całym ciele, kiedy wspinali się po aluminiowej drabince na dach, gdzie ulokowali się jak najbliżej krawędzi, żeby móc obserwować budynek naprzeciwko. Słońce dopiero co wyjrzało zza horyzontu, a srebrny mercedes już podjechał płynnie pod magazyn. Ryan zerknął na zegarek. 7:15. Wygląda na to, że Gray twardo trzyma się swoich przyzwyczajęń.

Oboje z Naomi obserwowali, jak kierowca wysiada na zewnątrz i okrąży samochód, rozglądając się przy tym uważnie wokół. Był potężnym białym mężczyzną z ogoloną głową i starannie przystrzyżoną kozią bródką, raczej tęgi niż dobrze umięśniony. Źle dopasowany garnitur niemal pękał w szwach i nawet z takiej odległości dało się dostrzec wybrzuszenie pod jego lewą pachą. Kierowca otworzył drzwi od strony pasażera, po czym ze środka wyłonił się drugi mężczyzna.

Ryan ujrzał Stephena Graya po raz pierwszy. Niewysoki, zadbanej mężczyzna o mocno opalonej, wygolonej twarzy i gęstej czuprynie krótko przyciętych srebrnych włosów, którego wygląd dobitnie świadczył o jego zamożności. Ryan obserwował uważnie, jak kierowca idzie o kilka kroków przed swoim pracodawcą, prawą rękę trzymając pod marynarką i omiatając wzrokiem okoliczne budynki. Potem otworzył drzwi magazynu i zatrzymał się na chwilę już za progiem, ewidentnie w celu wyłączenia systemu alarmowego. Mężczyzna znał się na swojej pracy. Gdyby nie był tak świetnie wyszkolony, miałoby ułatwione zadanie, ale Ryan wiedział, że sytuacja mogła się przedstawiać znacznie gorzej. Na szczęście Gray nie podróżował zwyczajem tylu innych bogaczy z ogromną świtą.

Kiedy już obaj mężczyźni zniknęli wewnątrz budynku, magazyn pograżył się w zupełnym bezruchu na wiele godzin. Przez

niewielkie zakratowane okna od frontu nie było widać żadnych ludzi. Słońce wspięło się już wysoko na nieboskłon, prażąc niemiłosiernie wysypaną żwirem powierzchnię dachu. Naomi zaczęła się niecierpliwie wiercić i rzucać ukradkowe spojrzenia w kierunku Ryana. W końcu ostrożnie przysunęła się do niego.

- Możemy porozmawiać?

- Tylko cicho - mruknął Ryan.

- Jak długo tu zostaniemy? - Jej ciało znajdowało się teraz bardzo blisko niego.

- Aż do zmroku - odparł Ryan, a potem usłyszał, jak Naomi mruczy coś pod nosem, odwrócił więc lekko głowę, żeby na nią popatrzeć. Piła akurat wodę mineralną i kilka kropel spadło na jej klatkę piersiową. Ryan bezwiednie podążył spojrzeniem za tą strużką, przenosząc wzrok z twarzy dziewczyny na piękną linię połyskującej teraz cienką warstewką potu szyi, a potem niżej ku niewielkim, jędrnym piersiom, które opinała przemoczona bawełniana koszulka. Przyłapawszy się na tym, natychmiast odwrócił wzrok, z trudem skupiając znowu całą uwagę na obserwacji magazynu. Potem gniewnym ruchem otarł pot z czoła i upił łyk wody ze swojej butelki.

Naomi obserwowała go przez chwilę uważnie, po czym przysunęła się jeszcze bliżej, tak że dotykała go teraz nogą, wsparta lekko ramieniem o jego bark.

- Słuchaj - rzuciła półgłosem - przepraszam za to, co się wydarzyło tamtej nocy. Zachowałam się naprawdę niestosownie, ale chyba wypiałam za dużo... To nic nie znaczyło, w porządku? I już więcej się nie powtórzy, obiecuję.

Jej ton nie brzmiał wcale przepraszająco. Tym razem to Ryan odsunął się odrobinę.

- To była w równym stopniu moja wina, jak twoja. Przykro mi, jeśli swoim zachowaniem wprowadziłem cię w błąd. - Popatrzył jej prosto w twarz, zaledwie kilka centymetrów od niego. - Masz rację. To nic nie znaczyło. Nie wracajmy już więcej do tego.

Naomi popatrzyła mu w oczy, jakby chciała się upewnić co do szczerości jego słów, a potem powoli przesunęła swoją karimatę do jej pierwotnej pozycji, podczas gdy Ryan wrócił do obserwacji magazynu.

Tuż po trzynastej] pod główne wejście budynku podjechał z rykiem silnika poobijany biały skuter. Młody czarnoskóry mężczyzna zeskoczył z siodelka i mocno kopnął w drzwi, które natychmiast się uchyliły. Dostawca podał przez szparę dużą torbę i otrzymał w zamian garść randów, a potem wcisnąwszy pieniądze do kieszeni brudnych dżinsów, wsiadł na swój skuter i odjechał z piskiem opon.

Godziny mijały powoli, pośród napływających ze wschodu ponad dachami budynków odgłosów tętniącej życiem Dzielnicy Malajskiej. Przez cały ten czas, jaki upłynął od ich wcześniejszej wymiany zdań, Ryan zerknął w stronę Naomi jeszcze dwukrotnie, za każdym razem dostrzegając malujący się wyraźnie na jej twarzy gniew i ból.

W końcu powietrze zaczęło się robić chłodniejsze, a nad znużone miasto nadciągnął zmierzch. Dziesięć minut po zapaleniu się latarń, ciężkie drzwi magazynu stanęły otworem. Pierwszy pojawił się potężny mężczyzna, z dłonią znowu wsuniętą pod marynarkę. Uważnym spojrzeniem zlustrował ulicę, po czym odwrócił się i skinął głową Grayowi, który wyszedł za nim, przystając tylko na chwilę, aby nastawić ponownie alarm. Ryan zerknął na zegarek, Mory wskazywał dwudziestą i odczekawszy po odjeździe srebrnego mercedesa jeszcze pięć minut, w końcu wstał, z ulgą rozprostowując zeszywniałe ciało i otrząsając się po całym dniu bezczynności.

- Nie mogę powiedzieć, cholernie pożytecznie spędzony czas - mruknęła Naomi i kopnęła swoją butelkę po wodzie, a potem patrzyła jak pusty pojemnik toczy się po powierzchni dachu, roztrzając drobne kamyki. Wreszcie pochyliła się, żeby rozmasować mięśnie uda, które chwycił skurcz.

Ryan spojrział na nią. Jej sarkastyczne uwagi działały mu na nerwy, starał się jednak zachować spokój. Przykucnął lekko i zwinąwszy swoją karimatę, zapakował ją porządnie do plecaka.

- Masz rację. To *był* pożytecznie spędzony dzień - zauważył obojętnym tonem. Naomi rzuciła mu wściekłe spojrzenie, ale nie zważając na to, wyprostował się i wskazał ręką magazyn. - Teraz wiemy już przynajmniej, z czym musimy się zmierzyć. Gray ma tylko jednego ochroniarza, ale to zawodowiec. Zauważyłaś, jak wysiadał z samochodu? Nie zamknął drzwi i zostawił włączony

silnik, kiedy sprawdzał ulicę. Poza tym rozglądał się przez cały czas, kiedy znajdowali się na otwartym terenie, czyli przez jakieś piętnaście sekund. - Naomi wyglądała już na mniej pewną siebie, kiedy ciągnął dalej, na pozór jakby mówiąc raczej do siebie niż do niej. - Bardzo pilnują włączania tego alarmu. Nie uda nam się dostać do środka nocą i zaczekać tam na nich, chyba że poproszę Harpera o podesłanie nam kogoś ze służb technicznych. Jakoś wątpię, żeby spodobał mu się ten pomysł.

- Więc co chcesz zrobić? - zapytała Naomi.

Ryan potrząsnął głową w zamyśleniu, a potem podniósł jej rzeczy z ziemi i wcisnął je do plecaka.

- Na razie pozostaniemy przy obserwacji. Zależy nam na czasie, ale nie możemy popełnić żadnego błędu. Wcześniej czy później trafi się jakaś okazja. - Z tymi słowami wstał i ruszył w stronę schodów przeciwpożarowych. Zniechęcona Naomi powlokła się za nim, rozmyślając o czekających ją dniach leżenia w upale i wpatrywania się bez końca w cegły i zaprawę murarską. Nie zauważyła lekkiego uśmiechu igrającego na ustach Ryana, który przerzucił już nogę przez krawędź dachu.

- Wiesz co? - dorzucił jeszcze. - Korci mnie, żeby sprawdzić, co jest po drugiej stronie tamtego budynku.

ROZDZIAŁ 18

IRAN • KAPSTAD

Trzy kilometry ponad pustynią rozciągającą się na wschód od Teheranu śmigłowiec transportowy Mi-26 mknął w stronę Meszhedu z prędkością prawie 270 kilometrów na godzinę. Meszhed nie był jednak jego miejscem przeznaczenia. Helikopter miał wylądować na prowizorycznym lotnisku na południe od Atreku, gdzie niecałe trzy tygodnie temu pojawił się przybywający po raz pierwszy do Iranu March. Tam cztery pomocnicze baki paliwa zostaną wymienione i zaprojektowany przez Rosjan, którzy tak wspaniałomyślnie go użyczyli, śmigłowiec o kryptonimie Halo będzie mógł kontynuować swój lot na północny wschód ponad granicą, w głąb słabo zaludnionych obszarów zalewowych Turkmenistanu.

Jason March, śpiący czujnie na siedzeniu wzmocnionym ceramiczną płytą, był jednym z dwóch pasażerów tego kursu. Jego towarzysz siedział po przeciwnej stronie szerokiego, pustego korytarza, wpatrując się w nieprzenikniony mrok za oknem, podczas gdy w głowie kłębiły się mu tysiące myśli.

Saif al-Adel z całą pewnością był człowiekiem rozumującym pragmatycznie. To jego nastawienie pogłębiało się przez te wszystkie lata, kiedy to hołdował zasadzie odkrytej dawno temu - że kilka przyjaznych słów, szepniętych dyskretnie, potrafi rozwiązać niemal każdy problem. Zwłaszcza jeśli były one poparte kulą. Odkąd uświadomił sobie tę prawdę, zabił pośrednio lub osobiście więcej osób, niż byłby w stanie zliczyć. Teraz jednak po raz pierwszy w życiu poczuł, że jego własna przyszłość może spoczywać w rękach innego człowieka. Ta myśl niezbyt mu się podobała.

Jeżeli dokona złego wyboru, wszystkie jego wcześniejsze osiągnięcia pójdą w niepamięć. A odniósł naprawdę wiele sukcesów, z których każdy napawał go dumą na tyle różnych sposobów. Przypomniawszy sobie młodość spędzoną w nowo powstałym islamskim ruchu dżihadu, dokąd wstąpił jako ochotnik - jeden z tylu nieokrzyszczonych chłopaków wykrzykujących slogany na zakurzonych ulicach tuż po zabójstwie Anwara Sadata.

Fakt, że dostrzegał prawdziwe oblicze swego świata już w wieku dwudziestu lat, był dla Saifa al-Adela nieustannym źródłem zadowolenia.

Potem przyszło mocniejsze zaangażowanie się w ruch i coraz większa odpowiedzialność, podczas gdy słabsi kandydaci powracali do prozy codziennego życia: dzieci, pracy i ciułania groszy przez cały rok, żeby przez jeden tydzień móc poudawać na zatłoczonych plażach w El-Quseir, że są kimś więcej, a nie po prostu zwykłymi szarakami.

Saif wolałby raczej umrzeć niż pozostać przeciętnym. Ciągłe od nowa dawał świadectwo swojej odwagi i zdolności przywódczych. Pamiętał pewne ciepłe listopadowe popołudnie, zatłoczony magazyn nad Indusem i swój nerwowy śmiech przy podłączaniu kabli do siedzenia kierowcy. Potem uściskał swojego podwładnego, człowieka, który miał wjechać tym samochodem do ambasady w Islamabadzie. I pamiętał ciszę tamtego pokoju, gdzie unosił się ostry papierosowy dym, kiedy czekali na wiadomość o powodzeniu akcji.

Wówczas śmierć poniosło trzynaście osób, ale egipski ambasador w Pakistanie uszedł z życiem. Skromne zwycięstwo, nic więcej. W 1996 roku odegrał ważną rolę w zamachu bombowym na kompleks Khobar Towers, który przygotował grunt pod jego największe jak do tej pory osobiste osiągnięcie. Po niewyjaśnionej śmierci Khalila na zakurzonej górskiej drodze w Syrii otworzyła się przed nim możliwość awansu w strukturach organizacji. Sukces w Dhahranie zwrócił na imię Saifa al-Adela uwagę samego Dyrektora. Wkrótce w szeregach organizacji rozeszła się pogłoska, że Saif został zauważony i ma otrzymać dowództwo operacyjne dwóch przeprowadzanych jednocześnie ataków na zagraniczne cele, co miało złamać pychę Zachodu.

Początkowo al-Adel ostentacyjnie dawał wyraz swoim wątpliwościom, starając się ukryć w ten sposób własne pragnienia. Jak

każdy pozbawiony sumienia człowiek był urodzonym aktorem. *Jestem na to zbyt młody*, zarzekał się wtedy. *Tak wielką szansę otrzyma zapewne bardziej doświadczony przywódca*. Jego zwierzchnicy na uboczu pochwalali taką skromność i usuwanie się w cień. A potem otrzymał wezwanie i zgodnie ze swoją naturą uznał ten wybór nie za nagrodę, a za nadarżającą się sposobność. Przez następne dwa lata przygotowywał akcję. Żmudny zakup prawie sześciuset kilogramów trotylu, wynajem i fałszywa rejestracja rozlicznych magazynów, gdzie można go było przechowywać, szkolenie i właściwe zmotywowanie zamachowców, którzy mieli stanąć przed obliczem Allacha, nawet nie wiedząc, jak wielkiego czynu udało się im dokonać. Wszystkie starania spoczywały na barkach Saifa, ale było to ogromne zwycięstwo w walce z niewiernymi. Operacja zakończyła się śmiercią 224 osób, w tym dziesiątków amerykańskich obywateli.

Nagle szarpnięcie helikoptera, którego potężny ośmiolopatowy wirnik napędzały dwa silniki turbinowe Łotariew D-136, wyrwało go z zamyślenia. Wszystko, co do tej pory osiągnął, będzie znaczyło niewiele, jeżeli Amerykanin nie jest tym, kim się wydaje. Pomimo całego swojego narcyzmu, który rozrastał się do zawrotnych rozmiarów, al-Adel miał świadomość własnych słabości. Zdawał sobie sprawę, że pragnie zaimponować Amerykaninowi, organizując spotkanie, o które ten prosił. Za to był gotów przyjąć na siebie winę. Dyrektor nie przybywał tak po prostu na każde skinienie. Ciągle musiał mieć się na baczności przed amerykańskimi żołnierzami przedzierającymi się na wschód przez spaloną słońcem ziemię, najmłodszymi zastępami lojalnej wobec Zachodu afgańskiej armii i zdrajcami, którzy zdarzali się także w zastępach jego własnej organizacji. Aby skłonić go do przybycia, należało dysponować naprawdę ważkimi argumentami, uzasadniającymi ryzyko zdemaskowania.

Tak właśnie al-Adel powiedział Amerykaninowi, a powodem, dla którego prosili o spotkanie, był pewien plan. Saifowi takie proste wyjaśnienie wystarczyło. Wiadomość o śmierci dziewięćdziesięciu dwóch osób pod gruzami Kennedy-Warren wprawiła go w zdumienie, uświadamiając mu jednocześnie, jak bardzo nie doceniał umiejętności Amerykanina. Teraz wierzył w niego mocniej, niż chciałby to przyznać.

Nie wątpił, że ten człowiek byłby w stanie dostać się do samego prezydenta. Jednak akcja takiej wagi wymagała już zgody Dyrektora. To właśnie przekonanie pomogło al-Adelowi podjąć decyzję. Jeśli plan okaże się zbyt słaby, a Amerykanin nie usłyszeli słów pochwały za świetny pomysł, Saif osobiście wyciągnie go z obozu i zastrzeli, zanim jego samego trafi kula.

Pocieszony tą myślą Saif al-Adel poszedł w ślady swojego towarzysza i zapadł w ciężki sen, podczas gdy helikopter mknął dalej poprzez noc w kierunku lśniących wód Morza Kaspijskiego.

Przeklęty Ryan Kealey. Naomi znowu znajdowała się na dachu, a z bezchmurnego nieba lał się żar zupełnie tak samo jak poprzedniego dnia. Naomi spędziła większość poranka, mruczając przekleństwa pod adresem Ryana i tylko co jakiś czas upewniając się, że jej radiotelefon nie jest włączony na nadawanie. Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy Kealey wynajął sześciometrowy katamaran, a potem posłał ją znowu na ten dach, tłumacząc przy tym, że nie wystarczy pilnować budynku tylko z jednej strony.

Łatwo mu mówić, pomyślała. Pływa sobie teraz po zatoce w miłym wiatereku, a ja smażę się tu na górze. Srebrny mercedes podjechał pod magazyn jak zwykle rano i od tamtej pory nawet nie drgnął. Nawet dostawca ją zawiódł, bo nie pojawił się, żeby choć trochę urozmaicić nudę całego dnia. Naomi czuła, jak całe ciało zaczyna jej już drętwieć od tej beczynności, podczas gdy minutowa wskazówka zegarka kontynuowała swoją niekończącą się wędrówkę.

Z trudem znosiła godziny całkowitego milczenia. Gdyby chociaż mogła porozmawiać z Ryanem, ale miała zapowiedziane wyraźnie: nie używać radia, chyba że będzie miała coś ważnego do zameldowania. Naomi znała siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że to nie władcze zachowanie Kealey a przyprawiło ją o taki nastrój.

Próbowała skupić uwagę na budynku poniżej, odganiając sprzed oczu obraz twarzy Ryana. Godziny mijały i coraz trudniej było walczyć z ogarniającą ją sennością, dlatego nie od razu zauważyła, że ciężkie drzwi magazynu uchyliły się odrobine. Nad miastem zapadł już zmrok, a lśniąca wysoko na niebie okrągła tarcza księżyca oświetlała jasno pustą ulicę i twarz jedyne go człowieka, który się teraz na niej znajdował.

Samotny mężczyzna. Naomi obserwowała, jak ochroniarz ostrożnie zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku. Potem ruszył szybkim krokiem w stronę mercedesa, otworzył drzwiczki i wcisnąwszy swoje potężne ciało za kierownicę, w końcu odjechał. Naomi poczuła przyspieszone bicie serca, kiedy po omacku zaczęła szukać leżącego obok niej na szorstkiej nawierzchni radia.

Łagodnie fale przetaczające się po szarych, zimnych wodach Zatoki Stołowej kołysały potężną łodzią. Ryan stał u steru, nie odrywając wzroku od szeregu magazynów wznoszących się na skalistym brzegu. Interesował go jedyny oświetlony jeszcze o tak późnej porze budynek, choć w zalanym światłem wnętrzu nie było widać żadnego ruchu.

Do rzeczywistości przywrócił go nagły szum dobiegający z jego radiotelefonu spoczywającego na pulpicie sterowniczym wewnątrz krytego kokpitu.

- Ryan, odbierz. - Usłyszał nagły głos Naomi, szybko sięgnął więc po radio.

- Mów.

- Kierowca właśnie odjechał - rzuciła Naomi i nawet ostry szum fal radiowych nie był w stanie ukryć podekscytowania w jej głosie. - Wsiadł do mercedesa sam... Słyszysz? Ochroniarz odjechał. Co mam robić?

- Dobra, posłuchaj mnie uważnie - powiedział Ryan, rozważwszy błyskawicznie rozmaite możliwości. - Idź po jeepa i podjedź nim od frontu. Zostań w środku i wyciągnij mapę, jakbyś czegoś szukała. Jeżeli kierowca wróci, naciśnij guzik przywoływania dwa razy. Nie narobisz hałasu, a ja będę wiedział, o co chodzi. Potem więcej stamtąd jak najprędzej. - Krótka chwila przerwy na zebranie myśli. - Nie zapomnij zabrać plecaka z dachu. Zrozumiałaś wszystko?

- Jasne.

Ryan wsunął radiotelefon do kieszeni kurtki i szybko wrócił na rufę. Jednym ruchem ręki zerwał plandekę z niewielkiego pontonu, a potem szybko umocował kabel do podręcznego podnośnika i włączył agregat, zanim jeszcze odpiął zaczepy mocujące gumową łódkę do katamaranu. Daleko za wodą widział,

że drzwi balkonowe z tyłu wyremontowanego magazynu, zupełnie niepasujące do fasady budynku, nadal są otwarte, wpuszczając do wnętrza chłodne wieczorne powietrze. Lepsza okazja już się nie trafi, zdecydował w końcu.

Naomi pędziła przez plataninę ciemnych uliczek, a odgłos jej kroków odbijał się głośnie echem w ciasnej przestrzeni pomiędzy budynkami. Dotarła wreszcie do nissana, szybko wygrzebała z kieszeni kluczyki i wrzuciwszy swój plecak do tyłu, wśliznęła się na chłodne skórzane siedzenie. Po zachodzie słońca temperatura powietrza bardzo spadła, dlatego kiedy włączyła silnik i wyjechała jeepem z ustronnej alejki, zaczęła lekko drżeć.

Ponton podskakiwał na łagodnych falach oceanu. Ryan krzywił się, słysząc głośnie dudnienie zaburtowego silnika o mocy 40 koni mechanicznych, burzącego wodę za łódką. Po kilkuset metrach wyłączył motor, pozwalając, aby siła rozpędu wyniosła ponton na brzeg. Błyskawicznie wyskoczył na mokre kamienie, uważając przy tym, żeby się nie pośliznąć, a potem wyciągnął łódkę dalej na plażę i pobiegł w stronę otwartych drzwi.

Naomi skręciła za róg i wyłączyła światła, po czym zatrzymała się spokojnie naprzeciwko magazynu Graya. Kiedy rozwijała mapę, nerwowo postukując przy tym palcami o leżący obok niej radiotelefon, ulica nadal była zupełnie pusta. *Pospiesz się, Ryan.*

Kealey wszedł przez podwójne drzwi i ruszył w głąb magazynu, z pistoletem trzymany cały czas w pogotowiu. Blask umieszczonych wysoko świetlówek odbijał się od pomalowanych na biało ceglanych ścian, zalewając ostrym światłem błyszczącą posadzkę z polakierowanych dębowych desek.

Stephen Gray siedział rozparty wygodnie w fotelu za ogromnym biurkiem ustawionym na środku pokoju, sącząc whisky Chivas z kryształowego kieliszka. Przestraszony cieniem, który przesunął się po przypominającym tafłę lustra blacie, podniósł wzrok i ujrzał ciemną postać wkraczającą do pokoju.

Od razu zrozumiał, że nie przeżyje tego spotkania. Władze nie raz urządzały naloty na jego firmę, ale policjanci nigdy nie

zjawiali się w ten sposób, tylnym wejściem, z mrocznymi twarzami i palcami zaciśniętymi na pistoletach z tłumikiem. Drżąc na całym ciele, zaczął powoli przesuwać prawą rękę w stronę drugiej szuflady biurka.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy rewolwer, który tam trzymał, jest naładowany.

Ryan ruszył szybko, żeby opanować sytuację.

- Pan Stephen Gray? - powiedział cichym, spokojnym głosem. *Rozmawiaj z tym facetem*, powtarzał sobie w myślach. *Przekonaj go*. - Miło w końcu pana poznać. Mam kilka pytań, jeśli pan pozwoli. Proszę się nie ruszać i położyć ręce na biurku.

- Odpieprz się. - Gray rzucił mu wyzywające spojrzenie i z twarzą wykrzywioną gniewem zaczął się podnosić z krzesła.

Teraz Ryan wiedział już, że łagodna perswazja donikąd go nie zaprowadzi. Szybko okrążył biurko i zanim biznesmen zdążył się wyprostować, kopnął go w klatkę piersiową.

Fotel przewrócił się do tyłu, a Gray upadł ciężko na podłogę. Uderzenie na chwilę odebrało mu oddech. Gwałtownie chwytając ustami powietrze, zdołał się jednak podnieść na kolana, kiedy kolejny kopniak trafił go w brzuch. Trzasnęły żebra. Próbując ochronić ciało przed kolejnymi razami, Gray zwinął się w kłębek. Pomimo przyprawiającego o mdłości bólu i mgły przesłaniającej mu wzrok, czuł ucisk lufy pistoletu wbijającej mu się w podstawę czaszki.

- Naprawdę *chcę* pociągnąć za spust - warknął Ryan. - Masz tylko jedną szansę, żeby ocalić życie. - Z tymi słowami wyciągnął z kieszeni kurtki pogniecione zdjęcie i rzucił je bezceremonialnie koło twarzy biznesmena. - Skąd znasz tego człowieka?

Srebrny mercedes wyłonił się niespodziewanie zza rogu i zatrzymał się z piskiem opon tuż przed nissanem. Wstrzymawszy oddech, Naomi błyskawicznie chwyciła radiotelefon i wściekle nacisnęła dwukrotnie guzik przywoływania. Próbowała się skupić na mapie, ale potężny kierowca wysiadł już z samochodu i ściskając w dłoni wypchaną torbę z jedzeniem na wynos, zastukał w jej okno. Zanim jeszcze opuściła szybę, zauważyła wyraz podejrliwości malujący się na jego twarzy.

- Przysięgam, to prawda!
- Nie wierzę ci. - Ryan położył palec na spuście, przyciskając mocno chłodny metal lufy pistoletu do głowy mężczyzny. - To jedyne nazwisko, jakiego używał w kontaktach z tobą?

- Znałem osobiście jego ojca. Możesz sam to sprawdzić. Jezu, posłuchaj... Proszę, pozwól mi wstać. Nigdzie ci przecież nie ucieknę. - Gray powtarzał sobie w myślach, że musi jakoś odwrócić uwagę przeciwnika. *Broń jest naładowana, na pewno. Jeśli uda mi się do niej dostać, może będę miał szansę.*

Ryan zacisnął palce na jego ramieniu i brutalnie poderwał go do góry. Gray natychmiast ruszył w stronę biurka, mamrocząc:

- Trzymam tu jego akta. Zaraz je znajdę...

Ryan chwycił go za kołnierz i szarpnął do tyłu.

- Siadaj - warknął. Potem podszedł do biurka i zaczął otwierać wszystkie szuflady. Kiedy w końcu odwrócił się twarzą do biznesmena, w ręku trzymał rewolwer Smith&Wesson. - Tego szukałeś?

Otworzył bębenek i wysypał z niego naboje, które potoczyły się ze stukotem po wyfroterowanej podłodze. Potem niedbale rzucił broń na biurko i błyskawicznie przyskoczywszy do Graya, uderzył go ręką w twarz. Siłę tego ciosu odczuł w całym ramieniu. Kiedy zrobił krok do tyłu, żeby zamachnąć się ponownie, stuknął wetkniętym do kieszeni kurtki radiotelefonem o kant biurka, niechcący wciskając guzik nadawania.

- Kompletnie nie mam pojęcia - powiedziała Naomi. - Wydaje mi się, że źle skręciłam przy wyjeździe z Dzielnicy Malajskiej... Próbuję wrócić do hotelu Commodore. Może mi pan wskazać drogę? To znaczy, jeśli byłby pan tak uprzejmy.

Powątpiewanie malujące się na szerokiej twarzy mężczyzny zniknęło. Pochyliwszy się do środka, zaczął wskazywać jej właściwą trasę. Mówił po angielsku z silnym akcentem, kiedy jego palec przesunął się po planie miasta, a zarazem po jej udzie... Naomi zaciskała mocno palce na brzegach mapy, omal nie rozrywając płachty cienkiego papieru na pół. Przez głowę przebiegały jej z szybkością światła gorączkowe myśli. *Zajmij go rozmową, Naomi.*

- Naprawdę bardzo dziękuję - powiedziała, kładąc dłoń na przedramieniu mężczyzny i posyłając mu jeden ze swoich

najpiękniejszych uśmiechów. - Życie mi pan ratuje. - Najwyraźniej uderzyła we właściwy ton, bo na twarzy jej rozmówcy pojawił się szeroki uśmiech, podczas gdy jego oczy przesunęły się z zaciekawieniem po jej ciele...

Nagle z radiotelefonu dobiegł głośny szum.

Kierowca zauważył zmianę w twarzy Naomi i natychmiast odskoczył, sięgając jednocześnie do ukrytej pod marynarką kabury. Lubieżny uśmiech ustąpił miejsca szyderczemu grymasowi.

Naomi błyskawicznie wyciągnęła spomiędzy siedzeń należącą do Ryana beretę. Była szybsza od przeciwnika. Nie namyślając się wiele, wycelowała broń w jego klatkę piersiową i strzeliła dwukrotnie. Huk wystrzałów dźwięczał jej jeszcze w uszach, kiedy patrzyła jak mężczyzna upada do tyłu, z wyrazem niedowierzania wyrytym na twarzy.

W końcu na miękkich nogach wysiadła z jeepa, zapominając zupełnie o porzuconym na siedzeniu pasażera radiotelefonie. Przykucnąwszy lekko, zaczęła przetrząsać kieszenie mężczyzny w poszukiwaniu kluczyków i dopiero po chwili dotarło do niej, że silnik mercedesa nadal pracuje. Nie zauważyła braku śladów krwi na klatce piersiowej kierowcy. Po prostu wyciągnęła kluczyki ze stacyjki i podbiegła do głównego wejścia magazynu.

Strzały było słychać także wewnątrz budynku. Stephen Gray podniósł wzrok i posłał Ryanowi krwawy, przerażający uśmiech. Kiedy w końcu przemówił, w jego oczach pojawiło się coś okrutnego.

- Poznałeś jego nazwisko, ale to i tak niczego nie zmienia.

- O czym ty mówisz? - Ryan odsunął się, nadal celując w jego pierś ze swojego walthera.

- Już za późno, żeby go powstrzymać. Ładunek wylądował w Waszyngtonie. Rozumiesz, co do ciebie mówię? On dopadnie ich wszystkich. *Zdobyl już to, czego potrzebuje.*

Ryan miał właśnie zamiar odpowiedzieć, ale drzwi otworzyły się nagle, skierował więc natychmiast lufę broni w tamtą stronę. Powstrzymał go widok Naomi, wbiegającej do budynku... Dziewczyna nie widziała teraz niczego innego poza Ryanem.

Gray zareagował błyskawicznie. Z zaskakującą zwinnością rzucił się do przodu, uderzając Naomi głową i wytrącając jej

z ręki pistolet, który upadł kawałek dalej. Oszołomiona uderzeniem Kharmai próbowała wstać, ale napastnik już sięgnął ponad jej głowę i zacisnął palce na broni. Z beretą w dłoni wyprostował się, jednocześnie odwracając w stronę przeciwnika...

Ryan strzelił mu dwa razy w klatkę piersiową. Gray poleciał do tyłu i uderzył o ścianę, a potem osunął się powoli na podłogę. Popatrzył z wściekłością na Ryana, a z ust popłynęła mu cienka strużka krwi, skapując na czystą biel bawełnianej koszuli. Ostatkiem sił uniósł pistolet i wymierzył w kierunku Naomi.

Ryan nie miał wyboru. Zrobił dwa kroki do przodu, wycelował i strzelił po raz trzeci, tym razem w sam środek czoła Stephena Graya.

Potem zaklął cicho pod nosem. Wszystko poszło nie tak... Ale teraz najważniejsze to wydostać się z tego budynku. Szybkim krokiem podszedł do martwego Graya i wyjąwszy mu z dłoni swoją beretę, wsunął broń do kieszeni kurtki. Klęcząca pod ścianą Naomi wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem. Ryan pochylił się lekko i chwycił ją za ramię, podciągając brutalnie do góry.

- Gdzie jest kierowca?

- Zastrzeliłam go - odparła Naomi cicho bezbarwnym głosem.

Ryan rozejrzał się szybko po pokoju. Jedną ze ścian zajmowały szafki z dokumentami, a biurko było zasypane papierami. Może powinien odesłać Kharmai na łódź i przejrzeć w samotności te dokumenty. Od razu pomyślał jednak o prawdopodobnym czasie reakcji policyjnych jednostek, które musiały tu dotrzeć z dzielnicy handlowej, i o tym, co zastaną na miejscu po swoim przybyciu. Instynkt podpowiadał mu, że Gray nie trzymałby w tych szafkach papierów dotyczących nielegalnych transakcji.

Te rozważania zajęły mu jakieś trzy sekundy. To zbyt duże ryzyko. Poza tym miał już to, po co tu przyszedł. Chwyciwszy Naomi za rękę, pociągnął ją w stronę otwartych drzwi wychodzących na zatokę. Za plecami usłyszał szuranie stóp, odgłos niepewnych kroków. Zaskoczony, przez chwilę myślał nawet... Nie, to niemożliwe. Nie odwrócił się, żeby sprawdzić.

Wybiegli prędko na tyły budynku, ścigani długą serią z karabinu maszynowego. Kule roztrzaskały przeszklone drzwi, a ostre drzazgi drewna i odłamki szyby posypały się na plażę. Ryan miał

wrażenie, że nie poruszają się dosyć szybko, kiedy pędził po ruchomych piaskach, a ściskająca jego dłoń Naomi zdała się nagle okropnym balastem spowalniającym ucieczkę.

Kolejna długa seria ognia i wściekłe przekleństwo wykrzyżane w afrikaans, kiedy zamek uderzył w pusty magazynek. Ryan zepchnął ponton ze skał i bezceremonialnie wciągnął Naomi do środka. Łódka pomknęła z rykiem przez fale, podskakując gwałtownie na wodzie i uderzając gumowym dnem o spienioną powierzchnię. Dwie minuty później znaleźli się poza zasięgiem pistoletu maszynowego kierowcy. Ryan wyłączył motor i ostrożnie wprowadził ponton w luk na rufie katamaranu.

Potem zmusił się wreszcie do tego, żeby spojrzeć na Naomi. Był niemal pewien, że dziewczyna dostała kulę. Ogarnęła go teraz fala przemożnej ulgi, bo Kharnai nie sprawiała wrażenia rannej, chociaż z oceną tego miał akurat trudności. Widział teraz tylko jej plecy, bo przykucnąwszy na dnie łodzi, Naomi wychyliła się za burtę i zaczęła wymiotować gwałtownie w czarne wody Zatoki Stołowej.

ROZDZIAŁ 19

TADŻYKISTAN • KAPSZTAD • PRETORIA, REPUBLIKA POŁUDNIOWEJ AFRYKI

Podróż była długa i męcząca, ale znajdowali się już blisko miejsca przeznaczenia.

Najtrudniejszą dla al-Adela częścią wyprawy okazało się zdobycie dodatkowych baków paliwa do ich helikoptera. Przez kodowany radiotelefon posypały się w jego stronę wykrzykiwane w łamanym farsy przekleństwa i groźby kary, ale obietnica została w końcu złożona, a później rzeczywiście dotrzymana. Zbiorniki z paliwem czekały na platformie zamaskowanej ciężarówce tuż obok opuszczonej drogi na północ od Repetek. Stamtąd mogli już wyruszyć w trzeci etap podróży. Niebo zaczęło się znowu zasnuwać mrokiem, kiedy Mi-26 kontynuował swój lot na północny wschód, omijając postrzępiony zachodni kraniec Tadżykistanu, który prowadził w stronę żyznej, porośniętej bujną roślinnością Kotliny Fergańskiej.

Saif zauważył, że Amerykanin nie odezwał się nawet słowem podczas całego lotu. Przez chwilę zastanawiał się, czy jego towarzysz żałuje swojej wcześniejszej prośby, ale szybko odrzucił taką możliwość, kiedy przyjrzał się uważniej jego twarzy i nie dostrzegł niczego więcej poza spokojną pewnością siebie. Najwyraźniej Amerykanin ufał niewzruszenie w swoje umiejętności.

Upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim skierowali się na wschód, ciągle trzy i pół tysiąca metrów ponad terenami doliny. Ciężki helikopter, podchodzący do lądowania, przedarł się z dygotem przez ciemnoszare cumulusy, a niewielki deszcz obmył jego opancerzony kadłub. Podwozie śmigłowca dotknęło wreszcie

ziemi, ale olbrzymie łopaty nadal młóciły powietrze ponad głowami pasażerów, którzy wysiedli właśnie ze znajdującej się dosyć wysoko kabiny. Al-Adel skinął dłonią jednemu z dwóch pilotów znajdujących się w kokpicie i gdy tylko obaj z Amerykaninem oddalili się od helikoptera, potężne silniki zwiększyły moc, unosząc jednostkę z powrotem w zasnute czarnymi chmurami niebo. Zostali sami.

March naciągnął kaptur swojego anoraka na głowę, żeby osłonić się przed lodowatym deszczem, który spływał mu po karku, przemaczając zupełnie jego cienki pulower. Samochód, UAZ 3151 rosyjskiej produkcji, już na nich czekał. Al-Adel postawił swój plecak na rozmięklej ziemi i zanurzył ręce w jego czeluściach, dopóki nie znalazł szukanego przedmiotu. Oczy błyszczały mu z zadowolenia, kiedy wyciągnął przed siebie podręczny odbiornik GPS firmy Garmin tak, żeby March mógł się mu przyjrzeć.

- Amerykanie wiele by dali, żeby dostać to urządzenie w swoje ręce. Założę się, że zapłaciliby fortunę za informację, które się tu znajdują. Powiedz, mój drogi przyjacielu, co taka suma znaczyłaby dla *ciebie*?

Jason March utkwiał w swoim rozmówcy spokojne spojrzenie, zanim w końcu rzucił:

- Jeżeli myślisz, że dotarłem tak daleko, bo chcę zdradzić was dla pieniędzy, to sam jesteś głupcem, Saifie.

- Zobaczmy - powiedział Egipcjanin z uśmiechem, a potem wyciągnął rękę. - Oddaj mi swój pistolet. - Kiedy March zawahał się, uśmiech zamienił się w szyderczy grymas zniecierpliwienia. - Oddaj broń albo zastrzelę cię na miejscu. Nawet jeśli strzał nie będzie śmiertelny i tak nie uda ci się przetrwać w tych warunkach: temperatura już spadła poniżej zera, a zimą wilki są wiecznie głodne. Amerykanin niechętnie wręczył mu swoją beretę.

- Plecak też.

- March podał mu swój bagaż, a potem patrzył, jak jego towarzysz przetrząsa zawartość plecaka. Nieco uspokojony, al-Adel wyprostował się i rzucił Amerykaninowi pytające spojrzenie. - Jedzenie i woda? A gdzie są plany, o których mówiłeś?

Uśmiechnięty March postukał się dwoma palcami w skroń. Na twarzy dowódcy pojawił się wyraz niedowierzania, szybko ustępując jednak miejsca chłodnemu opanowaniu.

- W takim razie lepiej, żebyś miał dobrą pamięć, mój przyjacielu. Naprawdę dobrą, bo twoje życie zależy od tego, co dzisiaj powiesz. - Rzucił Amerykaninowi jego plecak, natomiast beretkę zatrzymał. - Wsiadaj do jeepa.

- Dokąd jedziemy?

Al-Adel zwrócił się na wschód, w kierunku poszarpanych szczytów Tian Shan.

- Tam - powiedział krótko.

Jeszcze z katamaranu Ryan zadzwonił do ambasady w Pretorii, prosząc o transport. Będzie go to drogo kosztowało, kiedy Harper się dowie, ale nie miał innego wyjścia. Przez krótką chwilę rozważał możliwość odbycia tej podróży na własną rękę, ale wiedział, że konsekwencje byłyby znacznie poważniejsze, gdyby zostali zatrzymani przez miejscową policję bez oficjalnej przykrywki. W takiej sytuacji Agencja pewnie w ogóle wyparłaby się, że wie coś na temat pobytu dwójki swoich agentów w RPA.

Tak naprawdę, niczego innego by się nie spodziewał.

Nie mieli dokąd pójść, ale nie mogli też zostać dłużej na wodach zatoki, o czym Ryan dobrze wiedział. Pierwsi policjanci, którzy pojawią się na miejscu zdarzenia, szybko zauważą pozostawione na ulicy samochody i roztrzaskane drzwi prowadzące na plażę. Bez trudu zorientują się, którądy uciekli sprawcy. Policyjne łodzie patrolowe natychmiast wyruszą na akwen w celu sprawdzenia wszystkich małych jednostek pływających w okolicy, a co większe przystanie zostaną pewnie zamknięte. Nawet teraz, kiedy zbliżali się do niewielkiego portu Victoria and Albert Hotel, słyszał syreny radiowozów wyjące po drugiej stronie zatoki.

Spojrzał na zegarek. Wedle jego obliczeń mieli przed sobą jeszcze jakieś siedem godzin czekania, nawet jeżeli samochód z ambasady z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi będzie jechał bez żadnych przeszkód najszybciej jak to tylko możliwe. Po przybiciu do nabrzeża Ryan zacumował katamaran, a potem wyjął ze schowka pod siedzeniem na rufie dwa koce i wepchnął je do swojego plecaka razem z kilkoma butelkami wody mineralnej, nie zwracając sobie w pośpiechu głowy starannym układaniem rzeczy. Uporawszy się z bagażem, popatrzył na Naomi.

Kharmai siedziała na twardej drewnianej ławeczce tuż za kabiną, przyciskając kolana do klatki piersiowej i przyglądała się uważnie jego poczynaniom. Kiedy jednak podszedł do niej i wyciągnął rękę, odsunęła się gwałtownie.

- Naomi - powiedział, nie starając się nawet ukryć zniecierpliwienia w głosie. - Nie mamy czasu na takie gierki. Jeżeli natychmiast nie pójdziesz ze mną, będziemy mieli okazję zapoznać się z warunkami panującymi w tutejszych więzieniach. Wiesz przecież, że nie zrobiłbym ci krzywdy. Gray miał broń i nie zawahałby się przed zabiciem nas obojga.

Po chwili Naomi bez słowa wyciągnęła w jego stronę rękę. Ryan pomógł jej wstać z ławki, a potem oboje wyszli na pomost i minąwszy jasno oświetlony hotel, zanurzyli się w labiryncie wyludnionych ulic.

Strome drogi prowadzące poza dolinę sprawiły im najwięcej kłopotów, bo pozbawiony napędu na cztery koła jeep ciągle zsuwał się w stronę niebezpiecznego skraju ścieżki. Kilka razy March czuł nawet, jak serce podchodzi mu do gardła, kiedy samochód ześlizgiwał się w błocie nad krawędź zbocza opadającego ostro kilkaset metrów w dół, do samego dna doliny. Amerykanin zawsze bał się gór i urwistych zboczy, a ten paralizujący go lęk miał swoje źródło jeszcze w czasach dzieciństwa. Teraz też cały zlewał się potem i miał tylko nadzieję, że nie pozostało im już wiele drogi do przebycia. Na szczęście wkrótce oddalili się od krawędzi urwiska, a po dotarciu do wykutych w granitowych skałach dróg wiodących w góry, trasa stała się mniej wyboista.

Chociaż ogrzewanie było włączone na cały regulator, w wyższych partiach gór powietrze zrobiło się przejmująco zimne. Mroźne podmuchy zawodzące ponad skalistymi urwiskami wiatru wdzierały się do kabiny przez niewidoczne gołym okiem szczeliny w karoserii. Wspinali się coraz wyżej, a marznący deszcz ustąpił wkrótce miejsca prawdziwej śnieżnej zamieci, która utrudniała im podróż jeszcze bardziej.

- Widzisz to? - March podążył wzrokiem za palcem al-Adela, wskazującym niewielką kamienną konstrukcję przytuloną do skalistego urwiska co najmniej sto metrów ponad drogą. Budynek

wtapiał się w otaczające go góry tak idealnie, że bez pomocy Saifa nigdy by go nie zauważył. - Nasz punkt obserwacyjny - zaledwie jeden z kilku. To jedyna przejezdna górską drogą w promieniu dziesięciu kilometrów. Właśnie dlatego wybrano to miejsce. Jeżeli zjawią się tu Amerykanie, będziemy mieli wystarczająco dużo czasu na ewakuowanie obozu.

- Świetna lokalizacja - przytaknął March. Dostrzegł też inne zalety tego miejsca. Nawet pociski raketowe o największej donośności, Tomahawki i Harpoony, nie byłyby w stanie dotrzeć z okrętów pływających po Morzu Północnym do tej ukrytej w samym sercu gór bazy. Z kolei żeby przeprowadzić atak z powietrza, amerykańskie samoloty musiałyby przekroczyć granice przestrzeni powietrznej wielu państw, a zdobycie zgody ich rządów byłoby naprawdę trudne. - Ale chyba trudno kierować stąd organizacją.

Al-Adel przytaknął ruchem głowy.

- Na barkach dowódców poszczególnych jednostek spoczywa ogromna odpowiedzialność. Zgody na poszczególne akcje udzielam ja albo Abu Fatima. Znasz go zapewne jako al-Zawahiriego. To wielki człowiek. Znam go od prawie dwudziestu lat. - Egipcjanin zamilkł na chwilę, sprawdzając ponownie wskazania odbiornika nawigacji satelitarnej. - Jesteśmy już prawie na miejscu - powiedział w końcu.

Kręta ścieżka pomiędzy poszarpanymi skałami zaczęła się zwężać i March w końcu zdołał usłyszeć poprzez wycie wiatru niski warkot silnika diesla. Wkrótce pośród śnieżnej zamieci dostrzegł także zarys ciężarówki, a potem imponujący widok umieszczonego na wieżyczce stumilimetrowego działka, wycelowanego prosto w nadjeżdżającego jeepa. Al-Adel zwolnił i w końcu zatrzymał auto, czekając aż młody mężczyzna, który właśnie zeskoczył z tyłu ciężarówki, przedrze się do nich przez śnieg ze swoim kałasznikowem i przenośnym radiotelefonem. Saif zamienił z wartownikiem kilka słów po arabsku, wyrzucanych z prędkością karabinu maszynowego, a potem młody żołnierz powiedział coś do swojej krótkofalówki.

Kiedy zakończył pobieżną kontrolę jeepa, bojowy wóz piechoty BMP-3 zjechał ze ścieżki, żeby ich przepuścić. Droga prowadziła do niewielkiej kotliny otoczonej z trzech stron stromymi skałami,

które stanowiły doskonałą osłonę przed niepogodą. Znaczną część wolnej przestrzeni zajmował ogromny płócienny namiot, zasilany w prąd przez maleńki w porównaniu z nim generator wozu dowodzenia. Dwaj kolejni talibscy żołnierze pełnili straż przed tym ogromnym schronieniem, ale poza nimi wokół nie było widać ani śladu innych ludzi.

Al-Adel i March wysiedli z jeepa i ruszyli powoli w stronę namiotu, pamiętając o tym, żeby trzymać ręce na widoku. Jeden z żołnierzy cofnął się odrobinę i wycelował w ich stronę karabin, podczas gdy drugi wartownik zabrał się do obszukiwania przystępu. Odebrawszy al-Adelowi oba pistolety, rzucił kilka szybkich słów do krótkofalówki, po czym kłapa namiotu wreszcie się uchyliła i wpuszczono ich do środka.

Szli przez jakieś dwadzieścia minut, zanim Ryan znalazł wreszcie odpowiedni punkt, tuż naprzeciwko miejsca ustalonego spotkania. U wylotu alejki znajdowała się niedawno zainstalowana latarnia, a oślepiający blask jej żarówki sprawiał, że poza pierwszymi kilkoma metrami cała uliczka pogrążona była w nieprzeniknionym mroku. Wąski korytarz pomiędzy ceglanyymi murami budynków miał nie więcej niż półtora metra szerokości i cuchnął gnijącymi odpadkami, które najwyraźniej musiały leżeć gdzieś w pobliżu. Smród łatwiej było znieść dzięki lekkiemu wiatrowi, choć w ciasnej alejce jego powiewy przenikały zimnem do szpiku kości.

Ryan ruszył w głąb mrocznej uliczki, gdzie w końcu wyciągnął ze swojego plecaka jeden z dwóch koców i zwinąwszy go w trzy części, położył powstały w ten sposób zgrabny kwadrat na zaśmieconej ziemi. Potem posadził Naomi na tym zaimprovizowanym siedzisku i zarzucił jej na ramiona drugi koc, z zadowoleniem obserwując, jak dziewczyna otula się mocniej szorstkim materiałem. W końcu sam usiadł na chropowatym betonie kilka metrów dalej i przystąpił do obserwacji sąsiadującej z alejką ulicy, starając się nie zwracać uwagi na przenikliwy ziąb.

Po kilku minutach odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Naomi i natychmiast natknął się na uważne spojrzenie jej błyszczących oczu, widocznych wyraźnie nawet w spowijającym zaułek mroku. Zauważył, że gruby pled zsunął się jej z ramion, a ciałem

dziewczyny wstrząsają gwałtowne dreszcze. Przynajmniej się bliżej, owinał ją szczelnie kocem, a potem przytulił do siebie. Po krótkiej chwili Naomi rozluźniła się i delikatnie oparła głowę na jego ramieniu.

- Ryan?
- Hm?
- Poczujesz coś, kiedy zastrzelisz Graya?
- Co masz na myśli?
- Czy to dla ciebie trudne? To znaczy, zabicie człowieka?
- Tak.
- Kłamiesz - wymamrotała po chwili. Ryan milczał. - Obserwowałam twoją twarz, gdy pociągnąłeś za spust... Nic tam nie było, tylko pustka. - Powieki zaczynały jej ciążyć, wtuliła się więc mocniej w jego ciało, podczas gdy sen ogarniał ją niczym ciepłe morze. - Jak miała na imię tamta dziewczynka?

Ryan poczuł jak jego mięśnie napinają się bezwiednie ze strachu. Nie chciał tego pamiętać, tego, co jej zrobili. Tak długo trwało, zanim zdołał wreszcie zapomnieć...

- To nie w porządku, wiesz? Nie w porządku, że nic nie czujesz, kiedy odbierasz komuś życie... - Długa przerwa. - Tamta dziewczynka w Bośni. Jak miała na imię?

- Safija - odezwał się w końcu. Naomi siedziała ze spuszczoną głową, nie widział jej twarzy. Nie mogła wiedzieć, jak wiele bólu mu sprawiła. - Miała na imię Safija.

- Dziękuję. - Naomi powiedziała to tak cicho, że ledwie ją dostyszał.

Potem siedzieli w milczeniu, aż wreszcie oddech Naomi przeszedł w spokojny rytm snu. Ryan spojrzał w dół, ale jej twarz skrywały gęste, lśniące włosy. Pośród ich czarnych fal widać było tylko sam czubek nosa. Ryan instynktownie przyciągnął ją do siebie bliżej, odwracając jednocześnie głowę, bo właśnie w tym momencie u wylotu alejki przemknął z rykiem syren policyjny radiowóz.

I chciał już tylko, żeby godziny oczekiwania skończyły się jak najszybciej, a obraz okaleczonego ciała tamtej dziewczynki zniknął mu sprzed oczu.

Powietrze wewnątrz namiotu było rozgrzane i duszne, połączony efekt działania pracującego na okrągło grzejnika i zaduchu

niemytych od tygodni ciał. Zawieszony na drewnianej belce przetarty koc oddzielał fragment pomieszczenia od części sypialnej. Prowizoryczna zasłona nie była zaciągnięta do końca, więc Amerykanin od razu zauważył sprzęt łącznościowy ustawiony na składanym drewnianym stole i siedzącego przy nim ze słuchawkami na uszach żołnierza. *Prowadzi nasłuch radiowy*, pomyślał March. Wiele lat temu sam się tym zajmował.

W innej oddzielonej części namiotu zapanowało nagłe ożywienie i po chwili zza zasłony wyłonili się dwaj mężczyźni. Jeden z nich trzymał w rękach karabin. Drugi, ubrany w pomięte spodnie, lnianą koszulę i gruby wełniany sweter, nie miał żadnej broni. Oczy ukryte za okularami w zwykłych, stalowych oprawkach były zaczerwienione od braku snu, ale March od razu dostrzegł rzucone w jego kierunku nieufne spojrzenie. Młodszy żołnierz z bronią obserwował go uważnie, podczas gdy jego przełożony odciągnął al-Adela na bok i zaczął mu coś szybko tłumaczyć gniewnym tonem po francusku.

March znał ten język biegle, z czym jednak nie zdradził się nigdy w obecności al-Adela. Bez trudu zorientował się, że starszy mężczyzna czyni Saifowi wymówki, że przywiózł Amerykanina w góry.

- Wiesz, kim jestem? - mężczyzna zwrócił się nagle do Marcha, przechodząc na całkowicie poprawny angielski.

- Oczywiście.

- Dlaczego się tu zjawiłeś?

- Żeby porozmawiać z Emirem. - March przechylił lekko głowę, przyglądając się uważnie stojącemu przed nim mężczyźnie. Doktor Ajman al-Zawahiri, osobisty lekarz i najbliższy współpracownik Dyrektora. W kręgach zachodniego wywiadu, o czym March doskonale wiedział, panowało przekonanie, że człowiek ten zginął kilka lat temu podczas nalotu na południowo-zachodni Afganistan. - Myślałem, że Saif już to wyjaśnił. Chyba nie proszę o zbyt wiele, biorąc pod uwagę moje zasługi dla waszej organizacji.

- Twoje zasługi - powtórzył lekarz ostrym tonem, a potem roześmiał się krótko, chrapliwie i zerknąwszy z rozbawieniem na al-Adela, odwrócił się znowu w stronę Amerykanina. - A cóż takiego wyjątkowego zrobiłeś? Prowadziłem dżihad z egipskiego

więzienia, kiedy jeszcze twoja matka wyprawiała cię co dnia do szkoły. Śmierć jakiegoś polityka, wysadzenie w powietrze pustego budynku... To są te twoje wielkie osiągnięcia? Tylko tyle masz do zaoferowania?

- To i tak więcej niż cała wasza organizacja zdołała osiągnąć w ciągu czterech lat - wytknął March, a potem patrzył już tylko, jak pogardliwy uśmiešek powoli znika z twarzy jego rozmówcy, ustępując miejsca dziwnie obojętnej minie.

W końcu starszy mężczyzna odwrócił się do żołnierza z karabinem i rzucił mu po francusku rozkaz. Zanim jednak zdążył dokończyć, March zrobił błyskawicznie trzy kroki do przodu i zadał młodemu mężczyźnie cios w gardło. Żołnierz wypuścił z żelaznego uścisku karabin i chwycił się dłońmi za szyję, rozpaczliwie macając palcami zmiażdżoną tchawicę, podczas gdy wytrzeszczone oczy zaczęły mu zachodzić mgłą. March złapał broń w powietrzu, wypiął magazynek i zanim zasobnik jeszcze upadł na ziemię, wysunął znajdujący się w komorze nabój. Dopiero w tym momencie oszołomiony al-Adel krzykiem wezwał wartowników. W momencie kiedy dwaj żołnierze pełniący straż przed namiotem wpadli do środka, Amerykanin stał już z uniesionymi lekko rękami, a rozbrojony karabin leżał u jego stóp.

March zignorował zupełnie przyciśnięte do jego głowy lufy karabinów i wyrzucane gwałtownie po arabsku przekleństwa. Nie zwracał uwagi na pełne udręki rżenie umierającego żołnierza. Cały czas wpatrywał się w szokowaną twarz Ajmana al-Zawahiriego, a potem wreszcie się odezwał.

- Nie pozwolę ci wydać tego rozkazu - warknął, nawet nie starając się nadać pozorów grzeczności swojej płynnej francuszczyźnie. - Nie po to dotarłem tak daleko, żeby teraz zginąć z rąk jakiegoś pryszczatego dzieciaka. Gdyby spodobało mi się patrzeć na twoją śmierć, byłbyś teraz na jego miejscu. Jestem tu, bo chcę dać ci szansę, być może największą w twoim życiu. Zaufaj mi, kiedy mówię, żebyś ją wykorzystał. Do tej pory zasłużyłem przynajmniej na twoje zaufanie.

Karabiny nawet nie drgnęły. W pomieszczeniu zapanowała kompletna cisza. W końcu lekarz skinął ręką i żołnierze powoli opuścili broń.

- Przeszukajcie go jeszcze raz - nakazał, kiwając w zamyśleniu na jednego ze swoich bojowników. Przez cały ten czas przyglądał się Marchowi uważnie, z twarzą zupełnie wypraną z emocji.

- Nie tak łatwo zdobyć moje zaufanie.

Jeden z młodych mężczyzn nerwowo wysunął się do przodu i obszukał Amerykanina, starając się trzymać od niego na wyciągnięcie ramion. Leżący na ziemi chłopak, nie miotał się już tak gwałtownie jak poprzednio, a spastyczne skurcze mięśni były coraz rzadsze, teraz, kiedy prawie zupełnie zabrakło mu powietrza. Dziewiętnastoletni żołnierz, który sprawdzał, czy March nie ma broni, zauważył, że mężczyzna nie spojrzął ani razu w dół na okaleczonego przez siebie człowieka. Błyskawicznie zakończył przeszukanie i wycofał się do pomieszczenia z radiostacją, natychmiast zaciągając za sobą zasłonę.

- Chodź ze mną. - Al-Zawahiri skinął Amerykaninowi głową i skierował się z powrotem w stronę wyjścia z namiotu. March był tym tak bardzo zaskoczony, że początkowo nie zwrócił uwagi na pobladłego Saifa al-Adela, który przysunął się naprawdę blisko i wysyczał mu do ucha, opryskując go kropelkami śliny:

- Jesteś już martwym człowiekiem, Amerykaninie. *Martwym.* Przysięgam ci to.

Nie miał na to żadnej odpowiedzi. Ignorując Saifa, ruszył za al-Zawahirim przez otwartą przestrzeń w stronę przepastnej jaskini wykutej w zboczu góry.

- Pan Kealey? Pani Kharmai? Ambasador oczekuje państwa.

Ryan i Naomi zerwali się na równe nogi i ruszyli za Gillian Farris, zastępczynią szefa misji przez masywne dębowe drzwi prowadzące do obszernego gabinetu ambasadora. Gdy tylko weszli, Henry Martins uprzejmie wstał zza swojego biurka, jednak na jego szerokiej, ogorzałej twarzy nie było widać nawet śladu uśmiechu. Martins miał prawie trzydzieści lat doświadczenia w służbie dyplomatycznej, ale nigdy jeszcze nie stanął w obliczu sytuacji, z jaką musiał się teraz zmierzyć. To, że w końcu nadarzała mu się po temu okazja, wcale mu się nie podobało.

- Zapraszam - powiedział, wychodząc zza biurka, po czym dołączył do nich w niewielkim kąciku gościnnym i ze znużeniem zasiadł w jednym z wygodnych foteli. Nieco zaskoczony Ryan

obserwował, jak ambasador nalewa dla nich kawę ze stojącego na stole niewielkiego dzbanka.

- Pół godziny temu miałem telefon od ministra spraw zagranicznych. - Martins popatrzył uważnie spod opadających powiek na siedzącą przed nim dwójkę. - Rozmawiał już z komendantem tutejszej policji... Wygląda na to, że jedynym pojazdem, jaki znaleziono przed magazynem, był srebrny mercedes sedan, wzięty w leasing trzy lata temu przez jeden z holdingów Stephena Graya. Przy okazji, taka właśnie wersja trafi do policyjnego raportu.

Ryan odetchnął bezgłośnie z ulgą, kątem oka dostrzegając, jak napięcie ustępuje z ramion Naomi. Nissana musiał zabrać ranny ochroniarz. Było to z całą pewnością szczęśliwe zrządzenie losu, bo samochód od razu powiązałby ich z tą sprawą. Podróżowali co prawda pod przybranymi nazwiskami, ale ubyla przynajmniej jedna rzecz, która mogłaby im później zaszkodzić.

- A co z kierowcą? - zainteresował się Ryan.

Ambasador uniósł swoje gęste brwi i usadowił się wygodnie w fotelu, który zatrzeszczał głośno pod ciężarem jego ciała.

- Nie udało się go znaleźć. Zresztą policja nie będzie szukać zbyt intensywnie. - Martins upił duży haust kawy, zanim podjął przerwany wątek. - Muszę jednak zaznaczyć, że cała ta sprawa z pewnością okaże się dla nas niezwykle kosztowna. Przez najbliższe miesiące prezydent Mbeki będzie oczekiwał z naszej strony rozmaitych przysług i z pewnością otrzyma wiele z tego, o co poprosi. O ile dobrze zrozumiałem, otrzymaliście rozkaz, aby przesłuchać tego człowieka dyskretnie.

- To prawda, ale Gray nie był zbyt chętny do współpracy.

- Najwyraźniej. Rozmawiałem też z Jonathanem Harperem - z całą pewnością będzie miał wam niejedno do powiedzenia, kiedy już wrócicie do kraju. Nie był zbyt zadowolony. Dyrektorowi Andrewsowi nieźle się dostało od prezydenta. Oczywiście prywatnie. To zakrawa na prawdziwy cud, ale wasza mała wpadka umknęła uwadze prasy. Mam nadzieję, że przynajmniej zdobyliście to, czego szukaliście.

Ryan przytaknął ruchem głowy.

- Mam dla pana nazwisko: William Paulin Vanderveen. Zdaję sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nie mam prawa o nic prosić,

ale naprawdę potrzebuję do tego pańskich najlepszych ludzi. Trzeba zdobyć wszelkie informacje na temat jego rodziny i osób, z którymi może utrzymywać nadal kontakt, a jeśli będzie to wyglądać obiecująco, potrzebna też będzie obserwacja. Ale najważniejsze są zdjęcia - muszę się upewnić, że March i Vanderveen to ten sam człowiek.

Ambasador Martins pokiwał głową, spoglądając na przemian na dwójkę agentów CIA.

- Znaleźliście się tam w naprawdę trudnej sytuacji. Doskonale was rozumiem, jednak prosicie mnie o wiele.

- Panie ambasadorze, rząd Republiki Południowej Afryki będzie miał świetną okazję, żeby udzielić nam wsparcia - wtrąciła Naomi. - Nie chciałabym nikogo urazić, ale pracownicy samej ambasady nie wystarczą. Musimy zaangażować w to miejscową policję. Vanderveen jest obywatelem tego kraju, odpowiedzialnym za śmierć ponad stu osób. Być może zechce pan uświadomić tutejszym władzom, jak taki nagłówek wyglądałby na pierwszej stronie „New York Timesa” - naprawdę potrzebujemy każdej pomocy, jaką możemy otrzymać. Poza tym nie będą raczej mogli liczyć na jakiegokolwiek przysługi, jeśli to prezydent Brenneman będzie musiał ponieść całą odpowiedzialność za to, że doszło do tych ataków.

Na ustach ambasadora pojawił się cień uśmiechu.

- Nie owija pani w bawełnę. Ale zgadzam się z panią, władze RPA są również w pewnym stopniu odpowiedzialne za rozwiązanie tej sprawy. Zajmę się tym, ale pod jednym warunkiem - jeżeli opuścicie mury ambasady, to wyłącznie po to, żeby wsiąść do samolotu, zgoda?

- W tej akurat kwestii nie zamierzam się spierać - powiedział Ryan. - Spokojnie możemy już wracać do Waszyngtonu.

- Świetnie. W takim razie muszę wykonać kilka telefonów.

Martins wstał, dając tym samym znak, że rozmowa dobiegła końca. Dwójka agentów CIA podniosła się również i ruszyła w stronę drzwi, które ambasador uprzejmie przed nimi otworzył.

- Powinniście trochę odpocząć - dodał jeszcze, kiedy wyszli do holu. Farris już tam na nich czekała razem z Aaronem Jansenem, osobistym sekretarzem ambasadora. - Mamy akurat wolne pokoje gościnne - Gillian was tam zaprowadzi. Jeszcze jedno, zastępca

dyrektora oczekuje na relację z waszych poczynąń, panie Kealey. Jeszcze jakieś wieści z Waszyngtonu, Aaronie? - zwrócił się do młodego mężczyzny, który potrzęsnał przecząco głową. - W porządku. Pani Farris znajdzie panu bezpieczną linię telefoniczną. Później zapewne będę miał dla was dodatkowe informacje. Dostaniecie też ubranie na zmianę i przybory toaletowe.

- Dziękuję, panie ambasadorze.

Martins skwitował te słowa Ryana lekkim skinieniem głowy i wrócił do swojego gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Założę się, że najbardziej przydałby się wam teraz sen - zauważyła z uśmiechem Gillian Farris. - Proszę ze mną. Aaronie, minister Zuma chciałby się spotkać z ambasadorem dziś po południu. Dałoby się znaleźć dla niego jakąś godzinę w okolicach piętnastej?

- Oczywiście, pani Farris. - Sekretarz uśmiechnął się uprzejmie. - Co prawda do rozkładu zajęć ambasadora wpisałem już wstępnie szefa ochrony, ale spokojnie mogę go przesunąć na jutro.

- Świetnie. - Jansen został pod drzwiami gabinetu Martina, podczas gdy Gillian Farris poprowadziła dwójkę gości korytarzami w stronę tymczasowych kwater personelu. - Kiedyś była tutaj sala konferencyjna, ale po zamachach bombowych w Tanzanii i Kenii zmieniliśmy jej przeznaczenie, żeby pomieścić dodatkowy personel ochrony - wyjaśniła. - Warunki są skromne, ale tylko tym możemy wam służyć w tym momencie. W każdym razie proszę, tu są klucze. Wrócę po państwa za jakieś pięć godzin.

- Dzięki - powiedział Ryan. - Jesteśmy wdzięczni za pomoc.

Farris odpowiedziała mu uśmiechem, po czym zawróciła w stronę głównego budynku, pozostawiając oboje w jasno oświetlonym korytarzu.

- Do zobaczenia później, Naomi. - Ryan zniknął w swoim pokoju, nie obejrzawszy się nawet za siebie. Chwilę potem usłyszał, jak drzwi sąsiedniej sypialni otwierają się i zaraz zatraskują. Usiadł ciężko na brzegu twardego materaca i kręcąc głową, sięgnął po słuchawkę zabezpieczonego telefonu.

Aaron Jansen pracował jako osobisty sekretarz ambasadora od dziesięciu miesięcy. Był to jego pierwszy przydział i do tego naprawdę dobry, bo większość urzędników Służby Zagranicznej

dopiero rozpoczynających karierę tkwiła w nieciekawych miejscach, zajmując się wypełnianiem mało ważnych papierków przez pierwszych parę lat. Jansen zawdzięczał swój sukces zdobytemu w Yale dyplomowi z wyróżnieniem i rozległym kontaktom ojca. Pomimo uprzywilejowanej pozycji społecznej szybko przywykł do długich godzin pracy i ogromnej odpowiedzialności, jaka wiązała się z jego stanowiskiem, a planowanie rozkładu dnia ambasadora nawet w najdrobniejszych szczegółach weszło mu już w krew. Poza tym był wyjątkowo przystojnym i życzliwym młodym mężczyzną, który zawsze miał w zanadru jakiś żart czy miłe słowo dla swoich współpracowników, zwłaszcza kobiet. W ambasadzie bardzo go lubiono, a praca tam sprawiała mu prawdziwą przyjemność.

Strażnicy przy bramie przyzwyczaili się już do jego spacerów w stronę centrum miasta. Nigdy nie wychodził z ambasady o tej samej porze ze względu na dosyć nieprzewidywalny rozkład zajęć jego pracodawcy. Czasami przemierzał rozległy betonowy plac późnym popołudniem, kiedy upał był największy, a klimatyzacja w portierni pracowała na pełnych obrotach. Innym razem wychodził na zewnątrz dopiero wieczorem, gdy słońce zapadało już za horyzont kamiennego miasta, a powietrze stawało się chłodne i zachęcające.

Tylko raz w tygodniu sekretarz opuszczał budynek ambasady dokładnie o 8:30 rano. Dzisiaj też młody żołnierz piechoty morskiej, pełniący wartę przed wejściem, obserwował, jak Jansen przemierza wolnym krokiem kolisty podjazd, a jego wyczyszczone do połysku buty lśnią w blasku lekko zamglonego jeszcze porannego słońca. Niedoświadczony i podatny na wpływy kaprał wyprężył się słuźbiście, gdy tylko sekretarz podszedł bliżej.

- Dzień dobry, proszę pana.

Aaron Jansen uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową z udawanym rozczarowaniem.

- Kapralu, jestem od was starszy tylko o jakieś dwa lata. Mówiłem już, że macie z tym skończyć. Co słychać?

- Wszystko w porządku, proszę pana, dziękuję.

Aaron posłał mu kolejny pełen wyrzutu uśmiech.

- No cóż, widzę, że nie uda mi się was przekonać. Idę się trochę przewietrzyć... Wracam za jakieś dwadzieścia minut.

- W porządku, proszę pana. Ma pan przy sobie identyfikator?
 - Jak zawsze.
 - W porządku, w takim razie muszę to jeszcze zgłosić.
- Kapral dbał o szczegóły, dzięki czemu zresztą w ogóle dosłużył się swojego stopnia. Dopiero po zgłoszeniu godziny wyjścia do centrum operacyjnego i zapisaniu jej w swoim dzienniku otworzył elektroniczną bramkę zarezerwowaną dla ruchu pieszego. - Do zobaczenia za parę minut, panie Jansen.
- Jasne, widzimy się później, kapralu. - Sekretarz wyszedł na ruchliwą ulicę. Za bramą ambasady skręcił w lewo i ruszył przed siebie Pretorius Street, robiąc wszystko, co w jego mocy, żeby uniknąć tłoczących się wszędzie ludzi, których gęsta ciżba zapełniała tę główną arterię biegnącą przez samo serce miasta.

Jaskinia okazała się wysoka i dosyć szeroka, ale płytka. Pomimo oliwnych lampek przytwierdzonych do wilgotnych kamieni wewnątrz nadal pozostawało pogrążone w lekkim półmroku. Było tu zaskakująco ciepło, być może dzięki obecności dużej liczby młodych talibskich bojowników zgromadzonych na tak niewielkiej przestrzeni. Na kolanach trzymali broń, rozładowaną, zanim jeszcze weszli do tej groty, i nie zwracając uwagi na niewygodę nierównej nawierzchni, na której siedzieli, słuchali uważnie stojącego przed nimi mężczyzny. Jego głos aż drżał od emocji, podczas gdy zebrany tłum chłonał każde jego słowo.

- Chwała Allahowi, że doprowadził was, synów Mahometa, przed moje życzliwe oblicze. Błagajmy Allacha, by odpuścił nam wszelkie złe uczynki, bo wie On w swojej wspaniałości, że jeden człowiek nie może prowadzić dżihadu, a my stajemy przeciw pozbawionemu wszelkiej moralności wrogowi, którego grzechy znacznie przewyższają nasze. Jesteśmy świadkami potworności, czynionych rękami syjonistów i tych wszystkich, którzy się z nimi sprzymierzają...

- *Omin!* - grzmot zlewających się w jedno głosów odpowiedział mężczyźnie, który dalej przekonywał słuchaczy spokojnym, wyważonym tonem.

- Czyż nasi bracia i siostry nie wycierpieli dość? Dzieci Palestyny, prześladowane przez żydowskich morderców, czyż

one nie cierpiały? I gdzie są głosy protestu, czemu nie wydano fatwy? Czasy zachodniego imperializmu dobiegają końca, moi przyjaciele...

- *Yaum al akhir! Omin!*

March wepchnął swoje blond włosy pod podwiniętą do góry kominiarkę, zerkając przy okazji na mężczyzn stojących po obu jego stronach. Usta al-Adela były lekko rozchylone, oczy płonęły. Saif wpatrywał się z uwielbieniem w człowieka, który porwał za sobą zgromadzonych tu mężczyzn. Obróciwszy głowę nieznacznie w prawo, March zauważył, że na twarzy al-Zawahiriego maluje się podobny zachwyty.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, w jak niebezpiecznym miejscu się znalazł.

- Próbują szerzyć swoją truciznę, a ich ramię staje się z każdym dniem coraz dłuższe. Allah wybrał nas, abyśmy zmiażdżyli to ramię... Byliśmy świadkami rzezi w Birmie, Fatani, Czeczenii, Bośni i Hercegowinie. Widzieliśmy, jak nasza ojczyzna spływa krwią niewinnych muzułmanów. Lekceważą naszą świętą krucjatę, moi bracia...

- *Aiwa!*

- Śmieją się nam w twarz, jakbyśmy byli niczym...

- *Aiwa!*

- Błagajmy Allacha, aby poprowadził nas w chwili ciężkiej próby, umocnił w ten niebezpieczny czas. Tylko On wie, co musieliśmy znieść i dlatego wzywa nas do zemsty, by mógł przelać na niewiernych swój gniew...

- *Aiwa! Al Baseer, wa tayyibato!*

- Składamy nasz los w Jego ręce, bo On jest najpotężniejszy, jest Światłem, którego szukamy. Bracia, Allah ronił łzy radości, kiedy Amerykanie stracili dwa filary swojego bezpieczeństwa w Nowym Jorku, swoje pomniki chciwości i cierpienia Jego wybranego ludu...

- *AIWA, SHAYKH!*

March poczuł nagły przypływ adrenaliny, słysząc słowa przemawiającego mężczyzny, wypowiedziane z taką spokojną pewnością.

- Moje usta nie splamiły się kłamstwem, wysłuchajcie więc tego, co chcę wam powiedzieć. Nie spoczniemy, dopóki nasi

palestyńscy bracia nie wygnają Żydów w morskie tonie, a wojska niewiernych nie zostaną usunięte z ziemi Mahometa, oby spoczywał w pokoju...

- *As salamo alaina.*

- Jest to dla nas jedyna droga, bo zostało powiedziane: „Kiedy więc spotkacie tych, którzy nie wierzą, to uderzcie ich mieczem po szyi”¹⁵. Oto wola Allacha, który stoi za wami w pełni swej chwały, a cały nasz lud będzie się radował, kiedy niewierni z Zachodu odczują wreszcie Jego wściekłość. I tak właśnie musi być, dopóki wszyscy muzułmanie nie połączą się jako bracia w Jego królestwie. Chwała Allahowi.

- *Subhana Rabbi yal A'la.*

- Idźcie w pokoju, moi bracia.

Zgromadzeni bojownicy zerwali się na równe nogi i błyszczącymi oczami obserwując każdy ruch przemawiającego mężczyzny, zaczęli wiwatować na jego cześć. Patrzyli z prawdziwym uwielbieniem, jak powoli schodzi ze znajdującego się z tyłu jaskini kamiennego podwyższenia, machając przy tym do nich niczym przybywający z wizytą dostojnik. Zaraz potem otoczyła go jego obstawa, składająca się z najbardziej zaufanych weteranów, którzy rozpoczynali swoją służbę jeszcze w czasach radzieckiej okupacji Afganistanu.

Wiwaty nie umilkły, nawet kiedy mówca skrzył za róg, znikając swoim słuchaczom z oczu. Wkrótce aplauz zamienił się w niewyobrażalną falę, a donośny hałas odbijał się od poszarpanych granitowych ścian z siłą grzmotu.

Saif al-Adel otarł łzy i odwrócił się w stronę Amerykanina. Odsonił przed nim nową twarz, tę część arabskiej duszy, której March do tej pory nie znał... W takim miejscu to on był wrogiem. Przygotował się już na zdradzieckie uderzenie, może cios nożem albo strzał w plecy, ale nic takiego nie nastąpiło. Ogarnęła go obezwładniająca ulga, kiedy uświadomił sobie, że na razie jest bezpieczny. Poniewczasie opuścił kominiarkę, żeby ukryć swoją twarz przed tłumem.

- Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem, Amerykaninie. On nienawidzi twoich rodaków. Czyż teraz nie jest to dla ciebie

¹⁵Werset *Koranu* w przekładzie Józefa Bielawskiego.

oczywiste? Może w końcu pojdziesz, jak wielkie ryzyko podjąłeś, przybywając tutaj.

- Ty mnie tu przywiozłeś, Saifie - szepnął March z zadowoleniem. - Stawką jest teraz także twoja głowa. - Nie czekał, żeby przekonać się, jakie wrażenie wywarły jego słowa na Egipcjaninie, z którego policzków nagle odpłynęła cała krew, tylko ruszył za al-Zawahirim w głąb jaskini. Czekał na to spotkanie trzy lata, a teraz tylko minuty dzieliły go od stanięcia twarzą w twarz z największym człowiekiem, jaki kiedykolwiek stąpił po powierzchni ziemi.

Aaron Jansen nie musiał się spieszyć, a że dzień był wyjątkowo piękny, szedł sobie wolnym krokiem przez gwarne ulice na wschód, ciesząc się codziennymi odgłosami tętniącego życiem miasta. Wstąpił do kawiarni o fasadzie takiej białej, że blask słońca odbijającego się od tej gładkiej powierzchni aż raził w oczy, a potem sącząc ciepłą kawę, ruszył dalej. Na chwilę przystanął przy Caledonian Sports Ground, żeby poobserwować rozgrywany przez dwie drużyny młodych mężczyzn mecz piłki nożnej.

Wesołe okrzyki graczy biegły za nim, kiedy przechodził pod drzewami jakarandy, rosnącymi wzdłuż boiska. Wspaniale było zanurzyć się w ich chłodnym cieniu, gdy stopy brodziły pośród fioletowych pąków, pyszniących się intensywną barwą, które opadły już na ziemię. Zawsze dbający o środowisko kraju, który użyczył mu gościny, Jansen wyrzucił pusty kubek po kawie do kosza na śmieci, po czym zatrzymał się wreszcie przy kilku automatach telefonicznych ustawionych tyłem do boiska.

Od dawna już znał na pamięć ten piętnastocyfrowy numer, który sprawił mu tyle kłopotów w pierwszych próbnych miesiącach jego zdrady. Dzięki krótkim poszukiwaniom w Internecie bez trudu ustalił, że abonent posługujący się takim międzynarodowym numerem kierunkowym mieszka gdzieś w Paranie, jednym ze stanów Brazylii, nie ośmielił się jednak posunąć swojego śledztwa dalej. Dla Jansena niewiedza była prawdziwym błogosławieństwem, a poza tym oznaczała konto numerowane w banku w Zurychu, którego stan przez ostatnich sześć miesięcy stale rósł.

Telefon odebrano po zaledwie jednym sygnale.

- *Quem voce se esta chamando para?*

- Chciałbym się skontaktować z Rodriguez Holding Company.

- Proszę mówić. - Głos po drugiej stronie przeszedł nagle od potoku wyrzucanych po portugalsku słów na beznamiętny, pozbawiony obcego akcentu angielski.

- Jedno nazwisko, dwa rysopisy. W związku z zastrzeleniem Stephena Graya... nazwisko Kealey. Mężczyzna, metr osiemdziesiąt, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt kilogramów, czarne włosy, niebieskie oczy. Nazwisko kobiety nieznane, ale to Brytyjka hinduskiego pochodzenia, metr sześćdziesiąt, metr sześćdziesiąt pięć, szczupła, czarne włosy i zielone oczy. Najprawdopodobniej CIA, spoza Langley. Dzisiaj wracają do Waszyngtonu. Dowiedziałbym się czegoś więcej, ale...

- Pańskie informacje zostaną przekazane dalej. Dziękujemy za telefon.

Rozmówca rozłączył się i w słuchawce słychać było już tylko głuchy sygnał. Jansen odwiesił ją na miejsce, a potem drżącą ręką przyglądał włosy. Cała wymiana zdań trwała dokładnie dziewięć sekund.

Nieźle płacili. Nawet bardzo dobrze, ale Aaron Jansen wiedział, że tej nocy nie zmruży oka. Odwrócił się na pięcie i ruszył w długą drogę powrotną do ambasady.

Ryan zadzwonił najpierw do Harpera. Rozmowa była naprawdę krótka, zamienili zaledwie parę zdań. Kealey podał zastępcy dyrektora nazwisko Williama Vanderveena, a potem został obsypany gradem wściekłych wymówek. Po upływie jakichś pięciu minut Harper w końcu stracił impet i niechętnie pogratulował Ryanowi świetnie wykonanego zadania.

Następny telefon był do Katie w Cape Elizabeth. Tym razem sprawa była nieco trudniejsza, bo tak naprawdę nie miał dobrego wytłumaczenia, dlaczego nie dzwonił od sześciu dni. Obeszło się bez krzyków czy oskarżeń, jednak jej pełen rozczarowania spokój sprawił mu znacznie więcej bólu niż awantura. Ryan obiecał wynagrodzić jej wszystko po powrocie do domu. Jeżeli wpadnie tylko na chwilę do Langley, a potem od razu pojedzie do Maine, wkurzy Harpera jeszcze bardziej, ale teraz co innego było dla niego najważniejsze.

Po prostu zrozumienie tego zajęło mu trochę czasu.

Żadne z nich nawet słowem nie wspomniało o Naomi. Ryan miał nadzieję, że Katie ufa mu na tyle, by się tym nie przejmować, ale kiedy się nad wszystkim zastanowił, cała sprawa wyglądała naprawdę głupio. Pocałował ją... Nie, to nie tak. To Naomi pocałowała jego. Ale w końcu nie śpieszył się, żeby przerwać ten pocałunek, prawda? Szybko odepchnął od siebie tę myśl i postanowił, że najlepiej zrobi, kładąc się spać.

* * *

Miał wrażenie, że minęło zaledwie kilka minut, odkąd się położył, a już usłyszał pukanie do drzwi i Gillian Farris wsunęła do pokoju głowę. Jej ogniście rude włosy zarysowały się wyraźnie na tle gładkiej białej ściany za jej plecami.

- Ambasador chciałby się z państwem zobaczyć za dwadzieścia minut, panie Kealey - powiedziała. - Już obudziłam panią Kharmai. Czy mogę powiedzieć ambasadorowi, że dołączy pan do nas?

Ryan roześmiał się, przecierając ciężkie od snu powieki.

- Proszę mi mówić po imieniu. Oczywiście, może pani przekazać panu ambasadorowi, że się zjawię. Nie wypadaloby kazać mu czekać, prawda? Są jakieś widoki na śniadanie?

- O tej porze w grę wchodzi raczej lunch, ale coś się dla pana znajdzie. - Farris przesunęła wzrokiem po jego nagiej klatce piersiowej i wyraźnie zarysowanych mięśniach brzucha. - Może będziesz też chciał narzucić na siebie koszulę, Ryan. W przeciwieństwie do mnie ambasador nie ceni chyba zbyt długich godzin spędzanych na siłowni - dodała z ujmującym uśmiechem i mrugnęła okiem, po czym wycofała się z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy jej kroki zaczęły się oddalać, Ryan, który aż otworzył ze zdumienia usta, wybuchnął śmiechem. *Tę* historię mógł spokojnie opowiedzieć Katie, choćby tylko po to, żeby pożartować sobie z jej zazdrosnej reakcji. Potrząsając z rozbawieniem głową przeszedł do sąsiadującej z jego pokojem łazienki i wziął szybko prysznic, a potem ogolił się, umył zęby i w końcu założył przygotowane wcześniej przez personel ambasady ubrania. Podej-

rzewał, że Farris wybierała je osobiście, bo były w dobrym guście i pasowały naprawdę idealnie.

Kiedy zapinał guziki koszuli, znowu rozległo się pukanie do drzwi. Na korytarzu czekała już na niego Naomi.

- Cześć - powitał ją Ryan. - Dobrze spałaś?

- Nie - padła szczerą odpowiedź. Ryan zamknął drzwi swojego pokoju, po czym ruszyli oboje w stronę głównego budynku ambasady. - I co powiedział Harper?

- Chciał wiedzieć, jakim cudem udało mi się przenieść beretkę przez ochronę na lotnisku. Poradziłem mu, żeby spytał chłopaków z Nauki i Techniki. Poza tym trochę się wściekał, ale w końcu stwierdził, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty.

- To świetnie. - Naomi roześmiała się gorzko. - Chociaż moim zdaniem tak naprawdę niewiele udało się nam osiągnąć.

- Czemu tak mówisz? - Ryan popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- No cóż, czego nowego się dowiedzieliśmy? Jak facet ma naprawdę na nazwisko? I tak już go pewnie nie używa. I nie wierzę w powodzenie obserwacji. To chyba jasne, że ktoś, kto zdołał uniknąć schwytania przez ostatnich osiem lat, nie pojedzie do domu, żeby odwiedzić swoje małe kuzynki i kuzynów, bo stęsknił się za rodziną. Jest na to za sprytny.

Ryan nie odpowiedział, bo zbliżali się już do gabinetu ambasadora.

- Przepraszam, to *faktycznie* już coś jest. - Naomi próbowała nieco złagodzić swoją opinię. - Dzięki temu może...

- Nie, masz rację. - Ryan zbył jej przeprosiny ruchem ręki, a potem na chwilę zamilkł. - Wiesz, co powiedział mi Gray na samym końcu?

- Nie dosłyszałam tego.

- Powiedział: „Już za późno, żeby go powstrzymać. Ładunek wylądował w Waszyngtonie. On dopadnie ich wszystkich”.

- Jak myślisz, co to miało znaczyć - „ich wszystkich”?

- Naomi popatrzyła na niego uważnie. - O kogo może chodzić?

- Zastanów się chwilę, Naomi. Senator Levy został zamordowany, ponieważ próbował zawrzeć sojusz z Francją i Włochami. A kto ma przyjechać do Waszyngtonu w listopadzie?

- Chirac i Berlusconi. - Oczy Naomi rozszerzyły się, kiedy w końcu to sobie uświadomiła. - O mój Boże, naprawdę myślisz...?

Ryan wzruszył ramionami.

- A z jakiego innego powodu miałby podejmować takie ryzyko? To musi być coś naprawdę ważnego. Jak już mówiłem wcześniej, ten człowiek stanowi dla Al-Kaidy doskonały nabytek. Nie narażaliby się na jego utratę w jakiejś drugorzędnej operacji.

- To samobójstwo - upierała się Naomi. - Przecież nie uda mu się zamordować prezydenta Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o zabiciu przywódców dwóch innych państw w tym samym czasie, i tak po prostu sobie odejść.

W końcu dotarli do poczekalni przy gabinecie ambasadora.

- Naomi, Jason March jest jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi, jakich kiedykolwiek wydało amerykańskie wojsko - powiedział Ryan, otwierając drzwi przed swoją towarzyszką.
- Jeśli komuś miałoby to ujść na sucho, to właśnie jemu.

Ruszyli dalej w głąb jaskini.

Hulający ponad ostrymi szczytami gór Tian Shan wiatr był zaledwie dalekim pomrukiem w plątaninie ciemnych korytarzy, które zdawały się ciągnąć bez końca. Z dala od wylotu groty powietrze zrobiło się znacznie chłodniejsze i March zaczął gwałtownie drżeć, kiedy tak podążał w ciemnościach za al-Zawahirim, wyciągnawszy przed siebie ręce, żeby uniknąć wpadnięcia na ściany. Bardziej martwiło go jednak to, że niecałe dwa kroki za nim idzie Saif al-Adel. Nie mógł się pozbyć nękającego go przez cały czas pytania, czy zmierza do własnego grobu.

Jego obawy rozproszyły się odrobinę, kiedy dostrzegł w oddali jakieś słabe światło, a po chwili znaleźli się już w pobliżu niewielkiej groty. Al-Zawahiri odwrócił się z trudem w wąskim tunelu i mruknął krótko:

- Zaczekaj tutaj. Zawołam cię, kiedy przyjdzie czas. - Potem zniknął w wyciętym w skale wejściu.

March skinął lekko głową i oparł się o wilgotną ścianę. Ku jego zaskoczeniu al-Adel nie skorzystał z okazji, żeby rzucić przyciszonym głosem kolejne groźby pod jego adresem. Zresztą i tak nie miałby ku temu okazji, bo starszy mężczyzna niemal natychmiast powrócił. Jego szeroka sylwetka zarysowała się wyraźnie na tle padającego z tyłu przytłumionego światła.

- Dyrektor przyjmie cię teraz, Amerykaninie. Saifie, potrzebują cię na górze. Twoja obecność tutaj jest zbędna.

March nie odwrócił się, żeby popatrzeć na zdumioną minę al-Adela, chociaż miał na to wielką ochotę. Po prostu odetchnął głęboko, żeby uspokoić drżące dłonie i zrobił pierwszy ostrożny krok w stronę światła.

Ryan poczuł niepokój, gdy tylko oboje z Naomi usiedli naprzeciwko ambasadora Martinsa, najwyraźniej bardzo czymś zmartwionego.

- Mam nadzieję, że wyspali się państwo. - Oboje obserwowali w milczeniu, jak ambasador nalewa drżącą ręką kawę. - Bardzo mi przykro, ale moje poranne rozmowy nie przyniosły pozytywnych rezultatów. - Odchrząknąwszy lekko, Martins ciągnął dalej: - Nie oznacza to oczywiście, że nie udało się nam niczego dowiedzieć. Po prostu nie wzięliśmy pod uwagę, z jak niebezpiecznym człowiekiem mamy do czynienia. Przesłałem już kopie informacji, które zdołaliśmy zebrać, do FBI i Ministerstwa Sprawiedliwości. Uznałem, że powinni się z nimi zapoznać jak najszybciej. - Ambasador popchnął przez stół teczkę, którą Ryan natychmiast podniósł i otworzył. - Są tam zdjęcia Williama Vanderveena jako młodego człowieka. Nie ma ich zbyt wiele - najwyraźniej nie lubił się fotografować. Nie zdołaliśmy znaleźć zbyt wielu osób, które mogłyby powiedzieć coś konkretniejszego na jego temat, ponieważ...

Ryan zauważył natychmiast, że March i Vanderveen to jedna i ta sama osoba. Zajęty zdjęciami niemal nie zwrócił uwagi na dziwną przerwę, jaką zrobił ambasador.

- Tak, panie ambasadorze?

- Ponieważ wszyscy członkowie jego najbliższej rodziny już nie żyją. - Naomi zakrztusiła się kawą, ale Ryan nawet tego nie zauważył, całkowicie skupiony na ich rozmówcy. - Nie wyciągajcie pochopnych wniosków - uprzedził Martins. - Brak jakichkolwiek dowodów na to, że Vanderveen był za to odpowiedzialny. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uciekł z kraju w 1981 roku. Nie mogę wam niestety powiedzieć, co robił po przybyciu do Stanów Zjednoczonych, ale rząd RPA okazał się bardzo pomocny w poskładaniu razem wszystkich danych, jakie znajdują się w ich posiadaniu. Postawili tylko jeden warunek - żadna z tych informacji nie może się przedostać do publicznej wiadomo-

ści, a ja chętnie przychyliłem się do tej prośby. Ta sprawa może się okazać niezwykle kłopotliwa dla naszego wojska, nie mówiąc już o całym państwie.

- Muszę wiedzieć wszystko, panie ambasadorze.

Martins rozpoczął swoją opowieść.

Kryjówka była niewielka, za ciasna, żeby trzy osoby mogły się w niej wygodnie pomieścić. Dwaj znajdujący się już tam mężczyźni siedzieli na wojskowych łóżkach polowych z oliwkowego brezentu, które stały tuż obok małego grzejnika. Zaraz po wejściu Vanderveen usiadł bez słowa na wskazanej mu przez al-Zawahiriego trzeciej pryczy, czekając cierpliwie, co nastąpi dalej. W tym miejscu to nie on powinien przemówić pierwszy.

Lekarz wyciągnął ze stojącego na ubitej ziemi plecaka termos i nalał gorącej herbaty do metalowej menażki, którą wręczył swojemu zwierzchnikowi. Vanderveen patrzył jak drżące dłonie z wdzięcznością przyjmują kubek.

Mężczyzna upił łyk ciepłego napoju i uśmiechnął się lekko, w końcu podnosząc wzrok na swojego gościa.

- Tutaj też można się cieszyć drobnymi przyjemnościami... Tylko na takie możemy liczyć.

Will Vanderveen pokiwał ze zrozumieniem głową, nie przerywając jednak milczenia. Ponieważ Al-Zawahiri obserwował go z czymś na kształt aprobaty, zaczął się zastanawiać, co spowodowało tak nagłą zmianę zdania na jego temat.

- Nikomu nie ufam tak jak Ajmanowi. Opowiadał mi o twoich zwycięstwach, o których słyszałem już zresztą w radio. Ale mówił mi także, że masz w sobie butę... - Dyrektor czekał na reakcję Amerykanina i wydawał się bardzo zadowolony, kiedy ten nic nie odpowiedział. - To i tak dla mnie nieistotne. Czynami udowodniłeś już swoją lojalność. Niechaj łaski i błogosławieństwa Allacha będą z tobą, mój bracie.

- I z tobą - odparł Vanderveen automatycznie.

Na ustach Dyrektora pojawił się osławiony półuśmiech.

- Kpisz z mojej wiary, Amerykaninie?

Gwałtowny wdech, ale tej trudnej chwili nie towarzyszyło uderzenie paniki. Vanderveen rozumiał strach, czasami nawet sam go czuł. Strach innych ludzi nigdy się jednak nie liczył.

- Nie, Emirze. Chciałem tylko dać wyraz mojemu szacunkowi. Wybacz, jeśli cię uraziłem.

Przeprosiny zostały jednak zignorowane.

- Świetnie znasz mój język, choć w twoim akcencie jest coś z regionu Halabji... albo i nie. Może się mylę.

Vanderveen zawahał się, co tylko wzmogło jeszcze zainteresowanie jego dociekliwych rozmówców. *Trzeba powiedzieć prawdę*, zdecydował w końcu. *Mogą wiedzieć więcej niż dają po sobie poznać.*

- Szkoliłem kurdyjskich partyzantów w Halabji, kiedy jeszcze służyłem w wojsku.

Dyrektor przez chwilę delektował się kolejnym łykiem herbaty, a potem wskazał ruchem ręki na swoją menażkę i na Amerykanina. Al-Zawahiri natychmiast napełnił drugi kubek i wręczywszy go Vanderveenowi, nalał napoju do trzeciego, tym razem dla siebie.

- Rozumiem, że niechętnie mówisz o swojej przeszłości. To zwyczaj ludzi, którzy mają coś do ukrycia.

- Nie mogę zaprzeczyć, Emirze. Jednak rzeczy, które widziałem, o których wiem... Mogą się dla was okazać niezwykle użyteczne.

To stwierdzenie wywołało nagły błysk zainteresowania w oczach jego rozmówcy. Dyrektor pochylił się lekko do przodu, choć ból w piersiach natychmiast wywołał na jego twarzy grymas. Reakcja Amerykanina nie uszła jego uwadze.

- Nie niepokój się, mój przyjacielu. Trzy lata temu twoi rodacy byli naprawdę blisko. Zbyt blisko, ale od tamtej pory zmieniłem swoje zwyczaje.

- To nie są moi rodacy - rzucił ostro Vanderveen.

- Nie? - Dyrektor uniósł z rozbawieniem brew. - Walczyłeś razem z nimi. Temu nie zaprzeczysz. Zabijałeś dla nich. Kimże więc mogą dla ciebie być?

Vanderveen zignorował to pytanie, choć wiedział, że czyniąc tak, podejmuje ogromne ryzyko.

- Przypuszczam, że al-Adel opowiedział ci już o naszym przyjacielu Shakibie?

Wysoki mężczyzna wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. A więc jednak ma w sobie butę.

- Powiedziano mi, że miał dla nas pewną informację - odparł wreszcie. - To wszystko.

Vanderveen uśmiechnął się z satysfakcją.

- To coś więcej niż tylko informacja, Emirze. To sposób na doprowadzenie sprawy do końca. Mam w swoim posiadaniu rozkład zajęć prezydenta Stanów Zjednoczonych na dwa miesiące naprzód, a oprócz tego wytyczne przygotowane przez agentów amerykańskich służb Secret Service.

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego zaszokowani, nawet nie próbując ukryć swojego zdumienia. Al-Zawahiri poczuł zawrót głowy na myśl o wadze tego stwierdzenia. Dopiero po dłuższej chwili zdołał określić, co tak naprawdę go trapi. Chodziło o sposób, w jaki ten człowiek mówił o „Amerykanach”, z całkowitą obojętnością, jakby stanowili kompletnie odrębną od niego rasę. A przecież *był* Amerykaninem, nieprawdaż?

- Dlaczego nic jeszcze o tym nie wiemy?

- To nie jest informacja, którą można przekazać komukolwiek - odparł Vanderveen, wzruszając ramionami. - Całkowite bezpieczeństwo zapewnia jedynie spotkanie twarzą w twarz, takie jak to.

- Nie wzięłeś jednak chyba pod uwagę, mój przyjacielu, że po śmierci Shakiba plany te zostaną zapewne zmienione... - lekarz urwał w pół zdania, kiedy dostrzegł, że Amerykanin potrząsa przecząco głową.

- Te dokumenty nigdy nie zostały znalezione przy nim, nikt nie podejrzewał nawet, że Shakib je zabrał. Po zrobieniu kopii, zwrócił oryginały na miejsce, tak że nie zgłoszono ich zguby czy kradzieży. Poproszę tylko o kartkę papieru i ołówek.

Al-Zawahiri odszukał potrzebne przedmioty i podał je Vanderveenowi, który położył kartkę na kolanie i naszkicował z grubsza kalendarz, zakreślając w nim pewne daty.

- Jak już mówiłem, to rozkład zajęć na dwa miesiące, poczynając od października. Jak dotąd prezydent wypełnia wszystkie swoje najważniejsze zobowiązania wymienione w terminarzu. Teraz mamy pierwszy tydzień listopada. Niestety, okoliczności nie pozostawiają nam wiele czasu na działanie. Jednak... moim zdaniem dwa i pół tygodnia powinno wystarczyć, jeśli zabiorę się do tego od razu. Za waszą zgodą, oczywiście.

- A co dokładnie zamierzasz zrobić? - zapytał Dyrektor. Vanderveen podniósł wzrok i popatrzył z uśmiechem w spokojne brązowe oczy Osamy bin Ladena.
- Dwudziestego szóstego listopada prezydent David Breneman będzie przewodniczył w Waszyngtonie oficjalnym negocjacom, w których wezmą udział prezydent Francji i premier Włoch. Zamierzam zabić ich wszystkich.

ROZDZIAŁ 20

TADŻYKISTAN • PRETORIA

Głęboko w chłodnych czeluściach górskiego pasma Tian Shan człowiek znany jako Amerykanin wyjaśnił zasłuchanym rozmówcom szczegóły swojego planu, który opracowywał starannie przez ostatnich kilka tygodni. Dzięki niemu Al-Kaida miała uzyskać decydujący wpływ na światowe wydarzenia, a jednocześnie zapewnić sobie wsparcie finansowe ze strony Iranu.

Plan przypadł jego słuchaczom do gustu nie tylko z tych właśnie, ale także z jeszcze innych powodów.

Trzej siedzący w jaskini mężczyźni cierpieli na tę samą chorobę. Nie mówiono o niej wprost, ale kiedy już zdołała się ukryć w przebraniu rewolucyjnego zapału, stała się tematem dyskusji, który mógł utrzymać ich uwagę przez wiele godzin. Widać ją było w ich błyszczących oczach i zachwyconych uśmiechach, które rozjaśniały im twarze, kiedy rozmawiali o technicznych trudnościach związanych ze zniszczeniem całej dzielnicy miasta i zamordowaniem prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz przywódców dwóch innych państw.

- Najtrudniejszą część operacji mamy już za sobą - wyjaśnił Vanderveen. Jego arabski był niemal bezbłędny. Jedenaście lat temu został wysłany do świetnej szkoły językowej Defense Language Institute w Monterey, ale powrócił do swojej jednostki zaledwie trzy miesiące później, kiedy przewyższył biegłością prowadzącego ten kurs wykładowcę.

Wówczas ze skromnością przyjął gratulacje tego człowieka i ckliwy list pochwalny. Teraz, w głębi piekielnych jaskiń nie starał się nawet ukryć swojej pychy.

- Niepokoi mnie tylko ten Irańczyk... Czy można mu zaufać?
Al-Zawahiri skinął głową, wpatrując się ze smutkiem w swój opróżniony kubek. Ku jego rozczarowaniu termos już od dawna był pusty.

- Nie sądzę, żeby Mazaheri chciał nas oszukać, zwłaszcza po tym, co już dla niego zrobiłeś, przywożąc ten kontener do Araku. Ufam mu całkowicie.

- Czy to jest właśnie to, o co prosiłem?

- Nieco więcej, mój przyjacielu: 545 kostek semtexu H. Plastik pochodzi z Czech. Każda kostka waży 2500 gramów. Całkowita waga ładunku wynosi, jeśli się nie mylę...

- Około 1360 kilogramów albo nieco ponad 3000 funtów. To powinno wystarczyć.

Al-Zawahiri był lekko zaskoczony szybkością jego obliczeń. W jeszcze większe zdumienie wprawiłaby go pewnie informacja, że Amerykanin potrafił przeprowadzać takie działania matematyczne w myślach, kiedy miał zaledwie pięć lat.

- Największym wyzwaniem będzie stworzenie pola rażenia wystarczająco rozległego, żeby objąć cały konwój - tłumaczył dalej Vanderveen. - Pomimo pomocy Shakiba o pewnych sprawach nadal nic nie wiemy.

- Na przykład?

- Choćby tego, jak ostatnie ataki wpłyną na ochronę Brenemana...

Podczas gdy Amerykanin objaśniał im rozmaite czynniki, które mogły udaremnić udany atak, tysiąc dwieście kilometrów na południowy zachód od gór Tian Shan toczyła się zupełnie inna rozmowa.

Zrelacjonowana przez ambasadora Martinsa historia rodziny Vanderveenów była w najlepszym wypadku pobieżna. Dysponowali oczywiście wyblakłym świadectwem urodzenia - pomiętym dokumentem wystawionym w 1964 roku we wschodnim Transwalu - jednak ten świstek nie był im do niczego potrzebny.

Na razie pierwszych dziesięć lat życia Williama Vanderveena musiało pozostać dla nich tajemnicą.

Następne dokumenty pochodziły już z 1975 roku. Była to przechowywana przez Rand University w Johannesburgu historia

choroby, stwierdzająca, że w lutym tegoż roku tamtejszy wydział psychologii odwiedziła pewna kobieta z synem. Wyniki testów chłopca były wprost nieprawdopodobne, znacznie przewyższając te spośród najlepszego procenta populacji, ale rodzina badanego nie zgodziła się, pomimo licznych próśb, na dalsze badania.

Wedle dokumentacji psycholog, który prowadził testy, niejaki doktor Wilhelm D. Klerk, był gorzko rozczarowany, bo matka i chłopiec nie pojawili się już więcej na jego wydziale. Jego rozgoryczenie nieco zmalało, kiedy dowiedział się, że byli to żona i syn osławionego generała wojsk RPA, Francisa Vanderveena. Należało się spodziewać, że taka rodzina będzie wolała zachować w tym przypadku daleko posuniętą dyskrecję.

Ryan Kealey starał się słuchać tego wszystkiego obojętnie, ale wkrótce ogarnęły go sprzeczne emocje. W głębi ducha niczego nie pragnął bardziej, niż zabić człowieka, który zdradził i zamordował swoich towarzyszy, a z drugiej strony czuł ogromną potrzebę, żeby zrozumieć przyczyny jego postępowania, jakby to mogło wymazać choć trochę uporczywy ból i poczucie winy. Skupiony na opowieści ambasadora, szybko zaczął jednak zadawać pytania.

- Kim był generał Vanderveen? Dlaczego tak się z nim liczone?

Martins odpowiedział mu najlepiej, jak potrafił. Wspomniawszy krótko o polityce RPA w czasach apartheidu, wyjaśnił, że wojsko stanowiło często pierwszą linię obrony przed powstaniem Afrykanów w stolicy i większych miastach, takich jak Johannesburg czy Kapsztad.

- Kiedy Daniel Malan przejął w 1948 roku władzę, natychmiast zwolnił kilku wysokich rangą oficerów, o których było wiadomo, że nie popierają jego polityki. W tym czasie Francis Vanderveen służył jako kapitan w jedenastym batalionie sił specjalnych Afryki Południowej. Przetrwiał jednak czystkę w szeregach, głównie dzięki pogłoskom, że od lat zbiera kompromitujące dowody na powiązania pomiędzy czołowymi działaczami Partii Narodowej a nazistami podczas drugiej wojny światowej.

- Innymi słowy - wtrąciła Naomi - Vanderveen był nietykalny.
- Dokładnie. - Ambasador skinął głową. - Nie oznacza to jednak, że Vanderveen nie zgadzał się z poglądami Malana. Tak

naprawdę od dawna był już znany ze swojego poparcia dla Afrykańskiego Związku Braci.

W 1959 roku Vanderveen rozpoczął koordynację współpracy pomiędzy siłami zbrojnymi Związku Afryki Południowej a Biurem Bezpieczeństwa Państwowego. To stanowisko dawało mu możliwość nadzorowania spraw zarówno wojska, jak i policji. Był już wtedy pułkownikiem odpowiedzialnym za egzekwowanie wymogu noszenia przepustek i paragrafu 10 Ustawy o czarnej ludności miast z 1945 roku. Nie chcę was zanudzać szczegółami, ale te akty prawne miały na celu zatrzymanie czarnych obywateli na wyznaczonych terenach w odległych zakątkach kraju, stwarzając w ten sposób iluzję, jeśli nie wręcz rzeczywistość, białej Afryki Południowej.

- Ale jakim cudem jeden człowiek mógł nadzorować taką operację? - zdziwił się Kealey.

- Nie musiał tego robić sam - odparł ambasador. - Miał na podporządkowaniu ogromny zespół współpracowników, nie wspominając już o wojsku. Jednak istnieją również niezbite dowody na to, że Vanderveen prowadził wiele z tych akcji osobiście. Ocenia się, że w samych latach sześćdziesiątych zorganizował wysiedlenie co najmniej dwóch milionów czarnych Afrykanów.

Naomi rozważała przez moment tę informację.

- Rok temu miałam na uniwersytecie zajęcia, na których zajmowaliśmy się dosyć szczegółowo apartheidem i rolą, jaką odegrał on w historii Republiki Południowej Afryki. Nie przypominam sobie, żeby nazwisko tego człowieka pojawiało się gdziekolwiek.

- Nic dziwnego. - Martins skinął powoli głową, po czym upił łyk kawy. - Widzi pani, Francis Vanderveen był niezwykle skuteczny w swoich działaniach, ale jego metody stanowiły powód zakłopotania władz, nawet tak bezwzględnych jak rząd Malana. Wprowadzając w życie paragraf 10, pułkownik nie zawsze czekał, aż wszystkie domy zostaną opróżnione z mieszkańców, zanim posłał tam buldożery. Co gorsza, krążyły również pogłoski, że to on stał za masakrą w Sharpeville w 1960 roku.

- *O tym rzeczywiście czytałam* - wtrąciła Kharmai. - Siły bezpieczeństwa otworzyły ogień do grupy czarnych protestantów przed komisariatem policji. Funkcjonariusze twierdzili później, że słyszeli strzały, ale przy ciałach nie znaleziono broni.

- Zgadza się. Na placu zginęło sześćdziesiąt dziewięć osób, a ponad sto zostało rannych. Vanderveen cieszył się już w tym momencie ustaloną reputacją. Nikt nie był na tyle szalony, żeby oskarżyć go wprost, ale wszyscy doskonale wiedzieli, kto wydał rozkaz otwarcia ognia. Co zaskakujące, kariera Vanderveena nie ucierpiała w jakikolwiek sposób po tych wydarzeniach. Co więcej, w 1964 roku został mianowany generałem brygady. W tym samym roku urodził się jego syn. - Ryan odchylił się odrobinę na krześle. *W końcu dochodzimy do najważniejszego.*

- William Paulin przyszedł na świat jako drugie dziecko Francisa i Julienne Vanderveenów. Starsza córka, Madeline Jane, urodziła się w 1961 roku. Generał właściwie ciągle przebywał poza domem, więc dzieci spędzały większość czasu z matką w ich rodzinnej posiadłości w Piet Retief, niewielkim miasteczku położonym w dolinie Assegai. Julienne była ponoć niezwykle piękną kobietą, na dodatek całkowicie oddaną synowi i córce. - Martins zawahał się. - Rekonstrukcja późniejszych wydarzeń opiera się w znacznej mierze na domysłach, ale jak już mówiłem, mieliśmy trudności ze znalezieniem wiarygodnych świadków.

Widzieliście już wyniki. William zdobył 184 punktów w skali Stanforda-Bineta i znacznie przekroczył tabele skali Weschlera w teście inteligencji Slossona dla dzieci. Jego wyjątkowa inteligencja nie budzi więc wątpliwości, natomiast sprawa z siostrą przedstawiała się już zupełnie inaczej. Dziewczyna była lepiej znana z powodu swojego... no cóż, rozwiązłego zachowania. W 1975 roku w wiosce głośno mówiono o tym, że spotyka się z jednym z pracujących na pobliskiej farmie Afrykanów, młodym mężczyzną w okolicach dwudziestki.

- Miała wtedy *czternaście* lat? - policzyła szybko Naomi. Martins skinął głową.

- W każdym razie nie trwało to długo. W tym samym roku Madeline zginęła w rezultacie śmiertelnego upadku gdzieś w górach otaczających ich posiadłość.

Kealey miał wrażenie, że dostrzega już, do czego to wszystko zmierza.

- Generał?

Ale Martins potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Oczywiście Francis Vanderveen miałby poważny motyw, gdyby te pogłoski były rzeczywiście prawdziwe, ale w dniu śmierci córki znajdował się ponad sto kilometrów od domu, nadzorując wyburzanie całej wioski w Natal. To nie on ponosił odpowiedzialność za ten wypadek.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Chyba nie sugeruje pan, że William...

Ambasador przerwał Naomi gestem ręki.

- Podaję wam tylko fakty.

- Ale przecież był taki młody - upierała się Kharmai. - To wydaje się jakoś... nie w porządku.

- Ma pani rację - przytaknął Martins. - Poza tym historia na tym się nie kończy. Miesiąc po pogrzebie dziewczyny młody mężczyzna, z którym się spotykała, zniknął z farmy, gdzie był zatrudniony. Znalaziono go tydzień później pośród wzgórz na obrzeżach doliny Assegai, praktycznie pociętego na kawałki.

- A ojciec dziewczyny? - zapytał Ryan.

- Przebywał tysiąc sto kilometrów od miejsca zdarzenia, zajęty nadzorowaniem koncentracji wojsk na granicy z Angolą. - I znowu cisza, tym razem znacznie dłuższa. - Nie muszę chyba dodawać, że Julienne była zdruzgotana po śmierci jedynej córki, ale do tego wrócę jeszcze za chwilę. - Ambasador poprawił się na krześle, przerzucając przy okazji dokumenty, które mu dostarczono. - Francis Vanderveen został awansowany na generała dywizji na cztery miesiące przed śmiercią Madeline, wiosną 1975 roku. Az do tamtej pory biała ludność republiki była odgradzona od terenów wrogich Afrykanów linią państw buforowych, które znalazły się w rękach Afrykanerów. Dwa z tych krajów to Mozambik i Angola, w latach siedemdziesiątych zarządzane przez Portugalię.

W 1974 roku niestabilna sytuacja ekonomiczna doprowadziła do przewrotu wojskowego w Lizbonie. Odcięło to praktycznie fundusze przeznaczone na wszelkie zagraniczne przedsięwzięcia Portugalii, w tym na wojsko. Kiedy portugalscy dowódcy obu kolonii zorientowali się, że wkrótce stracą kontrolę nad tymi nadmorskimi terytoriami, zgodzili się ustalić datę proklamowania niepodległości: czerwiec 1975 roku dla Mozambiku i listopad tegoż roku w przypadku Angoli.

- Panie ambasadorze, ale co to ma wspólnego z Francisem Vanderveenem? - zapyta! Kealey.

- Spokojnie, zaraz do tego dojdziemy. Najwyższe sfery rządowe RPA uznały, że konieczne jest uzyskanie jakiejś formy zwierzchnictwa nad tymi krajami. W końcu zagrożona była ich wizja białej Republiki Południowej Afryki. Samora Machel, przywódca rebeliantów w Mozambiku, szybko doszedł do porozumienia z premierem Johnem Vorsterem. Angola była mniej skłonna do ustępstw na rzecz RPA, więc te tereny były ciągle do wzięcia. O kontrolę rywalizowały pomiędzy sobą trzy główne partie: rebeliancka MPLA, wspierana przez Związek Radziecki i Kubańczyków; FNLA z Holdenem Roberto na czele, wspomagana przede wszystkim przez Stany Zjednoczone i wreszcie UNITA, centrowa organizacja kierowana przez wykształconego w Szwajcarii prawnika o nazwisku Savimbi.

- Sądziłam, że rząd Stanów Zjednoczonych wyjątkowo zdecydowanie potępiał apartheid - Naomi była wyraźnie zaskoczona.

- Czemu Waszyngton miałby interweniować w tej sprawie?

- Z naszego punktu widzenia kontrola ze strony RPA oznaczała mniejsze zło - wyjaśnił ambasador. - MPLA miała wsparcie finansowe rządów dwóch komunistycznych państw, istniało więc spore prawdopodobieństwo, że to właśnie ta partia zwycięży. Chcieliśmy ograniczyć komunistyczne wpływy w Afryce, musieliśmy więc wejść w układ. Choć oficjalnie to nie Waszyngton był tu stroną, ale o tym za moment.

W każdym razie kiedy Vorster podjął już decyzję o inwazji, otrzymał obietnicę wsparcia zarówno ze strony Francji, jak i Stanów Zjednoczonych. Pod koniec 1974 roku rząd francuski zorganizował spotkanie pomiędzy Savimbim a Biurem Bezpieczeństwa Państwowego RPA. Francis Vanderveen był jednym z pierwszych przedstawicieli zaproszonych do rozmów. Jednak po przybyciu do Paryża od razu oskarżył on francuskiego ministra o próbę przejęcia przy pomocy jego wojsk Kabindy, bogatej w ropę naftową enklawy Angoli. Miał oczywiście rację, ale w ten sposób zaprzepaścił szansę na sojusz z Francją.

- Więc zostawiliśmy mu już tylko my - podsunął Ryan.

- No właśnie - przytaknął Martins. - Na początku wcale nie wyglądało to na zły układ. CIA wykupiło stacje radiowe i gazety,

żeby prowadzić akcję propagandową przeciwko MPLA. Agencja sumiennie wywiązywała się ze swojej części umowy. Vanderveen został wybrany do poprowadzenia inwazji. Nagrodą miała być oczywiście stolica, Luanda. Pancerna kolumna przekroczyła granicę z Angolą 23 października 1975 roku i bez trudu wygrała pierwsze bitwy pod Sa da Bandiera i Namibe, nie natykając się na praktycznie żaden opór. Kiedy jednak wojska Vanderveena ruszyły na północ w stronę Bengueli, sytuacja się zmieniła.

Ambasador Martins wstał i podszedł do swojego biurka, gdzie otworzył kluczem jedną z szuflad. Potem wrócił do dwójki agentów, niosąc w rękę niewielkie blaszane pudełko. Odstawił je ostrożnie na stół i w końcu usiadł znowu w fotelu.

- Po naszym spotkaniu dziś rano moi ludzie zaczęli szukać żyjących krewnych Williama Vanderveena. Udało im się znaleźć tylko jedną osobę ze strony ojca. To Deborah Poole, z domu Vanderveen, siostra generała. Jest już bardzo leciwa, ale chętnie zgodziła się porozmawiać z naszym młodym wysłannikiem. Poza tym dała mu to.

Ambasador wyjął mały srebrny kluczyk i otworzył pudełko, a potem odwrócił je tak, że Naomi i Ryan mogli zobaczyć jego zawartość.

Nachyliwszy się lekko, Kealey wyjął pierwszy z brzegu dokument, po czym rozwinął poplamiony, naddarty papier i zaczął czytać.

Najdroższa Julienne!

Okopaliśmy się na błotnistym polu pod Novo Redondo. To, co ujrzałaś, gdybyś się tutaj znalazła, nie przypomina już wojska. Z winy naszych polityków, którzy potrafią wyłącznie pięknie przemawiać, brakuje nam amunicji i paliwa. Ludzie dostają tylko jeden posiłek dziennie, a i tak są szczęśliwi, że mają choć tyle. Przez wszystkie te lata spędzone w wojsku nigdy nie czułem się równie niedoceniony jak teraz.

Zjawił się tu człowiek z amerykańskiej CIA, aby obejrzeć nasze mapy i podzielić się z nami swoją uczoną opinią. Powiedziałem mu, że bardziej niż czegokolwiek innego potrzebujemy zaopatrzenia, ale roześmiał mi się w twarz. Usłyszałem, że to przegrana sprawa, a odbicie Angoli nie jest już dłużej „politycznie korzystne”. Odparłem mu, że

myślałby inaczej, gdyby podążał z wojskami przez setki kilometrów, walcząc w obronie swojej ojczyzny.

Julie, mogę to zdradzić tylko tobie, ale uważam, że musimy mieć ich po naszej stronie, jeśli chcemy dotrzeć do Luandy. Nie chodzi tylko o fizyczne zaopatrzenie: Vorster będzie potrzebował Stanów Zjednoczonych także po wojnie, a poza tym nie może sobie pozwolić na to, by ta kampania trwała dłużej. Gdyby Amerykanie udzielili mu pełnego wsparcia, odnieśliśmy zwycięstwo, a ja już dawno byłbym w domu, tam gdzie jest moje miejsce.

To, że mieliby nas opuścić w takiej chwili, wydaje mi się wprost niewyobrażalną zdradą.

Bardzo tęsknię za Tobą i Williamem. Do zobaczenia wkrótce.

Ucałowania

Francis

Ryan skończył lekturę i podał list Naomi, a sam przebiegł szybko wzrokiem kolejną wyjętą z pudełka kartkę. Jej treść była bardzo podobna.

- Mój Boże - szepnęła po chwili Naomi. Ambasador odchrząknął dyskretnie, sprawiając, że oboje z Kealeyem podnieśli na niego wzrok.

- Nie muszę chyba dodawać, że amerykańska pomoc nigdy nie nadeszła. Cała operacja od samego początku była tajną akcją prowadzoną wyłącznie przez CIA. Oczywiście, kiedy Kongres dowiedział się o wszystkim, natychmiast położył kres całej sprawie. Oficjalnie Senat głosował za wstrzymaniem wszelkiej pomocy dla przeciwników MPLA osiemnastego grudnia 1975 roku, ale nie dało się już niczego cofnąć. Kiedy kolumna Vanderveena dotarła do Bengueli, MPLA rozpoczęła kontratak na szeroką skalę. Rebelianci mieli po swojej stronie kubańskie oddziały i radziecką artylerię, podczas gdy generał musiał sobie radzić z trudnościami aprowizacyjnymi i politycznym niezdecydowaniem władz w Pretorii. Dziesiątego listopada został zmuszony do wycofania swoich wojsk. W tym okresie z jego listów do żony zaczęła przebijać coraz większa gorycz, zwłaszcza w stosunku do Amerykanów.

Pięć dni później, tuż po starcie z obozu na południe od Cubal, helikopter generała znalazł się pod ostrzałem przeciwnika. Francis Vanderveen zginął w katastrofie, razem z dwunastoma innymi żołnierzami.

- Niewiarygodne - szepnęła cicho Naomi. Ryan nic nie powiedział. Domyślał się już, co będzie dalej.

Ambasador zamilkł na chwilę, pozwalając, aby przetrwali te informacje, w końcu jednak podjął przerwana opowieść.

- Były jakieś problemy z łącznością, które uniemożliwiły natychmiastowe przekazanie wiadomości, toteż Julianne Vanderveen dowiedziała się o śmierci męża dopiero po dwóch tygodniach. Ponoć powiadomił ją o tym osobiście minister obrony, ze względu na rangę i zasługi generała. Ta wiadomość okazała się zbyt wielkim ciosem dla Julianne, która, jak już wspominałem wcześniej, była załamana po śmierci córki. Strata małżonka dopełniła miary. Tej samej nocy Julianne Vanderveen popełniła samobójstwo. Jak twierdzi pani Poole wtedy po raz ostatni widziano młodego Williama w Piet Retief.

Naomi pokręciła powoli głową. Ryan nadal milczał, w myślach dopasowując do siebie wszystkie elementy układanki, wołał jednak usłyszeć to najpierw z ust ambasadora.

Martins przyjrzał się im obojemu uważnie.

- Niestety, w tym momencie kończą się fakty. Reszta to wyłącznie nasze domysły, ale mam już na ten temat wyrobioną opinię, jeśli was to interesuje.

- Chętnie jej wysłuchamy, panie ambasadorze - odezwała się Naomi.

- Moim zdaniem istnieje spore prawdopodobieństwo, że William Vanderveen widział te listy - powiedział Martins, kładąc ostrożnie dłoń na małym blaszanym pudełku. - Sądzę, że miał też jakiś związek ze śmiercią swojej siostry, nie mówiąc już o tym, co przytrafiło się temu młodemu mężczyźnie, z którym się spotykała. William zapewne wybrał sobie z wypowiedzi ojca tylko te opinie, które mu odpowiadały, bo to było znacznie łatwiejsze, niż przyjęcie na swoje barki odpowiedzialności. Jestem przekonany, że Will Vanderveen znalazł w Stanach Zjednoczonych dokładnie to, czego szukał: ujście dla swojej wściekłości. I nie zatrzyma się, dopóki wszyscy nie dowiedzą się, co czuje.

ROZDZIAŁ 21

PRETORIA • TADŻYKISTAN • LANGLEY

Republika Południowej Afryki odsłoniła przed Ryanem Kealeyem i Naomi Kharmai swoje tajemnice i nie miała im nic więcej do zaoferowania. Kiedy spotkanie z ambasadorem zaczęło się zbliżać ku końcowi, Gillian Farris podjęła stosowne przygotowania, aby mogli już wrócić do Waszyngtonu. Późnym popołudniem samochód z ambasady, który miał odwiedzić dwójkę agentów na lotnisko w Johannesburgu, już na nich czekał. Żegnając się z Ryanem, Gillian przytrzymała jego dłoń w uścisku przez dłuższą chwilę, naprawdę zasmucona jego wyjazdem.

Podczas krótkiej jazdy na południe Naomi zapadła w głęboki sen, pozostawiając Ryana samego z jego niewesołymi myślami. Dręczyło go pytanie, jak powinien teraz postąpić. Kiedy próbował znaleźć właściwe odpowiedzi, przypomniały mu się słowa Naomi, podszyte jakimś szyderczym tonem, którego nie było w jej głosie, kiedy je wypowiadała: *Czego nowego się dowiedzieliśmy? Jak facet ma naprawdę na nazwisko? I tak już go pewnie nie używa...*

Ale dla niego to nazwisko było ważne, bo przyniosło mu pewną ulgę w dręczącym go od lat poczuciu bezsilności. Teraz jednak, kiedy już poznał prawdę, nie bardzo wiedział, co z nią począć.

Z opowieści ambasadora wynikało jasno, że William Vanderveen winił Zachód - czy raczej Stany Zjednoczone - za to, co przydarzyło się jego rodzinie. Ryan nie miał też żadnych wątpliwości, że Vanderveen wstąpił do wojska znienawidzonego państwa tylko w jednym celu - aby zdobyć umiejętności, które mógłby później wykorzystać przeciwko swoim niczego niepodejrzewającym dobroczyńcom.

Ta myśl sprawiła, że Ryan zaczął się znowu zastanawiać nad planami Vanderveena. Bez wątplenia wracając do Waszyngtonu, wiele ryzykował, więc cokolwiek zamierzał, musiało to być warte tego ryzyka. Ostatnie słowa Stephena Graya powracały uporczywym echem z regularnością kapiącego kranu: *Ładunek wylądował w Waszyngtonie... Zdobył już to, czego potrzebuje.* Ostatnim ładunkiem, jaki przyplłynął do Waszyngtonu, była nieustalona ilość materiałów wybuchowych. Czyżby Vanderveen był na tyle bezczelny, żeby spróbować jeszcze raz tej sztuczki, ubiegając mimo wszystko wzmocnioną ochronę w portach?

A może przesyłka dotarła na pokładzie tego *samego* statku, co materiały wybuchowe użyte w pierwszym zamachu?

W swoim poprzednim wcieleniu Vanderveen był świetnym saperem sił specjalnych. Dysponował więc specjalistyczną wiedzą i wystarczającą cierpliwością, aby przeprowadzić udany zamach na życie prezydenta. Pomimo odbytego w Bening szkolenia snajperskiego, chyba zdecydowałby się raczej uciec do metod, które znał najlepiej. Ryan doszedł do wniosku, że musi zaufać w tej kwestii swojej intuicji, bo i tak nie miał żadnych dowodów mogących przemawiać za którąkolwiek z tych możliwości.

Próbował nie myśleć o tym, co może się wydarzyć, jeśli nie ma racji, albo jeżeli się myli i nie dość szybko poskłada wszystkie elementy układanki.

W końcu odchylił się na oparcie wygodnego siedzenia i postanowił pójść w ślady Naomi, podjąwszy przedtem decyzję, że najwyższa pora złożyć Thomasowi Elginowi ponowną wizytę.

Kiedy Boeing 747 z dwójką agentów CIA na pokładzie wzbił się w czyste nocne niebo ponad światłami Johannesburga, Will Vanderveen opuszczał właśnie czeluście gór Tian Shan, podążając za al-Zawahirim w kierunku dosyć płytkich jaskiń położonych bliżej powierzchni, w których panował teraz spokój. Ziemia była tu usiana pryzmami, na których leżeli śpiący mężczyźni. W powietrzu unosił się odór niemytych ciał, wyraźny nawet pomimo zimna i sporej przestrzeni.

- W takim razie otrzymasz na wydatki 45 000 dolarów amerykańskich - powiedział cicho al-Zawahiri. - W pięciu ratach po dziewięć tysięcy, wpłacanych zawsze na ten sam

rachunek. Będziemy potrzebowali Mazaheriego do dokonania przelewu - dodał, marszcząc lekko brwi.

Vanderveen mówił dalej, jakby tego nie słyszał.

- Dopilnuj, żeby pieniądze zostały przesłane przez zachodnią Europę, najlepiej przez Anglię albo Francję. Amerykańskie banki muszą zgłaszać jednorazową wpłatę powyżej dziesięciu tysięcy dolarów władzom. Jeśli zadbamy o to, żeby wpłacany depozyt był za każdym razem mniejszy od tej kwoty, zmniejszymy trochę ryzyko, chociaż używanie tego samego konta do wszystkich operacji też jest niebezpieczne. Niestety, dysponuję zaledwie kilkoma kompletami dokumentów na różne nazwiska. Stworzenie takiej tożsamości zajmuje sporo czasu, a tego właśnie nam brakuje. Za niecały miesiąc terminarz zajęć będzie bezużyteczny.

Wyszli już z jaskiń na otwarty teren, prosto w chłodne powietrze nocy, i szybkim krokiem ruszyli w stronę ogromnego namiotu, z którego dochodził nieprzerwany szum generatorów.

- Będzie się trzymał tego rozkładu zajęć?

- Do tej pory tak robił.

- Myślisz, że to da się przeprowadzić?

- Nie ma żadnych gwarancji, ale już nigdy nie nadarzy się nam lepsza sposobność. Moim zdaniem to możliwe.

Egipcjanin nie odpowiedział, bo właśnie zanurzyli się z zadowoleniem w ciepłe dusznego wnętrza namiotu. Radiooperator odchylił zasłonę i skinął na swojego dowódcę. Chwilę później al-Zawahiri zawołał Amerykanina.

Vanderveen wsunął się do ciasnego pomieszczenia i wziął do ręki podsunietą mu kartkę. Szybko przebiegł jej treść wzrokiem, ale jedno słowo rzuciło mu się od razu w oczy. Przez chwilę wpatrywał się w nie z niedowierzaniem.

- Kealey.

- Znasz to nazwisko?

- Tak - wydusił z trudem. - Skąd to nadeszło?

- Informacja pochodzi z RPA. Mamy tam swojego człowieka w ambasadzie.

- Można mu ufać?

- Całkowicie. Pracuje dla pieniędzy... Tacy są zwykle najlepsi - wyjaśnił al-Zawahiri. - Czy to jakiś problem? - zapytał po krótkiej przerwie.

Vanderveen milczał przez dłuższą chwilę.

- Nie... żaden problem.

- Być może powinniśmy pozostać w kontakcie, żebyśmy mogli informować cię o jego poczynaniach? - zaproponował al-Zawahiri z lekkim naciskiem.

- Nie, Kealey nie zostanie w Afryce. Zresztą to zbyt niebezpieczne. Nie możemy ryzykować całej akcji dla jednego telefonu

- wolę się nawet nie zastanawiać, jakie są możliwości NSA, zwłaszcza w obrębie Waszyngtonu. Żadnych kontaktów, dopóki nie będzie po wszystkim.

Al-Zawahiri nic nie odpowiedział, tylko odwrócił się, żeby spojrzeć na radiooperatora, który natychmiast zerwał się na równe nogi i wyszedł na zewnątrz. Dopiero wtedy lekarz skupił ponownie swoją uwagę na rozmówcy.

- To nie do przyjęcia. Przekazanie pieniędzy musi się odbyć przez ludzi Mazaheriego, a on na pewno zażyczy sobie jakichś zabezpieczeń.

- Ale to niemożliwe - zniecierpliwił się Vanderveen. - Już o tym rozmawialiśmy...

Al-Zawahiri podniósł dłoń uspokajająco.

- Otrzymasz pewien numer telefonu. Minister ma kogoś odpowiedzialnego w Waszyngtonie, kto zajmie się finansami. Zostało nam niewielu ludzi wystarczająco biegłych w tej dziedzinie, odkąd Zouaydi został pojmany w Hiszpanii. To nie jest kwestia pieniędzy, chyba sam rozumiesz. Chodzi po prostu o to, że powierzamy ci operację tak wielkiej wagi. Mazaheri nigdy nie wyrzeknie się całkowitej kontroli... Irańczycy mają wiele do stracenia. Nawet w przypadku powodzenia twojej misji niczego nie osiągniemy, jeśli będzie ich można bezpośrednio powiązać z tymi zabójstwami.

- Al-Zawahiri zamilkł na chwilę, a po jego pełnej twarzy przemknął wyraz zamyślenia. - Będziesz się z nami kontaktował dwa razy na tydzień - powiedział w końcu - od chwili swojego powrotu aż do dnia operacji. Przed wyjazdem dowiesz się, kiedy masz dzwonić. Nie uda mi się wynegocjować większych ustępstw. Nikt nie oczekuje od ciebie, żebyś wyjawiał swoje poszczególne posunięcia, ale muszą wiedzieć o wszelkich problemach, na jakie się natkniesz. Utrzymanie tego kontaktu będzie korzystne również dla ciebie: zapewnią ci dodatkowe fundusze i dokumenty, gdyby doszło do najgorszego.

Vanderveen wiedział, że to kłamstwo. Jeśli zostanie zdemaskowany, Irańczycy wyprą się wszystkiego. Nie kiwną nawet palcem, żeby go ratować, gdyby coś poszło nie tak, ale potrzebował ich pomocy teraz i bezpiecznego schronienia, kiedy będzie już po wszystkim. Nie miał innego wyjścia, tylko zgodzić się na te warunki.

- W porządku. Ten facet od Mazaheriego jest już w Waszyngtonie?

- A kto mówił, że to mężczyzna? - Ajman al-Zawahiri uśmiechnął się lekko.

Na twarzy Vanderveena odbiło się przelotnie zdumienie. Aż trudno uwierzyć, że Mazaheri powierzyłby coś tak ważnego, jak fundusze operacyjne, kobiecie.

- To dla nas cenny nabytek, a poza tym osoba zaufana - dodał al-Zawahiri. - Nic więcej nie musisz wiedzieć. - Uśmiech na jego twarzy zgasł. - To nie jest prośba. Jeśli nie wykonasz telefonu w określonym terminie, nie będzie miało już znaczenia, czy twoja akcja zakończy się sukcesem. Rozumiesz?

Vanderveen skinął krótko głową.

- Zrobię to, o co prosisz. I odniosę sukces.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Al-Zawahiriemu trudno było uwierzyć, że Amerykanin jest gotów popełnić taką zbrodnię przeciwko swoim pobratymcom, tylko w zamian za bezpieczne miejsce w organizacji. W końcu nie miał jednak innego wyjścia, niż wspierać tego człowieka. Takie było życzenie Emira, które równało się tutaj woli samego Allacha.

- Dobrze. Teraz odpocznij. Helikopter powróci rankiem. A wtedy, mój przyjacielu, wszystko będzie zależało od ciebie.

Ryan Kealey przebywał w Waszyngtonie zaledwie od dwóch godzin, kiedy został wezwany z powrotem do Wirginii, przed oblicze samego dyrektora CIA. Po długim locie był zmęczony i obolały, a jego gniew wzmagająca jeszcze świadomość, że w najbliższym czasie nie zobaczy się z Katie.

Jonathan Harper czekał już na niego w przestronnym gabinecie, wygodnie rozparty w jednym z foteli rozstawionych wokół niskiego stołu. Naprzeciwko niego siedział dyrektor Centrali Wywiadu. Kiedy Kealey pchnął mahoniowe drzwi i wkroczył do pokoju, mężczyźni przerwali rozmowę.

- Bob Andrews, miło mi pana poznać. - Dyrektor wstał, wyciągając rękę na powitanie. Był krępy męczyzną, którego sporą tuszę dobrze maskowały tak lubiane przez niego dopasowane garnitury z serii Purple Label od Ralpa Laurna.

- Mnie również, panie dyrektorze. - Kealey uściskał mu dłoń.

Andrews ze swojej strony zmierzył gościa powątpiewającym spojrzeniem. Wiele słyszał o tym stojącym przed nim mężczyźnie, a jego wygląd zdawał się tylko potwierdzać tę reputację. Kealey był ubrany w ciężkie pionierki firmy Columbia, ciemne dzinsy i wytarty sweter pod szyję z bawełny w różnych odcieniach szarości. Miał mocno, nawet bardziej niż zwykle, opaloną od afrykańskiego słońca twarz i niesforne kruczoczarne włosy. Wszystko to sprawiało, że dyrektor, który widział Ryana po raz pierwszy w życiu, musiał nieustannie przypominać sobie w myślach o osiągnięciach tego człowieka.

- Proszę usiąść. - Andrews wskazał gościowi jeden z pustych foteli. - Gratuluję udanej akcji w Afryce.

- Dziękuję.

- Naprawdę doceniam to, że zechciał się pan ze mną dzisiaj spotkać - powiedział dyrektor, jakby Kealey miał w ogóle jakiś wybór w tej kwestii, a potem wskazał ręką filiżanki, ustawione przed nim na stole. - Kawy?

Kealey podziękował ruchem głowy i zabrał się za nalewanie gorącego napoju, do którego dodał jeszcze śmietanki. W tym czasie dyrektor podniósł ze stołu teczkę, która zdaniem Ryana zawierała jego akta personalne, i zaczął przeglądać jej zawartość.

- Popatrzmy... osiem lat w wojsku, służba zakończona w randze majora. Distinguished Flying Cross, trzykrotnie odznaczony Bronze Star Medal, dwukrotnie Purple Heart. Imponujące. Akcje w Kosowie i nad Zatoką. Dwa lata w pierwszej SFOD...

- Andrews popatrzył pytająco znad papierów. - Delta?

Ryan skinął głową, popijając przy tym kawę. Dyrektor uniósł tylko brew, po czym wrócił do lektury dokumentów. - W takim razie informacje o pańskiej karierze wojskowej były utajnione, zgadza się?

- Tak jest. Podpisałem zgodę na ich ujawnienie, kiedy dyrektor Harper mnie przyjmował. W innym przypadku moje papiery pewnie ciągle leżałyby gdzieś w Fort Bragg. - Kealey wiedział,

że Andrews zrozumie, co miał na myśli. Pomimo iż armia trzyma większość akt osobowych żołnierzy w Human Resources Command w St. Louis, pierwsza jednostka SFOD-D dysponowała specjalną zgodą na przechowywanie danych dotyczących swoich członków w ściśle strzeżonym obiekcie w Fort Bragg.

- Na dodatek odznaczony Intelligence Star. - Andrews zamknął teczkę i rzucił ją na swoje biurko. - Z tych dokumentów wynika, że ma pan sporo osiągnięć na swoim koncie, panie Kealey - dodał, postukując palcami o tekturową okładkę. - Niestety, oznacza to również, że powinienem potraktować pańską opinię poważnie.

Ryan przeniósł wzrok na Harpera, który zachowywał jednak kamienną twarz.

- Ten pański wyskok z Elginem wywołał sporą awanturę. Sprawa jeszcze nie przyschła, ale jestem skłonny na razie przymknąć na to oko - ciągnął dyrektor. - Sądzi pan, że Vanderveen zamierza dokonać zamachu na prezydenta. Proszę mi powiedzieć dlaczego doszedł pan do takiego wniosku.

Kealey poruszył się niespokojnie na fotelu, a potem zrelacjonował swoją krótką rozmowę ze Stephenem Grayem i jego ostatnie słowa.

- Przyznaję, że brzmi to niepokojąco, ale czy tylko na tym opiera pan swoje podejrzenia? - zapytał Andrews, nie starając się nawet ukryć swojego powątpiewania.

- Wiemy z całą pewnością, że Vanderveen jest powiązany z nowym irańskim reżimem. Ma również związki z Al-Kaidą. To znaczy, dysponujemy taśmą, na której widać jego spotkanie z niektórymi z najwyższych przywódców tej organizacji. Bardziej niezbitego dowodu już chyba nie uda się znaleźć.

Poza tym proszę rozważyć następujące fakty: senator Levy, największy przeciwnik Iranu w Kongresie, został zamordowany w biały dzień zaraz po tym, jak zapewnił akredytowanych w Waszyngtonie dziennikarzy, że program zbrojeń Teheranu zostanie zamknięty. No i jest jeszcze sprawa Michaela Shakiba, z pochodzenia Irańczyka. Wykazy połączeń z jego komórki wskazują, że dzwonił na sklonowany numer telefonu¹⁶ niecałe

¹⁶ „Sklonowany” telefon komórkowy obciąża rozmowami już istniejące, należące do kogoś innego konto.

trzy minuty przed zamachem. A kiedy został wytropiony przez ludzi z Departamentu Sprawiedliwości, wołał wysadzić się w powietrze, niż zaryzykować aresztowanie. Dlaczego? Andrews zerknął na Harpera z zakłopotaniem.

- Bo oni tak właśnie postępują, panie Kealey. Dla nich to po prostu element konfliktu. Zabicie jak największej liczby ludzi, szerzenie strachu i wywoływanie przerażenia to ich główne cele...

- Być może, panie dyrektorze. - Ryan przerwał Andrewsowi gestem dłoni. - Ale proszę się zastanowić nad następującą możliwością: a jeśli Shakib zrobił to, przynajmniej po części, bo *nie mógł ryzykować, że złamie się podczas przesłuchania!*

Harper rzucił mu pytające spojrzenie, ale Andrews nawet tego nie zauważył.

- Sądzi pan, że Shakib przekazał zamachowcowi jakieś informacje, o których nie wiemy? Coś mającego związek z prezydentem?

Kealey wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem to jedna z możliwości, którym powinniśmy się przyjrzeć. Przecież zdarzały się już takie przypadki. Pamięta pan laptop, który cztery lata temu zginął z Departamentu Stanu? Zawierał wysoce poufne dane dotyczące haseł i nigdy nie został odnaleziony. Podobne rzeczy dzieją się praktycznie każdego dnia w Departamencie Sprawiedliwości.

- Jezu - szepnął Andrews, a potem zwrócił się do swojego zastępcy. - John, uważam, że powinniśmy włączyć w to Secret Service. Niech przeprowadzą u siebie wewnętrzną kontrolę, może coś znajdą.

- Masz rację - przytaknął Harper, chociaż wyraz jego twarzy wcale nie pasował do tych słów.

- Niestety, będę zajęty przez następnych kilka dni w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Nie mogę opuścić tych spotkań, John, ale zorganizuję ci spotkanie z Brennemanem. Pan też powinien w tym uczestniczyć, panie Kealey - dodał Andrews po namyśle. - Może pan zdoła przekonać prezydenta, że powinien z nami współpracować w tej sprawie.

- To z pewnością by nam pomogło. Mam tylko nadzieję, że jednak się mylę.

- Ja też, panie Kealey - padła szczerza odpowiedź. - Ja też.

Niecałe pięć minut później Harper i Kealey wyszli z gabinetu dyrektora Centrali Wywiadu i ruszyli schodami na parter. Szli powoli, wymieniając krótkie zdania w tych nielicznych momentach spokoju, kiedy korytarz był akurat pusty.

- Chryste, Ryan - mruknął Harper z uśmiechem - jeśli zjawisz się w Białym Domu ubrany tak jak teraz, ucieknę stamtąd, nie oglądając się za siebie.

Ryan roześmiał się i zerknął na swoje ubranie.

- Chyba będę musiał zainwestować w nowy garnitur.

- Tak się ubierasz na wykłady w Orono?

- Moi studenci wyglądają jeszcze gorzej, John. To po prostu kwestia stopnia.

Zamilkli na chwilę, bo właśnie mijała ich pośpiesznie wysoka, szczupła kobieta o bujnych kasztanowych włosach, ze stosem akt w objęciach, w przelocie rzucając Ryanowi lekki uśmiech, co nie umknęło uwadze Harpera.

- Gdyby dziewczyny zwracały na mnie uwagę choć w połowie tak jak na ciebie, mój drogi - zakpił, dając młodszemu mężczyźnie kuksańca - umarłbym jako szczęśliwy człowiek.

- Raczej nie, gdyby Julie to usłyszała. Pewnie zamordowałaby cię własnymi rękami.

Harper skwitował tę ripostę uśmiechem, ale szybko przybrał z powrotem poważny ton.

- Ten kit, który właśnie wcisnąłeś Andrewsowi... tak naprawdę chyba w to nie wierzysz, co?

- Nie. Co prawda to *możliwe*, że Shakib zdradził jeszcze jakieś informacje poza trasą przejazdu senatora Levy'ego, ale chyba raczej mało prawdopodobne. Andrews jest na tyle nowy w tej branży, żeby uwierzyć w coś takiego, a przecież nigdy by mnie nie posłuchał, gdybym jako jedyny argument podał ostatnie słowa Graya. Tym sposobem Andrews ma podstawy, żeby oskarżyć Secret Service o brak dostatecznej ochrony informacji, a my dostaniemy to, czego potrzebujemy - konkretną pomoc w wytropieniu Vanderveena. Niestety, teraz będziemy musieli jeszcze sprzedać to prezydentowi - Kealey uśmiechnął się pod nosem. - To może się okazać odrobinę trudniejsze.

- Zawsze mówiłem, że będziesz gwiazdą w centrali, Ryan.
- Harper potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Jesteś najbardziej przebiegłą osobą, jaką znam.

- Nie przejmuj się, John - Kealey uśmiechnął się szeroko
- nie czyham na twoją posadę. Nie miałbym cierpliwości do całego tego lizusostwa, w które musisz się bawić.

- Ale to dzięki mojemu lizusostwu nie trafiasz do więzienia, kiedy wpakujesz się w takie bagno jak z Elginem - roześmiał się Harper.

- A propos, moim zdaniem Elgin wie więcej, niż nam powiedział. Chciałbym popracować nad tym razem z Northem, tym facetem z DEA. W najważniejszej chwili zachował zimną krew. Jedynym problemem będzie dostanie się do Elgina. Myślisz, że mógłbyś to załatwić?

Harper skinął powoli głową, kierując się przez rozległy hol w stronę biurka strażnika.

- Ciężka sprawa, ale jakoś zorganizuję ci widzenie. Najtrudniejszą częścią będzie unikanie prasy. Zdaje się, że trzymają Elgina w Alexandrii. Tylko tym razem nie zostaw na nim żadnych śladów, Ryan. W ogóle trzeba było tego nie robić.

- Nie martw się, poradzę sobie.

Kiedy wyszli na zewnątrz, prosto w chłodne powietrze, Ryan spojrzął w dół wysokich kamiennych schodów i zauważył zaparkowane przy krawężniku ciemnoniebieskie bmw. Obok samochodu stała Katie, drżąc lekko w krótkiej, czarnej sukience. Wyglądała cudownie ze starannie nałożonym makijażem i diamentowymi kolczykami w uszach. Złocistobrązowe włosy miała zaczesane do góry, a kilka luźnych kosmyków okalało miękko jej twarz. Na widok jej roześmianych oczu serce zabiło mu mocniej.

Potem odwrócił się w stronę Harpera, na twarzy którego malował się przebiegły uśmiech.

- Ty chytrusie... - Ryan położył mu dłoń na ramieniu i lekko je uściśnął. - Dzięki, John. Jestem twoim dłużnikiem.

- Zabierz ją w jakieś fajne miejsce, Ryan. Ona na to zasługuje. Zobaczymy się jutro.

Ryan puścił ramię przyjaciela i ruszył szybko w dół, a potem chwycił Katie w objęcia, zanim złożył na jej ustach długi

pocałunek. Harper przyglądał się im ze szczytu schodów z lekkim uśmiechem, rozbawiony widokiem tak niedopasowanej pary. Ryan ze swoimi rozczochranymi włosami, obszarpanym swetrem i ciężkimi buciskami, a naprzeciwko niego Katie, która wyglądała tak, jakby właśnie zeszła z wybiegu w Mediolanie.

Zaraz potem Harper pomyślał o Julie i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Idąc w stronę parkingu, gdzie stał jego samochód, uznał, że razem z żoną też powinni spędzić wieczór na mieście. W końcu życie jest zbyt krótkie, żeby odmawiać sobie przyjemności.

ROZDZIAŁ 22

ASHLAND, WIRGINIA • WASZYNGTON

Nicole Milbery zajmowała się pośrednictwem w handlu nieruchomościami od szesnastu lat i nigdy nawet nie pomyślała o innym zajęciu. Była szczupłą, trzydziestosiedmioletnią kobietą średniego wzrostu, dobrze znaną i powszechnie szanowaną w swojej społeczności. Siegające ramion złociste włosy o barwie miodu miała wycieniowane wedle najnowszych trendów, a łagodne wejrzenie jej brązowych sarnich oczu w niczym nie zdradzało inteligencji i nieustępliwej determinacji, które to cechy stanowiły główny rys charakteru Nicole i źródło jej ogromnego sukcesu. Nicole była jedyną właścicielką Milbery Realty, biura nieruchomości mieszczącego się w północnej części Wirginii i adresującego swoją ofertę przede wszystkim do zamożnej klienteli.

Siedzący naprzeciwko niej mężczyzna nie należał jednak do tej kategorii. Szukał czegoś skromniejszego, do pięćdziesięciu hektarów powierzchni, i to tylko na wynajem. Pomimo iż prowizja z takiej transakcji byłaby w najlepszym przypadku znikoma, Nicole z niechęcią myślała o zakończeniu rozmowy, bo jej klient był niezwykle przystojnym mężczyzną. Ciemnobrązowe włosy ze złocistymi pasemkami, opadające na czoło i najbardziej niezwykle zielone oczy, jakie Nicole kiedykolwiek widziała. W starannie wygolonej twarzy o zdrowej, jasnej cerze uwagę przykuwały też pełne wargi, długi, prosty nos i zdecydowana, kwadratowa szczęka.

Mężczyzna zjawił się w jej biurze zaledwie czterdzieści pięć minut temu. Kiedy podała mu dłoń, uśmiechnął się do niej, odsłaniając idealne białe zęby i ukazując chłopięce dołeczki

w policzkach. Aż zaparło jej dech w piersiach. Od tamtej pory nie była już w stanie przywołać swojego profesjonalizmu i opanowania, chociaż właśnie teraz najbardziej ich potrzebowała.

- A więc, panie Nichols¹⁷ - powiedziała, celowo starając się nadać swojemu głosowi uwodzicielskie brzmienie i wpatrując się rozmówcy głęboko w oczy. - Sądzę, że dokonaliśmy świetnego wyboru. Kiedy chciałby pan obejrzeć te nieruchomości?

Mężczyzna zakrył dłonią usta i odkaszlnął lekko, starając się ukryć uśmiech. Wystarczyło, że usłyszał, jak kobieta wypowiada to nazwisko, a miał ochotę roześmiać się w głos. Wybrał je pod wpływem impulsu trzy lata temu, ale teraz wiedział już, że to był błąd, bo od czasu do czasu przyciągało ono uwagę, a tego przecież zdecydowanie sobie nie życzył.

Ale mimo wszystko było to zabawne.

W końcu cofnął dłoń, znowu całkowicie opanowany.

- Jak najszybciej, Nicole - powiedział, posyłając agentce kolejny czarujący uśmiech. - Mam dzisiaj czas, jeśli to pani odpowiada. I proszę mi mówić Tim.

Uznał, że trzeci z oglądanych domów idealnie odpowiada jego wymaganiom.

Była to tak naprawdę farma, czterdzieści hektarów ziemi, która powinna się teraz zielenić pierwszymi kielkami pszenicy ozimej, gdyby obsiano ją na początku września. Ponieważ tak się jednak nie stało, niedawne ulewy zmyły znaczną część żyznej warstwy gleby, pozostawiając za sobą coś, co można by jedynie opisać jako jezioro błota.

Posiadłość znajdowała się w wiejskiej okolicy tuż przy Chamberlayne Road na północ od Richmond. Do najbliższych zabudowań było prawie kilometr, ale od autostrady międzystanowej 295, biegnącej ze wschodu na zachód, dzieliło ją

¹⁷ Terry Nichols był współnikiem Timothy'ego McVeigha, głównego organizatora zamachu bombowego na budynek władz federalnych w Oklahoma City, przeprowadzonego 19 kwietnia 1995 roku przy użyciu ciężarówki wypełnionej materiałami wybuchowymi. Był to największy akt terroryzmu na terenie Stanów Zjednoczonych przed zamachami z 11 września. W 1997 roku McVeigh został skazany na karę śmierci, wyrok wykonano w 2001 roku, natomiast Nichols odsiaduje dożywocie w więzieniu o zastrzonym rygorze.

zaledwie pięć kilometrów, zaś prowadząca na północ w stronę Waszyngtonu trasa 95 ciągnęła się zaledwie sześć kilometrów dalej na zachód. Kiedy wysiedli z należącego do Milbery forda escape i ruszyli ubitym podjazdem, Vanderveen natychmiast skupił z powrotem całą uwagę na parterowym budynku z czerwonej cegły, do którego właśnie się zbliżali.

- Jak widzisz, sam dom jest raczej skromny - tłumaczyła Nicole - ale naprawdę uroczy. Wiem, że wydaje się mały, za to ma całkowicie wykończoną i dosyć obszerną piwnicę. Największą jego zaletą jest chyba jednak jego ustronne położenie.

Weszli do środka i zaczęli przemierzać cały budynek, nigdzie nie zatrzymując się jednak na dłużej.

- To główny pokój. Podłogi we wszystkich pomieszczeniach wyłożone solidnym parkietem. - Na poparcie swoich słów Nicole postukała lekko obcasem. - Oprócz tego niewielki, miły kominek, idealny na chłodne noce, które zdarzają się tu coraz częściej. Doskonałe miejsce dla ciebie i... Jest jakaś pani Nichols?

Will Vanderveen uniósł lewą dłoń, pokazując, że na serdecznym palcu brak obrączki, a potem mrugnął okiem. Nicole zaczerwieniła się i odwróciła twarz.

Vanderveen rozejrzał się po ponurym wnętrzu. *Co za wstrętna nora*, pomyślał. Nigdy w życiu nie zamieszkałby w takim domu z własnej woli, ale przez niecały miesiąc zdołał się jakoś przemęczyć bez narzekania. Zresztą posiadłość interesowała go z innych względów.

- Nicole, myślisz, że moglibyśmy jeszcze obejrzeć stodołę?

Ten solidny budynek był znacznie większy niż dom, z podłogą na różnych poziomach, dopasowaną do kształtu łagodnie nachylonego zbocza. Vanderveen rozejrzał się wokół z zadowoleniem. Stodoła znajdowała się za domem, toteż z drogi widać było jedynie jej dach. Wnętrze okazało się suche i ciepłe, a do środka prowadziły tylko jedne, za to ogromne rozsuwane drzwi, wyposażone w potężny zamek. Co ważniejsze, wrota były na tyle szerokie, aby zmieściła się w nich duża dostawcza furgonetka. Vanderveen rozsunął czubkiem buta resztki słomy, odsłaniając twardą betonową podłogę.

Nie mogło być lepiej.

Kiedy odwrócił się, chcąc zadać jeszcze pytanie, stojąca do niego plecami Nicole pochylała się właśnie, żeby zdjąć ze

swojego pantofla jakiś niesforne źdźbło. Musiał jej to przyznać, moment wybrała idealnie. Przesunął wzrokiem po jędrnych pośladkach, opiętych krótką czerwoną spódnicą, a potem w dół długich, zgrabnych nóg aż do siedmiocentymetrowych obcasów jej szpilek.

Milbery zdjęła z czubka buta przeszkadzający jej paproch, a potem wyprostowała się szybko i odwróciła z powrotem w stronę swojego klienta. Kiedy podchwyciła jego wzrok, na jej błyszczących czerwonych wargach pojawił się lekki uśmiech.

- Podoba ci się? - zapytała, aż drżąc z oczekiwania. - To znaczy posiadłość?

Vanderveen nie był ani trochę zakłopotany.

- Wprost idealna - powiedział cicho, patrząc kobiecie prosto w oczy.

- W takim razie decydujesz się ją wziąć?

- Chyba można tak powiedzieć, Nicole. - Ruszył w jej stronę, powoli rozpinając guziki swojej koszuli. - Z całą pewnością można tak powiedzieć.

* * *

Od spotkania z dyrektorem Andrewsem w Langley minęły już dwa dni. Ryan spędzał poranki w siedzibie Agencji, ale popołudnia były zarezerwowane wyłącznie dla Katie. Codziennie chodzili oglądać wystawy sklepów w Georgetown i godzinami spacerowali trzymając się za ręce po pełnym ostrych zimowych kontrastów Rock Creek Park. Poza tym jadali w absurdalnie drogich restauracjach w pobliżu Kongresu, a raz wybrali się nawet na sztukę do Ford's Theatre, o czym Katie od dawna marzyła.

Trzeciego dnia późnym wieczorem poszli do Capital Grille, niewielkiej, eleganckiej restauracji na rogu Szóstej i Pennsylvania Avenue. Jak zwykle Ryan poczuł przyjemny dreszcz, kiedy Katie szła przez zatłoczoną salę w swojej seksownej czarnej sukience, sięgającej połowy uda i idealnie podkreślających jej długie, zgrabne nogi pantoflach bez pięt, a wszystkie głowy zwracały się w jej stronę. Lśniące zazwyczaj ostrym różem paznokcie tym razem pomalowała bezbarwnym lakierem, natomiast włosy upięła

do góry w nieprawdopodobną wprost konstrukcję, która jakimś sposobem trzymała się na miejscu dzięki całej masie srebrnych spinek. Zdaniem Ryana jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Posiłek okazał się smaczny, a sam lokal oferował wyjątkowe atrakcje. Katie była zaskoczona, kiedy w pewnej chwili do środka wszedł senator John McCain w otoczeniu całej świty swoich współpracowników. Ryan musiał ją niemal siłą powstrzymać od zerwania się z krzesła i pokazywania palcem na senatora do wtóru pisków egzaltowanej uczennicy. Katie śledziła sprawy polityczne z taką samą dozą zapału, z jaką jej rówieśnicy interesowali się zazwyczaj muzykami i sławami ekranu.

Przez chwilę zastanawiał się, jak zareagowałyby na wiadomość o jego spotkaniu z prezydentem Brennemanem, które miało się odbyć za kilka dni, ale w końcu uznał jednak, że wytworna restauracja nie jest najlepszym miejscem, żeby się o tym przekonać. Już wyobrażał sobie jej odpowiedź: *Żartujesz, prawda? Straszny z ciebie jajcarz, Ryan*. I wszystko to wypowiedziane na głos, w obliczu zgorszonych kelnerów, gorączkowo próbujących wymyślić, co mają począć w takiej sytuacji. Na samą myśl o tym roześmiał się głośno, a jej pytające spojrzenie, rzucone ponad stołem, rozbawiło go jeszcze bardziej.

Tuż po północy wrócili do hotelu Hay-Adams. Ciepłe wnętrza ich apartamentu stanowiło przyjemną odmianę po tumanach mokrego śniegu unoszących się nad miastem. Katie padła na łóżko, nawet nie zdejmując butów, a w głowie nadal jej się kręciło z wrażenia, że widziała na żywo kongresmana, no i oczywiście od wybornego kalifornijskiego Chardonnay rocznik '94, które wypili do kolacji.

- Boże, ten lokal był super! Hotel też jest super. Uważam, że powinniśmy się tu przeprowadzić. W Maine i tak nie ma nic do roboty. Co o tym myślisz?

- Chyba nie mówisz tego poważnie. Poza tym w Maine można robić mnóstwo interesujących rzeczy. Na przykład łowić ryby.

- Czy ja wyglądam jak rybak? - Katie rzuciła mu sceptyczne spojrzenie, wydymając przy tym usta.

Ryan z uśmiechem położył się obok niej na łóżku i wsparty na łokciu zaczął wyjmować srebrne spinki z jej włosów.

- W ogóle nie wyglądasz na rybaka. Ale to się dobrze składa... bo ci faceci nigdy nie wydawali mi się szczególnie pociągający. - Katie roześmiała się lekko z jego żartu, ale kiedy Ryan odezwał się znowu, jego głos przybrał inny, poważniejszy ton. - O ile nadal zgadzasz się za mnie wyjść, możemy robić wszystko, co tylko zechcesz.

Katie popatrzyła na niego ze zdumieniem. Dokładnie w tym samym momencie uwolnione od ostatniej spinki złocistobrazowe włosy opadły miękko na jej twarz.

- Naprawdę tak myślisz?

- Skąd - powiedział Ryan po krótkiej przerwy, uśmiechając się szeroko. - Po prostu pomyślałem, że to zabrzmiało romantycznie.

Katie uderzyła go w ramię, co tylko przyprawiło go o głośny śmiech.

- Jesteś naprawdę *okropny*.

Ale wcale tak nie myślała, nie potrafiła się więc powstrzymać przed oddaniem pocałunku, kiedy nachylił się do jej ust. Kilka chwil później zdejmowała już z ramion sukienkę, podczas gdy Ryan pieścił jej ciało, przesuając powoli silnymi dłońmi coraz niżej wzdłuż jej szczupłych pleców.

Potem pochylił głowę, a Katie jęknęła głośno, czując musnięcie jego warg na swoich piersiach. Chwyliła za zapięcie jego spodni, podczas gdy Ryan wprawnym ruchem rozpiął jej biustonosz, zsuwając czarną koronkę, dopóki nie zahaczyła na krótką chwilę o jej stwardniałe sutki. Sukienka ześliznęła się z brzegu łóżka na podłogę. Katie zacisnęła mocno w palcach skraj pościeli, czując pieśczość jego warg na skórze, a potem wciągnęła głęboko powietrze i wyprężyła całe ciało, kiedy jego wargi powędrowały od płaskiego brzucha w dół...

W falę rozkoszy wdarł się nagle jakiś dźwięk. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to dzwonek komórki Ryana, który natychmiast zerwał się na równe nogi i sięgnął po telefon. Wymruczała pod nosem jakieś przekleństwo, ale Ryan już nacisnął guzik połączenia i odwrócił się do niej plecami.

- Kealey, słucham. Tak... Świetnie, najwyższa pora. W porządku, odpowiada mi to. W takim razie do zobaczenia - zakończył rozmowę.

Katie usiadła na łóżku i owinęła prześcieradłem swoje nagie ciało.

- Kto dzwonił? - zapytała, wpatrując się w niego uważnie. Ryan zawahał się. To jej wystarczyło. - Aha, rozumiem. - Nagle spochmurniała. - To była ta cała Naomi, mam rację?

- Tak. Posłuchaj Katie, jutro rano muszę wcześniej wyjść. Pewnie zanim jeszcze wstaniesz.

- Dlaczego? - Jej oczy były teraz pełne niepokoju. - Dokąd jedziesz?

- Tylko do Langley, za to zapowiada się naprawdę ciężki dzień. Mogę nie wrócić jutro wieczorem. - Ryan odłożył telefon i podszedł do łóżka. Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, odwróciła głowę. - Co się stało?

- Nic - mruknęła. - Wszystko w porządku, naprawdę.

Nie widział teraz jej twarzy, nie mógł też odgadnąć jej myśli, nie miał więc nawet pojęcia, jak bardzo przeraziły ją te słowa: *Mogę nie wrócić jutro wieczorem.*

Podwójne znaczenie tego niefortunnego stwierdzenia przypominało jej natychmiast ten lęk, z którym musiała żyć przez ostatnich kilka tygodni. Od samego początku trudno jej się było z tym uporać, jednak teraz, kiedy się zaręczyli, miała znacznie więcej do stracenia. Obietnicę rodziny i wspólnego życia, które wydawało się tak realne, tak bliskie, wręcz w zasięgu ręki.

Pragnęła wyznać Ryanowi, co czuje, sprawić, by ją zrozumiał, a z drugiej strony nie chciała być dla niego ciężarem. Instynktownie wyczuwała, że sprawa, którą się teraz zajmował, jest znacznie niebezpieczniejsza, niż chciał to przed nią przyznać. Nie dawała jej spokoju myśl, że im mniej będzie go absorbować swoimi troskami, tym jaśniejszy umysł zachowa na wypadek, gdyby znalazł się w prawdziwych opałach.

Ryan był zdezorientowany tą nagłą zmianą w jej zachowaniu, jednak od razu uznał, że ma to coś wspólnego z Naomi. *Jezu, cisnęło mu się do głowy. Ile razy będziemy jeszcze do tego wracać?* Katie nadal siedziała odwrócona do niego plecami. Najwyraźniej nie życzyła sobie jego towarzystwa, podszedł więc do drzwi prowadzących na balkon i wyszedł w samych bokserkach na zewnątrz, prosto w chłodne, nocne powietrze. Rozciągający się przed nim widok był naprawdę imponujący, bo okna ich

apartamentu wychodziły na Lafayette Square i katedrę świętego Jana, a okrywający ulice biały puch skrzył się w blasku światła.

Ryan nie zwracał jednak na to wszystko uwagi, wspominając wydarzenie sprzed ponad pięciu miesięcy.

Ciągle jeszcze wtedy się poznawali, ciesząc się pierwszymi ekscytującymi chwilami nowego związku, zbyt zajęci sobą nawzajem, żeby zauważać jakieś wady. Katie spędzała większość nocy w jego domu w Cape Elizabeth, chociaż zatrzymała swoje niewielkie mieszkanie w Orono. Pewnego wieczora wpadła do niej grupka znajomych na, jak to określiła z szelmowskim uśmiechem Katie, „margarity i film”. Najwyraźniej jednak chodziło przede wszystkim o margarity, bo po co najmniej czterech słodkich drinkach z lodem najlepsza przyjaciółka Katie rzuciła parę dwuznacznych uwag pod adresem jej nowego chłopaka na tyle głośno, że stojący w pobliżu Ryan wszystko słyszał.

Katie próbowała zbagatelizować całą sprawę, ale nawet po wyjeździe znajomych widać było wyraźnie, jak bardzo ją to zdenerwowało. Kiedy zapytał, co się stało, w ogóle nie chciała z nim o tym rozmawiać. W końcu po długich namowach wyznała ze łzami w oczach, że jest zazdrosna o tę właśnie koleżankę, która na pewno podoba mu się bardziej od niej.

Tamto wydarzenie stanowiło kwintesencję tego wszystkiego, co w niej kochał. Katie po prostu nie zdawała sobie sprawy z własnej urody. Jej przyjaciółka, choć też niezwykle atrakcyjna, nawet nie mogła się z nią równać. O dziwo, urok Katie w znacznej mierze krył się właśnie w tym kompletnym braku zainteresowania dla własnego wyglądu. Ryan na palcach jednej ręki mógłby policzyć sytuacje, kiedy widział ją stojącą przed lustrem dłużej niż pięć sekund. Tym, co czyniło jej skromność tak wyjątkową, był fakt, że nie miała ona żadnych podstaw. Katie była boginią w każdym tego słowa znaczeniu, ale niezależnie od tego, jak często jej to powtarzał, zawsze marszczyła gniewnie brwi i prosiła, żeby przestał jej dokuczać.

Kochał każdy centymetr jej ciała, od czubków zgrabnych palców stóp po złote pasma w jej włosach, rozjaśnianych przez promienie słońca, rzadki widok w Maine. Kochał dotyk jej pełnych warg na swoich ustach i sposób, w jaki jej policzki

spłonęły rumieńcem, kiedy znalazł jej wiersze i oświadczył, z całkowitą szczerością, że są „naprawdę dobre”, a potem dorzucił jeszcze na widok jej powątpiewającej miny: „Poważnie!”.

Jednak tym, co urzekło go najbardziej, były jej oczy o cudownym odcieniu błękitu, w pięknej oprawie długich, ciemnych rzęs, zmieniające się radykalnie w zależności od nastroju. Jaśniejsze, kiedy była rozbawiona albo szczęśliwa, przechodziły w głębokie, ciemne jeziora indygo w chwilach zmartwienia czy gniewu i jeszcze dokładnie w momencie szczytowania...

Cholera! Ryan potrząsnął niechętnie głową. Gdyby tylko Katie nie była taka drażliwa, jeśli chodzi o Naomi czy w ogóle o każdą kobietę w jego życiu, jeśli o to chodzi. Kiedy w końcu odsunął od siebie te myśli, rozciągający się przed nim widok nagle nabral ostrości. W przyćmionym świetle nocy śnieg wirował jak szalony wokół pomników Andrew Jacksona i hrabiego de Rochambeau, jakby starał się tchnąć życie w marmurowe figury. Ogólnie biorąc, była to scena naprawdę zapierająca dech w piersiach.

Ale nie mogła się nawet równać z widokiem, który powitał Ryana, kiedy wrócił do pokoju. Ukochana kobieta nadal siedziała odwrócona do niego plecami, ale to nie miało znaczenia. Była piękna z każdej strony. Z zachwytem patrzył na jej skórę, lśniącą w łagodnym świetle wypełniającym pokój, podziwiał przepiękną linię jej ciała, idealnie pasującego do eleganckiej atmosfery tego apartamentu.

I nagle przyglądając się tak Katie, Ryan uświadomił sobie jedną rzecz. Już zawsze będzie się godził z tymi napadami złości. Nie miało znaczenia, czy Katie kiedykolwiek z nich wyrośnie. Jeśli taka miała być cena za życie z nią, to naprawdę niewielka, a on gotów był ją zapłacić z radością.

Minęło kilka minut. Katie próbowała pozbyć się smutnych myśli i zasnąć, ale jej ciało ciągle jeszcze drżało od dotyku Ryana. Popatrzyła na diamenty połyskujące na serdecznym palcu lewej dłoni. Resztki jej uporu zniknęły, a kiedy odwróciła się w stronę Ryana, z mocniejszym biciem serca zauważyła, że nadal jej pragnie. To wystarczyło.

- Daj spokój - powiedziała z udawaną niecierpliwością, uśmiechając się lekko. - Chyba nie zamierzasz tak łatwo się poddać?

Jego uśmiech rozjaśnił cały pokój. Trzema susami znalazł się przy niej i już po chwili pokrzykiwała ze śmiechem, dopóki jego dotyk nie przesłonił jej całego świata, a jęk rozkoszy popłynął w mrok nocy.

NORFOLK • WASZYNGTON

Kiedy Will Vanderveen dotarł późnym popołudniem do Norfolk International Terminals, żeby odebrać swoją przesyłkę. Panujący na placu rozładunkowym pośpiech kończącego się dnia sprawiał, że zaaferowani robotnicy, krążący po rozległej przestrzeni pociemniałego od deszczu betonu, praktycznie nie zwrócili na niego uwagi.

Ale tak to sobie właśnie zaplanował. Zmiana załogi pozwalała mu z łatwością wmieszać się w tłum i nie przypadkiem jego granatowy kombinezon, buty z metalowymi czubkami i wełniana czapka przypominały strój noszony przez wielu prostych pracowników terminalu.

Betonowy plac usiany był setkami sześć- i dwunastometrowych kontenerów, ustawionych po cztery w górę i siedem w głąb, zgodnie z przepisami portowymi. Ponad identycznymi metalowymi pudłami wznosiły się szynowe suwnice kontenerowe, które pozostawały w ciągłym ruchu, ustawiając skrzynie jedna za drugą na platformach ciężarówek podjeżdżających w niekończącej się procesji.

Vanderveen przeciął otwartą przestrzeń placu i podeszedł do trzech stojących obok szeregu kontenerów mężczyzn. Jeden z nich trzymał podkładkę pod dokumenty i styropianowy kubek z parującą kawą, a jego mundur wskazywał, że jest to kapitan z Virginia Port Authority.

Vanderveen przyjrzał się uważniej temu starszemu mężczyźnie o krótko przyciętych, szpakowatych włosach i twarzy pobrużdżonej zmarszczkami. Jego jasnoniebieskie oczy były nienatural-

nie przejrzyste. Vanderveen miał niemal stuprocentową pewność, że to dawny żołnierz piechoty morskiej, najprawdopodobniej podoficer wyższego stopnia.

- Przepraszam - powiedział w końcu, podchodząc bliżej. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, ale odczekał jeszcze chwilę, zanim poklepał kapitana po ramieniu. - Proszę pana.

Mężczyzna odwrócił się z poirytowaną miną.

- Tak, w czym mogę pomóc?

Vanderveen wysunął szczękę i zmrużył lekko oczy.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział, starając się nadać swojemu głosowi silny południowy akcent. Potem wyjął ze swojej teczki papiery i rzucił kapitanowi szczery, choć wcale nieprzepraszający uśmiech. - Chciałbym odebrać swój ładunek, ale nigdy dotąd nie korzystałem z tego terminalu. Czy mogę tu podjechać swoją furgonetką?

- Przykro mi synu, to niemożliwe - odparł mężczyzna, przeciągając lekko samogłoski i zamilkł na chwilę. - Zaraz, jedną sekundkę, to przesyłka drobnicowa?

- Tak jest, proszę pana.

- A to co innego. Może pozwolą tam wjechać własnym samochodem. Po drugiej stronie tego ogrodzenia jest droga dojazdowa do składu przesyłek drobnicowych - dodał, wskazując mającą w oddali bramę. - Pokaż im tylko swoje dokumenty i list przewozowy, a nie powinno być problemów.

- Dobra, dziękuję za pomoc. - Vanderveen skinął głową.

- Hej, gdzie mógłbym dostać kawę? - zapytał, wskazując na trzymany przez mężczyznę parujący kubek.

- Do diabła, synu, naprawdę wolałbyś tego nie próbować.

- Kapitan roześmiał się, a potem splunął głośno na ziemię. - Ta kawa smakuje jak gówno.

Dziesięć minut później Vanderveen podjechał wynajętą z U-Haul furgonetką do bramy prowadzącej na mniejszy plac, gdzie składowano przesyłki drobnicowe, czyli towary, które nie wymagały przy eksporcie korzystania z całego kontenera. Dzięki temu mniejsze firmy mogły zaoszczędzić na kosztach wysyłki.

Ale było to użyteczne narzędzie także dla osób parających się nieco innymi zajęciami.

- Pomóc w czymś? - Strażnik wytknął głowę przez przesuwane okienko, gdy tylko samochód zatrzymał się pod portiernią.

- Chciałem odebrać parę skrzynek. - Vanderveen natychmiast wczuł się z powrotem w swoją rolę. - Tu jest moje prawo jazdy, proszę bardzo.

- Muszę jeszcze zobaczyć świadectwo ładunkowe.

- Nie mam czegoś takiego, stary. - Vanderveen zmarszczył brwi. - Dostałem tylko list przewozowy. Powiedzieli mi, że to wystarczy.

- Jasne, może być. Proszę pokazać.

Uspokojony, że wszystko jest w porządku, strażnik odwrócił się w stronę komputera i sprawdził coś w systemie zarządzania terminalu. Potem oddał Vanderveenowi prawo jazdy i list przewozowy, oba dokumenty opiewające na nazwisko Timothy Nichols.

- W porządku, proszę pana. Pańska przesyłka przeszła już przez odprawę celną. Może pan odebrać skrzynie w magazynie numer trzy, ale nie wolno tu wjeżdżać prywatnymi samochodami.

- Daj spokój, człowieku - mruknął Vanderveen przymiłnym tonem. - Jak inaczej mam zabrać stąd mój ładunek?

Strażnik pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wiem. Niczego się tu nie można dowiedzieć. Ciągłe tak się dzieje. - Krótka chwila wahania. - Wie pan co? Niech pan jedzie... Załatwię to.

- Kurczę, naprawdę strasznie dziękuję. - Vanderveen rzucił rozmówcy pełne ulgi spojrzenie. - To jak, cały czas prosto?

- Zgadza się. Trzeba minąć dwa rzędy, a potem skręcić w lewo. Nie można przegapić.

- Dobra, dzięki. - Kiedy cienki drewniany szlaban podniósł się do góry, Vanderveen wjechał na teren i ruszył dalej zgodnie ze wskazówkami strażnika, dopóki nie dotarł do właściwego magazynu. Zatrzymawszy furgonetkę tuż obok ogromnej metalowej konstrukcji, wyskoczył z kabiny, a potem ruszył wolnym krokiem do jasno oświetlonego wnętrza budynku.

Niemal natychmiast podeszła do niego przysadzista kobieta w średnim wieku. Miała zmarszczone gniewnie brwi i kask na głowie. Vanderveen zmierzył ją wzrokiem, zerkając przy okazji na identyfikator przypięty do jej czystej batystowej bluzki: Bobbie Walker, kierownik magazynu.

- Proszę pana, tu nie wolno wchodzić bez kasku. Mogę panu w czymś pomóc?

Kobieta najwyraźniej nie pochodziła z południa, ale teraz nie mógł się już wycofać. Nie wiadomo, jak dobrze znała kapitana i strażnika.

- Przepraszam - powiedział ze smutnym uśmiechem, nadal pamiętając o akcencie. - Facet przy bramie kazał mi tu podjechać po odbiór moich skrzyń, ale nie mówił nic o kaskach.

- No cóż, nic się nie stało. - Kierowniczką magazynu rozpogodziła się odrobinę, po czym podeszła do stojącej niedaleko szafki i zdjęła z niej kask. - Proszę to założyć. Dobrze, ma pan przy sobie dokumenty, panie...?

- Nichols, proszę pani, Tim Nichols. Oczywiście, mam.

Wręczył jej swoje prawo jazdy i list przewozowy. Kobieta zmarszczyła lekko brwi, zastanawiając się nad tym nazwiskiem, w końcu nie zdołała go jednak skojarzyć.

Ruszyli w głąb magazynu, mijając ogromne sterty aluminiowych dźwigarów i bele masy celulozowej. Walker sprawdzała kolejne numery ze swoją listą, aż wreszcie zatrzymała się przed stosem małych drewnianych skrzyń.

- Proszę bardzo: czterdzieści skrzyń, każda po trzydzieści pięć kilogramów. Ciężki ładunek. - zauważyła, a potem rzuciła mu zaciekawione spojrzenie. - Co pan tam ma?

- Jakiś sprzęt komputerowy, o ile wiem. - To kłamstwo przyszło mu bez trudu. - Tak naprawdę to nie mam zielonego pojęcia. Firma wpisuje do papierów moje nazwisko, bo tak im wygodniej. Robię tylko to, co mi każą, pani Walker. Ani mniej, ani więcej.

- To mnie wcale nie dziwi, panie Nichols. - Kobieta roześmiała się, a jej małe niebieskie oczy zalśniły rozbawieniem. - Każdy ma nad sobą jakiegoś szefa.

Vanderveen rozejrzał się po magazynie. Wydawało mu się, że nikt ich nie obserwuje, ale w końcu ci faceci nie trafiają do tej pracy, dlatego że rzucają się w oczy. Jeśli go namierzeli, w ciągu najbliższych kilku minut wykonają jakiś ruch.

- Czyli celnicy już ze mną skończyli, tak? - Zapytał niby mimochodem, jednak uważnie śledził reakcję kobiety.

- Ta, zwykle przeprowadzają tylko wrywkową kontrolę.

- To znaczy, że nie otwierali skrzyń? - *Będzie próbowała cię okłamać. Jeżeli skłamię, zabij ją. Masz ze sobą nóż?* Jego dłoń przesunęła się bezwiednie w stronę wiszącego u paska przedmiotu. *W porządku, jest. Użyj go teraz. Teraz. TERAZ TERAZ TERAZ TERAZ TERAZ.*

Kobieta potrząsnęła głową. Vanderveen powtórzył ten ruch, choć z zupełnie innych powodów.

- Ostatnio panuje tu istne szaleństwo z powodu tego alarmu terrorystycznego i w ogóle. Po całym terminalu kręcą się ludzie z inspekcji pracy i urzędu celnego. Moim zdaniem stwarzają więcej problemów, niż ich rozwiązują. No, ale nami zbytnio się nie przejmują. Przyglądają się głównie kontenerom do przewozu suchej masówki i tym otwartym z góry na piersie numer dwa. Rząd nie ma dosyć czasu, żeby sprawdzać wszystko, co przechodzi przez nasze małe podwórko.

Zabrzmiało to szczerze. Vanderveen odetchnął z ulgą, a potem przytaknął jej skinieniem głowy.

- To prawda, zawsze są z nimi same kłopoty. Myśli pani, że mógłbym tu podjechać moją furgonetką i załadować to wszystko? Zajmie mi to najwyżej dwadzieścia minut.

- No nie wiem... - Kobieta nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- To wbrew naszym zasadom.

- Proszę, niech się pani zgodzi. - Kolejny uśmiech. - Myśli pani, że nie potrafię poznać kobitki, która wszystkim rządzi, kiedy się na nią natknę? Do diabła, przecież w końcu to pani ustala tu zasady, zgadza się? Jeśli już ktoś ma je złamać, to równie dobrze może to być pani.

Bobbie Walker dotknęła jego ramienia, rumieniąc się przy tym lekko.

- Niezły z pana czaruś, to muszę panu przyznać. W porządku, proszę tu podjechać. Daję panu dwadzieścia minut, nie więcej. Jasne?

- Wpadnę i wypadnę, zanim w ogóle zdąży się pani zorientować.

Jego rozmówczyni zaśmiała się, niczym nastolatka, z takiego doboru słów.

- Nie sądzę, panie Nichols. - Jej twarz była teraz purpurowa.

- Naprawdę, szczerze w to wątpię.

Dwadzieścia pięć minut później Vanderveen wyjechał za bramę. W uchwycie na napoje obok niego znajdowała się teraz schłodzona puszka coli, prezent pożegnalny od zarumienionej Bobbie Walker. Skinął ręką strażnikowi przy szlabanie i opuścił Terminal Boulevard, skręcając w prawo w Hampton z uśmiechem na twarzy i 1300 kilogramami semtexu H w ładowni swojej wynajętej furgonetki.

Jeszcze tylko osiem dni, pomyślał. Za osiem dni odmieni cały świat.

David Brenneman patrzył na skąpane w deszczu ogrody, rozciągające się za oknem Błękitnego Pokoju. Siedział w prostym krześle, niespiesznie sącząc gorącą kawę z delikatnej porcelanowej filiżanki. Choć raz miał dla siebie odrobinę czasu i wykorzystał tę chwilę samotności, żeby podziwiać piękno swego otoczenia.

Wiedział, że wielu jego poprzedników z czasem czuło się znużonych uroczystą atmosferą ogromnej rezydencji, przypominającej ich zdaniem bardziej muzeum niż dom, ale jego samego coraz bardziej fascynowała historia tego miejsca. Błękitny Pokój zdecydowanie należał do jego ulubionych sal - obszerne, owalne pomieszczenie, z którego roztaczał się rozległy widok na południowy trawnik. Pośrodku szafirowego dywanu stał zakupiony w 1817 roku przez Jamesa Monroe stół z marmurowym blatem, a nad nim zwisał ogromny francuski żyrandol pochodzący z początków dziewiętnastego wieku. Brenneman przymknął oczy, z przyjemnością wsłuchując się w niezakłócony żadnymi innymi dźwiękami stukot kropeł deszczu o szyby.

Ta krótka chwila oddechu cieszyłaby go wiele bardziej, gdyby nie musiał się już zajmować problemami gromadzącymi się nad jego głową.

Tydzień temu zajmująca się materiałami wybuchowymi jednostka FBI zakończyła analizę pozostałości zebranych z miejsca eksplozji w Kennedy-Warren. Jak się okazało, w zamachu użyto pochodzącego z Czech semtexu H. Kiedy jeszcze niezależne laboratorium potwierdziło te ustalenia, stało się jasne, że główny ładunek został do kraju przemycony, a to stawiało pod ostrzałem krytyki przede wszystkim Urząd Cel.

Oczywiście, sporo winy spadało również na niego jako człowieka, który sprawował nad tym wszystkim władzę. Jego

poparcie w sondażach spadło o sześć punktów w przeciągu tego tygodnia, a lider większości parlamentarnej w Senacie zaczął ponoć przebąkiwać o wycofaniu poparcia dla obecnego prezydenta w nadchodzących wyborach. Brenneman podejrzewał, że w tych plotkach kryje się sporo prawdy, był tylko zaskoczony, a jednocześnie rozwścieczony tempem, w jakim jego własna partia odrzuciła jego szanse na reelekcję.

Z zamyślenia wyrwało go nagłe pojawienie się agenta Secret Service.

- Przepraszam, panie prezydencie. Przyszedł dyrektor Harper.
- Dzięki, Dan. - Brenneman skinął z roztargnieniem dłonią.
- Możesz go poprosić. Aha, zadzwoń jeszcze do kuchni i powiedz, żeby przysłali więcej kawy, dobrze?

- Oczywiście, panie prezydencie.

Agent wycofał się z pokoju, a po chwili zjawił się Harper.

- John, dobrze cię widzieć. - Brenneman wstał, żeby powitać gościa. - Co słychać u Julie?

- Wszystko w porządku, panie prezydencie, dziękuję. - Harper ciągle jeszcze nie mógł się nadziwić niewiarygodnej pamięci tego człowieka, podobnie jak jego uprzejmości, niezwyklej zwłaszcza w obliczu stresu, w jakim się teraz znajdował.

- Siadaj. - Brenneman wskazał mu krzesło naprzeciwko siebie, a potem zerknął na zegarek. - Mam spotkanie z Pattersonem z Ministerstwa Finansów, ale mogę ci poświęcić najbliższych dwadzieścia minut.

- W takim razie przejdę od razu do rzeczy - powiedział Harper, sadowiac się na mahoniowym krześle. - Zna pan akta dotyczące Jasona Marcha? - W odpowiedzi uzyskał krótkie skinięcie głowy. - W takim razie wie pan, że March to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Dwójka naszych agentów wróciła właśnie z Pretorii, gdzie udało się im ustalić jego tożsamość.

- I? - Zaciekawiony prezydent pochylił się lekko do przodu.

- Naprawdę nazywa się William Paulin Vanderveen. Obywatel RPA, trzydzieści jeden lat. - Harper wręczył mu teczkę z informacjami, a Brenneman natychmiast zabrał się do jej przeglądania. Pierwszą rzeczą, która wpadła mu w oko, były zdjęcia. - Tamtejsze władze są przekonane, że Vanderveen ponosi odpowiedzialność za zabójstwo niejakiego Josepha Sobukwe z 1975 roku.

Vanderveen miał wtedy jedenaście lat. Jego siostra również zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, chociaż z tą sprawą nigdy oficjalnie go nie łączono.

- Jezu Chryste. - Brenneman odchylił się do tyłu, pochłonięty lekturą dokumentów. W przeciągu kilku minut miał już pełen obraz sytuacji: Francis Vanderveen, generał wojsk RPA, jeszcze bezwzględniejszy niż polityka, którą egzekwował; William, genialny, niemający rozeznania syn generała, całkowicie oddany ojcu; złamana obietnica amerykańskich pieniędzy i wsparcia; katastrofa helikoptera zamieniającego się w kulę ognia pewnego ciepłego grudniowego poranka. Zatopiony w papierach prezydent nawet nie zwrócił uwagi na filipińskiego stewarda, który wsunął się do pokoju i nalał kawę ze srebrnego dzbanka. W pokoju panowała cisza, dopóki za służącym nie zamknęły się drzwi.

- Tak więc ten człowiek, William Vanderveen, wini nas za to, co się przydarzyło jego rodzinie, zgadza się?

- Na to wygląda, panie prezydencie. W RPA znaleźliśmy dowody - pewne listy - które sugerują, że William sporo wiedział o antypatii, jaką żywił wobec nas generał podczas ostatnich dni kampanii w Angoli. Poza tym jest jeszcze sprawa śmierci jego siostry i późniejsze samobójstwo matki... Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby domyślić się, jaki wpływ mogło mieć na niego to wszystko.

- A my go wyszkoliliśmy.

- Dokładnie.

- Jezu Chryste. - Brenneman poruszył się niespokojnie na krześle i zamknął teczkę. - Tak więc z czym mamy tu twoim zdaniem do czynienia, John? Jak możemy wykorzystać te informacje?

- Panie prezydencie, szczerze mówiąc, takie rzeczy mogą się nam przydać do podparcia oskarżenia przeciwko niemu, kiedy już zostanie złapany, ale to właściwie jedyna korzyść. Moim zdaniem istnieje logiczne wytłumaczenie, dlaczego ministerstwo transportu nie może niczego znaleźć, jeśli chodzi o taśmy z podglądu na lotniskach. Vanderveen najprawdopodobniej posługuje się co najmniej dwoma fałszywymi nazwiskami, z niebudzącymi żadnych wątpliwości kompletami dokumentów, pochodzącą od prawa jazdy po akt urodzenia. Tylko tak można wyjaśnić łatwość, z jaką wjeżdża do kraju i go opuszcza.

Kiwając powoli głową, prezydent sięgnął po swoją filiżankę.

- Zapewne słyszałeś już, że niektórzy z moich doradców naciskają na mnie, żebym ponownie rozważył możliwość militarnego rozwiązania. Ich zdaniem związek Teheranu z tymi zamachami jest na tyle wyraźny, że usprawiedliwia naloty.
- Panie prezydencie - Harper rozłożył ręce - wiemy, kto jest bezpośrednio odpowiedzialny za te ataki. Ale Vanderveen z całą pewnością nie ukrywa się w żadnym z obozów szkoleniowych, bo to byłoby...
- W takim razie gdzie on jest? - przerwał mu Brenneman.
- Co mówią twoi ludzie? Ten, jak mu tam... - rozejrzał się w poszukiwaniu teczki - Kealey, zgadza się?
- Tak jest. To właśnie jeden z dwójki agentów zajmujących się tą sprawą.
- Jakie jest jego zdanie?
- Tak więc, Kealey uważa...

Brenneman uniósł brew.

- Do rzeczy, John.
- Jego zdaniem Vanderveen szykuje zamach na pana.

Odgłos deszczu uderzającego o szyby był teraz jedynym dźwiękiem, jaki wypełniał pokój. Prezydent poprawił się na swoim krześle, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- Można wiedzieć, jak doszedł do takiego wniosku?

Harper zawahał się znowu.

- Jak dotąd Vanderveen nie popełnił żadnego błędu. Zdaniem Kealeya teraz będzie mierzył znacznie wyżej.
- To wszystko? - Brenneman nie krył sceptycyzmu.
- Nie, panie prezydencie - zapewnił Harper, po czym opowiedział mu o ostatnich słowach Graya i zbieżności faktów, którą podkreślił Ryan podczas ich niedawnego spotkania z dyrektorem Andrewsem.
- Gdzie jest teraz Kealey?
- Coś mu wypadło i musiał się tym zająć jeszcze dzisiaj. Naomi Kharnai, jedyna poza nim agentka bezpośrednio zaangażowana w to śledztwo, jest razem z nim, o ile się nie mylę.

Brenneman zignorował tę wymijającą odpowiedź.

- A czego konkretnie oczekujesz ode mnie, John?
- Panie prezydencie, nad sprawą pracują moi najlepsi ludzie, współpracujemy też z FBI. Naprawdę to tylko sprawa czasu, ale

wszelkie zmiany, które mogłyby zmniejszyć bezpośrednie zagrożenie pańskiej osoby byłyby...

- Chcesz, żebym się przyczaił w jakiejś mysiej dziurze, o to chodzi?

Harper zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, niepewny reakcji swojego rozmówcy.

- Uważam, podobnie zresztą jak dyrektor Andrews, że jako środek zapobiegawczy, byłoby mądrym posunięciem odwołać wszystkie imprezy wyższego szczebla na kilka najbliższych tygodni. Zwłaszcza te, których szczegóły zostały już ujawnione przez rzecznika prasowego Białego Domu.

- Jeśli dobrze cię zrozumiałem, w głównej mierze opierasz się na przeczuciach tego Kealeya. Musisz pokładać w nim ogromną wiarę.

Harper pochylił się lekko na krześle. Wyczuwał, że sprawa jest już przegrana, ale nie zamierzał poddawać się bez walki.

- Panie prezydencie, w przeciągu kilku ostatnich tygodni Ryan Kealey kilkakrotnie ryzykował życie, tropiąc Williama Vanderveena. Znam go od ośmiu lat i ufam jego osądowi. Tylko dzięki niemu i tej drugiej agentce, Kharmai, poznaliśmy nazwisko tego człowieka. Proszę mi wierzyć, zdaję sobie sprawę, że w tej chwili mamy niewiele, ale posuwamy się dalej, a zagrożenie jest jak najbardziej realne. Vanderveen może liczyć na poważne wsparcie i finansową pomoc ze strony Al-Kaidy, a poza tym istnieją poważne dowody na to, że w sprawę są zamieszani także Irańczycy, którzy mają wyraźny motyw. Kealey zna tego człowieka i stanowi naszą największą szansę na jego schwytanie. Jeżeli spojrzeć na to z tej strony to chyba nie prosimy o zbyt wiele. Nie trzeba nawet ujawniać prasie powodu zmiany pańskich planów.

Brenneman pogładził brzeg filiżanki, zapatrzony w przetaczające się nad ogrodami deszczowe chmury.

- John, szanuję twoje zdanie... - odezwał się w końcu po upływie paru minut. - Zawsze tak było. Nic, co właśnie powiedziałeś, nie podważyło tej opinii. Jednak nie mogę sobie pozwolić na zmianę rozkładu zajęć bez jakiegoś konkretniejszego argumentu. Nie chodzi mi o udowadnianie czegokolwiek, to naprawdę nie jest lekkomyślne silenie się na męstwo. Na początku

przyszłego tygodnia przyjeżdżają prezydent Chirac i premier Berlusconi. Jeżeli uda się nam osiągnąć porozumienie w sprawie rekompensaty za utracone kontrakty naftowe, istnieje spora szansa, że to spotkanie zaowocuje likwidacją programu jądrowego Iranu bez konieczności amerykańskiej interwencji wojskowej w tamtym regionie. - Brenneman zrobił krótką przerwę. - To będzie historyczne wydarzenie, John, najlepsza rzecz, jaką zrobiłem w ciągu czterech lat sprawowania urzędu. Dlatego nie odwołam tego spotkania bez dobrego uzasadnienia.

Prezydent wstał, dając tym samym znak, że rozmowa dobiegła końca. Harper natychmiast zerwał się z krzesła. Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się w milczeniu wzrokiem, podczas gdy deszcz spływał po szybach ogromnych okien.

- Przykro mi, że takie jest pańskie zdanie, panie prezydencie, szanuję jednak tę decyzję.

Brenneman uściśnął mocno dłoń swojego rozmówcy, myśląc jednocześnie o stalowych prętach sterczących z ruin rozerwanego budynku Kennedy-Warren, a potem o zmiażdżonych wrakach samochodów, które niecały miesiąc temu ciągnęły się wzdłuż Independence Avenue.

- Chcę, żebyś znalazł tego łajdaka, John - powiedział cicho, choć nie potrafił już ukryć gniewu, przebijającego przez jego opanowanie. - Znajdź go i zabij.

- Ma pan na to moje słowo, panie prezydencie.

ALEXANDRIA, WIRGINIA

Zapadł już wczesny wieczór, kiedy Ryan dotarł wreszcie na parking przy więzieniu Alexandria Detention Center, po ciężkiej walce, jaką okazała się jazda autostradą międzystanową 95 w godzinach szczytu. Zamknął samochód i ruszył w stronę wejścia. Adam North czekał już na schodach, paląc sobie spokojnie papierosa. Na jego widok uśmiechnął się szeroko.

- Najwyższa pora, do cholery - mruknął, wyciągając na powitanie dłoń. - Co się stało?

- Ruch na drogach jest tu po prostu koszmarny. Nie wiem, jak ludzie sobie radzą z tym na co dzień.

- Hej, to w mieście zarabia się pieniądze. Człowiek zniesie wszystko, byle tylko co parę tygodni dostać wypłatę. Słuchaj, mam złe wieści.

- Mów.

- Elgin znalazł sobie adwokata i postanowił skorzystać z prawa do odmowy składania obciążających go zeznań.

- Powiniennem być to przewidzieć. obrońca z urzędu, tak?

North zaciągnął się po raz ostatni papierosem, a potem wyrzucił niedopałek do rynsztoka.

- Nie, jakimś cudem zdołał zatrudnić kogoś przyzwoitego, pewnie za najmniejszą z możliwych zaliczkę. Jego konta bankowe zostały zamrożone, ale założę się, że obrońca jeszcze nie wie o tej drobnostce. - North zamilkł na chwilę i odwrócił twarz w stronę przyćmionego światła, wdychając wilgotne, ciężkie powietrze. - Władze działają naprawdę szybko w tej sprawie. Facet został już postawiony w stan oskarżenia z trzema zarzutami

federalnymi. Zmowa w celu pozbawiania życia obywateli amerykańskich znajduje się na czele listy. Może gdyby się tak nie spieszyli... Nie wiem. Zresztą to nie ma znaczenia. Teraz facet nie porozmawia już z tobą sam na sam. Chcesz to na razie zostawić? Może uda nam się zawrzeć z nim jakiś układ.

- Nie mamy na to czasu, Adam. Poza tym ten dupek przyłożył Naomi nóż do gardła. Powie nam wszystko, co wie tak czy inaczej, a potem może zgnić w więzieniu. Poza tym ile mu grozi za tę znowę? Dwadzieścia lat? Facet będzie miał szczęście, jeśli doczeka pierwszego dnia wyroku, chyba że zgodzi się współpracować.

W przypadku większości ludzi North uznałby te słowa po prostu za czczą pogrózkę, ale dobrze pamiętał krzyki Elgina dobiegające z tamtego ciemnego magazynku na tyłach baru.

- A tak w ogóle to gdzie ona jest?

- Naomi? Powiedziałem jej, że spotkanie przesunęło się o parę dni. Oby tylko się nie połapała, dopóki nie będzie po wszystkim.

- Nie chciałbym widzieć jej w momencie, kiedy się o tym dowie... - Niepokój malujący się na twarzy potężnego agenta DEA ustąpił miejsca lekkiemu uśmiechowi.

Ryan zauważył tę celową zmianę tematu, natychmiast wyczuwając dręczące Northa obawy.

- Słuchaj, widziałeś kartotekę Elgina, prawda? - Jego towarzysz skinął z wahaniem głową. - Ten facet zgwałcił trzynastoletnią dziewczynkę, tak? Nie wspominając już o tym, że mógł zapobiec śmierci tych dziewięćdziesięciu dwóch osób, które zginęły w Kennedy-Warren. Pomyśl o tym, Adam. Dziewięćdziesiąt dwie ofiary, zrujnowane życie setek ludzi, a wszystko po to, żeby Elgin mógł zainkasować... ile tego było? Góra kilka tysięcy dolarów? On nie zasługuje na współczucie, zwłaszcza z naszej strony.

Poproszono ich o pozostawienie broni w depozycie. North posłusznie oddał swojego glocka, natomiast Kealey potrząsnął tylko głową i pokazał puste ręce. Potem przeszli przez wykrywacz metalu, North wpisał się do dziennika odwiedzin, podczas gdy jego towarzysz przyglądał się temu beznamiętnie i to właściwie wszystkie formalności, chociaż Kealey musiał jeszcze okazać

dowód tożsamości, żeby otrzymać tymczasową przepustkę gościa. To był jedyny warunek, jaki postawił Ryan, a jego przełożony wyraził zgodę. Dzięki temu nie pozostanie żaden ślad wizyty Ryana Kealeya w więzieniu.

Zastanawiał się tylko, czy Harper zdał już sobie sprawę z własnego błędu. Żeby można było oskarżyć Ryana o jakikolwiek nieszczęśliwy wypadek, który mógł się przydarzyć Thomasowi Elginowi, musiałby istnieć oficjalny zapis jego odwiedzin w areszcie.

Wnętrze budynku zupełnie nie odpowiadało jego wyobrażeniom. Większość ścian była pomalowana na jasnoniebieski kolor, a podłogi pokrywała tania, niezbyt wyszukana, ale jednak wykładzina. Ryan pomyślał, że to dosyć nietypowy widok jak na więzienie. Ale najbardziej zaskakujący okazał się całkowity brak hałasu. Uświadomił to sobie dopiero po chwili, właśnie dlatego że różnica była tak oczywista.

North zauważył jego zaskoczenie.

- Dlatego właśnie nazywają to więzieniem „nowej generacji”. Wszystko jest sterowane z jednego centrum dowodzenia, a strażnicy poruszają się swobodnie pomiędzy więźniami. Osadzeni, którzy zachowują się zbyt głośno albo próbują wszczynać bójki są natychmiast odizolowywani, a kwestia tłumienia hałasu została wzięta pod uwagę już przy wyborze materiałów budowlanych.

- Zdaje się, że to dosyć droga zabawa - zauważył Ryan.

- Ale pewnie korzyści przewyższają koszty. W każdym razie, nie wiem, czy orientujesz się w kwestii zarządu więzień federalnych, ale Elgin trafił już do systemu CIM. Domyślałem się, że w końcu do tego dojdzie, ale...

- Chwileczkę, chyba będziesz musiał jednak mi to wytłumaczyć.

Przechodzili właśnie przez sporą salę z drewnianymi stołami i wyglądającymi na całkiem wygodne fotelami. Kilku pochłoniętych meczem koszykówki więźniów tłoczyło się wokół ściszonego telewizora, podczas gdy strażnik obserwował ich ze znudzoną miną. Ryan był zaskoczony jego swobodną postawą, a poza tym ciągle nie mógł się nadziwić rozluźnionej atmosferze, jaka panowała w całym budynku.

W końcu skupił jednak z powrotem całą uwagę na rozmówcy.

- CIM to skrót od Central Inmate Monitoring System, centralny system monitorowania więźniów prowadzony przez władze federalne. Rejestruje się w nim także więźniów dopiero oczekujących na proces, a Elgin trafił do niego ze względu na rozgłos, jaki zyskała w mediach jego sprawa.

- Mam nadzieję, że nie może liczyć z tego powodu na specjalne traktowanie. - Kealey zmarszczył lekko brwi, ale North potrząsnął przecząco głową.

- Nic z tych rzeczy. Ale zwracają na niego specjalną *uwagę*. Właśnie o tym mówię... Nie mogę zagwarantować, że zostaniesz z nim w pokoju przesłuchań sam na sam.

Ryan rzucił mu uważne spojrzenie.

- Nie poradzę sobie bez twojej pomocy, Adam. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał jeszcze, tym razem znacznie ciszej:

- Przechodząc do sedna, najważniejsze żebyś trzymał język za zębami, kiedy będzie po wszystkim, ale o tym już rozmawialiśmy. Jeżeli chcesz się wycofać, powiedz wprost.

Ton jego głosu nie pozostawiał jednak żadnych wątpliwości, że wycofanie się nie wchodzi już teraz w grę.

- Wprowadzę cię do niego - zapewnił North.

- Świetnie. - Ryan uśmiechnął się z ulgą.

Zostali wpuszczeni przez elektronicznie otwierane drzwi, prowadzące do centrum dowodzenia, a zaraz potem podszedł do nich komendant straży więziennej, wyciągając na powitanie wielką dłoń.

- Louis Jackson, miło mi panów poznać. - Jackson był potężnym, czarnoskórym mężczyzną, na oko dobiegającym pięćdziesiątki, o łysej głowie, która lśniła w przyćmionym świetle zalewającym pomieszczenie. Pomimo wieku jego ciało, opięte starannie wyprasowanym mundurem, emanowało ogromną siłą, choć Ryan wcale nie musiał na niego patrzeć, żeby się tego domyślić. Dłoń nadal bolała go od mocnego uścisku komendanta.

- Prawdziwa, z was grube ryby, panowie - mruknął Jackson niskim głosem. - Dzisiaj rano dzwonił do mnie Harper z Langley, a potem jeszcze Nance z DEA. W obu przypadkach usłyszałem, gdzie będę mógł szukać swoich jaj, jeżeli nie wpuszczę was do Elgina.

North zachichotał przyjaźnie.

- Nie chcemy panu sprawiać kłopotów. Proszę mi wierzyć, gdyby wszystko poszło po naszej myśli, w ogóle nie musielibyśmy teraz rozmawiać z tym sukinsynem.

- Zgadza się, to faktycznie kawał sukinsyna - Jackson zawtórował mu śmiechem, szybko jednak spowaźniał. - Ale jest także powszechnie znanym więźniem, który przebywa pod moim dachem, a jego obrona może mi narobić problemów. Ta prawniczka jest jeszcze bardziej wkurzająca niż Elgin, ale zna się na swojej robocie.

- Prawniczka? - zdziwił się Kealey. *Dlaczego kobieta zgodziła się w ogóle reprezentować Elgina?* - Kto to jest?

- Nazywa się Alex Harris - wyjaśnił Jackson. - Nie pierwszy raz mam z nią do czynienia. Babka prowadzi niewielką kancelarię w Richmond i ma naprawdę imponujące osiągnięcia. Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony, że Elgin okazał się na tyle sprytny, żeby ją zatrudnić - dodał, a potem pokiwał im ostrzegawczo palcem. - W każdym razie sytuacja przedstawia się następująco: miło mi tu panów gościć, ale jeżeli ta Harris zacznie mi robić koło dupy tylko dlatego, że wy dwaj coś spieprzyliście, mój stosunek do was zmieni się naprawdę szybko. Żeby wszystko było jasne.

North i Kealey pokiwali głowami pojednawczo, podczas gdy Jackson przywołał ruchem dłoni stojącego przy drzwiach strażnika.

- To jest Matthews. Zaprowadzi was, chłopcy, do pokoju, który przygotowaliśmy na potrzeby tego miłego przedsięwzięcia, a potem zaczeka na zewnątrz, kiedy będziecie rozmawiać z więźniem.

Ryan nie życzył sobie obecności strażnika, wyczuwał jednak, że chęć współpracy ze strony Jacksona jest niewielka. A już konkretniej, dowódca straży wyglądał tak, jakby nie miał nic przeciwko zignorowaniu rozkazów swoich przełożonych. Ryan wolał nie przeciągać struny.

Widział, że Northa też to niepokoi, dlatego rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Dziękujemy, poruczniku. Załatwimy to szybko.

Kiedy szli kilka kroków za strażnikiem, Ryan zauważył, że wyraz troski nie znika z twarzy Northa.

- Wiem - mruknął cicho, pochylając się w jego stronę - to nie jest idealny układ, ale postaraj się stamtąd wywabić tę prawniczkę, Adam.

- Jak ty to sobie wyobrażasz, do cholery? Dokąd mam...

- Po prostu ją stamtąd wyciągnij. I to jak najszybciej.

Zatrzymali się przy nieoznakowanych stalowych drzwiach z niewielkim okienkiem z pleksiglasu.

- W porządku, panowie - powiedział strażnik, odwracając się w ich stronę. - Powiedziano mi...

- Zaczekajcie chwileczkę, Matthews - przerwał mu Ryan - tylko skombinuję sobie szybko jakąś kawę. Dla was też przynieść?

North potrząsnął głową, dyskretnie rzucając mu kolejne pytające spojrzenie, natomiast strażnik z wdzięcznością przyjął tę propozycję.

- Zaraz wracam. - Ryan ruszył korytarzem. Za jego plecami North zniknął właśnie w pokoju przesłuchań, podczas gdy Matthews zajął swoje stanowisko przed drzwiami.

- Nadal nie rozumiem, czemu ma służyć to spotkanie - powiedziała Alex Harris, wpatrując się gniewnie w Northa. Thomas Elgin siedział rozparty swobodnie na krześle, opierając splecione dłonie na swoim okazałym brzuchu i nawet nie starając się ukryć przyklejonego do twarzy lekceważącego uśmiešku.

Adam zignorował więźnia, całkowicie skupiony na Harris. Prawniczka była niezwykle atrakcyjną kobietą, mimo że robiła wszystko, co w jej mocy, żeby zamaskować swoją urodę. Jej wysiłki spęły jednak na niczym, bo chociaż była ubrana w workowaty szary kostium z długą spódnicą, zgrabne łydki dawały najlepsze świadectwo temu, co kryło się pod tym nieciekawym strojem. Poza tym miała lśniące kasztanowe włosy, niedbale zebrane do tyłu, i okulary, które ciągle zsuwały jej się na czubek długiego nosa. Grube szkła nie były jednak w stanie przesłonić jej jasnoniebieskich oczu, ani gniewu, który w nich teraz płonął.

- Na co się pan tak patrzy?

- Na nic - odparł North z lekkim uśmiechem.

- Zapewne wie już pan, agencie North, że nasza propozycja złożenia zeznań przez mojego klienta została odrzucona, więc jeśli nie...

- Naprawdę spodziewała się pani, że prokurator federalny przyzna mu nietykalność w zamian za informacje, które mogą, ale nie muszą, doprowadzić do kolejnych aresztowań? - zapytał North. Życzliwy uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca nieruchomemu spojrzeniu, które zwykle zmuszało ludzi do milczenia. Ku jego zaskoczeniu nie spieszyło jednak nawet odrobinę doświadczonej prawniczki. - To znaczy, nie możemy o tym zapominać. Ta oferta nie została złożona dobrowolnie. Naszym zdaniem pani klient poważnie naraża szanse na zawarcie jakiegokolwiek ugody poprzez zatajanie informacji.

- Hej, stary...

- Zamknij się, Thomas. - Harris podniosła ostrzegawczo dłoń, uciszając swojego klienta, zanim w ogóle zaczął mówić, a potem popatrzyła rozmówcy prosto w oczy, wpatrujące się w nią badawczo. Żadne z nich nie odzywało się przez dłuższą chwilę.

- Pani Harris, możemy porozmawiać na osobności? - North przerwał w końcu milczenie.

Prawniczka potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Mój klient ma prawo usłyszeć wszystko, co pan powie.

- W takim razie - powiedział North, zrywając się z krzesła i ruszając w stronę drzwi - będę zmuszony przekazać prokuratorowi, że pani „klient” po raz kolejny odmówił współpracy przy tym śledztwie. Jeśli dąży pani do ugody, to proszę się przygotować na długą walkę.

- Chwileczkę, agencie North - zawołała prawniczka, kiedy zdążył już wyjść z pokoju, a chwilę później dołączyła do niego na korytarzu, ostentacyjnie zamykając za sobą drzwi. - Do mojego powrotu nikt nie ma prawa wejść do tego pomieszczenia ani go opuścić - zwróciła się do strażnika. - Czy to jasne?

- Tak jest, proszę pani... Nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać.

Usatysfakcjonowana odpowiedzią Alex Harris ruszyła w stronę sali dla odwiedzających z Adamem Northem podążającym niechętnie za nią.

Po prawie pięciu minutach błądzenia po korytarzach Ryan wreszcie znalazł to, czego szukał.

Biuro rejestracji miało kształt półokręgu z wysokim kontuarem zwróconym w stronę holu, mocno przypominając typową hotelową recepcję. Z boku stały cztery komputery i kilka telefonów, a za całym tym wyposażeniem znajdowały się otwarte teraz drzwi, natomiast nigdzie nie było widać strażnika pełniącego na tym stanowisku służbę.

Ryan pochylił się nad kontuarem i obrzucił uważnym spojrzeniem jeden z telefonów, bez pośpiechu czytając odręcznie wypisane oznaczenia przy każdym przycisku. Kiedy wreszcie odszukał właściwy guzik, zerknął jeszcze na wiszący na ścianie plan wyjść awaryjnych. Wyblakły papier dawał pewne pojęcie o rozkładzie pomieszczeń w budynku. Ryan nacisnął stosowny guzik i podniósł słuchawkę, kiedy interkom z trzaskiem zbudził się do życia.

- Funkcjonariusz Matthews zgłosi się natychmiast do działu przetwarzania danych. Funkcjonariusz Matthews do działu przetwarzania.

Matthews podniósł głowę i zmarszczył brwi, kiedy z głośników popłynęła rzucona krótko informacja. *Cholera...* Dział przetwarzania danych znajdował się po drugiej stronie budynku, a on nie miał kluczy od pokoju przesłuchań. Z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić na podpadnięcie dowódcy straży. Jackson już i tak ukarał go naganą trzy tygodnie temu za to, co zrobił, czy też raczej czego nie zrobił, jeśli chodzi o przerwanie bójki w bloku mieszkalnym, w wyniku której jeden z więźniów został lekko ranny, a inny trafił do szpitala w krytycznym stanie.

Matthews starał się dokładnie rozważyć możliwe rozwiązania. Potężny agent DEA był teraz razem z prawniczką, a Elgin przecież nigdzie nie ucieknie w tych łańcuchach. Ale Jackson polecił mu pozostać na straży pod drzwiami pokoju przesłuchań, a niewykonanie rozkazu porucznika stanowiło zwykle podstawę do dyscyplinarnego zwolnienia.

Jednak Matthews wiedział także, że Jackson i szef działu przetwarzania danych co sobota grywają razem w koszykówkę w Arlington Mills. Taka wiedza na temat wzajemnych układów towarzyskich pośród zwierzchnictwa więzienia była bardzo pomocna w równoważeniu skutków jego własnej niekompetencji. Matthews zdawał sobie sprawę ze swojej niskiej pozycji w tutejszej hierarchii.

To przeważało sprawę. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby do jego akt trafiła kolejna kiepska opinia dotycząca przydatności do służby.

Niższy z agentów, ten spokojny, z czarnymi włosami i szarymi oczami, dawno wypadł mu z głowy.

Podjąwszy ostateczną decyzję, Matthews opuścił swoje stanowisko przy drzwiach i ruszył długim korytarzem.

- A tak konkretnie, to co można tutaj dostać?

- O czym chciał pan porozmawiać? - Harris niecierpliwiła się coraz bardziej, podczas gdy North mieszał powoli swoją kawę, odliczając w myślach sekundy.

- Pani Harris, oboje wiemy, że pani klienta czekają teraz naprawdę ciężkie chwile. Nawet jeśli jakimś cudem zdoła pani obalić zarzut dotyczący zмовы, nadal możemy go przyszpilić za dostarczenie materiałów Al-Kaidzie i napaść na agenta federalnego.

- To dla mnie żadna nowość, panie North. Do czego pan zmierza?

North odetchnął głęboko i wypił duży łyk kawy, zanim wreszcie odpowiedział.

- Zarzut o napaść jest nie do podważenia, zgadza się?

Osobiście złożę zeznania w tej sprawie, jeśli prokurator mnie wezwie. Do diabła, pewnie sam zaproponuję im swoją pomoc. Ale co do pozostałych zarzutów możemy negocjować. Wie pani oczywiście, kto jest głównym świadkiem przeciwko Elginowi?

Harris skinęła głową. Jej zniecierpliwienie zaczynało powoli ustępować miejsca lekkiemu zainteresowaniu.

- Pański informator.

- Zgadza się. To całkiem bystry facet, można na nim polegać w przeciwieństwie do większości ludzi, z którymi musimy zazwyczaj pracować. Moim zdaniem będzie doskonałym świadkiem. To znaczy, niewykluczone, że będzie miał kłopoty z pamięcią, jeżeli pani klient zdecyduje się z nami współpracować.

Alex Harris położyła ręce na stole w pojedynczym geście, dłońmi do góry.

- To dobry początek, ale jak dla mnie niewystarczający. Potrzebuję odwołania obciążających zeznań przez pańskiego

informatora i to na piśmie. Tylko pod tym warunkiem Elgin zgodzi się mówić.

North nie odpowiedział natychmiast, wykonując gorączkową pracę myślową. *Możesz się jeszcze bardzo zdziwić, moja pani. Twój chłoptaş zacznie śpiewać szybciej, niż ci się wydaje.* Jego oczy pobiegły bezwiednie w stronę wiszącego na ścianie zegara. Minęło pięć minut, odkąd wyszli z pokoju przesłuchań.

Nigdy jeszcze młodemu agentowi DEA pięć minut nie dłużyło się tak bardzo.

Ryan odchodził już od biurka, kiedy usłyszał za swoimi plecami wołanie.

- Proszę pana? Przepraszam... Co pan tutaj przed chwilą robił? - Szedł dalej przed siebie, więc tym razem głos przybrał na sile. - Proszę pana, proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Nie zatrzymując się, Ryan odwrócił głowę, choć tak naprawdę nie czuł niepokoju. Żądanie było kategoryczne, jednak w głosie czaiło się niezdecydowanie. Zresztą ton kobiety, która go zaczepiła, nie miał w sobie twardości typowej dla funkcjonariuszy od lat pracujących w więziennictwie.

- Jestem agentem federalnym. Proszę porozmawiać z Jacksonem, to jego polecenie.

Ryan uświadomił sobie, że ostatnie zdanie jest kompletnie bez sensu, ale odniosło pożądaną skuteczną reakcję. Zdezorientowana recepcjonistka patrzyła przez chwilę w ślad za nim zaniepokojonym wzrokiem, po czym w końcu sięgnęła po słuchawkę. Znała porucznika Jacksona, słyszała w kantine szeptane cicho plotki na temat jego legendarnego wybuchowego usposobienia. Po co niepokoić go bez potrzeby? Poza tym mężczyzna oddalający się korytarzem ewidentnie nie był więźniem.

Cóż złego mogło się stać?

Recepcjonistka odłożyła słuchawkę na widelki i usiadła przy biurku, zabierając się z powrotem do pracy.

Pokonawszy trzy korytarze i dwa zakręty, Ryan znalazł się ponownie przed pokojem przesłuchań. Odetchnął z ulgą, bo Matthews zniknął, a jednocześnie poczuł gwałtowny przyływ złości, głównie na samego siebie, kiedy uświadomił sobie, że

strażnik najprawdopodobniej zamknął drzwi na klucz, zanim opuścił swoje stanowisko.

Jeżeli to zrobił, wszystko na nic. Nie było czasu na grzebanie w zamku, bo najdalej za kilka minut korytarzem nadejdzie North w towarzystwie prawniczki albo Matthews zorientuje się, co zaszło i wróci tu z posiłkami. Gdyby tylko strażnik okazał się tak głupi, na jakiego wyglądał...

I tak rzeczywiście było. Kealey odetchnął z ulgą, kiedy klamka ustąpiła pod naciskiem jego dłoni.

Szybko otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Musi pani podejść do tego realistycznie - tłumaczył North, pochylony lekko nad stołem, wpatrując się uważnie w Alex Harris. - Nie da się załatwić wycofania wszystkich zeznań na piśmie, bo to przekładałoby się na całkowitą nietykalność w przypadku zarzutu o spisek *oraz* udzielenie pomocy międzynarodowej organizacji terrorystycznej.

- Sądziłam, że to właśnie pan oferuje - odparła ze złością prawniczka. - Oczekuje pan, że uwierzę panu na słowo i naklonię Elgina do wręczenia wam swojego zeznania? Na to pan liczy?

North wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Upłynęło siedem minut, a on mógł mieć tylko nadzieję, że Ryan działa naprawdę szybko.

- Pani Harris, czy wie pani, że Ministerstwo Finansów zamroziło konta pani klienta? - Na twarzy jego rozmówcy odbiło się zaskoczenie. Kobieta próbowała to ukryć, podnosząc do ust swój kubek i upijając duży łyk zimnej kawy. Sposób, w jaki się zaczerwieniła, upewnił go tylko, że ta informacja była dla niej zaskoczeniem. Postanowił docisnąć śrubę. - Nie mogła pani o tym wiedzieć, skoro decyzja nie została podjęta przez sędziego, który przewodniczy tej sprawie. Z tego, co słyszałem, prowadzi pani całkiem miłą, niewielką kancelarię. Jakoś nie wydaj mi się, żeby miała pani dużo czasu na prowadzenie spraw *pro publico bono*...

- Do czego pan zmierza? - Harris przerwała mu w pół zdania. Ton jej głosu odzwierciedlał narastający w niej gniew. - Sugeruje pan, że powinnam złożyć wniosek o wycofanie mnie z tej sprawy i przekazać ją jakiemuś obrońcy z urzędu, który dopiero co

skończył studia wieczorowe? Jeśli taki był pana plan, agencie North, to marnuje pan czas. Swój i mój.

Prawniczka zerwała się z krzesła i chwyciła swoją aktówkę, gniewnym ruchem popychając do góry okulary, znowu zsuwające się jej z nosa. Kiedy ruszyła do drzwi, North zawołał za nią po raz ostatni.

- W takim razie dlaczego go pani reprezentuje? - Kobieta przystanąła i odwróciła się w jego stronę. - Nie zarobi pani na tym żadnych pieniędzy, a ta sprawa to kiepski sposób na zdobycie reputacji świetnego obrońcy, bo faceta i tak czeka co najmniej dwadzieścia lat odsiadki, niezależnie od tego, jaką zawrzemy ugodę. - North zamilkł na moment, zastanawiając się, czy powinien zadać następne pytanie. Szybko jednak podjął decyzję, bo naprawdę interesowało go, co powie Harris. - Ma pani dostęp do jego kartoteki. Wie pani, co zrobił. Dlaczego chce pani, jako kobieta, pomagać komuś takiemu?

Kiedy w końcu uśmiechnęła się do niego, dostrzegł w jej oczach chłodną, obojętną inteligencję, która stanowiła odpowiedź, zanim jeszcze prawniczka otworzyła usta.

- Niech pan da spokój, agencie North. Przecież nie jest pan aż tak naiwny. Ten proces będzie najważniejszym tematem we wszystkich mediach aż do zapadnięcia wyroku. Dla takiego rozgłosu jestem gotowa poświęcić moje feministyczne sympatie, przynajmniej na razie. W końcu to nie dzięki zasadom dostaje się czas antenowy, prawda? - dodała i mrugnęła do niego, ni mniej, ni więcej, tylko *mrugnęła*, po czym okręciwszy się na pięcie wyszła z sali. North odchylił się na krześle. To by było na tyle. *Powodzenia, Ryan. Oby poszczęściło ci się bardziej niż mnie, stary.*

Zwłaszcza, jeśli będziesz miał z nią do czynienia.

Po wejściu do pokoju przesłuchań Ryan nie odezwał się słowem. Nie spojrzął nawet w kierunku Elgina. Natychmiast zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku, a potem zerknął jeszcze w prawy górny róg, czy pod sufitem nie ma kamery. Zobaczył tylko puste ściany, odwrócił się więc w stronę więźnia. Elgin zdążył już wstać z krzesła, próbując odsunąć się w najdalszy kąt pomieszczenia. Poruszał się niezdarnie z powodu

kajdanek na rękach i nogach, a jego ruchy utrudniała dodatkowo szyna na lewym kolanie, stanowiąca pamiątkę po ich ostatnim spotkaniu. Na jego twarzy nie było już nawet śladu po zadawanej minie, którą zastąpiła maska czystego przerażenia.

- *Co jest kurwa?! Co tu robisz, człowieku? Gdzie moja prawniczka?*

Kealey ruszył do przodu z zaskakującą szybkością, jednym kopnięciem odsuwając z drogi metalowe krzesło, zanim dopadł wreszcie więźnia. Błyskawiczny ruch prawej ręki i cios pięścią prosto w splot słoneczny. Kiedy zgięty w pół Elgin próbował złapać oddech, Ryan poderwał go w górę i przyparł do ściany, lewą dłonią chwytając za gardło i naciskając mocno na tchawicę.

- Nie mam więcej czasu na opieprzanie się, Tommy. Nie powiedziałeś mi całej prawdy, ale to się więcej nie powtórzy. Na tym liście przewozowym było jeszcze jedno nazwisko, zgadza się? A teraz grzecznie powiesz...

- *Nie wiem! Ja nic nie wiem, przysięgam!*

Kealey odsunął się odrobine, a potem napał całym ciężarem ciała na rannego, przyciskając go mocno do muru i zadając jednocześnie kolejny cios w brzuch. To uderzenie było znacznie słabsze niż poprzednie, bo Ryan starał się utrzymać mężczyznę w pozycji pionowej, nie zwalniając przy tym nacisku.

Ale to wystarczyło. Elgin stracił oddech i zaczął osuwać się na ziemię. Ryan puścił go i sięgnął ręką po ukryty pod kurtką przedmiot.

Elgin popatrzył na nóż rozszerzonymi z przerażenia oczami, próbując odchylić się jak najdalej od jego ostrza, co tylko ułatwiło zadanie Ryanowi. Błyskawicznie chwycił mężczyznę za tłuste włosy i pociągnął jego głowę do tyłu, odsłaniając gardło.

- Pamiętasz to? - zapytał, przysuwając ceramiczny nóż do wytrzeszczonych oczu Elgina. - Na pewno tak. Wiesz, to było z twojej strony fatalne posunięcie. Naprawdę mnie wkurzyłeś tym numerem. Ale i tak cię załatwiła, co? Zdaje się, że wcale nie jesteś taki twardy, jak ci się wydawało... Na tym liście przewozowym znajdowało się jeszcze jedno nazwisko, prawda? Inaczej przecież nie zniknęłoby z kapitanatu portu w NIT. Dam ci ostatnią szansę - *Jak brzmiało to nazwisko?*

Mężczyzna znowu potrząsnął rozpaczliwie głową. Ryan zacisnął mocniej palce na owiniętej taśmą rękojeści. Wiedział, że posuwa się za daleko, jednak przycisnął nóż do gardła Elgina, aż ostrze zagłębiło się w ciele. Na skórze pojawiła się cienka czerwona linia, a potem niewielkie strużki krwi zaczęły spływać w dół, gromadząc się na chłodnych kafelkach podłogi. Elgin próbował coś krzyknąć, ale Ryan zasłonił mu usta. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co wyprawia i cofnął dłoń, próbując się opanować. Ręce mu drżały.

- *Powiem! Powiem wszystko, co chcesz! Tylko przestań! Proszę... Jezu, przestań!* - Elgin zawodził dalej, choć przerażenie i ból zniekształcało jego słowa, tak że stawały się prawie zupełnie niezrozumiałe.

- Nazwisko, Tommy. *Ale już.*

Korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność, jednak Alex Harris nie spieszyła się zbytnio, nadal wściekła z powodu arogancji agenta DEA i własnej zranionej dumy. Jego uszczypliwa uwaga na temat pieniędzy była szczególnie bolesna, bo jak najbardziej prawdziwa. Większość ostatnich dziesięciu lat Harris spędziła w znanej kancelarii prawniczej z siedzibą w Chicago, ale teraz dopiero rozwijała własną firmę, nie miała więc czasu ani pieniędzy, żeby reprezentować niewypłacalnego klienta, nawet jeśli jego sprawa cieszyła się ogromnym zainteresowaniem mediów. Pomimo tego, co powiedziała Northowi, nie miała innego wyjścia, musiała zrezygnować z obrony Elgina. Z każdym krokiem jej gniew z powodu tego niekorzystnego rozwoju sytuacji skupiał się coraz bardziej na osobie agenta, który przyniósł jej tę wiadomość. *Co za strata czasu, pomyślała. Facet wyciąga mnie stamtąd, żeby zaproponować coś, co i tak przekracza pewnie jego uprawnienia, a potem...*

Nagle olśnienie było jak cios między oczy. *To wszystko kłamstwo. Ten facet miał najwyżej trzydzieści lat i ewidentnie żadnego przygotowania prawniczego. Tylko po co miałiby wysyłać kogoś z fałszywą propozycją? Nic by na tym nie skorzystali, chyba że...*

Nagle zorientowała się, że strażnik nie stoi już przed drzwiami pokoju przesłuchań. W korytarzu nie było widać żywego ducha,

choć za plecami słyszała toczącą się gdzieś w oddali rozmowę. Natychmiast rzuciła się biegiem, pomimo ciężkiej aktówki obijającej się jej o nogi, błyskawicznie pokonując ostatnie trzydzieści metrów. Idący za nią funkcjonariusze zawołali coś głośno, zaskoczeni jej nagłym zrywem.

Ignorując ich całkowicie, Harris otworzyła drzwi i wpadła do sali, gdzie powitało ją przerażone spojrzenie jej klienta.

Opuściła wzrok na krew płynącą pęknięciami w płytkach podłogi pod jej stopami.

Zaszokowana, rzuciła się do tyłu, krzycząc najpierw ze strachu, a potem z wściekłości, podczas gdy strażnicy pędzili już w jej stronę.

Ryan skrzył za róg i zaklął w duchu na widok tego, co czekało go przy wyjściu. Naomi Kharmai klóciła się głośno z Adamem Northem, wkładającym właśnie do kabury swój pistolet, który zwrócono mu po oddaniu przepustki.

Po chwili dostrzegła Ryana i od razu skierowała na niego swój gniew, wyładowywany dotąd na agencie DEA.

- Co ty tu, *do diabła*, robisz, Ryan? Miałam brać udział w tej rozmowie, pamiętasz? To zwyczajne *świństwo!* Zaczekaj tylko, aż zastępca dyrektora się o tym dowie...

Wykłócała się tak nadal, nawet kiedy Ryan okazał swój dowód tożsamości i rzucił na kontuar przepustkę. Funkcjonariusz zgarnął ją natychmiast, nie przestając uśmiechać się szeroko, najwyraźniej ubawiony całą awanturą.

Ryan był znacznie mniej zachwycony. Wiedział, że za kilka sekund radio wybuchnie szumem i gwałtownym potokiem słów, czego efektem będzie drugi telefon do dowódcy straży, który bez trudu zorientuje się, co zaszło.

Od drzwi prowadzących na parking dzieliło ich niecałe pięć metrów.

- Przestań, Naomi, dobrze? - Ryan chwycił Kharmai za nadgarstek i przyciągnął ją do siebie, a potem szepnął jej do ucha ostro: - Musimy się stąd wynosić, *natychmiast*.

Naomi odsunęła się, choć jej twarz nadal pozostała zaledwie kilka centymetrów od jego ust, i w końcu bez słowa pozwoliła się zaciągnąć w stronę wyjścia. North stał już na zewnątrz w mroźnym powietrzu, przytrzymując im otwarte drzwi.

Ryan przekroczył próg, bacznością zwracając uwagę na to, co dzieje się wokół, ciepło promieniujące z dłoni Naomi i dźwięki uderzające w niego ze wszystkich stron: rozmowa toczona gdzieś na ulicy, jęk klaksonu naciskanego przez wściekłego kierowcę. A potem skrzypienie ich butów o mokry asfalt parkingu i trzask krótkofalówki strażnika, w chwili gdy drzwi zamykały się powoli za nimi.

ROZDZIAŁ 25

WASZYNGTON • HRABSTWO HANOVER, WIRGINIA

Mieszkanie nie było, nawet przy najbardziej wybujałej wyobraźni, wymarzonym miejscem do życia. Na niewielkiej powierzchni mieściło się zaledwie kilka sztuk mebli, a w brudnych oknach wisiały obszarpane białe firanki. Kuchenny blat, jeśli nie stały na nim akurat resztki kupowanego na wynos jedzenia, co nie zdarzało się zbyt często, był pokryty plamami nie do usunięcia. Wszędzie cuchnęło papierosowym dymem i potem, zapachami, które towarzyszyły jej od sześciu miesięcy. Smród musiał napływać w większości z pomieszczeń na dole, ale nieźle przyczyniał się też do tego jej ochroniarz.

Kiedy tak siedziała w zniszczonym skórzanym fotelu, słyszała, jak mężczyzna krąży po sąsiednim pokoju.

Fatima Darabi usiadła wygodniej, wpatrując się uważnie swoimi ciemnobrązowymi oczami w migający ekran telewizora. Na stoliku obok niej spoczywał telefon komórkowy i pistolet Makarowa, kaliber 9 milimetrów. Oba te przedmioty zawsze znajdowały się blisko jej ciała. Z podbródkiem wspartym na dłoni, Darabi patrzyła uważnie...

Ciągle nie mogła się nadziwić, że ogólnokrajowa telewizja wciąż pokazuje taką potworność. Jeszcze bardziej zaskakujący wydawał się jej fakt, że rząd pozwala na coś takiego. Zawalenie się budynku Kennedy-Warren nie było przyjemnym widokiem, nawet dla kogoś, kto nienawidził Ameryki równie mocno jak ona. Wiedziała jednak, że stacje zdobyły te materiały ogromnym nakładem kosztów, a w tym kraju, co zrozumiała już dawno temu, jedyny miernik wartości stanowiły pieniądze.

W takich chwilach Darabi naprawdę rozkoszowała się swoją rolą. Oto znajduje się tutaj, w samym sercu narodu, dysponując pełnią wiedzy na temat człowieka, który zdetonował bombę w Kennedy-Warren, a Amerykanie nie mają pojęcia o jej istnieniu. Dostąpić takiego zaszczytu...!

Kierująca nią wściekłość nie zrodziła się w niej sama, lecz została jej wpojona już w chwili narodzin. Kiedy w lipcu 1988 roku amerykański krążownik „Vincennes” zestrzelił nad Atlantykiem irański samolot, lot numer 655, admirałowie w Pentagonie nazwali to wypadkiem, zapewniając o swojej całkowitej niewinności, chociaż amerykańskie pociski nadal spadały na Bagdad. W tamtym samolocie znajdował się jej brat, wracający na American University do Dubaju po dwóch tygodniach pobytu w rodzinnym domu.

Przez te wszystkie lata poprzedzające jego śmierć rodzice byli spokojnymi ludźmi, kochającymi i życzliwymi. Mieli jednak w sobie ziarno nienawiści, a kiedy odkryli je także u swej córki, pielęgnowali je równie pieczołowicie, jak troskliwie dbali o jej ciało i umysł...

Fatima była zadowolona ze swojego obecnego zadania. Udzielono jej tylko podstawowych informacji, ale wrodzona bystrość umysłu szybko pozwoliła się jej zorientować, że pieniądze, które przesłała przez ponad pięćdziesiąt zagranicznych kont, miały trafić do kogoś naprawdę ważnego. Jego nazwisko i tak nic by jej nie powiedziało, bo z całą pewnością nie było prawdziwe. Głos mężczyzny po drugiej stronie linii zdradzał już więcej. Bez trudu dało się zauważyć francuski akcent, choć Fatima podejrzewała, że był on w znacznej mierze udawany na jej użytek. Nie została przeszkolona w takich sprawach, ale to i tak bez znaczenia. Czasami lepiej nie wnikać zbyt głęboko. Instrukcje przekazał jej sam minister, co w skrytości ducha napawało ją ogromną dumą. Nie będzie przecież tkwiła w tej dziurze wiecznie. Wkrótce powróci do Teheranu, aby tam zająć należne jej miejsce u boku Mazaheriego.

Ale na razie czekała na kolejny telefon. Kiedy wreszcie zadzwoni, rozmowa będzie bardzo krótka, zapewne kilka rzuconych cicho zdań z prośbą o dodatkowe fundusze. Mężczyzna nie tracił czasu na zbędne gadanie, a Fatima bardzo ceniła sobie tę cechę charakteru.

Nagle poruszyła się niespokojnie w fotelu. Rozdzwoniła się jej komórka...

* * *

Dzień ciągnął się w nieskończoność, ale to nie długie godziny spędzane w biurze były źródłem jej paskudnego nastroju. Po prostu komplikowały tylko problem.

Nicole Milbery oderwała wzrok od telefonu, próbując skupić się na umowie sprzedaży, którą właśnie wypełniała na swoim komputerze. Ciągle nie mogła zrozumieć, dlaczego nie zadzwonił. Wydawało się jej, że te dwie godziny, które spędzili razem w stodole, były naprawdę cudowne, zdecydowanie warte powtórzenia, jednak jej ostatni klient nie podzielał chyba tego zdania. Z każdą chwilą stawało się to coraz bardziej oczywiste.

Czuła się oszukana i upokorzona, a te uczucia pogłębiał jeszcze fakt, że nadal go pragnęła, chciała, żeby do niej zadzwonił, marzyła o tym, czego doświadczyli zaledwie kilka dni temu.

Nigdy nie była cierpliwą osobą, która pozostawia sprawy własnemu biegowi. *Jeżeli nie zadzwoni do jutra*, postanowiła w końcu, *gorzko tego pożałuje. Nikt nie ma prawa mnie tak traktować.*

Uświadomiła sobie, że znowu wbija wzrok w telefon, szybko wróciła więc do wściekłego stukania w spoczywającą na biurku klawiaturę komputera, starając się zignorować lekkie uklucia bólu za oczami.

Frank Watters obserwował ze słabo skrywanym zainteresowaniem jedyne klienta, który krążył pomiędzy półkami pełnymi sprzętu gospodarstwa domowego i elektronicznych urządzeń. Mężczyzna, mijający bez zatrzymywania się ciężkie lodówki i skomplikowane systemy stereo, jakoś nie pasował do osób odwiedzających zwykle jego sklep. Poza tym miał na sobie czyste ubranie, bez śladu kurzu z placu budowy czy plam po resztkach lunchu zjedanego pośpiesznie na tylnej kłapie ciężarówki.

Watters, starszawy właściciel sklepu, szczyił się swoim darem obserwacji i nie wahał się z niego korzystać, zresztą w takie spokojne czwartkowe popołudnie nie miał nic innego do roboty.

Położony na południowym skraju Ashland w hrabstwie Hanover sklep elektryczny Wattersa stanowił przystań dla gospodyń domowych i elektryków ze wszystkich sąsiednich hrabstw. Jego firma nie nadwężała zbytnio kieszeni kupujących, ale większy ruch zdarzał się tu właściwie wyłącznie rano, kiedy wstępowali do niego stali klienci, żeby kupić rzeczy potrzebne im danego dnia w pracy.

Ten samotny mężczyzna krążył po sklepie już prawie od dwudziestu minut, w zamyśleniu pstrykając przyciskami szerokoekranowych telewizorów, zanim wreszcie podszedł ze swoją listą do sprzedawcy. Kiedy popchnął kartkę przez kontuar, Watters zauważył z zadowoleniem, że jego wcześniejsze obserwacje były trafne. Opalone knykcie mężczyzny nie nosiły śladów zadrapań ani blizn, typowych dla elektryków czy majstrów budowlanych. Palce były długie i wąskie, ale nadal bardzo męskie, podobnie jak szerokie ramiona nieznanego. Zdaniem ciekawskiego sprzedawcy takie dłonie pasowały bardziej do pisarza, może pianisty...

Jednak klient dobrze wiedzieć, czego chce, tak że ewentualne wątpliwości, jakie mógłby mieć Watters, co do jego znajomości rzeczy, szybko się rozwiały. Zamówienie było dosyć typowe, więc właściciel sklepu miał na składzie wszystkie żądane artykuły: piętnastometrowy zwój miedzianego drutu o średnicy jednego centymetra, jednowejściowy przełącznik dwustabilny z dwoma odkrytymi zaciskami, dobrej jakości nożyce do przecinania drutu, kilka śrubokrętów rozmaitych wielkości i taśma izolacyjna.

Z wdzięcznością przyjął zapłatę w gotówce za te drobne sprawunki. Nie mógł wiedzieć, że jego jedyny tego popołudnia klient wstąpił później do dwóch innych sklepów, żeby poczynić dalsze zakupy, nie domyślał się też nawet, do czego mają posłużyć te materiały. Zresztą wszelkie podejrzenia i tak rozwiało uprzejme zachowanie mężczyzny i jego szczerzy uśmiech, rzucony jeszcze na odchodne.

W samym sercu stanu, z dala od tętniących życiem miast, takich jak Richmond i Norfolk, poza sielską okolicą Blue Ridge Parkway i malowniczymi widokami roztaczającymi się z krętej wstęgi szosy, znajduje się gęsto zalesiony obszar łagodnych

wzgórz, w znacznej mierze nietkniętych jeszcze wpływem czasu i portfeli przejezdnych turystów.

Nocą powietrze przeszywa tutaj tylko cichy zew ptaków i cykanie świerszczy albo szum wiatru podążającego z biegiem strumienia na północny wschód poprzez czubki bezlistnych drzew.

Jak na listopad Wirginia doświadczała teraz pewnej anomalii. Stan ten dostąpił właśnie wątpliwego zaszczytu pobicia poprzedniego rekordu największej liczby dni z zanotowanymi opadami atmosferycznymi w jakimkolwiek miesiącu tego roku. Padało już od osiemnastu dni i dziewiętnastu nocy, a Will Vanderveen, zajęty twardo pracą w wilgotnym schronieniu stodoły znajdującej się za jego skromnym domem, zaczynał powoli rozumieć, jak musiał się czuć Noe.

Kiedy myślał o arce unoszącej się na wodach potopu, czuł się podniesiony na duchu, choć wcale nie wizją zbawienia.

Wnętrze stodoły nie zmieniło się zbyt przez ten krótki czas, odkąd ją wynajął, w znacznej mierze pozostało wręcz takie samo. Dało się tu zauważyć zaledwie kilka drobnych różnic: ogromna sterta pociętej słomy została uprzątnięta z betonowej podłogi i zepchnięta na bok, żeby zrobić miejsce dla białej furgonetki ford econoline, która zajmowała znaczną część wolnej przestrzeni. Pod ścianą w głębi pomieszczenia, naprzeciwko rozsuwanych wrót, stanął duży drewniany stół. Na jego nierównym blacie leżały niezliczone narzędzia i materiały, cierpliwie czekając na swoją kolej.

Oprócz artykułów zakupionych w sklepie elektrycznym Wattersa Vanderveen zdołał jeszcze zdobyć przenośny warsztat z lampą i specjalną lupą, która była niezbędna w bardziej precyzyjnych etapach jego pracy. Wszystko to leżało na stole obok dwudziestowatowej lutownicy i około pięćdziesięciu gramów drutu lutowniczego firmy Antex.

Poza lutownicą na stole znajdował się jeszcze cyfrowy amperomierz i dziesięć metrów giętkiego kabla. Jednak cały ten sprzęt połączony razem byłby zupełnie bezużyteczny bez dwóch telefonów komórkowych sieci Verizon, które Vanderveen kupił na przedmieściach Richmond razem z trzymiesięcznym abonamentem ogólnokrajowym. Za parę tygodni nie będą mu już potrzebne, ale jakiegokolwiek odstępowo od standardowego planu mogłoby zwrócić czyjaś uwagę...

Vanderveen siedział na twardym drewnianym krześle, wsłuchując się w delikatny stukot deszczu o dach stodoły, a jego ręce poruszały się szybko i pewnie, choć myślami krążył gdzieś daleko. Z dała od precyzyjnych spawów i skomplikowanych zależności pomiędzy napięciem, natężeniem a oporem prądu w obwodzie.

Niepokoił go fakt, że pieniądze nie trafiają bezpośrednio do niego. Mogli je z łatwością przesłać przez jakiś bank na Kajmanach zamiast przekazywać za pośrednictwem tej kobiety. Uniknęliby w ten sposób niepotrzebnego ryzyka, chociaż do tej pory wszystko działało świetnie i bez problemów otrzymywał potrzebne mu fundusze.

Jednak najbardziej zaprzętała teraz jego umysł ta druga kobieta - właścicielka biura nieruchomości.

Po namyśle musiał przyznać, że to był błąd. Cichy głos gdzieś w głębi ciągle powtarzał mu, że ostatnio popełnia zbyt wiele błędów. Dla paru gorących chwil spędzonych na stercie słomy w stodole nie warto ryzykować choćby minimalnym niebezpieczeństwem wykrycia. Dając Milbery to, czego pragnęła, zaspokajając tę niewypowiedzianą rozpacz, ułatwił jej dostęp. Dostęp do siebie i tego, co robił. Teraz było jak najbardziej prawdopodobne, że kobieta zechce tu wpaść niezapowiedziana.

Na szczęście rozsuwane drzwi są zaopatrzone w zamek. A poza tym doskonale wiedział, że to tylko chwilowa przeszkoda.

W końcu doszedł do wniosku, że okazał słabość, bo przed swoim pobytem w Waszyngtonie i Meszhedzie spędził dwa tygodnie z doradcami al-Sadra w Nadżafie, a jeszcze przed tym siedemnaście tygodni w przesiąkniętej strachem strefie zniszczeń w Ramallah. Gdyby w tamtych miejscach obdarzono go zaufaniem, otrzymałby kobietę. Ale nie został zaakceptowany, był jedynie tolerowany. Jego zasługi spotkały się z uznaniem dopiero po jego wyjeździe, kiedy nie zagrażał już ich organizacji.

Po tak długim czasie, pięciu miesiącach przymusowego celibatu, tamta noc z pośredniczką w handlu nieruchomości była jak balsam na otwartą ranę.

A teraz stała się także poważnym zagrożeniem dla jego wolności i życia. Już po wszystkim, kiedy leżała naga, wtulona w niego pośród miękkiej słomy, zaczęła mu opowiadać z nie-

ukrywaną pogardą o swoim mężu. A on dostrzegł w niej to pragnienie, którego nie zdołała zaspokoić w domu.

Jeśli uznała, że on może to zmienić, tak jak zrobił to wtedy, to stawała się zagrożeniem dla jego wolności i życia.

Gniewnie odsunął od siebie te myśli. Stało się, nic już tego nie zmieni. Jeśli to słabość pragnąć kobiety, to mógł z tym żyć.

Miedziany drut obrócił się w jego dłoniach. Wracając do swojego bieżącego zadania, przebiegł w myślach cały schemat. Najpierw źródło zasilania, bateria, od której przewody pobiegną do zacisków przełącznika. Podłączy ją jednak dopiero w ostatnim momencie. Musiał jeszcze rozważyć, jak długo obwód może pozostać zamknięty, zanim bateria się wyczerpie i nie będzie w stanie zapewnić tych niezbędnych dwunastu woltów. Ale na to przyjdzie czas później.

Od przełącznika miedziany drut z dwoma przewodami pobiegł do odsłoniętego zespołu obwodów elektrycznych w jednej z dwóch komórek, a potem dalej aż do spłonek detonujących numer sześć. W tej chwili jednak miedziany drut zwisał luźno ze stołu.

Vanderveen przyjrzał się z zadowoleniem całemu sprzętowi. Skrzynie, które odebrał z terminalu w Norfolk, leżały bezpiecznie ukryte pod słomą, ale dociekliwość pośredniczki z biura nieruchomości nie dawała mu spokoju, podobnie jak przebiegły umysł jego dawnego dowódcy.

Kealey... Vanderveen nie myślał o nim zbyt często. Dzięki dyskretnemu wywiadowi dowiedział się jednak, że był on obecny w Kennedy-Warren tuż przed wybuchem. *O ile prostsze byłoby wszystko, gdyby zginął w tamtej eksplozji*, pomyślał, ale tak naprawdę nie sądził, żeby stary znajomy stanowił jakieś zagrożenie dla jego planów.

Ale mimo wszystko w końcu trzeba się będzie zająć problemem zaangażowania jego byłego dowódcy w tę sprawę. Nic nie mogło udaremnić jego dzieła, bo zawsze miało ono w sobie nieograniczoną możliwość wzbudzenia strachu i paranoi, która szerzyła się pośród amerykańskiego społeczeństwa niczym zaraza.

Kiedy jedenastego września rozpadły się dwie wieże, było zupełnie tak, jakby narodził się na nowo. Jeszcze wiele tygodni po ataku przypisywano winę rozmaitym grupom ze wszystkich

zakątków świata, ale całe odium spadło w końcu na bin Ladena i jego organizację. Dopiero kiedy krąg zawęził się do tego jednego nazwiska i podejrzewania zamieniły się w pewność, Vanderveen postanowił rozszerzyć także własne horyzonty.

W okresie największego zagrożenia, gdy nowi ochotnicy byli traktowani z ogromną podejrzliwością, wśliznął się bez najmniejszego problemu w szeregi organizacji, ponieważ nikt nie potrafiłby udawać tej nienawiści, którą on czuł do swojej przybranej ojczyzny, nienawiści, której nie zaspokoila śmierć trzech tysięcy Amerykanów.

Najdelikatniej, jak to tylko możliwe, dotknął grotem lutownicy mechanicznego złącza w jedno wejściowym przełączniku. W ostatecznej wersji zawierający dwa kable przewód kontrolny utworzy obwód równoległy. Było to konieczne do sprawdzenia natężenia prądu przepływającego przez detonatory, bo każda spłonka wymagała od dwóch do dziesięciu amperów, żeby zadziałać prawidłowo. Napięciem nie musiał się przejmować - w budowanym przez niego obwodzie stanowiło ono akurat jedyny typowy parametr. Zdecydował się na cztery detonatory, choć tak naprawdę wystarczyłoby tylko jedna spłonka, wołał jednak nie ryzykować niebezpieczeństwa niewypału.

Pracował aż do rana, a jego dłonie poruszały się pewnie, nadając kształt urządzeniu. Sześć miesięcy temu było to tylko marzenie. Dwa miesiące później - zaledwie zarys pomysłu, po kolejnych dwóch miesiącach - dopracowany plan. Teraz stało się to rzeczywistością. Rozgrzany ciepłem palców drut biegł wyznaczoną trasą, chyba że Vanderveen zdecydował inaczej. To jego dzieło i nie miał żadnych wątpliwości, że zadziała zgodnie z zamierzeniami. Ale ciągle pozostawało jeszcze sporo czasu do wyznaczonego terminu. I było całe mnóstwo rzeczy, które mogły pójść nie tak.

Pierwszy z parkingu w Mili Road wyjechał swoją ubłoconą toyotą 4runner North, po czym niemal natychmiast skręcił z piskiem opon na prawo, w Eisenhower Avenue. Ryan przekręcił kluczyk w stacyjce, gdy tylko Naomi wdrapała się na siedzenie pasażera, i wystartował spod budynku równie szybko jak agent DEA, w pełni wykorzystując sześć biegów samochodu do wtóru

aprobującego pomruku silnika. Najpierw skierował się na południe Huntington Avenue, aż do drogi numer 1, skąd ruszył wreszcie Jefferson Davis Memorial Highway z powrotem na północ w kierunku oddalonego o dziesięć kilometrów Waszyngtonu.

- O co, do diabła, chodzi, Ryan? - Naomi zwróciła w jego stronę zaczerwienioną twarz. Jej oczy płonęły gniewem.

- Potrzebowaliśmy wyników, a twoimi metodami nic byśmy nie wskórali.

- Skąd możesz *to* wiedzieć? - zapytała podniesionym głosem.

- Nie dałeś mi *żadnej* szansy, żeby się o tym przekonać, prawda?

- Elgin powiedział mi wszystko, Naomi. Podał mi nazwisko. Zabrał list przewozowy z terminalu, bo chciał mieć później jakąś kartę przetargową, tak na wszelki wypadek. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to taka poważna sprawa. Nazwisko było po prostu jego zabezpieczeniem, niczym więcej.

- Jakim cudem wydobyłeś z niego prawdę?

- To nieistotne. Drugą osobą, na którą wystawiono ten zaginiony list przewozowy, był George Saraf. Sądząc po nazwisku, mamy tu do czynienia z kolejnym wcieleniem Michaela Shakiba. Nie jest to może równie mocny dowód, jak bezpośrednie powiązanie z Vanderveenem, ale zawsze coś.

- Jak wydobyłeś od niego to nazwisko, Ryan?

Miasto zasnuła znowu lekka mżawka, zaledwie przedsmak rozciągającego się nad środkową częścią Wirginii frontu burzowego. Mijali właśnie cmentarz wojskowy Arlington National Cemetery o białych nagrobkach lśniących wyraźnie w mroku, a Ryan cieszył się, że autostrada jest niemal zupełnie pusta.

W końcu odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Kharmai. Domyślał się, że dziewczyna nie odpuści, dopóki nie usłyszy od niego tych słów. Zresztą wkrótce i tak dowie się wszystkiego.

- Siłą.

Naomi otworzyła odrobinę szerzej oczy, ale milczała. Przecież takiej właśnie odpowiedzi się spodziewała.

Trwała ciska. Dziewczyna usadowiła się wygodniej, zadowolona z prawdy, przekonana, że to już koniec wyjaśnień. Po chwili drgnęła nerwowo, bo Ryan mówił dalej, zupełnie jakby w ogóle nie było tej długiej przerwy.

- Tylko że on wcale nie chciał gadać, wiesz? Kiedy masz do czynienia z takim sukinsynem jak Elgin, wydaje ci się, że sprawa będzie zupełnie prosta, ale czasami potrafią cię zaskoczyć. Czasem zaskakują chyba nawet samych siebie... - Ryan powtarzał sobie w myślach, że powinien przestać, oszczędzić jej szczegółów, ale słowa płynęły nieprzerwanie, nagle jakby zupełnie niezależnie od jego woli. - Miałem tylko kilka minut, Naomi. Utknęliśmy w martwym punkcie, oboje o tym wiemy. W Langley czekają na mnie stosy dokumentów, na ciebie pewnie jeszcze więcej, ale tkwiąc za biurkiem, nie zbliżymy się do Vanderveena nawet o krok.

W jego głosie słychać było napięcie. Naomi odwróciła głowę, żeby wyjrzeć przez okno, ale Ryan jeszcze nie skończył. Szybko wsunął lewą rękę pomiędzy swoje plecy a ciepłą skórę siedzenia i zanim Naomi zdołała się zorientować, wyciągnął w jej stronę nóż, rękojeścią do przodu.

- Chciałaś wiedzieć, tak? Sama zadałaś to pytanie... W ten sposób, Naomi. Tak zmusiłem go do mówienia.

Naomi wzdrygnęła się na widok podsuniętego jej noża, ale w końcu wiedzioną dziwną ciekawością sięgnęła po niego. Zauważyła, że Ryan rozmontował drewniany trzonek, zapewne dlatego, że łączące go nity natychmiast uruchomiłyby wykrywacze metalu wewnątrz budynku więzienia. Ale nóż nadawał się do użytku, z rękojeścią owiniętą teraz taśmą izolacyjną. Jej śliska czarna powierzchnia była nadal lśniąca i wilgotna od potu.

Naomi obróciła nóż w rękę. Światło ulicznych latarni padło na ostrze, oświetlając je wyraźnie.

Wtedy Naomi dostrzegła na swojej skórze smugę czerwieni.

Nóż wysunął się jej z dłoni, upadając na podłogę z dala od jej ciała, i odbiwszy się jeszcze raz, w końcu znieruchomiał u jej stóp.

- Musiałem go jakoś przekonać, Naomi. Udowodnić mu, że nie żartuję. To był jedyny sposób. Naomi?

- Odwieź mnie do domu, Ryan. - Wypowiedziane cicho słowa zabrzmiały żałośnie, ale Naomi tak właśnie się czuła: słaba i godna politowania. Wilgotna dłoń lepiła się jej od krwi, ale pomimo rozpaczliwych poszukiwań nie znalazła nic, czym można by to wytrzeć.

Ryan nie widział jej ręki ani ukrytej teraz w mroku twarzy, zawahał się więc, niepewny jej reakcji.

- Musisz pójść tym tropem. Ja pewnie zostanę wykluczony ze śledztwa, kiedy Harper...
- Wiem - przerwała mu Naomi prawie niedosłyszalnym szeptem, kopnięciem obcasa wpychając jednocześnie nóż pod siedzenie, poza zasięg wzroku. - Zawieź mnie do domu.

Kharmai mieszkała w szeregowym domu przy M Street, jednym z wielu nieciekawych budynków o kruszejących fasadach z cegły, ozdobionych nadwreżonymi przez upływ czasu detalami w stylu georgiańskim. Kiedy potężne bmw zatrzymało się przy krawężniku, Naomi otworzyła szybko drzwi i bez słowa wyskoczyła na ulicę. Ryan patrzył, jak dziewczyna biegnie poprzez lekką mgiełkę deszczu i znika w domu, a na jego twarzy odbijały się rozmaite emocje.

Zdawał sobie sprawę, że odkrył przed nią coś nieznanego, jednak wcale nie był z tego dumny. W ostatecznym rozrachunku może stanie się silniejsza, mądrzejsza, ale to doświadczenie miało swoją cenę: pomimo tego, co wiedziała na temat jego przeszłości, już nigdy nie spojrzy na niego tak samo. Świadomość tego, jak wiele stracił w jej oczach, denerwowała go, urażała jego uczucia tak, jak szorstki materiał drażni spaloną słońcem skórę, i nie dawało mu spokoju pytanie, dlaczego tak jest, skoro znają się zaledwie od miesiąca.

Gniew narastał w nim coraz bardziej, kiedy ruszył wreszcie z powrotem w kierunku centrum. Sięgnął po wciśnięty obok siedzenia pasażera telefon komórkowy i wystukał z pamięci numer.

- Halo? - Katie odebrała po pierwszym sygnale. Z jakiegoś powodu nie kontaktowali się ze sobą zbyt często przy pomocy komórek, więc wcale nie był zaskoczony, że nie rozpoznała jego numeru.

- Katie, tu Ryan.

- Hej! Boże, tak się o ciebie martwiłam! Kiedy wracasz? Umieram z głodu, więc pomyślałam, że moglibyśmy...

- Posłuchaj mnie Katie, pozbieraj swoje rzeczy i natychmiast wymelduj się z hotelu. - Trudno było nie zauważyć niecierpliwości w jego głosie, ale Katie i tak musiała zadać to pytanie.

- Dlaczego? Powinam...

- *Nie pytaj o nic, Katie!* Wyjaśnię ci to później. Po prostu zabierz swoje rzeczy i wyjdź z hotelu, w porządku? To bardzo ważne.

Zapadło długie milczenie. W końcu Katie odezwała się zrezygnowanym, bezbarwnym tonem.

- Gdzie się spotkamy?

- Nie mogę podjechać pod hotel. Zaraz po wyjściu skręć w lewo i przejdź trzy przecznice. Zabierz ze sobą tylko tyle, ile zdołasz unieść. Odkupię ci resztę rzeczy.

- Nie chcę, żebyś mi cokolwiek odkupywał, Ryan. Powiedz mi tylko, o co chodzi. Czekałam tu cały dzień, a teraz każesz...

- Potem wytłumaczę ci wszystko, obiecuję. Do zobaczenia za piętnaście minut, dobrze?

W zamyśleniu zatrzaskał telefon, a potem zaklął pod nosem, kiedy uświadomił sobie, że nawet nie zaczekał na jej odpowiedź.

Nie miał pojęcia, jak rozwinie się ta sytuacja. Pokój w Hay-Adams był zarezerwowany na jego nazwisko, a jeśli cała historia z Elginem przecieknie do mediów, reporterzy zaczną wydzwaniać do okolicznych hoteli, żeby zdobyć parę słów komentarza i materiału telewizyjnego do porannych wiadomości. Ryan nie miał ochoty oglądać własnego nazwiska w gazetach *ani* swojej twarzy w telewizji, a poza tym nie chciał narażać na te przykrości Katie. Schronienie mogli znaleźć w Langley, ale Ryan nie był jeszcze gotów stawić czoła Harperowi i wysłuchiwać jego wymówek. Potrzebował czasu, żeby dobrać właściwe słowa, ułożyć sobie stosowne wytłumaczenie, dlatego omal nie zamordował przebywającego w federalnym areszcie więźnia.

Zdobył co prawda nazwisko, ale to jeszcze niczego nie gwarantowało. Zaczynał coraz poważniej wątpić, czy taki sukces wystarczy, żeby uratować jego krótką karierę w Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Nie miał nic przeciwko temu. W końcu złożył Katie pewną obietnicę i zamierzał jej dotrzymać.

Przez cienką zasłonę deszczu widać już było w oddali oświetloną jasno fasadę hotelu Hay-Adams. Ryan miał tylko nadzieję, że Katie zdołała znaleźć w niewielkim sklepiku mieszczącym się w lobby jakiś płaszcz przeciwdeszczowy, chociaż nie miało to większego wpływu na jego sytuację.

Niezależnie od tego, czy Katie dotrze do samochodu sucha czy przemoczona, najprawdopodobniej i tak czeka ich kolejna awantura.

Nie zastanawiając się wiele, wyjął nóż spod siedzenia pasażera i wepchnął go pod dywanik. Naomi Kharmai, przygotowana na takie sytuacje najlepiej jak to tylko możliwe, stanęła w obliczu gwałtownej śmierci dwukrotnie w ciągu tego miesiąca. W przypadku Stephena Graya nie mieli innego wyboru. Niektórzy ludzie mogliby to uznać, a zdaniem Ryana dałoby się nawet przygotować na tej podstawie akt oskarżenia, za czyn niewiele różniący się od zwyczajnego morderstwa. Ale nawet jeśli *było* to morderstwo, to z całą pewnością zrozumiałe, wręcz uzasadnione. Nie można jednak wytłumaczyć w żaden racjonalny sposób tej przypadkowej, bezsensownej śmierci, z jaką Naomi spotkała się w gruzach budynku Kennedy-Warren.

Teraz nie mógł dla niej nic zrobić. Dotknęła przenikającej chłodem, bolesnej strony życia i już tylko od niej zależało, czy się po tym pozbiera. Ryan był przekonany, że dostrzegł w niej siłę, pozwalającą odsunąć te sprawy na bok, odepchnąć od siebie, i całą uwagę poświęcić stojącemu przed nimi zadaniu.

Gdyby mógł jej oszczędzić tego wszystkiego, zrobiłby to z radością.

Ale niczego nie pragnął bardziej, niż uchronić przed tym wszystkim Katie. Dlatego właśnie kazał jej wynieść się z hotelu i z tego samego powodu schował nóż pod dywanik. Jeżeli był dla niej zbyt ostry, jeśli rozkazywał tam gdzie powinien prosić, to czynił tak z obawy, że któregoś dnia Katie będzie zmuszona nieść ten ciężar, rok za rokiem, dopóki całkiem nie złamie to jej ducha i życia.

I tak jak zrobiłby wiele, by mieć ją blisko siebie, poświęciłby też wszystko, byle tylko uchronić jej niewinność.

Nigdy nie potrafiłby wyrazić przed nią tych myśli - nie leżało to w jego naturze, a wszelkie słowa, jakich mógłby użyć zabrzmiałyby niezdarnie, niezgrabnie, źle.

Liczył jednak, że Katie o tym wie, że to czuje. Tylko jedna rzecz miała teraz przed nią pierwszeństwo, ale wkrótce Katie stanie się dla niego najważniejszą, tą jedyną. A kiedy ten dzień nadejdzie, w końcu będzie mógł zamknąć za sobą przeszłość.

ROZDZIAŁ 26

WASZYNGTON • LANGLEY

Jednodniowy wypad do Waszyngtonu, żeby przyjrzeć się trasie i rozważyć wszystkie możliwości.

Dzień nadawał się wprost idealnie na taką wyprawę. Z dala od chmur zasnuwających niebo ponad środkową Wirginią, z dala od nużących obliczeń i otepiałej pracy z lutownicą. Zdecydował się skorzystać ze swojego najnowszego nabytku, połyskującego chromem i lśniącą warstwą farby o metalicznym połysku czteroletniego motocykla honda VT 1100 Shadow. Wolał nie używać furgonetki, dopóki nie będzie to naprawdę konieczne. Gdyby pojechał nią do centrum miasta i został zatrzymany za jakieś wykroczenie drogowe, samochód stałby się dla niego bezużyteczny.

Ruszył na północ autostradą międzystanową 95, skręcając w zjazd 170, po czym przemknął przez zachodnie obrzeża Alexandrii. Kiedy przejeżdżał mostem na Potomacu, odbite od tafli wody promienie słońca rozprysnęły się tysiącem odłamków na wypolerowanej powierzchni motoru.

Autostrada 1-95 była w przeważającej części ciągnącą się bez końca nitką szosy wysadzonej strzelistymi sosnami. Aż kusilo go, żeby zwiększyć prędkość do oporu i mieć trochę przyjemności z tej jazdy, ale jego zapał ostudziła szybko wyjątkowo duża liczba policyjnych radiowozów na trasie i należąca do policji stanowej Cessna 182s krążąca wysoko w górze. Mimo wszystko pęd świeżego powietrza stanowił cudowną odmianę po ciasnej przestrzeni stodoły, gdzie zamknięte na klucz drzwi i niebezpieczeństwo pojawienia się agentki z biura nieruchomości z każdym dniem zdawały się przybliżać ściany coraz bardziej.

Skręcił w drogę numer 50, znaną również jako New York Avenue. Przekraczając Anacostię, opuścił jednocześnie hrabstwo Prince George i pomknął dalej na zachód, w stronę południowo-wschodniego krańca Dystryktu Kolumbii. Kiedy jego oczom ukazał się budynek Washington Convention Center, skręcił w lewo i pomknął Siódmą Ulicą, a ryk potężnego silnika hondy, wdzierający się w ciszę, burzył spokój niektórych co bardziej zadowolonych z siebie turystów. Ich przestraszone miny wywołały uśmiech na jego twarzy. Potem w drodze na południe przeciął jeszcze Independence Avenue, odwracając lekko głowę, żeby zerknąć w głąb ulicy.

Widok nie wzbudził w nim żadnych emocji. Gruzy zostały już dawno uprzątnięte, a wypalone wraki samochodów spoczywały teraz w nieużywanym hangarze na lotnisku Dulles, gdzie ekipy z jednostki kryminalistycznej FBI i National Transportation Safety Board¹⁸ nadal oczyszczały spalone powierzchnie, na próżno szukając jakichś śladów.

Zainteresowanie Vanderveena nie było niczym więcej niż zwykłą ciekawością kierowcy przyglądającego się wypadkowi przy drodze, dlatego zanim jeszcze otwartą przestrzeń ulicy przesłoniły sznury zaparkowanych aut i fasady budynków, już odwrócił głowę.

Gangplank Marina biegnie od mostu Francis Case Memorial Bridge aż do końca Water Street. Po drugiej stronie kanału rozciągają się należące do klubu golfowego pola o krótko przyciętej trawie i chorągiewkach w jaskrawych barwach. Klub i liczącą sobie 310 stanowisk przystań, niemal zawsze pełną aż do ostatniego miejsca, ocienia położony nieco dalej na zachód strzelisty Washington Monument.

W przystani można było zobaczyć najrozmaitsze jednostki pływające: dziewięciometrowe łodzie firmy Boston Whaler, łodzie latające Catalina z silnikiem diesla, mniejsze katamarany, żaglówki i eleganckie siedemnastometrowe jachty z włókna

¹⁸NTSB, Narodowy Zarząd Bezpieczeństwa Transportu - niezależna agencja amerykańska zajmująca się badaniem wypadków samolotów cywilnych, jak również innych środków transportu.

szklanego Fairline Squadron - jedne z największych łodzi motorowych w tym porcie.

Jeden jacht zacumowano jednak z dala od tego zbiorowiska i to właśnie on przyciągnął uwagę Vanderveena, który obserwował uważnie keję, omijając niewielkie grupki turystów, a jednocześnie starając się trzymać z dala od wody. Główny pokład ponad trzydziestometrowego jachtu *USS Sequoia*, nie wyłączając sterówki, był w większości obudowany drewnem tekowym i szkłem. Vanderveen widział tę łódź po raz pierwszy, jednak dobrze znał jej historię. Wiedział, że Nixon popłynął prezydenckim jachtem w dół Potomacu czterdzieści osiem razy i że było to miejsce spotkań Eisenhowera z Churchillem i marszałkiem polnym Montgomeryem w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej. Dotarł też do informacji, że w 1977 roku prezydent Carter sprzedał łódź prywatnemu nabywcy, po czym niszczała ona przez kilka lat w stoczni, dopóki w 1984 roku nie rozpoczęto jej remontu.

Jacht należał teraz do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością Sequoia Presidential Yacht Group i można go było wyczarterować, jednak prezydent i wiceprezydent mieli pierwszeństwo w korzystaniu z niego przed zwykłymi obywatelami.

Poza wszystkimi tymi faktami Will Vanderveen dysponował również informacją, że prezydent Brenneman zarezerwował już jacht za pośrednictwem Biura Spraw Publicznych Białego Domu na 26 listopada.

Początkowo znał historię jachtu znacznie lepiej niż zwyczajnie Brennemana i nie mógł zrozumieć, dlaczego prezydent chciałby pływać po lodowatych wodach o tak późnej porze roku. Dopiero później dowiedział się, przeglądając mikrofiszki w Richmond County Library, że Brenneman jest zapalonym żeglarzem i dumnym właścicielem kecza, zacumowanego w pobliżu jego domu przy bostońskim porcie.

Vanderveen domyślał się, że przywódcom Włoch i Francji zimny wiatr hulający nad Potomakiem wyda się jednak znacznie mniej przyjemny i aż uśmiechnął się na samo wyobrażenie tej sceny. Jednocześnie nie odrywał jednak ukrytych za okularami marki Ray Ban oczu od łodzi, z twarzą przesłoniętą daszkiem spłowiełej baseballowej czapki. W pewnym momencie rozważał

nawet bezpośredni atak na prezydencki jacht. Zamach ten można by łatwo przeprowadzić przy użyciu zaledwie jednej miny morskiej, takiej jak na przykład szwedzki rockan. Poznał już ich skuteczność w cieśninie Hormuz i innych miejscach. Wiedział, że agenci Secret Service nie dysponują żadną procedurą na wypadek takiego zagrożenia, a umieszczając stalowy kadłub miny w pobliżu kotwicy jachtu, mógłby dodatkowo zmniejszyć niebezpieczeństwo jej wykrycia przez przestarzały sprzęt przeciwminowy, którym posługiwała się ochrona prezydenta.

Jednocześnie jednak nie ufał zbyt delikatnym elektronicznym częściom miny, obawiając się, że zdalnie kierowana bomba może zawieść, o ile nie zbuduje jej własnoręcznie. Wpojona mu wiele lat temu zasada, której nadal przestrzegał, brzmiała „prostota równa się sukcesowi”. Tylko ograniczając liczbę elementów składowych i bez końca testując działanie zapalnika, mógł zyskać pewność, że jego urządzenie nie zawiedzie.

Samo nabrzeże też wzbudzało w nim niepokój. Nieliczne prowadzące do przystani drogi dojazdowe będą obstawione przez dziesiątki ludzi z Secret Service, gotowych w przypadku zamachu natychmiast zamknąć cały teren. Nie mógł znieść myśli, że zostałby uwięziony wewnątrz zaciskającego się kordonu agentów federalnych, choćby oznaczało to możliwość ujrzenia, jak *USS Sequoia* idzie na dno Potomacu. A gdyby nawet zdołał przeżyć to spotkanie, gnienie w federalnym więzieniu przez resztę jego dni też wydawało się zbyt wysoką ceną za tych kilka cudownych tygodni narodowej żałoby.

Nie, o wiele bardziej przypadła mu do gustu myśl o tym, żeby ująć z tego cało. Jeśli umieści strategicznie ponad tonę semtexu H na trasie przejazdu kawalkady samochodów, z całą pewnością ma spore szanse na przeżycie, a sukces będzie gwarantowany.

W końcu zawrócił w stronę hondy, wskoczył na skórzane siodełko i przekręciwszy kluczyk w stacyjce, jednym kopnięciem odpalił silnik, po czym dodał gazu i pomknął Siódmą Ulicą, kierując się na północ, w stronę Pennsylvania Avenue. Miał jeszcze wiele do zobaczenia i zrobienia przed opuszczeniem miasta.

- Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć, Ryan. Andrews skłął mnie na czym świat stoi za ten twój wyskok w Alexandrii. Wiesz, jak

to określił? Beznadziejny przypadek. Użył tego sformułowania przynajmniej z dziesięć razy. Nie słyszałeś, kiedy ci mówiłem, że masz nie zostawić na nim żadnych śladów? Nie wyraziłem się wystarczająco *jasno*?

Po raz kolejny Ryan siedział naprzeciwko Jonathana Harpera, a rozmowa zaczynała przybierać zły obrót.

Postanowił przejść do ataku. I tak nie miał już nic do stracenia.

- Bardzo chętnie odejdę, John. Mówiłem ci już przecież, że chcę się wycofać, ale jestem teraz twoim...

- Czym? - przerwał mu Harper, a na jego wargi wypłynął ponury uśmiech. - No czym jesteś? Moją jedyną szansą na schwytanie Vanderveena? To właśnie chciałeś powiedzieć? Bo jeśli tak, to dyrektor już w to nie wierzy, a ja sam też zaczynam mieć coraz większe wątpliwości.

- Nikt inny nie dał rady osiągnąć...

- Nikt inny nie zastrzelił też znanego biznesmena na terytorium obcego państwa, Kealey. I nie zaatakował podejrzanego przebywającego w więzieniu federalnym. Za każdym razem kiedy mówię ci, żebyś załatwił coś dyskretnie, ty zamieniasz zupełnie prostą akcję w jakiś cholerny spektakl.

W głębi ducha Ryan musiał przyznać, że chyba rzeczywiście posunął się za daleko, skoro Harper zwraca się do niego po nazwisku, a nie zdarzało się to znowu tak często. Jednak na przekór zdrowemu rozsądkowi argumentował dalej.

- A te dziewięćdziesiąt dwie ofiary, które zginęły na Connecticut Avenue, John? A tych ośmiu agentów Secret Service i amerykański senator? Jak byś to nazwał?

- Ryan, właśnie dlatego, że nie gramy według ich zasad, jesteśmy od nich lepsi...

- Przez to, że nie gramy według ich zasad *przegrywamy, do kurwy nędzy* - warknął Ryan, tracąc resztki samokontroli.

Zapadła długa chwila milczenia, kiedy obaj wpatrywali się w siebie ponad biurkiem, czekając aż rozmówcy przejdzie złość.

- Nie ułatwiasz mi zadania, Ryan. - Było to już ostatnie uderzenie w tym pojedynku na słowa i nie bez racji należało się ono zastępcy dyrektora. - Na pewno zastanawiasz się teraz, dlaczego wiadomość o twojej wczorajszej wizycie nie znalazła się jeszcze na pierwszej stronie „Washington Post”.

- Przemknęło mi to przez myśl.
- Zawarliśmy ugodę z Elginem. Całkowita nietykalność. To decyzja samej góry - powiedział Harper i natychmiast podniósł dłoń, powstrzymując ewentualne zastrzeżenia Ryana. - Nie masz tu nic do gadania, to wszystko przez ciebie. Prokurator złożył tę propozycję bezpośrednio Elginowi, bo ta jego prawniczka... Poznałeś ją? - Zagniewany Ryan potrząsnął krótko głową. - No cóż, babka ma wielkie aspiracje. Na pewno wołałaby raczej nagłośnić ten skandal od zawarcia ugody na rzecz swojego klienta, ale Elgin nie jest taki głupi. Powiedział, że ją zwolni, jeśli będzie próbowała złamać warunki umowy, a to postawiłoby ją w znacznie gorszym świetle, niż sytuacja, w której jej klient wychodzi na wolność całkowicie oczyszczony z zarzutów.

Innymi słowy, Ryan, mieliśmy cholerne szczęście. Ale Harris to akurat najmniejszy problem. Nadal próbujemy przekonać dowódcę straży, że dla wszystkich zainteresowanych będzie lepiej, jeśli zapomni o całej sprawie. On też nie życzy sobie rozgłosu, a to może się nam przydać. Tylko, i chcę, żebyś zwrócił na to szczególną uwagę - powiedział Harper, dla podkreślenia swoich słów postukując palcem wskazującym w blat biurka - tylko dlatego, że mieliśmy coś na Elgina, siedzisz tu jeszcze przede mną. Gdyby nie ta karta przetargowa, byłoby już po tobie, bez dwóch zdań. Nie ułatwiasz mi, a wręcz uniemożliwiasz, osłanianie twoich poczynań. Zdobyłeś to nazwisko, zgadza się. Nazwisko różni się od tego z paszportu wykorzystanego w Walencji, też prawda. Ale lepiej módl się, żeby ta informacja okazała się naprawdę istotna.

I możesz mi wierzyć - dodał jeszcze Harper, marszcząc gniewnie brwi - nic nie powinno być dla ciebie ważniejsze w tym momencie, mój drogi.

Naomi Kharmai oparła się o tył trzeciego czarnego chevroleta suburban, drząc mocno pomimo nieśmiałych promieni słabego słońca i grubej wełnianej kurtki, którą owinęła się szczelnie. Była naprawdę wściekła, o czym przekonał się dosyć boleśnie agent specjalny FBI, dowodzący oddziałem Biura na Waszyngton. Prosiła Harpera, żeby na razie nie wychodzić z tym poza Agencję, uciekając się w końcu prawie do błagań, ale zastępca

dyrektora wymamrotał tylko coś o „naciskach na współpracę” i w rezultacie znalazła się teraz praktycznie poza nawiasem wydarzeń. Chociaż była tak naprawdę jedną z pierwszych osób na miejscu akcji, usłyszała bez ogródek, że zostaje włączona w tę sprawę wyłącznie ze względu na zawodową uprzejmość.

Teraz słuchała w milczeniu banalnych rozmów kręcących się wokół agentów i szczęku automatycznej broni, podczas gdy operatorzy grupy Hostage Rescue Team wyciągali sprzęt ze swojej furgonetki i zakładali ciężkie kamizelki kuloodporne.

Nagle drgnęła przestraszona głośnym rykiem motocykla, który przemknął ulicą obok parkingu. Kiedy odwróciła głowę w stronę źródła dźwięku, oślepił ją blask odbity od chromowanych rur pomalowanego na jaskrawoniebieski kolor motocykla. Zmrużyła oczy, starając się lepiej przyjrzeć i znowu aż podskoczyła, bo na jej ramieniu spoczęła czyjaś dłoń.

- To potrwa góra dwadzieścia minut - usłyszała męski głos, a po chwili stanęła twarzą w twarz z Billem Greenem, następcą Luke'a Hendricksa na stanowisku szefa oddziału w Waszyngtonie.

- Na co konkretnie czekacie?

- Nie mamy jeszcze nakazu rewizji - wyjaśnił Green. - Przed chwilą rozmawiałem z jednym z moich ludzi w sądzie. Wygląda na to, że sędzina nie była zbyt zadowolona ze sposobu, w jaki zdobyliście tę informację. Odbyła długą rozmowę z Alex Harris i to nam chyba odrobinę pomogło...

- Uważa pan, że sędzina przeciąga sprawę celowo?

- Moim zdaniem tak. Ale nie mamy innego wyjścia, więc czekamy na znak.

- Hej, szefie. - Oboje odwrócili się natychmiast w stronę agenta. Był to jeden z nadskakujących Greenowi zastępców, wysoki, dobrze ubrany mężczyzna, przypominający ucznia z dobrej szkoły. - Właśnie przyszło z sądu - powiedział, podając cienką tekturową teczkę zwierzchnikowi, który natychmiast zabrał się za lekturę jej zawartości.

- I co? - niecierpliwiła się Naomi.

Green podniósł wzrok i błysnął w uśmiechu białymi prostymi zębami.

- Możemy ruszać. - Zanim Naomi zdążyła odpowiedzieć, już ruszył biegiem w stronę pierwszego auta, wykrzykując rozkazy

do dowódcy zespołu HRT, a potem rzucił jej jeszcze przez ramię:
- Proszę znaleźć sobie miejsce w którymś z aut. Może pani
zaczekać z boku, ale ekipy są w pełni obsadzone. *Nie bierze* pani
udziału w akcji, jasne?

Nawet nie zaczął na jej odpowiedź. Naomi popatrzyła
gniewnie na jego plecy, kiedy wspinał się na siedzenie pasażera
w pierwszym aucie, które zaraz potem wyjechało z parkingu.

Okazało się, że wolne miejsce w ostatnim samochodzie oznacza
tak naprawdę siedzenie w ciasnocie pomiędzy dwoma spoconymi
operatorami i całym ich ekwipunkiem. Chevrolet suburban skręcił
z Siódmej w D Street, mknąc na wschód, a składana kolba
karabinu MP-5A3 po raz trzeci uderzyła ją boleśnie w kolano.
Naomi zacisnęła tylko zęby, rzucając przy tym, tak jak robiła to
już wielokrotnie w ciągu ostatnich paru tygodni, przekleństwo
pod adresem Ryana Kealeya, przez którego znalazła się w tej
sytuacji.

Czteropiętrowa kamienica przy D Street nie była może
ogromna, ale jej ceglana fasada wyglądała przyzwoicie, podobnie
jak wydeptane kamienne schody i solidne drzwi z podniszczonych
dębowych desek. Jednak gdy tylko Naomi weszła do środka,
w nozdrza uderzył ją odór stanowiący obrzydliwe połączenie
rozmaitych zapachów kuchennych, dolatujących spod zamknię-
tych drzwi i przesiąkających brudne ściany, razem z uporczywym
zapachem rozlanego piwa i czegoś, co przywodziło na myśl
zawartość dziecięcej pieluchy. Zrobiło się jej niedobrze, ale
zaczęła oddychać przez usta, a potem zauważyła jeszcze, że
pozostali robią to samo.

Na dokładkę gdzieś z góry dobiegał przeraźliwy płacz dziecka
i nieprzyzwoite wrzaski pary Koreańczyków. Naomi została
w tyle za Greenem i operatorami HRT, którzy ruszyli szybko po
schodach na górę. Płaski pistolet kaliber 9 mm, który dostała,
zwiisał teraz luźno u jej biodra.

- Jak mają tam zamiar wejść? - zapytała Greena, kiedy
w końcu udało się jej go dogonić.

- Zależy od tego, na co się natkną. Jeżeli w środku słychać
będzie jakiś ruch, zaczynają strzelać, w innym przypadku użyją
tarana. - Naomi skinęła głową i ruszyła do przodu, ale Green

chwycił ją za ramię. - Chwileczkę, niech im pani da zająć pozycje. - Potem skupił się na informacji podawanej przez słuchawkę w jego uchu i w końcu zwrócił się do Naomi.
- W porządku, idziemy. Proszę się trzymać za mną.

Wewnątrz ciasnego mieszkania na czwartym piętrze Abdullah Aziz al-Maroub obserwował uważnie jak ostatnia dwójka agentów wbiega po schodach na górę. Skoro musiało się to przydarzyć na jego zmianie, dobrze, że stało się to wcześniej, zanim monotonia jego zajęcia da o sobie znać. Za niecałą godzinę bolałyby go już plecy, a powieki ciążyłyby tak bardzo, że mógłby przeoczyć intruzów.

Pomyślał przez chwilę o tym, jak łatwo było przekonać administratorkę budynku wiosną 1998 roku, kiedy jego poprzednicy po raz pierwszy zjawili się w tym mieście. Wystarczyło zaledwie kilka zmiętych banknotów dwudziestodolarowych, aby uzyskać jej zgodę i jeszcze tego samego dnia kamera została zainstalowana tuż obok wolego oka nad drzwiami wejściowymi, pozwalając mu teraz obserwować osoby wchodzące do budynku albo go opuszczające. Obraz widoczny na dwudziestocalowym ekranie był pozbawiony dźwięku, ale Abdullah dobrze wiedział, kim są ci ludzie i dlaczego się tu znaleźli.

Nawet na moment nie odrywając wzroku od monitora, zawołał Darabi.

Po dotarciu na czwarte piętro Naomi zobaczyła, że operatorzy HRT zajęli już wcześniej wyznaczone stanowiska. Została nieco z tyłu razem z Greenem, w uszach słysząc tylko pulsowanie swojej krwi.

Jeden z mężczyzn wyjął ze swojego plecaka światłowodową kamerę, po czym przykleknął i trzymając w lewej dłoni miniaturowy monitor, wsunął końcówkę kabla pod tandetne drewniane drzwi mieszkania 5A.

Vanderveen pędził właśnie Dwunastą Ulicą na południe, kiedy nagle zadzwoniła jego komórka. Natychmiast zatrzymał się przy krawężniku i odebrał. Tylko jedna osoba znała ten numer, ale otrzymała wyraźne polecenie, żeby korzystać z niego wyłącznie w nagłych przypadkach.

- Tak?
- Słuchaj uważnie, bo nie mam wiele czasu. Właśnie wchodzi tu do mnie na górę agenci.

- Ilu?
- Siedmiu. Pięciu jest uzbrojonych po zęby.
Zdołał zachować spokój, pomimo iż rozmawiał z kobietą, która osobiście przelewała niezbędne fundusze na jego konto bankowe i znała aktualnie używane przez niego nazwisko.

- Co zamierzasz zrobić?
- Nie martw się, nie pożyczę na tyle długo, żeby coś ze mnie wycisnęli. Mieszkanie, z którego korzystamy, jest czyste. Poza tym kończymy wymazywanie twardego dysku.
- A co z telefonem? Mogą namierzyć...
- To sklonowany numer. Naprawdę nie musisz się niczego obawiać. Zajmuję się tym od dawna. Wystarczy ci pieniędzy?
- Mam już prawie wszystko, co potrzebne i dosyć funduszy, żeby kupić resztę. - Zamilkł na chwilę. - Czyli to koniec.
- Obawiam się, że tak. Powodzenia.

Fatima Darabi rozłączyła się, nie czekając na jego odpowiedź, a potem drżącą ręką wykasowała rejestr rozmów. Zawsze zdawała sobie sprawę, że może do tego dojść, ale tak naprawdę nigdy nie spodziewała się najgorszego. Teraz, kiedy najczarniejszy scenariusz stał się rzeczywistością, wiedziała jednak, że wypełni swój obowiązek. Miała wrażenie zapadania się gdzieś w środku i ciągle nie dawało jej spokoju pytanie, czy jej brat czuł to samo w chwili, gdy samolot spadał do oceanu. Z zadumy wyrwał ją al-Maroub, który wyłonił się właśnie z sypialni, ściskając w dłoniach karabin automatyczny. Fatima podniosła wzrok.
- Gotowe? - zapytała, a kiedy mężczyzna skinął głową, sięgnęła po swoją broń.

Nie odwracając się za siebie, kłęczący przy drzwiach operator podniósł najpierw jeden palec, potem drugi. Jego oczy, wpatrzone w niewielki monitor, nagle się rozszerzyły. Stojąca za plecami Greena Naomi pochyliła się właśnie do przodu, żeby szeptem zadać agentowi jakieś pytanie, kiedy grad kul przeszył drzwi, przy których znajdował się przywódca grupy szturmowej. Pierwsze pociski trafiły go prosto w pierś, a potem odrzucony siłą

uderzenia mężczyzna upadł na brudną posadzkę. Członkowie jego zespołu natychmiast odpowiedzieli ogniem.

Zaraz po wybuchu strzelaniny Kharmai przypadła do ziemi i sięgnęła ręką do boku, bezskutecznie próbując wyciągnąć pistolet, a potem zaczęła po omacku szukać przytrzymującego go paska. Kule rozrywały drzwi, przy których leżał martwy operator, i cienkie kartonowo-gipsowe ścianki po obu ich stronach. Agenci rzucili się na boki w poszukiwaniu jakiejś osłony, jednak zanim zdążyli zejść z linii ognia, trzech z nich zostało rannych. Bill Green leżał na schodach tuż obok, próbując coś powiedzieć, ale usta wypełniły się mu krwią. Jego twarz zastygła w wyrazie niedowierzania, a Naomi zauważyła z przerażeniem, że co najmniej kilkanaście pocisków przebiło jego kamizelkę kuloodporną.

W tej jednej paraliżującej chwili poczuła lodowate palce strachu dławiące ją za gardło. Z zaciśniętymi mocno powiekami walczyła o oddech. Słyszała świst kul uderzających w ścianę zaledwie centymetry ponad jej głową. Ranni operatorzy krzyczeli z bólu, dopóki któryś z terrorystów nie ostrzelał korytarza kolejną serią z karabinu maszynowego.

Dwaj pozostali przy życiu agenci w końcu połączyli wysiłki i jeden z nich, osłaniany przez kolegę ogniem, wrzucił granat hukowo-błyskowy przez ziejącą w roztrzaskanych drzwiach dziurę. Naomi ciągle miała zamknięte oczy, nie zauważyła więc oślepiającego światła, które trysnęło na korytarz, jednak wybuch ją ogłuszył. Potem drzwi mieszkania wpadły do środka i obaj operatorzy zniknęli z pola widzenia.

Nie zsiadając z zaparkowanej przy krawężniku hondy, Vanderveen obserwował z nieruchomą twarzą mijające go samochody, a w jego głowie kłębiły się dziesiątki myśli.

Najwyższa pora się wycofać. Pomimo tych wszystkich zapewnień wiedział, że kobieta coś przeoczy; to było nieuniknione, bo przecież w końcu jakoś zdołali ją wytropić. Vanderveen dysponował jeszcze drugim zestawem dokumentów, o których nic nie wiedziała. Zawsze miał je przy sobie. Korzystał z nich już wcześniej, a poza tym były mu potrzebne na dwudziestego szóstego, ale teraz mogły mu się przydać w inny sposób.

Krajowe lotnisko znajdowało się zaraz za mostem, zaledwie parę kilometrów dalej na południe. Stamtąd bez trudu dostałby się do portu międzynarodowego i w przeciagu niecałych dwóch godzin mógłby opuścić kraj.

Tylko co potem? Musiał wziąć pod uwagę kilka niepodważalnych prawd. Jeśli teraz zrezygnuje, nie będzie dla niego miejsca w organizacji, to pewne. Większe zagrożenie stanowili jednak Irańczycy. Może uwierzyliby mu na słowo, najprawdopodobniej uznaliby jednak, że to on wydał ich pośredniczkę. Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie, jego przyszłość wiązała się teraz nieodwracalnie z wynikiem tej operacji.

Jednak znacznie ważniejsze od którejkolwiek z tych argumentów było jego pragnienie, by doprowadzić wszystko do końca. Przez wiele lat rozkoszował się ironią przewrotnej sytuacji, że kraj, którego tak bardzo nienawidził, dostarcza mu narzędzia własnej zagłady. Nie było łatwo udawać lojalność, zwłaszcza na początku, kiedy musiał mieszkać w obskurnych koszarach i jeść posiłki razem z niby to równymi sobie. A potem, odstawiając w Syrii swoje prawdziwe oblicze, myślał tylko o jednym - żeby zadać ból, który palił go od tak dawna, jak największej ich liczbie. To, co spoczywało w stodole przy Chamberlayne Road, za kilka dni znacznie zbliży go do celu. Nie mógł i nie zamierzał tego zmarnować.

Niejasno zdawał sobie sprawę z narastającej w nim wściekłości. Musiał ją stłumić, bo w tym momencie na niewiele mogła mu się zdać, ale pytanie nie przestawało go dręczyć: jak w ogóle mogło do tego dojść? Było jasne, że nie wiedzieli o jego koncie bankowym, z którego korzystał przy wynajmie domu w Wirginii i zakupie furgonetki, inaczej już dawno by go tam dopadli. To musiał być ktoś z zewnątrz... Shakib? To z pewnością możliwe, jeśli znał lokalizację tej kryjówki. Ale teraz już nigdy się tego nie dowie, skoro Shakib zginął rozerwany na strzępy w wybuchu budynku, przed którym stał Ryan Kealey.

Na to wspomnienie w twarzy Vanderveena nie drgnął żaden mięsień. *Kealey*. Bez wątplenia jego dawny dowódca miał coś wspólnego z tym niekorzystnym obrotem sytuacji. Już i tak trudno było znieść myśl, że przeżył tamten postrzał w Syrii, który powinien się przecież okazać śmiertelny, ale teraz naprawdę przeciągał strunę.

Jego oczy załśniły nagle. Skoro Kealey chce w tym uczestniczyć, proszę bardzo. Z tą myślą Vanderveen uruchomił silnik i włączył się do ruchu.

Kiedy Naomi w końcu odzyskała świadomość, była na korytarzu sama. Wstała ostrożnie, oglądając całe ciało w poszukiwaniu ran, przerażona na samą myśl o tym, co może odkryć, ale jakimś cudem nie znalazła nawet draśnięcia. Potem na miękkich nogach ruszyła w stronę zniszczonego mieszkania. Kiedy dotarła do drzwi, dwaj operatorzy wyłonili się akurat ze środka, zupełnie nie zwracając na nią uwagi i mówiąc coś szybko, ale spokojnie, do swoich mikrofonów.

- Baza, tu Alpha 4, mam czterech rannych agentów, dawajcie sanitariuszy. *Natychmiast.*

Naomi weszła do zrujnowanego mieszkania, jednocześnie wsuwając swój pistolet do kabury. Tandetne meble były niemal całkowicie zniszczone, dywan pokrywały drzazgi drewna i odłamki potłuczonego szkła. Jeden z terrorystów leżał na podłodze z rozrzuconymi ramionami i nogami. Naomi poczuła w ustach gorzki smak żółci, kiedy zobaczyła, co zostało z twarzy mężczyzny. Szybko odwróciła wzrok i odetchnęła płytko kilka razy, jednocześnie chwytając urywki rozmowy toczącej się za jej plecami.

- Baza, poprawka, pięciu agentów rannych. Powtarzam, pięciu rannych. Dwoje terrorystów wyeliminowanych. Potwierdź wysłanie karettek.

Naomi słyszała już gdzieś w oddali syreny, kiedy zrobiła jeszcze parę kroków w stronę jednej z sypialni. Pokój był skąpo umeblowany, a uwagę zwracało przede wszystkim podziurawione teraz kulami biurko z resztkami czegoś, co wyglądało na przenośny komputer.

Fatima Darabi siedziała oparta o ścianę w miejscu, gdzie upadła. Jej ciało było pokierszowane, ale umysł nadal pracował, choć wypełniał go teraz wyłącznie ból. Fatima otworzyła usta, żeby odetchnąć, a kiedy nic się nie wydarzyło, uświadomiła sobie, że zostało jej zaledwie kilka sekund. Poprzez szybko ogarniający ją mrok dostrzegła jeszcze wchodzącą do pokoju kobietę, która wyglądała na kompletnie ogłuszoną.

Gasnące oczy Darabi spoczęły na leżącym niedaleko niej pistolecie. Jeden z agentów kopnięciem usunął go z jej zasięgu, zanim włądował kilka kul prosto w jej klatkę piersiową. Trzeba się będzie wyciągnąć, musiała jednak spróbować. Chociaż jej ciało umierało, kierująca nią nienawiść była równie silna jak zawsze.

Przeglądająca zawartość biurka Naomi nagle wyczuła za swoimi plecami jakiś ruch. Odwróciła się, żeby spojrzeć na oparte o ścianę ciało, powtarzając sobie w myślach, że ten dźwięk to tylko wytwór jej wyobraźni - dopóki nie poruszyły się oczy. A potem patrzyła z niedowierzaniem, jak ręka kobiety przesuwana się w stronę znajdującego się jakiś metr na prawo od jej ciała pistoletu. Operatorzy, chcąc jak najszybciej wrócić do rannych kolegów, uznali widocznie, że obiekt został zlikwidowany. Ale kobieta nadal żyła, przynajmniej na razie, i trzymała w dłoni pistolet wycelowany prosto w Naomi, która sięgnęła do kabury...

Jej reakcja była zdecydowanie za wolna. Umierająca terrorystka uspokoiła dłoń, a potem nacisnęła spust.

Pogięta i odrapana blaszana budka telefoniczna znajdowała się na drugim końcu parkingu, zasłonięta od strony sklepu przez rząd zdezelowanych samochodów. Tuż obok leżała góra śmieci i niedopałków papierosów, a po książce telefonicznej, niegdyś przytwierdzonej przy pomocy łańcuszka, nie było nawet śladu.

Jednak Vanderveen wcale jej nie potrzebował, bo numer już dawno wrył się mu w pamięć. To ostatnia rzecz, którą miał do zrobienia w mieście. Nie mógł wykonać tego telefonu ze swojej komórki, ani tym bardziej z wynajętego w Wirginii domu. Nie chciał też dzwonić z okolic nabrzeża, chociaż niebezpieczeństwo, że połączenie zostanie namierzone, było naprawdę niewielkie. Spokojnie podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- Dzień dobry, U.S.Army Rangers Association. Mówi Pam, w czym mogę pomóc?

- Cześć, Pam, tu Ryan Kealey. Jestem członkiem stowarzyszenia i otrzymuję wasz biuletyn, ale ostatnio „Ranger Register” do mnie nie dociera... Niedawno się przeprowadziłem i niepokoi mnie, czy na pewno macie mój nowy adres w papierach.

Ta próba niosła ze sobą tylko niewielkie ryzyko. Kobieta mogła zapytać o jego numer ubezpieczenia, poprzedni adres, datę urodzenia... zadać mu całą masę pytań, na które nie znał odpowiedzi. Jeśli tak się stanie, po prostu odłoży słuchawkę i poszuka innego sposobu.

- Jaki jest pana nowy adres, panie Kealey?

Vanderveen odetchnął z ulgą.

- Manor Drive 1662, Springfield w stanie Illinois - powiedział, a potem podał jej jeszcze kod pocztowy. - Nie pamiętam, czy poinformowałem was o tej zmianie... Taki macie adres?

Usłyszał daleki stuk klawiszy komputera gdzieś po drugiej stronie linii.

- Nie, proszę pana, w naszej bazie figuruje adres Village Creek Road 1334, Cape Elizabeth, Maine. Zaraz to poprawię.

- Dziękuję bardzo.

- Czy mogę w czymś jeszcze panu pomóc?

Poirytowany Vanderveen odniósł wzrok, bo Dwight D. Eisenhower Freeway tuż obok niego właśnie przemknęło kilka karettek, niemal zagłuszając wyciem syren głoś w słuchawce.

- Nie - powiedział w końcu. - Bardzo dziękuję za pomoc.

- Proszę bardzo. Życzę miłego dnia.

Vanderveen odłożył słuchawkę i ruszył w stronę hondy. Udało się. Pamiętał Kealeya jako człowieka cechującego się niezwykłym wprost oddaniem jednostkom, w których służył. A ponieważ było ich całkiem sporo, Vanderveen musiał wykonać wiele telefonów. Naprawdę całe mnóstwo. Miał się już poddać, kiedy w końcu trafił na to.

W jednej wspaniałej chwili olśnienia przypomniał sobie, że Kealey poszedł kiedyś do dowódcy dywizji w Fort Bragg z propozycją zbiórki pieniędzy na fundację zajmującą się budową pomnika upamiętniającego 75 pułk Rangers. Dzięki temu dotarł do U.S. Army Rangers Association, jednego z głównych stowarzyszeń skupiających byłych członków tej formacji.

Zadowolony z siebie przejechał przez Francis Case Memorial Bridge, pozostawiając za sobą Waszyngton, nad którym zapadał już zmrok. Wreszcie podjął decyzję. Miał zamiar doprowadzić sprawę do końca. Zresztą zaszedł za daleko, pracował na to zbyt ciężko, żeby tak po prostu wszystko zaprzepaścić. Uznanie, że

tamta kobieta raczej odebrała sobie życie, niż zdradziła cokolwiek, wymagało od niego ogromnej wiary, ale był gotów podjąć takie ryzyko. Miał teraz zbyt wiele do stracenia.

Dzień był niezwykle owocny. Vanderveen pozwolił sobie na lekkie uczucie satysfakcji, kiedy pomyślał, że znowu ma władzę nad życiem i śmiercią człowieka, którego los powinien zostać przypieczętowany na tamym syryjskim wzgórzu siedem lat temu.

Po nocnej ucieczce z Hay-Adams Kealey zameldował ich w znacznie skromniejszym hotelu na peryferiach Alexandrii. Zapłacił z góry gotówką, zanim jeszcze dowiedział się, że sprawa z Elginem jest już nieaktualna i ciągle jeszcze wyobrażał sobie te gorące relacje dziennikarzy, gdyby ci zdołali go jakoś wytropić. Był zupełnie wyczerpany, zarówno fizycznie z powodu wielu godzin bez chwili wytchnienia i stresu, jak i psychicznie, po przedłużającej się kłótni z Harperem, która nadal nie została definitywnie zakończona.

Nie miał żadnych złudzeń co do możliwości dalszej pracy w Agencji, ale szanował Harpera, co więcej, uważał go za swojego przyjaciela, dlatego nie dawało mu spokoju, że wyjechał z Langley, nie spróbowawszy nawet załagodzić sytuacji.

Zatrzymał swoje bmw na hotelowym parkingu, skąpanym w blasku gasnącego słońca, a potem odetchnął głęboko i przyklnął oczy, wyobrażając sobie, zaledwie przez krótki moment, jak będzie wyglądać jego życie, kiedy to wszystko się skończy. Posada wykładowcy w Orono nie była wcale taka zła. Nudna, ale to akurat da się wytrzymać. Może zaangażuje się bardziej, weźmie dodatkowe zajęcia. Poza tym mogliby się przeprowadzić, znaleźć dom bliżej miasta. Katie wspominała o tym ostatnio, nie był jednak pewien, czy mówiła poważnie.

Właściwie mogą przecież wyjechać dokądkolwiek. Ryan miał mnóstwo pieniędzy, głównie odziedziczonych po dziadku ze strony matki. Starał się z nimi nie obnosić... wydał oczywiście sporo na samochód i eleganckie hotele, ale już dom w Cape Elizabeth, chociaż wygodny, nie był niczym wyjątkowo ekstrawaganckim jak na tamtą okolicę, a przejście na emeryturę stanowiło przecież jeszcze zaledwie odległą przyszłość. Pierścionek zaręczynowy to jego największy zakup w tym roku.

Z drugiej jednak strony Ryan nie był skąpy, mogli więc pojechać w tyle wspaniałych miejsc...

W końcu wysiadł z auta i ruszył w stronę hotelu. Chyba dobrze byłoby się oderwać od tego wszystkiego, przynajmniej na chwilę. Ciekawe, co Katie powiedziałaaby na ślub o zachodzie słońca gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Na myśl o jej reakcji uśmiechnął się lekko i nagle nie mógł się już doczekać, żeby ją o to zapytać.

Szybko otworzył drzwi, ale kiedy wszedł do środka, powitała go cisza.

- Katie?

Żadnej odpowiedzi.

Rozejrzał się wokół i natychmiast zauważył leżącą na łóżku walizkę, z wysypującymi się z niej ubraniami. W tym momencie Katie wynurzyła się z łazienki i na jego widok zamarła bez ruchu. Wyraz jej zdradzał wszystko.

To twoja wina, Ryan, szepnęło mu gdzieś w głowie. Od tygodni nie zwracasz na nią uwagi. Powinieneś być to przewidzieć.

Musiał jednak zadać to pytanie.

- Co ty wyprawiasz? Co się stało?

Zapadła długa cisza.

- Odchodzę, Ryan. - Katie zebrała się wreszcie na odwagę. Jej słowa były dla niego jak uderzenie w twarz. - Wracam do Maine.

Oczywiście, wiedział, że to powie, ale wcale nie było mu łatwiej, gdy usłyszał te słowa wypowiedziane na głos.

- Dlaczego? - Nie doczekał się odpowiedzi. Katie podeszła do walizki, żeby upchnąć w niej resztę rzeczy. - Katie, proszę cię, po prostu... Możesz przestać na chwilę?

Zawahała się, ale w końcu przerwała pakowanie i podniosła na niego wzrok. Nawet z drugiego końca pokoju widać było, że z trudem powstrzymuje łzy.

- Dlaczego chcesz odejść?

- Dlaczego? - powtórzyła niedowierzająco, wpatrując się w niego z dziwną mieszaniną gniewu, rozczarowania i bólu.

- Pytasz serio? Ryan, ostatnio prawie w ogóle się nie widzimy, a ja przez cały czas zastanawiam się tylko, co robisz w danej chwili i czy na pewno nic ci nie jest. Masz pojęcie, jak ciężko to znieść? Pamiętasz jeszcze, dlaczego w ogóle tu przyjechałam?

- Oczywiście, że tak. Mówiłem ci...
- Ależ z siebie kłamca, Ryan - przerwała mu z goryczą. W jej oczach odbijało się ogromne cierpienie. - Nic nie rozumiesz, w najmniejszym stopniu. Gdyby było inaczej, nie kazałbyś mi przechodzić przez to wszystko. Wiedziałbyś, jak bardzo to boli.

- Katie, przepraszam. - Dopiero w tym momencie zaczęła do niego docierać powaga sytuacji. - Boże, naprawdę mi przykro. Nie miałem o tym pojęcia, przysięgam...

Nadal wpatrywała się w niego uważnie, a malujące się na jej twarzy rozczarowanie ustąpiło miejsca czemuś znacznie gorszemu - nieufności.

- Kocham cię, Ryan - powiedziała w końcu. - Naprawdę tak jest. Ale nie mogę tu zostać, dopóki to wszystko się nie skończy, zwyczajnie nie mogę. Kiedy tu jestem, tak blisko ciebie, a jednocześnie kompletnie nie mam pojęcia, co się dzieje i ciągle zastanawiam się tylko, czy ktoś nie zastuka w środku nocy do drzwi, żeby mi powiedzieć, że ty... - urwała nagle, jakby nie potrafiła czy nie chciała ubrać tej myśli w słowa. - To dla mnie za trudne.

Na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu. Katie otarła oczy rękawem swetra, po czym chwyciła swoją walizkę.

- To po mnie - szepnęła. - Wezwałam taksówkę. Bilet czeka już na lotnisku.

Ryan nie wiedział co robić. Chociaż sam cierpiał męki, najgorsze było patrzeć na jej ból. Pragnął chwycić ją w ramiona i zatrzymać, domyślał się jednak, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Próbował znaleźć przynajmniej właściwe słowa, ale jak często da się ująć wszystko w kilku zdaniach? Co mógłby powiedzieć, żeby zmniejszyć tę przepaść pomiędzy nimi? *Nie pozwól jej odejść bez słowa.*

- Katie? - Odwróciła się już przy drzwiach, z wzrokiem wbitym w podłogę. - Mam nadzieję, że rozumiesz... Powiedziałem ci wcześniej, że cię potrzebuję... Mówiłem poważnie, wiesz o tym, prawda? Nie potrafię wymyślić niczego innego, znaleźć żadnych słów, które byłyby bardziej prawdziwe.

Z gardła Katie wydarł się zduszony szloch.

- Nie dzwoń do mnie, Ryan - powiedziała wreszcie, nadal nie podnosząc oczu.

- Co takiego? - Czuł narastającą gdzieś w środku panikę.
- Katie, posłuchaj... - Zrobił krok w jej stronę, ale powstrzymała go gestem drżącej ręki.
- Nie! Po prostu... tego nie rób, dobrze? Nie w najbliższej przyszłości. Potrzebuję trochę czasu.
- Katie!

Już jej nie było. Drzwi zamknęły się za nią cicho.

Ryan wpatrywał się w nie z niedowierzaniem. Chciał pobiec za Katie, ale nie był się w stanie ruszyć, rozpaczliwie próbując tylko zrozumieć, co tak naprawdę przed chwilą zaszło. Rozejrzał się dookoła, przesuwając wzrokiem po nijakich grafikach i typowych hotelowych meblach. Tak właśnie będzie wyglądało życie bez niej, dobrze o tym wiedział. Bezbarwne otoczenie i cisza.

Nie potrafiłby już do tego wrócić, nie po tym, co mu ofiarowała. Potrzebował czasu, żeby przemyśleć to wszystko, zastanowić się, jak ją odzyskać, ale coś wdzierało się bezceremonialnie w jego świadomość. W końcu rozejrzał się oszołomiony wokół, nadal próbując jakoś ogarnąć umysłem to nieszczęście, które przed chwilą na niego spadło. Jego telefon leżał na toalecie, tam gdzie go wcześniej rzucił. Wpatrywał się w komórkę przez dobre dwadzieścia sekund, zanim uświadomił sobie, że to ona dzwoni.

Niecałe pół minuty później pędził już do swojego samochodu, zabrawszy ze sobą tylko kurtkę i telefon. Opony jego bmw zostawiły za sobą na asfalcie długie ślady gumy, kiedy pomknął poprzez noc w kierunku świateł miasta, z powrotem w stronę Waszyngtonu. Wszelkie dotyczące Katie decyzje musiał odłożyć na potem.

ROZDZIAŁ 27

WASZYNGTON

Kiedy Naomi się obudziła, jej powrót do świata był stopniowym procesem. Najpierw dostrzegła jakieś niewyraźne cienie, porozielane jedynie cienkimi pasmami żółtego światła. Potem coraz lepiej widziała swoje otoczenie - *szpital?* - a światło zdawało się wsączać w te ciemne plamy, tak że wkrótce zaczęła rozróżniać twarze pochylających się nad nią ludzi. Jej wzrok nabierał ostrości, więc widziała je coraz wyraźniej. Kiedy zauważyła w ich oczach troskę, a nie strach, poczuła jak zalewa ją ogromna fala ulgi.

- Naomi, słyszysz mnie? - Ryan ujął jej dłoń, podczas gdy Harper wyszedł na korytarz w poszukiwaniu pielęgniarki. Naomi próbowała coś powiedzieć, ale w gardle jej zaschło, a poza tym jeszcze nie do końca jeszcze przyszła do siebie.

- Mmmm.

- Wszystko w porządku - zapewnił Ryan. - Dostałaś dwie kulki, ale kamizelka zatrzymała obie. Mimo wszystko na twoim miejscu jeszcze bym się nie ruszał. Będzie bolało.

I rzeczywiście, Naomi poczuła przeszywający ból w piersi, gdy tylko spróbowała usiąść. Ryan pomógł jej ułożyć się z powrotem na poduszce, a potem odgarnął jej włosy.

- Jezu, przecież mówiłem ci, żebyś leżała spokojnie - mruknął lekko poirytowany. - Czasami nie mam już do ciebie siły. Gdybym ci zabronił wybiegać na ulicę, pewnie zaraz wyskoczyłabyś przed jakiś samochód, byle tylko zrobić mi na złość.

Naomi uśmiechnęła się blado.

- Jak długo byłam nieprzytomna?

- Około trzech godzin. Jak się czujesz?

Naomi poruszyła rękami, a potem skrzywiła usta.

- Obolała. Mogę prosić o trochę wody? - Ryan natychmiast podszedł do kranu. - Kiedy będę mogła wrócić do domu?

- To się jeszcze zobaczy - odparł łagodnie, wręczając jej kubek, po czym delikatnie uściśnął jej dłoń. - Postaraj się trochę odpocząć.

Naomi zdążyła upić łyk wody, kiedy do pokoju wrócił Harper. Zaraz za nim zjawiła się zmęczona pielęgniarka, która natychmiast zabrała się do sprawdzania objawów czynności życiowych u pacjentki. Ryan tymczasem pociągnął zastępcę dyrektora w stronę drzwi.

- Co ona, *kurwa*, robiła na tej akcji, John? - rzucił, mierząc swojego zwierzchnika wściekłym wzrokiem, gdy tylko znaleźli się na korytarzu.

- Jest dorosła - odparł spokojnie Harper. - Chciała, żebym dał jej szansę, a ja się zgodziłem. Poza tym nie masz prawa zadawać mi takich pytań, Ryan, nie po całym tym gównie, którego narobiłeś z Elginem.

Ryan odwrócił głowę, próbując się opanować. Dobrze wiedział, że gniew nie jest teraz najlepszym doradcą.

- Co znaleźliście w tamtym mieszkaniu? - zapytał w końcu.

- Niewiele, ale jeszcze nie skończyliśmy. Nadal próbujemy zidentyfikować lokatorów. Oczywiście gospodarz budynku miał ich nazwiska, tylko że nic nam one nie mówią. Agenci FBI znaleźli nietkniętą komórkę, ale to sklonowany numer. Pewnie nic z tego nie będzie. Rejestr rozmów wychodzących został wykasowany. W mieszkaniu był też laptop, ale ktoś wpakował w niego kilka kulek, kiedy wybuchła ta strzelanina. - Harper oparł się o ścianę i przetarł zmęczone oczy. - Nie zrobiliśmy na tym dobrego interesu, Ryan. HRT straciło czterech operatorów, piąty jest w stanie krytycznym. Szef FBI na Waszyngton też zginął. W zamian nie dostaliśmy nic. Federalni szaleją - to już ich drugi człowiek z samej góry, którego stracili na Wschodnim Wybrzeżu w przeciągu zaledwie miesiąca. Jedyną dobrą wiadomością jest to, że udało się nam zmylić prasę. Dziennikarze są przekonani, że chodzi o nieudaną próbę zatrzymania niebezpiecznego przestępcy.

- W mieszkaniu nie było żadnych dokumentów? Aż trudno w to uwierzyć.

- No cóż, ale taka właśnie jest prawda - odparł Harper. - To nie byli amatorzy. - Na jego twarzy pojawił się teraz wyraz zamyślenia. - Ale najbardziej interesuje mnie ta kobieta. Sam wiesz przecież, co irańscy konserwatyści sądzą o kobietach w ogóle i na pewno skorzystaliby z pomocy którejkolwiek z nich tylko w przypadku absolutnej konieczności. Zadanie, które jej powierzyli, musiało być naprawdę ważne. Gospodarz mówił, że ta dwójka zjawiała się u niego mniej więcej pół roku temu, więc nasi ludzie sprawdzają teraz akta urzędu imigracyjnego od początku tego roku. Jeżeli mieli być uśpionymi szpiegami na przyszłość, to na pewno od samego początku byli dobrze zakonspirowani. Z Teheranu pojechaliby najpierw do któregoś z krajów zachodniej Europy, żeby ukryć bezpośrednie powiązanie, a dopiero potem przenieśliby się do Waszyngtonu. Istnieje spora szansa, że wcześniej czy później ich zidentyfikujemy.

- Dlaczego jesteś taki pewien, że pochodzili z Iranu? - Ryan popatrzył na niego uważnie.

- Naomi twierdzi, że słyszała, jak krzyczeli coś do siebie w farsi, kiedy zaczęła się strzelanina.

- To tylko zawęży krąg podejrzanych, ale tego języka używa się też w Afganistanie, Iraku, Bahrajnie... Mogli pochodzić właściwie z każdego państwa Bliskiego Wschodu.

Harper zmarszczył niecierpliwie brwi.

- Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, Ryan, możemy chyba śmiało zaryzykować stwierdzenie, że to nie byli Irakijczycy. Dotarliśmy do nich poprzez Shakiba, pamiętasz?

- Jasne... - Kealey westchnął ciężko. - Masz rację.

- Co się z tobą dzieje? - zainteresował się Harper.

- Nic. - Ryan zdawał sobie sprawę, że jego odpowiedź nie była zbyt uprzejma. - Co teraz?

Harper nadal bacznie mu się przyglądał.

- Za jakąś godzinę, dwie powinni wypisać Naomi - powiedział w końcu - a ja spieszę się jeszcze do Langley, bo FBI ma nam przefaksować spis rzeczy z mieszkania, na który chciałbym zerknąć. Mógłbyś na nią poczekać?

- Nie ma sprawy. - Ryan potarł znużonym gestem twarz. Zmęczenie dawało już o sobie znać, a poza tym nie miał ochoty

siedzieć beczynnie przez godzinę albo dwie i rozmyślać o Katie, ale nie mógł przecież zostawić Naomi samej w szpitalu. - Zaczekam na nią. I tak muszę się zastanowić nad paroma sprawami. Harper skinął głową i poklepał go lekko po ramieniu, po czym ruszył w stronę wyjścia. Ryan zawahał się, w końcu jednak zawołał za nim.

- Tak? - Dyrektor odwrócił się w jego stronę.
- Jeśli chodzi o tę kobietę, która postrzeliła Naomi...
- To nie Naomi ją trafiła. - Harper pokręcił wolno głową.
- Strzeliła co prawda kilka razy, ale chybiła. Załatwił ją jeden z federalnych.
- Dobra... dzięki.
- Jasne.

Ryan patrzył na oddalającego się szefa ze znacznie lżejszym sercem. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała teraz Naomi, konieczność życia z taką świadomością. Dobrze, że nie będzie musiała.

Z tą myślą zawrócił do środka, żeby poczekać na wypis.

ROZDZIAŁ 28

HRABSTWO HANOVER • LANGLEY • WASZYNGTON

Zła pogoda utrzymująca się nad środkową Wirginią od tygodni w końcu ustąpiła, pozostawiając za sobą rozmokłą ziemię i ciężkie od wody konary drzew. Wiejący nieprzerwanie z południowego zachodu wiatr przeganiał chmury przez bladą tarczę porannego słońca, siekąc jeszcze ostatnimi kroplami deszczu o zniszczone belki stodoły.

Wnętrze domu pogrążone było w półmroku, rozświetlanym jedynie w tych momentach, gdy słońce wynurzało się zza chmur, zalewając kuchnię mglistym światłem, które wdzierało się przez otwarte okna. Vanderveen zajrzał do lodówki w poszukiwaniu czegoś do picia, zastanawiając się jednocześnie nad swoimi planami na ten dzień.

W końcu zdecydował się na małą butelkę soku pomarańczowego Tropicany. Był okropnie zmęczony, bo ostatniej nocy niewiele spał. Po powrocie z Waszyngtonu obserwował dom z daleka przez prawie cztery godziny, niemal spodziewając się zobaczyć jakieś oznaki policyjnej obecności. Kiedy wreszcie uznał, że nic mu nie grozi, słońce zaczynało już rozjaśniać korony drzew na wschodzie. To, że dom nie był otoczony kordonem policji oznaczało jedno - kobieta dotrzymała swojej obietnicy. Nie czuł żalu z powodu jej śmierci ani nawet wdzięczności za tę ofiarę. Tak naprawdę był wręcz zadowolony, że pośredniczka nie żyje, bo stanowiła najniebezpieczniejsze ogniwo łączące go z Irańczykami. Teraz mógł się czuć spokojny, przynajmniej na razie.

Wszystko przebiegało zgodnie z harmonogramem. Po południu skończy budować główny ładunek, mocując co delikatniejsze części urządzenia w furgonetce, zanim znowu sprawdzi zespół obwodów elektrycznych. A wieczorem zabierze się do żmudnego układania ciężkich betonowych bloków, które, umieszczone pod blaszaną ścianką oddzielającą kabinę od części ładunkowej, skierują całą siłę wybuchu do tyłu i na zewnątrz.

Wyszedł na dwór i zatrzasnąwszy za sobą drzwi z siatką przeciw owadom, skierował się poprzez czarną, rozmiękłą ziemię w stronę budynku gospodarczego. Nagle przystanął, bo obok stodoły zobaczył należące do agentki nieruchomości forda escape. Wrota, które zostawił zasunięte, ale niezamknięte na klucz, były teraz otwarte na oścież, wpuszczając do wnętrza chłodne poranne powietrze.

Zaklął pod nosem. Zamyślony, najwyraźniej nie usłyszał jej przybycia. Poza tym z kuchennego okna nie było widać głównej drogi, więc nie miał możliwości zauważenia samochodu zajeżdżającego na tyły domu. Po krótkiej chwili wahania ruszył do przodu.

Stała koło furgonetki, na gołej betonowej posadzce otoczonej zwałami słomy. Vanderveen rozejrzał się szybko wokół, żeby przekonać się, czego mogła dotyczyć, zanim przeniósł wzrok na jej twarz, ginącą niemal zupełnie w cieniach zalegających stodołę.

Przyszła tu, żeby mu się przypodobać. Świadczyły o tym jej ciasne dżinsy i odsłaniająca brzuch bluzka bez pleców, usta muśnięte czerwoną szminką i sposób w jaki jej blond włosy układały się wokół jej twarzy o wystających kościach policzkowych. Było też jasne, że widziała za dużo.

- Cześć. - Czują się niepewnie, zauważył z pewnym rozbawieniem, bo sprzeczka, którą sobie zaplanowała, nie miała teraz sensu. Próbował sobie przypomnieć jej imię. *Nicole*.

- Chciałam po prostu... Wpadłam do ciebie, bo... No wiesz.

- Cześć, *Nicole*. Nie musisz mi niczego tłumaczyć. Cieszę się, że przyszłaś. - Rzucił jej ujmujący uśmiech i bez wahania ruszył w jej stronę. Kobieta zrobiła dwa kroki do tyłu, ale nie miała dokąd uciec. Przyciągnął ją do siebie bliżej i pocałował prosto w usta, przesuając jednocześnie dłońmi po jej plecach.

Nie zareagowała na jego dotyk, ewidentnie zbyt przerażona, żeby się poruszyć. *Interesujące.*

Potem odsunął się gwałtownie i podszedł do stołu przyjrzeć się uważniej warsztatowi. Nie mógł mieć pewności, ale wydawało się mu, że zgasił lampkę przy lupie, a teraz była ona włączona, wyraźnie oświetlając leżące na blacie przedmioty. Na ten widok Vanderveen poczuł lekką irytację.

- Dopiero... dopiero co przyszłam. Po... po prostu chciałam cię znowu zobaczyć... Jeśli nie zyczysz sobie, żebym cię odwiedzała, to... ja już nie będę. Przepraszam, naprawdę...

Słowa płynęły teraz gdzieś daleko. Był przekonany, że zostawił kabel wewnątrz drewnianej skrzyni, a teraz kilka kawałków leżało *obok* niej. Irytacja zamieniła się w gniew.

- Ni... niczego nie dotykałam. Ja... hm, przepraszam, że tu weszłam, po... powinnam zapukać. W ogóle trzeba było najpierw zajrzeć do domu, wiem...

Wydawało mu się, miał wręcz pewność, że cztery detonatory znajdowały się razem, a teraz jeden z nich leżał oddzielony od reszty, obok pistoletu kaliber czterdzieści. Gniew ustąpił miejsca fali wściekłości. Wziął do ręki broń, przez chwilę rozkoszując się jej uspokajającym ciężarem.

Milbery była już prawie przy drzwiach. Wycofywała się tyłem, a usta nie zamykały się jej nawet na chwilę.

- Ja... ja... nic nie widziałam, przy... przysięgam... - Kiedy się odwrócił, w końcu zauważyła pistolet w jego ręku, a jej głos zaczął się wznosić do krzyku. - Proszę, pozwól mi odejść. *Błagam! Przepraszam! Naprawdę NIC NIE WIDZIAŁAM, PRZYSIĘGAM!*

Vanderveen uniósł broń i strzelił jej prosto w brzuch, a potem z zadowoleniem patrzył, jak jej ciało osuwa się na betonową podłogę.

Znajdowali się w gabinecie Harpera na szóstym piętrze, usadowieni w tych samych fotelach, co kilka tygodni temu. Naomi wracała do sił we własnym domu, na co twardo nalegał zastępca dyrektora. Zjawiła się rano w Langley, zgięta z bólu w pół, jednak Harper odesłał ją z powrotem, żeby trochę wypoczęła. Jej początkowa odmowa opuszczenia pracy za-

imponowała Ryanowi, choć nie miał nawet odwagi zastanawiać się teraz, co to może oznaczać.

Harper był w szampańskim nastroju. Agenci FBI zdołali dotrzeć do taksówkarza, który na początku listopada woził Irankę przez kilka dni z rządu na krajowe lotnisko. Ponieważ nigdy nie wsiadła na pokład samolotu, nie było się trudno domyślić, co tam robiła.

- Korzystała ze skrytki - odgadł natychmiast Ryan.

- Zgadza się. - Jego zwierzchnik usadowił się wygodniej w fotelu. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - W mieszkaniu nie znaleźli żadnych dokumentów, ale schowek był na to samo nazwisko, które podała gospodarzowi domu. Theresa Barzan. - W środku były saudyjskie paszporty dla niej i jej ochroniarza.

- A te nazwiska coś dały?

- Jeszcze nie. - Entuzjazm Harpera nieco przygasł. - Takie śledztwo wymaga jednak sporych nakładów pracy. Mają zamiar zacząć od banków - to znacznie łatwiejsze od czasu wprowadzenia „Patriot Act”. FBI podejrzewa, że ta kobieta mogła zajmować się transferem pieniędzy dla Shakiba.

- John, sprawdzanie banków potrwa całe wieki. - Kealey nie krył swojego sceptycyzmu. - Będą utrudniać federalnym robotę na każdym kroku. Co z Vanderveenem? Myślisz, że jemu też przelewała pieniądze?

- Kto to może wiedzieć? - Harper wzruszył ramionami. - To, oczywiście, możliwe. W każdym razie musisz wiedzieć, jak się sprawy mają. Przez ostatni tydzień dyrektor brał udział w rozmaitych spotkaniach, a jednym z rezultatów jest to, że wizyta Chiraca i Berlusconiego otrzymuje status NSSE.

Ryan wcale nie był zaskoczony. NSSE to skrót od National Special Security Event, co oznaczało między innymi, że zgodnie z prezydencką dyrektywą numer 62 Secret Service było tą agencją rządową, na której spoczywała odpowiedzialność za przygotowanie i wprowadzenie w życie specjalnych środków ostrożności podczas tego typu imprez. Ryan uświadomił sobie, że dwudziestego szóstego listopada agenci odetną pewnie całkowicie przystań, a do pomocy zostaną wezwane dodatkowo FBI, FEMA¹⁹ i waszyngtońska policja.

¹⁹Federal Emergency Management Agency - Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego.

- Problem w tym, że informacja o tej decyzji trafi do prasy, dzięki czemu Vanderveen o wszystkim się dowie i na pewno wprowadzi stosowne poprawki w swoim planie. Teraz nie ma już mowy, żeby się wycofał.

Twarz Harpera wydłużyła się jeszcze bardziej.

- Nie wiem, co więcej moglibyśmy zrobić, Ryan. Zdaję sobie sprawę, że banki to strzał w ciemno, ale mamy mało czasu. Poza tym nadal nie dysponujemy żadnymi dowodami, że Vanderveen jest w kraju, nie mówiąc już o Waszyngtonie.

- Na pewno tu jest, John. Dałbym sobie głowę uciąć. - Kealey cały czas rozważał rozmaite możliwości. - A co z nieruchomościami?

- To znaczy? - zdziwił się Harper i dopiero potem zrozumiał, o co chodzi. - Myślisz o jakiejś bazie operacyjnej?

- Właśnie o tym mówię - przytaknął Ryan, a potem zamilkł na dłuższą chwilę. - Posłuchaj, wydaje mi się, że najwyższa pora przyjąć pewne rzeczy za pewnik. Wiem, że to ryzykowne, ale chyba nie mamy innego wyjścia. Dysponujemy mnóstwem drobnych tropów, ale nie wiążemy ich ze sobą wystarczająco szybko. Musimy założyć, że Vanderveen zamierza dopaść wszystkich trzech: Brennemana, Chiraca i Berlusconiego.

- Sądząc z tego, co powiedział ci Gray w Kapsztadzie - przypomniał sobie Harper.

- Zgadza się. Vanderveen odbył szkolenie snajperskie, ale przede wszystkim jest saperem. Żeby zabić całą trójkę jednocześnie, najprawdopodobniej będzie musiał użyć bomby. A jeśli przyjmujemy, że to właśnie planuje, stajemy przed podstawowym pytaniem: gdzie ją konstruuje?

Harper zastanawiał się tylko przez moment.

- Na pewno nie w mieście.

- Nie. - Ryan potrząsnął głową. - Tu się z tobą zgadzam. Za duży tłok, zbyt wielu potencjalnych świadków. Ale nie może też być zbyt daleko. Kiedy już zbuduje tę bombę, będzie ją musiał jakoś przewieźć. To spore ryzyko.

- W takim razie gdzie? Wirginia, Maryland...?

- Zacząłbym właśnie od tego. Umowy wynajmu z ostatnich kilku tygodni to dobry początek. Jeżeli przyjmujemy, że Vanderveen składa materiały wybuchowe, to na pewno będzie też

potrzebował dostępu do jakiegoś domu. Oczywiście, to ogromny obszar, więc musimy jakoś zawęzić zakres poszukiwań. Na pewno wybrał spory kawałek ziemi, nie do wykorzystania, ale żeby zapewnić sobie odosobnienie. Musimy skupić się na rejonach wiejskich - zacznijcie od farm, potem sprawdźcie przedmieścia. Zadba też o drogi ucieczki, a to oznacza główne trasy - nie będzie brał pod uwagę czegokolwiek w odległości większej niż jakieś osiem kilometrów od autostrady między stanowej.

- Skąd to wszystko wiesz, Ryan? - Harper wpatrywał się w niego uważnie.

- To się nazywa OPSEC - bezpieczeństwo operacyjne. Chodzi o to, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo wykrycia. Vanderveen zna procedury równie dobrze, jak ja, ale nie ma na to żadnych gwarancji. Poza tym w znacznej mierze nadal pozostajemy w sferze domysłów. Dlatego wahałem się, czy w ogóle to sugerować... Jeśli zaangażujemy w te poszukiwania spore siły, a ja się jednak mylę, damy mu ogromną przewagę.

Zastępca dyrektora pokiwał powoli głową.

- Ale mimo wszystko w obecnej sytuacji uważam, że powinniśmy zaryzykować. Porozmawiam z Andrewsem, że powinien to być nasz priorytet w Tyson's Corner. A poza tym osiągniemy jeszcze jeden cel, angażując w to FBI i Secret Service. - Harper uśmiechnął się ze znużeniem. - Ufam ci, Ryan, ale wolę, żeby Agencja nie zajmowała się tym sama. Nie chcemy przecież zostać z całą odpowiedzialnością na karku, jeżeli coś pójdzie nie tak.

Vanderveen skupił się teraz na najdelikatniejszym etapie pracy - pochylony nad szkłem powiększającym, ostrożnie sprawdzał wszystkie złącza. Wymagało to zaledwie odrobiny lutowia, ale musiał dokładnie sprawdzić instalację elektryczną, żeby upewnić się, czy radiatory zadziałały prawidłowo. W innym przypadku istniało niebezpieczeństwo, że lutownica uszkodziła delikatne części mechanizmu dzwoniącego komórki.

Nagle usłyszał za plecami jakiś hałas, obejrzał się więc za siebie, zmarszczywszy lekko brwi.

Nicole Milbery leżała skulona w pozycji embrionalnej, z dłońmi przyciśniętymi mocno do rany, jakby chciała w ten sposób

uśmierzyć przeraźliwy ból. Jakimś cudem zdołała się przeczołgać około metra, pozostawiając za sobą przerywany ślad, prowadzący aż do lśniącej kałuży krwi, ale nadal znajdowała się co najmniej półtora metra od swojej komórki.

Vanderveen przeszukał ją zaraz po strzale, chociaż zadanie to nie było łatwe, bo kobieta wiła się w agonii, krzycząc, a jej ciało zrobiło się śliskie od krwi. Niemal od razu znalazł jej komórkę, a kiedy sprawdził rejestr połączeń wychodzących, poczuł ogromną ulgę, bo okazało się, że ostatnią rozmowę odbyła ponad trzy godziny wcześniej.

Był bezpieczny, ale ta kobieta o mało wszystkiego nie popsowała.

Wściekły, z czystej złośliwości położył telefon tuż obok sterty słomy na brzegu betonowej posadzki. Kałuża krwi powiększała się coraz bardziej, podczas gdy Nicole zadawała mu pytania, błagała o litość i wykrzykiwała przekleństwa, ale każde jej słowo spotykało się tylko z milczeniem. A potem, kiedy prawie już o niej zapomniał, odwrócił się znowu, by obserwować z zafascynowaniem, jak kobieta przesuwając się powoli w stronę telefonu, jęcząc przy każdym najmniejszym ruchu, który przeszywał jej okaleczone ciało ostrymi szpikulcami bólu.

Potrząsnął lekko głową. Gdzie też ona się wybiera? Przecież musiała sobie zdawać sprawę, że nigdy nie pozwoli jej dotrzeć do tego telefonu.

Była znacznie silniejsza niż przypuszczał, w końcu jednak się poddała. Jakieś dziesięć minut temu cała determinacja umierającej ustąpiła miejsca żalostnemu szlochowi. Teraz nie wydawała już z siebie prawie żadnego dźwięku, a światło w jej łagodnych brązowych oczach zaczynało powoli gasnąć.

Kiedy tylko decyzja o wprowadzeniu specjalnych środków bezpieczeństwa została zatwierdzona przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego, przygotowania na Water Street i okolicznym terenie ruszył pełną parą. Wokół przystani zaczęto montować ogrodzenie, czym zajmowała się firma, której trzydziestu pięciu stałych pracowników zostało dokładnie skontrolowanych przez ekipę przygotowawczą Secret Service, znajdującą się już na miejscu i pracującą bez wytchnienia. Dokładnie przeczesano prezydencki jacht w poszukiwaniu ukrytej broni materiałów wybuchowych,

poza tym przystąpiono już do sprawdzania mieszkańców wszystkich stojących na nabrzeżu domów.

Po burzliwej dyskusji ustalono w końcu, że biuro prasowe Białego Domu zajmie się przygotowaniem i rozdzielaniem przepustek na tę imprezę. Lista osób mających wstęp na jacht została ograniczona do niewielkiej grupy zaufanych współpracowników, a ich zdjęcia, życiorysy i fotokopie odcisków palców przesłane dyplomatyczną pocztą z Paryża i Rzymu trafiły do szefowej zespołu przygotowawczego, która od razu obejrzała dokładnie zdjęcia i upewniła się jeszcze, że wszyscy jej ludzie także je widzieli. Potem agenci wrócili do pracy.

Nie byli w pełni zadowoleni, nie przeprowadziwszy jeszcze ostatniej próby mechanizmu, który leżał już przygotowany na betonowej posadzce. Stojąc w cieniu rzucanym przez światło późnego popołudnia, spokojnie sprawdzał teraz swoje dzieło, którego budowa zajęła mu większą część poranka.

Pozbawiony izolacji miedziany drut biegł od baterii dwoma ścieżkami, łącząc się przy odsłoniętych zaciskach przełącznika. Kanał kablowy posłużył do odizolowania drutu od karoserii furgonetki, ale tutaj nie było to konieczne, bo beton spełniał to samo zadanie. Od przełącznika rozgałęziony drut ciągnął się dalej przez jakieś trzy metry, żeby zbiec się znowu przy odsłoniętej płytce obwodu drukowanego komórki. Potem zaczynał przypominać drabinkę. W jej szczeblach nie było nic niezwykłego, poza tym, że każdą z czterech poprzeczek przykrywał dwukilogramowy worek z piaskiem. We wszystkich workach znajdowały się spłonki detonujące numer sześć. Vanderveen wolałby co prawda ósemki, bo detonatory sejsmiczne zawierające po 8 gramów pentrytu w spłonce miały większą siłę rażenia, a jednocześnie w przeciwieństwie do szóstek były bezpieczniejsze dzięki mniejszej możliwości elektrostatycznego rozładowania. Mimo wszystko Vanderveen był stosunkowo zadowolony z tego, co ma. W ostatecznym rozrachunku rezultat będzie ten sam.

Nie zamierzał jednak ryzykować. Po raz pierwszy użył tego ranka cyfrowego amperomierza, żeby sprawdzić opór w każdej ze spłonek. Wychodziło mniej więcej 1,9 oma w każdej i nieco ponad dwa omy w samym przełączniku.

Obliczenia pojawiły się w jego umyśle jak nagły podmuch wiatru w spokojny letni dzień. Odwrotność sumy dawała całkowity opór obwodu, który w przypadku połączenia równoległego jest zawsze mniejszy niż na każdym z jego elementów składowych - 0,384 oma. Dwanaście woltów podzielonych przez tę odwrotność równało się całkowitemu natężeniu prądu przepływającego przez obwód: 31,26 ampera. To przekładało się na niewiele ponad 6,31 ampera w obydwu kablach wychodzących z każdej elektrycznej spłonki. Sprawdził jeszcze swoje wyliczenia przy pomocy amperomierza, pozwalając sobie na lekki uśmiech, kiedy zobaczył liczby, które pojawiły się na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu. Wszystko zgadzało się idealnie.

Vanderveen wiedział doskonale, jak niebezpieczna może być taka próba, więc chociaż miał do swojej dyspozycji zaledwie cztery spłonki detonujące, pamiętał o zachowaniu wszelkich środków ostrożności.

W końcu nie musiał patrzeć na sam wybuch. Wystarczy, że zobaczy jego skutki.

Schowawszy się za potężnym fordem econoline, wyciągnął z kieszeni drugi telefon z zakodowanym w opcji szybkiego wybierania numerem pierwszej komórki. Zaczął oddychać szybciej niż zwykle, choć przecież nie miało się wydarzyć nic szczególnego. Jego palec zawisł na chwilę nad klawiszem. Powietrze wokół było nieruchome, w przyćmionym świetle wirowały jedynie drobiny kurzu.

Milbery nie wydawała już żadnego dźwięku. *Dlaczego?* Wychylił się zza furgonetki, żeby spojrzeć na nieruchome ciało kobiety i dopiero wtedy uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nie słyszał jej ruchów od co najmniej dwudziestu minut. Musiała umrzeć, kiedy zaczął rozciągać kabel po betonowej posadzce.

Był odrobinę zaskoczony, że odeszła tak cicho, ale to bez znaczenia. Wrócił na dawną pozycję, znowu całkowicie skupiony na tym, co miało za chwilę nastąpić. Za plecami miał chłodny metal karoserii, numer na wyświetlaczu komórki był wyraźnie widoczny. Odetchnął głęboko, wciągając do płuc suche powietrze stodoły.

A potem nacisnął klawisz.

Joshua McCabe, zastępca dyrektora działu rozpoznawania i analizy zagrożeń Secret Service zjawił się w południe, żeby porozmawiać z szefową ekipy przygotowawczej. Jodie Rivers była szczupłą kobietą o drobnej twarzy, ciekawskich orzechowych oczach i sięgających ramion kasztanowych włosach. Miała dopiero trzydzieści dwa lata, niewiele jak na zajmowane przez nią stanowisko, ale dzięki błyskotliwej inteligencji połączonej z umiejętnością dostrzegania ewentualnych problemów, zanim jeszcze rozwinęły się w poważną sytuację, szybko awansowała poprzez kolejne szczeble kariery, zaskarbiając sobie jednocześnie niechętny szacunek przełożonych.

Poinstruowawszy swojego kierowcę, żeby zaczekał na niego w samochodzie, McCabe ruszył za swoją rozmówczynią, objaśniając mu, jakie środki bezpieczeństwa zostały wprowadzone na nabrzeżu. Wiedział, że Rivers cieszy się w Secret Service opinią przebojowej osoby o niespożytej energii, teraz jednak wyglądała na zmęczoną i wręcz przytłoczoną ogromem zadania, które spadło na jej barki.

- Jak pan widzi - tłumaczyła - ogrodzenie zamyka koniec Water Street od strony mostu. To i tak ślepy zaułek, ale czekamy jeszcze na betonowe bariery, które zostaną ustawione po drugiej stronie płotu. Przygotujemy nie mniej niż trzy, najprawdopodobniej pięć punktów kontrolnych dla pieszych poruszających się po terenie - ostateczne ustalenia w tej sprawie jeszcze nie zapadły, ale przyglądamy się uważnie miejscom, gdzie Szósta, Siódma i Dziewiąta łączą się z Maine. Te rejony martwią mnie najbardziej, bo są takie otwarte. Jako wschodni kraniec naszego kordonu wyznaczyliśmy Czwartą Ulicę, a na stanowisko dowodzenia chcemy wykorzystać Arena Stage²⁰. Muszę jeszcze dzisiaj porozmawiać z kierownikiem artystycznym i sprawdzić, czy to w ogóle możliwe... Najważniejsze to utrzymać pojazdy z dala od rejonu spotkania. Spore zagrożenie stanowią w takiej sytuacji materiały wybuchowe, więc na tym skupimy nasze wysiłki.

- A co ze sprawdzaniem mieszkańców?

Jakiś czekający w pobliżu agent zawołał Rivers, która skinęła mu ręką, prosząc o chwilę cierpliwości, a potem wróciła do pytania McCabe'a.

²⁰Waszyngtoński teatr.

- Jak na razie wszystko w porządku - nie trafiliśmy na żadne podejrzane osoby. Ale nadal mamy długą listę do skontrolowania. Zaczęliśmy od właścicieli firm, bo to oni będą nas najbardziej denerwować z powodu ograniczeń w ruchu kołowym. Potem zajmiemy się ludźmi, których łodzie są zacumowane w przystani. Już otrzymaliśmy spore wsparcie ze strony GPS A... Chodzi o Gangplank Slipholders Association²¹.

McCabe skinął głową.

- To świetny pomysł z włączeniem ich do sprawy. Zamykanie też parking przy nabrzeżu, tak?

- Oczywiście. - Rivers zawahała się. - Wycofanie wszystkich cywilnych jednostek z przystani nie jest możliwe. Zresztą spowodowałoby to tylko zamieszanie na wodach kanału, działając wręcz na naszą niekorzyść. Będziemy jednak musieli oczyścić wszystkie stanowiska w promieniu jakichś trzystu metrów od prezydenckiego jachtu. Nie stanowi to wystarczającego zabezpieczenia, ale na więcej nie mamy co liczyć. Utrzymanie samochodów z dala od strefy jest proste - tak naprawdę martwią mnie właśnie te łodzie i sam kanał.

- Gdyby się pani nie martwiła - zauważył McCabe z lekkim uśmiechem, podkreślającym, że to tylko żart - powiedziałbym, że nie wykonuje pani należycie swojego zadania. Zresztą sprawa leży w gestii marynarki. Jutro przywiozą swój sprzęt do wykrywania min. Chciałbym jeszcze prosić panią o koordynację naszych działań ze strażą wybrzeża. Kutry mają się znaleźć u ujścia kanału i w przynajmniej dwóch innych punktach na trasie jachtu, oprócz oczywiście naszej eskorty. Proszę też zadbać, żeby przydzielono nam oddzielny kanał UHF na falach radia służb wodnych. Do reszty nie mam uwag. A co z kawalkadą samochodów?

Jodie Rivers poczuła jak pod wpływem słów McCabe'a napięcie powoli z niej opada. Zawsze próbowała zachować dystans wobec politycznych aspektów swojej pracy, ale pochwała z ust zwierzchników sprawiała jej taką samą przyjemność jak każdemu.

²¹ Stowarzyszenie działające na rzecz rozwoju Gangplank Marina i lokalnej społeczności, skupiające właścicieli łodzi cumujących na przystani.

- Zostajemy przy wcześniej ustalonej trasie. Jeśli pojedziemy Maine przez tunel aż do Dwunastej, a potem skierujemy się na północ do Pennsylvania Avenue, możemy ograniczyć liczbę ostrych zakrętów i zwiększyć tempo przejazdu. Poza tym Dwunastą będzie znacznie łatwiej zamknąć niż Siódemkę, a nie mamy zbyt wielu możliwości wyboru, ze względu na budowę większa część Czternastej i Dwunastej na północ od Pennsylvania została wyłączona z ruchu, więc musielibyśmy zrobić objazd Trzynastą Ulicą...

- Wiem o tym - przypomniał jej McCabe. - Budowa została uwzględniona we wstępnym raporcie.

Rivers nie przejęła się tą chwilową luką w pamięci.

- W każdym razie trasa przejazdu zostanie zamknięta w noc poprzedzającą całą imprezę... Nasze ekipy zaspawają włązy studzienek i usuną skrzynki pocztowe.

McCabe był naprawdę pod wrażeniem tego, co Rivers zdołała już osiągnąć.

- Za dużo pani pracuje. - Delikatnie dotknął jej ramienia, uważając jednak, żeby nie wyglądało to na coś więcej niż tylko przyjazny gest. - Proszę pozwolić swoim podwładnym pomóc sobie w tym zadaniu. A teraz zapraszam na kawę. Wygląda na to, że bardzo by się pani przydała.

Wybuch był właściwie jedynie krótkim trzaśnięciem, stłumionym przez worki z piaskiem. Kiedy Vanderveen w końcu je odsunął, żeby sprawdzić spłonki detonujące, z zadowoleniem stwierdził, że żadna z nich nie pozostała nietknięta.

Trochę niepokoiło go opóźnienie związane z użyciem telefonu komórkowego w roli zapalnika. Kiedy mechanizm dzwoniący na odkrytej płytce obwodu drukowanego został włączony, zamykał obwód i prąd przepływał od mokrego ogniwa do spłonek detonujących. Ten proces zajmował jednak sporo czasu, a prezydencka kawalkada nie ułatwi mu przecież zadania, zatrzymując się dokładnie obok furgonetki.

Musi zgrać to wszystko idealnie w czasie. Informacja o niedawnym wzmocnieniu środków bezpieczeństwa w związku z wizytą na szczelbu państwowym nie stanowiła dla niego powodu do niepokoju. Większość zmian zostanie wprowadzona wokół samej

przystani, a on będzie już przecież daleko od punktów kontrolnych i snajperów na dachach budynków, kiedy bomba wybuchnie.

Miał już nawet wybrane doskonałe miejsce, z którego mógł obejrzeć całe przedstawienie.

Rzucił poszarpane worki z piaskiem na stertę słomy, a potem oczyścił betonową posadzkę, zanim wreszcie usiadł z powrotem przy stole, który był już niemal zupełnie pusty, z jednym tylko wyjątkiem. Dokument spoczywający na jego drewnianym blacie liczył sobie 134 strony tekstu z podwójnym odstępem i rozmaitymi schematami.

Na pierwszej stronie znajdował się nagłówek: „Porządek imprezy i protokół” oraz stempel POUFNE.

Nigdy nie zapytał Shakiba, skąd wziął ten dokument i świadomie zdecydował się usunąć tę kwestię ze swojego umysłu. Nic mu to nie pomoże, jeśli będzie ciągle rozmyślał nad tym, że powodzenie całej operacji zależy całkowicie od ścisłości danych zawartych na tych kartkach.

Nie było żadnych wątpliwości, że raport jest autentyczny. Nieraz zetknął się z podobnymi oszczędnymi sformułowaniami i frazeologią w niezliczonych dokumentach, z którymi miał do czynienia w swojej poprzedniej profesji. Nie wiedział jednak, jak niedawna decyzja o przyznaniu imprezie statusu NSSE wpłynie na organizację ochrony, a po śmierci Shakiba nie pozostała mu już żadna możliwość dowiedzenia się tego.

Zastanawiał się nad tym wszystkim, wystukując palcami nieregularny rytm na tekturowej teźce. Byłoby naprawdę szkoda, gdyby raport okazał się jednak bezwartościowy, bo stanowił prawdziwą skarbnicę wiedzy. Ze strony czwartej dowiedział się na przykład, że kawalkada będzie liczyła trzydzieści sześć samochodów. Strony od piątej do dziesiątej podawały kolejność pojazdów, natomiast z zakreślonego na siódmej stronie paragrafu wynikało, że prezydent Stanów Zjednoczonych pojedzie w szóstym aucie - cadillacu zgrabnie wciśniętym pomiędzy chevroleta gmc suburban, zajmowanego przez czterech agentów Secret Service, a limuzynę wsparcia. W czternastym z kolei samochodzie miał się znajdować premier Włoch, a w dwudziestym pierwszym - prezydent Francji.

Pomimo słów wypowiedzianych do Dyrektora w czeluściach jaskiń, Will wcale nie był przekonany, czy uda mu się objąć

wszystkie trzy cele zasięgiem eksplozji. Teraz uświadomił sobie, że to zadanie niemożliwe do zrealizowania. Odstęp pomiędzy samochodami był po prostu zbyt duży.

Jednocześnie jednak zniszczenia spowodowane wybuchem ważącej ponad tonę bomby na zatłoczonej ulicy wielkiego miasta były właściwie nieprzewidywalne. Nawet Will Vanderveen ze swoją rozległą wiedzą na temat eksplozji i praw fizyki nie miał pewności co do końcowego rezultatu.

Nie mógł się już doczekać, żeby to wreszcie sprawdzić.

W końcu wstał od stołu i podszedł do wrót stodoły, żeby spojrzeć w dal poprzez pola. W zamyśleniu popatrzył na ciągnący się na horyzoncie las, zastanawiając się, czy to właściwe miejsce na zakopanie ciała Nicole Milbery i ukrycie jej samochodu.

ROZDZIAŁ 29

TYSONS CORNER, WIRGINIA • CAPE ELIZABETH • HRABSTWO HANOVER

Terrorist Threat Integration Center rozpoczęło swoją działalność w głównej siedzibie CIA w Langley, ale zostało przeniesione do supernowoczesnego ośrodka w Tyson's Corner, którego budowę ukończono wiosną 2004 roku. Jako jedna z wielu zmian wprowadzonych w obrębie amerykańskich służb wywiadowczych po tragicznych wydarzeniach z jedenastego września, to wspólne przedsięwzięcie liczyło sobie początkowo 125 pracowników z FBI, CIA, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i Departamentu Stanu. Osoby przydzielone do pracy w TTIC miały pełny dostęp do zasobów swoich macierzystych agencji, jednak głównym zadaniem nowego centrum było sortowanie napływających danych na przydatne informacje wywiadowcze, w odróżnieniu od faktycznej pracy w terenie i zbierania wiarygodnego materiału.

Ten właśnie podział dręczył Naomi Kharmai, która siedziała zgarbiona na swoim krześle, wpatrując się w stertę map i papierów leżących przed nią na biurku. Pomimo iż wszystkie siły centrum zostały zaangażowane w poszukiwanie Willa Vanderveena, przez ostatnie dwa dni udało się im poczynić niewielkie postępy. Naomi po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak trudne czeka ich zadanie, kiedy podczas swoich wstępnych poszukiwań odkryła, że przez ostatni rok w samym hrabstwie Hanover sprzedano 381 farm o powierzchni poniżej siedemdziesięciu hektarów. A było to tylko *jedno* ze 135 hrabstw Wirginii. Najgorszą rzeczą stanowiło jednak to ograniczenie zasięgu ich poszukiwań - jeśli Kealey

pomylił się w jakimkolwiek aspekcie co do zamiarów Vanderveena, równie dobrze mogło się okazać, że przetrząsają nie ten rejon, co trzeba.

Po raz trzeci w ciągu ostatniej godziny obróciła się, żeby poszukać wzrokiem Ryana. Pomieszczenie pełne było ludzi wpatrujących się w ekrany komputerów, rozmawiających przez telefon, pochylających się nad faksami i w ogóle starających się ze wszystkich sił dokonać niemożliwego: odnaleźć mężczyznę, który mógł znajdować się teraz w dowolnym miejscu jednego z trzech stanów liczących sobie łącznie 13 milionów mieszkańców.

Po przeciwnej stronie pokoju zauważyła Jonathana Harpera, pogrążonego w ożywionej rozmowie z Patrickiem Landrieu, dyrektorem TTIC. Nie mogła mieć całkowitej pewności, ale wyglądało na to, że mężczyźni się kłócą. *To nie jest dobry znak*, pomyślała, jednocześnie nadal rozglądając się w poszukiwaniu Ryana.

W końcu jednak zrezygnowała i spróbowała skupić się z powrotem na mapie północnej części Wirginii. Sącząc kolejny łyk letniej kawy, wbijała zmęczony wzrok w pajęczynę dróg. Po długim namyśle postanowiła skoncentrować swoje wysiłki na sześciu hrabstwach położonych bezpośrednio na północ od Richmond - były to: Caroline, Hanover, Spotsylvania, Stafford, Prince William i Fairfax. Szczególnie interesowała ją autostrada międzystanowa 95, prowadząca do Waszyngtonu. Swoje poszukiwania rozpoczęła zgodnie z wytycznymi Ryana - od razu usunęła ze swojej listy wszystkie nieruchomości położone ponad osiem kilometrów od autostrady, podobnie jak posiadłości zajmujące obszar większy niż siedemdziesiąt hektarów.

Nadal jednak pozostawał ogromny spis 564 farm sprzedanych w tych sześciu hrabstwach w przeciągu ostatnich trzech miesięcy. Potrząsając z obrzydzeniem głową, Naomi wzięła do ręki trzydziestostronicowy faks z federacji skupiającej właścicieli farm na terenie Wirginii, żeby zaraz rzucić go z powrotem na biurko bez czytania. Już miała sięgnąć po kolejną kartkę, kiedy uświadomiła sobie, że ktoś opadł ciężko na krzesło koło niej.

- Mój Boże, Ryan! - zawołała, mocno zaskoczona na widok stanu, w jakim zjawił się Kealey. - Gdzie ty się podziewasz? Masz w ogóle pojęcie, która jest godzina?

- Znaleźliście już coś? - zapytał Ryan, ignorując jej wymówki, po czym pochylił się i zabrał kawę z jej biurka.

Naomi popatrzyła na jego ubranie - te same dżinsy i podkoszulek, które miał na sobie wczoraj. Jego podkrążone oczy były mocno zaczerwienione, a twarz pokrywał mu co najmniej tygodniowy zarost. Wyglądał na naprawdę wyczerpanego.

- Jeszcze nic. Pracuje nad tym sześćdziesięciu siedmiu ludzi i to tylko w tym jednym pomieszczeniu. Zaczynam podejrzewać, że to w ogóle niemożliwe.

- Oczywiście, że to niemożliwe - prychnął Ryan. - Całe te poszukiwania to pieprzona strata czasu. - Jednym haustem opróżnił styropianowy kubek, a potem rzucił go na blat biurka przed sobą. - Naomi, nie znasz tego sukinsyna tak dobrze jak ja. On może być właściwie wszędzie. Może siedzieć nawet w tym pokoju, z tego co, kurwa, wiemy. Ten facet jest po prostu cholernie dobry w tym, co robi.

Z każdym słowem jego głos przybierał na sile. Kiedy w końcu zamilkł, Naomi uświadomiła sobie, że wokół nich zapadła grobowa cisza, podniosła więc wzrok. Harper zdążył już przejść całą salę i stał teraz tuż za nimi. Pochyliwszy się lekko, szepnął coś Ryanowi do ucha i zaledwie kilka chwil później obaj wyszli z sali.

Kharmai z ciężkim westchnieniem wróciła do lektury trzymany w ręku kartek faksu, starając się nie zwracać uwagi na rozbrzmiewającą wokół niej kakofonię dźwięków, która szybko osiągnęła dawny poziom.

Jonathan Harper zatrzymał się zaraz za przeszkłonymi drzwiami centrum.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz, Ryan? - warknął, dźgając młodszego mężczyznę palcem w pierś. - Czekaemy tu na ciebie od czterech godzin. To był *twój* pomysł, pamiętasz? Co się dzieje?

- Pomyliłem się, John - mruknął Kealey. - To wszystko jest gównem. Nic nie *robimy*, po prostu siedzimy tu sobie i czekamy, aż dojdzie do najgorszego.

- Ale tylko tyle *możemy* zrobić w tym momencie. Nie pošlemy przecież naszych ludzi, żeby chodzili od domu do domu, wypytując o Williama Vanderveena, prawda?

- No tak, ja... - Kealey przeczesał palcami swoje proste włosy, po czym potrząsnął głową, starając się znaleźć właściwe słowa. - Jezu, nie wiem. Po prostu pomyślałem, że powinniśmy robić coś więcej.

- Posłuchaj - Harper zniżył głos i lekko uściśnił ramię swojego podwładnego - powiedziałeś wczoraj sporo mądrych rzeczy, rzuciłeś parę naprawdę dobrych pomysłów, ale nadal jesteś mi potrzebny. Poszedłem za twoją radą, bo ufam twojemu osądowi. Wiem, że to zbyt pasywne zachowanie jak dla ciebie, ale moim zdaniem to się może udać. W każdym razie w tym momencie nie mamy lepszego rozwiązania. - Widział, że jego słowa na niewiele się zdały. Pora na strzał w ciemno. - Ale chyba męczy cię coś jeszcze. Chodzi o Katie? - Kiedy Kealey odwrócił wzrok, od razu było jasne, że trafił celnie. - Co się stało?

Zapadła długa chwila ciszy.

- Odeszła ode mnie. Wyprowadziła się z hotelu i wróciła do Cape Elizabeth. Powiedziała, że już dłużej nie daje sobie z tym rady...

- Jeszcze zmieni zdanie, Ryan. - Ciemnoszare oczy popatrzyły na niego uważnie. - Przecież wie, jaki jest układ. Tysiące razy przechodziłem to samo z Julie, kiedy jeszcze brałem udział w akcjach. Im wcześniej skończymy tę sprawę, tym szybciej będziesz mógł do niej wrócić. Tak właśnie powinienes teraz na to patrzeć.

- Pewnie masz rację - mruknął Kealey, a potem odetchnął głęboko i oparł się o ścianę. - Ale to kurestwo mnie dobija, John.

- Widziałem, jak Katie na ciebie patrzy. Kiedy wrócisz do Maine, będzie na ciebie czekała, ja ci to mówię. Posłuchaj, zabieraj tyłek w troki i jedź teraz do hotelu. Weź prysznic, ogól się, może też coś przegryź i zmień wreszcie te ciuchy. A potem bardzo cię proszę, wracaj tutaj. Naomi całkiem się pogubiła bez ciebie.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z uśmiechem. Ryan odpowiedział tym samym, a potem oderwał się w końcu od ściany i ruszył w stronę windy. Dotarł już prawie do drzwi, kiedy Harper zawołał jeszcze za nim:

- On jest gdzieś blisko, Ryan. - Kealey spojrział na niego, modląc się w duchu, żeby jego przełożony miał rację. - Możesz mi wierzyć, to się niedługo skończy.

Kiedy wczesnym popołudniem Jonathan Harper wybrał się na poszukiwanie Kealeya w Tyson's Corner, znalazł go z powrotem przy biurku obok Naomi. Ryan najwyraźniej posłuchał jego rad, bo wyglądał teraz całkiem przyzwoicie, chociaż jego strój nadal pozostawiał wiele do życzenia. Siedział w pomieszczeniu pełnym schludnych agentów FBI i ludzi z Departamentu Stanu ubrany w wyblakłe dżinsy i wytartą białą koszulę z rozpiętymi trzema górnymi guzikami, narzuconą na podkoszulek, który nie był nawet wciśnięty w spodnie.

Harper potrząsnął głową na widok tak niedwuznacznych wysiłków swojego podwładnego, żeby się nie podporządkować, ale wiedział też, że przymknie na to oko. Jeśli chodzi o skuteczność działania, Ryan był zdaniem zastępcy dyrektora najlepszym agentem spośród znajdujących się w sali osób, a w tej chwili nic nie miało dla niego większego znaczenia niż rezultaty.

Podszedł bliżej, na co oboje podnieśli natychmiast głowy znad studiowanych właśnie map.

- Macie minutkę?

Naomi skinęła głową i podsunęła mu krzesło. Kiedy usiadł koło nich, natychmiast zauważyli lekki uśmiech, malujący się na jego twarzy.

- Nareszcie coś mamy w sprawie tych saudyjskich paszportów, które federalni znaleźli na lotnisku - powiedział, kładąc przed nimi plik wyciągów bankowych. - Theresa Barzan dysponowała kontami w trzech największych bankach Londynu. Na te rachunki wpłynęło ostatnio kilka sporych kwot. Macie ochotę zgadywać, skąd pochodziły pieniądze?

- Z Teheranu? - rzuciła Naomi.

- Z Sudanu. Pierwszy Bank Centralny w Chartumie. To całkiem mądre posunięcie ze strony tej kobiety... Nie utrzymujemy stosunków dyplomatycznych z Sudańczykami, więc nie możemy na nich naciskać, żeby ujawnili nazwisko deponenta.

- Ale możemy prześledzić drogę przelewów z Londynu, tak? - odezwał się Ryan, marszcząc lekko brwi. - To nie federalni się do tego dokopali, co?

- Nie, sprawą zajęło się w FATF. W Ministerstwie Finansów uznali, że dzięki temu możemy liczyć na większą współpracę ze strony Brytyjczyków.

Ryan skinął głową z aprobatą. Międzynarodowa organizacja Financial Action Task Force powstała pod koniec lat osiemdziesiątych, aby zwalczać zorganizowaną przestępczość, związaną przede wszystkim z praniem brudnych pieniędzy, ale po wydarzeniach z 11 września zaczęła się mocniej angażować w działania skoncentrowane na śledzeniu przepływu pieniędzy organizacji terrorystycznych. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i Wielka Brytania znajdowały się wśród jej państw założycielskich.

- To na pewno dobry trop, ale nie mamy dosyć czasu - mruknął.

- Masz absolutną rację - przytaknęła Naomi, przesuwając palcem wzdłuż długiej kolumny liczb. - To dosyć typowe posunięcie, to co tu zrobiła, tak zwany „smurfing”. Podzielona na drobne sumy kwota w końcu ginie pośród milionów transakcji, które są dokonywane każdego dnia. A to dopiero początek. Z Londynu przesała pewnie początkową sumę przez co najmniej kilkanaście kolejnych banków. Mamy świetny punkt zaczepienia, ale wyśledzenie konta odbiorcy zajmie trochę czasu.

- To tylko kolejny dowód na to, że powinniśmy się trzymać pomysłu Ryana - odparł Harper, a potem przesunął w ich stronę następną kartkę papieru, której nagłówek natychmiast zwrócił uwagę obojga. - Ten dokument nie jest zbyt pomocny - zastrzegł od razu. - Więc nie spodziewajcie się zbyt wiele. Francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przysłało dzisiaj do Departamentu Stanu zapytanie, jak przedstawia się „obecny stan zagrożenia terrorystycznego w naszym kraju”. Mówiąc krótko, Francuzi chcą wiedzieć, czy mamy wszystko pod kontrolą i nie owijali w bawełnę, co sądzą o naszych środkach bezpieczeństwa.

Naomi miała zaskoczoną minę, a Ryan zareagował cichym gwizdnięciem.

- Założę się, że nie zostało to zbyt dobrze przyjęte.

- Nie domyślasz się nawet połowy. - Zastępca dyrektora uśmiechnął się niewesoło. - Jeżeli Chirac zobaczy odpowiedź, którą im wysłaliśmy, pewnie będzie musiał zerwać stosunki dyplomatyczne, choćby dla zasady. To samo tyczy się Włochów. Mimo wszystko postanowili się trzymać planu i obaj przywódcy są już w drodze. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć. Niezależnie od tego czy złapiemy Vanderveena, czy nie, to spotkanie dojdzie do skutku.

Vanderveen stał przy otwartych drzwiach furgonetki, z satysfakcją przyglądając się eleganckiej prostocie swojego dzieła. Wielka szkoda, pomyślał z lekkim uśmiechem, że wkrótce będzie musiał je zniszczyć.

Kupił tego forda E-350 od emerytowanego elektryka, a za-gracona część bagażowa furgonetki wyglądała tak, jakby mogła pomieścić wszystko inne, tylko nie ponad tonę materiałów wybuchowych. Poprzedni właściciel zamontował tu własnoręcznie zrobione drewniane półki, mocując je śrubami do górnej części ramy, tak że biegły teraz przez całą długość samochodu. Pod półkami po obu stronach znajdowały się spore kawałki dykty, na których wisiały chyba wszystkie możliwe narzędzia. Elektryk dorzucił te rzeczy za skromną opłatą, bo zdążył się już zorientować, że życie emeryta jest znacznie kosztowniejsze niż tego oczekiwał.

Oprócz narzędzi w furgonetce znajdowały się także cztery duże metalowe skrzynie o rozmiarach 80 cm na 45 na 35. To oczywiście nie wystarczyło, więc przeprowadziwszy błyskawiczne obliczenia i wzięwszy poprawkę na izolację kablową na górze, Will dokupił w pewnej hurtowni w Richmond jeszcze jedno pudło. Potem przyśrubował wszystkie pięć skrzyń do podłogi samochodu, ale nawet teraz pozostawało mu jeszcze prawie dziesięć kilogramów szarawej substancji, które z całą pewnością nie zmieszczą się do pięciu pojemników. Nie zmartwiło go to zbyt, bo nie miał żadnych wątpliwości, że znajdzie dla tej nadprogramowej ilości materiału jakieś zastosowanie.

Jego decyzja o wykorzystaniu metalowych pudeł wymagała niewielkiej zmiany w budowie obwodu, ale nadal miał do swojej dyspozycji spory zapas spłonek detonujących. W przypadku użycia jednej spłonki na każdą skrzynię całkowite natężenie wynosiło niewiele ponad 37 amperów, natomiast w każdym z detonatorów było takie samo, jak poprzednio, czyli nieco ponad 6,31 ampera - wystarczające do zdetonowania spłonek, ale nie na tyle duże, żeby grozić powstaniem łuku elektrycznego, co niemal na pewno doprowadziłoby do niewypału.

Vanderveen zdawał sobie doskonale sprawę, że użycie skrzyń jest w najlepszym razie słabą próbą ukrycia prawdziwego ładunku furgonetki przed wścibskimi spojrzzeniami. Wolał jednak nie

wieszać zasłonek w oknach tylnych drzwi, jeśli można tego było uniknąć. Gdyby to zrobił, natychmiast wzbudziłby podejrzenia policjantów sprawdzających samochody w pobliżu trasy przejazdu prezydenta. Podróż do miasta, kiedy wykrycie stawało się najbardziej prawdopodobne, stanowiła najtrudniejszą część całej operacji. Po zaparkowaniu furgonetki na miejscu przeznaczenia będzie mógł zdetonować bombę z bezpiecznej odległości swojego punktu obserwacyjnego, gdyby nagle okazało się, że ładunek może zostać wykryty.

Nawet jeśli prezydent zdoła wyjść z zamachu bez szwanku, co zresztą zdaniem Willa było wysoce nieprawdopodobne, nic nie powstrzyma jego dzieła, tego był całkowicie pewien, przed zaprezentowaniem pełni swoich możliwości.

W końcu odwrócił się od uchylonych drzwi furgonetki i usiadł przy stole, delikatnie kładąc dłonie na gładkiej powierzchni drewna. Palce miał obolałe od pakowania semtexu do metalowych pojemników, ale nie zwracał uwagi na ból, kiedy otworzył dokument Shakiba na sto siedemnastej stronie. Przebiegając jeszcze raz wzrokiem ściśle linijki tekstu i towarzyszące im schematy, pomyślał, że ktokolwiek przygotowywał te plany zabezpieczenia imprezy, popełnił mnóstwo poważnych błędów w ocenie sytuacji, błędów, które on zamierzał wykorzystać.

Usiadł wygodniej na krześle i popijając kawę, rozkoszował się lekkim powiewem chłodnego wiatru, który wpadał przez szpary pomiędzy deskami starych ścian stodoły. Miał jeszcze parę rzeczy do zrobienia, ale zostało mu jeszcze sporo czasu.

Nie musiał się nigdzie spieszyć.

ROZDZIAŁ 30

TYSONS CORNER • HRABSTWO HANOVER

Kealey podniósł wzrok znad wyczerpującej lektury stert papierów pokrywających jego tymczasowe biurko i rozejrzał się po ciasnym wnętrzu centrum. W sali tłoczyło się ponad osiemdziesiąt osób, które, gdyby sądzić tylko po ich gorączkowej gestykulacji i podniesionych głosach, równie dobrze mogłyby być maklerami na parkiecie nowojorskiej giełdy, śledzącymi fuzję Microsoftu i IBM.

To porównanie rozbawiło go nieco, ale był zbyt zmęczony i przygnębiony, żeby się uśmiechnąć. Chociaż pracowali bez przerwy od trzech dni, ich wysiłki nie przyniosły praktycznie żadnych rezultatów. Starając się zawęzić jeszcze bardziej obszar poszukiwań, Ryan wysunął propozycję, że powinni wykluczyć sam Waszyngton jako teren zbyt ograniczony, żeby Vanderveen mógł na nim spokojnie ukończyć swoje przygotowania, jednak Emily Susskind, zastępczyni dyrektora FBI, bez chwili wahania odrzuciła ten pomysł.

Naomi miała trochę więcej szczęścia, kiedy zasugerowała, że ogólny rysopis Williama Vanderveena powinien zostać rozesłany do policji stanowej w Wirginii i Maryland. Co prawda jej propozycja również została początkowo zbyta machnięciem ręki - dyrektor Landrieu przekonywał, że ujawnienie kolejnego zagrożenia terrorystycznego bez niepodważalnych dowodów zwiększy tylko niepotrzebnie panikę, czego prezydent usilnie starał się uniknąć, a Susskind tylko przyklasnęła jego argumentacji. Jednak Joshua McCabe, popierany przez Harpera, opowiedział się za takim rozwiązaniem, a ponieważ spotkanie miało status NSSE, co dawało służbom Secret Service całkowitą kontrolę

nad przygotowaniami, ostatecznie zapadła decyzja o rozesłaniu rysopisu razem ze starannie sformułowaną prośbą o udzielenie wsparcia, choć słowo „terrorysta” nie padało w niej ani razu.

Mimo wszystko telefony i fakсы w centrum operacyjnym pracowały praktycznie na okrągło. Informacje napływały z oddziałów policji stanowej Wirginii w Staunton i Wytheville, a poza tym od jednostek policji stanowej Maryland w Forestville, College Park, Easton i Rockville. Wraz z coraz większym obciążeniem pracą narastało też panujące w zatłoczonym pomieszczeniu napięcie. Kharmai patrzyła na gromadzący się w poczcie przychodzącej stos papierów, zastanawiając się coraz poważniej, czy włączenie do śledztwa policji stanowej była rzeczywiście takim świetnym pomysłem.

Nagle wyczuła czyjąś obecność za plecami, podniosła więc wzrok. Ryan przystanął tuż obok niej.

- Trafiłaś na coś wartego przyjrzenia się? - zapytał. Naomi potrząsnęła głową i pokazała mu trzymane w ręku zmięte kartki faksu.

- To zupełnie bezużyteczne rzeczy. Jeżeli na wschodnim wybrzeżu jakiś biały mężczyzna w wieku od dwudziestu do czterdziestu pięciu lat zrobił coś, co zwróciło uwagę policji, to najprawdopodobniej mam tu jego kartotekę - poźaliła się, machając dłonią w stronę stosu teczek. - Można by pomyśleć, że nie mamy lepszego zajęcia niż marnowanie czasu na tego typu śmieci.

Kealey wzruszył ramionami.

- Nie każdego dnia policja stanowa dostaje od TTIC prośbę o wsparcie. Staraliśmy się uważać na słowa użyte w tym rysopisie, który im przesłaliśmy, ale w końcu wiedzą, kto im to przysłał. Na pewno uznają, że istnieje jakieś zagrożenie terrorystyczne, a to oznacza, że ich pomoc będzie wyjątkowo kosztowna, kiedy przyjdzie do przedstawiania budżetu na następny rok. Najpierw zadbają o własne interesy.

- Ta, byłoby miło, gdyby jednak przy okazji zechcieli pomóc też odrobinę *nam* - mruknęła Naomi. Ryan uśmiechnął się, a potem położył lekko dłoń na jej ramieniu.

- Daj spokój, przejrzę to razem z tobą. Jeżeli te papiery są rzeczywiście tak bezwartościowe, jak mówisz, uwiniemy się z tym do dwunastej, a potem postawię ci lunch. Może być?

- Umowa stoi - zgodziła się Naomi i po raz pierwszy tego dnia uśmiech rozjaśnił jej twarz.

* * *

- A to *co* za gówno? - Sierżant Richard Pittman oderwał wzrok od kolejnego stosu dokumentów na jego biurku i rozejrzał się po pokoju. - Skąd to się tu, do diabła, wzięło? Jimmy, to twoja sprawka?

- Skąd. To przyszło prosto od samego porucznika.

- Ta, prosto na *twoje* biurko - burknął Pittman. - Przyznaj się, stary. Na pewno część tego nie należy do ciebie?

Drugi funkcjonariusz potrząsnął głową i z szerokim uśmiechem na twarzy poczłapał ociężale w stronę otwartych drzwi.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle narzekasz, Pitts. Przynajmniej ominie cię dzisiaj dwugodzinna odprawa. Wszyscy już tam czekają. Ktokolwiek podrzucił ci to świństwo na biurko, wyświadczył ci przysługę.

- Jasne, wielkie dzięki - mruknął Pittman. Został w pokoju sam, z czego był zadowolony, bo mógł sobie wreszcie przeklinać do woli, kiedy podniósł ciężki stos teczek z biurka i rzucił go koło faksu. Jego zdaniem, a zdarzało mu się tak myśleć coraz częściej, po ośmiu latach służby w policji stanowej Wirginii powinien już mieć za sobą tego rodzaju monotonne zajęcia.

Przerzucił kilka oddzielnych kartek papieru i szybko zorientował się, że wszystkie dokumenty miały zostać wysłane w to samo miejsce. *To chyba grubsza sprawa, pomyślał. Tu jest chyba z siedemdziesiąt pięć raportów. Przynajmniej nie będę musiał wybierać za każdym razem nowego numeru.*

Wystukał numer wypisany u góry pierwszej strony i zaczął wsuwać kolejne kartki do faksu. Czterdzieści pięć minut i dwa kubki kawy później dotarł wreszcie do zgłoszenia zaginięcia osoby wprowadzone do bazy NCIC²². Zawiadomienie złożył Jack Milbery, a od zniknięcia jego żony za mniej więcej kwadrans miały właśnie upłynąć trzy doby.

²² National Crime Information Center - centralna baza danych FBI rejestrująca rozmaite informacje dotyczące przestępczości, między innymi o kradzieży broni czy mienia, organizacjach terrorystycznych, a nawet rozmaitych wykroczeniach drogowych oraz zgłoszenia o zaginionych osobach.

Podczas gdy faks na drugim końcu linii w Tyson 's Corner wypływał kolejne kartki papieru, Will Vanderveen skręcał właśnie z Chamberlayne Road w wąski podjazd prowadzący do wynajętego domu, w chmurze żwiru pryskającego spod tylnego koła jego hondy. Cały dzień spędził w Richmond, gdzie poczynił jeszcze ostatnie zakupy. Drobne, niezbyt kosztowne sprawunki, które były jednak niezbędne do powodzenia całej operacji. Dokładnie to samo kupił trzy tygodnie temu, ale wyczerpał już swoje zapasy przy dwóch poprzednich okazjach.

Przez całą drogę na południe i z powrotem pilnował ograniczeń prędkości. Krótki wypad do miasta obył się bez żadnych przygód, teraz więc najniebezpieczniejszą część akcji miał już za sobą. Kiedy nadejdzie pora, aby ponownie opuścić farmę, niezależnie od tego, co wydarzy się później, już nigdy tu nie wróci.

Zaparkował motocykl za stodołą i podniósł jedną z kilku stojących pod zewnętrzną ścianą, odwróconych do góry nogami doniczek, trzecią od lewej. Wyjął ukryty tam spory przedmiot, starannie owinięty w ścierkę do naczyń - pistolet HK USP Compact, kaliber 40 - po czym starannie uprzątnąwszy stodołę i dom, zaniósł w końcu swoje zakupy do kuchni. Ta niefortunna sprawa z agentką nieruchomości była dla niego wystarczającą nauką. Więcej nie zachowa się tak nieostrożnie.

W ostrym świetle zalewającym łazienkę oparł ostatni paszport, jaki mu został, o pękniętą płytkę i przyjrzał się uważnie zdjęciu Claude'a Bidaulta, po czym przeniósł wzrok na swoje odbicie w lustrze.

Nawet bez pomocy kosmetycznych środków jego twarz wyglądała zaskakująco młodo, pomimo faktu, że dobiegał już czterdziestki. Po raz pierwszy zauważył jednak drobne zmarszczki, które zaczynały się tworzyć wokół jego oczu, ale poza tym wyglądał niemal tak samo, jak dwadzieścia lat temu. Te niewielkie oznaki starzenia się nie zmartwiły go zbytnio. Jak wszyscy ludzie obdarzeni idealnym wyglądem, mógł sobie pozwolić na luksus niezwracania uwagi na własną powierzchowność.

Chociaż osobiście wolał gładko wygolone policzki, przez ostatnie tygodnie zapuszczał brodę, która zdążyła już sporo urosnąć. Jasny zarost stanowił ostry kontrast z naturalną opaleniz-

na skóry. Blond włosy wróciły wreszcie dzięki użyciu rozjaśniacza do swojej normalnej barwy złota. Ufarbowanie ich na brąz było jedyną kosmetyczną zmianą, jaką wprowadził po swoim powrocie do Stanów, bo w pierwszych tygodniach było zbyt wiele do zrobienia, zbyt wiele spraw domagało się jego niepodzielnej uwagi, żeby miał sobie jeszcze zwracać dodatkowo głowę kłopotliwym przebraniem.

Przeobrażał się w Claude'a Bidaulta już dwukrotnie: raz, kiedy kupował furgonetkę, a potem powtórnie, żeby odebrać dowód rejestracyjny samochodu w wydziale transportu w Richmond. Teraz nadeszła pora na trzeci i ostatni występ. Najpierw wyjął ze stojącej koło jego nóg papierowej torby zakupione przedmioty i rozłożył je jeden za drugim na blacie. Podczas swojej wyprawy do miasta wstąpił do czterech różnych sklepów, w żadnym nie kupując więcej niż dwie rzeczy na raz.

Farba do włosów była tylko szamponem koloryzującym, łatwo zmywalnym przy użyciu ciepłej wody. Najpierw użył małej szczoteczki o sztywnym włosiu, żeby rozprowadzić czarny barwnik na zaroście, a potem przy pomocy większego pędzelka nałożył farbę na włosy. Oczekawszy stosowną chwilę, przyjrzał się jeszcze raz uważnie zdjęciu, a potem sięgnął po nożyczki i zaczął ciąć. Claude Bidault był robotnikiem pracującym na własny rachunek, który przyjechał do Ameryki w poszukiwaniu zajęcia - do takiego człowieka nie pasowała wymuszkana fryzura. Ledwie wiążący koniec z końcem imigrant raczej sam przycinał sobie włosy, zapewne z rezultatami pozostawiającymi wiele do życzenia.

Kiedy skończył, jego czarne teraz włosy nadal były dosyć długie, ale przedstawiały naprawdę opłakany widok. Zadanie zostało wykonane i to wręcz idealnie - od mężczyzny na zdjęciu różniła go już tylko jedna rzecz, ale temu akurat łatwo mógł zaradzić. Założył brązowe soczewki kontaktowe i znowu spojrzął w lustro. Will Vanderveen zniknął bez śladu.

Wizerunku miały dopełniać buty ze stalowymi czubkami i niedbały ubiór człowieka, który spędza większość dnia na placu budowy. Według danych w paszporcie waga Bidaulta wahała się w granicach dziewięćdziesięciu kilogramów, ale ważący zaledwie osiemdziesiąt kilo Vanderveen liczył, że kilka warstw ubrania

skutecznie zamaskuje tę różnicę. Kurtka założona na kilka koszul z długim rękawem nie była wcale tak rzadkim widokiem na zimnych ulicach Waszyngtonu pod koniec listopada.

Vanderveen zmarszczył brwi i wbijając wzrok w umywalkę, zastanawiał się, czy niczego nie przegapił. Pozostało mu jeszcze dziesięć kilogramów semtexu - będzie musiał znaleźć dla nich jakieś dobre zastosowanie. Dokument dostarczony przez Shakiba zabierze ze sobą do miasta. Podróżowanie z nim było niebezpieczne, być może stanowiło wręcz niepotrzebne ryzyko, ale te papiery mogły mu się jeszcze przydać, nie chciał więc ich zostawiać. Resztkę farby do włosów i inne przybory zamierzał zanieść na rozciągające się za stodołą pole i spalić. Dom wynajął na nazwisko Timothy'ego Nicholisa, z którego tożsamości skorzystał też przy odbiorze tablic rejestracyjnych do motocykla. Te dokumenty włoży do worków, żeby spłonęły razem z pozostałymi rzeczami. Poza tym zamierzał jeszcze zdjąć rejestrację z hondy i wyrzucić ją gdzieś w głębi lasu. Dzięki tym zabiegom zyska niewiele czasu, jeśli agenci zdołają namierzyć nazwisko Nicholisa, ale w końcu nawet odrobina to lepiej niż nic.

Na razie nie był sobie w stanie przypomnieć więcej spraw do załatwienia, ale nie musiał się nigdzie spieszyć. Starannie rozplanował wszystko w czasie, a zresztą warto trochę poczekać - im dłużej będzie w mieście, tym większe niebezpieczeństwo wykrycia. Do tego miał jeszcze sporo pracy, którą mógł zapełnić sobie godziny oczekiwania, no i nie zaszkodzi trochę się przespać.

Kiedy wrócił do stodoły i objął spojrzeniem leżące na stole przedmioty, w jego głowie zrodził się pewien pomysł. Szybko wybrał kilka rzeczy i włożył je do zniszczonego marynarskiego worka, który leżał na podłodze, a potem zarzucił go sobie na ramię i ruszył łagodnym zboczem wzgórza w stronę domu.

Niecałą minutę później schodził już po schodkach do pograżonej w mroku piwnicy. Światło nie odważyło się podążyć za nim i musnąwszy zaledwie tył jego głowy, ustąpiło miejsca nieprzeniknionej ciemności.

W końcu nie wyszli jednak na lunch, ani nawet na obiad, jeśli już o tym mowa, zamiast tego pozostając przy kolejnej dolewce płynącej praktycznie nieprzerwanym strumieniem letniej kawy.

Ryan pił właśnie piąty kubek i zaczynał odczuwać tego skutki. W żołądku go paliło, a w głowie huczało od nieustannego hałasu, który był nieunikniony, skoro w sali zaplanowanej na sześćdziesiąt osób upchnięto ich osiemdziesiąt siedem. Budynek był przegrzany i słabo wentylowany, co jeszcze pogarszało sytuację, a jaskrawy blask świetlówek zżęcznie ukrywał fakt, że północ zbliżała się coraz szybciej. Lodowaty wicher szalejący nad skalistym wybrzeżem w Cape Elizabeth stanowiłby teraz upragnioną odmianę po duchocie centrum, jednak Ryan odepchnął od siebie to wyobrażenie, bo w malowniczą scenę wdarł się natychmiast jeszcze inny obraz.

Nie powinien teraz o niej myśleć, niezależnie od tego, jak bardzo by chciał. Mieli jeszcze tyle do zrobienia, a czasu było coraz mniej. Za niecałe dziesięć godzin prezydent i jego goście wejdą na pokład jachtu *USS Sequoia*.

Ryan potarł skronie, próbując skupić się znowu na zamazanym tekście, który miał przed sobą. Dopiero po kilku minutach uświadomił sobie, że nie przeczytał nawet jednego słowa. Sfrustrowany potrząsnął głową, a potem zerknął w stronę Naomi, żeby sprawdzić, czy jej idzie może trochę lepiej.

Kharmai pochylała się nad jednym z wielu faksów i przytrzymując policzkiem słuchawkę telefonu, próbowała jednocześnie powcisnąć właściwe guziki. Ryan obserwował ją z lekkim rozbawieniem, bo właśnie poirytowana zakłęta i uderzyła w aparat dłonią. Kiedy wstał i poszedł do niej, podała mu kartkę papieru, nawet na chwilę nie przerywając prowadzonej rozmowy.

- Tak, najszybciej jak to tylko możliwe... Zgadza się, potrzebuję wszystkiego z ostatnich trzech miesięcy, także fotokopii praw jazdy, jeśli je macie... Co to znaczy „zbyt późna pora”? Nie obchodzi mnie, która jest godzina, proszę zadzwonić do niego do domu, jeśli to konieczne...

Słuchając jej, Ryan szybko przebiegł wzrokiem dokument, który mu podała. Kiedy dotarł do rubryki „zawód wykonywany zaginionej osoby”, poczuł szybsze bicie serca.

Chwilę później Naomi odłożyła słuchawkę i odwróciła się w jego stronę. Jej zielone oczy aż lśniły.

- Agentka nieruchomości, co? - mruknął Ryan. - Interesujące.
- Potem robi się jeszcze ciekawiej - rzuciła Naomi. - Nicole Milbery zajmuje się głównie sprzedażą większych gospodarstw.

Jej biuro znajduje się w Ashland - to w hrabstwie Hanover, dokładnie pomiędzy Richmond a Waszyngtonem. Idealne miejsce dla niego... Ryan, umiesz naprawić tę cholerną maszynę?

Sposób, w jaki to powiedziała, wywołał na jego ustach mimowolny uśmiech. Szybko sprawdził urządzenie i nacisnął kilka guzików, żeby wyczyścić zapis niedokończonych zadań.

- Z kim rozmawiałaś?

- Z funkcjonariuszem, który pełni nocną służbę w biurze policji stanowej, właśnie w Hanover. Ma od razu zadzwonić do policjanta prowadzącego śledztwo, a kiedy już uda mu się go złapać, poznamy więcej szczegółów.

- Tylko nie spodziewaj się zbyt wiele - ostrzegł Ryan. - To może być zupełna błahostka.

Naomi nie zamierzała poddawać się tak łatwo.

- Albo coś naprawdę wielkiego.

Sierżant pełniący służbę w Hanover oddzwonił dziesięć minut później. Naomi natychmiast odebrała telefon przez chwilę słuchała uważnie rozmówcy, podczas gdy Ryan stał jak przykuty, wpatrując się w nią z dziwną mieszaniną oczekiwania i niepokoju. Z jakiegoś powodu był zupełnie pewien, że w końcu na coś trafili.

- Niecałe trzy tygodnie temu Nicole Milbery wynajęła pewną posiadłość - wyjaśniła Naomi, przesłaniając dłonią słuchawkę. - Jakies czterdzieści hektarów, pięć kilometrów na wschód od między stanowej 95. - Potem znowu skupiła całą uwagę na osobie po drugiej stronie linii. - Zostawił jakiś... aha, zostawił. To wspaniale, proszę nam to od razu przefaksować. Jak pan mówił, brzmiało to nazwisko? - Ryan próbował coś powiedzieć, ale uciszyła go machnięciem ręki. - Dobrze, w porządku. Dziękuję za pomoc, sierzancie. Mógłby się pan skontaktować ze swoim kapitanem? Będziemy musieli z nim porozmawiać, jeśli te informacje okażą się istotne... Dobra, dziękuję.

Naomi odłożyła słuchawkę, po czym odwróciła się w stronę Ryana.

- Timothy Nichols. Mówi ci coś to nazwisko?

Ryan zamyślił się na chwilę, żonglując nazwiskami, przestawiając litery i układając je od nowa. Kiedy w końcu wszystko ułożyło się w spójną całość, cały gwar wokół nich nagle jakby zniknął.

- To on.
- Co takiego? - Naomi podniosła zaskoczony wzrok. - Dlaczego tak myślisz?
- Timothy McVeigh i Terry Nichols. Vanderveen zawsze był aroganckim skurwysynem.
- O, mój Boże. - Naomi pobladła, bo właśnie dotarł do niej sens jego słów.

Jak na zawołanie, faks zapiszczał, po czym wysunęła się z niego pojedyncza kartka. Chociaż prawo jazdy nie zostało powiększone tak, żeby uwydatnić szczegóły, a sama twarz była zamazana z powodu kopiowania, Ryan wiedział od razu, czyje zdjęcie ma przed oczami, gdy tylko podniósł papier do światła.

- To Will Vanderveen - powiedział.

ROZDZIAŁ 31

TYSONS CORNER, VIRGINIA

Patrick Landrieu stał u szczytu stołu o wypolerowanej powierzchni, przyglądając się osobom siedzącym po obu jego stronach. Pomimo iż to on by najwyższy rangą w tej sali, nawet nie powstało mu w głowie, żeby manifestować swoją władzę wobec ludzi, których miał przed sobą. Połączenie ich wysokiego mniemania o sobie i ambicji bez trudu przeważało jego tytularne zwierzchnictwo, a poza tym nie zawahaliby się zmiażdżyć go w mgnieniu oka, gdyby uznali, że leży to w ich interesie, co do tego nie miał żadnych złudzeń.

Landrieu był krępy męczyzną o wydatnym nosie, rzadkich, siwych włosach i policzkach zaczerwienionych od lekarstwa na serce, które przyjmował dwa razy dziennie, przynajmniej wtedy, gdy jego sekretarka mu o tym przypomniała. Niechlujny wygląd stanowił najdobitniejsze świadectwo zwyczaju pracowania po szesnaście godzin dziennie, jego kariera nigdy jednak nie ucierpiała z powodu tak niepokąsanej postury. Swoją pracę w agencji rządowej rozpoczął jako analityk do spraw terroryzmu prawie dwadzieścia trzy lata temu, a jego droga awansu przez poszczególne szczeble była naprawdę imponująca. Najpierw pracował jako szef sztabu dyrektora Centrali Wywiadu, a ostatnio jako zastępca dyrektora wykonawczego, zanim wreszcie został mianowany przez dyrektora CIA na obecnie zajmowane stanowisko.

Przyglądał się uważnie twarzom swoich gości, świadomy tego, że oni także go oceniają. Pewnie w niejednej głowie zaświtało pytanie, jak długo mogą jeszcze potrwać rządy Landrieu. I tak

był już ostro krytykowany za błędy wywiadu, które doprowadziły do niedawnych tragicznych wydarzeń w Waszyngtonie, jak również za brak postępów w poszukiwaniach człowieka uznawanego za osobę odpowiedzialną za oba ataki terrorystyczne.

Poza nim samym w sali znajdowało się jeszcze siedem osób. Po jego prawej stronie siedziała zastępczyni dyrektora FBI, Emily Susskind, za nią Joshua McCabe, zastępca dyrektora z Secret Service, i szefowa grupy przygotowawczej, Jodie Rivers.

Oprócz nich obecny był także pułkownik Stephen Plesse, komisarz Virginia State Police, który przyleciał na to spotkanie helikopterem z głównej siedziby policji stanowej w Richmond zaledwie dziesięć minut temu. Pomimo wczesnej pory miał na sobie pełne umundurowanie, a jego twarz była nadal zaczerwieniona od ostrego zimowego wiatru, szalejącego od dobrych kilku godzin wokół budynku.

Pozostała obecna w pokoju trójka - Jonathan Harper, Ryan Kealey i Naomi Kharmai - siedziała na lewo od Plesse'a.

- No cóż - powiedział w końcu Landrieu - wszyscy państwo wiedzą doskonale, w jakim celu się tu zebraliśmy. Sądzę, że najlepiej będzie przejść od razu do sedna. Nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia.

- Czy jesteśmy w stanie ocenić, ile czasu konkretnie nam pozostało? - zapytała Rivers. Nie miała ochoty uczestniczyć w tym spotkaniu, bo uważała, że jej miejsce jest na nabrzeżu, gdzie powinna dopinać teraz na ostatni guzik ostatnie przygotowania dotyczące zabezpieczeń. Nawet pomimo najszczerzej chęci, nie miała dosyć ludzi, żeby oddelegować ich do zadań, które mogły zostać tu zaproponowane.

- Ktoś zna odpowiedź na to pytanie? - Dyrektor Landrieu rozejrzał się po sali, aż jego oczy spoczęły w końcu na zastępcy dyrektora CIA.

- Wszystko zależy od tego, jakiej broni zamierza użyć Vanderveen, a to z kolei prowadzi do pytania, czym się przemieszcza - odezwał się Harper. - Oczywiście, będzie potrzebował więcej czasu, jeśli zamierza wwieźć do miasta bombę. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jak na razie jakies pewniejsze informacje w tej sprawie. Emily?

Susskind podniosła wzrok znad kawy i przez ułamek sekundy zastanawiała się nad tym, postukując smukłymi palcami o krawędź kubka.

- Jedyнным pojazdem zarejestrowanym w Wirginii na nazwisko Timothy'ego Nicholasa jest czteroletni motocykl marki Honda. Niestety, tak naprawdę to jeszcze o niczym nie świadczy. Mógł kupić jeszcze jakiś samochód, tyle że pod innym nazwiskiem, albo nawet ukraść jakieś auta - nie wiadomo.

Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy wziąć pod uwagę. Kiedy już poznaliśmy jego fałszywe nazwisko, szybko dało się ustalić jego powiązania z Theresą Barzan. Nadal nie znamy prawdziwej tożsamości tej kobiety, wiemy jednak, że korzystając z nazwiska widniejącego w tamtym saudyjskim paszporcie, w ciągu ostatnich kilku tygodni przełała na konto Vanderveena prawie trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Pieniądze zostały przesłane przez Kajmany i Wyspy Cooka, co bardzo utrudniło ich namierzenie. Taka kwota nie mogła być wystarczającą zapłatą, ale z pewnością pozwoliła na zakup sporej ilości kosztownego sprzętu. - Susskind urwała i lekko odchrząknęła. - Sprzętu niezbędnego do skonstruowania i ukrycia potężnej bomby.

Zapadła ponura cisza, kiedy wszyscy rozważali te informacje. Milczenie przerwały dopiero wyważone słowa Jonathana Harpera.

- Istnieje możliwość, że skorzystał jeszcze raz z tego samego źródła, nawet pomimo zwiększonych środków bezpieczeństwa, jakie wprowadzono po eksplozji w Kennedy-Warren. Sprawdziliście to z dokumentacją w Norfolk?

- Moi ludzie właśnie nad tym pracują - wyjaśniła Susskind. Nie udało się nam skontaktować z dyrektorem do spraw operacyjnych ani z kierownikiem terminalu. Dotarliśmy jedynie do zastępcy kierownika działu przewozów kontenerowych, a i tak nie jest to człowiek zbyt skory do udzielenia nam pomocy.

- Chyba będę mógł pomóc w tej konkretnie sprawie. - Tym razem rozległ się donośny głos komisarza. - Nasz wydział współpracuje z ich personelem dosyć blisko. Oszczędzę wam sporo zachodu, jeśli znajdziecie Gary'ego Thompsona i powołacie się na mnie. To dyrektor generalny NIT.

Susskind zapisała nazwisko i podziękowała potężnemu pułkownikowi skinieniem głowy.

- Te dane będą miały decydujące znaczenie - zaznaczył Harper. - Jeżeli Vanderveen skorzystał z terminalu po raz drugi, to jakimś cudem musiał się prześliznąć przez urząd celny, bo inaczej w ogóle nie byłoby całej sprawy. Poza tym w papierach powinna się znajdować informacja o rodzaju i ciężarze ładunku, który odebrał. To może nam wiele powiedzieć o tym, jak zamierza przewieźć swój pakunek.

- Uzyskanie dostępu do tych dokumentów jest teraz dla nas najważniejszym zadaniem - przytaknął mu siedzący u szczytu stołu Landrieu. - Musimy wykorzystać wszystkie nasze prerogatywy. Już samo załatwienie nakazu rewizji zajmie nam wystarczająco dużo czasu, więc nie możemy go marnować - dorzucił, a potem zwrócił się do Susskind. - Proszę zadbać o to, żeby ci z Norfolk zrozumieli dokładnie, jak poważne konsekwencje im grożą, o ile nie zmienią swojego nastawienia. Wstrzymamy działalność całego terminalu, jeśli okaże się to konieczne. A co z miejscem pobytu Vanderveena?

- Prowadzimy już obserwację - wyjaśniła Susskind. - Akcję nadzoruje nasze biuro w Richmond. Oczywiście, na miejscu jest także policja stanowa Wirginii. Funkcjonariusze zablokowali oba krańce Chamberlayne Road, poza tym dom został otoczony kordonem rozciągającym się na pół kilometra w każdym kierunku. Punkt etapowy znajduje się kilometr dalej wzdłuż drogi - ta część stanu ma akurat zdecydowanie wiejski charakter, co w pewnych aspektach ułatwia nam działanie, ale w innych bardzo je utrudnia. Nie możemy na przykład użyć helikoptera, nie zdradzając tym samym naszej obecności.

- Wiadomo, czy obiekt jest w środku? - zapytał McCabe.

- Nie. Światła są pogaszone, chociaż to akurat jeszcze o niczym nie świadczy, bo o tak wczesnej porze facet pewnie jeszcze śpi.

- Podczerveń?

- Próbowaliśmy, ale okna są za małe. Nie udało się sprawdzić całego domu.

McCabe skinął powoli głową.

- Czy na terenie posiadłości znajdują się jakieś pojazdy?

- Obok domu stoi całkiem duża stodoła - wyjaśniła Susskind - ale jej drzwi są zamknięte, a nie możemy podejść na tyle

blisko, żeby zajrzeć do środka, nie narażając się jednocześnie na wykrycie. Kiedy zdecydujemy się wkroczyć, musimy mieć całkowitą pewność.

- A co z blokadami drogowymi? - wtrącił się Plesse, odchrząknawszy lekko. - Moim zdaniem jako środek zapobiegawczy...

- Nie ma mowy - przerwał mu McCabe. - Z tamtej części Wirginii są do Waszyngtonu tylko dwie godziny drogi. Samo ustawienie punktów kontrolnych na głównych drogach zajęłoby nam co najmniej godzinę.

- Poza tym co powiedzielibyśmy ludziom je obsługującym? - dodał Landrieu. - Pragnę przypomnieć państwu, że prezydent chce uniknąć zbędnego zwracania uwagi na tę sprawę. Ustawienie w miarę skutecznych barier wokół miasta oznaczałoby włączenie w to setek ludzi. Takie rozwiązanie jest absolutnie niedopuszczalne.

- Przepraszam, panie dyrektorze. Z całym szacunkiem, ale moim zdaniem w chwili obecnej nie powinniśmy się już chyba przejmować ewentualnym rozgłosem. Wkładając tak wiele wysiłku w utrzymanie wszystkiego w tajemnicy, dajemy Vanderveenowi ogromną przewagę.

Ryan skrzywił się na ten niespodziewany wybuch Kharmai i czekał już tylko na nieuniknioną reprimendę.

Patrick Landrieu wyprostował się, po czym utkwiał wzrok w twarzy młodej kobiety na drugim krańcu stołu.

- Przepraszam, zdaje się, że nie dosłyszałem pani nazwiska.

- Naomi Kharmai. Jestem z...

- CIA, wiem. Pracowałem w tej właśnie agencji przez dwadzieścia lat. Bez urazy, panno Kharmai, ale sądzę, że powaga obecnej sytuacji nieco wykracza poza obszar pani skromnego doświadczenia - uciął, po czym natychmiast przestał na nią zwracać uwagę. - A teraz jeśli ktoś z państwa ma jakieś rozsądne propozycje...

Zamiast go słuchać Ryan zerknął na Naomi, która siedziała przygarbiona na swoim krześle, ze spuszczonej oczami i krwistym rumieńcem na policzkach.

- Przepraszam, panie dyrektorze.

- Tak? - Zaskoczony i poirytowany Landrieu podniósł wzrok.

- Czy wie pan, kim *ja* jestem?

Landrieu zawahał się, co nie umknęło uwadze wszystkich zebranych.

- Oczywiście, że wiem, panie Kealey.

- Chciałbym zauważyć, że tylko dzięki staraniom Kharmai zmierzającym do wytropienia tego nazwiska w ogóle tu dzisiaj siedzimy. Jeśli teraz Naomi ma coś do powiedzenia, to myślę, że warto poświęcić trochę czasu na jej wysłuchanie.

Może gdyby dyrektor był człowiekiem ugodowym, gotowym znieść nawet łagodną przyganę w imię zachowania przyjaznej atmosfery, zlekceważyłby te słowa. Ponieważ jednak nie był skłonny do kompromisów, natychmiast dał upust swojej wściekłości.

- Wszyscy jesteśmy z pewnością wdzięczni pani Kharmai a jej wysiłki, nie sądzę, żebyśmy mieli czas na...

- Panie dyrektorze.

Landrieu patrzył teraz w parę najzimniejszych oczu, jakie w życiu widział. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, w końcu jednak zmienił zdanie. W głowie błysnęła mu tylko myśl, że to, co ujrzał w twarzy Kealeya, mogło być równie dobrze, przynajmniej po części, wytworem jego wyobraźni. Jako były zastępca dyrektora Centrali Wywiadu nadal miał znajomości na najwyższych szczeblach Agencji, więc wiedział sporo na temat mężczyzny, który siedział teraz naprzeciwko niego.

Postanowił nie unosić się honorem. Odchrząknął lekko, ale kiedy w końcu się odezwał, jego słowa były ledwie słyszalne, pomimo pełnej zdumienia ciszy, jaka zapadła w sali.

- Ależ bardzo proszę, panno Kharmai, jeśli ma pani jakieś sugestie, chętnie ich wysłuchamy.

Naomi sama była odrobinę zaszokowana tym, co przed chwilą zaszło, szybko jednak odzyskała zimną krew.

- Dziękuję, panie dyrektorze - powiedziała, bezwiednie prostując się na krześle. - Przyznaję, że polityczne konsekwencje następnego zamachu bombowego, zwłaszcza podczas oficjalnej wizyty przywódców dwóch innych państw, znacznie wykraczają poza moje możliwości rozumowania. Jednocześnie jednak nie możemy zapominać, że zagrożone jest życie nie tylko prezydenta. Nie ma wątpliwości, że jeśli Vanderveen zdoła zrealizować

swoje zamierzenia, zginie wiele osób. Jak zdążyli się państwo zorientować z kopii jego prawa jazdy, wcielając się w Timothy'ego Nicholasa, dokonał zaledwie drobnych zmian kosmetycznych. Śmiało możemy założyć, że pozbył się już tej tożsamości i zapewne podjął radykalniejsze kroki, aby całkowicie zmienić swój wygląd do końcowego etapu operacji, o ile rzeczywiście *jest* to końcowy etap. - Ostatnie stwierdzenie zostało przyjęte zniechęconymi pomrukami. - Jeśli Vanderveen nadal przebywa na farmie, nic nie tracimy, wkraczając tam od razu. Gdyby jednak zdążył już opuścić gospodarstwo, powinniśmy wiedzieć o tym jak najszybciej. O ile zadbamy na miejscu o należyta ostrożność i dołożymy wszelkich starań, aby zachować ewentualne dowody w nienaruszonym stanie, mamy spore szanse znaleźć coś przydatnego, co pozwoliłoby nam zorientować się, jak Vanderveen wygląda teraz. W obecnej sytuacji niewiele więcej możemy zrobić. Moim zdaniem najwyższa pora skoncentrować nasze wysiłki.

Oznaki niezadowolenia zamieniły się w głosy powszechnej aprobaty, Naomi była jednak mocno zaskoczona, kiedy Landrieu przytaknął jej równie szybko.

- To chyba całkiem rozsądna propozycja. Na razie wstrzymajmy się z tymi blokadami drogowymi. Zmobilizowanie wystarczających sił o tak wczesnej porze byłoby zbyt trudne. Emily, proponuję, żebyś zaczęła się już rozglądać za jakimś sędzią. Kiedy będziecie gotowi do akcji?

- Większość moich ludzi jest już na miejscu. - Susskind zerknęła na zegarek. - Jeśli szybko dostaniemy ten nakaz, to... powiedzmy o piątej rano.

- Doskonale. - Landrieu odsunął mankiet koszuli i popatrzył na swój zegarek. - Czyli za trzy godziny od teraz. Informuj mnie na bieżąco, kiedy już wylądujesz w Wirginii. Nie ma sensu budzić prezydenta o tej porze. Najpierw przekonajmy się, czy będziemy mieli mu coś ciekawego do zakomunikowania. Tych z państwa, którzy nie ruszają do bezpośredniej akcji, zapraszam ponownie o siódmej.

Panie, panowie, prezydent Chirac i premier Berlusconi przybyli wczoraj. Rejs jachtem jest zaplanowany na dziewiątą. To oznacza, że pozostało nam zaledwie sześć godzin na schwytanie człowieka,

który wymykał się nam przez ostatnich siedem lat. Dlatego sugeruję, żeby wszyscy przystąpili jak najszybciej do swoich zadań.

Pięć minut później sala opustoszała niemal zupełnie. Ryan wyszedł jako jedna z ostatnich osób. Za drzwiami rozejrzał się uważnie, ale dopiero po chwili dostrzegł Naomi oddalającą się szybko korytarzem. Musiał niemal biec, żeby ją dogonić.

- Hej, dokąd... - Nagle dostrzegł wyraz jej twarzy. - Co się stało?

- Ty się jeszcze pytasz, co się stało? Już ty dobrze wiesz, co.

- Nie, nie wiem. - Kharmai szła naprawdę szybko, a on był coraz bardziej zdezorientowany. - Naomi, chyba jednak mnie przeceniasz. Tak między nami, jestem mało bystrym facetem i nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

- Niepotrzebnie urządziłaś to całe przedstawienie, Ryan - odparła Naomi, nie siląc się nawet na uśmiech. - Nie chcę, żebyś to robił, rozumiemy się? To było żałosne. Sama potrafisz bronić swojego zdania.

- Wiem... Naomi, zatrzymaj się chwilę. - Kiedy zupełnie nieoczekiwanie go posłuchała, musiał cofnąć się o kilka kroków, żeby stanąć z nią twarzą w twarz. - A tak w ogóle, dokąd się teraz wybierasz?

- Lecę następnym helikopterem do Richmond.

- Z kim?

- Z komisarzem Plesse'em i zastępczynią dyrektora Susskind.

- I Harper się na to zgodził? - Ryan uniósł brew.

- Sam to zaproponował - mruknęła Naomi, krzyżując ramiona i rzucając mu wyzywające spojrzenie. Policzki miała nadal zarumienione, a otaczające jej twarz lśniące czarne włosy spływały nieujarzmioną falą aż na plecy.

Zdaniem Ryana nigdy nie wyglądała piękniej.

- W takim razie ja też lecę.

- Harper wyraźnie zaznaczył, że masz zostać tutaj. - Naomi pokręciła głową.

- Gównu mnie obchodzi, co powiedział Harper.

Twarz Naomi złagodniała nieco, podobnie jak ton jej głosu.

- Ryan, nie mamy pewności, czy Vanderveen nadal tam jest, a trzeba obstawić oba końce. Chyba nie muszę ci o tym przypominać.

Kealey zawahał się. Wiedział, że Kharmai ma rację. Kiedy jednak znowu ruszyła korytarzem, szybko chwycił ją za ramię.

- Posłuchaj, przepraszam za to, co tam powiedziałem. Powinienem trzymać język za zębami, ale ten Landrieu to straszny dupek...

- Nic się nie stało. Jestem tego samego zdania.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. W końcu pod wpływem impulsu Ryan nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Bądź ostrożna, Naomi.

- Poradzę sobie. W końcu tym razem cię tam nie będzie, żeby mnie postrzelić.

Zanim Ryan zdążył wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, odwróciła się na pięcie i pospieszyła w stronę klatki schodowej. Kiedy kilka chwil później wynurzyła się na zewnątrz, prosto w lodowaty wiatr, i podeszła do czekającego na nią helikoptera, na jej twarzy gościł szeroki uśmiech i pomimo zimna czuła gdzieś w środku przyjemne ciepło.

ROZDZIAŁ 32

RICHMOND, WIRGINIA • HRABSTWO HANOVER

Gdy tylko Bell 206 LongRanger dotknął płyty lądowiska na dachu administracyjnej siedziby policji stanowej Wirginii, trójka pasażerów wysiadła pośpiesznie z maszyny i z zadowoleniem schroniła się w ciepłym wnętrzu budynku. Na dworze było preraźliwie zimno, a uczucie chłodu zwiększał jeszcze hulający wokół lodowaty wiatr, który bez trudu przenikał ich ubrania. Z zasłyszanej wcześniej rozmowy Naomi wiedziała już, że pogarszająca się pogoda jest pierwszą, jeszcze łagodną zapowiedzią zimowej zawiei, która rozszalała się nad wybrzeżem Florydy trzy dni temu i cały czas przesuwawała się na północ.

Podążając za dwójką starszych stopniem funkcjonariuszy sterylnie czystymi korytarzami, nie mogła się powstrzymać od gorzkiej refleksji, że wszyscy uniknęliby wielu kłopotów, gdyby burza przybrała na sile tyle, by spowodować odwołanie rejsu prezydenckiego jachtu. Z drugiej jednak strony miała świadomość, że pewnie i tak nie oznaczałoby to dla nich końca problemów, bo prezydent Brenneman zdawał się być równie uparty w wypełnianiu wszystkich punktów swojego planu, jak Vanderveen zdecydowany w swoich staraniach, aby mu to uniemożliwić.

Emily Susskind cieszyła się ciepłem zaledwie przez tych kilka chwil, które zajęło im zjechać windą na parter. Podróż helikopterem wykorzystała już na przeprowadzenie kilku rozmów drogą radiową, przekrzykując cały ten szum. Dlatego teraz przed budynkiem czekał już na nią samochód, który miał ją zawieźć do federalnego sądu apelacyjnego dla stanu Wirginia, gdzie sędzina

Lucy Klein nalewała sobie właśnie drugi kubek kawy, zastanawiając się, za jakie grzechy spotyka ją podobne traktowanie ze strony rządu, któremu służyła wiernie od ponad osiemnastu lat.

Podczas gdy Susskind wyjaśniała sędzinie całą sprawę, Naomi udała się w towarzystwie komisarza Plesse'ego do punktu etapowego, na spotkanie z agentem specjalnym FBI z biura w Richmond. Kharmai i Plesse opuścili centrum administracyjne niecałe dziesięć minut po odjeździe Susskind, zaraz za drzwiami kierując się w stronę lincolna stojącego przy krawężniku. Pojechali Midlothian Turapike na wschód, mijając pograżone w mroku ulice, ciągnące się wzdłuż łagodnych meandrów rzeki James niecałe półtora kilometra dalej na północ.

O trzeciej czterdzieści nad ranem drogi były praktycznie puste, więc bez problemów dotarli do I-95. Gdy tylko znaleźli się na autostradzie, kierowca wcisnął pedał gazu i wkrótce mknęli w kierunku hrabstwa Hanover tak szybko, jak tylko pozwalały na to możliwości samochodu.

Na miejscu akcji panowało całkowite zaciemnienie, co oznaczało, że wzdłuż wyznaczonego obszaru widać było blask zaledwie paru chemicznych latarek. Na punkt etapowy składało się właściwie jedynie kilka pojazdów FBI, ustawionych w coś na kształt okręgu, niczym wozy pierwszych osadników broniących się przed atakiem Indian. Boczna drogę odgradzała zardzewiała brama, którą ktoś przytomny otworzył i przymocował łańcuchem do drzewa, ułatwiając tym samym szybkie wjeżdżanie autami na polanę albo jej opuszczanie.

Lodowaty podmuch wiatru uderzył w Naomi, gdy tylko wysiadła z samochodu i ruszyła na oślep za Plesse'em. Minęli kilka ledwie widocznych w ciemnościach grup agentów, po czym komisarz podszedł do pracującego na jałowym biegu chevroleta suburban i zapukał w szybę. Kiedy okno uchyliło się, zapytał o dowodzącego akcją agenta FBI i został skierowany niedbałym skinięciem ręki w stronę największego pojazdu na polanie, czarnej furgonetki chevrolet chevy, a kilka sekund później już stukał dłonią w rękawicze do tylnych drzwi vana.

W przegrzanym wnętrzu auta, oświetlonym blaskiem sprzętu łącznościowego, siedziało już dwóch mężczyzn. Naomi od razu

zauważyła dwa monitory przekazujące obraz z przeczesujących teren kamer na podczerwień.

Brett Harrison, szef biura FBI w Richmond, był blondynem o wyglądzie typowego Amerykanina z szerokimi barami i jasnoniebieskimi oczyma. Natychmiast wzbudził nieufność Naomi, tym bardziej, że po chwili zauważyła jeszcze u niego ułamany ząb z przodu. *Uraz z boiska*, pomyślała, marszcząc brwi. Z jakiegoś niezrozumiałego dla niej samej powodu żywiła lekką niechęć do zapalonych sportowców, zwłaszcza takich w średnim wieku, którzy nigdy nie pogodzili się z faktem, że nie studiują już w college'u.

Mężczyzna z uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie, którą Naomi niechętnie uściśniła. Komisarz Plesse poszedł w jej ślady.

- Brett Harrison, miło was poznać. A to Al Maginnes - dodał Harrison, wskazując kciukiem za siebie - dowódca HRT.

- Maginnes? - powtórzyła Naomi.

- Ma jak mama - mężczyzna uśmiechnął się do niej - i Guinness, jak piwo. Najzabawniejsze jest to, że nie znoszę tego paskudztwa.

Naomi odpowiedziała mu uśmiechem. Sama też nie przepadała za ciężkim irlandzkim trunkiem. Maginnes był niezbyt mocno umięśnionym mężczyzną o uważnych brązowych oczach, z niewielką tysinką na czubku głowy i bujnym ciemnym wąsem, przyprószonym już odrobinę siwizną, w okolicach czterdziestki, jak to oceniła Kharmai. Miał na sobie maskujące spodnie z goretexu i czarny podkoszulek, a Naomi zauważyła jeszcze potężny pistolet w kaburze przypiętej do nogi i oparty obok karabin M4. Wyglądał na niezwykle kompetentnego i Naomi zastanawiała się nawet przez chwilę, czy Susskind przydzieliła go tutaj, żeby miał oko na młodszego agenta.

- Na czym stoimy? - zapytał Plesse, wierząc się niespokojnie na niewygodnym siedzeniu.

- Pańscy chłopcy pilnują drogi z obu stron, więc tu nie musimy się martwić - wyjaśnił Harrison, zsuwając słuchawki na szyję. - W domu nadal nie widać żadnego ruchu, a kręcimy się tu już od... której, Al? Chyba gdzieś od pierwszej w nocy?

- Maginnes przytaknął ruchem głowy. - Czyli daje nam to nieco ponad trzy godziny bez jakiegokolwiek śladu życia. Ale mamy

tu coś, co powinniście chyba zobaczyć... - z tymi słowami odłożył słuchawki na radio i okręcił się w stronę środkowej konsoli. Pozostała trójka otoczyła niski blat, stykając się ramionami w ciasnej przestrzeni furgonetki. - To są plany budynku. Mieliliśmy trochę szczęścia i udało się nam wydebić je od właściciela, który sam wybudował ten dom w 1988 roku. Dopiero potem zdecydował się go wynająć. To jest najważniejsza rzecz, o tutaj...

W miejscu, które wskazywał, widać było dwa poziomy, podczas gdy z zewnątrz dom wyglądał na zwyczajny parterowy budynek w stylu ranczo.

- Piwnica? - zdziwiła się Naomi. - Tu, w Wirginii?

- To coś więcej - dodał Harrison - Właściciel twierdzi, że to w pełni wykończone pomieszczenie, nawet z meblami. Vanderveen zna nasze możliwości techniczne i o tym powinniśmy pamiętać. Facet wie, że podczerwień wyłapie go przez okna, więc jest bezpieczniejszy pod ziemią. Innymi słowy, obiekt może się znajdować w tej chwili tam na dole, a...

- Czujniki termowizyjne tego nie wykryją - dokończyła Naomi.

- Zgadza się. - Harrison rzucił jej kolejny uśmiech. - Więc nadal nie wiemy, jak się tam dostać. Wstrzymamy się jeszcze z decyzją i zobaczymy, co napłynie z Norfolk. Na razie czekamy na Susskind i nakaz rewizji.

- Można się dostać do tej piwnicy bez przechodzenia przez dom? - zapytał Plesse.

- Nie - Harrison potrząsnął głową, a jego uśmiech nieco przygasł - są tylko jedne drzwi prowadzące na dół, ze środka budynku, a piwnica nie ma okien.

- Nie widziałam domu zbyt dobrze poprzez te drzewa - zauważyła Naomi. - Chciałabym przyjrzeć się mu dokładniej.

Agent specjalny Harrison już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Maginnes go ubiegł.

- Zaprowadzę tam panią, Brett. I tak muszę porozmawiać z Larsenem.

Młodszy mężczyzna wyraził zgodę ruchem głowy, więc Naomi ruszyła za dowódcą HRT, który chwycił swój karabin i otworzył tylne drzwi furgonetki. Plesse został w środku.

- Boże, ale ziąb - jęknęła Kharmai, drżąc lekko, kiedy znaleźli się już na zewnątrz, jednak Maginnes, nadal w samym tylko podkoszulku, zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na lodowaty wicher.

- Chyba uda mi się dla pani coś skombinować, zanim podejdziemy bliżej. W strefie wokół domu nie ma żadnych samochodów, więc spędzimy trochę czasu na dworze. - Z tymi słowami otworzył tylne drzwi jednego z samochodów i zaczął przekopywać stos ekwipunku. Po kilku sekundach wyprostował się z triumfalnym uśmiechem na twarzy, trzymając w ręku plecak. - To należy do najmniejszego faceta z mojej drużyny, więc jego rzeczy powinny być na panią za duże tylko o jakieś osiem numerów.

- Gdzie mogę się przebrać?

Maginnes rozejrzył się dookoła.

- Może za tym drzewem - zaproponował, wskazując potężny dąb kilka metrów od nich.

- Nie ma cieplejszego miejsca?

- Wszędzie pełno ludzi, ale jeśli nie przeszkadza pani, że dwudziestu chłopaków patrzy, jak się pani rozbiera, nie ma sprawy.

- Chyba jednak zrezygnuję - odparła ze śmiechem Naomi.

Dziesięć minut później jechali powoli Chamberlayne Road, minawszy przedtem dwa samochody brygady policji stanowej, ustawione w poprzek drogi. Naomi zamieniła swój kostium na ciemnoniebieskie spodnie firmy Columbia i czarny pulower z suwakiem pod szyją, naciągnięty na kilka koszul z długimi rękawami. Wyglądała nieco śmiesznie w potężnych, o dwa numery za dużych pionierkach, do których musiała założyć trzy pary skarpet, żeby je w ogóle dopasować. W ciepłym wnętrzu auta stopy spocły jej się odrobinę, ale to i tak lepsze, niż wysiąść z furgonetki i zamarznąć dwadzieścia minut później.

- Nie chcę podjeżdżać za blisko - wyjaśnił Maginnes, prowadzący ich suburbana ze zgaszonymi światłami przy pomocy gogli noktowizyjnych. - Dalej musimy już zasuwać na piechotę.

Szli powoli przez pola pogrążone jeszcze w zupełnych ciemnościach. Maginnes zatrzymywał się mniej więcej co pięć metrów,

a zaraz potem ruszał znowu przed siebie bez słowa wyjaśnienia. Co jakiś czas zgłaszał swoją pozycję, żeby uniknąć postrzelenia przez jego własnych ludzi, kiedy będą się do nich zbliżać. Dopiero po upływie prawie dwudziestu minut od momentu opuszczenia ciepłego schronienia samochodu dotarli wreszcie do granicy kordonu.

Maginnes przykleknął i poprawił umocowany przy ustach mikrofon. Kompletnie wyczerpana Naomi opadła na ziemię obok niego.

- Baza, tu Magpie, kontrola łączności, odbiór.
- Magpie, tu baza. - W słuchawkach rozległ się głos Harrisona.
- Odbieramy was jasno i wyraźnie, bez odbioru.

Maginnes wywołał w ten sam sposób jeszcze kilka osób. Jego ostatnim rozmówcą był dowódca grupy uderzeniowej, Chris Larsen.

- Alpha One, tu Magpie. Jak przedstawia się sytuacja, odbiór?
- Mags, tu Alpha. Uzbrojenie i zespół na miejscu. Ekipa Sierra sprawdza jeszcze wszystko u siebie. Nadal nie zauważyliśmy niczego podejrzanego z naszej pozycji, odbiór.

- Jestem... - Maginnes rozejrzał się szybko dookoła - jakieś trzysta metrów od gniazda, w obniżeniu terenu obok trzeciego stanowiska od drogi. Macie kontakt wzrokowy, odbiór?

- Nie, Magpie, odbiór.
- Zaczekaj chwilę, odbiór. - Maginnes ściągnął swoje gogle AN/PVS-7 i podał je Naomi, która praktycznie cały czas poruszała się po omacku. Ołowiane, ciężkie od śniegu chmury przesłoniły księżyc i gwiazdy, ale kiedy Kharmai nałożyła gogle i poruszyła pokręteł, świat wokół niej objawił się jej na nowo w dziwnych, nienaturalnych barwach. Budynki, których nie widziała, kiedy się tu zbliżali, teraz nagle ukazały się jej w całej okazałości, jaśniejąc na tle ciemniejszej zieleni powietrza. Naomi zauważyła białe sylwetki przemykające od kępy drzew naprzeciwko stodoły w stronę domu.

- O, mój Boże - szepnęła Naomi.
- Widzi ich pani?
- Tam - wskazała Naomi, drugą ręką przyciskając mocniej gogle do oczu.

Maginnes przestał kręcić przy radiotelefonie i włączywszy celownik optyczny Aimpoint przy swoim karabinku M4, skierował broń w stronę linii drzew.

- Widzisz mnie, Alpha One?
 - Potwierdzam.
 - Jak szybko możesz tu dotrzeć?
- Zapadła krótka cisza, a potem słuchawka w uchu Maginnesa znowu zatrzęszczała.
- Dziesięć minut, piętnaście dla pewności.
 - Nie musisz się spieszyć, Chris. Magpie, bez odbioru.

Harrison popijał swoją kawę, rozmawiając przy tym z Plesse'em, ale kiedy nagle powietrze wypełniły dźwięki VIII symfonii Schuberta, szybko chwycił swoją komórkę i ze zmarszczonymi brwiami popatrzył na numer, zanim wreszcie odebrał.

- Harrison. - Plesse zauważył, jak twarz młodego dowódcy najpierw blednie, a zaraz potem czerwienieje z wściekłości.
- Pieprzysz! Czy ona w ogóle zdaje sobie sprawę, o jaką stawkę gramy? I co ja teraz zrobię? OK... dobra, w porządku.
- Kilka sekund później wyłączył telefon i natychmiast natknął się na pytające spojrzenie komisarza. - Jakimś cudem Susskind zdołała dorwać najbardziej niechętnie nastawioną do współpracy sędzinę w Wirginii - wyjaśnił. - Nie dostaniemy tego nakazu, przynajmniej nie na tyle szybko, żeby mógł się nam na coś przydać.

- Kurwa.
 - Sam nie ująłbym tego lepiej.
- Zapadło długie, kłopotliwe milczenie, zanim w końcu odezwał się Plesse, bezwiednie powtarzając słowa młodszego mężczyzny.
- I co teraz zrobimy?
- Zamyślony Harrison nie odpowiedział, tylko westchnął ciężko i sięgnął po słuchawki radiotelefonu.

Kiedy po trzynastu minutach od telefonu swojego dowódcy Larsen wreszcie do nich dotarł, zrobił to tak cicho, że Naomi o mało nie wyskoczyła ze skóry. Leżała obok Maginnesa płasko na ziemi, obserwując uważnie dom i wypatrując oznak życia, gdy nagle zaledwie kilka kroków za nią rozległ się cichy gwizd. Naomi odwróciła się szybko, a dopiero potem uświadomiła sobie, że Maginnes w ogóle nie zareagował.

- Było cię słychać z odległości kilometra, Chris.

- Sorry, szefie. - Naomi patrzyła ze zdumieniem na postać podnoszącą się z ziemi tuż przed nią. - Ale mimo wszystko nadal jestem dwie minuty przed czasem.

Maginnes uśmiechnął się niechętnie.

- Odpal parę chemicznych latarek, dobra? Tak przy okazji, to Naomi Kharmai. Dołączyła do nas z Agencji.

- Miło panią poznać.

Naomi skinęła głową, a potem patrzyła, jak Larsen sięga do swojego plecaka i wyjmuje z niego kilka niewielkich plastikowych tub. Potem zgiął każdą z nich na pół i roztrzaskawszy w ten sposób znajdujące się w środku szklane ampułki, potrząsnął nimi, mieszając wypełniające je chemikalia. Kiedy rzucił je na ziemię, łagodny, niebieski blask oświetlił przestrzeń o średnicy mniej więcej półtora metra.

Larsen miał najwyżej parę lat więcej niż ona sama, jasne, przycięte krótko przy skórze włosy i szczupłą twarz, choć jego rysy skrywał teraz zielono-brązowy kamuflaż. Naomi zauważyła jednak bez trudu, że piwne oczy mężczyzny oceniają ją uważnie. Larsen wywołał jeszcze członków swojego zespołu, chcąc się upewnić, że światło nie jest widoczne z ich pozycji, a potem wyciągnął z plecaka mapę topograficzną.

- Zobaczmy, co tu mamy - mruknął Maginnes, przyciskając kamieniami rogi dużej płachty papieru.

Larsen przesunął palcem ponad płataniną jasnobrązowych poziomic.

- Tutaj jest jeden zespół - powiedział, wskazując obszar gęstej roślinności po północnej stronie domu. - Jak przyjdzie co do czego, wchodzę razem z nimi. Aguilar z drugą grupą czeka po przeciwnej stronie drogi, na zachód od budynków. Z tym był problem... Chciałem dać kogoś przy drzwiach wejściowych, ale nie ma tam żadnej osłony, więc musieliby pokonać jakieś siedemdziesiąt metrów otwartej przestrzeni, zanim by do nich dotarli.

- Jakoś sobie poradzimy - uspokoił go Maginnes. - A co z opcją na otwartym powietrzu?

Larsen wyciągnął z uchwytu przy swojej kamizelce kuloodpornej pisak i zaznaczył kilka punktów na mapie.

- Grierson ustawił swoich snajperów koło mojej drugiej grupy uderzeniowej, bo na tamtą stronę wychodzi większość okien.

Siedzimy tu już od tylu godzin, Al. Sprawdziłem sektory ostrzału i odpowiednio porozmieszczałem ludzi, a potem skontrolowaliśmy to jeszcze raz. Wszystko jest idealnie zgrane. Moi ludzie wiedzą, gdzie mogą strzelać, a gdzie nie. Aha, i jeszcze jedna sprawa. Jones czeka kilkaset metrów dalej ze swoim karabinkiem. Jeżeli obiekt jakimś cudem zdoła się przedostać do samochodu, Jonesy bez trudu go zdejmie z takiej odległości.

- Świetnie. - Maginnes pokiwał głową z aprobatą. - Kogo przydzieliłeś do materiałów wybuchowych?

Larsen zawahał się.

- Canfield ma największe doświadczenie, ale Hudson spędził miesiąc na szkoleniu z Delta, więc...

- Kiedy to było?

- Hm... w styczniu.

- Weź Canfielda - zdecydował Maginnes. - Hudson jest jeszcze zielony, może co najwyżej pomagać. Niech obaj podszkołą trochę twoich ludzi w zakresie min pułapek. Zabierz plany ze sobą, żeby przyjrzeć się najtrudniejszym strefom. - Zamilkł na chwilę. - Nie powinniśmy się za bardzo spieszyć, Chris. Wiemy już, że Vanderveena nie ma na parterze, a to daje nam trochę czasu na działanie. Wykorzystamy ten czas, żeby przeprowadzić wszystko jak należy. Reszta ma się w to nie mieszać.

Larsen skinął krótko głową, a potem zwrócił się do Naomi.

- Nie dostaliśmy jeszcze żadnych szczegółowych danych na temat tego faceta. Co pani o nim wie?

- Vanderveen służył w siłach specjalnych jako saper. Do jednostki rozminowywania zgłosił się w 1993 roku, w dziewięćdziesiątym czwartym został instruktorem. Przeniesienie musiał podpisać sam generał broni - jeszcze nikt w armii nie przeszedł tej drogi szybciej. Potem było jeszcze szkolenie snajperskie w Benning, kurs SERE w Camp Mackall. O senatorze Levy'm i eksplozji w Kennedy-Warren słyszeliście... - Obaj mężczyźni pokiwali głowami. Larsen uśmiechnął się z wyższością, jakby dla zaznaczenia, że nie imponują mu osiągnięcia Vanderveena, ale zrobił to raczej na pokaz. Po krótkiej chwili wahania Naomi doszła do wniosku, że jej rozmówcy zasługują na to, żeby poznać wszystkie fakty. - Jeszcze jedna rzecz... W 1997 roku podczas akcji w Syrii zamordował pięciu towarzyszy ze swojego zespołu.

Potem zniknął praktycznie bez śladu, aż do teraz. Nie wiem, co jeszcze mogłabym wam powiedzieć.

Uśmiechający się arogancko Larsen nagle spowaźniał i już miał coś powiedzieć, kiedy Maginnes podniósł nagle rękę, a drugą przyłożył do ucha, słuchając przez chwilę uważnie informacji.

- Zrozumiałem, baza. Dajcie nam kilka minut, odbiór - powiedział w końcu. Po czym opuścił dłoń i ze ściągniętą twarzą popatrzył na dwójkę agentów. - Nie dostali tego nakazu rewizji.

Naomi opuściła głowę, natomiast Larsen mruknął pod nosem jakieś przekleństwo. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odezwało się nawet słowem.

- Jak bardzo zależy wam na tym, żeby dostać się do środka?
- Padło w końcu pytanie. Naomi podniosła na Maginnesa wzrok.

- Dosyć.
- To znaczy?
- Naprawdę bardzo.

Maginnes skinął powoli głową. Wyglądało na to, że podjął już decyzję.

- Chris...?
- Ta?
- Masz przy sobie jednorazówkę?
- Jak zawsze. - Larsen poklepał leżący u jego stóp plecak.
- Czysty? - upewnił się jeszcze jego dowódca.
- Oczywiście, że czysty. - Larsen wyglądał na obrażonego.

Al Maginnes znowu pokiwał głową, po czym skierował spojrzenie swoich ciemnych oczu na Naomi. Kiedy się w końcu odezwał, jego słowa były spokojne i wyważone.

- Powiem pani, co się wydarzyło - postanowiliśmy podejść trochę bliżej, jasne?

- Rozumiem - przytaknęła Naomi, czując lekki dreszcz przebiegający jej po plecach.
 - Chris, kiedy zajrzałeś przez okno, zauważyłeś leżący na podłodze pistolet.
 - W porządku.
 - Świetnie. - Maginnes w zamyśleniu przeczesał palcami włosy.
- Dobra, facet raczej nie będzie miał zarejestrowanego pistoletu. Posiadanie nielegalnej broni daje nam podstawy do wejścia na teren posesji - dodał, spoglądając na Kharmai. - Jakieś obiekcje?

- Trochę podejrzane, ale... Zgoda, nie mam nic przeciwko temu.
- A jak z tobą? - Maginnes przeniósł wzrok na Larsena.
- Żaden problem. - Młodszy mężczyzna wzruszył ramionami, przechyliwszy lekko głowę.

- W takim razie załatwione. - Maginnes osłonił swój mikrofon dłonią, żeby stłumić odgłosy wiatru. - Baza, tu Magpie... Hm, wygląda na to, że w domu znajduje się pistolet. Czy obiekt posiada zarejestrowaną broń? Odbiór.

Harrison bez trudu zrozumiał, o co mu chodzi, bo odpowiedział natychmiast:

- Kwatera główna podaje, że obiekt nie posiada broni zarejestrowanej w stanie Wirginia.

- Sprawdzimy to, odbiór.

- Zrozumiałem, Magpie. - W głosie Harrisona słychać było, nawet poprzez zakłócenia, lekkie podekscytowanie.

Dziesięć minut później Larsen dołączył do swoich ludzi, podczas gdy przyczajeni blisko siebie Maginnes i Kharmai nadal obserwowali dom poprzez drzewa.

- Mógłbym teraz zabić dla kubka gorącej kawy - mruknął Maginnes.

- Dosłownie czy w przenośni? - zapytała Naomi po chwili namysłu.

- Dosłownie.

- Kurczę, czyli to prawda, co o was mówią. Prawdziwi twardziele. - Naomi ziewnęła, a potem odchyliła się do tyłu i podrapała po pośladkach. - No co? - mruknęła, zauważywszy uśmiech Maginnesa, który potrząsnął głową.

- Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby kobieta to robiła.

- W takim razie nie zwracał pan wystarczającej uwagi - odparła szeptem Naomi. - Robimy tak bez przerwy. A poza tym - dorzuciła po chwili przerwy - za dużo tu w powietrzu testosteronu. Czuję się trochę wyrzucona poza nawias.

Upłynęło kolejnych dwadzieścia minut. Z nieba prószył drobny śnieg, a chociaż było przeraźliwie zimno i wietrznie, Naomi zaczęła już nawet trochę przysypiać. Dokładnie pięć po piątej Maginnes zmarszczył brwi i przyłożył dłoń do ucha.

- Zrozumiałem, Alpha One. Czekać w pogotowiu, odbiór.
- Potem potrząsnął Kharmai za ramię, a kiedy obudziła się i spojrzała na niego lekko przestraszona, wyjaśnił: - Możemy ruszać.
- Ummm... - mruknęła Naomi, otrząsając się ze snu - rozumiem. Ale jak? To znaczy, w jaki sposób mają tam zamiar wejść?
- Jeśli facet jest w środku, nie mogę mu dać czasu na zabarykadowanie się - wyjaśnił cicho Maginnes. - Dlatego założymy lont na futrynę drzwi.
- Muszą być bardzo ostrożni - zauważyła całkiem niepotrzebnie Naomi.
- Będą. - Maginnes zaczekał na zgłoszenie się poszczególnych zespołów, a potem wrócił do Larsena. - W porządku, Chris. Startujemy.
- Zrozumiałem, Mags. Zaczynamy zakładać ładunki, bez odbioru.

Upłynęło kilka minut. Naomi nie widziała niczego poza ich spokojnymi oddechami, zamieniającymi się w mroźnym powietrzu w parę, w końcu poskarżyła się więc Maginnesowi, który natychmiast podał jej swoje gogle noktowizyjne.

- Proszę to założyć. Tylko niech pani nie patrzy na drzwi, kiedy będą je wysadzać.

Po założeniu gogli Naomi natychmiast zauważyła ciemne sylwetki biegnące do przodu poprzez lekki śnieg. Jeden z mężczyzn został trochę z tyłu, mierząc z karabinu w stronę domu, podczas gdy jego towarzysz podszedł bliżej i zaczął zakładać na futrynę ładunek.

- Gdzie są teraz?
- Przy drzwiach wejściowych - wyjaśniła Naomi.
- Sierra One, co widzicie? Odbiór - mruknął do mikrofonu Maginnes.
- Żadnego ruchu w oknach, odbiór.
- Sierra Three, tu Magpie. Macie coś? Odbiór.
- Nie. U mnie też pusto, odbiór.
- Tu Alpha One - rozległo się po chwili. - Ładunki na drzwiach gotowe.
- Niech pani je zdejmie. - powiedział Maginnes, a kiedy Kharmai zsunęła gogle na czoło, przyłożył dłoń do mikrofonu i rzucił rozkaz: - Wysadzajcie.

Poprzez padający śnieg zauważyli krótki błysk światła, a potem usłyszeli ostry huk. Po kilku pełnych napięcia sekundach zgłosił się Larsen.

- Żadnych dodatkowych wybuchów, Magpie. Droga wolna, odbiór.

- Możecie ruszać, Chris, tylko powoli.

- Przyjąłem.

Maginnes odczekał jak długo był w stanie wytrzymać, ale w końcu wyciągnął rękę i zdjął Naomi gogle z głowy.

- Au.

Dopiero teraz zauważył, że przy okazji chwycił też kilka pasm jej włosów.

- Przepraszam.

Kiedy popatrzył na dom, nie dostrzegł w oknach żadnego ruchu.

- Co pan widzi? - Naomi zaczęła się niecierpliwić, ale Maginnes potrząsnął głową sfrustrowany.

- Nic.

Chris Larsen wszedł do budynku jako trzeci, zaraz za Canfieldem i Hudsonem. Tuż za nim podążało jeszcze pięciu członków jego grupy szturmowej, którzy posłuszni kilku ruchom jego rąk szybko ustawili się na wyznaczonych wcześniej pozycjach.

- Magpie, tu Alpha One. Przechodzimy do zabezpieczenia parteru, odbiór.

- Zrozumiałem, Alpha One.

Larsen obserwował uważnie, jak jego ludzie sprawdzają pierwsze dwa pokoje po prawej stronie, a potem bezszelestnie wsunął się z nimi do salonu połączonego z otwartą kuchnią. Ostrożnie ruszył do przodu z karabinem Heckler&Koch MP5 przyciśniętym do ramienia, omiatając wzrokiem ściany na wysokości kolan i kostek w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wskazywać na obecność drutu uruchamiającego bombę. W końcu przesunął się powoli wzdłuż ściany o tapecie z wypukłą fakturą i odetchnąwszy głęboko, wysunął głowę i broń za róg... pusto.

Uspokojony, opuścił karabin i odwrócił się. Jeden z jego ludzi stał właśnie przed zamkniętymi drzwiami.

- Zdaje się, że tu coś mamy... - powiedział operator. Larsen jako jedyny zauważył wciśnięty pod spód rącznik, ale zdążył

zaledwie krzyknąć „nie...”, zanim Kevin Hudson otworzył drzwi. Siła wybuchu odrzuciła mężczyznę do tyłu i w górę, tak że przebił dwudziestocentymetrową ściankę kartonowo-gipsową, zanim jego głowa uderzyła o sufit, co w jednej sekundzie złamało mu kark.

Larsen rzucił się do ucieczki, ale ku swojemu zdziwieniu zauważył, że jego stopy w ogóle nie dotykają ziemi, zdając się wręcz poruszać w *przeciwnych* kierunkach, podobnie jak reszta jego ciała...

Naomi ujrzała oślepiający błysk, a po chwili doleciał ją huk eksplozji rozrywającej dom. Maginnes natychmiast rzucił się do przodu, osłaniając Kharmai własnym ciałem, podczas gdy wokół nich padał deszcz odłamków cegieł, drewna i szkła.

A potem zapadła cisza. Naomi czuła tylko przytłaczający ją ciężar, nic więcej, dopóki Maginnes nie odsunął się na bok i nie zauważyła, że pół metra od jej twarzy leży oderwana ludzka stopa.

To właśnie wtedy zaczęła krzyczeć.

ROZDZIAŁ 33

TYSONS CORNER •

HRABSTWO HANOVER • WASZYNGTON

Tymczasem w centrum TTIC Ryan przestał wreszcie walczyć ze zmęczeniem i postanowił trochę odpocząć, póki jeszcze było to możliwe. Próbował zdrzemnąć się w sekretariacie, ale sen nie nadchodził. Jego umysł ciągle krążył wokół bieżących spraw, jednak to Katie zajmowała przede wszystkim jego myśli.

Doskonale wiedział, że sam jest w znacznej mierze odpowiedzialny za to, co się stało, ale nie potrafił pozbyć się uczucia zawodu, ogarniającego go na myśl o ucieczce Katie, która zostawiła go tak po prostu, nie próbując nawet z nim porozmawiać. Im dłużej o tym myślał, tym większy gniew go ogarniał, bo nagle uświadomił sobie, że postąpił wobec niej dokładnie tak samo, kiedy Harper poprosił go o przyjazd do Waszyngtonu.

Nie spodobało mu się to wspomnienie. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby mógł obarczyć Katie całą winą, jednocześnie jednak niczego nie pragnął bardziej, niż ujrzeć ją znowu. Jeśli pierwszy musiałby wyciągnąć rękę do zgody, byle tak się stało, to ochoczo poniesie taką ofiarę.

Wystarczyłby przecież tylko jeden telefon. W przyćmionym świetle biura Ryan spojrzał na wiszący na ścianie zegar. 5:23. Wiedział, że Katie jeszcze śpi, zresztą i tak nigdy nie była rannym ptaszkiem. Znacznie życzliwiej przyjmie jego przeprosiny za kilka godzin.

W końcu przymknął powieki, czekając aż zmęczenie weźmie nad nim górę. Leżał zwinięty w niewygodnej pozycji na łóżku

polowym i rozmyślał, jak wytłumaczy to wszystko Katie, kiedy drzwi stanęły otworem, zapłonęły światła i ktoś zawołał gdzieś w oddali jego imię.

I nagle wołanie nie wydawało się już tak odległe. Ryan otworzył oczy i zauważywszy wyraz twarzy Harpera, natychmiast otrzeźwiał.

- Co jest? Co się stało?
- Vanderveen właśnie rozwalił w Hanover ośmiu ludzi z HRT - wydusił z trudem dyrektor.
- Jak to? - Ryan zerwał się już na równe nogi, rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu swoich butów. - On tam był?
- Nie, zmajstrował jakąś pułapkę w piwnicy. Ciągle jeszcze próbują to rozgryźć.

Ryan znieruchomiał, nagle czując w sercu lodowaty chłód. Nie chciał zadawać tego pytania, ale wiedział, że musi to zrobić.

- Naomi? - Odetchnął z ulgą, kiedy Harper potrząsnął przecząco głową.
- Znajdowała się trzysta metrów od centrum wybuchu, ale nieźle nią to wstrząsnęło.
- Kurwa - mruknął Ryan, pocierając dłońmi zarost na policzkach. - Kurwa mać.

O 6:45 teren wokół domu roił się od policyjnych radiowozów i karettek pogotowia, choć ich migające światła nie rzucały się tak bardzo w oczy teraz, kiedy słońce zaczęło w końcu wyglądać od czasu do czasu zza ciężkich chmur. Strażacy praktycznie skończyli już swoją akcję, w czym pomógł im nieco wilgotny śnieg nadal padający na rumowisko i okoliczne pola.

Stodoła była w znacznej mierze nietknięta. Owinięta grubym pledem Naomi siedziała oparta o jej deski, wpatrując się w to, co pozostało z domu.

Kiedy w końcu rozejrzała się wokół, zauważyła grupę agentów śledczych z FBI, próbujących określić granice obszaru poszukiwań. Maginnes krążył bez celu pośród wypalonych ruin, z twarzą naznaczoną dziwną mieszaniną bólu i oszołomienia. Stracił Larsena, Canfielda i Hudsona, a oprócz nich jeszcze czterech ludzi ze swojej grupy szturmowej. Siła eksplozji wyrzuciła jednego z operatorów przez drzwi wejściowe na

zewnątrz, dzięki czemu zdołał on ujsć jedynie z oparzeniami drugiego stopnia, złamaną nogą i wstrząsem mózgu. Chłopak został już odtransportowany helikopterem do szpitala w Richmond.

Obrażenia fizyczne Naomi były naprawdę powierzchowne - zaledwie parę zadrapań - ale nadal nie potrafiła wyrzucić z myśli obrazu tamtego zwęglonego kikuta, ani pełnego udręki jęku Maginnesa, który ujrział oderwany fragment ciała zaledwie kilka sekund po niej. Naomi zamknęła na chwilę oczy, żeby odegnać to wspomnienie, ale zaraz otworzyła je szeroko, słysząc swoje nazwisko.

Wołał ją Brett Harrison, stojący obok grupy ludzi z ekipy kryminalistycznej z telefonem komórkowym w ręku. Naomi podniosła się ciężko i ruszyła w jego stronę na miękkich nogach, myśląc sobie przy tym w duchu, że Harrison wygląda jeszcze gorzej niż Maginnes, jeśli to w ogóle możliwe. Był blady jak płótno i nie mógł się na niczym skupić dłużej niż kilka sekund. Kiedy podeszła do niego, mruknął tylko „TTIC” i podał jej telefon.

- Kharmai, słucham.

- Naomi! - To Kealey. - Wszystko w porządku?

Kiedy usłyszała troskę w jego głosie, w końcu uświadomiła sobie całą prawdę, odwróciła się więc plecami do grupki agentów, próbując przy tym stłumić szloch.

- Nie.

- Jezu - jęknął Ryan, choć z jego tonu trudno było coś wyczytać. - Jesteś ranna?

- Nie, po prostu... - Dopiero po chwili Kealey uświadomił sobie, że dziwne odgłosy w słuchawce to bezskutecznie tłumiony płacz. - To było naprawdę straszne, wiesz? Boże, przecież to *ja* podsunęłam im ten pomysł. Przeze mnie...

- Naomi, to nie twoja wina - przerwał jej ostro. - Ci faceci znali ryzyko wiążące się z wejściem do budynku. Odpowiedzialność za ich śmierć ponosi Vanderveen, a nie ty. Jasne? - Zapadła długa cisza. - Przepraszam - powiedział już łagodniejszym tonem. - Powiniennem być tam z tobą.

- Nie - powiedziała Naomi z naciskiem, bezwiednie potrząsając głową na poparcie swoich słów. - Ty też wszedłbyś do tego domu. Nie potrafiłabym... z tym żyć.

Na drugim końcu linii Ryan nie wiedział, jak zareagować. W końcu po upływie paru sekund rzucił tylko:

- Wracaj do Waszyngtonu, Naomi. Nie sądzę, żebyś mo... Po prostu uważam, że powinnaś wrócić.

Naomi od razu zorientowała się, że Ryan próbuje ułatwić jej sprawę. Tak prosto byłoby skończyć z wizerunkiem twardej agentki i lecieć do Waszyngtonu, gdzie Ryan okazałby jej trochę przyjacielskiego zainteresowania, nic więcej. Mogłaby siedzieć za swoim biurkiem w centrum antyterrorystycznym, pijąc kawę, oglądać to wszystko na CNN i nie narażać się więcej na żadne niebezpieczeństwo.

Tylko że Vanderveen nadal pozostawał na wolności, a ona nie zamierzała się jeszcze poddawać. Poza tym Ryan chciał jej powiedzieć, zanim się zreflektował, że nie pozostało jej już nic do zrobienia w Wirginii. *A do diabła z tobą, panie Kealey.*

- Jeszcze nie teraz - powiedziała w końcu, zaskakując Ryana stałą, jaka nagle zabrzmiała w jej głosie. - Wezmę kogoś od Harrisona i porozmawiam trochę z ludźmi. Chcę wiedzieć, czym facet jeździ, jak wygląda. Inaczej nadal będziemy się poruszać po omacku.

- W porządku - powiedział Ryan po krótkiej chwili wahania. - Zaczekaj sekundę. - Przekazał jej decyzję Harperowi, który przerwał kolejną ożywioną dyskusję z Patrickiem Landriem, żeby udzielić swojej zgody. - Harper mówi, że nie ma nic przeciwko temu. No i cieszy się, że nic ci nie jest. Ja też...

- Wiem - przerwała mu Naomi. - Powiadomię was, jeśli uda mi się coś ustalić.

Rozłączyła się, nie czekając na jego odpowiedź, a potem popatrzyła jeszcze raz na zniszczenia wokół i otarła kilka ostatnich łez. *Dobra, Naomi, pomyślała. Pora wracać do pracy.*

Waszyngton był pogrążony w półmroku poranka. Z południa ciągle napływały chmury, ale co jakiś czas wyglądało zza nich słońce, oświetlając jasnymi promieniami przypadkowe przedmioty i ludzi. Jodie Rivers stała na nabrzeżu z kubkiem w ręku, w milczeniu delektując się tym widokiem. Przez ostatni tydzień pracowała aż do granicy kompletnego wyczerpania, ale mimo iż dookoła nadal działo się mnóstwo rzeczy, za nic w świecie nie

zamierzała zrezygnować ze swojej porannej kawy. Zwłaszcza po tym jak o pierwszej nad ranem wezwano ją na spotkanie do TTIC i po tych wszystkich bezsennych godzinach, które nastąpiły później.

Miasto płonęło tymi ożywionymi kolorami, zarezerwowanymi dla pewnego rodzaju pochmurnej pogody. Rozciągające się za połyskliwą taflą kanału trawiaste pola klubu golfowego przypominały bezkresne morze szmaragdowej zieleni. Powietrze było ciężkie i nieruchome, a wszystkie prognozy zapowiadały burzę, która jeszcze przed południem miała nadciągnąć nad Waszyngton.

Ale dla Rivers to i tak za późno. W tym momencie na ziemi nie było nawet śladu deszczu czy śniegu i żadnego powodu, żeby odwołać rejs, który miał się rozpocząć zgodnie z planem za niecałe dwie godziny. Przynajmniej takiego powodu, który mógłby przekonać prezydenta Brennemana albo jego sekretarza generalnego, Eda Rigneya.

Rivers była boleśnie świadoma, że w trzy tygodnie po dwóch udanych zamachach terrorystycznych stanowią wprost wymarzony cel. Niestety, Secret Service miało za zadanie spełniać wszystkie życzenia prezydenta, a kiedy podjął on już decyzję, jedyne, co mogli zrobić, to wyznaczyć wystarczająco rozległą strefę bezpieczeństwa, otoczyć głowę państwa jak największą liczbą agentów i być dobrej myśli.

Barierki prowadzące na Maine Avenue już pełniły swoją powinność, wysoko w górze rozmieszczeni na dachach budynków snajperzy lustrowali przez mocne lornetki zbierające się grupy demonstrantów, od czasu do czasu szepcząc cicho jakiś opis na wydzielonym dla Secret Service kanale radiowym. W odpowiedzi na tę informację jeden z wmieszanych w tłum agentów wpadał na kogoś niby przypadkiem, a ofiara takiego zderzenia nawet nie zdawała sobie sprawy, że właśnie została dokładnie przeszukana pod kątem posiadania broni. Udający demonstrantów agenci Secret Service nie mieli żadnych transparentów i byli ubrani schludnie, jeśli nie wręcz konserwatywnie, ale od czasu do czasu dla zachowania pozorów wykrzykiwali jakieś hasła. Jak dotąd demonstracja przebiegała pokojowo, za co umundurowani funkcjonariusze waszyngtońskiej policji, obserwujący wszystko uważnie z kamiennymi minami, byli naprawdę wdzięczni losowi.

A na południe, w stronę nabrzeża, zmierzała już niekończąca się procesja limuzyn z ambasad, wiozących francuskich i włoskich dyplomatów. Szukający ewentualnych materiałów wybuchowych agenci z mundurowej jednostki Secret Service sprawdzali wszystkie pojazdy przy użyciu wysięgników z kamerami ukazującymi obraz podwozia na umieszczonych na wysokości pasa czteroipółcalowych monitorach. Papiery i twarze gości były skrupulatnie porównywane z istniejącą dokumentacją pod czujnym okiem agentów, trzymających nisko przy boku karabiny MP5. Dwóch młodych pracowników francuskiej ambasady, którzy nie mieli przy sobie przepustek, zostało wyciągniętych z auta i musieli czekać dwadzieścia minut, ku lekkiej konsternacji ambasadora i jego dowódcy ochrony, zanim ich tożsamość została ostatecznie potwierdzona.

Przygotowania trwały praktycznie bez końca i zdawały się opłacać, przynajmniej zdaniem Rivers. Pomimo wszystko spójność kordonu ochrony zależała w znacznym stopniu od sposobu myślenia potencjalnego zamachowca, a Rivers nie miała żadnych złudzeń, że jej agenci są w stanie zagwarantować całkowite bezpieczeństwo w sytuacji, gdy jakiś człowiek zdecyduje się poświęcić własne życie, byle tylko zabić prezydenta. Pojedynczy zamachowiec samotnie przeprowadzający atak samobójczy stanowił największy koszmar każdego agenta Secret Service i Rivers nie była tu żadnym wyjątkiem. W końcu jej myśli zaczęły krążyć wokół Williama Vanderveena: *Boże, naprawdę mam nadzieję, że facet chce żyć.*

- Znowu śniesz na jawie, Jodie?

Rivers odwróciła się z uśmiechem na twarzy w stronę Joshuy McCabe'a.

- Nie, po prostu podziwiam widoki. Pięknie tu, prawda?

- Uhm. - McCabe popatrzył w ślad za nią na pola po drugiej stronie kanału. - Golfiści mieli pecha, co?

- Chyba tak. - Secret Service zamknęło pole golfowe na mocy swoich specjalnych uprawnień, argumentując, że teren jest zbyt duży, aby można go było zabezpieczyć przy użyciu tak ograniczonej liczby ludzi. - Co się dzieje?

- Wszystko idzie zgodnie z planem. A tak przy okazji, świetnie sobie poradziłaś z włączeniem do współpracy Francuzów

i Włochów. Dzięki temu byliśmy ich w stanie szybko sprawdzić.

- Rivers przyjęła ten komplement krótkim skinieniem głowy.
- Słyszałaś już, co się stało w Wirginii?

- Nie. - Jane natychmiast popatrzyła na niego uważnie.

- Ktoś powinien ci być to powiedzieć... - McCabe potrząsnął głową i skrzywił wargi. - Cała akcja się popieprzyła. Vanderveen zastawił pułapkę i sprzątnął paru chłopaków z HRT. W stodole nie znaleźli żadnego samochodu.

- Jak to zrobił?

- Zmajstrował jakąś bombę, ale jeszcze to badają. W każdym razie ich zdaniem facet jedzie już do Waszyngtonu, więc...

Rivers przymknęła na chwilę oczy, rozważając jego słowa.

- Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić - powiedziała w końcu, wzruszając lekko ramionami. - Nie mamy dosyć ludzi, żeby jeszcze rozszerzyć kordon. Przekazałaś te informacje Storeyowi? - Jeff Storey dowodził ekipą oddelegowaną do ochrony samego prezydenta i miał przybyć za dwie godziny razem z główną grupą.

- Oczywiście, prezydentowi również. Łatwo się domyślić, że nie był z tego powodu zbyt zadowolony. Ale nie odwołał imprezy.

- Cholera - parsknęła ze złością Rivers. - Co to człowiek? Nie zdaje sobie sprawy, jak poważne jest zagrożenie?

- On doskonale o tym wie. - McCabe zamilkł na chwilę. - Po prostu jest zdesperowany. Jeśli uda mu się przepchnąć tę sprawę, może uzyskać wystarczające poparcie, żeby zacząć myśleć o kolejnych czterech latach. Inaczej już po nim.

- Trochę trudno zarządzać krajem, kiedy jest się trupem - mruknęła Rivers.

McCabe skrzywił się.

- Na miłość boską, lepiej, żeby nikt więcej tego nie słyszał. Dobra, muszę już wracać do TTIC. Możesz mnie tam złapać, jeśli będę ci potrzebny, w porządku?

- Jasne, dzięki.

McCabe skinął głową i ruszył z powrotem w stronę czekającego na niego samochodu, a Jodie Rivers zapatrzyła się znowu na szare wody kanału, podczas gdy przez jej myśli przewijały się jeden za drugim dziesiątki okropnych scenariuszy. Pozwoliwszy tak szaleć swojej wyobraźni przez jakieś pięć minut, w końcu

niechętnie zabrała się do ponownego sprawdzania całego obwodu i zagranicznych dygnitarzy, którzy po zweryfikowaniu uzyskali wstęp na nabrzeże.

Proszę, Boże. Tylko nie na mojej zmianie.

W centrum TTIC obowiązywał zakaz palenia, a poza tym Jonathan Harper rzucił ten nałóg wiele lat temu, teraz jednak znajdował się w tak ogromnym stresie, że potrzebował jakiegoś ujścia dla nagromadzonych emocji, a nie lubił wszczynać awantur.

Pałił więc papierosa przed budynkiem, podczas gdy niebo rozświetlał pierwszy brzask. Ryan stał obok niego, w jednej chwili krzyżując ramiona, by zaraz wepchnąć ręce głęboko do kieszeni, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Poza nimi na rozległym betonowym placu nie było nikogo, ale ponieważ znali się od siedmiu lat, panujące między nimi milczenie nie miało w sobie nic krepującego. Zastępca dyrektora wyczuwał, że Ryan zbiera się do podjęcia jakiejś decyzji, nie zamierzał go więc poganiać.

- Chcę jechać na nabrzeże.

Harper zaciągnął się głęboko papierosem, a potem powoli wydmuchnął dym przez nos.

- Niewiele będziesz mógł tam zdziałać - zauważył.

- Wiem.

- Czego potrzebujesz?

- Jakiejś legitymacji - odparł Ryan. - Wolałbym, żeby ludzie wiedzieli, kim jestem i nie zatrzymywali mnie co parę metrów do kontroli.

- Zobaczą, co da się zrobić. Nie przez Agencję... może przez TTIC. Pogadam jeszcze z McCabe'em.

- Potrzebna mi też broń. Mam przy sobie beretę... Po prostu nie chcę, żeby to był jakiś problem.

- Nie będzie. - Harper skończył swojego papierosa, a potem stali przez chwilę w kojącej ciszy, podczas gdy słońce wyzłacało czubki drzew. - Co sądzisz o Naomi?

- Lubię ją. Jest... twarda.

- A poza tym całkiem niebrzydka.

- Zgadza się - przytaknął z uśmiechem Ryan.

- Początkowo wcale nie chciałem jej w to włączać. - Harper rzucił niedopałek w stronę skrzyni z piaskiem, chybiając paskud-

nie. - Jest trochę niewyrobiona, no wiesz, nie nauczyła się jeszcze radzić sobie właściwie z ludźmi. Ale szybko się uczy...

Myślisz, że uda się jej coś znaleźć?

- Nie wiem. To bystra dziewczyna, tylko że tak naprawdę sporo zależy od szczęścia.

- Masz rację - przytaknął Harper, a po kilku sekundach dodał:

- Jedź do przystani. Uprzedzę ich o twoim przybyciu. Poznałbyś go, gdybyś się na niego natknął?

- Może... Tak, poznałbym go - zdecydował Ryan, potem jednak zawahał się: - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- On na pewno pozna ciebie - ostrzegł Harper. - Więc lepiej uważaj na siebie.

- Zawsze to robię.

Pokój był mniej więcej taki, jak się spodziewał: wygodny, ale nie nazbyt luksusowy, z kilkoma gustownie oprawionymi reprodukcjami na ścianach. Na umeblowanie składały się: wysoka drewniana szafka, skrywająca obowiązkowy telewizor, dwa łóżka i stolik nocny oraz stojące obok drzwi niewielkie biurko. Kiedy wszedł do tego pokoju prawie dwanaście godzin temu, od razu skierował się do okna, żeby sprawdzić pole widzenia. Idealne. Furgonetka stała przodem do niego dwieście metrów dalej, jakieś siedemdziesiąt pięć metrów od skrzyżowania Trzynastej i Pennsylvania Avenue.

Najgorsza chwila nadeszła ostatniej nocy, kiedy musiał okrążyć kwartał trzykrotnie, zanim wreszcie znalazł odpowiednie miejsce do zaparkowania. Na szczęście nikt chyba tego nie zauważył.

Od samego świtu na chodnikach tłoczyły się tłumy przechodniów, ale żaden z nich nie wydawał się specjalnie zainteresowany dużą dostawczą furgonetką, stojącą przy krawężniku. Od momentu kiedy Dwunasta Ulica została zamknięta dla ruchu niecałe pół godziny po jego przyjeździe, na tej bocznej ulicy rzadko pojawiały się samochody, dzięki czemu pilnowanie vana okazało się dużo łatwiejsze niż w zwykły dzień.

Musiał tylko poprzestawiać jeszcze kilka mebli w pokoju. Na kłamce od strony korytarza umieścił już wywieszkę „Nie przeszkadzać”, drobny szczegół, jednak niezwykle istotny. Potem wyciągnął fotel z kąta i wepchnął go pomiędzy łóżka, a na

zwolnione w ten sposób miejsce przesunął szafkę, ciągnąc ją za wąski koniec i obracając tak, aby znalazła się prostopadle do ogromnego panoramicznego okna. Na koniec zabrał krzesło spod biurka i ustawił je przy oknie na wprost szafki.

Dzięki tym niewielkim zmianom mógł jednocześnie oglądać telewizję i obserwować samochód. Wiedział, że MSNBC ma transmitować na żywo przemówienie prezydenta. Przy odrobinie szczęścia zdoła potwierdzić przybliżony czas odjazdu kawalkady samochodów - z dokumentu dostarczonego przez Shakiba wynikało, że powrót Brennemana do Białego Domu był zaplanowany na 11:40, ale nigdy nie zaszkodzi jeszcze się upewnić.

W Fox News pokazywali już, praktycznie na okrągło to samo, relację z wydarzeń w Wirginii. Mieli niewiele materiału i jeszcze mniej informacji, dlatego zadowalali się najbardziej nieprawdopodobnymi przypuszczeniami i obrazami dymiącego gruzowiska, kręconymi z daleka przez latający na niskiej wysokości helikopter z niepewnym pilotem za sterem.

Vanderveen nie miał pojęcia, jakim cudem FBI zdołało dotrzeć jego śladem aż do tamtego domu, ale nie przejmował się tym zbyt. Od osiągnięcia celu dzieliły go już tylko godziny, nie zdąży więc już powstrzymać go na czas. Poza tym był zadowolony ze skuteczności swojej skonstruowanej naprędce bomby. Jeśli informacje podawane przez prezenterów były prawdziwe, zdołał zabić ośmiu członków Hostage Rescue Team, osławionej jednostki FBI. Słuchanie o tym w relacji z drugiej ręki było znacznie mniej przyjemne niż patrzenie, jak właścicielka biura nieruchomości wykrwawia się na śmierć, ale mimo wszystko satysfakcjonujące.

Czuł się wspaniale, chociaż zbliżał się właśnie do kresu długiego czekania. Mechanizm dzwoniący w komórce działał, ale przełącznik ukryty w kabinie furgonetki był wyłączony, toteż w odsłoniętym zespole obwodów elektrycznych nie płynął jeszcze prąd. Komórka, której miał użyć do zdetonowania bomby, leżała koło niego, jednak gdyby zadzwonił teraz, nic by się nie wydarzyło. Zerknął na zegarek, taniego Timexa idealnie pasują-

cego do jego obecnego wizerunku. Cyfrowy wyświetlacz wskazywał godzinę 7:25. Około jedenastej zjeżdża do swojej furgonetki, niby to po notes, który celowo zostawił na siedzeniu pasażera. Przy odrobinie szczęścia prezydent i spora grupa jego współpracowników zginie przed upływem godziny od momentu, kiedy wciśnie ten przełącznik.

Zrobił wszystko, co w jego mocy. Z tą myślą usadowił się wygodniej na krześle i wrócił do obserwacji ulicy pod swoim oknem.

ROZDZIAŁ 34

WASZYNGTON • ASHLAND

Kealey ruszył na wschód międzystanową 66, więc dotarcie do miasta, a później na nabrzeże nie potrwało długo. Tak naprawdę kontrola bezpieczeństwa, której musiał się poddać przy wjeździe, zajęła prawie połowę czasu trwania samej podróży, ale i tak nie upłynęło jeszcze nawet czterdzieści pięć minut od momentu opuszczenia Tyson's Corner, kiedy w końcu został wpuszczony na teren Gangplank Marina. Zlokalizowanie osoby, której szukał, wymagało kolejnych pięciu minut.

Ryan czuł się trochę głupio, biegnąc za Jodie Rivers poprzez tłumy dziennikarzy kłębiące się za metalowymi barierami zabezpieczającymi. Z trudem przedzierali się do przodu, popychani przez fotoreporterów i kamerzystów, bez pardonowo walczących o jak najlepsze miejsce, żeby zrobić zdjęcie prezydenckiej kawalkady, która miała się pojawić lada moment. Ryan musiał porozmawiać z tą kobietą, choć zdawała się być w ciągłym ruchu.

Niemal na nią wpadł, kiedy zatrzymała się nagle przy wejściu dla prasy. Dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych sprawdzało dowody tożsamości i przepustki, które zostały przygotowane specjalnie na tę okazję i rozdzielone poprzedniego dnia przez biuro prasowe Białego Domu. Rivers zwróciła się do agenta stanowiącego obstawę, pozwalając, aby jego kolega kontynuował swoje zadanie.

- Dostaliście te zdjęcia? - Mężczyzna skinął głową. - Proszę pokazać.

Wyższy o co najmniej dwadzieścia centymetrów od swojej przełożonej i dwa razy od niej cięższy agent natychmiast sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę papieru.

- Macie na wszystko oko? - upewniła się jeszcze Rivers.
- Tak jest. Sprawdzamy każdego z listą.

Ryan uznał, że szacunek okazywany przez potężnego mężczyznę drobnej Jodie Rivers jest nieco zabawny, zachował jednak tę myśl dla siebie. W tym momencie szefowa grupy przygotowawczej odwróciła się, żeby pokazać mu kartkę z powiększoną kopią prawa jazdy Vanderveena na nazwisko Timothy Nichols, a poza tym kilka komputerowych symulacji przedstawiających go między innymi w okularach, długich albo ciemnych włosach i z brodą.

- To wyretuszowane zdjęcia - wyjaśniła niepotrzebnie. - Wykorzystaliśmy oryginał, wprowadzając tylko drobne zmiany. To niewiele, ale dzięki temu moi ludzie przyglądają się wszystkim trochę uważniej i są cały czas w stanie gotowości - dodała, a potem zwróciła się w stronę obu agentów: - W porządku, panowie, dobra robota. Zachowajcie czujność.

Oddała podwładnemu kartkę i ruszyła dalej z zaskakującą szybkością, Ryan podążał tuż za nią, przeciskając się przez zbity tłum. Nagle Rivers przypomniała sobie chyba o jego obecności, bo odwróciła w jego stronę głowę i powiedziała:

- Rozmawiałam już z zastępcą dyrektora Harperem, panie Kealey, podobnie jak z dyrektorem Landrieu. Może pan wchodzić do strefy i z niej wychodzić, kiedy pan tylko zechce... Szczerze mówiąc, jestem bardzo zadowolona, że pan się tu znalazł. Każda pomoc się przyda. Czego oczekuje pan ode mnie?

Kiedy zatrzymała się, żeby sprawdzić kolejny punkt kontrolny, Ryan w końcu zdołał wtrącić parę słów.

- Tak naprawdę, agentko Rivers, chciałbym przede wszystkim sprawdzić sąsiednie ulice. Wygląda na to, że ma tu pani wszystko pod kontrolą, więc chyba bardziej przydałbym się tam, gdzie brakuje pani ludzi.

- Czego pan szuka?
- Sam nie wiem. Czegoś, co zwróci moją uwagę... Po prostu czułbym się lepiej, gdybym mógł się tu trochę pokręcić.
- Zdaje się, że nie ma w tym wiele sensu - Rivers nie była przekonana do jego pomysłu.

- Wiem, ale tylko tyle mogę robić.
- Ta odpowiedź w końcu ją zadowoliła.
- Tak więc, pytam jeszcze raz, czego konkretnie oczekuje pan ode mnie?

Ryan wzruszył ramionami.

- Mam przy sobie broń... Harper mówił pani o tym? - Rivers skinęła głową, bezwiednie przesuając wzrokiem po jego ciele. Kealey miał na sobie luźną koszulę z podwiniętymi rękawami, wypuszczoną na spodnie khaki. Nie zauważyła pistoletu, ale uznała, że broń jest pewnie wsunięta z tyłu za pasek spodni.
- Nie chcę żadnych problemów z pani ludźmi na terenie. Może ich pani jakoś uprzedzić, że się zjawię?

- Mogę powiedzieć to *moim* ludziom - mruknęła Rivers, ściągnąwszy brwi - ale mamy dzisiaj cholerne kłopoty z łącznością. Chłopaki z waszyngtońskiej policji zajmują się sprawdzaniem samochodów, a korzystają z radia na falach UHF. Cały dzień są z tym problemy, ale zobaczę, co da się zrobić. A jak u pana z dokumentami?

Tym razem to Ryan zmarszczył brwi.

- Harper nie zdołał mi niczego skombinować. Wie pani, w zasadzie odszedłem z Agencji, a Landrieu miał co do tego jakieś obiekcje. Nie udało się go przekonać.

- To rzeczywiście może być problem - mruknęła Rivers, krzywiąc się lekko.

- Wiem. - Ryan zawahał się. - Gdyby zechciała pani uprzedzić swojego najważniejszego człowieka w terenie, to chyba będę mógł zacząć się rozglądać, nie powodując przy tym większego zamieszania.

Rivers zastanawiała się nad jego słowami tylko chwilę i właśnie miała zamiar wyrazić zgodę, kiedy nagle słuchawka w jej uchu zatrzeszczała. Rivers wysłuchiwała uważnie informacji, a potem rzuciła do czekającego na jej decyzję Ryana:

- Prezydent już tu jedzie.

Ponad jej ramieniem Ryan dostrzegł długą kawalkadę samochodów, wyjeżdżającą właśnie zza rogu na Maine Avenue. Auta Secret Service migały kogutami, choć syreny pozostały wyłączone. Widok zbliżających się pojazdów wywołał nagłe poruszenie wśród dziennikarzy, zwłaszcza fotoreporterów i kamerzystów,

którzy zaczęli się znowu przepychać, żeby zdobyć jak najlepszą pozycję na zatłoczonym skrawku przestrzeni. Daleki pomruk demonstrantów również zaczął przybierać na sile, mimo iż ich pole widzenia na sznur samochodów było bardzo ograniczone.

Ryan zauważył, że Rivers wygląda na zdenerwowaną. Kobieta podchwyciła jego spojrzenie i próbowała się uśmiechnąć.

- Ten sektor dla dziennikarzy działa mi na nerwy. Jest znacznie większy, niż sobie życzyłam, ale McCabe musiał się poddać pod naciskiem... Media po prostu szalały, kiedy wysłaliśmy im pierwszą listę naszych wymagań. Dopiero po przygotowaniu przez nas trzeciej propozycji przestali nam grozić procesami sądowymi. Pierwsza poprawka do konstytucji to okropna rzecz, przynajmniej z mojego punktu widzenia.

Ryan pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Dowódca obstawy Brennemana też już jest - zauważył.
- To powinno panią trochę odciążać.

- Tak by się mogło wydawać - westchnęła Rivers, a potem wróciła do poprzedniego tematu. - W porządku, jeśli chodzi o moich ludzi, kontrola nad wszystkim na północ od Ben Banneker Park spoczywa w rękach rozlokowanych na dachach zespołów snajperskich. Mamy tu naprawdę dziwną mieszankę: ludzi z policji waszyngtońskiej i tych z Capitol Hill, moich strzelców tam na górze, a na dodatek kręcą się tu jeszcze agenci z FBI... Mimo wszystko łączność jest całkiem dobra, no, może poza chłopakami z waszyngtońskiej. Spróbuję ich powiadomić, że pan tam idzie, ale nie mogę niczego zagwarantować. Nie mam pojęcia, co się tam stało, pewnie jedna z tych drobnostek, które przeoczyliśmy, ale jestem z tego powodu strasznie wkurzona.

I rzeczywiście *wyglądała* na wkurzoną, pomyślał Ryan, co wcale nie czyniło jej mniej atrakcyjną. Nie mógł nic na to poradzić, że tak właśnie uważa. Policzki miała zrumienione od gniewu, ale to tylko dodawało jej uroku. Gdyby jej nie znał, mógłby ją wziąć za młodą studentkę, bo entuzjizm malujący się na jej twarzy odmładzał ją o dobrych kilka lat. Ponieważ jednak wiedział, jaka jest prawda, odrobinę Rivers współczuł - Secret Service to służba całkowicie zdominowana przez twardych facetów, więc kobieta wyglądająca tak jak Jodie Rivers będzie musiała pracować dwa razy ciężiej, żeby w ogóle traktowano ją

poważnie. Jej obecna pozycja bez wątpienia też była okupiona ogromnym wysiłkiem.

W końcu odsunął od siebie tę myśl i próbował się zastanowić, o co jeszcze mógłby zapytać, ale Rivers go ubiegła.

- Potrzebuje pan samochodu?

- Nie, jestem autem. - Harper miał tkwić w Tyson's Corner przez resztę dnia, więc pożyczył Ryanowi swojego zielonego forda explorera '98. - Nadal planują wracać do Białego Domu Dwunastą, tak?

Rivers zerknęła na niego z wahaniem, a potem skinęła głową. *Skoro Landrieu twierdzi, że facet jest czysty...*

- Zgadza się, przynajmniej przez większość drogi. Ponieważ Dwunastą pomiędzy Pennsylvania i H Street zamknięto z powodu budowy, będą musieli skręcić w Trzynastą. Powrót jest zaplanowany na 11:40, ale częściowo zależy to od pogody. Prognozy zapowiadają paskudną burzę po południu.

- Słyszałem, że może przejdzie bokiem - mruknął Ryan, spoglądając w niebo, jakby chciał sprawdzić pogłoski.

- Ta, no cóż... - Rivers wzruszyła ramionami. Prezydent wysiadł akurat ze swojej limuzyny, rzucając przy tym szeroki uśmiech w stronę dziennikarzy, którzy natychmiast zareagowali mnóstwem wykrzykiwanych głośno pytań. - Zobaczymy.

Pomimo iż od niemal dwudziestu ośmiu godzin praktycznie nie zmrużył oka, Vanderveen czuł jedynie podekscytowanie i rozpierającą go energię. Z trudem był w stanie usiedzieć na krześle, a otepiający widok z hotelowego okna wcale nie łagodził tej nudy. Nieco zaskoczyły go, choć jednocześnie bardzo ucieszyły rozmiary nadawanej przez MSNBC relacji z tego wydarzenia. Prawie dwadzieścia minut temu kamery przekazały na żywo obraz prezydenckiej kawalkady. Vanderveen szybko obliczył, że znajduje się w niej trzydzieści sześć pojazdów, i odetchnął z ulgą, bo znaczyło to, że dokument dostarczony przez Shakiba najprawdopodobniej nadal obowiązywał. Oczywiście, gdyby było inaczej, Dwunasta Ulica w ogóle nie zostałaby pewnie zamknięta, ale mimo wszystko uspokoiła go świadomość, że służby Secret Service czuły się tak pewnie w swoich przygotowaniach.

Nigdy nie zamierzał zaatakować kawalkady przed spotkaniem trzech przywódców. Dopiero później, kiedy przysięgną już sobie dozonną przyjaźń, nagle śmierć prezydenta Stanów Zjednoczonych wyrządzi największą szkodę kruchej koalicji. I był już tego naprawdę blisko...

Zerknął na zegarek: 9:31, a potem uśmiechnął się do siebie. Aż trudno uwierzyć, że wszystko sprowadzało się do tych paru chwil. Wyrzwał przez okno, zachwycony myślą o zmianach, które wkrótce tu zajdą. Budynki przy skrzyżowaniu ucierpią najbardziej. Niedługo będą to już tylko pozbawione fasad pokoje, zamiast chropowatego kamienia i lśniących okien poskręcana stal i kruszący beton, i rozerwane ciała tych nieszczęśników, którzy znajdowali się w środku.

Wyobrazenie pożogi i zniszczenia pochłonęło go tak bardzo, że nie od razu zauważył samotną postać idącą ulicą. Jego oczy otworzyły się szerzej, ale szybko wstał z krzesła i podszedł do okna, żeby przyjrzeć się bliżej. Kiedy jego podejrzenia się potwierdziły, gwizdnął cicho przez zęby, a jego oddech zamglił szybę. *Trzeba było zwracać większą uwagę*, pomyślał, chociaż nie stanowiło to większego problemu; nadal miał czas.

Popatrzył dookoła, zastanawiając się, co będzie mu potrzebne. Decyzja zapadła błyskawicznie. Naciągnął swoją grubą kurtkę, a potem chwycił jeszcze kartę magnetyczną i paszport. Już sięgał po swoją tymczasową wizę, ale zaraz napomniął się w myślach, *Nie, lepiej nie przesadzać*, i w końcu szybko ruszył w stronę drzwi.

Ryan ufał w profesjonalizm Jodie Rivers na tyle, by wierzyć, że zgodnie z obietnicą szefowa grupy przygotowawczej wykona telefony do właściwych ludzi. Miał już dosyć kręcenia się bez celu, więc zamieniwszy kilka zdań z tymi samymi agentami, którzy dyżurowali przy wejściu dla prasy, przeszedł przez wykrywacz metalu bez większego zamieszania i ruszył z powrotem w stronę należącego do Harpera forda, zaparkowanego na Siódmej Ulicy przodem na północ. Kiedy jednak wszedł do środka i popatrzył przez przednią szybę, nagle ogarnęło go niezdecydowanie.

Jezdnie przed nim była zapchana samochodami, podobnie jak pas jazdy w przeciwnym kierunku. Wzdłuż sznurów aut chodzili

policjanci, zgłaszający do centrali numery rejestracyjne i przyglądający się dosyć pobieżnie pasażerom. Na ulicach prowadzących do Dwunastej było równie dużo samochodów, z których co najmniej połowę stanowiły rozmaite auta terenowe, czyli dokładnie takie, jakie go interesowały.

Sfrustrowany uderzył dłońmi o kierownicę, a potem wysiadł na zewnątrz. O tej porze dnia ulice pełne były dojeżdżających do pracy ludzi, a niewiele mógłby zdziałać z przesuwającego się w takim ślimaczym tempie auta. Już lepiej pójść pieszo.

Ruszył Siódmą Ulicą, z wysłużoną berettą umocowaną bezpiecznie w kaburze na plecach za paskiem spodni, skinieniem głowy pozdrawiając mijanych po drodze funkcjonariuszy Metropolitan Police. Niemal natychmiast zaczął drżeć z zimna i uświadomił sobie, że zostawił kurtkę w samochodzie Harpera. Zastanawiał się nad tym przez moment, a potem zerknął na długie rzędy aut, co unaocznilo mu ogrom czekającego go zadania. Dzięki temu błyskawicznie podjął decyzję i szybko ruszył z powrotem w stronę explorera.

W końcu nawet jeśli nic nie działo, przynajmniej będzie mu cieplej. Wkrótce wracał tą samą drogą, tym razem już w swojej skórzanej kurtce, noszącej jeszcze ślady wybuchu w Kennedy-Warren w postaci rozdarć i zadrapań, gotów rozpocząć poszukiwania, które zapowiadały się na naprawę długie, za to bezowocne.

Ubrany tylko w mundur Jared Howson nie miał niestety żadnego wierzchniego okrycia, dlatego marzył od momentu, kiedy niecałe dwie godziny wcześniej rozpoczął swoją służbę. Chętnie schroniłby się teraz we względnie wygodnym, za to z całą pewnością ogrzewanym wnętrzu komisariatu pierwszego dystryktu na Czwartej, ale wiedział też, że mogło mu się poszczęścić znacznie gorzej. W końcu musiał się martwić tylko o tę jedną ulicę, a nie było to trudne zadanie. Po prostu spojrzeć na samochód, zgłosić jego rejestrację, szybko rzucić okiem na kierowcę i przejść do następnego auta. To jedyne wytyczne, jakie otrzymał, ale pracował w policji zbyt długo, żeby nie domyślić

się, że te dodatkowe środki ostrożności mają jakiś związek z prezydenckim rejsem i zamachami terrorystycznymi, które wstrząsnęły miastem niecały miesiąc temu. To, co się wtedy wydarzyło, oburzyło Howsona równie mocno, jak każdego Amerykanina, a może nawet jeszcze bardziej, dlatego że był stróżem prawa w tym właśnie mieście, a te *sukinsyny* miały czelność się *tu* zjawić i tak po prostu wysadzić w powietrze *niewinnych ludzi*...

Za każdym razem, kiedy o tym myślał, ogarniała go wściekłość, otrząsnął się jednak i skończywszy sprawdzanie niebieskiej toyoty, przeszedł do następnego pojazdu, dużej dostawczej furgonetki, dokładnie takiej, jakiej kazano mu wypatrywać. Ford econoline miał rejestrację z Wirginii i pociętą karoserię, która widziała już pewnie niejedną stłuczkę. Właśnie miał zgłosić jej numery do bazy, kiedy zauważył, że drzwi od strony pasażera są otwarte, a jakiś mężczyzna wyjmuje coś ze środka.

- Przepraszam, proszę pana. Proszę pana...?

- Tak? - Brodacz wyprostował się z notesem w dłoni, posyłając przy tym policjantowi szeroki, przyjacielski uśmiech. Howson natychmiast wychwycił w jego głosie obcy akcent.

- Czy to pański samochód?

- Tak, mój.

Howson popatrzył na nieznanego uważnie. W kieszeni miał identyczną kartkę jak ta, którą wręczono wszystkim agentom Secret Service w przystani i jeszcze na komisariacie dokładnie jej się przyjrzał. Stojący przed nim mężczyzna nie przypominał tak naprawdę osoby z wygenerowanych komputerowo zdjęć, chociaż ogólny zarys twarzy *rzeczywiście* pasował...

Ale to samo dotyczyło się pewnie jakichś trzydziestu procent populacji, a poza tym włosy były zupełnie inne. Na dokładkę poszukiwany miał ponoć jasnozielone oczy, a Howson patrzył teraz w nijakie brązowe oczy przypominające odcieniem dębinę. Nie wspominając już o tym, że właściciel furgonetki ewidentnie był Francuzem.

Mimo wszystko Howson postanowił się jeszcze upewnić.

- Czy ma pan jakiś dokument tożsamości?

- Oczywiście, oczywiście. - Mężczyzna pośpiesznie sięgnął do kieszeni swojej grubej kurtki i wyciągnął paszport. - Proszę bardzo, *monsieur*.

Howson wziął do ręki bordową książeczkę i popatrzył na okładkę z napisem *Communaute Europeenne*, a poniżej jeszcze *Republique Francaise*. W środku znalazł wszystkie wymagane informacje na temat niejakiego Claude'a Bidaulta i najwyraźniej amerykańską pieczętę wjazdową, choć nie był do końca pewien, jak coś takiego powinno wyglądać. Nigdy w życiu nie wyjeżdżał za granicę, zresztą nie odczuwał jakiejś palącej potrzeby, żeby to zrobić.

Usatysfakcjonowany, oddał paszport mężczyźnie, który w ogóle nie wyglądał na zaniepokojonego pytaniami policjanta.

- Skąd to całe... zamieszanie? To nie jest normalne, tak?

- To dlatego, że prezydent pańskiego kraju przyjechał do miasta na spotkanie z naszym. Dziwię się, że pan o tym nie słyszał.

- Ach... - Francuz rozpromienił się, jakby nagle przypomniał sobie o tym fakcie, jednak uśmiech nie objął jego oczu. - Zgadza się. Wielkie spotkanie, *n'est-ce pas?*

- Tak, dokładnie. - Młody funkcjonariusz uśmiechnął się w odpowiedzi, po czym podszedł bliżej do furgonetki, uważnie przyglądając się jej wnętrzu przez tylne okna. Sprzęt elektryczny. Całe mnóstwo. - Jest pan elektrykiem?

- *Oui*. - Mężczyzna pokiwał z zadowoleniem głową. - Pracuję przy dużej inwestycji na M Street. Budują tam nową restaurację. Wie pan, niełatwo znaleźć robotę w Paryżu. Więc przyjechałem tutaj, żeby pracować, a pieniądze wysyłam do domu, mojej siostrze, bo ona zajmuje się moimi dziećmi.

- A pańska żona? - Howson zauważył wyraz bólu, przemijający po zarośniętej twarzy Francuza.

- Ona... Jak to się mówi? Odeszła przy narodzinach naszej córeczki, mojej malutkiej Mirabelle. W przyszłym tygodniu minie już cztery lata.

- Och. - Howson nie mógł darować sobie tego wścibstwa. *Lepiej zamknij gębę na kłódkę*, usłyszał w głowie ostrzegawczy głos, *zanim narobisz więcej szkody*. - No cóż, proszę pana, dziękuję za cierpliwość. I życzę miłego dnia.

- *Me rei, monsieur*. — Na twarzy mężczyzny znowu pojawił się uśmiech. - *Et vous aussi*.

Policjant obserwował jeszcze przez chwilę, jak mężczyzna zamyka drzwi od strony pasażera, a potem kieruje się w stronę

schodów prowadzących do głównego wejścia hotelu. Wcześniej nie widział, jak Francuz stamtąd wychodził, ale teraz podniósł wzrok na fasadę budynku i zmarszczył brwi. Marriott w tej części miasta oznaczał co najmniej sto osiemdziesiąt dolarów za dobę. Czemu firma budowlana, nawet pracująca przy dużej inwestycji, miałaby płacić taką kwotę za wynajęcie pokoju dla jakiegoś podwykonawcy? To było zupełnie bez sensu i myśl ta tkwiła gdzieś na obrzeżach świadomości Howsona, kiedy wrócił w końcu do swojego zajęcia.

Niepokój pozostał, chociaż wkrótce przesłoniło go coś na kształt odległego wspomnienia ogrzewanego budynku i dzbanka pełnego gorącej kawy. Połączenie tych dwóch torów myślowych pozostawiało niewiele miejsca na cokolwiek innego, dlatego Howsonowi zupełnie wypadło z głowy, że zapomniał zgłosić do bazy numery rejestracyjne forda econoline Francuza.

Zamiast poprosić Harrisona o przydzielenie jej do pomocy jakiegoś agenta, Naomi Kharmai, analityczka średniego szczebla w Centrum Antyterrorystycznym CIA, zdecydowała się skorzystać z jednego z pojazdów stojących w punkcie etapowym. Nie dysponowała więc na terenie północnej Wirginii większymi uprawnieniami niż przeciętny obywatel.

Stała teraz w toalecie na stacji benzynowej dokładnie naprzeciwko biura nieruchomości Milbery Realty. Kiedy popatrzyła w lustro, ujrzała kobietę świeżo po wypadku samochodowym, choć w takiej sytuacji wyglądałaby pewnie o całe niebo lepiej. Pożyczone niebieskie spodnie były podarte i wybrudzone od leżenia godzinami na ziemi, a pulower nosił w kilku miejscach wyraźne ślady przypalenia. Ubranie miała jeszcze dodatkowo przemoczone przez roztapiający się śnieg, a potargane i brudne włosy przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. Chwytało ją jakieś przeziębienie, więc przez kompletnie zapchany nos nic nie czuła, ale podejrzewała, że nie pachnie też zbyt pięknie.

Jednak najgorsze były jej oczy. Odzwierciedlały to, co ostatnio widziała, nadawały jej przestraszony wyraz, choć właśnie teraz najbardziej potrzebowała wizerunku osoby pewnej siebie i stanowczej, przynajmniej na tych kilka najbliższych godzin. Potem będzie mogła się już załamać i naprawdę wyglądała tej chwili

z utęsknieniem. Kiedy po paru minutach szorowania i poprawiania stroju w końcu wynurzyła się z toalety, prezentowała się zaledwie odrobinę lepiej niż poprzednio i przy zakupie dwóch dużych kubków kawy musiała starannie unikać zaciekawionego spojrzenia sprzedawcy.

Zostawiła samochód tam, gdzie stał i przecięła ulicę, zerkając jednocześnie na zegarek. Było już prawie wpół do dwunastej, znacznie później niż jej zdaniem powinno dojść do tej rozmowy, ale odnalezienie Lindsay Hargrove okazało się wyjątkowo czasochłonnym zadaniem. Naomi zdołała wreszcie skontaktować się z jej siostrą w Clarksburg w Wirginii Zachodniej. To u niej Lindsay spędziła ostatni tydzień, teraz jednak znajdowała się właśnie w drodze powrotnej do Wirginii, a niestety nie miała telefonu komórkowego. Jej siostra poinformowała jednak Naomi, że Lindsay z całą pewnością zamierzała wstąpić do biura, zanim pojedzie do domu.

I właśnie dlatego Naomi się tu znalazła. Rozmowa z tą kobietą była strzałem w ciemno, ale zawsze to lepsze niż nic. W końcu jej nazwisko widniało w przefaksowanym do TTIC raporcie o zaginięciu. Hargrove na pewno wiedziała na temat klientów biura znacznie więcej od męża właścicielki biura nieruchomości, który nie miał przecież żadnego powodu, żeby się z nimi spotykać. A Hargrove pracowała dla Nicole Milbery od czterech lat i zdaniem Naomi mogła dysponować cennymi dodatkowymi informacjami, z czego pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy. Co prawda ludzie z biura szeryfa już z nią rozmawiali, jednak Naomi miała nadzieję, że przy przesłuchaniu zadawano Lindsay Hargrove niewłaściwe pytania.

Kiedy dotarła wreszcie pod agencję, nie musiała czekać długo. Po chwili na jednym z wolnych miejsc parkingowych przed budynkiem zatrzymał się biały nissan altima, po czym z zaskakującą zręcznością wyskoczyła z niego starsza kobieta.

Uśmiech Hargrove zmienił się szybko w wyraz zatroskania na widok stanu, w jakim znajdowała się stojąca przed nią kobieta.

- Mój Boże - jęknęła z autentycznym zaniepokojeniem. - Co ci się stało, kochanie?

Kharmai przyjrzała się uważniej Hargrove, kiedy ta otwierała drzwi, po czym w końcu zaprosiła ją do środka. Pulchna kobieta

pod siedemdziesiątkę o przyjemnym sposobie bycia i zdrowej cerze, która ujmowała jej lat. Naomi natychmiast poczuła do niej sympatię, więc nie widziała powodu, żeby kłamać.

- Pani Hargrove, nazywam się Naomi Kharmai. Dziś rano byłam na Chamberlayne Road.

Starsza kobieta popatrzyła na nią rozwartymi szeroko oczami i opadła na krzesło, drugie proponując gościowi. Potem z wdzięcznością przyjęła kubek z kawą, nie pytając nawet Naomi, kim jest ani skąd zna jej nazwisko.

- To ta akcja, o której trąbią cały czas w telewizji? Pani tam była?

Naomi skinęła głową.

- Niestety tak.

- W wiadomościach o niczym innym nie mówią... Jakies postępy w poszukiwaniach Nicole? - zapytała Hargrove z nadzieją.

Naomi nie miała serca powiedzieć jej, że ciało Milbery zostało odnalezione w płytkim grobie na terenie posiadłości, podobnie zresztą jak czerwony ford escape, którym zabójca wjechał głęboko w zarośla, po czym zamaskował go strategicznie błotem i opadłymi konarami. Te informacje nie trafiły jeszcze do lokalnych mediów, a z pewnością nie pomogłyby jej to, gdyby teraz przekazała je Hargrove.

- Jeszcze nic nie znaleźli, ale nadal szukają.

Wyblakłe niebieskie oczy starszej kobiety zamglily się lekko.

- To taka dobra dziewczyna... Mam nadzieję, że nic się jej nie stało. Po prostu tego nie rozumiem. Wydaje mi się, że całkiem nieźle znam się na ludziach, ale ten mężczyzna naprawdę mnie nabrał, nie wstydę się do tego przyznać. To chyba diabeł wcielony.

- Mężczyzna, który wynajął farmę? - zapytała Naomi, a kiedy Hargrove skinęła głową, poczuła się lekko zaskoczona. - Chwileczkę... Skąd pani wie, że jestem tu z jego powodu?

- Mój zięć pracuje w policji stanowej - wyjaśniła Hargrove z dumą. - Prosiłam go, żeby informował mnie na bieżąco o postępach w śledztwie, więc zadzwonił do mnie, kiedy pani wydział zwrócił się do nich po dodatkowe informacje.

Naomi zmarszczyła brwi na myśl o takim braku dyskrecji, ale na razie postanowiła dać temu spokój.

- Może mi pani opowiedzieć dokładnie, co się wydarzyło tamtego dnia?

Starsza kobieta pokiwała głową z zapalem, poprawiając się przy tym na krześle.

- Tego dnia, kiedy się zjawił, mieliśmy niewielki ruch. Nicole natychmiast poprosiła go do swojego gabinetu. Nie powiedziała nic szczególnego, ale zauważyłam w jej oczach ten błysk... Zna pani to oszołomione spojrzenie u młodych kobiet, kiedy zauważą diamentowy naszyjnik albo parę butów, którą naprawdę chciałyby mieć?

Naomi nie zdołała ukryć uśmiechu, słysząc to porównanie.

- Pewnie sama nieraz takie miałam - zapewniła, na co Hargrove uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Założę się, że to prawda, kochanie. W każdym razie tak właśnie patrzyła Nicole. Wiedziałam, o czym myśli, a w końcu to mężatka... No cóż, ale to zupełnie inna sprawa.

- Więc ten mężczyzna poszedł prosto do jej gabinetu? Nie odezwał się do pani nawet słowem?

- Skąd - zaprzeczyła Hargrove, upijając łyk swojej kawy.

- To znaczy był bardzo miły i w ogóle, wręcz czarujący, ale tylko się ze mną przywitał. Myślę, że był zainteresowany Nicole równie mocno, jak ona nim.

- Jak długo tam został?

- Naprawdę niedługo. Byli w gabinecie przez... jakieś dziesięć minut. Potem wyszli i odjechali samochodem Nicole.

- Razem?

- Uhm. - Starsza kobieta uśmiechnęła się na samą myśl o skandaliczności tego zachowania.

- Jak w ogóle do was dotarł? - zapytała Naomi. - Macie tu od frontu takie duże okna. Widziała pani może, jak podjeżdżał?

- Nie. - Hargrove potrząsnęła głową. - Nic nie widziałam, już to mówiłam policji.

- Jest pani pewna? To naprawdę ważne.

- Całkowicie. Poza tym sam mi powiedział, że nie ma samochodu.

Naomi popatrzyła na nią z nagłym zainteresowaniem.

- Przecież twierdziła pani, że z nim nie rozmawiała?

- No cóż - Hargrove zmarszczyła brwi - nie kiedy przyszedł...

- Ale? - Naomi starała się zachować cierpliwość.
- Hm, wychodząc, wspomniał coś o tym, że nie ma samochodu, ale właśnie czegoś szuka. Zapytałam, jakie auto go interesuje, a wtedy on powiedział, że zamierza kupić furgonetkę.
- I co pani na to? - Naomi z trudem panowała nad pod-ekscytowaniem, natomiast Hargrove miała zakłopotaną minę.
- Hm, wie pani, mam brata, który mieszka przy Rivers Bend. On ostatnio przeszedł na emeryturę, więc przydałoby mu się trochę dodatkowej gotówki. Chociaż to kawał łobuza, to nadal jest moim bratem, dlatego dałam temu człowiekowi numer Waltera.
- Walter to pani brat?
- Niestety.
- I ma furgonetkę?
- Tak, do tego całkiem sporą. Zawsze z niej korzystał, jak jeszcze pracował. Przez dwadzieścia lat był elektrykiem. Chociaż niezbyt dobrym, muszę przyznać.
- Dlaczego nie powiedziała pani tego wszystkiego policji?
- zdziwiła się Naomi. Jej rozmówczyni wzruszyła ramionami. Nadal była trochę zdenerwowana, próbując zorientować się, czy będzie miała z tego powodu poważne kłopoty.
- No wie pani, po pierwsze nie sądziłam, żeby mogło im to pomóc w znalezieniu Nicole.
- Naomi musiała przyznać Hargrove rację. Jeszcze dwanaście godzin temu było to rutynowe dochodzenie w sprawie zaginięcia, a policja nie miała żadnych podstaw, żeby podejrzewać kogoś z klientów Milbery.
- A drugi powód?
- Ten mężczyzna stwierdził, że to nie jest to, czego szuka. Nie *chciał* kupować dużej furgonetki dostawczej... zbyt droga w utrzymaniu, tak powiedział. Potrzebował samochodu, którym mógłby jeździć do dystrybutorów w Richmond. Pracuje chyba jako przedstawiciel handlowy, ale nie jestem pewna.
- Naomi zamyśliła się na chwilę.
- Jak często kontaktuje się pani z bratem?
- Bardzo rzadko. - Lindsay Hargrove po raz kolejny wzruszyła ramionami. - Jak już mówiłam to kawał nicponia. Nie warto z nim rozmawiać. Zwykle to ja jestem na tym stratna.

- Więc nie wie pani, czy brat sprzedał swoją furgonetkę?
I znowu wzruszenie ramion.

- Dzwoniłam do niego wtedy, żeby mu o wszystkim powiedzieć, ale nawet mi nie podziękował za moje starania i w ogóle, więc od tamtej pory się z nim nie kontaktowałam. Czemu pani pyta?

- Bez powodu. Jaką furgonetkę ma brat, pani Hargrove? To znaczy jakiej marki?

- Nie jestem pewna, złotko, ale wydaje mi się, że to ford. Biały ford, naprawdę duży.

- Może pani opisać jego wygląd? Jakieś znaki szczególne...?

- Nie, chyba nie. Zdaje się, że ma na dachu bagażnik, ale poza tym to zwyczajna, stara furgonetka, może trochę poobijana. Walter nie jest zbyt dobrym kierowcą.

- Bardzo dziękuję, pani Hargrove. - Naomi wstała, zakładając pasmo brudnych włosów za ucho i z trudem ukrywając podekscytowanie. - Była pani naprawdę pomocna. Czy mogłabym jeszcze skorzystać z pani telefonu?

- Oczywiście. Wszystko, czego potrzebujesz, kochaneczko

- powiedziała Hargrove, nagle pełna wahania. - Uhm, ale Walter nie będzie miał z tego powodu żadnych kłopotów?

Naomi popatrzyła na nią i odparła z całkowitą szczerością.

- Kłopotów? Ależ skąd. Wręcz przeciwnie, jego informacje mogą mieć kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego.

- Bezpieczeństwa narodowego? Walter? - Lindsay Hargrove zamyśliła się nad tym, jeszcze raz oceniając spojrzeniem opłakany stan swojego gościa, a potem uniosła brew. - Hm.

Kiedy Naomi zadzwoniła do TTIC, Jonathan Harper musiał jej przerywać dwa razy, dopóki nie uspokoiła się na tyle, żeby zdać mu spójną relację ze swojej rozmowy z Lindsay Hargrove.

- Nie wiesz na pewno, czy furgonetka została sprzedana?
- zapytał w końcu, wysłuchawszy jej uważnie.

- Nie, ale coś mi się nie podoba w tej historii, którą jej opowiedział. Może celowo próbował ją wprowadzić w błąd. W ten sposób miałby na głowie o jednego świadka mniej.

Podekscytowanie w jej głosie nie umknęło uwadze Harpera, który sam musiał przyznać, że brzmi to obiecująco. Szybko zerknął na zegarek.

- Jezu, Naomi, właśnie w tej chwili kończą swoje przemówienia.

- Panie dyrektorze, *musi* pan opóźnić ich odjazd - rzuciła gorączkowo Kharmai - albo przynajmniej skłonić do zmiany trasy. Vanderveen cały czas realizuje swój plan, pomimo wszystkich naszych starań, żeby go powstrzymać. On coś wie albo inaczej już dawno by się wycofał. On *na pewno* ma jakieś ważne informacje.

- To akurat może być prawda. - Harper przypomniał sobie ostrzeżenie Kealeya dotyczące zaginionych laptopów z Departamentu Stanu i ministerstwa sprawiedliwości, ostrzeżenie, które obaj tak chętnie wówczas zlekceważyli. Jeśli Vanderveen zdołał zdobyć coś takiego, to z pewnością wiedział, jak to odpowiednio wykorzystać. A Secret Service nadal nie wydało żadnego oświadczenia w tej sprawie. - Przekażę to samej górze, Naomi. Mam tylko nadzieję, że to nie jest fałszywy alarm.

Kharmai nigdy w życiu nie była niczego pewniejsza, ale wiedziała, że Harper nie podaje w wątpliwość jej oceny sytuacji. Po prostu musiał to powiedzieć.

- On tam jest - powiedziała z naciskiem. - Doprowadził to za daleko, żeby się teraz zatrzymać. On tam jest i czeka.

Krótką chwilą wahania.

- Dobra, muszę pędzić. Spróbuj jeszcze przycisnąć tego brata Hargrove, sprawdź, co zrobił z tą furgonetką. Aha, i jeszcze jedno... świetnie się spisałaś.

- Dziękuję.

* * *

- ...Tak więc, z przyjemnością ogłaszam wspólnie z prezydentem Chirakiem i premierem Berlusconi decyzję o stopniowym wycofywaniu się europejskich przedsiębiorstw przemysłu naftowego z republiki Iranu w ciągu najbliższych trzech lat, poczynając od natychmiastowego ograniczenia produkcji o dwieście tysięcy baryłek dziennie na polach gazowych South Pars. Naszym celem jest całkowita rezygnacja z poszukiwania i wydobycia ropy w tamtejszym regionie do 2008 roku. Produkcja zostanie zmniejszona także w Dorood, Salman i Abuzar, co

razem stanowi ponad siedemdziesiąt procent podmorskiego wydobycia Iranu.

Stany Zjednoczone nigdy nie robiły tajemnicy z faktu stosowania od 1979 roku sankcji wobec Iranu. Wraz z upływem czasu środki te były jeszcze zaostrzane, do czego przyczyniła się zwłaszcza ustawa z 1996 roku dotycząca embarga wobec Iranu i Libii. Pomimo iż gorąco pragniemy zniesienia tych sankcji i przywrócenia stosunków dyplomatycznych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a republiką Iranu, nie może być żadnych wątpliwości, że jesteśmy gotowi utrzymać dotychczasowe obostrzenia, jeśli rząd irański zamierza nadal czynić wysiłki w celu zdobycia broni masowej zagłady. - Prezydent Brenneman zrobił krótką przerwę, po czym podniósł rękę, aby uciszyć nagły wybuch pytań ze strony tłumu zgromadzonych przed nim reporterów. - Korzystając z okazji, chciałbym osobiście podziękować prezydentowi Chiracowi i premierowi Berlusconiemu za przyjęcie mojego zaproszenia i ciężką pracę włożoną w urzeczywistnienie tego celu. Zawarte dzisiaj porozumienie jest bezpośrednim rezultatem ich zaangażowania w realizację zamierzeń układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej - w walkę o zażegnanie niebezpieczeństwa wojny nuklearnej na zawsze i uczynienie świata bezpieczniejszym miejscem dla przyszłych pokoleń. Chciałbym teraz ustąpić pola moim szanownym gościom, aby mogli opowiedzieć państwu szerzej o konkretnych rozwiązaniach, które mają zostać wprowadzone w życie...

Obserwująca uważnie całą scenę Jodie Rivers potrząsnęła głową i pomyślała, *To zupełne szaleństwo*. Pomimo iż lista gości została ograniczona do minimum, a znajdujące się na niej osoby starannie sprawdzono, teren przylegający do nabrzeża wypełniał ponad dwustu ludzi, z których każdy stanowił w jej oczach potencjalne zagrożenie.

Przywódcy trzech państw stali na podium o rozmiarach sześć na piętnaście metrów. Prezydent Brenneman odsunął się na bok, a do przodu wystąpił ambasador Francji, aby zapowiedzieć prezydenta Chiraca. Pomimo iż na samym podwyższeniu i wokół niego aż roiło się od agentów ochrony dyplomatycznej i Secret Service, niebezpieczeństwo zamachu było ogromne i Rivers doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego w ogóle nie

odrywała wzroku od sceny, nawet gdy odebrała dzwoniący telefon i przyłożyła go do ucha, niezadowolona, że ktoś jej teraz przeszkadza.

- Agentka Rivers? Mówi dyrektor Landrieu. - W głosie mężczyzny słychać było napięcie. Rivers nagle zrobiło się zimno.

- Tak.

- Chciałbym najpierw panią poinformować, że to połączenie konferencyjne. Rozmawiamy jednocześnie z dyrektorem McCabe'em i dyrektorem Susskind. Proszę słuchać uważnie. Mamy powody przypuszczać, że Vanderveen znajduje się teraz w mieście z ładunkiem wybuchowym domowej roboty. To pewnie na góra dziewięćdziesiąt procent, ale i tak wystarczyło, żeby wprawić maszynię w ruch. Nie muszę też chyba pani mówić, kto jest celem.

Dobry Boże, pomyślała Rivers. Jej najgorszy koszmar miał się właśnie spełnić. Z trudem skupiła z powrotem uwagę na słowach Landrieu.

- ...Rivers? Słyszysz mnie pani?

- Tak, proszę mówić dalej.

- Szukamy białej furgonetki Forda, dostawcza, najprawdopodobniej econoline. Na razie nie mamy jeszcze numerów rejestracyjnych ani nazwiska, ale to kwestia zaledwie paru minut, więc proszę się nie rozłączać.

- A co z...?

- Jodie. - W słuchawce rozległ się już inny głos, który Rivers natychmiast rozpoznała. - Agent Storey został już powiadomiony. Zamierzamy przeciągnąć tę konferencję prasową najdłużej jak to tylko możliwe bez wzbudzania podejrzeń, jasne? W końcu udało nam się dotrzeć do właściwych ludzi w Norfolk... Niecałe dwa tygodnie temu Vanderveen odebrał pod nazwiskiem Timothy Nichols dwadzieścia osiem skrzyń o łącznej wadze nieco ponad 1300 kilogramów.

Rivers aż zapało dech w piersiach.

- Jezu, miasto jest pełne...

- Posłuchaj mnie, Jodie - przerwał jej McCabe nieznośnym sprzeciwu tonem. - Ciebie interesuje tylko prezydent, jasne? Widziałem, że zamknęliście nabrzeże, więc Vanderveen nie może wam nic zrobić, chyba że to samobójca, a wszyscy

zgadzamy się i mamy *nadzieję*, że jednak nim nie jest. W normalnej sytuacji wywieźlibyśmy stamtąd prezydenta najszybciej i najdalej, jak to tylko możliwe, ale w tym przypadku takie rozwiązane się nie sprawdzi. Dlatego na razie zatrzymamy go na przystani. Storey wie, co robić, po prostu słuchaj jego poleceń. Dołączę do ciebie, gdy tylko skończymy tutaj.

Potem odezwał się jeszcze jeden głos, zbyt szybko, żeby zdążyła odpowiedzieć McCabe'owi.

- Agentko Rivers, tu Emily Susskind. HRT przystąpiło już do działania. Ich ludzie znajdują się na terenie, niektórzy z nich są po cywilnemu, jasne? Proszę to przekazać swoim snajperom jak najszybciej. Nie chcę, żeby zastrzelili kogoś ode mnie przez pomyłkę.

- Rozumiem. - Rivers pokiwała głową, przyjmując rzucane szybko instrukcje.

- Proszę zaczekać chwileczkę - dodała jeszcze Susskind.

Ponad hałasami dobiegającymi ze strony otaczającego ją tłumu Rivers usłyszała szum i pełne podekscytowania głosy. Miała wrażenie, że upłynęły całe minuty, zanim w słuchawce odezwał się znowu McCabe.

- Mam nazwisko, Jodie. Claude Bidault, obywatel francuski. Samochód został zarejestrowany w Wirginii niecały miesiąc temu. Numery rejestracyjne to... RND 1911. Gotowa na rysopis?

- Proszę mówić.

- Czarne włosy, brązowe oczy. Może mieć brodę, ale to nic pewnego. Facet jest cięższy od Vanderveena, waży jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów. Nie jesteśmy pewni, jak Vanderveen sobie z tym poradził, może zastosował jakiś rodzaj wyściółki. Ten sam wzrost, z tym akurat nie dałoby się nic zrobić.

- Przekażę te informacje moim snajperom - rzuciła odrobinę już rozgorączkowana Rivers. - Panie dyrektorze, muszę kończyć.

- Wiem. - W głosie McCabe'a słychać było napięcie. - Zajmij się tym jak najszybciej, Jodie.

Ryan krążył po ulicach już dwie i pół godziny. Jak dotąd nic nie rzuciło mu się w oczy, chociaż cały czas musiał sobie przypominać, że Vanderveen na pewno będzie unikał zwracania na siebie uwagi.

Trasa jego poszukiwań nie miała w sobie nic celowego czy zaplanowanego - podążał na północ od Siódmej i Maine, przyglądając się uważnie twarzom i sprawdzając samochody. Nie mógł zrobić dużo więcej, zaglądał więc przez okna do środka i przyklękał na chodniku, żeby obejrzeć podwozie, a jego dziwne zachowanie przyciągnęło sporo zaciekawionych spojrzeń, jak również kilka naprawdę przestraszonych.

W końcu uświadomił sobie bezcelowość tych poszukiwań, jedna rzecz niepokoiła go jednak bardziej niż cokolwiek innego. Nie istniała praktycznie żadna możliwość zdetonowania bomby przy pomocy lontu na zatłoczonej miejskiej ulicy, urządzenie zegarowe też było niepraktyczne, nawet jeśli Vanderveen jakimś cudem zdołał zdobyć harmonogram poszczególnych punktów programu, przygotowany przez Secret Service.

Innymi słowy, jedynym realnym rozwiązaniem, zapewniającym Vanderveenowi powodzenie akcji, było zdalne zdetonowanie ładunku, a to oznaczało, że musiał obserwować całą sytuację gdzieś z bliska. Kealey znał tego człowieka na tyle dobrze, by wiedzieć, że zdetonuje on bombę niezależnie od tego, czy prezydent znajdzie się w jej zasięgu. Większość ludzi uwierzyłaby w to po obejrzeniu w telewizji ogólnokrajowej zdjęć z Kennedy-Warren, ale dla Ryana wystarczający dowód stanowiła wypukła blizna, biegnąca zaledwie dwa centymetry na prawo od jego mostka.

Szedł dalej Siódmą, dopóki po jego prawej stronie nie pojawiło się National Air and Space Museum. Wtedy przeciął ulicę, wkraczając na rozległą przestrzeń National Mall i skierował się przez trawnik na północny zachód. Kopuła Kapitolu za jego plecami rysowała się wyraźnie na tle nieba. Podekscytowane okrzyki dzieci ze szkolnej wycieczki, czekających w kolejce przed szklanymi drzwiami Smithsonian Institute, wywołały na jego twarzy uśmiech, który jednak szybko zgasł. Był zbyt zdenerwowany, by podzielać ten entuzjazm. Przecież ich autobus mógł równie dobrze mijać w drodze powrotnej do szkoły stanowisko Vanderveena...

Próbował odsunąć od siebie tę myśl, bo lepiej się było nad tym nie zastanawiać. Kiedy po dotarciu do Dwunastej Ulicy usłyszał dzwonek swojej komórki, ucieszył się nawet, że to odwróci jego uwagę, ale radość nie trwała długo.

- Ryan, tu Harper.
- John, posłuchaj...
- Nie mamy czasu, Ryan.

Kealey zauważył ten nagły ton, podobnie jak Rivers niecałą minutę wcześniej, i natychmiast zamilkł.

- Naomi jednak się poszczęściło - ciągnął Harper. - Nasz facet ma prawo jazdy i francuski paszport na nazwisko Claude Bidault. Paszport jest prawdziwy, ale właściciel zgłosił jego zagubienie sześć miesięcy temu podczas wakacji na Krecie. Zrozumiałeś?

- Jasne. Mów dalej.

- Susskind w końcu dotarła do tego gościa z Norfolk, Thompsona. Korzystając z dokumentów Nicholasa, dokładnie osiem dni temu Vanderveen odebrał z terminalu 1300 kilogramów materiałów wybuchowych. Ten arogancki sukinsyn prześliznął się pod naszym nosem *dwukrotnie* w tym samym porcie... W każdym razie porusza się teraz samochodem, o którym niewiele wiemy, poza tym, że to biała furgonetka ford econoline, prawdopodobnie z bagażnikiem na dachu.

Ryan rzucił się biegiem. Telefon odebrał w połowie Dwunastej, więc rozejrzał się tylko uważnie w obie strony, po czym zdecydował się ruszyć na północ, choć do głowy nie przychodziło mu żadne racjonalne wytłumaczenie tej decyzji. Słowa Harpera brzmiały jasno i wyraźnie, kiedy tak przepychał się przez tłumy przechodniów, przede wszystkim ludzi wychodzących właśnie z pracy na szybki lunch. Większość z nich rzucała mu wściekłe spojrzenia i przekleństwa, jednak uparcie torował sobie drogę naprzód, cały czas z uwagą słuchając przekazywanych przez Harpera informacji.

- ...i tablice z Wirginii, numer rejestracyjny RND 1911. Chłopaki z HRT krążą już pomiędzy ludźmi w cywilnych ubraniach, tylko że oni...

- Powiedz im, żeby trzymali się na północ od National Mail.

Jego umysł pracował już na najwyższych obrotach, kiedy próbował sobie przypomnieć białą furgonetkę, ale... Nie, nie widział żadnej. Był tego pewien. - Na północ od parku, John - powtórzył jeszcze raz. - Vanderveen musi tam być. A co się dzieje na przystani?

- Cały teren jest szczelnie zamknięty. Podwoili obstawę barier, a zespół CAT już zajmuje pozycje. - Harper mówił o Counter Assault Team, ściśle tajnej grupie przeciwuderzeniowej Secret Service, która zdołała pozostać w cieniu, pomimo iż towarzyszyła prezydentowi, gdziekolwiek się udawał. - Jak dotąd udało się zachować daleko posuniętą dyskrecję.

- To nie potrwa długo - wysapał Ryan, zmęczony już biegiem. Szybko mijali kolejne samochody, kiedy nagle zauważył przed sobą *białą furgonetkę*... A nie, to chevrolet chevy. Nie zwolnił kroku, zostawiając za sobą zaparkowane przy krawężniku auto i zaskoczone spojrzenia przechodniów. Cały czas przyglądał się uważnie twarzom, szukając kogoś odpowiadającego rysopisowi, który właśnie podał mu Harper.

W końcu podjął błyskawiczną decyzję.

- Nie mogę jednocześnie biec i rozmawiać, John. Na razie.

- Nie, Ryan, CZEKAJ...

Ale Kealey już się rozłączył, po czym wcisnął telefon do kieszeni, zwalniając tylko na moment, żeby sprawdzić dłoń, czy beretta jest na swoim miejscu i rozejrzeć się uważnie po Constitution Avenue.

Ani śladu. Ryan pobiegł dalej przed siebie Dwunastą.

Jeff Storey, agent dowodzący eskortą prezydenta, był zaszokowany informacją, którą właśnie otrzymał. Terrorysta w mieście, z furgonetką pełną pieprzonych materiałów wybuchowych, a oni chcą, żeby *został na miejscu*? To po prostu nie do wiary...

Storey służył w Secret Service od prawie szesnastu lat, z czego ostatnie cztery spędził w grupie zajmującej się bezpośrednio ochroną prezydenta, w tym dwa jako jej dowódca. Rozejrzał się nerwowo wokół. Jezu Chryste, dyrektor mówił o ponad tysiącu *kilogramów*. Betonowe słupki zatrzymają samą furgonetkę, ale zasięg rażenia przy takim ładunku obejmie co najmniej... ile? Storey próbował sobie przypomnieć. Przynajmniej pięćset metrów, a ze swojego miejsca na podium Storey był w stanie odczytać średniej wielkości litery na barierach ustawionych w punkcie, gdzie Szósta łączyła się z Maine. *Zostać na miejscu, akurat, pomyślał. Tutaj stanowimy łatwy cel.*

Słuchając, jak stojący na podium francuski ambasador zapowiada przemówienie prezydenta Chiraca, Jeff Storey uświadomił sobie, że furgonetka bez trudu mogłaby przedrzeć się przez ulicę i w końcu podjął decyzję. To *on* jest szefem obstawy prezydenta, a nie jakiś pieprzony Joshua McCabe, i nie zamierza pozwolić, aby prezydent zginął na jego zmianie. Przez te szesnaście lat spędzonych w Secret Service jeszcze nigdy nie musiał wyciągnąć podczas pełnienia swoich obowiązków broni, ale teraz ewidentnie zachodziła taka potrzeba. Stał na podium z grupą dyplomatów i współpracowników, wtapiając się w tłumek stanowiący tło dla trzech przywódców, a w jego głowie dzwoniła tylko jedna myśl - najwyższa pora działać. Kiedy wyciągnął z kabury swój pistolet Sig Sauer 228, oczy dwóch agentów zajmujących pozycje po jego bokach otworzyły się szerzej, nie było już jednak odwrotu.

Podniósł ukryty w rękawie mikrofon do ust i rzucił spokojnym, ale zdecydowanym tonem słowa, które sprawiły, że wokół niego rozpełtało się prawdziwe piekło.

- Storey do eskorty! *Huragan!* Powtarzam, *Huragan!*

Przechodząca właśnie za stanowiskami dla prasy w towarzystwie dwóch młodszych agentów Jodie Rivers popatrzyła ze zdumieniem na ruch, który wszczął się na podium. Zaskoczenie ustąpiło szybko miejsca przerażeniu, kiedy zauważyła, jak Storey bezceremonialnie chwytą prezydenta i odciąga go do tyłu, podczas gdy pozostali agenci otaczają tę dwójkę z bronią gotową do strzału. Prezydent Francji i jego współpracownicy obserwowali to wszystko z wyrazem konsternacji na twarzach, podobnie zresztą jak premier Berlusconi, podczas gdy agenci przydzieleni do ochrony obu zagranicznych przywódców wbiegli na podium, idąc w ślady Storeya i jego podwładnych.

Dziennikarze i fotoreporterzy wpadli na widok tej sceny w szaf. Stanowisko prasowe rozbłysnęło fleszami aparatów, podczas gdy reporterzy próbowali zrozumieć, co się dzieje, jednak wykrzykiwane przez nich pytania pozostały bez odpowiedzi. Agenci uformowali szereg, żeby odgrodzić wyznaczoną zawnazasu trasę ucieczki prezydenta, ale kiedy przedstawiciele mediów zapomnieli o resztkach przyzwoitości, metalowe barierki

zaczęły się przewracać i już wkrótce cienka linia ochrony pękła pod naporem ogromnego tłumu reporterów i kamerzystów.

Rivers nie mogła uwierzyć własnym oczom. To właśnie *dlatego* McCabe zabronił Storeyowi pochopnych działań. *Co on do diabła WYPRAWIA!*, krzyknęła, zanim jeszcze uświadomiła sobie, że dwaj stojący obok niej agenci mają o tym jeszcze mniejsze pojęcie niż ona.

Znajdujący się w centrum antyterrorystycznym McCabe, Susskind, Landrieu i Harper także przyglądali się z pełnym grozy niedowierzaniem obrazom transmitowanym przez MSNBC na żywo. Pierwszy nie wytrzymał McCabe, którego twarz z każdą chwilą czerwieniała coraz bardziej.

- Właśnie *dlatego* kazałem mu zostać na miejscu! - wrzasnął, nieświadomie wypowiadając na głos myśli Jodie Rivers. - Trzeba przerwać tę transmisję i to *natychmiast!*.

- Już za późno. - Poblądły nagle Harper potrząsnął głową.
- Jeśli Vanderveen ogląda relację, to nie ma nic do stracenia, detonując teraz bombę.

- *Kurwa!* - McCabe uderzył pięścią w stół, przy którym siedzieli. W jednym przebłysku jasności umysłu, przebijającej przez ślepy gniew, nagle zrozumiał, że jego kariera w Secret Service najprawdopodobniej właśnie się skończyła, nie mówiąc już o tym, że wielu ludzi miało wkrótce stracić życie. - *KURWA!*

Po dotarciu do Old Post Office Pavilion Ryan przeciął ulicę, a potem przeszedł pod łukami Ariel Rios Building, wyłaniając się wreszcie na otwarty teren niecałe sto metrów od Ronald Reagan International Trade Center. Pobiegł dalej na północ w stronę majaczącej przed nim Trzynastej Ulicy i stanął wreszcie na wprost różowo-szarej granitowej przestrzeni Freedom Plaża. Oddychał ciężko, a w boku czuł piekący ból, nie opuszczał jednak głowy, przeczesując wzrokiem szereg aut zaparkowanych przed National Theatre.

Tam. Od razu wiedział, że to właśnie tego szukał, mimo iż samochód nie miał bagażnika na dachu, a z tej strony nie dało się stwierdzić, czy to na pewno ford. Domyślił się tego, bo podwozie furgonetki zwisało nisko nad ziemią, znacznie niżej niż

powinno. Cokolwiek znajdowało się w tym aucie, z pewnością nie było lekkie.

Znowu rzucił się biegiem, pomimo iż Vanderveen pewnie tylko czekał z wysadzeniem furgonetki, aż on się do niej zbliży. Coś szeptało mu w głowie, że powinien czuć strach, bo przecież miał po temu poważne powody, ale w jego sercu kłębiło się teraz zbyt wiele emocji, by mógł się skupić na jednej. Wiedział tylko, że musi dotrzeć do tego samochodu jak najszybciej.

Instynktownie sięgnął ręką do kabury i wyciągnął pistolet, ale okazało się to złym posunięciem. Nigdzie nie widział Vanderveena, za to na ulicy roilo się od ludzi spacerujących albo jedzących lunch na ławkach wokół fontanny. Jakaś kobieta zauważyła broń w jego ręku i zaczęła krzyczeć, a potem pełno już było krzyku...

Funkcjonariusz Jared Howson nie wierzył własnym oczom. Znajdował się właśnie jakieś pięćdziesiąt metrów od zaparkowanego na Pennsylvania forda, kiedy nagle zauważył w oddali mężczyznę z czymś, co wyglądało na pistolet, pędzącego przez tłum pierzchających na wszystkie strony przechodniów.

Howson patrzył na to wszystko przez kilka sekund, zanim wreszcie przypomniał sobie, że jest przecież policjantem i też ma broń. Wyciągnął stanowiącego standardowe wyposażenie glocka 17 z kabury i odbezpieczywszy go, ruszył z powrotem w stronę furgonetki, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od nieznanego i trzymanej przez niego w ręku broni.

Pomimo iż Jeff Storey niezaprzeczalnie złamał rozkaz, nadal był agentem Secret Service z szesnastoletnim doświadczeniem i wiedział, że w obecnej sytuacji bezpieczniejsi będą na wodzie niż na ulicach miasta. Otoczony swoimi podwładnymi pociągnął prezydenta Brennemana, zbyt zaszokowanego, by czuć wściekłość, wzdłuż nabrzeża, podczas gdy kolejni agenci zostawali z tyłu, osłaniając ich ruchy.

Po drodze chwycił jeszcze od jednego ze swoich ludzi radio UHF, nastawione już na przeznaczony dla nich kanał czwarty.

- Storey do łodzi straży przybrzeżnej Alder, Storey do Aldera. Natychmiast potrzebuję eskorty dla Żeglarza w punkcie trzecim. Jak mnie zrozumiałeś?

- Storey, tu Alder. - Usłyszał ułamek sekundy później.
- Zrozumiałem, będziemy za dwie minuty, odbiór.
- Dwie pieprzone minuty - wymamrotał cicho. - Nie do wiary.
Potem wykonał następną krótką rozmowę, tym razem w sprawie transportu w wyznaczonym punkcie lądowania na południowym krańcu East Potomac Golf Club, i poprosił o wsparcie z powietrza, nawet na chwilę nie zwalniając kroku. Poprowadził prezydenta w stronę znajdującej się niecałe piętnaście metrów od nich motorówki z silnikiem turbo, której załogę stanowili agenci Secret Service. Za ich plecami zapanował jeszcze większy chaos, kiedy dziennikarze uświadomili sobie, że sami mogą być w niebezpieczeństwie i zaczęli się nawzajem tratować, próbując jak najszybciej uciec z rejonu nabrzeża.

Agenci ochrony dyplomatycznej odpowiedzialni za francuską i włoską delegację, nie wiedząc, czego konkretnie dotyczy zagrożenie, załadowali swoich podopiecznych do opancerzonych limuzyn i krzykiem nakazali kierowcom ruszać. Potężne auta oderwały się od krawężnika z zaskakującą prędkością, choć bez motocyklowej eskorty, skręcając natychmiast z Maine w Dwanastą, a potem pomknęły na północ w stronę Pennsylvania Avenue i bezpiecznego schronienia Białego Domu.

Ryan nie miał pojęcia, gdzie jest Vanderveen, wiedział jednak, że zamachowiec musi czaić się niedaleko i z całą pewnością obserwuje go w tej właśnie chwili. Zaskoczony, że wybuch ciągle jeszcze nie nastąpił, błyskawicznie dopadł do samochodu i uderzył lewym łokciem w okno od strony pasażera.

Jego ramię ogarnęła fala bólu, ale tafla bezpiecznego szkła ustąpiła natychmiast. Kolejne trzy starannie przemyślane ciosy i zgnieciona szyba upadła na siedzenie. Ryan już sięgał ręką do klamki, żeby otworzyć drzwi od środka, gdy nagle usłyszał za sobą okrzyk:

- NIE RUSZAJ SIĘ!

Odwrócił gwałtownie głowę. Młody policjant mierzył w jego klatkę piersiową z ciężkiego czarnego pistoletu. W żyłach Ryana krążyła zwiększona dawka adrenaliny, kiedy jednym rzutem oka ocenił sytuację: mundur Metropolitan Police, dwa szewrony na rękawie, młody chłopak o przerażonych oczach zaciskający

drżące dłonie na broni. Wszystko to razem budziło w nim złe przeczucia.

- RZUĆ BROŃ! - krzyknął policjant.
- Jestem agentem federalnym - warknął Ryan. - Muszę zajrzeć do tego samochodu jak...
- ZAMKNIJ SIĘ! RZUĆ BROŃ!
- Uch, kurwa. *Kurwa!* - Ryan widział, że nie przekona policjanta, a miał coraz mniej czasu. - W porządku, już odkładam. Tylko mnie nie zastrzel, na miłość boską. - Położył pistolet na roztrzaskanej szybie, a potem wolno, naprawdę powoli, cofnął ręce z wnętrza auta i opuścił je wzdłuż boków. - Posłuchaj...
- Trzymaj dłonie tak, żebym je widział! - Policjant zaczynał się trochę uspokajać. - A teraz odwróć...
- Zamknij się i posłuchaj! Jestem agentem federalnym. Właściciel tej furgonetki to człowiek odpowiedzialny za zabicie senatora Levy'ego i eksplozję w budynku Kennedy-Warren.
- Ryan zobaczył, jak na twarzy młodego mężczyzny pojawia się wyraz niedowierzania. - W samochodzie jest bomba. Teraz się odsunę... zabierz broń z siedzenia pasażera i pozwól mi tam wejść, w porządku? *Muszę się dostać do środka.*

- Widziałem go...
Ryan chwycił się tych słów.
- Czarne włosy, brązowe oczy? - rzucił szybko. - Mniej więcej mojego wzrostu, potężnie zbudowany? - Policjant skinął głową, a w jego oczach odbiła się konsternacja. - To terrorysta, a w tej furgonetce jest bomba. Weź tę broń, człowieku. *Zabierz tę pieprzoną broń.*

Kolejna chwila wahania. Nie odrywając wzroku od stojącego przed nim mężczyzny i cały czas celując do niego z pistoletu, Jared Howson sięgnął przez wybite okno do środka i podniósł beretkę z siedzenia.

Will Vanderveen z uwagą oglądał relację na żywo w MSNBC. Wiedział, czy też raczej wyczuwał, że coś jest nie tak, bo konferencja przedłużyła się już o dziesięć minut.

Może była to drobnostka niewarta większego zainteresowania, ale Vanderveen doskonale orientował się, że każda sekunda prezydenckiego rozkładu dnia została starannie wyliczona przez

agentów stanowiących jego eskortę, a zaskakująco długa sesja pytań i odpowiedzi, która nastąpiła po powrocie jachtu, zdecydowanie wykraczała poza plan. A potem, kiedy w tej zaskakującej chwili ujrzał, jak jeden ze stojących z tyłu agentów chwyta prezydenta za ramię i ściąga go z podium, ostro rzucone przez niego przekleństwo dało się wyraźnie słyszeć w sąsiednim pokoju. Jego gniew pogłębiał jeszcze fakt, że agenci prowadzili Brennema na dalej wzdłuż nabrzeża, czyli w kierunku przeciwnym do Dwunastej Ulicy.

Nie tracił jeszcze nadziei, bacznie obserwując całą scenę, żeby przekonać się, czy agenci ochraniający delegację francuską i włoską, którzy wpadli na podium ułamek sekundy później, prowadzą swoich podopiecznych z powrotem w stronę kawalkady aut. Trudno było coś zobaczyć, bo kamerzysta zdjął kamerę ze statywu i sądząc z podskakującego obrazu, miał problemy z utrzymaniem jej równo w tym tłumie. Vanderveen wiedział, że z tymi wszystkimi ludźmi znajdującymi się teraz na przystani, Secret Service nie będzie tam w stanie wylądować helikopterem. Czyli mieli do wyboru samochody albo łódź. Po chwili poczuł lekką ulgę, bo zauważył, że agenci *prowadzą* jednak przywódców Francji i Włoch z powrotem w stronę limuzyn. Przeprowadzony wcześniej na nabrzeżu rekonesans na coś mu się jednak przydał. Nadal mógł jeszcze ocalić choć część swojego planu.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, z nagłym lękiem, że najważniejsza rzecz umknęła jego uwadze. *Dlaczego* w ogóle zabrali prezydenta z tego podium? Poczul ułucie strachu i błyskawicznie zerwał się z krzesła, żeby wyrzeć przez okno. To, co zobaczył, w jednej chwili zamieniło strach w zaskoczenie.

To niemożliwe, pomyślał, ale choćby nie wiem jak się starał, przed faktami nie było ucieczki. Na Pennsylvania Avenue na północ od placu stał ten sam policjant, z którym rozmawiał wcześniej, trzymając na muszce nie kogo innego, tylko Ryana Kealeya.

Jego wargi wygięły się w lekkim uśmiechu. Było coś niemal pocieszającego w widoku jego dawnego dowódcy - zupełnie jakby ujrzał żywe ogniwo łączące go z przeszłością. Nie wspominając już o zabawnym aspekcie całej sytuacji. W końcu nie co dzień widuje się byłego operatora Deltę zaskoczonego

przez jakiegoś żółtodzioba, a ten konkretny policjant wyglądał, jakby nigdy nie miał do czynienia z naładowaną bronią. *Ryan robi się nieważny.*

A potem jego uśmiech zgasł, kiedy uświadomił sobie, że ta dwójka nie jest pewnie sama. Ludzie z Hostage Rescue Team mogą już otaczać hotel, a raczej nie będą zbyt zainteresowani aresztowaniem człowieka odpowiedzialnego za śmierć ich ośmiu kolegów.

Decyzja zapadła w ułamku sekundy - najwyższa pora się wycofać. Dwie godziny temu, tuż przed rozmową z policjantem, pstryknął przełącznikiem w kabinie furgonetki. Wszystko było gotowe. Szybko chwycił czterdziestkę i wcisnął ją za pasek dżinsów, a potem naciągnął swoją długą, grubą kurtkę, zakrywając wybrzuszenie. W kieszeni miał komórkę, którą wyjął natychmiast po wyjściu na korytarz.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, jak wiele z tego wybuchu odczuje w bezpiecznym schronieniu budynku, ale zaraz potem doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie dba o to. Nie mógł czekać na przejazd kawalkady, jednak pomimo klęski wszystkich jego przygotowań, jedna myśl napawała go radością - Ryan Kealey nie dożyje końca tego dnia.

Kierując się korytarzem w stronę wind, Vanderveen otworzył kłapkę telefonu, po czym nacisnął i przytrzymał klawisz z numerem jeden.

Zaczynali robić niewielkie postępy, ale młody policjant nadal trzymał swój pistolet kaliber 9 mm wycelowany w pierś Ryana.

- Przybiega tu pan bez żadnej legitymacji, wymachując bronią, i twierdzi, że w tej furgonetce jest bomba? Ja... proszę posłuchać, nie mogę tam pana wpuścić.

Ryan nie mógł zrozumieć, dlaczego ciągle jeszcze żyją. Może to nie ten samochód? Czyżby się pomylił?

- Mam zamiar wejść do tego samochodu - powiedział. To nie była prośba, po prostu stwierdzenie faktu. Potem zaczął się ostrożnie wycofywać w kierunku drzwi pasażera. - Możesz mnie zastrzelić, jeśli musisz, ale wchodzę.

Ręka z pistoletem zadrżała, a potem opadła w dół.

- Cholera! Nie zastrzelę pana. - Howson wsunął beretkę Ryana do kabury przy pasku, własną broń opuszczając wzdłuż boku. - Co mam robić? - zapytał po chwili.

Ryan otworzył już drzwi od środka, a potem skrzywił się lekko, uświadomiwszy sobie, że nie sprawdził, czy nie są podłączone do jakiegoś ładunku.

- Rozmawiałeś z tym facetem?

- Ta - Howson skinął głową, wskazując ręką na prawo - zdaje się, że wszedł tam.

Ryan spojrział w stronę ciemnoszarej fasady JW Marriott Hotel, a potem wyjął z kieszeni swoją komórkę i podał ją funkcjonariuszowi, jednocześnie całą uwagę skupiając z powrotem na furgonetce.

- Wybierz trójkę i poproś Rivers. - Teraz był zadowolony, że zapisał w pamięci telefonu jej numer. - Powiedz jej, dokąd mają przyjechać... *Nie wchodź* do budynku.

Z tymi słowami wskoczył do kabiny i pochyliwszy głowę, zabrał się do pracy, podczas gdy Howson ruszył biegiem w kierunku hotelu, w prawej dłoni ściskając dziewięćmilimetrowego glocka. Drugą rękę miał pustą, bo zdążył już wsunąć komórkę do kieszeni i natychmiast o niej zapomnieć.

Vanderveen stanął jak wryty na hotelowym korytarzu, wbijając pełen niedowierzania wzrok w informację wyświetlającą się na jego komórce: *Brak zasięgu*. Co to, kurwa, znaczy? Zaklął cicho pod nosem, ale nawet nie zauważył, kiedy przechodząca obok kobieta rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

Miał nadzieję, że nie jest to wina hotelu. Chociaż starannie wszystko zaplanował, nie przewidział takiej ewentualności. Jeśli to powodu materiałów użytych do budowy, będzie musiał wyjść na zewnątrz, żeby złapać sygnał. To oznacza jakieś pół minuty na jazdę windą, czterdzieści sekund na pokonanie prowizorycznego holu prowadzącego do The Shops at National Place i kolejnych dwadzieścia sekund na dotarcie przez samą galerię handlową do F Street. Wcześniej dokładnie to zmierzył. Razem dziewięćdziesiąt sekund - mnóstwo czasu, w którym może się wydarzyć wiele nieprzyjemnych rzeczy. W każdym razie dosyć, żeby Ryan Kealey zdążył dobiec do hotelu i więcej niż mnóstwo, by HRT otoczyło budynek kordonem.

Może jednak do tego nie dojdzie. Vanderveen nacisnął klawisz po raz drugi, modląc się w duchu, żeby jego dzieło spełniło w końcu swoje zadanie.

Po zaledwie pięciu sekundach wewnątrz kabiny Ryan zorientował się, co jest nie tak. Przesunął dłonią pomiędzy siedzeniami i natychmiast natknął się na metalową skrzynię, przechylił się więc ponad oparciem, żeby przyjrzeć się jej dokładniej. Nie potrafił znaleźć żadnego zastosowania dla tego przedmiotu. Wyglądało to jak coś w rodzaju pokrywy, jednak kiedy próbował ją podnieść, nawet nie drgnęła. Chwycił jeszcze za jej drugi koniec i tym razem uniósł ją bez problemu. Wzdrygnął się lekko, czekając na nieunikniony wybuch, ale nic takiego się nie wydarzyło. W końcu opuścił wzrok. Przed sobą miał jakiś przełącznik.

Bez chwili wahania natychmiast go przesunął, a potem odchylił się z powrotem na siedzenie i oddychając ciężko ze strachu i zmęczenia długim biegiem, próbował ogarnąć umysłem, co tak właściwie przed chwilą zaszło.

Dwie sekundy później usłyszał poprzez cienkie blaszane przepierzenie, brzmiały jakby z oddali gdzieś w części ładunkowej, nie dający się pomylić z niczym innym przenikliwy dzwonek telefonu komórkowego.

Po upływie kolejnych kilku sekund we wstecznym lusterku zauważył kawalkadę czarnych limuzyn skręcających w szalonym pędzie z Dwunastej w Pennsylvania, tylko po to, by po chwili skręcić ostro w Trzynastą.

Jared Howson wpadł do hotelowego lobby z uniesioną bronią, zupełnie nie zwracając uwagi na przerażone spojrzenia i okrzyki, które towarzyszyły jego wejściu.

Stojącemu tuż za drzwiami strażnikowi nawet nie postawiło w głowie, żeby zatrzymać policjanta czy odbierać mu pistolet, tymczasem Howson popędził prosto w stronę recepcji, próbując sobie przypomnieć nazwisko, które widział w paszporcie.

- Bidault! Claude Bidault! W którym pokoju mieszka? - Żadnej odpowiedzi. Wszyscy stali z rękami wysoko w górze, wpatrując się w niego bez słowa. - W KTÓRYM POKOJU?

Jeden z mężczyzn w końcu chwycił drżącymi dłońmi klawiaturę.

- Bidault? - Howson pokiwał niecierpliwie głową. - Pokój 545 - wyjaśnił recepcjonista. - Do wind tamtędy.

Ale Howson nie czekał dłużej, natychmiast rzucając się w stronę wind z obiema dłońmi zaciśniętymi na utrzymanym nisko glocku. Nagle kątem oka dostrzegł ciemnozieloną nieprzemakalną kurtkę i przystanął instynktownie, próbując przypomnieć sobie, gdzie ją wcześniej widział... W końcu rzucił się biegiem obok atrium w stronę ruchomych schodów.

Kealey wpadł do hotelu nie tak efektownie, wszyscy jednak wiedzieli od razu, dlaczego się tu znalazł. Kilka rąk wskazało mu kierunek obok punktu informacji w głównym holu.

Zawahał się na moment. Nie miał przy sobie broni, ale Vanderveen ucieka i wkrótce zniknie bez śladu. Próbować go zatrzymać czy może śledzić? Mundur waszyngtońskiej policji, który mignął u szczytu ruchomych schodów, pomógł mu podjąć decyzję.

Natychmiast ruszył w tamtym kierunku, jednak drogę zastąpił mu potężny strażnik, mówiący coś szybko do krótkofalówki. Potem całą uwagę skupił na Ryaniu.

- Proszę się zatrzymać! Powiedziałem stać!

Ryan zwolnił kroku i wyciągnął przed siebie ręce w pojedynczym geście, dłońmi do góry.

- Mam tutaj rezerwację. Przepraszam za kłopot, ale jestem już spóźniony na spotkanie...

Z całej siły uderzył mężczyznę w splot słoneczny, a potem zadał mu jeszcze cios kolanem w twarz. Strażnik poleciał do tyłu, przewracając się na wózek z kawą i zrzucając kilka parujących dzbanków na podłogę.

Ryan pędził już na górę po ruchomych schodach, kątem oka dostrzegając jeszcze niebieskie mundury, od których aż zaroilo się w hotelowym lobby. Mijał właśnie przeszklone drzwi, kiedy usłyszał gdzieś przed sobą krótki trzask, a zaraz po nim dwa strzały, przebijające ponad przerażonymi okrzykami przypadkowych świadków.

Natychmiast przyspieszył kroku, podczas gdy krzyki przybiebrały coraz bardziej na sile.

Howson zdawał sobie sprawę, że biegnie za szybko, ale był młody, a poziom adrenaliny w jego krwi osiągnął już niebotyczny poziom. Co jednak ważniejsze, rozciągała się przed nim otwarta przestrzeń i bez wątpienia znowu mignęła mu ta nieprzemakalna kurtka.

Przez całą drogę od furgonetki do lobby, a potem do ruchomych schodów i aż tutaj - całe czterdzieści pięć sekund - myślał tylko o tym, jaka wspaniała powstanie z tego historia. Nie mógł się już doczekać, kiedy ją opowie kolegom... Nie słyszał żadnego wewnętrznego ostrzeżenia, głosu nakazującego mu zwolnić, pędził więc co sił w nogach, bo przecież inaczej nie będzie żadnej historii. Zauważył światło wylewające się z lewej strony na końcu korytarza, z oddali dobiegał go gwar ożywionego tłumu. Pobiegł dalej, obok obudowanego stałą szybu windy, potem koło plastikowego pojemnika wypełnionego śmieciami, aż wreszcie znalazł się w piwnicy, dopiero tutaj uświadamiając sobie swój błąd. Powinien był skręcić w prawo, ale zwiódło go to światło.

Wszystko wydarzyło się bez ostrzeżenia. Nie było żadnej eksplozji dźwięku, świetlistego tunelu ani bólu. Poczul jedynie coś jakby draśnięcie w tył głowy, a potem zapadła ciemność.

Ryan znajdował się jakieś dwadzieścia kroków i siedem sekund za nim. Kiedy tylko znalazł się na terenie budowy, natychmiast zauważył leżącą nieruchomo na ziemi sylwetkę, jednak sięgając po glocka policjanta, starał się nie patrzeć na ziejącą w twarzy młodego mężczyzny ranę wylotową, ani na ślady krwi i tkanki rozbryzgnięte na płytkach przed nim.

Wiedział, że musi się pospieszyć, jeśli chce dogonić Vanderveena, który z każdą chwilą zdobywał nad nim przewagę. Bez wahania wybiegł na otwartą przestrzeń, z dziewiątką trzymaną nisko w obu dłoniach, podobnie jak niecałe dwie minuty wcześniej robił to Howson. Kilka metrów przed sobą widział biegnących w jego stronę ludzi, którzy właśnie wypadli z Filene's Basement, jedyne sklepu na najniższym poziomie. Błyskawicznie pokonał schody, mijając czarne pojemniki z kaszmirowymi swetrami i wieszaki z przecenionymi rzeczami Prady. Z trudem torował sobie drogę przez oszalały tłum, a w głowie huczała mu tylko jedna myśl, że być może to jego ostatnia szansa, aby rozprawić się z tym człowiekiem raz na zawsze.

Vanderveen wyprzedzał Kealeya o jakieś piętnaście sekund, kiedy wydostał się przez przeszklone drzwi na F Street. Poruszał się szybko, ale swobodnie, a jego postawa była na tyle rozluźniona i spokojna, że żaden z mijających go przechodniów nie zauważył od razu przedmiotu, który trzymał luźno w prawej ręce.

Tych kilka dodatkowych sekund pozwoliło mu rozejrzeć się po ulicy w poszukiwaniu policyjnych radiowozów albo nieoznakowanych chevroletów suburban, tak lubianych przez niektóre z co bardziej znanych rządowych agencji. Nie zastanawiał się, co poszło nie tak - na to przyjdzie czas później. W tym momencie jego jedynym celem było wydostanie się z miasta, i to jak najszybciej. Wyszedł na ulicę, przecinając pierwszy pas jezdni. Kiedy zdołała na zachód toyota camry z wgniecioną maską zahamowała gwałtownie kilka metrów przed nim do wtóru naciskanego wściekle klaksonu, natychmiast okrążył samochód.

Pomimo zimna okno toyoty było do połowy opuszczone, bo kierowca palił podczas jazdy papierosa. Zaszokowany, a jednocześnie odczuwający ogromną ulgę mężczyzna zamierzał właśnie rzucić coś ostro facetowi, którego omal nie potracił, ale nie zdążył nic powiedzieć. Vanderveen płynnym ruchem uniósł prawą dłoń i przycisnąwszy kierowcy lufę swojej czterdziestki do ucha, pociągnął za spust.

Ignorując krzyki znajdujących się w pobliżu przechodniów, otworzył drzwi i szarpnął mocno za bezwładne ciało, tak że osunęło się na jezdnię.

Potem wskoczył do auta i ruszył, nie zawracając sobie głowy zamykaniem drzwi, zanim nie zmienił biegu dwa razy. Kiedy zerknął we wsteczne lusterko, zauważył jak przeszklone drzwi National Place otwierają się gwałtownie i ze środka wybiega jakaś postać.

Kealey, który wypadł właśnie na F Street, zdążył jeszcze zauważyć ruszającą z piskiem czerwoną toyotę. Błyskawicznie poderwał glocka do góry i strzelił dwukrotnie w stronę od-
dalającego się samochodu. Celował w opony, ale trafił jedynie w zderzak.

Potem auto skręciło z rykiem silnika w Czternastą, znikając mu z pola widzenia. Kealey zaklął pod nosem, zauważył leżące

na jezdni ciało i ruszył do przodu, żeby wyciągnąć jakiegoś kierowcę z jego auta. W tym momencie Trzynastą Ulicą nadjechały pędem dwa czarne samochody z migającymi na dachu kogutami, hamując ostro na skrzyżowaniu. Ze środka wyskoczyli faceci z wycelowanymi w głowę Ryana karabinami MP5, wrzeszcząc:

- FBI! Rzuć broń! *Natychmiast rzuć broń!*

- Jestem agentem federalnym! - krzyknął Kealey, po raz dziesiąty chyba w przeciągu tyłuż minut, odwracając się w ich stronę. - Susskind wie, kim jestem, na miłość boską! Facet, którego szukacie, właśnie zniknął za rogiem... - Już wyciągnął rękę, żeby wskazać kierunek, ale w porę uświadomił sobie, że nadal trzyma w niej pistolet. - To czerwona toyota camry. Zapamiętałem numery...

- Rzuć broń na ziemię! *Natychmiast!*

Mężczyźni zbliżający się w jego stronę nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych. Przez chwilę zaciskał jeszcze palce lewej dłoni na klamce srebrnego mercedesa, podczas gdy siedząca za kierownicą zaszokowana kobieta w średnim wieku wpatrywała się w niego z przerażeniem, jednak w końcu cofnęła rękę. Powoli unióś ramiona w łokciach, trzymając pistolet w dwóch palcach prawej ręki, a potem zakławszy jeszcze raz, odłożył broń na chodnik i odsunął się do tyłu. Agenci FBI otoczyli go natychmiast.

Było po wszystkim, a Vanderveen znowu zdołał mu się wymknąć.

ROZDZIAŁ 35

LANGLEY • CAPE ELIZABETH

W odprawie odbywającej się ponad osiem godzin później w Langley wzięły udział nieliczne osoby. Gabinet dyrektora był na tyle obszerny, by pomieścić tę niewielką grupę: Naomi Kharmai, która dotarła tu z Ashland dzięki uprzejmości policji stanowej z Wirginii, Jonathana Harpera, dyrektora Centrali Wywiadu Andrews i Ryana Kealeya.

Harper dosyć szybko zdołał wydostać Ryana z rąk FBI. Zaledwie kilka minut po drugiej strzelaninie na F Street Susskind odbyła krótką rozmowę z dowódcą HRT na Waszyngton, a ten przekazał już rozkazy ekipie, która zatrzymała Kealeya. Natychmiast zdjęto mu kajdanki i zwrócono berettę znaną w kaburze przy ciele Howsona. Agenci, z którymi jechał, wyrazili swoje ubolewanie z powodu całego zajścia wyjątkowo niechętnie, tak że wymruczane cicho przeprosiny były prawie niesłyszalne. Suburban z Kealeyem w środku natychmiast ruszył w stronę Tyson's Corner, jednak większość federalnych pozostała na miejscu zdarzenia, żeby je zabezpieczyć i poczekać na posiłki.

Ryan nie mógł tak naprawdę mieć do nich pretensji o to aresztowanie. Znajdował się na ulicy w cywilnym ubraniu, bez dokumentów i z bronią w ręku, zaledwie półtora metra od ciała mężczyzny z dziurą od kuli w głowie. Z perspektywy czasu musiał wręcz przyznać, że konfrontacja ze świetnie wyszkolonymi operatorami HRT była znacznie lepsza niż inne możliwości. Przynajmniej nie zastrzelili go w chwili paniki.

Kiedy niecałe dwadzieścia minut później dotarł do TTIC, łopaty helikoptera już się obracały. Pomimo wściekłych protestów dyrektora Landrieu i Joshuy McCabe'a Harper zapewnił sobie i Ryanowi transport, tak że mogli od razu wracać do Langley. Niestety, na tym kończyły się szybkie działania. Obaj mężczyźni musieli czekać całymi godzinami, ponieważ dyrektor Centrali Wywiadu utknął w Białym Domu, odpowiadając na niezliczone pytania wstrząśniętego prezydenta Brennemana. Teraz, gdy siedzieli w tym przestronnym gabinecie, wszystkie wydarzenia poranka wydawały się tylko złym snem.

Ale to nie był sen. Dowiódł tego Ryan, co najmniej trzy razy opowiadając dyrektorowi Andrewsowi swoją historię, poczynając od telefonu Harpera, aż do zatrzymania przez FBI. Kharmai również została poproszona o dokładne zrelacjonowanie wydarzeń w hrabstwie Hanover. Mówiło głównie tych dwoje, ale udało im się także uzyskać parę odpowiedzi, których szukali.

Naomi siedziała obok Ryana, natomiast dwaj zwierzchnicy usadowili się w wygodnych fotelach po przeciwnej stronie niskiego stolika. Po powrocie do Langley z przyjemnością wzięła gorący prysznic w damskiej szatni, podczas gdy do jej domu wysłano kogoś po czyste ubranie. Jej nieznaną dobroczyńca dokonał dobrego wyboru. W rezultacie wyglądała teraz o wiele lepiej niż tego ranka i z niecierpliwością oczekiwała dalszych informacji na temat tragicznej akcji w Wirginii.

Obowiązek wyjaśnienia całej sprawy wziął na siebie Harper.

- Jednostka FBI do spraw materiałów wybuchowych zajęła się przede wszystkim piwnicą. Zniszczenia, na które się natknęli, przypominały te, do jakich dochodzi przy wybuchu gazu, tylko że tego typu wycieki znajdują się zazwyczaj przy wyjściowym zaworze, który w tym przypadku był na parterze. Ich zdaniem Vanderveen odłączył instalację pieca, wywiercił dziurę w podłodze i zamontował rurę prowadzącą do piwnicy. Potem przy pomocy taśmy izolacyjnej uszczelnił otwór i wszelkie wyloty powietrza, tak że gaz został uwięziony na dole. - Harper upił łyk kawy, po czym podjął dalszą opowieść. - Znaleźli też inne dowody potwierdzające tę wersję. W ścianach tkwiły odłamki

kanistra na benzynę, jednego z takich staromodnych, metalowych, a poza tym dwie płytki kontaktowe i ślady semtexu H. Nie miał czasu na nic wymyślnego, więc po prostu przykleił taśmą kostkę materiałów wybuchowych do kanistra z benzyną, a potem połączył elektryczną spłonkę z baterią. Eksplozja nastąpiła w momencie, kiedy spomiędzy stalowych płytek zostało usunięte zabezpieczenie.

- A co z bombą w furgonetce? - zapytał Ryan, potrząsając głową.

- Ta była już bardziej skomplikowana, chociaż też niezbyt - odparł Harper. - Zabrali się za to dopiero parę godzin temu, bo jednak trochę bali się pułapek, zwłaszcza po tym, do czego doszło w Hanover. Faceci z ATF, którzy rozkładają ją na części. cały czas powtarzają to samo: prosta, ale skuteczna. Podłączył telefon do semtexu schowanego w pięciu metalowych skrzyniach. A tak przy okazji, byłoby już po tobie, Ryan, gdybyś próbował wejść tylnymi drzwiami. Vanderveen założył ładunki zabezpieczające na telefonie i dwóch skrzyniach.

- Ale nie na przełączniku.

- Zgadza się - przytaknął Harper. - Nie chciał ryzykować przedwczesnego wybuchu, więc niewłaściwe połączenie z tym numerem niczym nie groziło, dopóki prąd nie płynął z baterii do obwodu. Mówiłeś, że słyszałeś dzwoniący telefon?

- Uhm, zadzwonił jakieś dwie sekundy po wyłączeniu przeze mnie tego przełącznika.

- To Vanderveen próbował zdetonować bombę. Tych kilka sekund zadecydowało o wszystkim.

Ryanowi zrobiło się niedobrze na myśl o tym, jak niewiele brakowało, żeby wyleciał w powietrze razem z jakimiś ośmioma przecznicami.

- Jezu Chryste - wydusił w końcu. - Ja tylko pstryknąłem przełącznikiem.

Harper pokiwał powoli głową.

- Musiał mieć możliwość szybkiego jej włączenia, a przecież na środku zatłoczonej ulicy nie bardzo mógł pakować się do części ładunkowej samochodu, żeby tam grzebać. To było najlepsze rozwiązanie i gdybyś się w to nie wmieszał, wszystko by zadziało.

Ryan zamilkł. Nie chciał się nawet zastanawiać, do czego omal nie doszło. Później będzie na to dosyć czasu. Naomi nie zauważyła jednak jego wahania i naciskała dalej:

- O jakich zniszczeniach tu mówimy?

- No cóż - zastępca dyrektora odchrząknął lekko - na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Rozmawiałem z Batemanem - tak przy okazji, to facet, który dowodzi grupą operacyjną ATF. Podał mi parę szacunkowych obliczeń. Poważnie ucierpiałyby wszystkie budynki w promieniu czterech przecznic, plus rozmaite uszkodzenia w obrębie dalszych dwunastu przecznic, od strefy zero. Objęłoby to także Freedom Plaża i Pershing Park. Nadal trwają jeszcze dyskusje, ale szacowana liczba ofiar śmiertelnych sięgnęłaby czterystu, pięciuset osób, do tego w okolicach dwóch tysięcy rannych. Pora dnia została starannie wybrana - gdyby wszystko działo się kilka godzin wcześniej, ewentualne straty w ludziach byłby znacznie mniejsze.

Ryan spuścił wzrok na swoje dłonie.

- Mój Boże. - Dyrektor Andrews odwrócił się w stronę okna z poszarzałą twarzą.

- A co z celem? - zapytał Ryan. - Chodziło mu o kawalkadę, tak?

- Dokładnie. - Harper pokiwał głową. - Ta kwestia budzi jednak jeszcze więcej pytań. Celem zamachu z całą pewnością były samochody kawalkady, ale nie wiadomo, czy ten zamiar by się powiódł. Bateman uważa, że tak, za to ludzie z FBI są innego zdania.

- Postarał się o zwiększenie swoich szans - wtrącił Andrews - umieszczając betonowe bloki pod tym przepierzeniem. Znajdowały się tuż przy samej bombie, więc skierowałyby prawie całą siłę wybuchu bezpośrednio na Trzynastą Ulicę. Moim zdaniem Vanderveen był bliżej osiągnięcia celu, niż ktokolwiek chce przyznać. - Kharmai i Kealey milczeli, zaskoczeni szczerością tych słów, ale dyrektor Andrews jeszcze nie skończył. Odwróciwszy się od okna, obrzucił tę dwójkę uważnym spojrzeniem, a potem dodał: - Nie muszę chyba mówić, że cała sprawa będzie miała poważne konsekwencje, odczuwalne przez co najmniej kilka następnych tygodni. Oczywiście, początkowo najlepszym rozwiązaniem wydawało się utrzymanie tego wszyst-

kiego w tajemnicy. Po śmierci senatora Levy'ego i eksplozji w budynku Kennedy-Warren ostatnią rzeczą, jakiej nam teraz potrzeba, jest informacja o jednotonowej bombie, która o mało nie zmiotła z powierzchni ziemi prezydenckiego konwoju. Gdyby chodziło tylko o tę ewakuację z nabrzeża, moglibyśmy to jakoś wytłumaczyć. Poleciałoby parę głów, ale jakoś udało się nam to zatuszować.

Niestety, nie skończyło się na tym. Vanderveen zabił w trakcie ucieczki dwoje ludzi, w tym policjanta z Metropolitan. Obie ofiary zginęły na zatłoczonym terenie i raczej nie zdołamy tego ukryć. W najbliższym czasie będzie to temat z pierwszych stron gazet, więc doradcy prezydenta w całej swojej mądrości próbują obrócić całą sprawę w coś pozytywnego, przedstawić to jako ogromny sukces amerykańskich służb ochrony porządku publicznego. Nikt nie ma odwagi nazwać tego po imieniu.

- Katastrofą, której ledwie udało się zapobiec - mruknął Ryan.

- Dokładnie. - Andrews skinął głową. - Ale teraz to już nie nasza sprawa, a jeśli chcą to rozegrać politycznie, nie mamy innego wyjścia, tylko pójść im na rękę. W każdym razie prezydent zamierza publicznie pochwalić parę osób. To znaczy waszą dwójkę. Zwłaszcza pana.

- Nie ma mowy - rzucił natychmiast Kealey, jak najbardziej szczerze, zauważywszy jednak reakcję dyrektora, nieco się opanował i dodał: - Przepraszam. Po prostu nie chcę mieć z tym nic do czynienia. Poza tym agencja nigdy nie działała w ten sposób i prezydent dobrze o tym wie. Nie mam ochoty oglądać swojej twarzy w telewizji ani udzielać żadnych wywiadów. Proszę mi tylko powiedzieć, jakie podejmujemy działania, żeby złapać tego sukinsyna.

Z ciężkim westchnieniem Harper podniósł wzrok.

- Nie zajechał daleko w tej toyocie. Samochód znaleziono na podziemnym parkingu w Anacostii, z ciałem dwudziestodwucioletniej sekretarki w bagażniku. - Ryan zaklął, a potem natychmiast odwrócił oczy, myśląc tylko o tym, jak bliski był złapania Vanderveena. - Wybrał naprawdę starannie. W garażu nie zainstalowano kamer, więc nie można było od razu sprawdzić do jakiego samochodu się przesiadł. Przy ciele kobiety nie

znaleziono torebki, dlatego ustalenie jej tożsamości zajęło trochę czasu. Zaczęli od okolicznych budynków... Kiedy już dotarli do jej pracodawcy, zdobyli jej nazwisko i numery rejestracyjne auta z wydziału transportu. Potem oczywiście stwierdzili, że to właśnie jej chevrolet camaro zginął. Rozesłali list gończy za samochodem po całym kraju, ale nikt nie liczy specjalnie na sukces. Tylko zabierając dokumenty tej kobiety Vanderveen zyskał nad ludźmi Susskind dwie godziny przewagi. - Tu zastępca dyrektora zamilkł na chwilę, żeby upić łyk kawy. Przyglądając się uważnie jego zmęczonej twarzy, Ryan doszedł do wniosku, że Harper musi być naprawdę wyczerpany, a zaraz potem uświadomił sobie, że sam nie wygląda pewnie lepiej. - Ponieważ i tak wyjdzie to na światło dzienne, prezydent dał nam wolną rękę w tropieniu Vanderveena. Jego nazwisko znalazło się już na liście najbardziej poszukiwanych terrorystów, przekazaliśmy też jego zdjęcie do wszystkich głównych portów lotniczych w zachodniej Europie, jak również w Afryce i Australii. Nieświadomie sam nam w tym pomógł... Fotografia na prawie jazdy Nicholasa ma góra dwa lata, a więc jest znacznie aktualniejsza od zdjęć z okresu jego służby wojskowej, którymi posługiwaliśmy się do tej pory. Wysłaliśmy to również do Interpolu.

- Vanderveen ma powiązania z Irańczykami i Al-Kaidą
- przypomniał im Ryan. - Dysponuje sporymi pieniędzmi i niekoniecznie musi lecieć regularnymi liniami. Mogli wyczerować samolot wiele miesięcy temu. Bez problemu wylądował na jakimś niewielkim lotnisku, gdzie diabeł mówi dobranoc.
- Myśli pan, że zdążył już opuścić kraj? - zapytał Andrews.
- To najlogiczniejsze wyjście, panie dyrektorze. Jeśli tu zostanie, stanie się celem największej obławy w historii amerykańskich służb porządku publicznego. Poza tym wie pan równie dobrze jak ja, że jeśli zdoła dotrzeć do Iranu, nie będziemy mogli nic zrobić. Nie mamy tam żadnych możliwości działania, chyba że coś się zmieniło w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.
- Nic się nie zmieniło. - Harper westchnął ciężko, przez chwilę zastanawiając się nad tym wszystkim, po czym dodał:
- Mimo wszystko poniósł klęskę. Jeśli jest teraz w drodze powrotnej do Teheranu, to raczej nie powinien się spodziewać ciepłego przyjęcia.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - skomentował to Ryan.
- Ale nie liczyłbym na to zbytnio.

Spotkanie zakończyło się pięć minut później. Kealey i Harper ruszyli razem korytarzem, obaj zatopieni w myślach. Nie pozostało im wiele do powiedzenia.

- Dostaniesz medal, wiesz - odezwał się w końcu Harper, tylko po to, żeby przerwać milczenie. - Naomi też. Pewnie coś ładnego.

Ryan wzruszył bez przekonania ramionami, a jego twarz nie rozchmurzyła się nawet na moment.

- Mało mnie to obchodzi - mruknął, a potem zerknął szybko na swojego zwierzchnika. - Nie chodzi o to, że nie jestem wdzięczny za takie wyróżnienie. Po prostu naprawdę o to nie dbam. Zresztą i tak nie będę mógł tego nikomu pokazać.

Harper roześmiał się ze sposobu, w jaki Kealey to ujął.

- Nie tym razem, Ryan - powiedział, gdy dotarli wreszcie do wind. - To jedno z naszych nielicznych jawnych osiągnięć. Nasz dzień chwały. Równie dobrze możemy się nim nacieszyć, póki jeszcze trwa.

Ryan nie odpowiedział od razu.

- Możesz mi przesłać to odznaczenie pocztą, John - powiedział po dłuższej chwili namysłu. - Wracam do domu. Jeszcze dziś.

- Landrieu nie będzie zadowolony - zauważył Harper, kiwając jednak ze zrozumieniem głową. - Już i tak wkurzyłeś go tym, że przyjechałeś tutaj, zamiast złożyć mu sprawozdanie w Tyson's Corner.

- Pieprzyć go - mruknął Ryan. - *Pieprzyć go!* Nie pomógł ci w sprawie tych dokumentów dla mnie, a naprawdę ich potrzebowałem. Byłem dziesięć sekund za Vanderveenem, kiedy faceci z HRT mnie dopadli. Nie mam nic przeciwko nim... Zwyczajnie robili swoje. Ale gdybym miał wtedy jakieś papiery do pokazania, może udałoby się nam go złapać. Do diabła, ja *wiem*, że tak by się stało.

- Landrieu chyba nie utrzyma się już długo - zauważył Harper, kierując rozmowę z powrotem na dyrektora TTIC.

- Brenneman obarczył go większością winy za śmierć senatora i wybuch w Kennedy-Warren. Sporo z tego przyłgnęło... - Za-

wahał się na chwilę, po czym dorzucił jeszcze: - Naprawdę z nim o to walczyłem, Ryan. Chciał cię w ogóle wykluczyć ze sprawy. Musiałem pójść na kompromis.

- Wcale cię nie winię, John. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Po prostu mam już dosyć ludzi takich jak Landrieu. W Waszyngtonie są ich tysiące i wygląda na to, że wszyscy zajmują najbardziej odpowiedzialne stanowiska.

- Zgadzasz się z tobą całkowicie - powiedział Harper i nagle uświadomił sobie, że rzeczywiście tak myśli. Kiedy winda zatrzymała się na parterze i wyszli do holu wyłożonego czystym białym marmurem, Harper odwrócił się jeszcze, żeby udzielić młodszemu mężczyźnie ostatniej rady. - Wracaj do Katie, Ryan. Załagodzę sprawę twojego nagłego wyjazdu. Naprawdę świetnie się dzisiaj spisałeś, więc nie broń się tak, kiedy chcą cię za to pochwalić, jasne? I nie przejmuj się Vanderveenem. Wcześniej czy później gdzieś wypłynie.

- Nadal zamierzam dopaść tego sukinsyna, John. - Ryan nie chciał łamać danej Katie obietnicy i bał się, czy zdoła jej to wszystko wytłumaczyć, a te słowa wyrwały się mu zupełnie niespodziewanie. Jednak mówił jak najbardziej serio. - Chcę wrócić do gry. To znaczy, oficjalnie.

Harper uśmiechnął się. Właśnie to chciał usłyszeć.

- Porozmawiamy o tym za kilka dni. A na razie odpocznij trochę, spotkaj się ze swoją dziewczyną.

- Jeżeli w ogóle uda mi się złapać samolot - odparł Ryan, a w jego głosie odbiła się spora frustracja. - Ten front burzowy nas ominął, ale słyszałem, że przemieszcza się dosyć szybko na północ. Zanim dotrę na Dulles, lotniska mogą być już...

- urwał, zauważywszy, jak uśmiech na twarzy jego rozmówcy robi się coraz szerszy. Harper potrząsnął głową, a potem wręczył mu wizytówkę z numerem telefonu zapisanym na odwrocie.

- Masz przy sobie komórkę? - zapytał. Ryan przytaknął.

- Zadzwoń na ten numer, kiedy będziesz gotowy do drogi. Jestem w końcu zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych, Ryan. Czasami chyba o tym zapominasz.

Kealey miał już zapytać, co znaczy ta zagadkowa uwaga, ale zamiast tego uściśnił tylko dłoń swojego zwierzchnika.

- Dzięki, John. Do zobaczenia w poniedziałek.
- Bezpiecznej podróży. Kiedy wrócisz, będę na ciebie czekał przy głównej bramie. Powiedzmy o dziewiątej rano. - Harper spojrzął gdzieś ponad jego ramieniem. - Zdaje się, że ktoś jeszcze chciałby zamienić z tobą słówko.

Ryan odwrócił się. Kilka kroków za nim stała uśmiechnięta Naomi Kharmai, wyjątkowo atrakcyjna w kostiumie, którego biel wspaniale kontrastowała z jej śniadą cerą.

- A dokąd to się wybierasz w takim pośpiechu?

Siedzieli naprzeciwko siebie w ponurej kantine, niemal zupełnie pustej o tak późnej porze. Ryan nawet nie tknął swojej kawy, a Kharmai machinalnie obracała kubek z herbatą w swoich kształtnych dłoniach. Ale to w końcu ona pierwsza przerwała niezręczne milczenie.

- Zamierzasz tak po prostu zostawić mnie tu samą, co?

Ryan podniósł wzrok. Na wargach Naomi błąkał się uśmiech, może nieco zbyt smutny.

- Wracam w przyszłym tygodniu. Jeszcze będziesz miała mnie dosyć.

- Myślałam, że chcesz się wycofać. Byłam *pewna*, że to zrobisz.

- Nie mogę odejść. Nie teraz, kiedy on jest nadal na wolności.

Naomi zastanowiła się przez chwilę nad jego słowami i już miała coś powiedzieć, ale nagle zmieniła zdanie.

- Zamierzasz przejść do CTC?

- To tam pracujesz, zgadza się?

Naomi skinęła głową.

- W takim razie nie.

Naomi zmarszczyła gniewnie brwi, podczas gdy na twarzy Ryana pojawił się szeroki uśmiech.

- Pytam poważnie.

- Pewnie tak - odparł Ryan, wzruszając ramionami. - Tam będę miał największe możliwości działania, więc raczej tak.

Naomi rozchmurzyła się nieco, a potem oboje znowu zamilkli.

- Dostaniemy medale, wiesz - odezwał się w końcu Ryan, byle tylko podtrzymać rozmowę. - Jakieś ładne.

Kharmai skrzywiła lekceważąco usta, a potem powiedziała coś, co odrobinę go zaskoczyło.

- To nie ma dla mnie większego znaczenia. Nie rozumiem, dlaczego tak jest... Zawsze myślałam, że będzie ważne.

Z jej oczu wyczytał, że to nie była gra. Naprawdę tak myślała, a to zdumiało go jeszcze bardziej.

- Harper cię lubi, Naomi. Zwróciłaś na siebie uwagę przy okazji tej sprawy, więc przyjmij, co dają i uśmiechaj się do aparatów, w porządku? - Kharmai spojrzała na niego, żeby przekonać się, czy nie drwi sobie z niej, ale jego twarz była zupełnie poważna. - Nie chcę być arogancki, ale nie potrzebuję tej pracy, i szczerze mówiąc, wcale się do niej nie palę. Oznacza to tylko więcej czasu spędzanego z dala od Katie. Wiosną wraca na studia i nie będzie mogła tu ze mną przyjechać. - Przerwał na chwilę, żeby upić łyk kawy. - Z drugiej strony ty, Naomi, masz do tego talent. Możesz zająć naprawdę wysoko... Co prawda stanowisko dyrektora Centrali Wywiadu jest dla ciebie nieosiągalne, ze względu na narodowość, ale reszta stoi przed tobą otworem. To znaczy, z całą pewnością mogłabyś zostać szefową CTC. Jednak żeby to osiągnąć, będziesz musiała od czasu do czasu trochę poudawać. Nie obchodzi cię ten medal... To jest właśnie taka chwila. W twoim dobrze pojętym interesie leży, żeby się podlizać komu trzeba, możesz mi wierzyć.

Przyjęła tę radę, cokolwiek miała ona znaczyć, mile połączona komplementem, choć nie mogła odżałować, że wspomniał o swojej dziewczynie. *Chcę, żebyś pojechał ze mną do domu!*, miała ochotę wykrzyknąć i chyba musiało to być wypisane na jej twarzy, bo po jego ostatnich słowach zapadła długa, niezręczna cisza.

W końcu jednak postanowiła dać mu spokój. Było jasne, że chce już iść, a powiększanie jego cierpień nie skłoni go do zmiany zdania.

- No cóż, w takim razie do zobaczenia w poniedziałek - powiedziała

- Na to wygląda.

Wstali oboje, przez dłuższą chwilę wpatrując się w siebie bez słowa. Naomi miała nadzieję, że Ryan pochyli się i...

Ale tak się nie stało. Zamiast tego wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia, po czym odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z kantyny.

Naomi patrzyła w ślad za nim naprawdę długo, a na jej twarzy odbijała się teraz mieszanina rozmaitych uczuć. Kiedy Ryan zniknął jej w końcu z oczu, usiadła z powrotem przy stoliku, żeby dopić swoją herbatę, starając się już o tym nie myśleć.

Dopiero po telefonie pod podany przez Harpera numer Ryan uświadomił sobie, po raz pierwszy od naprawdę długiego czasu, jak wielką władzę ma ten człowiek. Łatwo było o tym zapomnieć, bo zastępca dyrektora nie prowadził szczególnie rzucającego się w oczy trybu życia. Chociaż mieszkał w ładnym domu i ubierał się elegancko, co roku zabierał żonę do tego samego kurortu w Colorado, a poza tym jeździł sześciolatnim fordem explorerem ze stu sześćdziesięcioma tysiącami kilometrów na liczniku.

Jeśli jednak chodziło o jego pozycję w Langley, Harper mógł przynosić góry. Pięć minut po wykonaniu telefonu Ryan spotkał się przy głównej bramie z mężczyzną w ciemnym garniturze, który przedstawił się jako George, po czym poprowadził go w stronę lśniącego czarnego mercedesa z przyciemnianymi szybami. Sądząc po sposobie, w jaki groźnie wyglądający sedan przykucnął na swoich kołach, jego drzwi i obudowa silnika były wzmocnione pancernymi płytami.

George otworzył przed nim tylne drzwi, ale Ryan potrząsnął tylko głową i wspiął się na siedzenie z przodu. Wolał się nie przyzwyczajać do podobnego traktowania. Zastanawiał się tylko, czy Harper zadał sobie tyle trudu, żeby wyświadczyć mu przysługę, czy chciał mu w ten sposób przypomnieć o niektórych dodatkowych korzyściach pracy w Langley. W końcu z uśmiechem uznał, że sporadyczna podróż opancerzonym mercedesem prowadzonym przez szofera nie rekompensuje rządowej pensji, bo to comiesięczne pobory decydują o faktycznych warunkach życia. Może nie dla niego, ale dla większości urzędników państwowych z pewnością tak.

Wkrótce był jednak zmuszony do zmiany opinii, kiedy z piskiem opon wjechali na pas startowy na Dulles International. Nie mógł uwierzyć, że wpuszczono ich na płytę lotniska, ale jeszcze większe zdumienie ogarnęło go, gdy po chwili zorientował się,

że ma wracać do Maine jednym z przeznaczonych dla kierownictwa agencji odrzutowców Gulfstream.

- To chyba niezła frajda prowadzić taki samochód, co George?
- zapytał, uśmiechając się lekko. - Świetną masz robotę.
Kierowca, milczący i poważny przez całą drogę, nie zdołał powstrzymać uśmiechu.
- To prawda, proszę pana - powiedział. - Szczera prawda.

Gulfstream w błyskawicznym tempie osiągnął stałą wysokość trzynastu tysięcy metrów, po czym pomknął na północ z prędkością nieco ponad dziewięćset kilometrów na godzinę. Początkowo Ryan próbował się odprężyć i cieszyć lotem, wkrótce jednak zaczęła go trochę denerwować myśl, że znajduje się zupełnie sam niemal dwanaście kilometrów ponad ziemią.

Kiedy zauważył, że kabina pilota jest oddzielona jedynie zasłonką, ruszył w tamtym kierunku, chcąc upewnić się, że ktoś rzeczywiście siedzi za sterami samolotu. Obaj mężczyźni przyjęli jego towarzystwo z zadowoleniem, a wkrótce okazało się też, że jeden z nich, Steve Kearns, pilotuje odrzutowce Agencji od prawie siedemnastu lat.

- Dokąd leciał pan ostatnio? - zapytał Ryan, doskonale wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

- Nie mogę powiedzieć. - Kearns uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

- A teraz gdzie lecimy? - Naprawdę nie miał zielonego pojęcia.

- Tego też nie mogę zdradzić. - Tym razem uśmiech był znacznie szerszy, ale nawigator Reynolds natychmiast wyjaśnił mu ze śmiechem:

- Portland International Jetport, proszę pana.

Dla Ryana oznaczało to dobrą wiadomość. Portland znajdowało się znacznie bliżej Cape Elizabeth niż lotnisko w Bangor, z którego zwykle korzystał.

- Aż dziwne, że nie zamknęli pasa startowego - zauważył.

- To miejsce naprawdę nie jest przystosowane do obsługi lotów w taką pogodę.

- Zgadza się. - Reynolds pokiwał głową. - Co prawda teraz znajdujemy się ponad trzynaście tysięcy metrów nad najgorszym

paskudztwem, ale na ziemi zaczyna się robić nieprzyjemnie. Połowa stanu jest bez prądu, a na lotnisku w Portland musieli uruchomić generatory. Burza przesuwa się odrobinę w stronę kanadyjskiego prądu strumieniowego, ale nadal szaleje nad wschodnią częścią stanu. Nic nam nie będzie, chociaż lądowanie może sprawić trochę problemów. Hej, Kearns, ale *na pewno* umiesz lądować, tak?

Pilot wzruszył ramionami.

- Raz próbowałem tego na symulatorze komputerowym
- powiedział z szerokim uśmiechem. Ryan uznał, że Kearns należy do tej kategorii ludzi, którzy nigdy nie potrafią zachować powagi przy opowiadaniu dowcipu. - Ale nie szło mi za dobrze.

Reynolds przyjrzał się czemuś na niezliczonych monitorach przed nim, po czym podniósł wzrok i powiedział:

- W takim razie mam nadzieję, że szybko się uczysz. Za jakieś dziesięć minut będziemy na miejscu.
- Jezu Chryste - jęknął odrobinę zaszokowany Ryan. - Przecież dopiero co wystartowaliśmy.

Pilot uśmiechnął się.

- Witamy we wspinałym świecie podróży służbowych.

Lądowanie, zresztą tak jak przewidział to Reynolds, nie było przyjemne, chociaż Ryan przypiął się mocno pasami do jednego z wygodnych skórzanych foteli tuż za kabiną pilota. Kiedy samolot w końcu się zatrzymał, Ryan wstał na miękkich nogach i zajął jeszcze raz za zasłonkę, żeby podziękować swoim kurierom. Obaj mężczyźni skinieniem głowy przyjęli jego słowa, ledwie słyszalne z powodu deszczu bębniącego w kadłub odrzutowca, chociaż Kearns był jeszcze odrobinę blady.

- Wiecie coś może chłopaki o moim transporcie już na ziemi?
- krzyknął Ryan poprzez cały ten hałas.
- Jedzie pan do Cape Elizabeth, tak?
- Zgadza się.
- To tylko jakieś trzydzieści kilometrów stąd - odparł pilot, znowu uśmiechnięty. Jego policzki odzyskały normalny kolor teraz, kiedy lądowanie mieli już za sobą. - Niezbyt długi spacerek. Mam tu gdzieś parasol, jeśli chce pan pożyczyć.

Reynolds potrzęsnał ze smutkiem głową, a potem popatrzył znad swojego pulpitu na Ryana.

- Proszę odszukać w biurze ochrony na drugim poziomie Andreno. On ma dla pana kluczyki. Zdaje się, że dostał pan samochód na weekend, ale w poniedziałek musi go pan odstawić z powrotem do Langley.

- Andreno?

- Nic więcej nie wiem. - Nawigator wzruszył ramionami.

- Zresztą ilu może tu być facetów o tym nazwisku?

- Ta, w końcu to lotnisko dla odrzutowców, czy jak to się tam nazywa, nie jest zbyt duże - mruknął Ryan, uświadomiwszy sobie, że Reynolds ma rację, a potem wyciągnął na pożegnanie rękę. - Dzięki, chłopaki.

- Nie ma sprawy. Niech pan jedzie ostrożnie.

Do drzwi przysunięto już z głośnym szczęknięciem metalu o metal rękaw prowadzący bezpośrednio na terminal. Reynolds wynurzył się z kabiny, żeby otworzyć drzwi od środka i już po chwili Ryan znalazł się w tunelu, po czym podziękowawszy jeszcze skinieniem głowy facetom z obsługi technicznej, ruszył do tętniącego życiem wnętrza budynku.

Rozległa hala wypełniona była wymęczonymi pasażerami, a Ryan pomyślał po raz kolejny, że powinien podziękować Harperowi, bo tylko dzięki niemu ta podróż nie zamieniła się w przyprawiającą o ciężki ból głowy mordęgę. Klucząc pomiędzy zajętej krzeselkami, szybko odnalazł ciasne biuro i zapytał o Andreno, jak się okazało szefa ochrony lotniska.

- Zgadza się, mam dla pana kluczyki - burknął krótko ten potężny mężczyzna. - Mercedes... niezły wózek.

Ryan przyjął kluczyki i dodatkowe wskazówki, po czym wyszedł z biura, od razu kierując się w stronę podziemnego parkingu. Czekający na niego samochód był bardzo podobny do tego, którym dotarł na lotnisko Dulles. Ryan wśliznął się na chłodne siedzenie z czarnej skóry, a potem przekręcił kluczyk w stacyjce i uśmiechnął się jak mały chłopiec, kiedy silnik ożył z cichym pomrukiem.

Po chwili wyjeżdżał już z parkingu, a ryk potężnego silnika odbijał się niczym grzmot od betonowych ścian, zlewając się

w jedno z głuchym dudnieniem deszczu na zewnątrz. Z migającymi szybko wycieraczkami i jasnymi światłami reflektorów przedzierającymi się z trudem przez zasłaniające cały świat strugi deszczu pomknął International Parkway, a potem skręcił w lewo w Johnson Avenue, żeby po kilku minutach dotrzeć wreszcie do autostrady 1-95.

Podczas jazdy nie przestawał myśleć o zbliżającej się kłótni. Katie na pewno będzie wściekła, że nie zamierza! dotrzymać danego jej słowa, ale musiał wytropić Vanderveena i zakończyć tę sprawę raz na zawsze. Tego sporu Katie nie mogła wygrać, bo niezależnie od wszystkiego wracał do Agencji, było jednak parę rzeczy, które mogły jej to ułatwić. W końcu podarował jej pierścionek zaręczynowy, a poza tym może zdoła ją nakłonić do szybszej zgody, kusząc możliwością korzystania z jego bmw. Wiedział, że Katie kocha ten samochód prawie tak samo mocno, jak głęboko nienawidzi swojej toyoty corolli.

Zresztą myślał już o tym wcześniej. Ryzykował, co prawda, że ją za bardzo rozpuści, ale wiedział, jak bardzo marzyła o najnowszym volkswagenie... Cholera, nie pamiętał jego nazwy. Chyba Tureg czy Tourag... jakoś tak. W każdym razie chodziło o dosyć spory i solidnie zbudowany SUV, a nic więcej nie miało dla niego znaczenia. Katie nie była zbyt dobrą kierowcą i chociaż Ryan często sobie z tego żartował, to tak naprawdę z drżeniem serca myślał o jej częstych podróżach do Orono i z powrotem. A poza tym ciągle pamiętał, jak bardzo była podekscytowana, kiedy zauważyła ten najnowszy model na parkingu przed sklepem spożywczym...

Czemu nie?, pomyślał. Warto to zrobić, choćby tylko po to, żeby ujrzeć minę Katie. Jutro jest akurat sobota, doskonały dzień na coś takiego. Po południu wymknie się z domu i podjedzie do dealera w Auguście. Ciekawe, czy Katie zauważyłaby, gdyby kazał zainstalować w aucie klatkę bezpieczeństwa...

Te przypadkowe myśli zaprzętały go jednak coraz mniej, kiedy skręcił z autostrady w wąskie boczne drogi biegnące wzdłuż nabrzeża. Tu jazda była trudniejsza, bo gałęzie strzelistych drzew zatrzymywały nie tylko deszcz, ale i część światła, którego i tak nie było zbyt wiele. Na szosie leżały też gałęzie, niektóre

tak potężne jak małe drzewka, i Ryan musiał kilkakrotnie hamować, a raz nawet ostro skręcić, co zatrzęsło nim prawie tak samo jak lądowanie w Portland.

Wkrótce w oddali po lewej stronie ukazał się dom, ze stromym dachem migającym co chwila pośród sosnowego lasu. Ryan ucieszył się na widok światła w oknach, bo to oznaczało, że Katie jest w domu, no i że nadal mają prąd.

Był zadowolony, że ją tutaj zastał, ale dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, jak wielką ulgę poczuł z tego powodu. Kiedy zostawiła go w tamtym hotelu, niemal złamała mu serce, a przez tych parę dni, które upłynęło od kłótni, nie kontaktowali się ze sobą. Domyślał się, co czuła, dlatego postanowił dać jej czasu, ale do tej pory zdążyła już chyba ochłonąć. A jego obchodziło teraz wyłącznie to, że za chwilę znowu ją zobaczy. Miał co prawda ochotę zadzwonić i uprzedzić ją o swoim przyjeździe, ale Katie lubiła niespodzianki, a on lubił ją zaskakiwać. Nowy volkswagen będzie z pewnością ukoronowaniem ich wszystkich, zauważył w duchu, uśmiechając się szeroko. A potem znowu pomyślał o ceremonii w blasku zachodzącego słońca gdzieś nad brzegiem Morza Śródziemnego. Miał tyle planów...

Ale najpierw kłótnia. Nie da się tego uniknąć, choć może nie potrwa to zbyt długo. Powinien jednak być z nią szczery.

Nagle przyłapał się na myśleniu o tym, do czego najprawdopodobniej doprowadzą jego szczere i gorące przeprosiny, po czym doszedł do wniosku, że kwestia jego powrotu do Agencji może poczekać jeszcze jeden dzień.

Jedyną wadą domu w Cape Elizabeth był brak garażu, o czym Ryan przypomniał sobie dosyć boleśnie, kiedy wysiadł z mercedesa prosto w ulewę. No i oczywiście droga od ich prowizorycznego parkingu do drzwi wydawała się znacznie dłuższa w taką bezksiężycową noc, pośród szalejącej wokół nawałnicy. W końcu dotarł jednak pod dach, z kroplami deszczu spływającymi po jego cienkiej skórzanej kurtce. Pomimo że jego dżinsy były zupełnie przemoczone wokół kostek, stopy miał nadal suche dzięki nieprzemakalnym pionierkom firmy Columbia.

Szybko przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. Natychmiast po wejściu do środka uświadomił sobie, że wewnątrz domu wcale nie jest jasno oświetlone. Tak naprawdę poza przyćmionym blaskiem u szczytu schodów jedyne światło, jakie widział, padało ze znajdującej się na wprost niego kuchni. Potem usłyszał lekkie kroki Katie, więc uśmiechając się bezwiednie, ruszył cicho korytarzem. Zamierzał podkraść się bliżej i trochę ją przestraszyć.

Kiedy jednak stanął w drzwiach, ze zdumieniem ujrzał, że Katie wcale nie krząta się po kuchni. Wręcz przeciwnie, siedziała nieruchomo przy stole w jadalni, wpatrując się w niego przerażonym wzrokiem. Jej dolna warga drżała, a ciemnoniebieskie oczy były pełne łez.

Tuż za nią, z ostrym jak brzytwa nożem w dłoni i przerażającym uśmiechem na ustach, stał William Vanderveen.

Próbował przekonać samego siebie, że to nieprawda.

To nie *mogła* być prawda. Przecież to zupełnie bez sensu. Vanderveen miał kontakty umożliwiające mu niemal natychmiastową ucieczkę z kraju, ale zamiast to zrobić, wołał przejechać ponad siedemset kilometrów, chociaż szukała go cała amerykańska policja, tylko po to, żeby dotrzeć *tutaj*. To po prostu irracjonalne...

Poza tym wcale nie wyglądał jak Claude Bidault. Czyli to musi być sen, bo przecież w żaden sposób nie zdołałby przejechać całej drogi z Waszyngtonu do Maine, *a do tego* pozbyć się gęstej brody i farby z włosów. To po prostu niemożliwe... chyba?

Ryan instynktownie sięgnął po swoją berettę, a potem poczuł lodowaty chłód, kiedy uświadomił sobie, że zostawił broń na siedzeniu pasażera w mercedesie.

W tym domu było tyle rozmaitych narzędzi, ale kiedy ich naprawdę potrzebował, nie miał nic pod ręką. I mógł za to winić tylko samego siebie.

- Cześć, Ryan.

Słowa wypowiedziane swobodnym tonem, który pamiętał tak dobrze sprzed lat, a który teraz odebrał mu resztki nadziei. To nie był sen.

- Will. - Próbował opanować drżenie głosu, co okazało się prawie niemożliwe.

Uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. Potem Vanderveen przechylił głowę i zauważył:

- To musi być dla ciebie trudne, tak mnie nazywać, prawda? Masz ochotę powiedzieć March, co? - Tępy kraniec noża przesunął się powoli po gardle Katie, ale jasnozielone oczy Vanderveena nawet na moment nie opuściły twarzy Kealeya.
- Zdradzę ci pewien sekret, Ryan. Możesz mnie nazywać, jak chcesz. To nie ma już znaczenia. Nie tutaj. Nie teraz.

Jego spojrzenie stało się teraz niemal hipnotyzujące. Ryan z trudem oderwał wzrok i spojrzał na Katie, wpatrującą się w niego błagalnie. Łzy wymknęły się jej w końcu spod powiek i potoczyły po policzkach.

- Ryan... - szepnęła.

Vanderveen spojrzał w dół, ale podniósł z powrotem głowę, zanim Kealey w ogóle zdążył się poruszyć.

- Jest naprawdę olśniewająca, muszę to przyznać. Sam nie potrafiłbym lepiej dla ciebie wybrać. Jej oczy są takie... - zamilkł na chwilę, udając, że szuka właściwych słów, podczas gdy dłoń, w której trzymał nóż, wykonywała drobne okrężne ruchy.

- Wyraziste... Pełne życia. Takie oczy potrafią zamienić nawet nieciekawą kobietę w prawdziwą piękność. Ale nasza Katie nigdy nie była nieciekawa, co?

Ryan dostrzegł teraz z jakąś nadzwyczajną ostrością, że trzymana przez Vanderveena broń pochodzi z jego własnej kuchennej szuflady - dziesięciocentymetrowy nóż do obierania owoców firmy Kyocera, przypominający ten, który zabrał ze sobą do aresztu. Jego ostrze tańczyło w rytm słów zabójcy, ale nigdy nie odsunęło się na więcej niż jakieś piętnaście centymetrów od szyi Katie.

Ryan z trudem oderwał wzrok od tej dwójki, szukając czegoś, co mógłby wykorzystać jako broń.

Na próżno. Jakiś metr dalej miał kuchenny blat z piaskowca, zupełnie pusty. Mógłby oczywiście rzucić się na przeciwnika z gołymi rękami, ale to bez sensu, nie zdążyłby dopaść go na czas. Vanderveen podciąłby Katie gardło w tej samej sekundzie, w której w ogóle by się poruszył.

A na zewnątrz słyhać było tylko odgłosy narastającej burzy, uderzającej w ściany domu własnym, niezrównanym rytmem. Musiał coś powiedzieć.

- Posłuchaj, ona... Nie mieszaj... - Vanderveen wpatrywał się w niego uważnie, ale Ryan zamilkł. W jego głowie coś nagle zaskoczyło i kiedy znowu się odezwał, błagalny ton całkiem zniknął. Zamiast tego wypowiedział najszczerze słowa, jakie znał. - Jeśli to zrobisz, nie zdołasz przede mną uciec wystarczająco daleko.

- No proszę - mruknął Vanderveen z autentycznym zadowoleniem. - To właśnie chciałem usłyszeć. Dobrze wiedzieć, że nadal potrafisz się postawić.

Ryan postąpił szybko do przodu, zanim jednak zdążył zrobić drugi krok, Vanderveen w mgnieniu oka poderwał Katie z krzesła i przyciągnął ją mocno do siebie, lewym ramieniem obejmując jej wąską talię niczym imadłem. Czubek noża wbił się na tyle głęboko, by zadrasnąć skórę.

- *Nie, do diabła! Nie rób tego...* - Ryan poczuł narastającą panikę. Gwałtownie podniósł ręce do góry, próbując zachować spokojny ton głosu. - Po prostu ją wypuść, Will. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- I tu się mylisz! - warknął Vanderveen. - Ona jest w to wszystko jak najbardziej wplątana. Ty ją w to wciągnąłeś, kiedy postanowiłeś zabawić się dzisiaj w bohatera.

Ryan nie wiedział, co odpowiedzieć. Katie płakała coraz mocniej, przerażona wyrazem bezsilności w jego oczach, z trudem dobywając głosu pośród spazmatycznego szlochu.

- Ryan, nie pozwól... żeby mnie skrzywdził... *blagam*.

- Wszystko w porządku, Katie - zdołał w końcu wykrztusić. - Jestem tutaj. Jestem.

- To naprawdę wzruszające - zadrwił Vanderveen. - Ale zaczynam się odrobinę nudzić, więc pozwól, że cię o coś spytam: warto było? Czy ulotna wdzięczność kilkuset ludzi, których nigdy nawet nie poznasz, była tego warta? Gdybyś mógł cofnąć teraz czas, pozwoliłbyś im umrzeć, żeby ona mogła żyć? Nie zrobiłbyś tego *w jednej sekundzie*? - Zamilkł, czekając na jego odpowiedź, ale Ryan nie potrafił się skupić na niczym innym poza wyrazem czystej grozy i rozpacz na twarzy Katie.

Vanderveen był wyraźnie rozczarowany. - Dobra, spróbujemy inaczej - mruknął w końcu. - Pamiętasz, kiedy zobaczyłeś ją po raz pierwszy?

Ryan od razu zorientował się, do czego zmierza Vanderveen, ale i tak nie był w stanie zapobiec temu, co nastąpiło później. Obraz pojawił się w jego umyśle, zanim zdążył go powstrzymać. Orono, Katie o włosach połyskujących złocistym brązem w blasku słońca, kuszącym uśmiechu i pięknych błękitnych oczach, siedząca na trawie z podwiniętymi pod siebie nogami.

Spojrzenie Vanderveena stało się jeszcze uważniejsze. Kiedy zauważył, że oczy Kealeya zachodzą mgłą na to wspomnienie, uśmiechnął się znowu i powiedział: - Świetnie, zatrzymaj tę myśl... - Wyrwany z zadumy Ryan zdążył jeszcze usłyszeć ostatnią część zdania: -...i patrz uważnie.

A potem jednym mocnym pchnięciem wbił całe dziesięciocentymetrowe ostrze w szyję Katie.

Zanim jeszcze Ryan zdołał w pełni pojąć, co się właśnie stało, usłyszał udręczony krzyk i nie rozpoznawszy własnego głosu, jednym susem pokonał dzielącą go od przeciwnika odległość. Myślał tylko o tym, żeby odebrać mu życie i nawet nie zwrócił uwagi na reakcję Katie.

Dziewczyna miała szeroko rozwarte oczy, ale z rozchylnych warg nie wydobył się żaden dźwięk. Próbowwała wyszarpnąć się z uścisku oprawcy, kiedy nagle nogi ugięły się pod nią i upadła do przodu na stół, prawą ręką szukając źródła palącego bólu.

A potem nagle znalazła się na podłodze, rozpaczliwie kopiąc nogami i starając się złapać oddech poprzez dławiącą ją w gardle krew. W nagłym przebłysku świadomości, krótkiej chwili całkowitej przytomności umysłu, pojęła straszliwą prawdę. Chciała ją odepchnąć, ale fakty ciągle przebijały się na powierzchnię... Jest ranna, poważnie ranna, najbliższy szpital znajduje się trzydzieści kilometrów stąd, ona nie może oddychać, a Ryan wcale na nią nie patrzy, nie widzi, jak z nią źle, a ona nie *może złapać tchu...*

Kealey i Vanderveen walczyli o pistolet, który pojawił się nagle znikąd. Walczyli o kontrolę nad życiem i śmiercią, jeden

popychany przez wściekłość i rozpacz, drugi przez nienawiść zrodzoną wiele lat temu - instynktowne zło stanowiące sumę wielu części, niedające się wytropić do jakiegoś określonego punktu w czasie.

Czterdziestka wystrzeliła jeden raz, a potem poleciała po wyfroterowanej drewnianej podłodze, przez wąską strużkę krwi, żeby w końcu zatrzymać się pod lodówką. Ryan rzucił się w stronę broni, natomiast Vanderveen podjął błyskawiczną decyzję i zerwawszy się na równe nogi, uderzył całym ciężarem ciała raz i drugi w tylne drzwi, a kiedy zamek wreszcie ustąpił, wypadł na dwór prosto w szalejącą burzę. Dokładnie w tym samym momencie dwie kule uderzyły we framugę dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze sekundę temu znajdowała się jego głowa.

Ryan rzucił się do drzwi, żeby sprawdzić, czy Vanderveen nie leży gdzieś w błocie, gotów natychmiast poderwać się z ziemi i ponownie zaatakować. Dostrzegł jednak tylko daleką postać, która błyskawicznie wtopiła się w mrok, znikając za kurtyną deszczu.

Przez otwarte drzwi wpadał do środka ogłuszający ryk nawałnicy. Ryan podszedł do Katie i przyklęknął, przyciągając ją blisko do siebie. Jej ramiona spoczywały teraz na jego udach, głowa wspierała się o jego pierś. Potem Katie odnalazła jego dłoń, zaciskając mocno swoje długie palce, jakby w ten sposób chciała pozbyć się bólu.

Ryan nie próbował nawet wyjmować noża, bo to zwiększyłoby tylko jej cierpienie, powodując jednocześnie obfitsze krwawienie. Katie rozchyliła wargi, żeby coś powiedzieć, a kiedy uniosła twarz w jego stronę, z kącika jej ust wypłynęła cieniutka strużka krwi. Chociaż nie mogła wydobyć z siebie słów, Ryan wiedział, że to agonia, bo jej nogi nadal uderzały lekko o podłogę, a łzy nie przestawały płynąć. Co gorsza, jej świetliste błękitne oczy zaczęły tracić swój blask, a kiedy przysunął policzek do jej ust, nie poczuł na skórze ciepłego oddechu.

- Katie. - Nie był pewien, czy dziewczyna jeszcze go słyszy, nie mógł też niczego wyczytać z jej twarzy, bo oczy zasły mu

łzami. - Katie, nie odchodź. Zostań. Mój Boże, po prostu...
zostań ze mną. Proszę...

Nie potrafił powiedzieć nic więcej. Pragnął jej wyszeptać, że ją kocha, że jest mu przykro, ale słowa więzły mu w gardle.

Zamiast tego przytulił ją tylko mocniej, kołysząc się w przód i w tył. Nie mógł uwierzyć, że już nigdy nie usłyszy jej głosu, nie ujrzy jej pięknego uśmiechu. Tulił ją w ramionach najdelikatniej jak to tylko możliwe, dopóki światło w jej oczach całkiem nie zgasło. Kilka chwil później Katie zmarła w jego objęciach.

Zdezorientowany Vanderveen pędził ścieżką przez las. W jego krwi pulsowała ogromna dawka adrenaliny. Pomimo iż nie spał od trzech dni, nigdy jeszcze nie czuł się tak pełen życia. Po raz pierwszy od siedmiu lat był naprawdę zadowolony, że Kealey przeżył na tamtym syryjskim wzgórzu. Zakończenie tego wszystkiego tutaj wydało mu się nagle stosowniejsze. Może teraz Kealey pojmie wreszcie coś z jego bólu...

Kluczył pomiędzy sosnami, nadal soczyście zielonymi, i potężnymi dębami, które wznosiły wysoko drżące na wietrze konary. Był już całkiem przemoczony i zmarznięty, a ryk oceanu przypominał teraz żywą istotę. W końcu odzyskał orientację i rzucił się w kierunku ciemnego bezkresu Atlantyku, rozpryskując stopami błoto, kiedy tak pędził, niczego nieświadomy, w stronę krawędzi wyniosłego klifu.

Ściskając w dłoni pistolet Vanderveena Kealey wypadł z domu tylnymi drzwiami i pomknął w kierunku oceanu. Czuł się zupełnie odrętwiały po tym, co przed chwilą zaszło, jednak taki stan nie mógł trwać wiecznie. Z wolna zza tej pustki zaczęła wyzierać nieunikniona prawda: to on ponosi odpowiedzialność za to wszystko. Przedkładając poszukiwania Williama Vanderveena nad Katie, zabił ją tak, jakby sam wbił ten nóż, a widoku tej sceny ciągle nie mógł wymazać z pamięci: wijąca się na podłodze Katie, uderzająca nogami o deski, próbująca coś krzyknąć poprzez wypełniającą jej gardło krew i ten ohydny bulgot, który wydobył się z jej ust zamiast słów. Boże, nie. *Nie!*

Vanderveen odwrócił się gwałtownie, kiedy usłyszał niosący się ponad zawodzeniem wiatru okrzyk bólu i niewyobrażalnej męki. Ten dźwięk wywołał na jego twarzy uśmiech. Kealey nadsłuchiwał.

Ścieżka kończyła się rozległym spłachciem nagiej ziemi, wyznaczonym przez kilka samotnych słupów. Błoto mlaskało pod jego stopami, jakby chciało go całkiem pochłonąć, ale znacznie bardziej przerażająca była, otwierająca się niecałe trzy metry przed nim przepaść. Niebo ponad jego głową pozostawało w ciągłym ruchu. Potężne błyskawice rozświetlały co chwila skłębioną masę czarnych chmur, a ryk przetaczającego się w kilka sekund później grzmotu, wstrząsał światem. Nieustanne podmuchy porywistego wiatru, przynoszącego znowu wzburzonych fal oceanu srebrzyste strugi deszczu, przenikały lodowatym chłodem.

Vanderveen próbował trzeźwo rozważyć sytuację. Kealey ma jego pistolet, za to on sam jest pozbawiony jakiegokolwiek broni. Powinien jak najszybciej zniknąć z tej otwartej przestrzeni.

Za swoimi plecami, w miejscu, gdzie ścieżka zagłębiała się w zarośla, usłyszał charakterystyczny odgłos rozchlapujących błoto stóp.

Kealey minął zakręt i znalazł się na otwartej przestrzeni. Wiatr, który zdawał się wiać ze wszystkich stron, uderzył w niego z ogromną siłą, ale Ryan pewnie trzymał w wyciągniętej przed siebie ręce automatyczny pistolet USP Compact. Zaraz po wyjściu z domu wyjął z niego magazynek i sprawdził, że są w nim jeszcze cztery naboje. A więc Vanderveen nie załadował ponownie broni po swojej krwawej ucieczce z F Street, bo wewnątrz domu zostały wystrzelone tylko trzy kule. W komorze znajdował się jeszcze jeden nabój, a to znaczyło, że Ryan miał do swojej dyspozycji pięć sztuk dziesięciogramowej amunicji Federal Hydra-Shok, aby zabić tego człowieka. Zamierzał wykorzystać do tego celu wszystkie naboje, co do jednego.

Nie był tylko pewien, czy to wystarczy. W słabym świetle wbudowanych w kuchenne szafki lampek Vanderveen wydawał się czymś niemal nieludzkim. Częściowo była to wina jego

wyglądu. Ryan zobaczył go z bliska po raz pierwszy od ośmiu lat i od razu stało się jasne, że Vanderveen nie stracił formy przez ten czas. Jeśli już, to wyglądał na jeszcze silniejszego i szczuplejszego niż wtedy, gdy był jednym z najsprawniejszych żołnierzy w amerykańskich siłach specjalnych.

O wiele ważniejsze było jednak to, że kierowało nim coś znacznie potężniejszego od wrodzonej siły fizycznej. Jego oczy płonęły takim szczególnym blaskiem, który niezbyt dobrze zorientowani ludzie mogli wziąć za ambicję, religijny fanatyzm, chciwość czy jakiegokolwiek inne przemożne uczucie.

Kealey nie miał takich złudzeń. Wiedział, że jedyną siłą, która powoduje Williamem Vanderveenem, jest nienawiść.

Nie zastanawiał się nad tym jakoś szczególnie intensywnie - mgliste myśli po prostu przepływały przez jego udręczony umysł. W całym pomieszczeniu prawdy i fikcji zdołał jednak uchwycić jedną rzecz, która mogła, choć nie musiała, mu pomóc: *W oczach tego człowieka nic nie ma już znaczenia.*

W tym jednym przeblysku jasności cały świat wokół niego jakby zamarł. Zawodzący wiatr wydawał się tylko dalekim szepczeniem, ryk burzy nagle ustąpił miejsca błogosławionej ciszy i dokładnie wtedy usłyszał za swoimi plecami szybkie kroki.

Obrócił się, nawet nie patrząc, i uniósł broń. Strzelił szybko, a zaraz potem poczuł piekący ból twarzy i przewrócił się, jakimś cudem unikając jednak upadku w przepaść. Błysk wystrzałów zniknął w blasku błyskawicy, która na chwilę zamieniła noc w dzień.

Trafiałem go? Tego nie wiedział. Oślepiiony, z trudem wstał, ocierając z oczu coś, co było chyba wodą. Nie liczył wystrzałów, nie miał pewności, czy nacisnął spust dwa, czy może trzy razy. Starał się zorientować, jak daleko jest do krawędzi urwiska, kiedy nagle poczuł uderzenie w lewy bok i ból pękających z obrzydliwym trzaskiem żeber.

Cios odebrał mu na chwilę oddech. Upadł ciężko na ziemię i choć próbował jeszcze stawić czoła napastnikowi, poprzez zalewającą mu oczy krew widział tylko niewyraźny zarys sylwetki.

Nagle zorientował się, że Vanderveen stoi nad nim, ale kiedy zamrugał powiekami, mężczyzna zniknął. Nie mógł zrozumieć dlaczego tak się stało, dopóki nie uświadomił sobie, że w ręku nie trzyma już broni. Z trudem wstał z ziemi i natychmiast odzyskał ostrość widzenia, dostrzegł ciemną postać pokonującą szybko otwartą przestrzeń. Wyciągnięta dłoń sięgała już po jakiś leżący w błocie przedmiot.

Po dwóch krokach poczuł przeszywający ból w boku. Kostka też sprawiała wrażenie, jakby została zmiażdżona w imadle, ale mimo wszystko biegł dalej. Vanderveen odwrócił się z pistoletem w dłoni i zdążył nawet wystrzelić, zanim Ryan uderzył w niego całym ciałem, zrzucając w przepaść.

Vanderveen wyciągnął za siebie ręce w poszukiwaniu jakiegoś oparcia, zaskoczony, że natrafił wyłącznie na pustkę. Oderwany od ściany klifu nagłym prądem zstępującym, poleciał w dół. Zacinający deszcz smagał jego ciało, chmury ponad jego głową były coraz dalej, a kiedy okręcił się w powietrzu, jego oczy spoczęły w końcu na skłębionych wodach.

A potem nastąpiło uderzenie, którego siła odebrała mu oddech, podczas gdy ocean wciągał go w swoje głębiny. Ziąb sparaliżował go niemal natychmiast, ale to nie mogło długo trwać. Ułamek sekundy później przyszedł ból, przepływający przez jego ciało straszliwą falą, która pociągnęła go poza granice świadomości. Pośród gęstniejącej ciemności podjął ostatnią próbę wydostania się na powierzchnię.

Ryan nadal znajdował się na skraju urwiska, zaledwie pół metra od jego krawędzi. Leżał nieruchomo w zimnym błocie, próbując zorientować się w swoich obrażeniach. Nawet bez patrzenia wiedział, że większość żeber po lewej stronie ma złamanych. Z jego kostką też coś było nie tak - dobrze pamiętał, że o mało się nie przewrócił, kiedy na niej stanął. Ostrożnie sięgnął do czoła, chcąc dotknąć poszarpanej rany, ale nagle powstrzymał go inny ból.

Nietrudno było zlokalizować jego źródło. Ostatni nabój Vanderveena trafił go w prawy bok. Kiedy odsunął połę kurtki i podciągnął koszulę, żeby odsłonić postrzał, zauważył strużkę

krwi płynącej wolno, ale nieprzerwanie. Delikatnie sięgnął prawą ręką do tyłu, bezskutecznie szukając znacznie większej rany wylotowej.

Nie wiedział, jak wielkie spustoszenia w jego organizmie poczyniła kula, jednak po chwili doszedł do wniosku, że tak naprawdę niewiele go to obchodzi. Vanderveen w końcu zginął, tylko za jaką cenę?

Katie.

Do tej pory był jakby odrętwiały, ale świadomość tej straty okazała się nagle znacznie boleśnieszka niż odniesione obrażenia.

Leżąc na mokrej ziemi, zastanawiał się niespiesznie, ile czasu potrwa, zanim będzie mógł do niej dołączyć. Powieki zaczynały mu już ciążyć, a ziąb nie wydawał się tak przenikliwy jak jeszcze kilka minut temu. Ból też nie dokuczał mu tak bardzo. Naprawdę niewiele.

Kiedy oderwał dłoń od rany w prawym boku, pod palcami wyczuł wypukłość w kieszeni kurtki. Zaczynał powoli majaczyć, sprawdził więc raz jeszcze, żeby upewnić się, czy przypadkiem nie wyobraził sobie tego. Nie, jednak coś tam jest. Wyciągnął przedmiot, chcąc przekonać się, co to takiego. Jego komórka.

Położył z powrotem głowę w błocie, zastanawiając się nad tym przez chwilę. Jeżeli teraz zadzwoni, może zdążą na czas. Albo nie. Tego nie wiedział.

Czy to ma jeszcze jakieś znaczenie?

Czemu miałoby go to obchodzić?

Kilka minut później wsunął telefon z powrotem do kieszeni i rozpoczął oczekiwanie.

ROZDZIAŁ 36

CAPE ELIZABETH • WASZYNGTON

Callie Palmer pochyliła się mocniej nad kierownicą, próbując dostrzec coś poprzez strugi deszczu zalewające przednią szybę. Od momentu jej wyjazdu z Orono ponad dwie godziny temu burza znacznie przybrała na sile, ale ku jej ogromnej uldze od celu podróży dzieliło ją już tylko parę kilometrów.

Po całym dniu zajęć była okropnie zmęczona, a poza tym martwiła się o swoją najlepszą przyjaciółkę. Dlatego właśnie zdecydowała się przyjechać tu na weekend, zabierając ze sobą zestaw rzeczy potrzebnych do poprawienia humoru Katie: dwa sześciopak Rolling Rock i kilka dobrych filmów na DVD.

Zwykle to załatwiało sprawę, ale tym razem Callie nie była tego taka pewna. Katie naprawdę zdenerwowała się ostatnią sprzeczką z Ryanem i nie wyglądało na to, żeby miała przestać się tym zamartwiać w najbliższym czasie.

Z ciężkim westchnieniem Callie skręciła w Village Creek Road i wkrótce jej oczom ukazał się dom. Jechała już błotnistym podjazdem - *Ryan naprawdę powinien utwardzić tę drogę* - kiedy nagle zauważyła coś, co przyprawiło ją o gniewne zmarszczenie brwi. Na trawniku zamienionym na ich nieoficjalny parking stał czarny mercedes. Potem dostrzegła jeszcze rządowe tablice rejestracyjne i zaklęła pod nosem. Ryan musiał wrócić wcześniej z Waszyngtonu, a teraz pewnie są zbyt zajęci sobą, żeby w ogóle myśleć o przyjmowaniu nieproszonych gości.

Mimo wszystko wysiadła jednak z samochodu i pobiegła poprzez deszcz w stronę bezpiecznego schronienia ganku. Przebyła zbyt długą drogę, żeby tak po prostu zawrócić i odjechać.

Z każdą chwilą była tylko coraz bardziej wściekła z powodu swojej nadaremnej wyprawy.

Energicznie zastukała do drzwi. Żadnej odpowiedzi. *Hmmm*. Po krótkiej chwili wahania nacisnęła klamkę i weszła do środka, zadrżawszy lekko, tym razem z przyjemnością, kiedy ciepłe powietrze owionęło jej twarz.

Chociaż wcale nie było tak gorące. Callie natychmiast zorientowała się dlaczego: tylne drzwi prowadzące z kuchni na dwór, widoczne na końcu długiego korytarza na wprost niej, stały otworem, kołysząc się na wietrze.

A potem zauważyła roztrzaskane szkło.

W brzuchu poczuła natychmiast lodowatą kulę strachu, falę niepokoju, która zamieniła się w czyste przerażenie, kiedy jej wzrok przesunął się w dół, gdzie dostrzegła coś, co wyglądało jak płynące po drewnianych deskach wąskie strużki krwi.

Boże, nie. Wbrew sobie Callie ruszyła do przodu. Kiedy w końcu przekroczyła próg, natknęła się na Katie ułożoną starannie na kuchennej podłodze, z zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi wargami.

A potem Callie zauważyła, dlaczego jej przyjaciółka się nie rusza i zaczęła bez opamiętania krzyczeć.

Jonathan Harper był pogrążony w głębokim śnie, kiedy coś nagle wyrwało go z mroku.

Natychmiast usiadł i wyciągnął rękę, po omacku próbując odnaleźć stojący na nocnej szafce telefon. Zaklął pod nosem, słysząc jak szklanka z wodą upada na dywan, a potem w końcu podniósł słuchawkę.

- Halo?

Zareagowałby inaczej, gdyby chodziło o drugi z aparatów znajdujących się przy jego łóżku, ale to akurat był telefon domowy, nie ten sprawdzany co dwa tygodnie przez personel techniczny z Langley. Dlatego był zaskoczony, kiedy usłyszał młody kobiecy głos.

- Dyrektor Harper? Panie dyrektorze?

Harper zaklął ponownie i sięgnął do włącznika lampki.

- Tak, tu Jonathan Harper.

- Panie dyrektorze, mówi Sarah Bernstein, oficer nocnej zmiany z Langley. Próbowałam dodzwonić się na zabezpieczoną linię, ale bez powodzenia...

Harper zerknął na drugi aparat, a potem obrócił go lewą ręką. Kabel z tyłu był wyciągnięty. Harper zmarszczył gniewnie brwi, a potem spojrzał na śpiącą niespokojnie Julie.

Rano powie jej parę słów do słuchu.

- O co chodzi, Bernstein?

- Panie dyrektorze, może zechce pan jednak oddzwonić do mnie przez centralę?

- Ma pani rację - przytaknął, przecierając oczy z resztek snu i ganiąc się w duchu za bezmyślność. - Proszę dać mi chwileczkę.

Trzasnął słuchawką na tyle głośno, że zbudził żonę, która usiadła na łóżku, powtarzając wszystkie jego zaspane gesty: najpierw potarła dłońmi twarz, a potem przeczesała zmierzwiłone od snu włosy.

- Kto to?

- Mówiłem ci tysiąc razy, Julie. Muszę mieć możliwość natychmiastowego odbierania tu telefonów.

- Przepraszam. Po prostu myślałam, że należy ci się chwila wytchnienia...

Nie było sensu dalej się z nią spierać. Harper wcisnął kabel z powrotem i wystukał z pamięci numer.

- Mówi zastępca dyrektora Jonathan Harper. - Wyrecytował szybko swój kod uwierzytelniający. - Z oficerem dyżurnym proszę.

Rozległa się cała seria stuknięć i trzasków, a po chwili w słuchawce usłyszał znowu kobiecy głos.

- Bernstein.

- Tu Harper... Co się dzieje?

- Panie dyrektorze, mam tutaj telefon, który chyba chciałby pan odebrać - poinformowała go agentka suchym, rzeczowym tonem. - Dzwoni Benjamin Tynes z biura szeryfa w hrabstwie Cumberland. Twierdzi, że to ważne.

- Cumberland...?

- To w Maine, panie dyrektorze.

Harper wyprostował się.

- Co się stało? - zapytała przestraszona Julie na widok jego miny.

- Kazała mu pani zaczekać?
- Oczywiście, panie dyrektorze.
- Proszę go przełączyć.

Kolejne trzaski, a potem w słuchawce rozległ się chropawy głos starszego mężczyzny.

- Pan Harper?
- Zgadza się.
- Nazywam się Ben Tynes - przedstawił się niepotrzebnie mężczyzna. - Jestem szeryfem na hrabstwo Cumberland i mam tutaj coś, co powinno pana zainteresować.

Harper zaczynał powoli tracić cierpliwość. Chciał wiedzieć, jakim cudem ten człowiek zdobył jego nazwisko i numer, ale najpierw zamierzał poznać odpowiedzi na parę innych pytań. Znał tylko jedną osobę w Maine. *Jezu, Ryan...*

- O co chodzi, szeryfie?
- Jestem przy Village Creek Road 1334. Przyjechaliśmy tu dwadzieścia minut temu w odpowiedzi na nagłe wezwanie. Natknęliśmy się na ciało młodej kobiety i mężczyznę w krytycznym stanie. Kobieta została zidentyfikowana jako Katherine Leah Donovan, lat dwadzieścia cztery, studentka z Orono. Z dokumentów znalezionych przy rannym mężczyźnie wynika, że to Ryan Thomas Kealey... Czy to coś panu mówi?

Harper zacisnął mocno powieki, a po dłuższej przerwie zdołał w końcu wydusić:

- Tak.

Szeryf wydawał się zaskoczony, najwyraźniej oczekując od swojego rozmówcy większych wyjaśnień, w końcu jednak powiedział:

- Ciągłe próbujemy ustalić, co tu się wydarzyło. Wygląda na to, że była tu jeszcze trzecia osoba...

Jonathan doskonale domyślał się, kto to taki.

- A co z Kealeyem, szeryfie? W jakim jest stanie?
- Niezbyt dobrym, panie dyrektorze. - Kolejna chwila wahania. - Naprawdę złym. Znajdował się na zewnątrz dosyć długo. Doznał paskudnego złamania kostki, poza tym ma ranę postrzałową w prawym boku i kilka połamanych żeber po lewej stronie. Kula nadal tkwi w ciele, ale nie spowodowała chyba większych uszkodzeń. To dobra wiadomość. Z drugiej strony,

kiedy go zabierali, temperatura jego ciała wynosiła zaledwie trzydzieści trzy stopnie. Doszło do poważnej hipotermii... Lekarze uważają, że z tego wyjdzie, ale ledwie, ledwie.

- A co z dziewczyną? Jest pan pewien, że ona...?

- Jej zgon stwierdzono dwadzieścia minut temu. Nie żyje.

- Proszę zaczekać chwileczkę, dobrze? - Harper opuścił słuchawkę i ignorując pytania przerażonej Julie, próbował uspokoić myśli. Potem uciszył żonę niecierpliwym gestem ręki i wrócił do rozmowy z Tynesem. - Co pan o tym myśli, szeryfie? Jakież przypuszczenia?

- Razem z moimi zastępcami jesteśmy tu dosyć krótko, proszę pana, ale... moim zdaniem ktoś trzeci napadł jedno z nich albo nawet oboje. Kobiętę zabił w kuchni, a na pańskiego człowieka natknęliśmy się jakieś sześćdziesiąt metrów za domem. Na miejscu znaleźliśmy ślady walki.

- Skąd pan wiedział, że to ktoś ode mnie? - zapytał Harper.

- Jedna z przyjaciółek Donovan znalazła jej ciało i zadzwoniła pod 911. Musieli ją zabrać razem z Kealeyem do szpitala - była w szoku - ale kiedy tu dotarliśmy, dało się z nią jeszcze porozmawiać. Znała skądś pana nazwisko, a przed domem stoi samochód z rządowymi tablicami, więc pomyślałem, że warto przynajmniej spróbować się z panem skontaktować.

- Dobrze pan zrobił, szeryfie. Hm... macie jakiś ślad tej trzeciej osoby?

- Nic. Ogrzali trochę Kealeya kocami i termoforami, a potem próbowali z niego wyciągnąć jakieś informacje. Nie powiedział zbyt wiele, ale z tego, co zdołaliśmy zrozumieć, ten drugi facet spadł...

- Jak to, spadł?

- Do oceanu, proszę pana.

Harper przycisnął mocno lewą dłoń do skroni, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Nigdy nie był w tamtym domu, bo Ryan przeprowadził się do niego zaledwie rok temu, dlatego teraz przed oczami nie pojawił mu się żaden obraz. - Co to oznacza, szeryfie?

- To znaczy, że już po nim. - Ben Tynes odchrząknął lekko.

- Nie żyje.

- Skąd ta pewność?

- Do lustra wody jest jakieś pięćdziesiąt pięć metrów. Upadek z tej wysokości to jak uderzenie o beton.

Zapadła długa chwila ciszy.

- Mam nadzieję, że to prawda - powiedział w końcu Harper.

- *Naprawdę* mam nadzieję, że się pan nie myli.

Ben Tynes usłyszał powątpiewanie w głosie swojego rozmówcy.

- Panie dyrektorze, trzeba uderzyć w taflę wody dokładnie pod kątem prostym, bo inaczej to, co zostanie z klatki piersiowej, rozrywa człowiekowi wnętrzności na strzępy. A nawet jeśli uda się przeżyć to początkowe zderzenie, to zanurzy się pan tak głęboko, że utonie pan przed wypłynięciem na powierzchnię albo będzie pan zbyt poobijany, żeby wydostać się z wody o własnych siłach. Ciało zwykle zabiera prąd, ale widziałem tych kilku skoczków, których udało nam się wyłowić. Proszę mi wierzyć, to nie jest przyjemny widok.

Harper odetchnął głęboko, powoli wypuszczając powietrze.

- W porządku, szeryfie. To mi wystarczy. Muszę teraz wykonać parę telefonów, ale oddzwonię do pana, gdy tylko zorganizuję sobie jakiś transport. Powiedzmy za czterdzieści pięć minut.

- Jest jeszcze jedna sprawa, panie Harper...

Jonathan zauważył w głosie rozmówcy nowy ton, wahanie, które natychmiast zwróciło jego uwagę.

- Proszę mówić.

- Ten mężczyzna, Kealey... Jak dobrze go pan zna?

- Całkiem nieźle. Przyjaźnimy się od dosyć dawna. Czemu pan pyta?

- Co go łączyło z tą Donovan?

To akurat ostatnia rzecz, o jakiej Harper miał teraz ochotę myśleć. Miał już burknąć coś niegrzecznie, ale Tynes ewidentnie do czegoś zmierzał.

- Byli zaręczeni. Za ledwie od paru tygodni - wyjaśnił, nie domyślając się jeszcze, o co chodzi szeryfowi. - Poza zwykłymi sprzeczkami, jakie zdarzają się wszystkim parom, sprawy pomiędzy nimi układały się naprawdę dobrze.

- Pytam dlatego, że... - podjął Tynes, teraz znacznie pewniejszy tego, co miał powiedzieć. - Moim zdaniem on widział, co

się z nią stało. Kiedy go znaleźliśmy, leżał na brzuchu. Kula weszła mniej więcej dziesięć centymetrów na prawo od pępka, a rana...

- No co takiego? - Jonathana ogarnęło nagle jakieś złe przeczucie.

- ...krwawiła znacznie mocniej, niż gdyby leżał na plecach.
- Szeryf znowu zamilkł. - Poza tym miał przy sobie komórkę, ale do nikogo nie zadzwonił. Rozumie pan, o czym mówię?

Harper poczuł nagle chłód, chociaż w sypialni było dosyć ciepło.

- O, nie... Jezu. - Tym razem cisza była wyjątkowo długa. Minuty zdawały się ciągnąć bez końca, Tynes zachowywał jednak pełne szacunku milczenie, czekając na dalsze słowa zastępcy dyrektora.

- Będę tam za trzy godziny - powiedział w końcu Harper, a potem odłożył słuchawkę i popatrzył na swoją żonę.

- *Co się stało?* - zapytała natychmiast Julie.

Burza nad Cape Elizabeth utrzymywała się naprawdę długo, szalejąc od Portsmouth po Bangor, choć akurat te dwa miasta nie stanowiły punktów granicznych obszaru ogarniętego jej gniewem. Zasięgu tego piekła nie wyznaczały określone cechy terenu czy opinie przepłacanych meteorologów.

Kiedy wreszcie wiele godzin później burza ustała, szkody zostały wstępnie oszacowane na 130 milionów dolarów, chociaż niektóre liczby zostały zawyżone w oczekiwaniu na zapytania napływające ze strony firm ubezpieczeniowych.

Jak zawsze najbardziej ucierpiały nieruchomości położone nad samym oceanem.

Oczywiście były też wyjątki. Niektóre budynki pozostały w znacznym stopniu nietknięte dzięki wysokiej jakości użytych do ich budowy materiałów albo swojemu specyficznemu położeniu na nierównym nadbrzeżnym terenie. Jeden z takich domów należał do Richarda i Brendy Creganów, pary emerytów, którzy przeprowadzili się tutaj z Bostonu cztery lata temu, sprzedawszy uprzednio swoją całkiem nieźle prosperującą firmę zajmującą się architekturą krajobrazu.

Dom okazał się taki, jak sobie wymarzyli: cichy, położony na uboczu, wygodny, ale nie przesadnie luksusowy, z czterema

sypialniami, dwiema łazienkami i oddzielną toaletą. Był co prawda mniejszy niż większość budynków w tej okolicy, ale należący do posiadłości rozległy teren wynagradzał z nawiązką niewielki metraż. Creganowie uwielbiali spędzać czas na wolnym powietrzu, a ścieżki biegnące przez gęsty las na tyłach domu, miały ogromny wpływ na ich decyzję o zakupie tej właśnie nieruchomości.

Można by się oczywiście spierać, że drzewa były znacznie ważniejsze niż te turystyczne szlaki, bo stanowiły naturalną osłonę domu przed niszczącą siłą oceanu.

Creganowie bardzo jednak cenili sobie te ścieżki, którymi można było spacerować niespiesznie jakieś pół kilometra przez gęsty las, dopóki szlak nie urywał się nagle mniej więcej pięć metrów ponad powierzchnią Atlantyku. Przy łagodnym szkwale fale wzbijały się czasami do dwóch trzecich wysokości skalistego urwiska. Teren był tu położony znacznie bliżej tafli wody niż klify Cape Elizabeth, znajdujące się niecały kilometr dalej na północ.

Jednak podczas tej konkretnej burzy ocean połączył się w jedno z lądem, jakby ta pięciometrowa bariera nigdy nie istniała.

Creganom nie przeszkadzał wiatr i deszcz uderzający w ściany domu ani nawet towarzyszący sztormowi spadek temperatury. Po czterech latach spędzonych na wybrzeżu widzieli już więcej takich uderzających z północnego wschodu nawałnic, niż byli w stanie spamiętać. Doskonale wiedzieli, z niewzruszonym sercem miejscowych, że niewiele mogą zrobić poza przeczekaniem burzy i oceną strat już rano. Pamiętali też o tym, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo ze strony otaczających dom drzew, bo większość strzelistych sosen w promieniu kilkuset metrów została w ubiegłym roku wykarczowana.

Uspokojeni, że solidne mury ich domu stanowią bezpieczne schronienie przed nawałnicą, nie przejęli się zbytnio, kiedy linia telefoniczna została zerwana, a światło zgasło. W taką pogodę to nic nadzwyczajnego. Mieli co prawda potężny generator do swojej dyspozycji, tym razem postanowili jednak położyć się wcześniej spać i ruszyli do łóżka.

Spali lekko, ale jednak spali. Dom był wyjątkowo dobrze wytłumiony, chroniąc ich przed odgłosami szalejącej wichury

dzięki solidnej warstwie cegieł spojonych zaprawą murarską i drogim oknom, których mocne drewniane ramy zostały porządnie zainstalowane przez miejscowych budowlańców.

Zbliżała się północ, a drzewa znajdujące się najdalej od ich domu zdawały się wyrastać prosto z oceanu. Ich poskręcane konary pochylały się i kołysały na wietrze w rytm uderzeń obmywających ich pnie fal.

Ścieżki również wyłoniły się już z szarości, nabierając w głębi ładu już wyraźniejszych kształtów. Trasa niektórych z nich była wyznaczona słupkami płotów, ale wszystkie nosiły ślady obecności poprzednich wędrowców.

Mniejsze tropy, pozostawione przez zwierzynę płową i drobniejszych mieszkańców lasu, wkrótce zmyła ulewa.

Inne pozostały na dłużej, tak jak głębokie ślady stóp odcisnięte przez ciężkiego Richarda Cregana i lżejsze, wyraźne odciski należących do Brendy Cregan pionierek firmy Timberland.

Był jeszcze trzeci ślad, który z pewnością sprawiłby Creganów w zdumienie, gdyby go zobaczyli. Składał się z nierównych odcisków różnej głębokości. Każdy z nich, zaznaczony porządnie w błocie, miał jeszcze dziwny, ciągnący się ślad.

Były rozłożone w nietypowych odległościach, różniąc się znacznie głębokością i czystością zarysu, łączyły się jednak w jeden trop, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do kierunku, w jakim podążał ranny człowiek.

Biegły od wzburzonych wód Atlantyku prosto w stronę spokojnego, pogrążonego w ciemnościach domu zajmowanego przez Brendę i Richarda Creganów.

Małżonkowie nie myśleli już o szalejącej wokół burzy.
Spali lekko, nie śniąc żadnych snów.